

DEIRDRE PURCELL

WYSPA
KAMIENI



Przełożyła: S. S.

Purcell Deirdre

Wyspa kamieni

Amerykański samolot wycarterowany przez bogatą rodzinę z Chicago runął do oceanu. Katastrofę przeżyła tylko małeńka Molly. Z wrażliwej, nieśmiałej dziewczynki wyrosła piękna i utalentowana aktorka, gwiazdka londyńskich scen i ekranu. Za olśniewającym sukcesem Molly Margo skrywa się jednak uczucie, którego nie może ujawnić, a także pragnienie odkrycia tragicznej tajemnicy rodzinnej, pogrzebanej na zawsze na Wyspie Kamieni. Czy los pomoże jej rozwikłać dramatyczny węzeł? Czy przyniesie miłość i szczęście?

Podziękowania

Dziękuję Peters Fraser and Dunlop Group Ltd. za pozwolenie zamieszczenia w książce poematu „Tarantella” Hilaire'a Belloc'a (w wydaniu polskim w przekładzie Jerzego Pietrkiewicza).

Należą się również podziękowania dr. Aidanowi Nulty'emu, Joemu Lennonowi i Harry'emu Sydnerowi za wskazówki w dziedzinie meteorologii i lotnictwa; Patowi Brennanowi i Frankowi Byrne'owi za przeczytanie manuskryptu; Michaelowi Legatowi i Jane Wood za ich sprawność edytorską, Vincentowi Brownowi i redakcji „Sunday Tribune” za zrozumienie i słowa otuchy.

Wdzięczna jestem także moim agentom, Treasie Coady i Charlesowi Pickowi, za to, że zachęcali mnie do wysiłków, oraz Tyrone Guthrie Centre, Annaghmakerrig, za stworzenie świetnych warunków do pracy.

Wreszcie winnam wyrazić wdzięczność mojej rodzinie i przyjaciołom, zwłaszcza Kevinowi, Adrianowi i Simonowi, za słowa zachęty i wyrozumiałość.

CZESC PIERWSZA

Rozdział 1

Trwał załadunek samolotu DC 3. Przez brudne okna sali odpraw pilotów na lotnisku Midway kapitan Tucker Thompson krytycznie przyglądał się świeżo umytemu kadłubowi i pokrywom silników Pratt and Whitney 1830, lśniącym w metalicznym słońcu Chicago. Mimo wczesnej pory, powietrze w pomieszczeniu było ciężkie, przesiąknięte drażniącym zapachem nafty. Stary elektryczny wentylator, który stał na szafce z dokumentami, przynosił niewielką ulgę; czerwono-niebieskie plastikowe ramiona przymocowane do wygiętej ramy obracały się z trudem; oś wiatraczka wymagała naoliwienia i jej rytmiczne poskrzypywanie grało Tuckerowi na nerwach. Tego ranka przeszkadzało mu nawet klekotanie dalekopisów.

Szarpiąc kołnierzyk koszuli wrzynający się w szyję, obserwował Tucker powolną krzątanicę wokół samolotu na polu startowym. Uzupełniano paliwo i prowiant przed długim lotem. W niechętnym spojrzeniu kapitana przeróbki zmieniły samolot z dobrego konia roboczego w odpowiednik latającej kanapy. Jednakże mimo dodatkowych zbiorników z paliwem, zamontowanych w czasie powojennej przebudowy w jednej z sekcji kabiny pasażerskiej, ograniczony zasięg DC 3 oznaczał, że będą musieli pokonać trasę, dzieląc ją na odcinki - z lotniska Midway przez Bangor w stanie Maine, Goose Bay, Prince Christian na Grenlandii, Reykjavik, Shannon - aż w końcu znajdą się w Londynie. Cóż, przynajmniej prognoza pogody jest sprzyjająca, pomyślał ponuro, wiatr w ogon. Ze stałą prędkością 280 ki-

lometrów na godzinę podróż nie powinna być zbyt wyczerpująca.

Ponowne spojrzenie na wykaz ładunku nie poprawiło mu nastroju. Ci Smithowie, jak wszyscy bogacze, zabrali olbrzymie bagaże. Trzy skrzynie i siedem walizek, ważących razem blisko 550 kilogramów. I to wszystko dla trojga dorosłych i jednego niemowlęcia, pomyślał Tucker i trzepnął ze złością muchę, która się tłukła o porysowaną szybę. Tucker, były pilot transportowy, jeden z tych szalonych śmiałków, którzy przewozili samolotami dostawy wojskowe do Europy na niebezpiecznych transatlantyckich trasach, nigdy się nie ożenił. Był krępy, postury miniaturowego bizona. Potężny kark wspierał kudłatą głowę. Szczeka wyraźnie zarysowana. Na zniszczonej twarzy miał Tucker zmarszczki, a na świat patrzył cynicznie jasnobrazowymi, chmurnymi oczami. Przez całą wojnę robił plany na przyszłość - może własna linia lotnicza, może stanowisko szefa personelu latającego w cudzej firmie. Oto jednak był rok 1953, a on wciąż robił w czarterach. Westchnął i skierował uwagę na stół z mapami, przy którym drugi pilot, wyznaczony na tę podróż, pochylał nad dokumentami ciemną głowę. Tucker westchnął po raz wtóry - drugiego oficera nie gnębiły żadne zmartwienia. Miał okrągłą, rumianą twarz, był jeszcze dzieckiem...

Chłopak podniósł wzrok i uśmiechnął się, gdy przełożony do niego dołączył, lecz Tucker nie odwzajemnił uśmiechu. Długa tradycja nakazywała kapitanom traktować podwładnych z rezerwą i żadna zażyłość, przynajmniej przed lotem i w obecności meteorologa, nie wchodziła w rachubę.

- Czy słyszał pan coś o tych Smithach? - spytał Tucker.

- Niestety, nie, panie kapitanie. - Głos drugiego pilota był pogodny i ożywiony. - Wiem tylko, że produkują piwo. Smith's Oaken? Smith's Arrow?

Tucker znał te gatunki. Pochodziły z browaru, który szczycił się jakością swych produktów. Mimo to odmruknął coś tylko i zabrał zwój teleksów z prognozami od meteorologa, który skubał paznokcie przy drugim końcu stołu.

Zagłębił się w przepowiednie pogody i meldunki dla Londynu i wszystkich miejsc postoju po drodze. Wszędzie pułap i widoczność

w porządku. Teleksy donosiły też, że na trasie można spodziewać się zachmurzenia na wysokości między 006 i 030 oraz między 600 i 3000 metrów. Jako że Tucker zamierzał utrzymać pułap 3000 metrów, nie stanowiło to problemu.

Pochylił głowę nad mapami, pełnymi zawiłych linii i małych trójkątnych symboli, oznaczających ciepłe i chłodne fronty atmosferyczne. Zaznaczono tu antycyklon, około 1600 kilometrów na południowy zachód od Irlandii, i długi zimny front parę stopni na południe od regionów polarnych; jego czoło wkrótce miało znaleźć się w okolicy Spitsbergenu na Morzu Arktycznym. Front przesunął się na południowy zachód zgodnie ze strzałkami oznaczającymi kierunek wiatru. Zakresowano też długi owalny kształt wokół skrótów Poj Kn i Obi Umiar. Przewidywano umiarkowane niebezpieczeństwo oblodzenia i pojedyncze kumulo-nimbusy.

Meteorolog, który wciąż skubał paznokcie, dostrzegł, że Tucker zwrócił szczególną uwagę na chłodny front, i uprzedził jego pytanie.

- Przesuwa się powoli - powiedział. - Nie ma problemu. Prawdopodobnie nie osiągnie waszej strefy wcześniej niż jutro o tej samej porze.

W pełnym zieleni Evanston, na północ od miasta, przed kolumnami u wejścia do Greentrees, rezydencji rodziny Smithów, stał już cadillac. Do zaparkowanej przed schodami frontowymi małej furgonetki kierowca razem z szoferem cadillaca ładował ostatnią z trzech ciężkich skrzyń. Wreszcie drzwi zamknęły się, samochód ruszył i bryznął żwirem spod kół, wyjeżdżając przez ozdobną żelazną bramę na brukowaną ulicę.

W domu Malcolm Smith kończył śniadanie. W ten ciepły dzień wychodzące na trawnik okna balkonowe były otwarte i salonik zalewało światło odbijające się od powierzchni jeziora Michigan. Malcolm zawsze sam jadł śniadanie i służący wiedzieli, że nie należy się wtedy kręcić w pobliżu.

Popatrzył na bezmiar lśniącej wody, która tego ranka lśniła i falowała aż po horyzont. Dzisiaj, pomyślał, będzie gorący dzień.

- Oj, tak, gorący - rzekł na głos.

Często, siedząc na starym krześle z poręczami, wyglądającym jak eksponat muzealny, Malcolm wypowiadał swoje myśli lub kończył wyimaginowane rozmowy. Z początku, gdy mu się to przytrafiało i słyszał własny głos przerywający poranną ciszę, podskakiwał na krześle i rozglądał się wokoło - bał się, że może ktoś go usłyszał. Ale tak było przed laty.

Malcolm był spokojnym człowiekiem, z którym czas obszedł się łaskawie. Imigrant z Walii, nadal wdzięczny Stwórcy za swój dobry los, utrzymywał ład we wszystkim -w rodzinie, w browarze i w życiu wewnętrznym. Jego żona Cordelia mawiała z upodobaniem, że nieprawdopodobne wydarzenie, jakim byłoby trzęsienie ziemi w Chicago, Malcolma by, co prawda, zdziwiło, ale nie wpłynęłoby na jego rozkład zajęć.

W tę właśnie sobotę pod koniec kwietnia Malcolm wstał jak zwykle o 6.45, ale nie był tego dnia pierwszy na nogach i już dochodziły go odgłosy krzątania w domu. Gdy schodził tylnymi schodami w kierunku kuchni, usłyszał ruch w sypialniach syna Cala i synowej Maggie. Zobaczył, że Cal wystawił przed drzwiami jedną z walizek do zabrania.

Wypiwszy z zadowoleniem ostatni łyk kawy na zakończenie śniadania, Malcolm sięgnął do kieszeni na piersi po cygaro i srebrny nożyk, ale zanim zdążył je przyciąć, do pokoju weszła jego wnuczka z nianią.

Na widok dziadka Susanna, wesołe, pogodne dziecko, za-gruchała z zachwytem i wyciągnęła rączki. Radość była obustronna. Dziewczynka miała prawie rok. Malcolm pozostawał pod jej urokiem, odkąd przyszła na świat. Z niechęcią myślał, że wnuczka ma wyjechać na miesiąc z rodzicami do Europy.

- W porządku, Rosemary - zwrócił się do angielskiej niani, nie spuszczając oczu z dziecka. - Wezmę ją.

Niania, dwudziestokilkuletnia blondynka o jasnej karnacji, podała mu dziewczynkę z uśmiechem.

- Niech pan uważa, żeby się nie ubrudziła, panie Smith. Jest już ubrana na wakacje!

- Ależ z ciebie laleczka! - Malcolm pogłaskał jasnowłosą główkę dziecka i Susanna wybuchnęła śmiechem.

- Leczka - powiedziała, a może tak to brzmiało w uszach zachwyconego dziadka.

- Słyszałaś? - wykrzyknął do niani. - Czy słyszałaś, Rosemary? Powiedziała wyraźnie „laleczka"! Ja słyszałem!

Słyszałaś? - znów zwrócił się do dziecka. - Laleczka! Susan-no, powiedz to jeszcze raz, ty mała czarodziejko.

Laleczko.

Ale tym razem dziecko tylko się roześmiało. Niania uśmiechnęła się szeroko.

- Pójdę poszukać Christiana, żeby przyszedł się pożegnać.

Wyszła z pokoju bezgłośnie w butach na gumowych podszwach.

Malcolm, trzymając Susanę na rękach, wyszedł z wnuczką na trawnik, gdzie z sykiem obracały się spryskiwacze, tworząc tęcze w blasku słońca. Dziewczynka zaczęła się wiercić, chcąc, by ją postawił na ziemi. Dziadek, który nie potrafił jej niczego odmówić, delikatnie postawił dziecko na chwiejnych, pulchnych nóżkach. Susanna na chwilę przyłgnęła do jego spodni, ale nóżki nie wytrzymały i upadła na trawę.

- O, nie! - Malcolm ją podniósł. - Trawka mokra! Mamusi by się nie spodobało, że siedzisz na trawie w swojej ślicznej nowej sukience.

Dziewczynka pozwoliła się podnieść bez sprzeciwu. Poklepała dziadka po policzku i uśmiechnęła się do niego figlarnie. Zachwycony, odwzajemnił uśmiech.

- Och, moja laleczko!

Maggie zapinała na szyi sznur pereł, siedząc przed toaletką w sypialni. W pokoju panował bałagan. Ubrana w drogą i prostą popielatą suknię, reprezentowała typ kobiety, która równie dobrze wygląda w wieku sześćdziesięciu, jak trzydziestu lat, duża, ale nie tęga, o szerokich ramionach i wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych.

Przypatrując się swemu odbiciu w lustrze, jeszcze raz spróbowała dodać sobie odwagi. To szaleństwo, że zgodziła się na tę podróż. Bała się jej, bała się najbliższej półgodziny, kiedy to będzie musiała pożegnać się z Christianem. Słyszała krzątanie męża w pokoju obok. Gwizdał. Spojrzała na zegarek. Dość tych nerwów.

Maggie skierowała się korytarzem do pokoju Christiana, ale drzwi były otwarte, a łóżko puste. Zeszła ze schodów po grubej wykładzinie, która tłumiała jej kroki. W saloniku nie było nikogo, ale przez otwarte drzwi dochodził z zewnątrz nikły odgłos śmiechu. Maggie ruszyła do okna balkonowego, stukając obcasami po parkiecie. W odległości około pięćdziesięciu metrów zobaczyła teścia. Trzymając Susannę na rękach, zrywał liście z krzaków i rzucał je w powietrze, by spadały jak konfetti wokół głowy jego i dziecka.

Przyglądała im się z uśmiechem przez kilka sekund, a potem przeszła do kuchni, gdzie gospodyni sprzątała po śniadaniu Malcolma.

- Widziałaś Christiana, Bridie?

Gospodyni wytarła ręce o fartuch i, wznosząc ze współczuciem oczy do sufitu, wskazała głową spiżarnię.

W małym pomieszczeniu było ciemno, ale Maggie nie zapaliła światła. Zatrzymała się w drzwiach, żeby jej się oczy przyzwyczaiły. Po chwili zobaczyła Christiana, skulonego w kącie pod szeroką półką, na której Bridie trzymała zapasy mąki, cukru i soli.

- Christianie? - odezwała się cicho. - Wyjdź, mój kochany. Nie chcesz się pożegnać?

Odpowiedziało jej milczenie i bezruch. Chłopiec nawet nie drgnął, niczym przyczajony kot.

Maggie nie zbliżyła się do niego, lecz przykucnęła w progu.

- Kochanie, wyjdź, proszę. Nie musisz, ale chcę z tobą porozmawiać, pożegnać się. Będzie mi bardzo, bardzo przykro, jeśli wyjadę bez pożegnania... - Zobaczyła światło latarki w miejscu, gdzie powinny być jego oczy. -

Christianie?

- Co? - odezwał się drewnianym głosem.

- Wyjdiesz ze mną? Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.

Brak odpowiedzi, bezruch.

- Nie pożałujesz - obiecuję ci... Nadal brak odpowiedzi.

- Czy kiedykolwiek nie dotrzymałam słowa? Obiecuję, spodoba ci się to, co mam do powiedzenia.

Wstrzymała oddech.

- Co? - powtórzył. W jego głosie nadal słychać było bunt, ale pojawiła się w nim isierka zainteresowania.

- Nie mogę powiedzieć ci tutaj, jest za ciemno. Wiesz, jak nienawidzę ciemności!

Zapadła chwila milczenia. Wreszcie wygramolił się spod półki.

- O co chodzi?

Wstała, ale wciąż nie zbliżała się do niego, choć znajdowali się tylko pół metra od siebie.

- Chodź do saloniku, tam ci powiem. - Wyciągnęła rękę, by schwycić jego dłoń, ale przemknął obok, jakby obawiał się zarażenia.

Gdy znaleźli się w saloniku, stanął z dala, przypatrując się jej z niemal otwartą nienawiścią. Serce Maggie omal nie pękło. Taki mały, ma tylko dziesięć lat i tylu rzeczy nie potrafi jeszcze zrozumieć, tylu nie można mu powiedzieć.

Chwilę patrzyła tępo przez drzwi. Choć wciąż było bardzo wcześnie, dwie żaglówki halsowały po lśniacej wodzie.

Pomiędzy nią i łódkami Malcolm dalej bawił się z dzieckiem na trawie. Nie, to niesprawiedliwe zabrać córeczkę i zostawić Christiana. Sprzeciwiała się, ale została pokonana przez Cala, który nie bez racji zauważył, że o ile niemowlę pod opieką niani nie będzie wymagało wiele uwagi, o tyle dziesięcioletni chłopiec z pewnością tak.

Wzięła głęboki oddech.

- Słuchaj, kochanie, chcę, żebyś coś dla mnie zrobił... Nie odpowiedział. Patrzył na nią tylko dużymi, niebieskimi oczami.

Brnęła dalej, improwizując:

- Pamiętasz tę starą stertę drewna w garażu, której dziadek nie pozwolił Samowi wyrzucić? No więc chcę, żebyś wziął to drewno... - urwała dla większego efektu - i zbudował budę dla psa...

Widziała zmaganie na jego twarzy.

- Budę? - powiedział, odwracając wzrok. - Po co buda, jeśli nie mam psa?

- Możesz mieć psa. Porzucił zgryźliwy ton.

- Chcesz powiedzieć, że pozwolił mi mieć psa? Zadręczał ich prośbami o szczeniaka, od kiedy skończył siedem lat, ale Cal nie chciał się zgodzić na jego kupno. Maggie postanowiła teraz na to nie zważać.

- Och, mamó, mogę sam go wybrać?

- Tak, kochanie, możesz - odparła - ale nie mów jeszcze tatusiowi. Na razie będzie to nasza tajemnica. Dobrze?

- Wykonała gest, którego używali między sobą, kiedy mieli jakiś sekret - ułożyła literę „o” z palca wskazującego i kciuka na wysokości twarzy.

Christian przejechał palcami po włosach. Sterczący kosmyk, który opierał się wszystkim zabiegom grzebienia, szczotki i fryzjera, podniósł się na czubku jego głowy jeszcze bardziej niesfornie.

Maggie podeszła i przytuliła chłopca. Wciąż jeszcze niecałkowicie skapitulował, ale teraz pozwolił się uściskać.

- Nazwę szczeniaka Bluey - powiedział. Roześmiała się i przytuliła go mocniej.

- Lepiej zaczekaj, aż go dostaniesz. Może być żółty albo czarny czy nawet łaciaty. Nigdy nie wiadomo...

Odsunęła go od siebie i pogłaskała po niesfornych włosach.

- Pomożesz mi znieść torby? - spytała, popychając synka w kierunku domu.

Skinął głową i ruszył przed nią schodami w górę, przeskakując po dwa stopnie. Obserwując jego silne ciało o atletycznej budowie, które odziedziczył po ojcu, z trudem przełknęła ślinę. Nigdy więcej nie zostawię mojego dziecka, pomyślała stanowczo.

Gdy dotarli z powrotem do holu, zobaczyła, że wokół cadillaca zebrała się grupka osób. Malcolm przyniósł niemowlę i podawał je niani, która już siedziała na tylnym siedzeniu samochodu. Przy takim wzroście i wyprostowanej postawie, pomyślała Maggie z czułością, można by wziąć jej teścia za wybitnego aktora.

Usłyszał, że podchodzi, i odwrócił się.

- Dzień dobry, Maggie. Zrzuciła mu ręce na szyję.

- Będę za tobą tęsknić, tato.

Odwzajemnił uścisk.

- Mnie też będzie ciebie brakowało, Maggie. Więc dbaj

o siebie i wracaj do nas cała i zdrowa.

- Wrócę - obiecała.

Cal zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Malcolm wyglądał, jakby miał coś na końcu języka, ale zamiast tego zwrócił się do Christiana:

- Wszystko w porządku, Chris? Christian skinął głową.

- Chcesz landrynkę?

Malcolm pogrzebał w kieszeni, w której coś zaszeleściło,

1 podał mu jednego kwaśnego cukierka, a drugiego wsunął sobie do ust.

- Muszę pójść po twoją babcie.

Cal siedział na przednim siedzeniu samochodu, a Maggie i Christian stali obok siebie, patrząc, jak Malcolm wchodzi na schody wołając: „Delia, Delia! Już odjeżdżają!”

Maggie mocno objęła Christiana, a on nie protestował. Gdy nadszedł czas pożegnania, przytulili się do siebie bez słowa.

Maggie zaryzykowała ostatnie spojrzenie, gdy samochód wyjeżdżał z podjazdu. Malcolm i Cordelia mieli ręce uniesione w geście pożegnania. Syn Maggie stał między babcią i dziadkiem. Nawet z odległości pięćdziesięciu metrów jego matka dojrzała sterczący kosmyk włosów i małą rączkę przed twarzą z wesołym okrągłym „o” z palca wskazującego i kciuka.

- Pozwolą państwo, że zabiorę płaszcze - zaproponowała stewardesa, gdy pasażerowie weszli na pokład samolotu DC 3. Była drobna i ciemnooka, przy niej Maggie poczuła się jak wielka, koścista klacz. Cal, zauważyła kwaśno, nie zareagował na wdzięki dziewczyny tak jak dawniej. Chyba przestało go to brać, pomyślała. A może ja już tego nie dostrzegam!

Przynajmniej raz, stwierdziła, siadając na swoim miejscu, Cal miał rację, nalegając na wyczarowanie samolotu, żeby nie podróżować jednym z tych nowych rejsowych lotów BOAC lub Pan Arnu. Luksusowa kabina była wysłana

miękkim dywanem w kolorze oliwkowym; osiem foteli dla pasażerów, szerokich, grubo wytapicerowanych i obitych jasnozielonym pluszem, rozkładało się całkowicie do spania; z przodu kabiny pasażerskiej znajdował się salonik z dwiema otomanami i stolikiem do kawy, zawalonym gazetami i najnowszymi numerami pism „Photoplay”, „Look” i „Life”, przyczepionymi do blatu stolika specjalnymi mosiężnymi zaciskami.

- Czy mają państwo ochotę na drinka przed startem? -Odłożywszy płaszcze i pośpieszywszy z pomocą niani zajętej dzieckiem, stewardesa otworzyła w saloniku barek z mosiężnymi półkami, pełnymi butelek, karafek i kryształowych kieliszków. Maggie zdecydowała się na wermut i po raz pierwszy tego ranka spróbowała się odprężyć. Po nalaniu bourbona Calowi i sherry niani stewardesa przeszła z kabiny pasażerskiej do pilotów.

- Jak się czujesz? - Cal nachylił się ku żonie zaniepokojony. Pilnie wpatrywał się w twarz Maggie, usiłując coś z niej wyczytać.

- Czuję się świetnie, Cal - uśmiechnęła się.

- Cieszysz się na podróż?

- Ta-ak... Wyczuł wahanie.

- Ale co, Maggie?

- Nic, Cal.

Śmigła za oknem obróciły się raz i zaryczały, budząc się do życia, co odwróciło jego uwagę i, ku zadowoleniu Maggie, utrudniło dalszą intymną rozmowę. Umościła się z powrotem na siedzeniu. Samolot z rykiem potoczył się po pasie i powoli wzbił w powietrze. Maggie wychyliła się zza ramienia męża, by popatrzeć przez okno na uciekającą ziemię. Dostrzegła z góry, że w centrum miasta jest nadspodziewanie dużo drzew. W miarę jak się zbliżali do jeziora, parki stawały się większe, usiane małymi, turkusowymi oczkami basenów. Udało jej się wyłuskać wzrokiem łuk Sheridan Road w miejscu, gdzie droga okalała północne przedmieścia - Evanston, Wilmette, Winnetka, Glem dew, Highland Park, Lake Forest. Christian był tam, na dole, obok jeziora. Zaczęła się zastanawiać, jak się czuje i co ro-

bi, ale po chwili dała spokój domysłom. Musi być pozytywnie nastawiona do podróży. Wypiła kolejny łyk wermutu. Do czasu podania lunchu w kabinie, w godzinę po starcie, pasażerowie wypili po kilka drinków i zapanował swobodny nastrój. Maggie i Cal mało ze sobą rozmawiali, ale przynajmniej, pomyślała, wydawało się, że napięcie zniknęło. Kiedy skończyła jeść, zabrała dziecko niani i podczas gdy Cal metodycznie kartkował gazety, nakarmiła łyżeczką Susannę odżywką dla niemowląt, którą wzięli ze sobą. Dziecku podobało się, że leci. Dziewczynka raczkowała wzdłuż szerokich przejść między fotelami samolotu, stawała przy siedzeniach, bawiła się w „a kuku” ze stewardesą, Włoszką z pochodzenia, która łatwo nawiązywała kontakt z dziećmi.

Gdy Susanna skończyła jeść i została odebrana matce przez nianię, Maggie przespała się trochę. Obudziła się ze świadomością, że odgłos pracującego silnika zmienił się. Schodzili do lądowania w Bangorze. Spojrzała na Cala. Przypatrywał się jej.

Podczas gdy jego matka i ojciec odpoczywali na postoju w Bangorze w stanie Maine, Christian jechał z dziadkiem na stadion Wrigley Field. Dzisiaj miały się odbyć po kolei dwa mecze Cubsów z Cardinalsami. Christian wcale tak bardzo nie interesował się baseballlem, ale uwielbiał podniecenie, chaos pod stadionem przed rozpoczęciem meczu, dowcipkowanie rozweselonego tłumu ludzi, którzy siedzieli na upale w samych koszulkach lub z nagimi torsami, zniekształcony przez głośniki dźwięk elektrycznych organów, gdy wszyscy razem śpiewali „Chodźmy zagrać w piłkę”, małe burze piaskowe na bazach, gdy gracze zarywali się nogami w ziemi, gesty, jakie wymieniali między sobą członkowie drużyn, tarcie nosa, poprawianie czapek baseballowych, dotykanie sznurowadeł, pokrzykiwanie sprzedawców z tacami słodczy, hot dogi z mnóstwem dodatków, ociekające ketchupem i musztardą, przełożone cebulą i korniszonami, ciepłe napoje, z których uciekł gaz.

Cadillac torował sobie drogę wśród nieuważnych przechodniów i w korku trąbiących samochodów na Sheridan

i Irving Park. Pozostało im do przejechania tylko kilkaset metrów. Christian, podskakując niecierpliwie na tylnym siedzeniu, uznał, że może powierzyć dziadkowi swoją tajemnicę. Był pewien, że mama nie miałaby nic przeciwko temu.

- Dziadku, umiesz utrzymać tajemnicę? Malcolm skinął głową.

- Oczywiście, Chris!

- Zgadnij, co mama powiedziała, że mogę mieć, gdy wróci z Europy?

- Pomyślmy. - Malcolm udał, że się zastanawia. - Nowy rower?

Christian pokręcił głową.

- Wrotki?

- Nie!

- Wiem... Dziobaka! Christian zachichotał.

- Dziadku, mówię poważnie. To prawdziwa tajemnica!

- No, cóż, mój drogi... Surdut?

- Dziadku!

- Dobra, Chris, podda ją się!

Christian pochylił się do dziadka i wyszeptał Malcolmowi do ucha swój sekret.

- No, no! A twój tata wie o tym? - spytał Malcolm, wiedząc o sporze na temat szczeniaka.

- Pewnie że wie, dziadku! To nawet taty pomysł - zmyślał Christian. - Wiesz, on tak naprawdę chciał, żebym miał szczeniaka już wieki temu, ale mama myślała, że pies może pogryźć dzidziusia. - Christian rzadko nazywał Susanne po imieniu. - A kiedy tatuś ustalił dzisiaj z mamusią, że powinienem dostać szczeniaka, był za bardzo zajęty przygotowaniami do wyjazdu do Europy, żeby mi sam o tym powiedzieć i dlatego mama musiała to zrobić. Widzisz?

- Pokiwał głową dla podkreślenia swoich słów. - Widzisz, dziadku?

Malcolm widział. Wiele razy obserwował, jak Christian broni Cala, i dostrzegał zazdrość o siostrę. Na szczęście samochód zatrzymał się przed Wrigley Field, więc nie musiał odpowiadać. Zastukał w szybę, oddzielającą kierowcę od tylnych siedzeń.

- Jesteśmy na miejscu! Możesz nas tu wypuścić. - A gily wysiedli, dodał: - To wszystko na dzisiaj. Weźmiemy lak sówkę po meczu.

- Nazwę szczeniaka Bluey - powiedział Christian, gdy przeszli przez bramę stadionu.

- I on będzie mój. Jej nie będzie wolno go dotknąć.

Osiem tysięcy kilometrów stamtąd, na zachodnim wybrzeżu Irlandii, dwunastoletni Conor Ó Briain - o dwa lata starszy od Christiana - płonął ze wstydu.

W St Kevin's School nadeszła dla chłopców pora kolacji i uczniowie jedli w refektarzu gotowaną wołowinę, kapustę i ziemniaki. Siedzieli po dwudziestu przy sosnowych stołach bez obrusów i mieli zachowywać ciszę, ale w rzeczywistości była to kakofonia blaszanych brząków, gdy chłopcy łapczywie zgarniali tanimi sztuczkami jedzenie z talerzy. Na dworze skalisty krajobraz gór Connemara ciemniał w mżawce. W refektarzu paliło się światło, pięć gołych żarówek zwisało z poplamionego sufitu na zniszczonych starych przewodach. Żarówki pokrywała delikatna mgiełka pary, unoszącej się znad jedzenia na każdym talerzu i chłopięcych oddechów, widocznych w wilgotnym powietrzu. Unosił się silny zapach - mieszanina kapusty i wilgoci oraz słodkawy, nieprzyjemny odór niedokładnie umytych młodych ciał.

Chłopcy jedli pod uważnym okiem brata Patricka, olbrzymiego rudawego blondyna, który powoli przechadzał się między stołami z rękoma wielkimi jak łopaty, założonymi z tyłu. Skórzany pasek pod sutanną przecinał jego wystający brzuch na dwa półksiężyce. Brat Patrick, jak mówiono, w młodości trenował boks.

Conor był stypendystą, bo mieszkał na wysepce Inis Oir-thir w archipelagu Aran u wybrzeża Galway, gdzie nie prowadzono starszych klas szkoły podstawowej. Rząd płacił automatycznie za naukę na stałym lądzie wszystkich dzieci z wysp. Choć pozostali chłopcy w St Kevin's School dobrze wiedzieli, jak sprawy stoją, stypendyści nieraz stawali się obiektem kpin. Conor nie cierpiał tej sytuacji - dzisiaj j do skwierala mu bardziej niż zwykle.

Nie jadł z innymi, lecz klęczał na podwyższeniu na przodzie długiego pomieszczenia twarzą do kolegów. Był duży na swój wiek, niezgrabny - z wielkimi rękoma i stopami, włosy miał obcięte pod garnek: gdy patrzyło się z przodu, sięgały tylko do połowy uszu i czyniły jego pociągłą twarz jeszcze dłuższą. Jedyne niezwykle oczy, okolone gęstymi, dziewczęcymi rzęsami, przykuwały uwagę. Duże, niebieskie, głęboko osadzone, ale szeroko otwarte. Tęczówki wokół źrenic były jasne, lecz stopniowo ciemniały, by przejść w grafitową, prawie czarną obwódkę. Teraz gapił się szeroko otwartymi oczami całkiem bez wyrazu gdzieś ponad głowami chłopców. Większość - z poczucia szkolnej przyzwoitości lub przynajmniej biorąc pod uwagę, że jutro ich też może to spotkać - nie patrzyła w jego stronę. Ale kilku dręczycieli i złośliwców, czerpiących okrutną satysfakcję z nieszczęścia innych, przypatrywało mu się otwarcie i - gdy mieli pewność, że brat Patrick ich nie widzi - tręcali się łokciami w żebra i chichotali. Należał do nich brat Co-nora - dwa lata starszy Brendan, który siedział całkiem blisko podwyższenia. Brendan tręcał łokciem chłopaka obok, chcąc wkupić się tą gorliwością do paczki. Był szczuplejszy od młodszego brata, choć tego samego wzrostu. Usta miał stale otwarte z powodu nie wyciętego trzeciego migdałka, co nadawało mu wygląd tępaka. Bieg wydarzeń, który doprowadził do tego poniżenia, ruszył poprzedniego wieczora. Conor pił herbatę, gdy brat dyżurny przekazał mu list z domu, jak zwykle już otwarty i przeczytany. Wieści od matki przeraziły go. Jego małe siostrzyczka Molly chorowała na zapalenie płuc: przeziębienie, które złapała w lutym, deszczowym i zimnym, nie przeszło, a teraz miała wysoką gorączkę i znajdowała się w stanie krytycznym. Conor spojrzął na drugą stronę refektarza i dostrzegł, że Brendan też dostał list, który właśnie przeczytał, jakby nic strasznego nie zawierał. Może rzeczywiście tak było. Choć rodzina Conora nie należała do dużych na wyspie, dzieliła się jednak na części. Conor trzymał się matki i małej siostrzyczki, a Brendan od najwcześniejszych lat stał po stronie ojca, Micheala. W młodszym wieku bracia musieli stanowić dla siebie towarzystwo, ale z ulgą

wpadli w inne środowiska, gdy tylko Brendan wyjechał do szkoły, a teraz - z wyjątkiem wspólnych pobytów w domu na Inis Oirthir - mieli ze sobą niewiele wspólnego. O ile Conor był skłonny do zadumy, o tyle Brendan trzymał się zawsze na baczności. Conor zdawał sobie sprawę z zazdrości brata o względy matki. I szczerze musiał przyznać, że uczucia Brendana miały pewne podstawy.

Po przeczytaniu listu złożył go starannie i wsunął do kieszeni trzęsącymi się rękoma. Powiedział, że nie jest głodny, i przełożył chleb ze swojego talerza na talerz sąsiada - Sea-na Lyonsa, grubego chłopca w okularach, który wprawił się w wykręcaniu od kłopotów za pomocą udawanych ataków astmy. Miejsca przy stole i w sypialni wyznaczali zakonnicy pierwszego dnia szkoły. Między Seanem i Conorem zawiązało się coś na kształt przyjaźni, w której większą rolę odgrywało sąsiedztwo niż sympatia.

Wieczorem, w czasie wolnym, gdy część klasy kłóciła się o dostęp do poobijanego stołu pingpongowego w sali rekreacyjnej, a inni słuchali irlandzkiej muzyki ludowej w radiu, Conor wykradł się do kaplicy, która była jedynym miejscem w szkole, dokąd - w czasie wolnym od zajęć - chłopcy mogli pójść, nie pytając się o pozwolenie. W kaplicy zastał jedynie brata Jarlatha, siwego i słabego, który od dawna nie uczył dzieci, lecz spędzając dni na klęczniku, otwierał tylne drzwi dostawcom i rzemieślnikom czy też karmił drób na małym placyku obok strumienia w granicach szkolnej posiadłości. Chłopcy go lubili.

W kaplicy było ciemno i bardzo cicho. Paliło się tylko światełko w sanktuarium i pojedyncza osłonięta lampa ścienna nad klęcznikiem Jarlatha. Błyszczały okucia grubej wielkanocnej świecy na ołtarzu. Grzejnik zatrzęsł się, coś zaszurgotało, pewnie mysz.

Conor utkwiał wzrok w skrawku tabernakulum, które zabłysnęło w szparze białej atłasowej zasłony, ale nie mógł się modlić. Wyjął z kieszeni list i przeczytał jeszcze raz, wyobrażając sobie matkę, jak pisała go w kuchni przy odkręconej do końca lampie naftowej. W jego wyobraźni matka płakała. List zaszeleścił i brat Jarlath rozejrzał się wokoło, usiłując dojrzeć coś znad szkieł okularów. Conor pochylił

głowę w geście modlitewnej medytacji, wpychając palce w kąciaki oczu, by powstrzymać łzy.

Gdy się uspokoił, wstał, przykleknął w przejściu między ławkami i wyszedł z kaplicy. Wrócił do sali rekreacyjnej tuż przed dzwonkiem, po czym wszyscy przeszli parami do pracowni. Ale choć wokół niego poskrzypywały stalówki i szeleściły kartki, Conor nie potrafił się skupić na twierdzeniach geometrycznych. Linie widział jak przez mgłę.

Później, leżąc w łóżku, nie mógł usnąć. Molly nie umrze. Nie może umrzeć. Bóg nie pozwoliłby na to. Rzucając wyzwanie Bogu, gwałtownie obrócił się na brzuch i sprężyny łóżka zajęczały głośno.

- Kto to? - zawołał brat Patrick ze swojego miejsca w kącie.

Serce Conora zamarło.

- To ja, proszę brata.

- Kto - ja? Kot? - Część chłopców stłumiła chichot wywołany sarkazmem zakonnika.

- Conor O Briain, proszę brata.

- Co ty wyprawiasz, Ó Briain?

- Nic, proszę brata.

- Ja ci pokażę nic! Wyszedłeś z łóżka?

- Nie, proszę brata.

- Dobra, przestań przeszkadzać innym i zaśnij, bo na długo popamiętasz!

Conor sporo czasu przeleżał bez ruchu, zanim wreszcie zapadł w sen.

Rano, gdy brat Patrick zadzwonił dzwonkiem dziesięć po siódmej, wyskoczył z łóżka - za spóźnienie na mszę karano. Zimne powietrze, które owiało mu nogi, wydawało się bardziej przejmujące niż zwykle. Przy oględzinach odkrył ku swemu przerażeniu, że ma mokrą piżamę i prześcieradło. Zmoczył się w łóżku. Nie mogło mu się to przytrafić w gorszy dzień. W soboty rano po śniadaniu sprawdzano sypialnie. W dni powszednie chłopcy musieli uporządkować i zaścielić łóżka przed mszą, ale w sobotę wietrzyli pościel. Conor ściągnął poplamione prześcieradło i położył kołdrę na wierzchu pościeli na krześle. Bał się, że wybuchnie płaczem jak bekka.

Na mszy, podczas gdy inni szurali nogami i pokasływali, bawili się bezmyślnie mszałami lub z głowami ułożonymi wygodnie na rękach drzemali, udając medytację, Conor modlił się jak nigdy wcześniej, wznosił rozpaczliwie desperackie, młodzieńcze błagania. Wygrażał niebiosom. Przeszywał wzrokiem plecy księdza w ornacie i ozdobne drzwiczki do tabernakulum, docierając do samego środka, jakby chciał zmusić Pana Boga, by przychylił się do jego prośb. Modlił się w dwóch intencjach, równie naglących.

O, Jezu, błagam, błagam, błagam, nie pozwól im tego odkryć.

Proszę cię, Jezu, obiecuję, że zostanę księdzem. Pomogę Brendanowi w nauce. Nigdy więcej nie będę pyskował ojcu...

I błagam cię, Jezu, pomóż mamie i Molly. Proszę, przywróć jej zdrowie. Proszę, Jezu, nie daj jej umrzeć.

Jezu, Święty Boże, Niepokalana Panienko, święty Ciara-nie, błagam, błagam, nie pozwólcie im odkryć.

Po komunii świętej zarzucił Jezusa szalonymi obietnicami. Nie miał pieniędzy na kupno świec czy ofiarę, ale przyrzekł, że do końca semestru codziennie będzie milczał do pory lunchu. Wolno było milczeć poza lekcjami, jeśli robiło się to w szczególnej intencji. Obiecał też, że w czasie wakacji będzie przyjmował komunię w kościele na wyspie dwa razy dziennie...

Podczas śniadania, nie chcąc zwracać na siebie uwagi, zjadł do ostatniej łyżki owsiankę z talerza, mimo uczucia mdłości i przesyty w żołądku. Modlił się przez całą drogę do sypialni.

Wszystko to jednak było daremne, wszystkie modlitwy i obietnice. Brat Patrick, mimo starań Conora, zauważył żółte, jeszcze wilgotne plamy.

- Co to jest? - Ujął z przesadnym obrzydzeniem prześcieradło czubkami grubych, poplamionych nikotyną palców. - Co to jest, Ó Briain? - Podniósł prześcieradło do słabego światła, które padało przez okno sypialni. Pozostali chłopcy przestali krzątać się wokół własnych łóżek na wpół zafascynowani, na wpół przerażeni. Conor, upokorzony, nie mógł wymówić słowa.

- Weź to. - Brat Patrick rzucił prześcieradło na Conora, chwycił chłopca za ucho i przeparadował z nim, zgiętym w pól, do łazienki. Stał nad Conorem, gdy ten trzymał za-żmione miejsca pod bieżącą wodą. Potem znów złapał go za ucho - tak mocno, że Conor zajęczał - i przeprowadził z powrotem do okna w sypialni. Ciekące prześcieradło zostawiło mokry ślad na lakierowanej podłodze.

- Ten chłopak sika do łóżka - oznajmił głośno brat Patrick, gdy dotarli do okna. - Musimy zrobić mężczyznę z tego niemowlaka, prawda, chłopcy? - Nie było odpowiedzi. -Prawda, chłopcy? - rzucił przez ramię do uczniów, którzy patrzyli na niego okrągłymi oczami.

- Tak, proszę brata - odpowiedzieli nierównym chórem, niektórzy tak przestraszeni, że ledwie ich było słyhać.

- Dobra, chłopaki - powiedział brat Patrick. Przesunął kwaterę okna do góry, wskazując Conorowi, że ma wywiesić prześcieradło, by wyszło na parapecie.

Conor wypchnął kapiący materiał przez otwór. Za szybko. Nie udało mu się przytrzymać prześcieradła za róg. Wiatr porwał płachtę, wydymając ją jak żagiel. Prześcieradło na kształt balona przeleciało nad trawnikiem przed szkołą, trzepocząc i obracając się, aż opadło około stu metrów dalej, na polu, natrafiwszy na kolczasty krzak.

Kark brata Patricka poczerwieniał z wściekłości.

- Zobacz, co teraz narobiłeś, ty głupi, beznadziejny kretynie! Głupi kretyn!

Zdzielił mocno Conora w sam środek głowy. Chłopiec instynktownie pochylił ją, zasłaniając się rękoma.

Rozwścieczyło to brata Patricka jeszcze bardziej. Nie odpinając skórzanego rzemienia, który zwiisał mu z pasa, jedną ręką schwycił Conora za grube włosy, a drugą bił go na oślep wolnym, ale krótkim końcem paska. Ponieważ nie mógł wziąć zamachu, więc nie wyrządził chłopcu dużej krzywdy, ale energia, z jaką to robił, i odgłosy lania były przerażające.

Jeden z chłopców zaczął pochlipywać. Brat Patrick obrócił się ku niemu.

- A z tobą co znowu, ty tchórze? Zamknij się albo poczęstuję cię tym samym! - Odwrócił się z powrotem do skulonego Conora, którego włosy wciąż trzymał w garści, i ude-

rzył go znowu. Potem puścił chłopca i wyprostował się, dysząc.

- Teraz idź po to prześcieradło i zawieś je na sznurze w sady. Zapłacisz mi za to przy kolacji.

Conor nie posłuchał od razu. Stał, trzymając się za głowę, w miejscu gdzie brat Patrick złapał go za włosy. Lewe ucho chłopca, wysmagane paskiem, płonęło purpurą.

Niezdecydowanie Conora wywołało nowy wybuch wściekłości brata Patricka.

- Słyszałeś, ty idioto, ty spasiony baranie? Zejdź mi z oczu!

Conor uciekł, ślizgając się w ciężkich butach po mokrej podłodze.

Na początku kolacji, gdy chłopcy stali, czekając na modlitwę przed jedzeniem, Conor nie zajął swojego miejsca, ale podszedł do brata Patricka na podwyższenie. Nie rozglądając się na boki, ukląkł, zanim mu kazano.

Kłęcząc już od dwudziestu minut i zaczęły go boleć kolana. Ale widział, że jego kara zbliża się ku końcowi. Chłopcy stawali w kolejce według starszeństwa przy stole obok drzwi, gdzie dwaj uczniowie wydzielali z metalowych, olbrzymich garów porcje wodnistej kompotu jabłkowego i rzadkiego kremu.

Po posiłku chłopcy wychodzili z refektarza w przyzwoitym dwuszeregu, który rozpadł się, gdy przeszli przez drzwi i runęli korytarzem po kamiennej posadzce do szatni; chowano tam buty w szeregach ponumerowanych szafek.

Soboty mieli zajęte tylko do połowy: ranki spędzali w klasach, a po obiedzie od wszystkich wymagano udziału w grach -w piłce nożnej, hokeju, koszykówce czy piłce ręcznej. Mimo to Conor nie śmiał się poruszyć aż do chwili formalnego zwolnienia.

Gdy wyszedł ostatni chłopiec, brat Patrick wrócił do pomieszczenia. Podwyższenie miało tylko sześćdziesiąt centymetrów wysokości i oczy zakonnika znalazły się na poziomie oczu Conora. Tym razem chłopiec nawet nie mrugnął. Przypatrywał się ustom brata Patricka, grubym wargom. Zauważył, że w kącikach zaschnięte są maleńkie, żółtawe okruchy tytoniu. Zakonnik palił Sweet Aftony.

Gdy Conor gapił się na niego bez ruchu, przynajmniej raz Patrick wydawał się zakłopotany.

- Zejdź stamtąd - burknął po kilku sekundach. - Idź do kuchni i weź sobie obiad. - Odwrócił się i ruszył dostojnie w kierunku drzwi. Pogasił wszystkie światła wyłącznikami na boazerii, nim, szeleszcząc sutanną, zniknął z pola widzenia Conora.

Chłopiec wstał i roztarł bolące kolana. Przeszedł zesztywniały przez salę, która echem odbijała jego kroki, do kuchni obok. Dwie miejscowe dziewczyny zmywały naczynia po obiedzie w tłustej wodzie. Obok suszarki przy jednym ze zlewów stał na stole talerz z wystygłymi ziemniakami, kapustą i podziabanymi skrawkami szarawego mięsa. Conor wziął talerz i przeniósł do pustego refektarza. Usiadł na swoim miejscu przy stole, ale gdy zaczął jeść nie-apetyczny obiad, nie mógł przełknąć więcej niż kilka kęsów, choć myślał, że jest głodny.

W Reykjavíku, podczas czwartego postoju, kiedy mieli za sobą ponad połowę drogi, Tucker Thompson poczuł się zaniepokojony. Nie potrafił powiedzieć dlaczego. Samolot zachowywał się idealnie podczas podróży i choć wiatr wzmógł się trochę w ciemnościach, niebo wciąż było bezchmurne. Jednakże jakiś szósty zmysł nakazywał Thompsonowi ostrożność. Wszyscy dobrzy lotnicy, nie, wszyscy lotnicy wierzyli swoim przeczuciom. Tucker znakomicie zdawał sobie sprawę z tego, że różnica między dobrym a złym kapitanem zależy nie tylko od doświadczenia, ale i od umiejętności oddzielania przeczuc od emocji.

Podczas gdy Cal drzemał w fotelu, a Maggie chodziła tam i z powrotem po spartańsko urządzonej poczekalni, uspokajając dziecko, rozdrażnione nagłym przebudzeniem, Tucker odsunął się trochę od samolotu na polu startowym i popatrzył krytycznie na olbrzymi srebrzysty kształt na tle gwiazd. Czy coś przeoczył? Poderwał głowę jak koń i wciągnął nosem zimne powietrze. Wyjął latarkę i przejrzał kadłub samolotu; sprawdzając nity na skrzydłach, podwozie i anteny radiowe. Przejechał uważnie strumieniem światła po wszystkich łopatkach śmigła, poruszając nimi. Szukał

drobnych pęknięć i rys, ale śmigła wyglądały na nie uszkodzone. Przystawił drabinę, wszedł na nią, poruszył sterem do tyłu i do przodu i przyjrzał się bacznie lotkom i klapom. Wszedł do kabiny i sprawdził zbiorniki paliwa. Żadnych przecieków. Żadnych dziwnych zapachów.

W sali odpraw pilotów zapoznał się z prognozą pogody na dalszą drogę. Tylko trochę się zmieniła w stosunku do tego, co im zapowiadano na ostatnim postoju na Grenlandii, wciąż jednak był niespokojny. Ponownie przejrzał telexy. Wszystko wydawało się w porządku. Więc co go dręczyło? Skupił się na dużej mapie. Antycyklon nadal trwał nieruchomo około tysiąca sześciuset kilometrów na południowy zachód od Irlandii. Tucker przejechał palcami wzdłuż linii zimnego frontu, który przesunął się nieznacznie, od kiedy widział go po raz pierwszy na lotnisku w Midway. W obecnym położeniu rozciągał się z północnego zachodu na południowy wschód, odrobinę na południe od wulkanicznej wyspy Jana Mayena o długości sześćdziesięciu kilometrów na Morzu Arktycznym, na południowy zachód aż do centralnej Norwegii.

- Jest pan całkowicie pewien szybkości tego antycyklonu? - spytał dyżurnego meteorologa. - Żadnego ryzyka napływu polarnego powietrza?

Dość rzadko, ale na tyle często, że było się o co martwić, nagły napór mroźnych wiatrów od koła polarnego uderzał od tyłu w zimny front, co znacznie przyspieszało jego przesuwanie się i - ponieważ front gnał przed sobą masy stosunkowo ciepłego i wilgotnego powietrza - wywoływało zawirowania wewnętrzne.

Meteorolog pokręcił głową.

- Na razie nie ma, jak się zdaje - odparł - choć, jak pan wie, nie możemy mieć stuprocentowej pewności... - Powstrzymał westchnienie. Ten kapitan przecież dobrze wie, że zawsze przychodzi mało pewnych informacji z okolic podbiegunowych. Czego więc facet jeszcze chce?

Tucker rozważał możliwości. Wiele problemów, którym musieli stawić czoło piloci przelatujący nad Atlantykiem, skąd nie mieli łączności z kontrolą lotów, wiązało się z oblodzeniem silnika, kadłuba lub śmigieł. Z powodu tego sta-

łego zagrożenia krawędzie natarcia skrzydeł i ogona samolotu DC 3 - najsłabsze części kadłuba - zabezpieczono gumowymi powłokami. Gdy pilot podejrzewał, że nastąpiło oblodzenie, sterowaną zegarowo pompą nadmuchiwał przez zawór wielkie masy powietrza do powłok. Po ich napęcznieniu warstwa lodu odpadała, nie powodując szkód. Podczas oględzin Tucker zwrócił na nie szczególną uwagę, ale nie znalazł uszkodzeń ani przebić.

Wiedział też, że urządzenie przeciwoblodzeniowe z gaźnikiem na alkohol działa doskonale, i uznał, że czepia się drobiazgów. Podziękował oficerowi dyżurnemu i wrócił do samolotu, od którego właśnie odłączono wąż po tankowaniu. Wszedł na pokład załogi, by po raz piąty tego dnia przeprowadzić procedury kontrolne przed wylotem. Wszyscy spali, tylko Conor Ó Briain czuwał, całkowicie ubrany pod piżamą. Zamierzał uciec. Nie miał w ogóle pieniędzy, a szkoła znajdowała się daleko od Galway i promu na Inis Oirthir. Ale w niedzielę pobudka była późno - o ósmej - i wyliczył, że jeśli uda mu się wymknąć bardzo wcześnie rano, tuż przed świtem, powinien dotrzeć do głównej drogi prowadzącej do Galway, i może ktoś jadący do mleczarni lub na poranną mszę podrzuci go do miasta, zanim zauważą jego nieobecność. Jak już dotrze do promu, na pewno spotka jakiegoś sąsiada z Inis Oirthir, który pożyczycy mu na bilet.

Zaplanował ucieczkę poprzedniego popołudnia, gdy klęczał za karę na podwyższeniu, a potem poczynił podstawowe przygotowania. W czasie przeznaczonym na gry na boisku nie zauważony ukrył buty pod krzakiem przy głównej bramie. Podczas kolacji zaś pod pretekstem pójścia do ubikacji udało mu się wynieść ukradkiem z refektarza sześć grubych kromek chleba, schowanych za bluzą. Z sercem w gardle pognął do sypialni - gdzie nie wolno było przebywać za dnia - i ukrył chleb w szafce nocnej. Wrócił do refektarza tuż przed dzwonkiem na modlitwę po posiłku.

Chleb leżał teraz w nogach, owinięty w dodatkowy podkoszulek, pod skrajem materaca. Chłopiec leżał z podkulonymi nogami, żeby nie gnieść za bardzo kromek.

Wciągnął do spisku Seana Lyonsa. Waga powierzonego zadania i śmiały pomysł zaokrągliły koledze oczy ze zdumienia. Sean miał dostać jednego ze swych ataków astmy po mszy, tuż przed śniadaniem. Zgodnie z planem brat dyżurny powinien się nim zająć i zaprowadzić go do izby chorych. W zamieszanu nieobecność Conora w refektarzu na śniadaniu mogła pozostać nie zauważona. A jeśli starostowie dostrzegą, że go nie ma, prawdopodobnie uznają, że poszedł z przyjacielem do izby chorych.

Wyciągnął szyję, by dojrzeć duży zegar nad oknem po drugiej stronie sypialni. Musiała dochodzić trzecia rano. Szyba na cyferblacie zegara odbijała niebieską poświatę lampki wotywniej przed posągami Matki Boskiej na parapiecie okiennym, ale Conor nie mógł dostrzec wskazówek. Strasznie się bał, że zaśnie, więc wolniutko i spokojnie wymacał przy łóżku kapeć i umieścił go ostrożnie pod plecami na wysokości swojego krzyża. Jeśliby nawet zapadł w drzemkę, powinien obudzić się z niewygod.

Na pokładzie załogi samolotu DC 3 pilot i drugi oficer pili kawę. Im dalej zanurzali się w bezksiężycową noc, tym większy spokój ogarniał ich w przyćmionej kabinie, szczególnie spokój, jak w łonie matki. Przynęty jarzyły się przed nimi, czułe wskazówki poruszały się lekko, półkole sztucznego horyzontu trwało nieruchome. Wydawało się, że płyną w granatowych ciemnościach, zawieszeni między pułapem gwiazd i świecąca podłoga z chmur, które rozciągały się pod nimi niby falisty dywan z najpuszystszej wełny. Poddając się nastrojowi, ściszyli głosy.

Gdy od Reykjavíku dzieliło ich około trzech i pół godziny lotu, Tucker przekazał stery młodszemu koledze, żeby się zdrzemnął. Samolot leciał równo jak po sznurku i dzięki pomyślnemu tylnemu wiatrowi byli do przodu z czasem. Zanim zamknął powieki, rzucił okiem na log. Jeśli taki stan się utrzyma, wylądują w Shannon za niecałe dwie godziny.

W kabinie pasażerskiej niania twardo spała, a Cal i Maggie dalej rozmawiali spokojnie nad głową śpiącej Su-sanny, której leżaczek Maggie umieściła na podłodze przed

nimi. Każde z nich zdrzemnęło się trochę, ale teraz nie spali. Ukołysani stałym, równomiernym warkotem silników za oknami, wyzbyli się napięcia między sobą, co rzadko im się zdarzało. Rozmawiali o podróży i o tym, co z niej wyniknie.

- Maggie - powiedział Cal - mogę cię jedynie prosić, żebyś zaufała mi jeszcze jeden, ostatni raz. Daj nam szansę, proszę, dla dobra nas wszystkich. Obiecuję ci, że nie będziesz żałować.

- Wcale bym nie pojechała, gdybym nie sądziła, że warto jeszcze raz spróbować. - Maggie, wyciszona i senna, nie czuła żalu ani presji. Naprawdę zamierzała zapomnieć o przeszłości i podjąć jeszcze jeden wysiłek. Nie kochali się z Calem ani nawet nie spali w tym samym łóżku już prawie od piętnastu miesięcy. Rozmyślała, jak to jest kochać się w Londynie, Paryżu i Rzymie, jakby to nie o nią chodziło.

- Obiecuję ci, że nie pożałujesz - powtórzył Cal i Maggie pozwoliła mu wziąć się za rękę.

Susanna poruszyła się przez sen, zapłakała i obudziła się. Maggie spojrzała za siebie i, zobaczywszy, że niania wciąż mocno śpi, postanowiła nie budzić dziewczyny. Schyliła się, wzięła dziecko i pogrzebała w torbie w poszukiwaniu butelki z mlekiem dla niemowląt. Susanna, z zaróżowioną twarzą i szeroko otwartymi w przyćmionym świetle oczami, schowała główkę w ramionach matki, posapując.

Maggie pokołysała córeczkę i podała jej mleko. Susanna chwyciła butelkę obiema rączkami i zacisnęła usta wokół smoczka, ssąc z zadowoleniem. Po chwili jedna rączka powędrowała do twarzy Maggie i tam pozostała do końca ssania.

Samolot zatrzęsł się nieco.

W kabinie pilotów Tucker drgnął obudzony, natychmiast czujny. Ruch samolotu nie zmienił się wyraźnie, ale Tucker poczuł raczej, niż usłyszał, westchnienie współtowarzysza. Wyjrzał przez okno do przodu i zobaczył to, co wcześniej dostrzegł drugi pilot. W odległości jakichś czterech kilometrów przed nimi rozpościerała się od lewej do prawej, na całym horyzoncie, złowieszcza ściana chmur, wznosząc się niby drapacze poza zasięg wzroku i zasłania--

jąc wszystkie gwiazdy. Tucker wyobraził sobie jej czoło rozciągnięte jak kowadło w tej nawałnicy.

- Cholera! - rzucił. To było coś wielkiego, wiedział o tym. Kumulonimbusy ciągnęły się nieraz setki kilometrów warstwą o grubości pięćdziesięciu. Zdawał sobie też sprawę, że w środku tego szybko zbliżającego się wielkoluda czekają ich olbrzymie układy burzowe, marznący deszcz, grad, lód i Bóg jeden wie, co jeszcze.

Tucker nie powątpiewał w swoje doświadczenie i wytrzymałość samolotu w warunkach sztormowych, ale miał pasażerów, o których musiał się troszczyć. Nakazał drugiemu oficerowi wyznaczyć nowy okrężny kurs, który zbaczałby na południowy-południowy zachód, potem prowadził planowo na wschód, a po ominięciu niebezpiecznej strefy skręcałby na północny-północny wschód. Tucker przejął stery i, obniżając nos maszyny, zmienił nieco kierunek lotu. Ich przewidywany czas przybycia opóźni się, ale nic nie mógł na to poradzić. Miał dostateczną ilość paliwa. Sprawdził wskaźniki. Jeden zbiornik był prawie pusty. Przełączył na pełny, szybko przycisnął interkom i poprosił pasażerów

0 zapięcie pasów.

Dźwięk interkomu zburzył panujący w kabinie spokój. Susanna upuściła buteleczkę i wybuchnęła płaczem. Stewardesa przeszła między rzędami i wzięła ją na ręce, podczas gdy pasażerowie mocowali się z podnoszeniem foteli i zapięciem pasów. Dziecko wykręcało się i wyciągało rączki do matki, ale zanim Maggie je wzięła, wpadli w burzę i wstrząsy uniemożliwiły podanie dziewczynki.

Z przodu samolotu Tucker przestawił swój umysł na wyższe obroty.

- Ściągnij pasy - warknął do młodszego oficera - i opuść jak najniżej fotel.

- Dlaczego?

- Zobaczysz.

Drugi pilot usłuchał i obniżył fotel niemal do podłogi.

Tucker przekręcił światło w kabinie na najwyższą moc, by przeciwdziałać oślepieniu błyskawicami. Potem, przelatając oczami po wskaźnikach, upewnił się, że system przeciwoślepieniowy jest włączony, i zsynchronizował wskaź-

nik kursu z kompasem magnetycznym. Manewr okrążenia ściany chmur nie udał się. Front przechodził przez nich. Żadnego wyboru. Za późno. Teraz nie można było zrobić, tylko przez to przelecieć.

Niemal odruchowo włączył reflektory do lądowania i natychmiast tego pożałował. Dwa snopy niczym dzidy przecięły ciemności jak w widowisku „światło i dźwięk”, pojawiły się wirujące żółte słupy z mgły, rozjaśnione od środka lśniącym strumieniem brudnego światła. Wyłączył przycisk.

Pioruny widziane i słyszane z tak bliska wywołują wrażenie, jakby wybuchały wprost w głowie człowieka. Odczuwa się nagły wstrząs bez tłumiącego odgłosy echa.

Drugi pilot wkrótce domyślił się, dlaczego kazano mu opuścić fotel poniżej poziomu, na którym było coś widać przez szybę ochronną. W tej pozycji miało się iluzję jakiegoś bezpieczeństwa. Nawet gdy wskaźniki dziko podskakiwały, jeśli nie odrywał od nich wzroku i nie patrzył, co dzieje się na zewnątrz, sytuacja wydawała się na pozór normalna.

Ale wtedy spojrzął z przerażeniem na wysokościomierz. Kapitan, z rękoma przyklejonymi do drążka, pchał go naprzód z całej siły, usiłując utrzymać nos samolotu skierowany do dołu, a mimo to wysokościomierz pokazywał, że maszyna wznosi się jak korek na gejzerze. Gdy osiągnęła szczyt prądu, który podrzucał ją do góry, zaczęła spadać w dół. W odwrotną stronę też poleciecieli pionowo. Kapitan walczył, by utrzymać nos samolotu w górze, ale znowu runęli w dół niby w przepaść wodospadu.

Drugi pilot naciskał własne stery, wspierając wysiłki kapitana. Naśladował ruchy Tuckera, który starał się utrzymać linię sztucznego horyzontu w poziomie, pozwalając, by burza dyktowała wysokość lotu. W pewnej chwili, gdy samolot znów zaczął opadać, wywracając wszystkim żołądki, drugi oficer omal nie wpadł w panikę. Nacisnął nogą ster kierunku, powodując gwałtowny skręt.

- Zabierz tę nogę! - ryknął Thompson. - Chcesz, żeby nas rozerwało? ,

- Przepraszam! - odkrzyknął, zbyt późno przypominając sobie, co mówiły na ten temat podręczniki. Więcej samolo-

tów rozpadało się w takich sytuacjach z powodu paniki pilota lub zbyt dużych skrętów - co nadmiernie obciążało kadłub - niż z jakichkolwiek innych przyczyn. Drugi pilot zorientował się, że Tucker usiłuje kierować samolotem drobnymi ruchami, jak najdelikatniej.

Pot lał się kapitanowi po twarzy, spływając do oczu. Z rękami przyklejonymi do sterów próbował strząsnąć krople, mrugając oczami.

- Zajmij się radiem. Zobacz, czy jest tam ktoś na zewnątrz! - wykrzyczał.

Drugi pilot skinął głową i, trzymając prawą rękę nieruchomo, lewą obsługiwał radio o wysokiej częstotliwości z zasięgiem 1600 kilometrów. Wzywał samoloty i statki w tym rejonie. Nadaremnie. W słuchawkach słyszał tylko ogłuszający potok zakłóceń i trzasków. Wytrwał tak około pięciu minut.

- Nic, panie kapitanie! - przekrzyczał hałas.

Tucker skinął głową. I tak mieli małą szansę. Musieli radzić sobie sami.

W kabinie pasażerskiej panował chaos. Susanna wciąż krzyczała. Maggie próbowała wstać z miejsca, by odebrać ją od stewardesy, ale gdy odpięła pasy, samolot zatrzęsł się gwałtownie i poleciała w bok, prosto na przeciwległą ścianę. Uderzyła się mocno w ramię.

Dziecko, widząc matkę toczącą się po podłodze, zaczęło wrzeszczeć z podwójną siłą.

Maggie dotarła z trudem do swego miejsca, niezdarnie trzymając się za ramię wygięte pod dziwnym kątem. Miała nadzieję, że mocno go sobie nie nadwreżyła. Przestraszyła się, ale zawsze umiała odsunąć wybuch paniki do czasu, gdy kryzys mijał.

Jedną ręką zapięła z powrotem pasy fotela. Miała nadzieję, że nadal będzie w stanie pomóc innym.

Na lotnisku w Shannon operator z nocnej zmiany znużony zwisał z krzesła przed migocącym ekranem radaru, pocierając oczy. Licho wie który raz tej nocy spojrział na zegarek. Zbliżała się północ i koniec pracy, dzięki Bogu. To

była niezwykle nudna zmiana. Właśnie zapisał w dzienniku samolot, który pojawił mu się na ekranie w odległości -jak obliczył - około trzystu kilometrów. Zajrzał do teczek z planowymi lotami. Jak wszystkie samoloty, które zapisał dziś wieczór, i ten pojawił się przed czasem.

Uzpełnił raporty i przygotował do przekazania mężczyźnie, który przejmował nocny dyżur. Ale gdy spojrzął ponownie, świecący punkt, który powinien przesunąć się do środka, cofnął się na skraj ekranu i wyglądało na to, że zamiast poruszać się w kierunku południowo-wschodnim, wziął teraz kurs południowo-zachodni. Jeśli dalej będą lecieć tą trasą, pomyślał, straci ich z ekranu, który ma zasięg tylko trzystu dwudziestu kilometrów. Wziął jeszcze raz rozkład lotów. Zepchnęło ich z kursu - albo zmienili kierunek. Biedacy, pomyślał. Pewnie złapała ich burza, która przeszła tędy jakieś czterdzieści minut temu...

Zanotował zmieniony kurs i - jak się spodziewał - gdy podniósł wzrok na migoczący zielony ekran, świecący punkt już zniknął. To też zapisał, a potem, ziewając, spojrzął na drzwi. Ten facet, pomyślał z gniewem, spóźniłby się na własny pogrzeb.

Świecący punkt nie pojawił się do chwili, gdy zmiennik, chudy facet o bladej twarzy, pchnął drzwi. Młodszy kolega zdawał mu raport, gdy ten zdejmował wełniane palto i rowerowe ochraniacze z kostek. Kiedy trzasnęły drzwi za odchodzącym mężczyzną, położył ochraniacze na odrapanym blacie drewnianej szafki obok zawiniętych w papier kanapek i mleka w butelce po lemoniadzie. Ze wzrokiem utkwionym w ekranie przysunął mały piecyk elektryczny tak blisko biurka, jak na to pozwalał przewód, by ogrzać sobie nogi. Potem usiadł z raportami przed sobą. Dalej żadnego śladu po tej dakocie...

Dziecko wciąż krzyczało. Wrzaski osiągnęły szczyt, gdy mimo żelaznego chwytu stewardesy uderzyło główką o ramę okienną obok fotela. Reszta pasażerów radziła sobie nieźle do chwili, kiedy niania, która miała zamknięte oczy, rzuciła okiem przez okno. Z przerażeniem zobaczyła w ciemnościach poszarpany niebieski płomień, tańczący

wokół lewego silnika niczym niesamowite słońce. Otworzyła usta i też zaczęła krzyczeć, czym jeszcze bardziej wystraszyła dziecko.

Samolotem rzucało tak gwałtownie, że stewardesa była bezsilna i siedziała unieruchomiona na swoim miejscu. Na próżno usiłowała przebić głosem hałas, wykrzykując, że zjawisko jest nieszkodliwe.

- To tylko ognie świętego Elma! - wydierała się bez przerwy, ale nadaremnie.

Najgorsze miało jeszcze nadejść. Gdy wystrzelili w górę podczas jednego z zawrotnych podskoków, poczuli, jakby samolot uderzył w gruby mur, który rozpadł się, obrzucając ich odłamkami, co zabrzmiało niczym ogień z karabinu maszynowego. Wbili się w ścianę gradu.

Cała ogarnęły mdłości. Wymiociny rozpryskiwały się wokół niego. Maggie, ściskając poręcz fotela, wciąż powtarzała sobie, że nikomu nie może ulżyć, więc powinna skupić się na tym, by samej nie zachorować. Wołała nie pogarszać ogólnej sytuacji i chciała być w dobrej formie, by pomóc innym w gorszym stanie, gdy maszyna wydostanie się z opresji.

W tak złych warunkach Tucker nie zauważył, że samolot nie reaguje na jego ruchy jak należy. Zaalarmowało go dopiero, gdy uprzytomnił sobie, że drugi raz w ciągu pięciu minut musiał otworzyć przepustnicę, by utrzymać obroty silnika. Samolot zużywał o wiele za dużo paliwa. Przejrzał w myśli listę możliwych przyczyn. Ster? Wydawał się w porządku. Gaźnik? Nie, obroty silnika były równe i miarowe - o ile dawało się to stwierdzić w takich warunkach. Oblodzenie? Urządzenia przeciwooblodzeniowe działały. Zaryzykował otwarcie na chwilę bocznej szyby, żeby obejrzeć skrzydło. Deszcz i grad wdarły się do kabiny. Oślepiiony i przemoczony, wytrzymał kilka sekund i udało mu się dojrzeć, że kształt kadłuba jest prawidłowy, a skrzydło gładkie. Tak to przynajmniej wyglądało. Żadnych zdradliwych wybrzuszeń na krawędziach. Skreślił w myśli z listy problemów obręcz matowego lodu, która szybko rośnie w nie-foremne wybrzuszenie i niweczy linię aerodynamiczną.

Następna możliwość to marznący deszcz. Badając sytuację tak krótko i w takich warunkach, nie mógł uzyskać pewności, czy ta niewidoczna, zdradliwa ciecz spływa i zamarza, i znów spływa, niczym lodowiec, po delikatnych powierzchniach, czyniąc bezużytecznymi urządzenia przeciwooblodzeniowe, które na próżno wzdymały się i flaczały w środku skorupy.

Tucker spojrział znów na wskaźniki. Nic mu to nie pomogło. Obserwował na szybkościomierzu zatrważającą utratę prędkości i musiał wciąż otwierać przepustnicę. Miał przeczucie, że naprawdę chodzi o marznący deszcz.

Jakoś musieli zejść poniżej wysokości, na której on występował. Tucker chwycił drążek z całej siły i zacisnął zęby... Rozległ się straszliwy trzask od strony kuchni, a po nim nastąpił drugi, który zagłuszył na jakiś czas brzęk i łoskot dobywający się z dobrze zaopatrzonego barku. Otwarte drzwi od łazienki i magazynku, kolebiąc się, trzaskały o siebie. Nawet ściany kabiny trzeszczały, jakby miały pęknąć. Maggie wciąż ścisnęła poręczę siedzenia, żałując, że nie siedzi dostatecznie blisko niani, żeby ją zdzielić. Dziewczyna nie przestawała wrzeszczeć, wydając z siebie jeden ciągły ton. Przerywała tylko dla nabrania oddechu. Maggie wymieniła spojrzenie ze stewardesą, której udało się przywołać na twarz profesjonalny uśmiech, choć widać było, że niewiele może zrobić zapięta w pasy, tak jak pasażerka, przytrzymując wyrywające się, rozhisteryzowane dziecko. Maggie wyciągnęła się, żeby dotknąć ubrudzonego wymiocinami Cala, który siedział osłupiały. Był sztywny ze strachu, twarz mu poszarzała, a zlepione potem włosy przylgnęły do głowy. Nie zareagował na jej dotknięcie. Wstrząsy odrzuciły ją znów na bok i musiała zapanować nad własną równowagą.

Tuckerowi przy pomocy drugiego pilota udało się zejść na średni pułap x)koło tysiąca dwustu metrów. Teraz już niedługo, pomyślał z ulgą; z zachowania samolotu wywnioskował, że maszyna traci ciężar. Albo urządzenie przeciw-

oblodzeniowe znów zaczęło działać, albo lód rozpływał się pod potokami deszczu, który zalewał szyby i był tak silny, że przeciekło trochę wody przez uszczelki bocznych okien. Tucker miał wrażenie, że już nigdy nie oderwie palców od drążka, usiłując zapanować nad samolotem, który dalej kręcił się wokół własnej osi jak papierowy kubek wrzucony do białej wody.

Skończyło się tak samo nagle, jak się zaczęło, i po kilku małych wstrząsach znaleźli się w strefie stosunkowo czystego powietrza. Tucker spojrział na towarzysza. Młody mężczyzna był blady, ale zniósł to dobrze.

- W porządku, chłopcze? - spytał kapitan.

- Tak, w porządku. Mam nadzieję, że ci z tyłu też mają się dobrze. Od tego wszystkiego naprawdę mogło zakreć się w głowie.

- Przejmiesz stery, dobra? Pójdę zobaczyć, jak sprawy stoją. - Zanim wstał, musiał wolną ręką oderwać po kolei palce od drążka i z trudem odpiął pasy.

- Chce pan, żebym ustalił nasze położenie? - odezwał się drugi pilot, który bez oporów pytał, czy kapitan potrzebuje pomocy.

- Tak - odparł Tucker, który ku swemu zawstydzeniu poczuł, że ma miękkie kolana.

Dyżurny na lotnisku w Shannon jeszcze nie miał poważnych obaw. Zgodnie z rozkładem lotów DC 3 dopiero teraz powinien znaleźć się w zasięgu radaru. Uznał, że teoria jego poprzednika była prawdopodobnie słuszna - zmienili kurs, żeby ominąć burzę. W takim przypadku powinni pojawić się na ekranie za pięć minut. Choć jego zmiana dopiero się zaczęła, jak co noc o tej porze poczuł znużenie i wyjął kanapkę z pomidorami z zatłuszczonej brązowej torby, którą przyniósł ze sobą. Przymknął sobie, że zje tylko jedną. Żując miękką kanapkę, rozmoczoną sokiem pomidorowym, śledził przelot dwóch amerykańskich samolotów wojskowych i wyczekiwał na DC 3. Potem sięgnął po drugą kanapkę.

Tucker Thompson uspokajał pasażerów najlepiej, jak potrafił. Angielka była naprawdę w złym stanie. Przestała

krzyżeć, ale owinęła się po uszy kocem na swoim siedzeniu. Łzy płynęły jej po pobladłej twarzy i wstrząsały nią niepohamowane dreszcze.

Tucker widząc, że mężczyzna jeszcze nie oprzytomniał, zostawił go pod opieką stewardesy. Obejrzał się na matkę, która zniosła wszystko całkiem nieźle. Teraz zajmowała się uspokajaniem czkającego dziecka. Zwracając się do niej, kapitan zapewnił wszystkich, że nie powinny pojawić się żadne dalsze problemy, choć oni przybędą do Shannon później, bo nie mają korzystnego wiatru w ogon, lecz dość mocny wiatr od czoła, który wystąpił po burzach.

Gdy kapitan wrócił do kabiny pilotów, pobladły Cal, który - jak się wydawało - nie słyszał ani jednego słowa mężczyzny, poprosił stewardesę, czyszczącą go wodą sodową i chusteczką, o trochę brandy.

Maggie kołysała Susannę, która uspokoiła się jak gdyby nigdy nic, choć ukryła twarz w szyi matki, kiedy stewardesa podeszła z brandy dla Cala i niani. Maggie też przyjęła drinka. Zręcznie manewrując kieliszkiem, mruczała cichutko do uszka Susanny. Wkrótce dziecko ułożyło główkę na ramieniu matki i ponownie zasnęło. DC 3 leciał dalej, jakby nic się nie wydarzyło.

A jednak coś się stało.

W kabinie pilotów Tucker, nie wierząc własnym oczom, sprawdził dwukrotnie wskaźniki paliwa. Był tak zajęty walką z burzą, że nie zdawał sobie sprawy z ciężaru oblodzenia. Samolot, unosząc dodatkowo ponad półtorej tony, pożerał paliwo.

- Czy ustaliłeś, gdzie jesteśmy? - odezwał się burkliwie.

- Już prawie - odparł drugi pilot, który teraz, gdy niebo było znowu czyste, mógł użyć żyroskopowego wskaźnika kierunku, wycelowanego na Syriusza.

Wiadomości nie były dobre. Znajdowali się sto trzydzieści kilometrów na południe i sto dwanaście kilometrów na zachód od planowego kursu.

Tucker sprawdził wskaźniki paliwa jeszcze raz i zaczął liczyć. Z całkowicie otwartymi przepustnicami dakota może lecieć przy wietrze od czoła z prędkością tylko dwustu

czterdziestu kilometrów. Nawet przy najbardziej optymistycznych przewidywaniach nie mają dość paliwa, by do-
trzeć do Shannon.

Pomyślał szybko. Nie miał ładunku, niczego na pokładzie, co mógłby zrzucić, by odciążyć samolot, poza - jak pa-
miętał - bagażem pasażerów, który ważył pół tony. To musi zniknąć. Powiedział drugiemu pilotowi, żeby zszedł
powoli na wysokość sześciuset metrów, i poszedł znów do pasażerów.

Wygląd kabiny wrócił do normy, gdy stewardesa posprzątała. Ale dwa kieliszki stukły się i setki kryształowych
odłamków zgrzytało pod podszewkami wysokich butów Tuckera, który wszedł do pomieszczenia. Usiadł na jednym z
miejsz naprzeciwko małżeństwa i instynktownie postanowił zwracać się do Maggie. Nie spuszczając z niej oczu, wy-
jaśnił sytuację tak spokojnie i optymistycznie, jak tylko potrafił.

Mąż zaczął protestować.

- Nie zezwalam na to! W tym bagażu są ubrania i sprzęt warte wiele tysięcy dolarów...

Tucker nie zwracał na niego uwagi, wpatrzony w kobietę. Nie unikała jego wzroku.

- Jest tak źle? - spytała wreszcie.

Tucker pomyślał prędko. Naprawdę nie było sensu kręcić.

- Ujmijmy to w ten sposób, pani Smith - powiedział. - Jeśli znacznie odciążymy samolot, mamy szansę. Jeśli nie,
zabraknie nam paliwa. To proste.

Szare oczy drgnęły, ale kobieta nie poruszyła się.

- Wciąż robimy kalkulacje - kontynuował - i może być pani pewna, że nie jesteśmy sami w tej części Atlantyku. W
pobliżu pływają statki i już wezwaliśmy shackletony z RAF-u, żeby nas eskortowały. Wszystko będzie dobrze...

Cał wtrącił się znowu:

- To absurd... - zaczął. Tucker przerwał mu.

- Nie chcę państwa straszyć - powiedział, wciąż zwracając się do Maggie - ale każda sekunda lotu z dodatkowym
ciężarem oznacza spalanie dodatkowego paliwa. Państwa

bagaż można odtworzyć, jestem pewien... - Zaakcentował słowo „bagaż” i czekał, żeby dotarła do nich aluzja.

Kobieta nawet nie mrugnęła okiem, zauważył z uznaniem.

- Mogę wyjąć kilka rzeczy ze skrzyni? - spytała wreszcie. Tylko lekkie drżenie głosu zdradzało jej przerażenie.

- Obawiam się, że nie ma na to czasu - odparł Tucker, po czym wstał i wrócił do kabiny pilotów. Przejął stery i wysłał drugiego oficera, by wykonał zadanie.

Tucker widział po wskaźnikach, co się dzieje. Za każdym zrzutem bagażu samolot lekko podskakiwał. A za każdym podskokiem wskazówka szybkościomierza podnosiła się o kilka kilometrów na godzinę. Postanowił utrzymywać samolot nisko, na wysokości sześciuset metrów, bo na tym pułapie wiatry nie powinny być tak silne i mieli większe szanse na zauważenie statku lub trawlera. Gdy drugi pilot wrócił, Tucker kazał mu wyznaczyć najkrótszą trasę do Shannon i nawiązać łączność na wysokich częstotliwościach.

Ale jakkolwiek obliczyli, wyniki wciąż były takie same. Irlandia znajdowała się w odległości niecałych dwóch godzin lotu. A według najkorzystniejszych szacunków, paliwa mieli na godzinę i czterdzieści pięć minut. Drugi oficer zaczął nastawiać radio.

Najważniejszym zadaniem pilota w krytycznej sytuacji jest jak najszybsze działanie. Dopiero gdy zrobi wszystko, co możliwe, by zabezpieczyć samolot i ładunek, wzywa pomocy. W takim przypadku nadaje przez radio PACER

-swoje położenie, pułap, panujące warunki, przewidywany następny kontakt i prośbę o wszystko, czego potrzebuje. Młodszy kolega Tuckera po wielekroć wysyłał te dane -ale odpowiedź nie nadchodziła.

Nareszcie! Po piętnastu minutach dyżurny w Shannon wyłowił świetlny punkcik z boku ekranu. Już zdążył się zaniepokoić o los DC 3, ale samolot pojawił się o trzysta kilometrów stąd.

Sprawdził w dzienniku. Pora, o której wystartowali z Reykjavíku, wskazywała, że powinni wylądować w Shannon w ciągu najbliższej pół godziny, ale przy obecnej pręd-

kości nie dotrą tu przez co najmniej siedemdziesiąt minut. Wypił łyk ciemnej, mocnej herbaty i zastanowił się, czy nie należałoby sprawdzić paru rzeczy.

„Lepiej dmuchać na zimne” - taką miał dewizę. Podniósł słuchawkę, zadzwonił do ośrodka ratownictwa powietrzno-wodnego w Shannon i poprosił oficera dyżurnego.

- Cześć, Seamus - powiedział, gdy oficer podszedł do telefonu. - Słuchaj, może nie ma się czym martwić, ale miałeś jakieś wiadomości o DC 3? Spóźnia się - z powodu burzy, tak sędzę. Zastanawiałem się, czy ktoś na coś nie natrafił. Przez chwilę słuchał odpowiedzi, a potem skinął głową.

- No cóż, jego wytrzymałość... Sześć osób na pokładzie... - Ponownie kiwnął głową. - W porządku. Dobra, będę cię informował.

Odłożył słuchawkę, wyjął z brązowej torby kawałek placka z owocami i zaczął jeść zamyślony, spoglądając na ekran przed sobą.

Drugi pilot wciąż wysyłał sygnał przez radio, zmieniając częstotliwości. W końcu nadeszła odpowiedź z ośrodka ratownictwa powietrzno-wodnego w Shannon, co zakrawało na cud. Podał szybko swoje położenie, pułap, kurs i szacunkowy czas lotu na resztkę paliwa. Czterdzieści pięć minut, najwyżej pięćdziesiąt.

- Roger - odezwał się niewyraźny głos w słuchawkach. - Mamy cię na radarze w Shannon. Nie martw się. Utrzymuj łączność. Skontaktujemy się z RAF-em, żeby was znaleźli i eskortowali.

Tucker przestawił silniki na niskie obroty - według inżynierów zmniejszyła się w ten sposób zużycie paliwa, aczkolwiek on miał co do tego wątpliwości - i zlecił drugiemu pilotowi wyznaczenie trochę innego kursu, który ustawi ich bardziej bokiem niż nosem pod wiatr. Usiłował przechytrzyć wiatr i zaoszczędzić trochę paliwa, korzystając z po-myślniejszych prądów powietrza.

Drugi pilot przekazał nowy kurs do ośrodka w Shannon.

- Roger - powiedział głos na drugim końcu. - Przyjąłem. Wysyłamy wojsko. Utrzymujcie łączność.

Tucker przez długą chwilę wpatrywał się w swoje ręce, a potem powziął decyzję.

- Przejmij stery - zwrócił się do kolegi. - Już czas powiedzieć prawdę. - Otworzył drzwi do kabiny pasażerów i skinął na stewardesę, by do niego dołączyła.

Maggie przyglądała się nadchodzącej stewardesie i kapitanowi. Duża porcja brandy ukoła jej nerwy, a ciepły ciężar dziecka ukołysanego w ramionach matki dodatkowo uspokajał. Ale wyraz twarzy Tuckera sprawił, że zacisnęło jej się gardło.

- Co się stało? - spytała spokojnie, zanim zdążył się odezwać.

Cal, wyrwany z drzemki, usiadł prosto.

- Mamy duży problem, proszę pani - powiedział Tucker.

- Co? Co znowu? - przerwał Cal ciekawym głosem.

- Przestań, Cal - ucięła Maggie ostro. - Proszę mówić, panie Thompson.

- Po prostu nie mamy dość paliwa, żeby dotrzeć na miejsce. Ani do jakiegokolwiek lądu - dodał.

Zagrał w otwarte karty.

Jego słowa nie całkiem dotarły do świadomości Maggie. Wydawały się dziwaczne, niezrozumiałe. Kabina samolotu stanowiła ograniczony świat. Dawała schronienie przed burzą, wiatrem, gradem i piorunami. Była przytulna i spokojna, bezpieczny statek księżycowy poruszający się cicho pod gwiazdami. A oni złożyli już swoją ofiarę na ołtarzu bezpieczeństwa. Zaczęła głaskać główkę śpiącej Susanny.

- Co pan powiedział, panie Thompson?

- Powiedziałem, pani Smith, że istnieje wszelkie prawdopodobieństwo przymusowego lądowania na otwartym morzu. - Tucker miał nadzieję, że jego własny głos harmonizuje z jej. Z oczywistych przyczyn podczas szkolenia nie przeprowadzało się prawdziwego wodowania. Wszystko robili na modelach i w sztucznych zbiornikach wodnych. Piloci uczyli się teorii, ale zaledwie kilku przeżyło taki wypadek naprawdę i mogło o nim opowiedzieć. Rozwój wydarzeń nie dawał się w ogóle przewidzieć, a jedyną pewną rzeczą co do wodowania na otwartym morzu było to, że jego skutki są niepewne.

- Rozumiem. - Dalej głaskała główkę dziecka.

- Posłuchaj, Thompson... - Głos Cala wzniósł się na najwyższy ton.

- Zamknij się, Cal! - Gwałtowna reakcja przestraszyła nawet samą Maggie. Zwróciła się z powrotem do kapitana. - Jak długo - to znaczy, jak szybko...

- Sądzę, że przy obecnej prędkości i kursie zostało nam około czterdziestu pięciu minut - odparł Tucker. - Ale chciałbym podkreślić, że nie wszystkie wieści są złe. Mamy łączność z ośrodkiem ratownictwa powietrzno-wodnego w Shannon, a oni z kolei skontaktowali się z RAF-em. Samolot zwiadowczy shackleton leci już nam na pomoc. Osobiście miał tylko na to nadzieję. Dał pani Smith chwilę do namysłu.

- Jak nas znajdą w ciemności?

- Mamy reflektory i rakiety i będziemy stale utrzymywali łączność radiową.

Tucker znów poczekał. Zdawało się, że mąż jeszcze raz zamierza otworzyć usta, ale żona powstrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Dobrze, kapitanie. Niech pan nam powie, co mamy robić.

- No cóż, gdy nadejdzie pora, mniej więcej na dziesięć minut przed lądowaniem, zawiadomię stewardesę i ona wszystko państwu powie. To powinno wypaść - spojrzał na zegarek - mniej więcej za pół godziny.

Skinęła głową, a on podniósł się. Chwilę stał przed nią, patrząc z podziwem. Nie wiedział, co powiedzieć. To była prawdziwa dama. Zobaczył, że pociera ramię, sięgając ręką przez śpiące dziecko.

- Co z pani ramieniem? - spytał.

- Nic, nic - odpowiedziała Maggie. - Uderzyłam się tylko. Jest w absolutnym porządku.

Jakoś dziwnie się nie boję, pomyślała Maggie, patrząc na szerokie plecy odchodzącego kapitana. Ogarnęło ją poczucie oddalenia. Spojrzała na spokojne dziecko, a potem na Cala, który znów siedział sztywno, poruszając szczękami. Wtedy właśnie postanowiła, że jeśli przeżyją, rozwiedzie się z nim. Jej umysł działał niczym liczydło, prosto

i z krystaliczną przejrzystością. Najważniejsi są dla niej Susanna i Christian, a potem ona sama. Starła się zadowolić zbyt wielu ludzi. Teraz musiała zadbać o bezpieczeństwo ich wszystkich przez kilka najbliższych godzin. Miała pod opieką niemowlę i małego chłopczyka, do którego chciała wrócić.

- Weź dziecko. - Nie patrząc mężowi w oczy, podała mu Susannę. Cal, ulegając spokojnej powadze jej głosu, bez słowa wziął córeczkę. Maggie przeszła do śpiącej niani i obudziła ją, potrząsa ją. Dziewczyna otworzyła nerwowo oczy, nabiegłe krwią, z czerwonymi obwódkami od wcześniejszych łez.

-Tak, pani Smith? - Wyprostowała się z wysiłkiem. Maggie jak najspokojniejszym głosem krótko wyjaśniła sytuację.

Oczy niani otworzyły się szeroko, ale Maggie położyła obydwie ręce na jej ramionach, chcąc, by dziewczyna zachowała ciszę.

- Uratuj nas, Rosemary - powiedziała, wymawiając każde słowo stanowczo i dobitnie. - Uratuj nas RAF. Są już w drodze.

Oczy dziewczyny wypełniły się łzami. Podniosła rękę do ust.

- Och, pani Smith...

Ostatnią rzeczą, której pragnęła lub potrzebowała teraz Maggie, był kolejny atak hysterii.

- No, Rosemary, pobieraj się do kupy - poprosiła. - Tylko spokój pomoże nam przetrwać. Jestem pewna, że wszystko skończy się dobrze. Wszyscy będziemy mieli konkretne zadania. Chcę, żebyś zajęła się Susanną. Mamy pół godziny, zanim zacznie się kotłowanie. Tu jest kamizelka ratunkowa - kontynuowała powoli i spokojnie, podając jej maewestkę, którą wzięła od stewardesy. - A teraz owiń Susannę w koc i włóż to na nią - powiedziała. - Bądź ostrożna z paskami. Zwiąż ją z rękoma w środku, żeby nie mogła ich zerwać. Dobrze? Jeśli będziesz miała kłopoty, zawołaj mnie. Możesz dać jej smoczek do buzi, to powinno pomóc.

Niani wyrwał się szloch, ale skinęła głową. Sięgnęła po kamizelkę, podeszła do Cala i odebrała dziecko.

Maggie ruszyła do kuchni.

- Niech mi pani teraz powie - zwróciła się do stewardesy - co dokładnie się wydarzy...

Przez następne dwadzieścia minut Maggie zmusiła się do myślenia wyłącznie o tym, jak poradzić sobie w tej sytuacji. Była miła dla Cala, głaskała go po drżącej ręce.

- Och, Maggie, gdybyśmy mogli przeżyć to raz jeszcze... - zaczął, ale żona ucięła krótko jak uprzejma pielęgniarka.

- Teraz, Cal, nie ma na to czasu.

Poprosił o następną brandy, ale odmówiła mu.

- Wszyscy będziemy musieli być w pełni sprawni. Niania, wypełniając polecenie Maggie, zanim zawiązała dziecku kamizelkę ratunkową, owinęła je ciasno w kocyk. Susanna, która wyglądała jak dziwaczna, mała, pomarańczowa larwa, poddała się atmosferze spokoju i zdecydowania i nie wydawała żadnych dźwięków, tylko ssała cicho smoczek, kołysana przez nianię. Maggie siedziała wyprostowana na swoim miejscu, gotowa na wszystko.

Prędzej, niż oczekiwała, pojawiła się stewardesa z kamizelką ratunkową.

- Niech pani nie pompuje jej w samolocie - poinstruowała. Podała dwie pozostałe kamizelki Calowi i niani, potem wyciągnęła ze schowka pomarańczową tratwę ratunkową i położyła ją gotową obok drzwi. Wyjaśniła, jaką pozycję powinni przyjąć w oczekiwaniu na wstrząs - schylić się na swoich miejscach z jedną ręką na karku, a drugą na piersi. Wyjaśniała szorstkim głosem:

- Kiedy wylądujemy, będziemy mieli wszyscy minutę lub dwie na wydostanie się z samolotu. - Zwróciła się do niani:

- Pani pójdzie pierwsza - spojrzała na Maggie - potem pani, pani Smith. Podam dziecko, gdy będzie pani bezpieczna na tratwie. Proszę koniecznie wyciągnąć sznurek, żeby napompować kamizelkę ratunkową dziecka, gdy tylko je pani odbierze. I niech pani nie zapomni o sobie. Następny wyjdzie pan, panie Smith - kontynuowała. - Kapitan, drugi pilot i ja podążymy za państwem.

W kabinie pilotów drugi oficer wciąż podawał ich pozycję, a Tucker obserwował wysokościomierz i wznosił samolot łagodnie na wysokość tysiąca ośmiuset metrów. Nie zamierzał czekać, aż całkiem zużyje paliwo, chciał zostawić sobie trochę, by wspomóc wodowanie. Zgodnie z teorią, samolot należało sprowadzić na dół z nosem w jak najwyższej pozycji na powierzchnię dużego wybrzuszenia. Ale o ile widział w ciemnościach, wzburzone morze pokrywały olbrzymie wzniesienia, fale grzywiaste, wtórne i poprzeczne, które niszczyły symetrię powierzchni. Nie miał przed sobą łatwego zadania i wołał zostawić dość paliwa, by wzbić się ponownie na pełnej mocy, gdyby pierwsza, druga, a nawet trzecia próba wodowania okazała się zbyt niebezpieczna.

Spojrzał na wskaźniki. Paliwa zostało na jakieś dziesięć minut. Dobra, o to chodziło. Powiedział drugiemu pilotowi, by przez interkom polecił zapiąć pasy, włączył światła lądowania i rozpoczął długie, powolne zniżanie lotu ku falującej, czarnej wodzie.

Na wysokości piętnastu metrów zamknął przepustnicę i samolot zaczął się zanurzać, ale na ułamek sekundy, zanim uderzył w rozkołysaną różę grzywiastej fali, wznoszącą się ku górze w podwójnym snopie światła, Tucker odruchowo pociągnął za drążek i otworzył przepustnicę na całą szerokość. Samolot drgnął, szarpnął i trochę wody rozbryznięło się na jego nosie. Maszyna zebrała się w sobie i wzniosła z wyciem w niebo pod kątem czterdziestu pięciu stopni, jakby to nie był DC 3, lecz trojan. Tucker czuł suchość w ustach, a serce waliło mu boleśnie o żebra. Spojrzał znów na instrumenty i wskaźniki. Pułap dziewięćset metrów i samolot dalej się wspina, paliwa w zbiornikach wystarczy na dwie minuty. Następna próba musi się udać.

Zmusił się do chłodnego myślenia. Już gdy wprowadzał maszynę w płytki lot nurkowy, odtworzył sobie chwile, kiedy samolot niemal dotknął wody. Jak zapamiętał, fale nie były strasznie wysokie, na tyle jednak wzburzone, że nie miały jakiegoś dostrzegalnego układu. Wszystko będzie więc zależało od szczęścia.

Upłynęły ostatnie sekundy. Najpierw lewy, a potem prawy silnik zakrzuszył się i zgasł. Zapadła cisza, niesamowita

po godzinach warkotu, przerywana tylko przez gwałtowny wiatr na zewnątrz i dźwięk głosu drugiego pilota, który bez przerwy nadawał Mayday przez radio. Powtarzał jak pacierz: „November-dwa-trzy, Mayday, Mayday, November-dwa-trzy, wodujemy, November-dwa-trzy, Mayday...”

Za każdym razem podawał szerokość i długość geograficzną - około stu kilometrów od zachodniego wybrzeża Irlandii.

Podczas kilku ostatnich drogocennych sekund Tucker wyrównał lot, szukając przyjaznej fali. Nie miał więcej czasu. Pułap zero.

W kabinie pasażerów odgłos uderzenia zabrzmiał jak mały wybuch i Maggie wbrew woli krzyknęła.

Po dziesięciu sekundach rozpędzonego poślizgu, gdy kadłub podskakiwał na wierzchołkach fał, samolot - niczym niezgrabna motorówka, której wyłączono nagle silnik -wreszcie gwałtownie się zatrzymał. W jakiś cudowny sposób unosił się na powierzchni wody, a światła nie zgasły.

Gdy stanął, stewardesa odpięła pasy i pchnięciem otworzyła drzwi. Woda zaczęła się wlewać do kabiny. W ciągu paru sekund sięgnęła trzydziestu centymetrów. Maggie odpięła pasy i z trudem przebrnęła do drzwi, by pomóc stewardesie wypchnąć złożoną pomarańczową tratwę w ciemność, trzymając mocno za linę. Zobaczyły, że rozwinęła się do pełnego wymiaru, gdy tylko dotknęła wody. Stewardesa schwyciła leżaczek dziecka i wepchnęła w otwór, chcąc ustanowić choćby chwilową i nieskuteczną zaporę dla wody, która wlewała się od nowa za każdym razem, gdy samolot przechylał się na bok, wznosząc się i opadając na falach.

- Cal! Rosemary! - wrzasnęła Maggie na pozostałych.

Obydwoje siedzieli jak przykuci do swoich miejsc. Oboje trwali wciąż zgięci w pół - głowa niani spoczywała na dziecku leżącym na jej kolanach - i żadne nie zareagowało.

Na razie byli w wodzie od siedemnastu sekund. Drzwi od kabiny otworzyły się i wszedł Tucker z drugim pilotem.

- Pomóżcie im! - krzyknęła Maggie, gdy pojawili się piloci, wskazując na tych dwoje, nadal siedzących na swoich

miejskach. Woda wciąż napływała. Była bardzo zimna. Na zewnątrz wył wiatr.

Stewardesa wciąż kurczowo ścisnęła cumę tratwy, jednocześnie usiłując utrzymać leżaczek wepchnięty w drzwi.

Tucker odebrał niani dziecko, które kwiliło, cały czas ssąc smoczek, i podał je matce. Potem odpiął pasy dziewczyny, postawił ją na nogi i przepchnął przez przybierającą wodę do drzwi.

Tymczasem drugi pilot, po odpięciu pasów Cala, ciągnął go z całej siły za ramiona, usiłując ruszyć mężczyznę z miejsca. Ale Cal, silny i zdeterminowany, nie drgnął, siedząc ze skamieniałą twarzą. Młody pilot policzkował go raz za razem, ale to nie miało sensu. Mężczyzna nie próbował uniknąć ciosów, tylko zamknął oczy.

Byli w wodzie od trzydziestu sekund. Mieli najwyżej minutę na opuszczenie samolotu, zanim utonie.

Może mniej, gdyż w tej chwili maszyna przechyliła się na prawą stronę i woda, znów wlewając się olbrzymim strumieniem, wepchnęła leżaczek z powrotem do kabiny.

- Zostaw go! - wrzasnęła Maggie do drugiego pilota, który dalej szarpał Cala. Dobrze się do niani i pomogła kapitanowi dopchać ją do drzwi.

Woda sięgała teraz powyżej kolan.

Stewardesie udało się utrzymać przywiązaną do tratwy linę. Wolną ręką pomogła Maggie przepchnąć nianię przez drzwi i wpakować ją na tratwę, która zakołysała się niebezpiecznie, ale nie wywróciła.

Fala schwytała ogon DC 3 i samolot przechylił się o około trzydzieści stopni. Stewardesa poleciała do tyłu, omal nie wypuszczając liny, ale Maggie podtrzymała dziewczynę.

Woda sięgała im teraz do ud. Pograżyli się w ciemnościach, gdyż zgasły wszystkie światła. Samolot kołysał się i obijał o fale. Trudno było znaleźć punkt oparcia.

Maggie szukała po omacku Susanny, znalazła ją w ramionach Tuckera i odebrała od niego. Gdy stewardesa z wysiłkiem przyciągnęła cumę do drzwi samolotu, Maggie udało się podać dziecko niani.

Kolejny napływ wody odrzucił wszystkich troje od drzwi, teraz na wpół zatopionych. Tym razem Maggie stra-

ciła oparcie i upadła do tyłu. Zniknęła pod wodą i uderzyła się mocno o róg mosiężnego barku. Zielono-czarna fala wyrosła jej przed oczami. Głowa kobiety mocno krwawiła, gdy Maggie została wyłowiona przez Tuckera. Choć miała zawroty, starała się mu pomóc ze wszystkich sił, kiedy na wpół niósł ją w kierunku drzwi. Stewardesa pomogła jej wydostać się przez otwór, a potem pchnęła, tak że Maggie poleciała głową naprzód na tratwę, lądując na niani i dziecku.

Stewardesa zawahała się, stojąc w drzwiach. Zostało im może z piętnaście sekund.

Tucker wiedział, że dziewczyna myśli o swoich obowiązkach wobec ostatniego pasażera. Woda sięgała im po pachy i poczuli, że morze ich wciąga.

- Zapomnij o nim, to rozkaz - warknął Tucker. - Teraz włącz na tratwę!

Dziewczyna usłuchała, oddała linę kapitanowi i, trochę płynąc, trochę wspinając się, dotarła do drzwi. Maggie dojrzała z tratwy jej głowę, a potem ramiona młóćące zajadłe wodę.

DC 3 szybko tonął. Nad wodą sterczał teraz tylko statecznik i prawe skrzydło.

Stewardesa dotarła do tratwy i Maggie wciągnęła ją do środka. Wtedy, ku przerażeniu trzech patrzących kobiet, woda podniosła się i samolot wśliznął się pod fale. Nawet w ciemnościach Maggie dojrzała szerokie koło wirującej bieli, które tonąca maszyna zostawiła na ciemnej powierzchni.

Tratwa, która już wcześniej niebezpiecznie wznosiła się i opadała na falach, stanęła dęba, a potem zwała się gwałtownie z wybrzuszenia.

W białej wodzie pojawiła się ręka, a później głowa. To był Cal. Nie miał kamizelki ratunkowej, ale jakoś w ostatniej chwili wypłynął czy wymyło go z wnętrza kadłuba. Stewardesa rzuciła mu linę, złapał ją, lecz, niczym uczestnik jakiegoś przerażającego, spowolnionego baletu wodnego, przetoczył się po powierzchni, a potem wessała go kipiela, która wytworzyła się po zatonięciu DC 3.

Nie wypuścił liny i tratwa, obciążona przez niego, zachwiała się niebezpiecznie. Jedna strona wystawała z wody.

Wybrzuszenie, które znajdowało się dokładnie pod nią, wezbrało i wywróciło tratwę, wyrzucając ludzi do morza. Maggie walczyła pod powierzchnią. Lodowata woda przywróciła jej pełną świadomość. Kamizelkę ratunkową miała tylko częściowo nadmuchaną, ale dzięki niej, kopiąc mocno nogami, przebiła się na powierzchnię.

Coś musnęło stopy Maggie i pojawiło się na wodzie obok. Mała figurka Susanny, zwarty, pomarańczowy tobołek. Dziecko miało zamknięte oczka i rozchylone usteczka. Maggie schwyciła córeczkę i usiłowała utrzymać ją i siebie na powierzchni.

Niedaleko od nich, może z dziewięć metrów, tratwa wróciła do normalnej pozycji.

Maggie, mimo wstrząsu i zranionej głowy, była silna, zdrowa i dobrze pływała. Jedną ręką ściskając mocno dziecko, drugą przebiła się w kierunku, gdzie dojrzała tratwę, która pojawiała się i znikła co jakiś czas wśród fal, wznoszących się wokół niej.

Kilka razy zalewało je morze, woda napływała Maggie do ust, ale ona za każdym razem zawzięcie ją wypluwała, wynurzała się na powierzchnię i płynęła dalej, używając jednej ręki, aż dotarła do burty. Tratwa wznosiła się i opadała na falach, ale wciąż miała duży przechył na jedną stronę, która znajdowała się niemal pod wodą. Najwyraźniej cały nadal był przywiązany do liny.

Oddał tym ostatnią przysługę swojej rodzinie, bo teraz wyczerpana Maggie miałaby duże kłopoty z wciągnięciem dziecka i siebie na pokład, gdyby wysokiej tratwy nie przytrzymało obciążenie. Z wielkim trudem uniosła Susannę przed siebie - dziecko nie wydało żadnego dźwięku ani nie drgnęło - i wdrapała się na pokład. Leżała obok córeczki, dysząc i plując na przechyloną podłogę, a fale obmywały zatopiony brzeg tratwy. Potem dźwignęła się na kolana i zmusiła zdrętwiałe palce do wysiłku. Wzięła jeden z pasków, które zwisały przy kamizelce ratunkowej dziecka, i przywiązała go do liny biegnącej wokół burt w środku tratwy. Nie wiedziała, czy jej córeczka jeszcze żyje, czy umarła.

Zaczęła odwiązywać linę, by uwolnić ciało męża. Ale źle wyliczyła. Węzeł puścił wcześniej, niż się spodziewała,

i tratwa, pozbawiona ciężaru Cala, odbiła, kiedy Maggie wciąż była pochylona i nie złapała jeszcze równowagi. Upadła z kolan do przodu i odruchowo podparła się rękoma. Z rozpędu przeleciała przez krawędź i znów znalazła się w wodzie. Tym razem nie podjęła walki.

Tratwa była teraz lekka, pławna i wolna, tylko z dzieckiem na pokładzie. Maggie patrzyła, niby we śnie, jak oddala się od niej, dryfując. Bolała ją głowa, ale woda nie wydawała się już tak zimna. Właściwie było całkiem przytulnie. Przytulna, przyjazna woda. Pod falami panował spokój. Żadnego dźwięku po całym tym hałasie. Nawet ból się uciszył. Cicha, łagodna woda. Błogosławiona, spokojna, ciemna woda. Miękka, czarna kołyska.

Tratwa odpłynęła już o kilkaset metrów, posuwając się żwawo po wzburzonej, koronkowej powierzchni.

Rozdział 2

Nadchodziła właściwa pora. Łóżko Conora stało przedostatnie w długim podwójnym rzędzie w sypialni. Leżał, nie śpiąc. Ledwie śmiał oddychać, gdy niebo za oknem w odległym końcu pomieszczenia zmieniało stopniowo barwę z czarnej na perłową. Kiedy można było odróżnić szczegóły na ramie okiennej, żołądek ścisnął mu się mocno. Nie chciał zaczynać, dopóki nie rozjaśniło się trochę. Bał się, że kogoś obudzi, potykając się lub wpadając na coś. Wiedział, że nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego przekrada się przez szkołę o świcie w piżamie nałożonej na ubranie. Gdy rozjaśniło się na tyle, by odróżnić przedmioty od cieni, nie mógł dłużej czekać. Pokonując centymetr po centymetrze, z bijącym sercem wysliznął się z łóżka, dostosowując swe ruchy do rytmicznego pochrapywania Seana Lyonsa śpiącego obok. Wyjął spod materaca chleb zawinięty w koszulę, a potem w udręce, krok za krokiem, wykradł się z sypialni, omijając skrzypiące deski. Na małym podeście za drzwiami zatrzymał się na chwilę i wypuścił powietrze z płuc, uprzytamniając sobie, że boli go klatka piersiowa od tak długiego wstrzymywania oddechu. Bardzo chciało mu się do ubikacji, ale nie zdobył się na odwagę. Za to ruszył ostrożnie w dół po zniszczonych kamiennych schodach, które prowadziły do frontowego korytarza.

Gdy się tam dostał, poszło mu już łatwiej. Choć długi korytarz oświetlały jedynie dwa okna na końcach, to przed posągami świętych, które stały w niszach naprzeciwko klas, paliły się lampki wotywno, małe czerwono-niebieskie latar-

nie morskie na drodze do drzwi. Kiedy skradał się korytarzem, czuł odurzający zapach pasty do podłogi. W dół po kolejnej kondygnacji schodów i następnym korytarzem dotarł do frontowego holu, wyłożonego kwadratowymi płytami z marmuru. Odetchnął z ulgą. Klucz tkwił w żelaznej kłódce na drzwiach - jedyna rzecz, której nie mógł sprawdzić wcześniej. Przekreślił go, a dobrze naoliwiony zamek łatwo ustąpił. Chłopiec wziął głęboki oddech i otworzył drzwi. Rozległ się zgrzyt tak głośny, że chłopiec aż zamarł. Odczekał pełną minutę, nadstawiając uszu, ale słyszał jedynie swój szybki oddech i łomot serca tłukącego się w klatce piersiowej. Wyśliznął się na dwór w półmrok, nie miał odwagi zamknąć za sobą drzwi. Wiedział, że kiedy to odkryją, podniosą alarm, ale nie mógł nic poradzić. Ciężkich, dębowych drzwi nie dawało się zamknąć bez huków.

Trzymając się blisko ścian budynku, przemykał jak cień po wilgotnej trawie, zimnej i śliskiej pod jego gołymi stopami. Oddech zamieniał się w obłoczki pary. Przynajmniej nie padało, ale ku przerażeniu chłopca na rosie zostawały wyraźne ślady stóp. Ale cóż mógł zrobić? Podczas gwałtownej burzy, która przeszła tędy koło północy, zastanawiał się poważnie nad zrezygnowaniem z ucieczki, ale teraz nie było odwrotu. Nisko schylony, przebrnął przez żwirowy podjazd przed szkołą, nie zwracając uwagi na kamienie, które nieprzyjemnie wbijały mu się w podeszwy. Przy boiskach miał wrażenie, że zewsząd go widać, więc dalej posuwał się zgięty wpół, maksymalnie skurczony.

Braciszkanie pozwolili miejscowemu rolnikowi wypasać owce na boiskach krykietowych, by trawa nie rosła za wysoko. Stado odpoczywało. Wyglądało to tak, jakby wełniane kształty unosiły się nad dryfującą, przygruntową mgłą. Gdy pojawiła się zgarbiona postać Conora, najbliższa owieczka z trudem podniosła się na zgrabne racice i odbiegła truchtem, a za nią dwa baranki. Jeden z nich zabeczał przeraźliwie i Conor znów zamarł w miejscu.

Odważył się spojrzeć przez ramię na szarą bryłę budynku szkolnego. Niektóre okna na wyższych piętrach jarzyły się słabo, oświetlone lampkami wotywnymi albo nocnymi, ale nigdzie nie paliło się pełne światło i,

choć przypatrywał się szkole przez kilka chwil, nic nagle nie rozbłysło. Jak dotąd, wszystko szło dobrze. Chłopiec dotarł do wielkiej żelaznej bramy. Odnalazł buty, tam gdzie je zostawił, i usiadł na trawie, by zawiązać sznurowadła, ale najpierw włożył skarpetki, które przyniósł ze sobą w kieszonce góry od piżamy. W popłochu zapomniał zdjąć spodnie od piżamy, zanim włożył buty, więc znów rzuciwszy spojrzenie przez ramię, ściągnął teraz na siłę dolną część garderoby, drąc znoszoną bawełnę wzdłuż szwów. Potem zwinął piżamę w małą kulkę i wepchnął do jamki pod krzakiem, gdzie poprzednio schował obuwie. Ostatnie spojrzenie za siebie i ruszył ścieżką do głównej drogi. Był bez płaszcza i wiedział, że bardzo rzuca się w oczy w mundurku szkolnym, ale miał przygotowaną historijkę dla furmana czy rolnika, który by go zabrał. Zamierzał powiedzieć, że jest starostą i został wysłany do Galway na polecenie przeora, brata Camillusa.

Gdy biegł truchtem między żywopłotem z janowców i pokrytymi porostem murami sąsiadującymi ze ścieżką, zimne, świeże i czyste powietrze majowego poranka owiewało mu pierś. Zrobiło mu się niemal wesoło. Wyobrażał sobie swoje przybycie na Inis Oirthir: matka będzie zdziwiona, gdy go zobaczy - i przestraszona - ale wiedział, że zadowolenie zwycięży. W takiej sytuacji jego miejsce było w domu, konsekwencjami zajmie się później. Zatrzymał się na kilka sekund, by złapać oddech. Oparł się o bramę z pięciu prętów, buty grzęzły mu w błocie rozdeptanym przez zwierzęta gospodarskie. Conor zawsze zdawał sobie do głębi sprawę z pracowitego życia zwierząt, owadów i ptaków na wsi, nawet teraz, mimo pośpiechu, nie mógł się oprzeć widokowi wstającego świtu. Dwie jałówki zamuczały głośno, przerywając rytmiczne skubanie świeżej trawy spomiędzy kępek turzycy i trzciny na bagnistym polu za bramą. Stary osioł z siodłowato wygiętym grzbietem przytruchtał, by przywitać Conora, i wsadził miękki pysk między pręty, nadstawiając się do pieszczot. Kruki kręciły się wśród gałęzi pary splecionych ze sobą kasztanowców za żywopłotem i gdzieś w ukryciu kos ćwiczył gardło. Woda szemrała w rowie poniżej żywopłotu po drugiej stronie bra-

my i chłopiec był pewien, że gdyby miał czas, odkryłby rozkwitające kolonie nornic, ryjówek i myszy polnych zaledwie parę metrów od miejsca, gdzie stał. Daleko za moczarami usłyszał kulika.

Nie może marnować czasu. Ostatni raz pogłaskał osła i spojrzął ku głównej drodze. Z miejsca, gdzie się zatrzymał, mógł dojrzeć zagajniki jarzębin posadzonych przez zakonników wokół kapliczki w grocie na skrzyżowaniu głównej drogi i ścieżki prowadzącej do szkoły. Oskrobał buty na najniższym precie bramy i ruszył dalej.

Podczas gdy na łądzie jego syn śpieszył ku drodze do Galway, Micheal Ó Briain podniósł zmęczone ciało z miejsca, gdzie przesiedział większość nocy. Kiedy wstawał, krzesło zgrzytnęło o kamienną podłogę przy kominku. Powłócząc nogami, zrobił kilka kroków do kuchennego okna, by popatrzeć na krajobraz wyspy. Wstawał bezchmurny świt. Bolały go kości, zeszywniałe przez długą noc. Musiał zdrzemnąć się chwilę, bo gdy spojrzął do tyłu, zauważył, że ogień prawie wygasł. Wziął cztery grudy torfu z kosza w kącie przy palenisku i rzucił je na kupę białego popiołu, wzbijając snop iskier. Wsparł się o kominek i spojrzął na drugą stronę paleniska, gdzie jego żona Sorcha wciąż kołysała dziecko. Molly umarła dwie godziny temu i Micheal pogrążył się w żalu, ale teraz był bardziej zły niż smutny. Zawiedzione nadzieje na lepsze życie, gdy doszedł do wieku średniego, zmieniły się w gorycz i Micheal naprawdę nie dziwił się, że zmarła mu jedyna córeczka.

Czasami się zastanawiał, co uczynił, by zasłużyć na takie ciężkie, nędzne życie. Nie pocieszało go, że prawie każda rodzina na wyspie była w podobnej sytuacji - wydierała chleb z kamieni, dostając parę szylingów od rządu, i wycze-kiwała na listy z pieniędzmi od krewnych z Bostonu, Birmingham czy Coventry. Micheal wraz z bratem korzystali wspólnie z łodzi i kilku wężerzy na homary, które łowili co noc. Ale pieniądze, które za nie dostawali, starczały tylko na parę podstawowych artykułów spożywczych.

Patrzył, jak grudy torfu zajmują się ogniem. W chacie było bardzo cicho. Jedyne noga od krzesła, na którym Sor-

cha kołysała córeczkę, niezbyt głośno, rytmicznie postukiwała o chropowatą kamienną podłogę.

Micheal nie miał zbyt bogatej wyobraźni, ale ponowne ukradkowe spojrzenie na żonę przywiodło mu na myśl czasy, gdy się żenił.

Spotkał Sorchę Ni Choirreain, delikatną dziewczynę z Inis Meain, sąsiedniej wyspy, na zabawie w klubie w jej rodzinnej wsi. Nie po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę, ale przy innych okazjach powstrzymywał się od zaproszenia jej do tańca, widząc, że ona jest dobrą tancerką, a on przeciwnie - depta partnerce po nogach. Tego wieczoru jednak, ośmielony portem, przyłączył się, gdy tańczyła z siostrą, dostojnym krokiem okrążając salę.

- To nie wypada, żeby dwie dziewczyny tańczyły ze sobą.

- Tak pan powiada? - odparła zuchwale jej siostra. Sorcha nic nie odpowiedziała, tylko stała ze spuszczonej oczami.

Zwrócił się wprosi do niej, podając ramię.

- Zatańczymy?

- Dobrze. - Przy jąła wyciągniętą rękę i znów ruszyli wokół sali, pozwalając, by inny młody człowiek z parkietu porwał do tańca jej siostrę.

Później Micheal spytał Sorchę, czy może odprowadzić ją przez nie oświetloną wyspę, ale odmówiła.

- Wracam z siostrą.

- Czy przyjdiesz na zabawę na Inis Oirthir?

- Może.

- Spotkam cię tam?

- Może.

- A więc przyjdiesz?

- Powiedziałam ci - może. I musiał się tym zadowolić.

Przyszła i zaczęły się długotrwałe, powolne zaloty. Dostrzegła jego zalety, widziała, że jest wysoki, przystojny i nie pije zbyt dużo (a w tamtych czasach jeszcze panował nad swoimi humorami). Posiadał też rzecz bezcenną. Jako że był najstarszym synem w rodzinie, a rodzice już nie żyli, miał dom - co więcej, dom bez teściowej - i parę piędzi ziemi.

Dziewczyna wydawała mu się serdeczna, rozgarnięta i zgodna. Umiała gotować. Była skromna, ale powabna, i w letnie wieczory zadzierał nosa, gdy inni chłopcy zazdrościli mu, przypatrując się, jak on lub ona wsiadają na przystani do łódki i płyną przez pas wody dzielącej ich wyspy, zwany Bealach Na Fearbhach, czyli Wzburzona Cieśnina. Zaloty jednak okazały się punktem kulminacyjnym ich wspólnego życia. Po ślubie odkrył, że Sorcha jest bojaźliwa i pruderyjna w łóżku, i ze smutkiem zdał sobie sprawę, iż widzi w nim grubianina i brutala. Ale tak już to było, że nigdy nie rozmawiali o tych sprawach, a jej strach i jego złość wyrosły między nimi jak chwasty - tak bujnie, że już dłużej nie dawały się ukryć w ciemności i ujawniały się za dnia.

Spojrzał na żonę, wciąż kołyszącą zmarłą córeczkę. Wydało mu się dziwne, że myśli o tych sprawach w takiej chwili, ale jego zmęczony umysł jakby się bronił przed najnowszymi kłopotami. Sorcha wciąż kołysała dziecko, trzymając rączkę córeczki we własnej dłoni, przytuliwszy jej twarzyczkę do swego ramienia. Spokój w kuchni przytłaczał go i Micheal poczuł narastający gniew.

Patrząc jednak na znużoną twarz żony, uświadomił sobie z niezwykłą jasnością, że jeśli on jest rozgoryczony, to Sorcha też, i nienawidził siebie za to. Nie wpadał celowo we wściekłość, ale czasami czerwona fala zalewała mu oczy. Cierpliwe milczenie Sorchy w niczym nie pomagało. Gdyby czasem odpowiedziała tym samym...

Walczył z tą myślą, obwiniając żonę o własny gniew.

Najgorsze było to, że się go bała, i dzieci też. Ich strach tylko bardziej go rozwścieczał. Dorzucił do ognia następną grudę torfu. Gdyby mogli ze sobą porozmawiać, choćby ponad głową zmarłego dziecka... Ale nie dostrzegwał najmniejszej szczeliny w murach otaczających ich serca i nie potrafił się przezeń przebić. Noga od krzesła wciąż stuknęła. Już dłużej nie mógł ścierpieć tej przygnębiającej kuchni.

- *Taim a' dul amach** - burknął zniechęcony, dając upust * **Wychodzę stąd. (irl.)**

swemu nastrojowi. Podeszedł do drzwi, tupiąc ciężkimi buciorami. Sorcha nie odpowiedziała. Spojrzał na nią niemal z nienawiścią. Była taka potulna, łagodna i pogodzona ze wszystkim - chodzący wyrzut. Micheal chwycił z furią za klamkę, niemal wyrywając śruby, i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Na zewnątrz czarno-biała mała suczka rasy collie wynurzyła się z pokrytej darnią przybudówki. Przeciągnęła się, ziewnęła, otrząsnęła i podeszła do niego ostrożnie, machając chudym ogonem. Micheal zamierzył się do kopniaka, ale suczka była zwinna i przyzwyczajona do unikania jego butów. Na parapecie chałupy stała nieduża bańka z mlekiem przykryta pokrywką. Wziął bańkę. Jeszcze jeden podarunek od sąsiada dla dziecka, zostawiony tu po zmroku, żeby nikogo nie obrazić. Co teraz Molly po tym? Zakręcił bańką nad głową i cisnął nią z całej siły w dół zbocza. Poszybowała wysoko nad wapiennymi skałami, pozostawiając za sobą mleczny łuk, i zabręczała przeraźliwie, uderzywszy o kamienny mur.

Chata Ó Briainów stała wysoko na wyspie, około ośmiuset metrów ponad brzegiem. Powietrze było świeże i chłodne po kuchennym zaduchu. Nadal panowała cisza przed świtem, wiatr prawie całkiem zamarł i Micheal słyszał morze w dole, wciąż niespokojne po sztormie. Zachód, gdzie następnym kontynentem była Ameryka, spowijała czerń, ale po drugiej stronie, na lądzie, około piętnastu kilometrów na wschód, słońce powlekło niebo nad horyzontem ulotną odrobiną różu i złota, opromieniając Inis Oirthir i odkrywając jej strukturę. Cała wyspa była jednym popękany kamieniem, płaską, wapienną skałą, szaropopielatą, poprzecinaną kratą niskich murów i upstrzoną mikroskopijnymi poletkami uprawianej trawy.

Micheal odwrócił się i spojrzał na swój dom, który należał kiedyś do ojca, dokąd sprowadził żonę, gdzie rodziły się - i umierały - jego dzieci i gdzie on także umrze. Trzy pomieszczenia i wygodka na dworze. Parę gratów i trochę naczyń, które Sorcha wniosła, gdy się pobrali. Dorobek całego życia. Wściekłość sprzed kilku chwil opadła i zastąpiło ją głębokie przygnębienie.

Dlaczego on? Dlaczego oni? Śmierć niemowlęcia nie była czymś niezwykłym na wyspie, ale Sorcha to dobra matka, a on urabiał sobie ręce po łokcie. Zobaczył, że trzeba załatać dach, uszkodzony przez sztorm. Zrobi to po pogrzebie. Postanowił zejść na brzeg.

Ból stawów ustąpił podczas schodzenia w dół ścieżką między murami. Jak okiem sięgnąć, tylko on i pies poruszali się teraz po wyspie. Dwa osły spały z nosami w ogonach pod osłoną muru. Koścista krowa Marcusa Ó Braonaina drzemała na małym pastwisku, założonym wokół pęknięcia wapiennej skały i pracowicie uprawianym przez trzy pokolenia Ó Braonainów. Usunęli najbardziej rozchwiane kamienie, wykorzystując je do budowy muru, potem przywlekli olbrzymie sterty wodorostów i piasek z brzegu i rozrzućili na kamieniach, dodając to wszystko do drogocennych grudek gleby, którą wygrzebali ze szczelin w wapieniu. Dzięki tej wyczerpującej pracy mogli zasiać tyle trawy, by wypasać krowę.

Micheal zatrzymał się przy murze, aby rzucić okiem na krowę, i serce ścisnęła mu zazdrość. Zwierzę położyło łeb na zadnich nogach, słyszał chrapliwy oddech. On nigdy nie będzie miał krowy. Na jego własnym polu wielkości chusteczki do nosa gleby wystarczało na dwa krótkie zagony ziemniaków, na nic więcej. Gdyby miał krowę, może jego córka by nie umarła. Gdyby chociaż urodził się nie na Inis Oirthir, ale na Inis Mór, największej z trzech wysp, gdzie było cieplej, miałby szansę. Molly miałyby szansę.

Zostawił krowę i zbliżył się do białej plaży. Znow przystanął - w zatoczce podskakiwała na falach mała, gumowa, jaskrawopomarańczowa łódka, odbijając się wyraźnie na tle ciemnoszarej wody.

Nie było nic niezwykłego w tym, że w poranek po sztormie morze wyrzucało na brzeg Inis Oirthir różne szczątki. Ludzie znajdowali wiosła, wężerze do łowienia homarów i drewniane deski, korkowe pasy ratunkowe - nawet beczułki portera i konserwy rybne. Kiedyś sam wyłowił trzy pudełka butów, przewiązane sznurkiem. Pantofle były na wysokich obcasach, całkowicie nieprzydatne dla kobiet z wyspy, bo obcasy złamałyby się w parę chwil na nierów-

nych wyboistych ścieżkach i nawierzchniach. Ale Sorcha je wysuszyła, wyczyściła do połysku i podczas jednej ze swych wypraw na ląd sprzedała na rynku. Za jego pamięci na wyspie kilka razy osiadały puste łodzie i, choć ich nie widział, słyszał opowieści o tratwach takich jak ta, wyrzuconych na brzeg. Zawierały rzeczy przydatne i w dobrym stanie: latarki i gwizdki, nawet radia, a czasami jedzenie. Guma przydawała się do łatania albo przykrycia stert torfu na zimę.

Szybkim krokiem przebył ostatnie kilkaset metrów do plaży i przez miękki piasek dotarł nad samą wodę. Zbliżał się przypływ i każda fala przybliżała pomarańczową łódeczkę. Łódeczka miała dziwny kształt. Kwadratowy. Cekał cierpliwie. Suka stała obok niego, obserwując twarz pana, by przygotować się do następnego ruchu.

Pięć minut później tratwa była prawie na plaży. Micheal zaczekał, aż fala opadła, i gdy łódka znów zaczęła odpływać, podskakując, wyciągnął rękę, chwycił jej brzeg i wywłócił tratwę poza linię wody. Usłyszał dziwny odgłos, różniący się od szumu morza, i rozejrzał się wokoło. Znów usłyszał ten dźwięk, przypominający miauczenie kociaka. Dochodził z tobołka na tratwie, którego wcześniej nie zauważył, gdyż miał ten sam kolor co łódka. Tobołek, który okrywała kamizelka ratunkowa, poruszył się. Ale to nie był kotek. Małeńka goła stopka wystawała z jednego końca, a tył małej blond główki z drugiego. Ku zdumieniu Micheala, w kamizelce ratunkowej, przywiązanej do burty tratwy, znajdowało się niemowlę, i to żywe niemowlę. Stał osłupiały, a dziecko wciąż kwiliło cicho.

Ostrożnie rozwiązał sznur, którym przywiązano kamizelkę ratunkową do burty, i rozplątał zawiniątko. Natrafił pod spodem na wełniany koc, wilgotny, ale ciepły w dotyku. Micheal, jak wszyscy rybacy na wyspie i ich żony, wiedział, że wełna, nawet mokra, jest dobrym izolatorem. Prawdopodobnie koc uratował dziecko przed śmiercią z zimna. Zobaczył, że to dziewczynka, bo była ubrana w różową, plisowaną sukieneczkę. Wyteżył wzrok, wpatrując się w morze. Nie dojrzał żadnych innych szczątków.

Znów spojrzał na dziewczynkę i - ku własnemu zdziwieniu - powiedział na głos:

- *Ceard as tu?**

Uniosła powieki i popatrzyła mu prosto w oczy. Przez chwilę oceniali się nawzajem. Miała duże, jasnoniebieskie oczy i - na co zwrócił uwagę - choć była jasną blondynką, rzęsy i brwi ciemniejszego koloru. Podniósł ją. Leżała nieruchomo w jego ramionach, przyglądając mu się badawczo. Potem zaczęła znowu bezsilnie płakać z suchymi oczami, jakby zużyła już wszystkie łzy.

Gdy tak stał, trzymając ją na rękach, wpadł na szatański pomysł. Z wyjątkiem oczu - oczy Molly nie były takie niebieskie - niemowlę bardzo przypominało karnacją i budową jego zmarłą córeczkę. Niewielu ludzi widziało Molly w ciągu ostatnich dwóch miesięcy choroby, nawet bracia, którzy uczyli się w szkole na lądzie. Na razie nikt - oprócz niego i Sorchy - nie wiedział, że dziewczynka odeszła tej nocy.

Dziecko wciąż płakało, a Micheal rozważał sprawę. Niemowlę najwyraźniej podróżowało statkiem lub samolotem gdzieś daleko stąd. Ktoś mógł nawet celowo pozostawić je na łasce fal. Przynajmniej raz, pomyślał Micheal, Bóg może jest po mojej stronie.

Jeśli ktoś na wyspie by coś podejrzewał - gdyby pojawiły się złośliwe plotki o podmienionym dziecku - tak jak w innych wypadkach, będzie to przemijająca sensacja, tylko dopóki nie wypłynie coś nowego. Mogliby to zignorować, on i jego rodzina. Wiara w podmienianie dzieci przetrwała na wyspach, szczególnie wśród starszych ludzi, którzy twierdzili, że wróżki często kradną dzieci i podkładają własne. A któż zamierza zaprzeczać? - pomyślał, otumaniony brakiem snu i smutkiem Micheal, spogląda jąc na dziecko.

Ale trzeba postępować ostrożnie. Ktoś może jej szukać. Michealowi zakotłowało się w głowie. Krążące plotki nikogo na nic nie naprowadzą. Z pewnością nie wyjdą poza wyspę. Ludzie stąd nie wtykają nosa w cudze sprawy. Znowu spojrzął na morze. Najwyraźniej nic więcej, tylko mała pomarańczowa tratwa. Kiedy ją znajdą, dojdą do wniosku, że wszyscy, którzy byli na pokładzie, zginęli.

*** Co to jest? (irl.)**

Dziecko zamknęło oczy; wydawało się, że śpi. Spokojna twarzyczka niemowlęcia rozczyła go, choć od dawna myślał, że nie go już nie zdoła rozczyć, i poczuł szczypanie łez pod powiekami. Ogarnął go żal po stracie córeczki. Wiedział, że Sorcha jest bardzo samotna. Dziecko może jej się spodobać.

Rzucił ostatecznie uważne spojrzenie za siebie i rozejrzał się wkoło. Nadal nikogo w zasięgu wzroku. Szybko owinął niemowlę z powrotem w kocyk. Suka, wyczuwając podniecenie Micheala, zaczęła skomleć i pobiegła przed panem, który szedł szybkim krokiem plażą w kierunku kamieni, wyznaczających jej granicę na dalekim krańcu. Podszedł do wody, jak najbliżej mógł i - rozejrzawszy się najpierw, by się upewnić, że nikt go nie obserwuje - jedną ręką rzucił daleko w morze kamizelkę ratunkową. Po czym zrobił w tył zwrot i, poprzedzany przez psa, pośpiesznie wspiął się na bezludne wzgórze i skierował ku domowi. Za nim pusta tratwa kołysała się na przybrzeżnych falach.

Christian nie mógł zasnąć. Za duże zamieszanie panowało na dole, telefony dzwoniły, samochody przyjeżdżały i wyjeżdżały, chrzęszcząc na podjeździe. Wstał z łóżka i włączył nocną lampkę, która miękkim światłem ogarnęła bałagan na drugim końcu pokoju i wyłoniła kolorowy, uporządkowany chaos jego własnego małego świata.

Christian wszystko chomikował i nie pozwalał niczego wyrzucać z rozrastających się zbiorów. Na półce siedziały starannie ustawione misie i inne zwierzaki z okresu niemowlęcego, część wykładziny na podłodze zajmowała przywieziona z Anglii kolejka firmy „Hornby”, nadal rozłożona, choć nie używana od lat. Jeden kąt dziecięca trampolina dzieliła z wykonanym ręcznie konikiem bujanym z grzywą i ogonem z prawdziwych włosów. W drugim stał stół bilardowy, o połowę mniejszy od normalnego. Kapelusz z napisem „Davy Crockett”, indiańskie pióropusze i filcowe kapelusze z dużym rondem zdobiły jedną ścianę na całej długości, a pokrywka wykonanego na zamówienie pudła na zabawki nie domykała się, tak było pełne.

Na półkach, specjalnie zawieszonych nad biurkiem, gdzie odrabiał lekcje, leżała kolekcja egzotycznych muszli,

a biblioteczka Christiana - z jasnego drewna, pomalowanego w śmiałe kolory: czerwony i niebieski - zawierała zbiór dziecięcej klasyki w skórzanych oprawkach, bajki i encyklopedie, wyraźnie mało używane. Ale była również część książek i komiksy, które miały ośle uszy. Leżały w nierównych stertach, które wypadały z półek na podłogę. W tamtym kierunku zmierzał. Na wierzchu spoczywał ilustrowany egzemplarz „Huckleberry Finna”, tak często czytany, że rozpadał się na kawałki, a pod nim książka w jeszcze gorszym stanie, zdaniem Christiana, najlepsza ze wszystkich, „Czarny Książę” Anny Sewell. Poskładał ją ostrożnie, podreptał z powrotem do łóżka i znów zwinął się pod kołdrą w paski.

Książka sama się otworzyła na fragmencie, gdzie stary koń wojskowy, Kapitan, opowiada Księżciu swoje przeżycia z wojny krymskiej. „Wraz z moim szlachetnym panem wyszliśmy z wielu bitew bez szwanku; i choć widziałem konie zastrzelone, przekłute pikami i rozplątane straszliwymi cięciami szabli, choć zostawialiśmy je zabite na polu bitwy lub ze śmiertelnymi ranami, nie bałem się o siebie”.

To był ulubiony fragment Christiana. Stąd startowała jego wyobraźnia. Jechał na własnym rumaku w wir wielkich bitew i choć Kapitan nie miał za towarzysza psa, w scenariuszu Christiana pojawiał się zawsze pies imieniem Shep, Blue lub Rusty, biegnący wiernie u jego boku. Chłopiec podróżował myślami z Krymu do innych egzotycznych miejsc o nazwach, które odbijały się echem w jego uszach: Afganistan, Indie, Timbuktu, Meksyk, Kongo. Wraz z towarzyszącymi mu zwierzętami walczył w Chinach, Mongolii, Hiszpanii. Wspinali się na zbocza Mount Everestu i walczyli

0 życie w rwącym nurcie Amazonki.

Dziadek opowiedział mu wiele historii z dzieciństwa, które spędził na wsi, o walijskich kopalniach węgla, 1 o tym, jak tragicznie zginął pradziadek Christiana i jego dwaj bracia podczas podziemnego wybuchu. Christian z ulgą myślał o tym, że nie musi - jak wielu walijskich chłopców - podjąć pracy w kopalni, gdy skończy czternaście lat, wielkodusznie jednak włączył Walię do swej wyprawy męznego rycerza. Na odgłos wybuchu lub dwóch Ru-

sty, Shep czy Blue biegł naprzód i zaczynał przekopywać się przez rumowisko, podczas gdy Christian i jego rumak dokonywali czynów wielkiej odwagi, odciągając olbrzymie głazy z zawalonych wylotów szybów górniczych i ratując czarnolicych, zmaltretowanych górników.

Usłyszał z dołu dzwonek do drzwi, licha wie który tej nocy. Babcia i dziadek pewnie zorganizowali przyjęcie, uznał, choć dziwne, że nie dochodzi żadna muzyka i śmiechy. Miał ochotę jeszcze raz wstać z łóżka, by zbadać sprawę, ale był zbyt zmęczony. Zgasił lampkę. Tuż przed zaśnięciem pomyślał o szczeniaku - czy powinien być duży i odważny, by toczyć bitwy, czy mały, ślamazarny, żeby on mógł go wozić ze sobą w specjalnym bagażniku na rowerze. Spał, gdy pół godziny później drzwi do pokoju otworzyły się i stanęli w nich dziadkowie, obramowani światłem z podestu na zewnątrz.

- Niech śpi - powiedziała Cordelia Smith do Malcolma. - To tylko dziecko. Dowie się i tak wystarczająco wcześnie... Przeszła przez pokój i podniosła z podłogi leżącego przy łóżku starego, wypchanego królika, prawie nie do rozpoznania - wyłysiałego, bez uszu i jednego oka. Położyła go ostrożnie na poduszce obok blond główki śpiącego Christiana.

Słońce już całkiem wstało, przebijając postrzępione chmury, które po sztormie ścigały się po niebie. Krajobraz Inis Oirthir wciąż był bezludny i opustoszały, choć raz Michealowi, bojaźliwie oglądającemu się za siebie, przywidziało się, że widzi łódkę na falach. Wyobraźnia spletała mu figla - nic tam nie było.

Pracował szybko i wprawnie, łopata wchodziła łatwo w wilgotną, piaszczystą glebę, tak spracowaną, że wyglądała jak gruby cukier, posklejany drobnymi liśćmi jeszcze nie całkiem zgniłych wodorostów. Podczas kopania wyjmował wychodzące na wierzch małe ziemniaki, które niewiele urosły od posadzenia, i odkładał je starannie na bok w rzędzie. Wykopał kształtną dziurę, nie całkiem prostokątną, raczej owalną. Dotarł łopatą bardzo głęboko,

głębiej niż sady ziemniaki, do samego spodu, aż uderzył o skałę.

Sorcha stała z boku, plecami do pochyłej sterty torfu. Długa spódnica, którą miała na sobie, trzepotała jej wokół nóg na kapryśnym wietrze. Sorchę wstrząsały gwałtowne dreszcze, dygotała ze zmęczenia, zimna i napięcia. Nie patrzyła w ogóle na mały, owinięty w prześcieradło ciężar w swoich ramionach, oczy miała utkwione w jakiś punkt krajobrazu nad ramieniem Micheala. Milczała, a łzy płynęły niepowstrzymanie po jej bladej, znużonej twarzy, łącząc się nad ustami w jedną rzekę. Sorcha zlizywała je od czasu do czasu.

W ciągu kilku minut dół był gotowy i Micheal podszedł do żony, wyciągając ręce po tobolek. Ale Sorcha nie oddała go. Z pochyłoną głową postąpiła parę kroków do grobu i uklękła. Złożyła ciało dziecka do ziemi i wstała.

Micheal ruszył z łopatą, ale Sorcha z niezwykłą u niej gwałtownością odepchnęła męża na bok. Przyklękła obok dołu i wyjęła z powrotem małe ciało. Ostrożnie, w skupieniu odwinęła prześcieradło, podczas gdy Micheal nisko pochylił głowę nad trzonkiem łopaty. Wyłoniła się twarzyczka niemowlęcia z otwartymi oczami, wyglądała jak zmatowiały marmur. Sorcha pocałowała córeczkę w usta i jeszcze raz przytuliła jej twarzyczkę do piersi. Potem zawinęła dziewczynkę z powrotem i włożyła do grobu. Podniosła się i odeszła, nie czekając, aż Micheal zasypie go ziemią.

Z chaty dochodził piskliwy, cienki płacz drugiego dziecka.

Micheal wrzucił do jamy trochę ziemi, a potem zasadził ponownie swoje małe ziemniaki.

Cztery godziny później, gdy dwa shackletony z RAF-u zataczały szerokie, skoordynowane łuki nad tym miejscem na morzu, skąd DC 3 nadał ostatni sygnał radiowy, Christian Smith spał dalej i śniły mu się odważne konie i szybkie, dzielne psy. Tymczasem Conor Ó Briain stał przygnębiony na przystani w Galway, a wiatr wiejący z Claddagh kołysał hukierami i łodziami rybackimi, przycumowanymi do nabrzeża. Conor dotarł do celu, ale zapomniał, że w niedziele prom nie chodzi na wyspy Aran.

Nie było sensu włóczyć się tutaj. Zmarzł. Miasto za jego plecami rozbrzmiewało dzwonami kościelnymi. Postanowił pójść na mszę. Będzie mu ciepło i zyska trochę czasu. Podążał za głosem dzwonów, przez most nad rwącą rzeką Corrib, śpiesząc za wystrojonymi w najlepsze niedzielne ubrania ludźmi zmierzającymi do kościoła. Mężczyźni byli wciśnięci w niewygodne garnitury i krawaty; kobiety stukały wysokimi obcasami, w kapeluszach, szalach na głowach lub też okryte mantylami; kolana chłopców były czerwone od szorowania, a włosy przygładzone wodą lub brylantyną; dziewczęta natomiast wpięły w loczki ozdoby i koronki. Conor, bojąc się, że niezwykle tobołek, który niósł, może zwrócić uwagę, wepchnął chleb zawinięty w koszulę pod niebieską szkolną bluzę i trzymał ręce na wybrzuszeniu, usiłując je ukryć. Idąc, próbował oczyścić z błota najpierw jeden but, potem drugi, wycierając je o nogawki szkolnych spodni.

Dotarł do wysokiego kościoła, w którym echo odbijało się od wielkich witraży ze scenami tortur i triumfów różnych świętych i męczenników. Duże gałązki lilii stały na ołtarzu. Ksiądz już zaczął odmawiać „Confiteor”. Conor usiadł z tyłu i przyłączył się do chóru znajomych odpowiedzi, kiedy ksiądz odwrócił się twarzą do wiernych.

- *Dominus vobiscum.*

- *Et cum spiritu tuo...*

Gdy nadszedł czas przyjmowania komunii, nie śmiał podejść, bojąc się, że zwróci na siebie uwagę zniszczonym mundurkiem. Ale gdy wszyscy wyszli z ławek i ustawili się w przejściu w dwa długie szeregi, uznał, że jeszcze bardziej rzuca się w oczy, siedząc samotnie; wyobrażał sobie, że każdy patrzy na niego i zastanawia się, czy złamał post, czy też popełnił jakieś inne straszliwe przestępstwo. Ukrył głowę w rękach, starając się wyglądać na wyjątkowego świętoszka, dla którego nie jest to dzisiaj pierwsza msza i który już przyjął komunię.

Gdy nabożeństwo dobiegło końca i wierni wysypali się na świeże powietrze, wyszedł z kościoła wraz z nimi, ale kiedy znalazł się na zewnątrz, nie miał pomysłu, co robić dalej. Włóczył się więc w pobliżu. Najpierw wpatrywał się wyczekująco w dal, jakby kogoś wyglądał, potem studiował

ogłoszenia parafialne w kruchcie. Gromadzili się już wierni na następną mszę. Gdy kościół niemal się wypełnił, Conor wśliznął się do środka.

Uczestniczył w trzech mszach i jednym chrzcinach. Podczas chrztu stanął daleko z tyłu. W czasie ceremonii niemowlę płakało, drąc się z całych sił. Conor nie mógł znieść tego wrzasku. Płacz przypominał mu nieuchronnie siostrzyczkę, wzmagając poczucie bezsilności i zawodu, które nosił w sercu. Pojawił się jednak pilniejszy kłopot: Conor czuł przeraźliwy głód i głośno burczało mu w żołądku. Był pewien, że towarzystwo, które uczestniczy w chrzcie, musi to słyszeć.

Gdy chrzest się skończył, życzenia zostały złożone i wszystkie zdjęcia zrobione, zakrystian zgasił świece na ołtarzu. Oprócz Conora jedyną osobą w nagle pociemniałym, cichym kościele była starsza pani, cała w czerni, która idąc, przyklękała przy stacjach Drogi Krzyżowej. Chłopiec wciąż udawał, że się modli, i bał się opuścić to schronienie. Teraz jednak nie tylko burczało mu w żołądku, ale naprawdę bolał go brzuch. Mniej więcej o tej porze, pomyślał z tęsknotą, chłopcy w szkole siadają do obiadu. Niedziela oznaczała boczek, groch i dodatkowe ziemniaki. Strach walczył z głodem i głód łatwo zwyciężył. Conor wyszedł i okrążył kościół, dostając się na tyły, gdzie nie stały żadne domy. Opierając się o ogrodzenie, odwinął chleb i pochłoniął wszystkie sześć kromek jedną po drugiej. Bardzo chciało mu się siusiu, więc z wielkim wstydem wcisnął się w kąt między budynkiem kościoła a murem, gdzie znajdowała się rura odprowadzająca ścieki na brzeg morza. Potem wrócił do kościoła - wydawało mu się, że nie ma innego wyboru. Do tej pory w szkole na pewno zauważono jego nieobecność.

Ksiądz wikary, wielebny Tom Hartigan, niski mężczyzna, którego najbardziej wyróżniał duży, haczykowaty nos, znalazł Conora około godziny szóstej, zwiniętego na ławce w bocznej kaplicy Przenajświętszej Panny. W spokojnej niszy było zupełnie ciemno, ale rząd topiących się, małych świeczek przed figurą Matki Boskiej oświetlał twarz śpiącego chłopca z dwoma półksiężycami ciemnych rzęs. Ostrzyżona pod garnek głowa spoczywała na rękach. Ręka-

wy trochę za małego mundurka odsłaniały kościste nadgarstki.

Ksiądz delikatnie potrząsnął chłopcem.

- Synu, synu, obudź się. Nie powinieneś tu spać. Conor ocknął się natychmiast i usiadł z bijącym sercem.

- Przepraszam, proszę księdza.

Duchowny zdjął okulary i przechylił głowę na bok.

- Co tu robisz, synu? Jak się nazywasz? Conor zwiesił głowę.

- No, dalej, synu. Jestem księdzem. Wiesz, że księdzu można wszystko powiedzieć. Nawet swoje nazwisko... - Zaśmiał się po cichu, wydając przez swój olbrzymi nos dziwny odgłos, coś między sapnięciem a parsknięciem.

- Conor Ó Briain - odparł chłopiec. Mimo skrępowania nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, słysząc niezwykle dźwięk.

Ksiądz nie dosłyszał wymamrotanej odpowiedzi, ale zrozumiał sytuację. Ten chłopiec nie był pierwszym zbiegiem, z którym miał do czynienia.

- Jeśli powiesz mi, jak się nazywasz, zabiorę cię do domu, możemy coś przekąsić i trochę pogawędzić...

Conor znów po prostu umierał z głodu i propozycja wydała mu się kusząca. Ale czuł niepokój. Każda osoba w su-tannie wywoływała podejrzenia.

-No, nie wiem, proszę księdza, ale dziękuję, tak czy owak. Lepiej pójdę do domu.

Ksiądz nie dał się zwiść.

-No, chodź. Mam gospodynię, która piecze najlepszy placek z jabłkami w całym hrabstwie. To było więcej, niż ciało może znieść.

- Dobrze, proszę księdza.

- Jak się nazywasz? - spytał ponownie ksiądz, gdy wyszli z terenu kościoła w kierunku dwupiętrowej plebanii.

- Conor Ó Briain.

- Skąd jesteś?

- Z Inis Oirthir.

- A co tutaj robisz?

Conor usiłował odpowiedzieć, ale słowa nie chciały popłynąć. Dobroć księdza przerwała ostatnie tamy spokoju

i opanowania i w końcu dał upust wszystkim emocjom, które targały nim od minionych trzydziestu sześciu godzin.

- Nie martw się, synu - powiedział wikary, poklepując go po ramieniu. - Cokolwiek by to było, poradzimy sobie.

Poczujesz się lepiej po przekąsce i filiżance herbaty, a potem pomogę ci rozwiązać problem.

Zanim usiedli do jedzenia, Conor poszedł do łazienki, by umyć twarz i ręce. Gdy jednak ukrył twarz w jednym z miękkich ręczników, ogrom kłopotów w pełni do niego dotarł. Co miał zrobić? Władza w postaci księdza czekała na dole. Nie miał pieniędzy na dalszą ucieczkę, nie było sposobu, żeby dostać się na Inis Oirthir. Nie śmiał nawet pomyśleć o scenie, która go czekała po powrocie do szkoły.

Ksiądz Hartigan siedział na krytym perkalem krześle przy kominku w małym saloniku obok kuchni. Węgiel płonął na palenisku, ściszone głosy dochodziły z bakelitowego radia, stojącego w kącie na dwupoziomowym barku na kółkach. Na małym stoliku naprzeciwko kominka czekał obiecany placek z jabłkami i serwis do herbaty.

- A, jesteś już - powiedział ksiądz, gdy Conor, zaróżowiony od mycia, niedawnych łez i z zakłopotania, wsunął się nieśmiało do pokoju. - Usiądź sobie tutaj, a ja przyniosę herbatę - ciągnął - jest już zaparzona. Jaka lubisz? Mocną czy słabą?

- Wszystko jedno, proszę księdza... - Conor zająknął się, zupełnie nieprzyzwyczajony do takich pytań.

- Dobrze. Powinna być gotowa - rzekł ksiądz, wstał i poszedł do kuchni. - Inis Oirthir. Powiedziałeś, że stamtąd jesteś? - zawołał.

Conor, który siedział na drugim krześle obok kominka, zdenerwował się jeszcze bardziej niż do tej pory.

- Tak, proszę księdza.

- Znam Inis Oirthir całkiem dobrze. Z jakiej okolicy pochodzisz?

To było niebezpieczne. Na Inis Oirthir mieszkało mniej niż czterystu ludzi na pięciuset sześćdziesięciu hektarach.

Dlaczego ksiądz tak go przyciska do muru?

Ojciec Hartigan wrócił z kuchni.

- Powiedziałeś, że z jakich okolic?

- Cashel, proszę księdza.

- Ó Briain, Ó Briain - zastanawia! się ksiądz, nalewając herbatę. - Chyba nigdy nie natrafiłem na Ó Briainów w tych stronach.

Dostrzegł ulgę na twarzy chłopca. Co próbował ukryć?

- Tak przy okazji, nazywam się ksiądz Hartigan - powiedział duchowny tonem towarzyskiej pogawędki, krając placek z jabłkami. - Nie jestem stąd. Pochodzę z Dublina. Byłeś kiedyś w Dublinie?

- Nie, proszę księdza.

Conor zatrzymał wzrok na lepkiem soku, którego bąbelki wypływały z ciasta, gdy ksiądz przyciskał je nożem. Ślina napłynęła mu do ust.

- Dublin to wspaniałe miasto. Znakomite miejsce dla dorastającego chłopca. Calway też lubię, oczywiście, ale w miejscu, gdzie się człowiek wychował, zawsze ma ochotę mieszkać - nie sądzisz?

- Tak, proszę księdza.

Conor nie dbał o to, gdzie ksiądz chce lub nie chce mieszkać. Gdyby był sam, wepchnąłby cały placek z jabłkami od razu do ust. Wielebny Hartigan podał mu duży kawał ciasta, około jednej trzeciej, a sam wziął cienki plasterek.

Począł, aż chłopiec zje ostatni kęs pierwszego kawałka, i położył mu na talerzu drugą olbrzymią porcję.

- No więc, Conor - zaczął - może byś mi powiedział, co cię tu sprowadza?

Conor przełknął ślinę.

- Ja... ja próbuję się dostać do domu, proszę księdza. Ksiądz rozpoznał mundurek St Kevin's School.

- Czy coś ci się przydarzyło w szkole? Dlatego jedziesz do domu?

Ale Conor nie ufał nikomu w czarnej sutannie.

- Nie, proszę księdza, szkoła jest w porządku... - Zawahał się. - Tylko... Tylko moja siostrzyczka jest chora, bardzo chora, i chcę ją zobaczyć, zanim... - Głos mu zadrżał i Conor znów przełknął ślinę.

Ksiądz Hartigan dolał herbaty i wsypał trzy łyżeczki cukru do filiżanki chłopca.

- Boisz się, że umrze? - spytał łagodnie.

- Tak, proszę księdza... - I ku zmartwieniu Conora, łzy znowu popłynęły po jego twarzy.

- Pij herbatę, synu, potem zobaczymy, co można dla ciebie zrobić.

Jedli w milczeniu. Conor, choć łzy wciąż płynęły mu po twarzy, nadając ciastu słony smak, zmiotł wszystko z talerza. Gdy przełknął ostatni łyk herbaty, wielebny Hartigan odezwał się znowu:

- Posłuchaj, chłopcze, pierwsze, co musimy uczynić, to powiadomić zakonników, że z tobą wszystko w porządku.

Do tej pory pewnie wysłali już strażę na poszukiwania. -Zobaczył, że twarz chłopca zbieleła, i pochylił się do przodu, chwytając go na przegub. - W porządku, synu, wszystko będzie dobrze. Znam brata Camillusa. Zadzwoń do niego i powiem, że jesteś ze mną. Możesz dzisiaj zostać u mnie, a rano załatwimy ci łódź na Inis Oirthir. Dobrze?

Conor nie wyglądał na przekonanego. Ksiądz wyczuł, wciąż trzymając go za rękę, że chłopiec cały drży ze strachu.

- O co chodzi? Możesz mi opowiedzieć o wszystkim, czego się boisz. Obiecuję ci, przysięgam na Baranka Bożego, że nikomu tego nie zdradzę.

- O nic, proszę księdza.

- Synu, wiem, że coś jest nie tak. Możesz mi powiedzieć. Szczerze

Conor odważył się po raz pierwszy spojrzeć księdzu prosto w oczy.

- Brat Patrick, proszę księdza - wyszeptał. - On mnie zabije.

Wielebny Hartigan wziął chłopca pod brodę wolną ręką.

- Spójrz na mnie, Conorze. Nikt, brat Patrick ani nikt inny, nie zabije cię. Obiecuję. Zawiozę cię osobiście do szkoły, gdy wrócisz z Inis Oirthir, i dopilnuję, żeby nic ci się nie stało.

Conor zamknął oczy.

- Wierzysz mi, synu?

Conor wolno skinął głową i ksiądz puścił go.

-Więc dobrze. Teraz muszę zadzwonić, zanim strażę

aresztują mnie za porwanie! - Żart nie wywołał uśmiechu chłopca i po chwili wielebny Hartigan wyszedł z pokoju na korytarz, skąd Conor usłyszał wykręcanie numeru.

Christian czuł się zagubiony. Niedzielne poranki w tym domu na ogół dawały się przewidzieć - poranna krzątania, duże śniadanie - ale tym razem chłopiec obudził się sam. Zobaczył na zegarze ściennym nad półką z książkami, że jest po dziewiątej. Nie tylko nikt go nie obudził na śniadanie, ale prawie wcale nie słyszał domowych odgłosów.

Wyrzwał przez okno. Podjazd był pusty - powinien tam stać samochód, którym jeździli do kościoła.

Włożył szlafrok i kapcie i zszedł na dół. Nikogo nie było w żadnym pokoju, nawet służącej. Znalazł Bridie w kuchni, ale nie poczuł zapachu jedzenia, żadnego mięsa w piecyku. Bridie siedziała przy dużym stole. Miała zaczerwienione oczy i płakała, wycierając łzy fartuchem. Zaniepokoił się na poważnie.

- Co się stało, Bridie? Gdzie są wszyscy? Gdzie babcia i dziadek? - spytał.

Bridie nie odpowiedziała. Zaszlochała i poszła do lodówki po mleko do jego płatków.

- Bridie, co się dzieje? - Serce Christiana zaczęło walić jak młotem.

Gospodyni zamachała rękoma w powietrzu, ale nadal się nie odzywała. Wszyscy w domu wiedzą, że Bridie płacze z byle powodu, uspokajał się Christian. Płakała nawet, oglądając „Trzech Myszkieterów” w telewizji; twierdziła, że są uroczy („takie małe myszka”). Ale ten płacz wydawał się inny.

- Czy ktoś zachorował, Bridie? - spytał Christian bezradnie, tym razem zwracając się do szerokich pleców gospodyni, którą dalej wstrząsało łkanie, gdy mieszała mleko w garnku na dużej kuchni gazowej. Poczuł, że sam zaczyna płakać ze współczucia dla Bridie, ale starał się powstrzymać łzy.

- Co z babcią? - spytał. - Gdzie jest babcia? - Naprawdę chciał, żeby mama tu była - zawsze wiedziała, jak poradzić sobie z Bridie.

- Babcia i dziadek musieli wcześniej wyjść - udało się Bridie wydusić między jednym a drugim napadem płaczu.

Christian poczuł się teraz zakłopotany i nie mógł się doczekać wyjścia z kuchni.

- Bridie, nie jestem dziś bardzo głodny - powiedział. - Chyba nie będę jadł śniadania. - I zanim się odwróciła, uciekł z kuchni.

Usiadł na łóżku w swoim pokoju i próbował zrozumieć, o co tu chodzi. Wyraźnie coś się w domu stało - wyczuwał to. Podniósł z podłogi „Czarnego Księcia”, gdzie spadł, gdy Christian wczoraj zasnął, ale tym razem słowa nie przykuły jego uwagi.

Postanowił się ubrać. Wciąż był zmartwiony, ale mama zawsze mówiła, że praca i ruch najlepiej zwalczają kłopoty. Mógł zacząć budować budę dla psa.

Czterdzieści pięć minut później Christian był pochłonięty pracą. Połączył dwa boki budy za pomocą dwóch kątó-wek, które znalazł w skrzynce z narzędziami ogrodnika, kiedy wyczuł, że ktoś jeszcze jest w garażu.

Rozejrzał się wokoło. Za nim stał szofer.

- Cześć, Jim - zagadnął radośnie Christian. - Buduję budę - widzisz? Mama powiedziała, że dostanę szczeniaka, gdy wróci z Europy, i chcę wszystko dla niego przygotować.

Nagle uderzyło go w wyglądzie szofera coś dziwnego - Jim nie był ubrany w uniform, lecz w garnitur. Tylko raz Christian widział Jima Maskowskiego w garniturze, gdy przypadkiem spotkali go, idąc z wizytą do cioci Mamie w południowej części miasta.

Ale zanim zdążył o to spytać Jima, szofer sam się odezwał.

- Wiem wszystko o szczeniaku, Christianie - twój dziadek mi powiedział.

Chłopiec zdziwił się.

- Miał nikomu nie mówić! To była tajemnica!

- Tak, ale powiedział mi, bo chce, żebyś dostał szczeniaka teraz.

- Teraz? Dzisiaj?

- Tak, Christianie - odparł szofer bezbarwnym głosem. - Chce, żebym zawiózł cię do schroniska, gdzie możesz sobie

wybrać szczeniaka, jaki ci się spodoba. Wiesz, to najlepsze na świecie miejsce, gdzie można go zdobyć, bo wszystkie tamtejsze psy zostały porzucone i nie mają domów. Więc możesz zrobić dobry uczynek, uratować jednego i dać mu przytulny dom.

Malcolm i Jim wdali się w rozważania, gdzie można dostać szczeniaka w niedzielę, i doszli do wniosku, że schronisko dla zwierząt jako instytucja charytatywna jest rzeczywiście jedynym odpowiednim miejscem.

Christian wyglądał na niezdecydowanego.

- Jesteś pewien, Jim? Mama powiedziała, że pojedzie ze mną, gdy wrócą do domu z Europy. Skąd wiesz, że nie miałyby nic przeciwko temu?

- Tak, Christianie, jestem całkowicie pewien. Nie miałyby nic przeciwko temu. Twój dziadek jest przekonany, że to by jej nie przeszkadzało. - Szofer potarł sobie oko.

Christian popędził do domu po kurtkę i przybiegł z powrotem, przeskakując po trzy stopnie na raz. Usadowił się na przednim siedzeniu cadillaca.

- To wspaniale, Jim. Potrzebujemy pieniędzy? Ile? Może wrócę i przyniosę swoją skarbonkę?

- Nie, Christianie - odparł szofer, któremu mimo woli udzieliło się podniecenie chłopca. - Mam wszystko, co trzeba. Twój dziadek dał mi pieniądze.

Przez całą drogę do Riverwoods Christian snuł plany związane ze szczeniakiem. Gdy jechali przez przedmieście Deerfield, zauważył kobietę ciągniętą po chodniku przez bernardyna.

- Zastanawiam się, czy dostanę dużego psa - zwrócił się do szofera. - Jak myślisz, Jim?

- To, oczywiście, zależy od ciebie, Christianie, ale sądzę, że pies takich rozmiarów sprawiałby trochę trudności.

Pomyśl, jak wielka musiałaby być buda.

Christian skinął głową z powagą.

- Pewnie masz rację. Może taki byłby za duży... - A potem dodał: - Myślisz, że szceniak pokocha mnie od razu?

Skąd będę wiedział, którego wybrać? Och, mam nadzieję, że uda mi się znaleźć takiego, który pokocha mnie od razu...

Wczesna pora sprawiła, że w schronisku było tylko kilku potencjalnych klientów. Dziewczyna z recepcji zabrała ich na podwórze, gdzie Christiana zalała fala współczucia. Szeroko otwartymi oczami patrzył na koty w rzędach podwyższonych klatek, każda o powierzchni około metra kwadratowego. Większość zwierzków ignorowała wszelkie próby zwrócenia ich uwagi, ale jeden czy dwa miauczały głośno i wystawiały przednie łapy przez druciane kraty, usiłując nawiązać kontakt z ludźmi. Christian miał ochotę zabrać je wszystkie do domu.

Psy, które miały ogrodzone siatką wybiegi, inaczej się zachowywały. Czekały z desperacką nadzieją, a gdy się zbliżał, zaczynały szczekać i skomleć z podniecenia, biegały tam i z powrotem, cisnęły się do drucianego ogrodzenia i wdrapywały jedne na drugie.

„Weź mnie do domu, weź mnie do domu! Mnie, mnie!” -Christianowi wydawało się, że wszystkie go o to błagają, i poczuł się całkiem wytracony z równowagi na myśl, że może uratować tylko jednego.

Nie potrafił wybrać między podnieconym, młodym, żółtym labradorem, który skakał dookoła, próbując zawzięcie polizać go przez pręty, a bardzo smutnym czarno-białym kundlem, który trzymał się z tyłu wybiegu, jak gdyby wiedział, że nie ma sensu liczyć na jakiegokolwiek względy pośród tak olśniewającego towarzystwa. Siedział z wyrazem rezygnacji na inteligentnym pysku; nie patrzył na Christiana, ale od czasu do czasu, drżąc, rzucał na niego pytające spojrzenie. Po chwili klapnął na ziemię, położył łeb na puszystych łapach i wyglądało na to, że ostatecznie dał za wygraną.

Christian nie mógł się oprzeć takiemu smutkowi.

- Wezmę tego - powiedział szoferowi, pokazując na kundla, który - jak się wydawało - wyczuł jego decyzję, bo wsparł się na przednich łapach i zamachał ogonem, a właściwie samym jego koniuszkiem, jak gdyby nie chciał chwalić dnia przed zachodem słońca.

Załatwianie formalności poszło łatwo. Christian z szoferem wybrali obrożę, smycz i dwie miski, jedną na jedzenie, a drugą na wodę. Potem dziewczyna wróciła po psa.

Wyprowadziła go odmienionego. Machał ogonem tak gorliwie, że całe ciało wprawiało to w ruch, postawił uszy i ziajał ze szczęścia. Skoczył na Christiana i oblizał mu twarz, a potem ręce. Szofera też liznął, jakby chciał im obu podziękować. Kierowca złożył datek i wrócili do samochodu. Pies bez wahania wskoczył przez otwarte drzwi na tylne siedzenie.

- Gdzie będę go trzymał? - zaniepokoił się Christian. - Jego buda nie jest jeszcze gotowa.

- Nie martw się - powiedział szofer. - Dziadek pewnie pozwoli ci go trzymać przez jakiś czas w twoim pokoju, dopóki nie skończysz budy.

Buda nigdy nie została skończona. Pies, którego Christian nazwał Flash z powodu białej smużki na czarnej mordzie, wprowadził się tego wieczoru do pokoju chłopca i spał tam co noc, do chwili gdy zdechł sześć lat później.

Dziadkowie czekali, aż Christian wróci z pierwszego spaceru z Flashem. Chłopiec spotkał Cordelię w holu i natychmiast zorientował się, że coś jest grubo nie w porządku bo miała zapuchniętą twarz. Najwyraźniej płakała.

Serce znowu zaczęło mu walić.

- Co się stało, babciu? - spytał, tak samo zaniepokojony jak wcześniej w kuchni.

- Christianie, kochany - odezwała się babcia - pójdziesz ze mną do saloniku? - Wzięła go za rękę. - Dziadek i ja mamy ci coś bardzo smutnego do powiedzenia.

Malcolm siedział na swoim krześle z poręczami, ale odwrócony plecami do jeziora, za to twarzą do drzwi'. On też wyglądał dziwnie. Christian zdał sobie sprawę, że dziadek również płakał. Serce zamarło mu w piersi.

Dziadek wyciągnął ramiona do chłopca, który nadal trzymał Flasha na smyczy. Pies ciągnął do tyłu, łapy mu się rozjeżdżały, bał się wyfroterowanego parkietu, ale Christian powłókł go naprzód. Trzymając mocno kundla, niechętnie podszedł do Malcolma. Bał się spojrzeć w jego twarz i uniknął objąć, zatrzymując się przed dziadkiem.

Malcolm nie nalegał na uścisk.

- Christianie - zaczął - nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale wydarzyła się katastrofa lotnicza...

Chłopiec nie odezwał się, wpatrzony we Flasha, który podkuliwszy ogon, ciągnął do drzwi.

- Rozumiesz, Christianie? - powtórzył Malcolm. - Twoja mama, i tata, i Susanna mieli katastrofę samolotową.

Dla chłopca świat się zatrzymał. Poczuł, jak sam kurczy się do rozmiarów maleńkiej kropeczki. Jedynym rzeczywistym stworzeniem w pokoju był Flash.

- Skąd wiesz, że to był ten samolot? - spytał Christian w końcu. Głos chłopca brzmiał tak samo niepewnie, jak czuł się jego właściciel.

Malcolm wznosił ręce, jakby chciał wygłosić przemówienie.

- Kochanie, sprawdzaliśmy wielokrotnie. Nie spaliśmy całą noc. Byliśmy na posterunku policji. To nie pomyłka.

Christian wpatrywał się we Flasha. Zauważył, że pies ma jedno ucho wyżej od drugiego.

- Skąd wiecie, że się rozbili? Tatuś mówił, że będą lecieć nad Grenlandią, pokazywał mi w atlasie. Mogli wylądować na Grenlandii i nikt ich jeszcze nie odnalazł.

- Christianie, to niemożliwe, bo wystartowali z Islandii bez kłopotów, ale nigdy nie dotarli do Irlandii. A tratwę ratunkową z samolotu znaleziono wyrzuconą na brzeg jakiejś wyspy na zachodnim wybrzeżu Irlandii. Pustą tratwę, Christianie.

Chłopiec skupił się na plamce, którą był on sam. Bał się, że w ogóle zniknie.

Malcolm objął głowę rękoma. Christian uświadomił sobie nagle, że jego silny, zabawny dziadek wygląda jak słaby, stary człowiek. Jednakże sam musiał przywrzeć mocno do swego wciąż kurczącego się ja. Spojrzał na Cordelię, ale ona też trzymała ręce przy twarzy, także było widać tylko jej oczy pełne łez. Zauważył, że łzy spływają jej po wierzchołkach rozłożonych dłoni, torując sobie drogę między dużymi plamami, niby strumyczki rwące wśród brązowych kamieni.

- Mogę już iść? - spytał, jak gdyby nigdy nic. Dziadek skinął głową, nie patrząc na niego.

- Przyjdę za chwilę, Christianie - powiedziała Cordelia dziwnym, przytłumionym głosem.

Chłopiec wymknął się cicho z pokoju, pies biegł obok niego. Gdy dotarli do podnóża schodów, Christian odwrócił się i spojrzął przez otwarte drzwi saloniku. Dziadek wciąż siedział na krześle. Poza tym widać było tylko czubki stóp babci. Słońce świeciło nad jeziorem. Chłopiec pomyślał, że scena ta wygląda jak namalowany przez kogoś obraz. Conor obudził się wcześniej. Przez pierwsze parę chwil nie wiedział, gdzie jest. Leżał na łóżku większym niż zwykle, sam w pokoju. Wyśliznął się z pościeli i wyjrzał przez okno. Wstawał piękny dzień: słońce niedawno weszło, a teraz igrało po pustych ulicach za podwórcem kościelnym i oświetlało biały bez w ogrodzie domu po drugiej stronie ulicy. Ptaki szalały; kosy i wrony, szpaki i wróble czyniły taki zgiełk, że obudziłyby go z pewnością, gdyby nie wstał na dźwięk dzwonu. Miał wielką ochotę znaleźć się na Inis Oir-thir - wzywało go powietrze, ptaki i połyskujące morze. Serce mu zamarło. Kto wie, co czeka go na Inis Oirthir? Jak się czuje Molly? Czy już nie żyje? Czy on poradzi sobie z tym wszystkim?

Wrócił do łóżka, próbując przespać się jeszcze trochę, dopóki go nie wezwą.

O siódmej trzydzieści zawołała go gospodyni księdza. Kręciła się zachwycona i zaaferowana wokół chłopca, podając mu na śniadanie jajka na boczku i grube grzanki. Conor, wygłodniały jak zwykle, łapczywie pochłaniał jedzenie i skończył, zanim dołączył do niego wielebny Hartigan, który odprawiał poranną mszę w kościele. Czas mijał powoli. Podczas śniadania ksiądz próbował rozruszać chłopca, pytając go o naukę w szkole. Wyciągnął z Conora, że jego ulubionym przedmiotem jest geografia.

- Dlaczego lubisz geografię?

- Nie wiem.

- No, spróbuj, to twój ulubiony przedmiot, musisz wiedzieć, dlaczego ci się podoba.

Chłopiec ani nie był przyzwyczajony do tego, by ktoś uwzględniał jego upodobania, ani nie miał wprawy w prowadzeniu rozmowy z kimś dorosłym jak równy z równym. Tymczasem kogoś, w dodatku księdza, naprawdę interesowało-

wało, co on myśli i czuje. Niepewnie próbował wyjaśnić, co pociąga go w geografii.

- Naprawdę nie wiem, proszę księdza. Lubię sobie wyobrażać, jak jest w innych krajach. Gorących krajach - dodał.

- Jakie gorące kraje sobie wyobrażasz?

- Leżące w Afryce albo Meksyk czy Indie. Tam są wielkie zwierzęta i olbrzymie rośliny - bo tam jest gorąco, proszę księdza - i można uprawiać wszystko, co się chce. Rosną banany i owoce, i nie trzeba nosić wiele ciuchów, i tam musi być dużo wolności.

Ksiądz dostrzegł ożywienie w niezwykłych oczach chłopca. Po raz pierwszy Conor zrezygnował z czujności.

- Co oznacza dla ciebie wolność, Conorze? - spytał wielebny Hartigan, biorąc kawałek tosta.

Światełko w oczach chłopca przygasło.

- Nie wiem, proszę księdza. - Najwyraźniej wyczuł zagrożenie w tym pytaniu.

- Musisz wiedzieć, co oznacza słowo „wolność”, jeśli go używasz - nalegał ksiądz. - Nie bój się mówić. To nie jest podstępne pytanie, po prostu ciekawi mnie, co przez to rozumiesz. Moja definicja wolności jest pewnie inna od twojej. Każdy ma własną. Może ty mi podasz swoją, a ja tobie moją, i w ten sposób nauczymy się czegoś od siebie.

Conor zastanowił się.

- Sądzę - zaczął powoli - że w innych krajach mają inne zwyczaje i inne religie i nie wszyscy wierzą w to samo. Ale nie są karani za to, że nie zachowują się tak samo jak reszta. To oznacza być wolnym. Bardziej wolnym niż tu - dodał. Zanim księdzu udało się znaleźć satysfakcjonującą odpowiedź, zadzwonił telefon, więc poszedł go odebrać.

Telefonował brat Camillus. Conor słyszał tylko jedną stronę rozmowy, a ksiądz mówił bardzo mało. Po skończeniu rozmowy wielebny Hartigan skierował się do kuchni, wydając ten zadziwiający odgłos sapania, które przechodziło w zduszony śmiech. Teraz nie trzeba będzie wynajmować łodzi. Najwyraźniej po jego telefonie do szkoły poprzedniego wieczoru Camillus zadzwonił na większą wyspę - Inis Mór. Stamtąd drogą radiową połączono się z Inis Oirthir, by uży-

skuć najnowsze wiadomości o rodzinie Ó Briainów. Odpowiedź otrzymano dziś rano i wieści były pomyślne.

- Chyba martwiłeś się bez powodu - powiedział ksiądz. - U twojej siostrzyczki nastąpiło w nocy przesilenie choroby i stan małej się poprawia. Nadal potrzebne jest leczenie przez jakiś czas, ale wszystko będzie dobrze.

Ulga przyprawiła Conora o zawrót głowy, a z drugiej strony poczuł się na wpół rozczarowany, że nie pojedzie na wyspę. Zawód przemienił się w trwogę. Będzie musiał wrócić do szkoły...

Ksiądz obserwował grę tych emocji. Odgadł co najmniej zaniepokojenie.

- Zawiozę cię do St Kevin's samochodem - powiedział, kładąc rękę na ramieniu Conora. - Nie martw się. Nikt, naprawdę nikt nie zrobi ci krzywdy. Obiecuję.

Spojrzał na chłopca, który nie wyglądał na przekonanego.

- Jeśli będziesz miał kiedykolwiek jakieś problemy - zaczął ksiądz impulsywnie - możesz na mnie polegać. I jeśli chcesz, przyjadę do ciebie od czasu do czasu. Nie w każdy dzień odwiedzin, pamiętaj, ale czasami. Świadomość, że masz w księdzu przyjaciela, utrzyma brata Patricka w ryzach. Nawet zakonnicy boją się księży!

Tym razem Conor uśmiechnął się. Po raz pierwszy, od kiedy się spotkali. Wielebny Hartigan zdumiał się, jaka zmiana zaszła w buzi chłopca. Uśmiech rozświetlił pociągłą twarz Conora. Nie raziły już brzydko ostrzyżone włosy i ziemista cera dzieci z internatu. Będzie z niego uwodziciel, pomyślał Tom Hartigan i patrząc na szczery, promienny uśmiech, poczuł nagłą bezradność. Co czynimy naszym dzieciom? - zastanawiał się, kończąc drugą filiżankę herbaty. To dziecko powinno się bawić w słońcu.

Jedna jedyna osoba do rozmowy, pomyślał, zamknięty w ponurej samotności własnego celibatu, odcięty od ludzkich uczuć. Jego rodzice nie żyli, a ponieważ był jedynakiem, więc w przeciwieństwie do wielu przyjaciół duchownych, którzy zajmowali pozycję „ulubionego wujka”, nie miał nawet siostrzeńca czy siostrzenicy, by z nimi gdzieś pójść, ani nikogo, komu mógłby wysłać kartkę urodzinową. Potarł swój olbrzymi nos z jednej strony i odpowiedział

uśmiechem Conorowi, wciąż patrząc na niego z utajoną nadzieją. Wstał od stołu; chłopiec uczynił to samo.

Może wesprzemy się nawzajem, pomyślał wielebny Hartigan. Niezbadane są wyroki boskie.

W drodze do szkoły nic się nie wydarzyło. Ksiądz starał się, jak mógł, podtrzymywać na duchu swego młodego towarzysza, ale zauważył, że im bliżej byli celu, tym bardziej napięcie Conora wzrastało.

Ksiądz Hartigan zjechał z drogi pod pretekstem, że musi zajrzeć do znajomego, który ma w okolicy niewielkie gospodarstwo.

- Chodź ze mną - zaprosił chłopca, gdy wjechali na opustoszałe podwórko, i zgasił silnik.

Conor wysiadł z samochodu i obydwaj podeszli do domu, którego drzwi były uchylone.

Chuda charcica, najwyraźniej karmiąca, wybiegła z budynku na ich spotkanie, łasząc się i popiskując z radości.

Conor schylił się i podrapał zwierzę pod pyskiem. Suka przewróciła się na grzbiet, wymachując łapami w powietrzu z zachwyty.

- Jest tam kto? - zawołał ksiądz przez otwarte drzwi. Nie było odpowiedzi. - Pewnie poszedł w pole - powiedział wielebny Hartigan. - Zajrzę do niego, gdy będę wracał.

Conor był bardzo zadowolony, że znalazł się na świeżym powietrzu.

- Wiesz co - zaczął ksiądz Hartigan, jakby właśnie przyszedł mu do głowy wspaniały pomysł - czuję, że przydałby mi się mały spacer. Chodź, rozprostujemy nogi, dobrze?

- Tak, proszę księdza. - Conor zdziwił się. Nie wiedział, czego się spodziewać po tym zaskakująco nietypowym duchownym. Do tej pory z ludźmi w sutannach miał prawie wyłącznie negatywne doświadczenia.

- Jesteś pewien, że chcesz iść? - Oczy księdza błysnęły figlarnie. - Może straszliwie się śpieszysz, żeby wrócić do brata Patricka?

Conor znów przywołał na twarz ten świetlisty, żywy uśmiech i wielebny Hartigan dostrzegł, że ciało chłopca się rozluźnia.

Szli przez pola i ksiądz natychmiast zarejestrował zmianę, jaka zaszła w jego młodym towarzyszu. Conor wydłużył krok. Wydawało się, że urósł i wyprostował się. Na dworze, wśród przyrody, pomyślał wielebny Hartigan, nikt nie jest panem tego chłopca.

- Opowiedz mi o bracie Patricku - rzucił niedbale.

Conor spojrział na niego bacznie, ale ksiądz był pochłonięty oglądaniem grzyba na spróchniałej korze uschniętego jesionu.

- Co chce ksiądz wiedzieć?

- No cóż, może nie powinienem tego mówić, ale dużo wiem o bracie Patricku. Mamy za sobą długą drogę. Wiesz, jesteśmy w tym samym wieku i studiowaliśmy razem w seminarium. Nie sądzę, żeby cokolwiek z tego, co mi opowiesz, zdziwiło mnie.

A zatem Conor opowiedział mu. Był purpurowy z zażenowania, ale słowa wylewały się same.

- Więc to tak - rzekł ksiądz, gdy opowieść dobiegła końca. Użył niedbałego tonu - w końcu musiał wykazać jakąś solidarność z przełożonymi chłopca - ale serce przepęśniał mu straszliwy gniew. Wybrali drogę, która zaprowadziła ich szerokim łukiem z powrotem do samochodu i przeszli przez rów odwadniający między dwoma kamienistymi polami nieobecnego rolnika.

- Posłuchaj mnie, Conorze - zaczął ksiądz - czy pamiętasz obietnicę, którą dałem ci na plebanii? Ze nie będziesz musiał się bać brata Patricka?

Conor skinął głową. Resztki zmieszania objawiały się nadal w postaci dwóch plam jaskrawoczerwonych rumieńców na jego policzkach.

-No cóż, mogę cię tylko zapewnić, że od dziś już nigdy nie będziesz musiał znosić czegoś podobnego z jego strony.

- Jak ksiądz zamierza tego dokonać?

Wielebny Hartigan z wielką przykrością dosłyszał strach w jego głosie.

- Zachowam to dla siebie, Conorze. Ale daję ci moje słowo. Dobrze?

- Dobrze.

Uśmiechnęli się do siebie. Wielebny Hartigan wyciągnął rękę, a Conor ją uściskał. Ksiądz uświadomił sobie po raz pierwszy, że jest niższy od chłopca.

Nie spotkali nikogo na długim podjeździe szkoły i gdy zatrzymali się przed szarą fasadą, budynek wydawał się tak wymarły, jakby ten poniedziałkowy poranek wypadł w środku wakacji. Kiedy jednak wysiedli z samochodu, przez otwarte okna klas dobiegły ich głosy, niektóre nakładały się na siebie.

Wielebny Hartigan ścisnął ramię Conora, by dodać mu odwagi.

Drzwi otworzył dyrektor szkoły - sam brat Camillus.

- Tak myślałem, że to musisz być ty! - powiedział pogodnie. Brat Camillus nosił okulary, był okrągłutki i wiecznie się czymś martwił, ale chłopcy z St Kevin's, traktując go z ostrożnym szacunkiem ze względu na stanowisko, uważali, że nie jest najgorszy.

- Wejdźcie - zaprosił, ściskając rękę księdza. - Jak się masz, Tom? - Zamknął za nimi wielkie drzwi. - Ten młody człowiek trochę nas przestraszył. Dobrze, że właśnie ty go znalazłeś, Tom. - Mówił o Conorze, jakby ten był paczką zgubioną na stacji kolejowej.

Chwilę stali we trzech, nieco zakłopotani. Conor znowu poczuł intensywny zapach pasty do podłogi, o tej porze dnia pomieszany z wonią gotującej się kapusty.

- Chciałbym z tobą porozmawiać na osobności, Aidanie - odezwał się wielebny Hartigan, przerywając chwilę skrępowania. Po raz pierwszy Conor dowiedział się, że brat Camillus ma jakieś inne imię od tego, które otrzymał w zakonie.

- Pewnie, pewnie, pewnie! - odparł brat Camillus z ulgą, że znowu będzie miał konkretne zajęcie, i gwałtownie otworzył drzwi do rozmównicy.

- Zaczekaj tutaj, Ó Briain - rzucił przez ramię do Conora. W chwilach niepokoju czy niepewności w mowie brata Camillusa słycać było, że pochodzi z Kerry. Sam wpadł do pokoju przed księdzem.

Zanim wielebny Hartigan zamknął za sobą drzwi, puścił oko do Conora.

Chłopiec wysiłał się, żeby rozróżnić poszczególne słowa w szemrzących głosach, które dochodziły zza ciężkich drzwi, ale nie mógł niczego dosłyszeć, a nie śmiał podejść bliżej. Skracał sobie czas, licząc czarne i białe kwadraty płyt podłogowych, nie potrafił się jednak skoncentrować ze zdenerwowania i ciągle mylił się w liczeniu. Przyglądał się dwóm obrazom w holu - ponuremu, upstrzonemu przez muchy portretowi założyciela zakonu i jaskrawemu zdjęciu Piusa XII - gdy raptem usłyszał, że drzwi do rozmównicy otworzyły się.

Wielebny Hartigan wyszedł pierwszy. Przeszedł przez hol i ujął Conora za ramię.

- W porządku - powiedział. - Chodź! Odprowadź mnie do samochodu.

Conor spojrział na przeora, czekając na zezwolenie, ale ten kołysał się z pięt na palce i nerwowo przerzucał coś w kieszeni sutanny, nieustannie szeleszcząc. Chłopiec nie mógł nic wyczytać z wyrazu twarzy zakonnika, lecz Camillus machnął ręką w kierunku drzwi.

- Idź, idź, idź!

Zeszli ze schodów do samochodu. Ksiądz Hartigan otworzył drzwiczki i odwrócił się do chłopca ze śmiertelnie poważną twarzą.

- Posłuchaj, Conorze. Jeśli będziesz przestrzegał swoich obowiązków i robił to, co do ciebie należy, nie będziesz miał więcej kłopotów w tej szkole.

- Co... co ksiądz mu powiedział? - wykrztusił Conor.

- To nie ma znaczenia. Mówiłem ci wcześniej, że brat Patrick i ja mamy długą drogę za sobą i że Camillus też znam dość dobrze. Tyle powinieneś wiedzieć. I jeszcze jedno...

Wyjął z kieszeni pogniecioną kopertę, przetrząsnął schowek w samochodzie i wydobył na wpół pogryziony długopis. Nabazgrał coś na kopercie.

- To jest mój numer telefonu. Gdybyś czegoś ode mnie potrzebował - naprawdę czegokolwiek - zadzwoń do mnie. Dobrze? Powiedziałem bratu Camillusowi, że pozwalam ci na to, i on załatwi dostęp do aparatu.

Conor spojrział na niego w osłupieniu.

- Co się tak gapisz! - Ksiądz dał mu przyjacielskiego kuksańca w ramię. - Ale, ale... Nie spodziewam się telefonu od ciebie, gdy ci się zachce tabliczki czekolady! Dzwon jednak, gdy będziesz miał ochotę porozmawiać. Dobra?

Conor skinął głową, wciąż oniemiały ze zdumienia.

Ksiądz wskoczył do samochodu, zapalił silnik i ruszył z rykiem po podjeździe. Dopiero wieczorem w sypialni Conor odkrył, przepisując numer telefonu z koperty do notesu, że zawiera ona pięciofuntowy banknot. Gdy odkładał notes do szafki, usłyszał ciężki krok brata Patricka na deskach podłogi. Zasłony wokół łóżka chłopca rozsunęły się z szelestem i zakonnik stanął w prześwicie niczym olbrzym. Conor chciał instynktownie się skulić, ale zamiast tego wstał z łóżka i wyprostował się na całą wysokość. Brat Patrick i chłopiec wpatrywali się jeden w drugiego. W półmroku Conor dojrzał po bokach habitu zaciśnięte pięści zakonnika.

- Ważniak! - rzucił brat Patrick. - Patrzcie no, znalazł się ważniak! - Był tak wściekły, że kropelka śliny prysnęła mu z ust i spadła na podbródek.

Słowa księdza sprawdziły się. Codzienne życie Conora w St Kevin's stało się dużo spokojniejsze i tak już było do końca.

W tydzień po powrocie Conora do szkoły jego wujka Seana Ó Briaina pogoda zmusiła do przybicia do brzegu Inis Meain, środkowej wyspy. Nie był tam jedyny z Inis Oirthir: z Seanem płynął drugi mężczyzna, a kolejnych dwóch wiatr zagnał do brzegu wraz z dwoma rybakami z Inis Mór. Tego wieczoru w pubie siedział obcy, antropolog z Norwegii, ostatni z długiej kolejki badaczy życia wyspiarzy. Ten jeden był bardziej zacięty od reszty: przyjechał w czerwcu ubiegłego roku i został na zimę.

Do pubu niedawno bez szwanku dowieziono alkohol, i to w znacznej ilości, więc było tu pełno ludzi rozprawiających ochryplymi głosami. Norweski antropolog, dla miejscowych część umeblowania, siedział sobie cicho w kącie.

Wciąż rozumiał tylko fragmentarycznie to, co słyszał. Szybka, potoczna mowa niewiele miała wspólnego ze słownikami i gramatyką. Badacz odnosił w dodatku wrażenie, że kiedy

jest w pobliżu, nawet słowa, które mógłby zrozumieć, ludzie celowo zniekształcają i przekręcają, chcąc ich sens zatrzymać dla siebie.

Zachciało mu się mocnego portera, więc dobrnął tutaj mimo złej pogody, i sączył swoje pół kwarty, nie naprzykrzając się nikomu. Nagle usłyszał podniesione głosy, gwałtowniejsze od innych. Rozległ się głośny trzask, brzęk szkła, po czym zapadła cisza, wszystkie rozmowy umilkły.

Rozejrzał się wokół. Mężczyźni z Inis Oirthir stali. Jeden trzymał stłuczoną butelkę, wyszczerbioną stroną skierowaną ku mieszkańcowi Inis Meain. Pozostali trzej ruszyli powoli ku niemu i stanęli ciasno tuż przy swoim ziomku. Ten ze zbitą butelką stał na przedzie. Wszyscy wyciągnęli szyje jak tropiące psy. Pozostali goście w pubie zbliżyli się kołem do zagrożonego mężczyzny z Inis Meain. Tylko antropolog i dwaj mieszkańcy Inis Mór wciąż siedzieli.

Żadna z grup nie przerywała ciszy. Antropolog zauważył, że miejscowi mieli olbrzymią przewagę nad mężczyznami z Inis Oirthir -przypadało czterech na jednego. Kobieta za barem głośno stuknęła kuflem o ladę i powiedziała coś, czego Norweg -głęboko rozczarowany - nie zrozumiał. Ani jedni, ani drudzy nie zwrócili na nią uwagi.

Przez trzydzieści sekund mężczyźni stali naprzeciwko siebie bez ruchu. Potem powoli ludzie z Inis Oirthir na sztywnych nogach wycofali się powoli za drzwi. Mężczyzna, który trzymał stłuczoną butelkę, przystanął przy stoliku obok drzwi i powoli położył na nim naczynie wyszczerbioną krawędzią w kierunku ludzi z Inis Meain.

Gdy wyszli, norweski antropolog spytał kobietę za barem, co się stało, ale ona odparła, że nie wie. Nie dowiedział się niczego przed upływem pół godziny, kiedy to z rozmowy z mieszkańcami Inis Mór wyniknęło, że mężczyzna z Inis Meain mówił coś o pogłoskach, jakoby na Inis Oirthir działy się dziwne rzeczy, nawet jakaś podmiana dzieci.

Antropolog, który znał legendę, był podniecony tą sytuacją. Ale choć starał się, jak mógł, przez resztę zimy nie udało mu się dotrzeć do żadnych konkretniej szych informacji. Nawet na Inis Oirthir.

Rozdział 3

Codzienne życie Molly na Inis Oirthir nie różniło się od życia innych małych dziewczynek. Uczyła się ubierać, zapinać spódniczki, kiedy podrosła, pomagała matce w jej pracach, w ładne dni bawiła się na dworze z suką, którą nazywała Beauty, chodziła do szkoły, uczyła się modlitw, liczb i liter przy kuchennym stole z mamą, gdy było za zimno lub za mokro, żeby wyjść z domu.

Ale dzisiaj, dwudziestego szóstego maja, był jej wielki dzień, chyba najważniejszy w życiu, pomyślała, gdy się obudziła. Skończy dokładnie pięć lat, trzy miesiące i dwadzieścia sześć dni i po raz pierwszy popłynie na ląd. Zawsze mogła łatwo sprawdzić, w jakim dokładnie jest wieku, bo mama nauczyła ją korzystać z kalendarza, więc umiała policzyć czas, który upłynął od jej urodzin 1 lutego - La'le Bhride - dnia świętej Brygidy, patronki Irlandii. To dobry dzień na urodziny, mówiła zawsze mama, bo zarazem pierwszy dzień wiosny. Molly powątpiewała w to na początku, jako że co roku, gdy wyglądała przez okno w swoje urodziny, było zwykle bardzo zimno, mokro i burzowo. Ale mama wyjaśniła jej, że tego dnia pod ziemią wszystkie rośliny zaczynają prostować liście, przygotowując się do wypchnięcia ich na świeże powietrze. Molly poczuła się wtedy uprzywilejowana i współczuła każdemu, kto miał urodziny w zwykły, nieciekawy dzień.

Obudziła się wcześniej, radośnie podniecona. Od tygodni już liczyła dni, zaznaczając je ołówkiem na kalendarzu wiszącym na ścianie w kuchni. Przedtem była za mała, żeby

popłynąć na ląd, ale teraz miała prawie pięć i pół roku i mama powiedziała, że jest na tyle duża, by się nie zgubić. Podniosła wzrok - tam na dużym gwoździu na ścianie nad łóżkiem wisiało na wieszaku potwierdzenie: niebieska jedwabna sukienka.

Molly uklękła na łóżku i dotknęła jej. Sukienka zakołysała się leciutko. Musi to być chyba najpiękniejsza sukienka na całym świecie, pomyślała Molly. Wokół obrąbka goniły się żółte misie, a żółtą szarfę wiązało się z tyłu w kokardę. Podczas przymiarki czuła na gołych nogach chłodny, śliski materiał, który miękko szeleścił przy poruszaniu. Sukienka miała prawdziwy zagraniczny zapach, nic dziwnego - przyjechała w paczce z Ameryki. Nie była jej, tylko Aine Kett z sąsiedztwa. Kettowie dostali paczkę od ciotki z Bostonu, ale Aine była jeszcze za mała, żeby nosić tę sukienkę. Sąsiadka pożyczyła ją mamie Molly, by dziewczynka wyglądała porządnie, gdy pojedzie do Galway.

Molly wyskoczyła z łóżka i podeszła do okna. Słońce już świeciło, ale nikt jeszcze nie wstał. Zastanawiała się, czy nie jest za wcześnie, żeby się ubrać. Nadstawiła uszu, nasłuchując pierwszyci odgłosów krzątania mamy. Molly wiedziała, że nie wolno jej pójść do pokoju mamy, żeby ją obudzić. Tata by się rozzłościł i krzyczał. W domu byli teraz we troje. Conor wciąż uczył się w Galway, a Brendan pracował w Birmingham, co oznaczało, że może przysyłać pieniądze do domu. Mama trzymała je w dużym słoju na gzymsie kominka i wydawała na rzeczy, na które nigdy wcześniej nie było jej stać, takie jak dżem, obrus na stół, włóczka do robienia na drutach i nowe buty dla Molly. Mieli nawet zasłonki w oknie kuchennym.

Dziewczynka podsłuchiwała z natężeniem pod drzwiami, ale z reszty domu nie dochodziły żadne odgłosy, więc wśliznęła się z powrotem do łóżka i zabawiła obserwowaniem słonecznej linii, wspinającej się po ścianie. Najpierw rozjaśnił się obok okna fragment w kształcie ołówka. Potem powoli górna jego część zaczęła się wyciągać, aż pojawiło się na ścianie drugie okno, jasnożółte, takie jak misie na sukience.

W końcu usłyszała, że otwierają się drzwi od pokoju mamy i z kuchni dochodzą odgłosy wody nalewanej chochlą z bańki do czajnika. Wyskoczyła z łóżka.

Mama wygarniała popiół z paleniska.

- Molly! Zaziębisz się na śmierć! Włóż coś. Dziewczynka wróciła do sypialni i wciągnęła sweter na koszulę nocną. Potem wyjęła talerz na owsiankę z kredensu, postawiła go na stole i usiadła na swoim miejscu, machając nogami. Była zawiedziona, że mama nie ubrała się jeszcze do wyjścia, tylko włożyła spódnicę i szal na po domu.

- *Cathain a bhfuil muid ag imeacht?** - spytała, gdy mama mieszała owsiankę w rondlu na ogniu. Nic nie mogła na to poradzić - słowa same wymknęły jej się z ust, choć dobrze wiedziała, że jedynie zirytuje mamę, dopytując się, kiedy wyjdą.

Mama nie odpowiedziała, tylko wzniosła oczy do nieba.

Godziny wlokły się bez końca, zanim pozwolono Molly włożyć sukienkę. Najpierw musiała znieść mycie. Nienawidziła mycia z całego serca. W soboty wieczorem, gdy mama wyjmowała ocynkowaną balię i stawiała kociołki z wodą do zagotowania, Molly zawsze kręciło w brzuszku i choć wierzyła mamie i wiedziała, że trzeba się temu czasami poddać, nie mogła się jednak powstrzymać od płaczu, szczególnie przy myciu głowy. Dzisiaj przynajmniej nie było kąpieli, tylko zwykłe mycie. Zmrużyła oczy i starała się nie mrugać.

Mama uczesała ją starannie, pomogła się ubrać w sukienkę i zawiązała szarfę. Molly okręciła się i mama powiedziała jej, że wygląda jak mała księżniczka. Okręciła się jeszcze raz. Na pewno czuła się jak mała księżniczka.

Wzięła nowe lakierki z paskiem na podbiciu - każdy wypchany nową białą skarpetką. Nie wolno jej było już teraz ich włożyć, musiała nieść pantofelki do plaży, żeby ich nie zedrzeć i nie zamoczyć. Przyniosła swoją nową, białą, plastikową torebkę, która była wypchana po brzegi i dlatego złoty zameczek stale się otwierał. Mama zrobiła kanapki na drogę, kromki razowego chleba posmarowane masłem

* **Kiedy wyjdziemy? (irl.)**

i „sklepowym” dżemem pomarańczowym: Molly upakowała je do torebki wraz z czystą chusteczką do nosa i dwiema starannie złożonymi papierowymi torebkami. Zamierzała zrobić własne zakupy na lądzie. Miała całego funta, którego ciułała od Bożego Narodzenia.

Gdy już była gotowa, wyszła czekać na dworze, na słońcu. Zrobiły obie z tego wyjazdu prawdziwą wycieczkę i miały przenocować w hotelu.

„Naomh Eanna” już stała na kotwicy na głębokiej wodzie, w zatoce, gdzie pracowały dźwigi. Molly podskakiwała z niecierpliwości, bała się, że jeśli mama się nie pośpieszy, spóźnią się na statek. W końcu mama wyszła, niosąc torbę na zakupy, a w więcierzu do łowienia homarów dwie stare kury ze związanymi nogami, które - jak Molly wiedziała - miała nadzieję sprzedać na targu pod kościołem zwanym hiszpańskim. Dziewczynka nigdy nie była na targu, a na wyspie widziała jedynie małą kapliczkę. Wszystko zapowiadało się bardzo niezwykle i podniecająco. Ale trochę współczuła kurom, które ściśnięte w więcierzu, wyglądały jak jeden duży ptak z dwiema głowami.

Beauty truchtała przed nimi, gdy schodziły ze wzgórza, oddalając się od domu. Molly widziała „Naomh Eanna” wiele razy, ale teraz, oczywiście, wszystko wyglądało inaczej i trochę się niepokoiła. Było inaczej, bo wiedziała, że naprawdę wsiądzie na statek. Olbrzymi parowiec wyglądał jak potężny zamek, zwłaszcza obok łódek, które kręciły się wokół niego, odbierając ładunek.

Molly obserwowała, jak mężczyźni na statku wyładowują krowę i dwie jałówki. Przywiązali je do specjalnych pasów przymocowanych do dźwigów na statku, podnieśli zwierzęta wysoko nad wodę, po czym spuścili na dół, gdzie mężczyźni w łódkach chwycili liny. Jednym z nich był kuzyn Molly, Sean Ban Nóra, który złapał za jarzmo krowy, gdy ta znalazła się w jego zasięgu, i pomógł opuścić zwierzę do morza. Potem trzymał linę okręconą wokół szyi krowy, kiedy ta płynęła za łódką na brzeg. Kilku małych chłopców wbiegło pędem do wody i pomogło Seanowi wyciągnąć krowę na ląd, ale Molly, oczywiście, nie brała w tym udziału.

łu, bo mogłaby się pobrudzić. Krowa wyszła na brzeg, ociekając wodą, która strumieniami lała jej się z grzbietu, wierzgnęła racicami i machnęła ogonem.

Już prawie nadchodziła pora odjazdu. Ostatnie ładunki przybywały na brzeg, pudła puszek warzywnych, zakurzone worki cementu, drewniane deski, beczułki portera, świeży chleb, jajka, połcie boczku do krojenia w plastry, duży kawał wołowiny, pomidory, gazety i poczta. Wyładowano dwie nadstawki kominowe do domu, który budował Marcus Ó Briain, inny kuzyn Molly, i używany rower dla dalekiego krewnego jej matki, pierzynę na podwójne łóżko, kilka porządnych zwojów błyszczącej nowej liny, kilkanaście tuzinów zeszytów szkolnych i przenoszone z wielką ostrożnością pudło wolframowych żarówek dla tych domów na wyspie, które miały światło elektryczne. Kiedy indziej Molly kręciłaby się wraz z innymi dziećmi, oglądając wszystko, ale dzisiaj wcale jej nie obchodziło, co przywieziono.

Wreszcie mogła wdrapać się do pustej łodzi, by popłynąć na statek. Trzymała mocno mamę za rękę - morze, coraz głębsze, przerażało ją. Podnosiło się i opadało, i dziewczynka wyobrażała sobie, jakby to było, gdyby wpadła do wody, zimnej i ciemnej.

Gdy przybili do burty parowca, pokład wydawał się wysoko niczym szczyt góry, ale jeden z mężczyzn pomógł dziewczynce wspiąć się po drabinie. Drugi chwycił ją za rękę, gdy wchodziła na pokład. Stąd morze nie wydawało się takie straszne, ale Molly i tak trzymała się z daleka od re-lingu, gdy wyruszyli. W podeszwach stóp poczuła podniecające drzenie silników parowca, kiedy statek kołysał się z burty na burtę. Siedziała obok mamy i cieszyła się wiatrem, krzykami mew, które unosiły się nad kominem parowca. Wyglądają jak dziurawy parasol, pomyślała dziewczynka. Patrzyła za rufę, Inis Oirthir małała, aż w końcu Molly nie mogła już dojrzeć własnego domu. Oparła się o mamę, gdy przybijali do przystani w Galway, wstrząśnięta hałasem, bieganiną, i nieprzebranymi tłumami ludzi. Zobaczyła więcej ludzi niż - jak to sobie wyobrażała - jest na całym świecie. Trzymała się mocno maminej tweedowej spódnicy, gdy schodziły po trapie, pa-

trząc ze strachem na brukowane ulice i wysokie domy, stłoczone jeden przy drugim, i wszystkie sklepy, i konie, i samochody, i pieniądze przechodzące z rąk do rąk, i rozmowy w języku, który rozumiała tylko trochę, ale wiedziała, że to angielski.

Poszły od razu na targ. Mamine kury wytargowała i kupiła żona druciarza, kobieta o długich, rzadkich włosach, której brakowało dwóch zębów. Molly rozczarowała się na widok hiszpańskiego kościoła. Był olbrzymi, to prawda, ale zbudowany tylko ze zwykłego szarego kamienia, a nie z jakiegoś czerwonego hiszpańskiego budulca, jak to sobie wyobrażała. Usiadły w słońcu na Eyre Square i zjadły kanapki, popijając je mlekiem z butelki, które mama kupiła w sklepie. Potem obeszyły całe miasto. Wkrótce mamina torba na zakupy wypełniła się skarbami: sznurkiem, świecami i knotami z parafiny, zapalnikami, białymi bandażami, syropem na kaszel, proszkiem do pieczenia i łakociami - ciastem, jabłkami, marmoladą, czekoladą Cadbury - i nowymi kaloszami dla ojca Molly, wstążką do włosów...

Po paru godzinach nowe buty zaczęły Molly obcierać, a ona wciąż jeszcze nie wydała swego funta. Zapomniała o strapieniu, gdy mama zabrała ją do pewnego niezwyklego sklepu. Oczy wyszły Molly z orbit. Olbrzymi sklep wypełniały skarby: nieprzebrane tony słodczy, małe buteleczki i szczoteczki, i tubki, i ołówki, które - jak powiedziała mama - służą do malowania kobiecych twarzy, kartki urodzinowe, i papier do pisania, i duże rolki brązowego papieru pakowego; błyszczące naszyjniki z diamentami,

1 książki, i komiksy. Z tyłu sklepu było nawet miejsce, gdzie stały w niezliczonych rzędach zabawki. I wszystko to wyłożono na niskich półkach, tak że nie musiało się prosić sprzedawczyni o pokazanie, i każdą rzecz można było wziąć samemu. Tyle było do kupienia, że Molly przeżywała katusze, podejmując decyzję.

Ale choć zmieniała zdanie kilkanaście razy i omal nie kupiła latawca, w końcu zdecydowała się na śliczną laleczkę w koronkowej sukience z niebieskimi oczami, takimi jak jej własne, i blond włosami. Jeszcze zostało jej ponad dziesięć szylingów. Kupiła więc angielską książkę pt. „Tań-

cząca gwiazda", bo spodobał jej się obrazek pani. Mama przetłumaczyła Molly słowa na okładce książki. Pani nazywała się Anna Pawłowa i była Rosjanką. Mama obiecała, że poczyta Molly trochę wieczorem w łóżku i wyjaśni niezrozumiałe angielskie słowa.

Potem Molly kupiła parę sznurowadeł dla taty i śliczną pozłacaną spinkę do krawata dla Conora. Wzięła też zegarek-zabawkę dla Aine Kett, żeby podziękować jej za sukienkę, i ponieważ nie mogła się zdecydować, co kupić Brenda-nowi, wróciła i dobrała jeszcze jedną parę sznurowadeł. Ale wciąż miała mnóstwo pieniędzy. Więc gdy mama zajęła się oglądaniem, Molly chyłkiem podeszła do stoiska z biżuterią i wybrała bransoletę wysadzaną olbrzymimi lśniącymi kamieniami, białymi, błękitnymi i zielonymi.

Dała ją mamie od razu i ta, poruszona do głębi, otworzyła szarpnięciem torbę i włożyła tam natychmiast prezent. Resztę pieniędzy pozwoliła Molly wydać na słodycze, które sprzedawczyni wsypała do dużej brązowej torby. Po skończeniu zakupów poszły do studia fotograficznego. Molly bardzo się przestraszyła jasnego światła, szorstkiego w obejściu mężczyzny i głośnego trzasku flesza, który błysnął, gdy fotograf robił zdjęcie mamie. Ona siedziała na podłodze obok mamy, znów trzymając się jej spódnicy. Bała się swojej kolejki. I gdy wreszcie nadeszła ta straszna chwila, nie potrafiła powstrzymać się od płaczu, choć mama wciąż jej powtarzała, że nie ma się czego lękać. Ale fotograf miał rude włosy, ceglastą cerę i wyraz twarzy podobny do taty, gdy się złościł, więc Molly jeszcze bardziej się przestraszyła. Wreszcie mama zdjęła ją z aksamitnego krzesła i powiedziała, że wszystko jest w porządku, że nie musi robić sobie zdjęcia, jeśli nie chce.

Hotel rozczarował trochę Molly, bo spodziewała się czegoś w rodzaju pałacu. Gdy weszły z mamą do pokoju, okazał się bardzo mały, mniejszy niż jej własna sypialnia w domu. I ściany miały okropny kolor - brązowy z ciemnymi plamami na górze. Łóżko było zapadnięte, a koce dziwnie pachniały. Kiedy jednak wygodnie wyciągnęła się na łóżku i patrzyła na mamę szczotkującą włosy, tak długie jak jej, ale zwykle upięte w kok z tyłu głowy, ogarnęło ją miłe

uczucie przytulności. Odgłos szczotkowania, miękki i szeleszczący, uspokajał Molly. Mama powiedziała jej, że gdy była małą dziewczynką, włosy miała takiego samego koloru jak Molly, ale teraz jakoś wypłowieły i przypominają barwę stare siano. Dziewczynka zaczęła się zastanawiać, czy jej włosy też wyblakną, gdy będzie miała własne dzieci...

Mama po zmówieniu pacierza położyła się na wąskim łóżku obok Molly, która przytuliła się do niej, czując się w ciepłym gniazdku bezpieczna, mimo hałasu na dworze. Były zbyt zmęczone, by poczytać „Tańczącą gwiazdę”, ale Molly obejmowała nową lalkę, która dostała już imię - Peggy.

Co za dzień! Dziewczynka była naprawdę szczęśliwa. Jednakże zanim zasnęła, zrobiło jej się trochę przykro, że nie pozwoliła się sfotografować, bo przecież niebieską sukienkę trzeba zwrócić. Bała się, że pewnie już nigdy nie będzie wyglądała jak mała księżniczka.

Conor miał przyjechać do domu ze szkoły w jakieś dziesięć dni po wyprawie Molly na stały ląd. W dzień jego powrotu dziewczynka, eskortowana przez Beauty, wyszła z domu bardzo wczesnym rano na plażę, by wypatrywać „Naomh Eanna”, choć mama powiedziała, że do przybycia statku zostało jeszcze parę godzin.

Gdy tylko znalazła się za drzwiami, słońce ogrzało jej twarz. Niebo było bezchmurne, nie było wiatru, tylko podmuchy słabej bryzy marszczyły gładką powierzchnię morza. Molly usiadła na kamiennym podeście przed drzwiami frontowymi i zdjęła sandały - lubiła czuć ciepły kamień pod gołymi stopami. Odłożyła buty na parapet okna i znowu wstała, wpatrując się z natężeniem w morze. Często, gdy na Inis Oirthir przypiekało słońce, jak teraz, na lądzie, zaledwie piętnaście kilometrów stąd, padało. Molly widziała deszcz, szary, zacinający skosem z nieba na ziemię. Było tak ciemno, że ledwo wyłowiała wzrokiem szczyty Twelve Bens.

Zeszła na plażę, stąpając ostrożnie po paśmie trawy, wijącym się środkiem ścieżki, żeby nie pokaleczyć sobie stóp na kamieniach. Zatrzymywała się po drodze, by zerwać chelidonie lub parę mleczy z kępek, które wyrosły między

lub pod kamieniami murów granicznych. Panowała taka cisza, że słyszała pęknięcie łądy przy zrywaniu. Wróbel wylądował na murze obok, kiedy przyglądała się jednemu z kwiatków. Gdy ptak wzleciał z powrotem, furkot skrzydeł przstraszył ją. Wydawało się, że nawet skowronki, które napełniały niebo śpiewem, latają dzisiaj wyżej niż zwykle.

Gdy dotarła na plażę, poszukała wzrokiem horyzontu, ale nadal nic się tam nie pojawiło: morze połyskiwało, puste i gładkie. Zabijała czas przesypywaniem piasku między palcami, szukaniem muszelek morskich ślimaków i małych różowych porcelanek.

Kiedy się tym zmęczyła, powędrowała niżej, na pas twardszego piasku, który obmywały fale. Zatrzymywała się tu i tam i skakała w piach z całej siły, mocno naciskając na pięty. Potem stawała z boku i patrzyła, jak woda zalewa ślady jej stóp.

W Galway statek „Naomh Eanna” jeszcze nawet nie rzucił cum. Conora odprowadził na przystań ksiądz Hartigan. Stali obydwoj z podniesionymi kołnierzami przy zniszczonym starym volkswagenie księdza, pod czarnym parasolem duchownego. Nie rozmawiali, pochłonięci obserwowaniem załadunku parowca. Deszcz bębnił o napięty materiał. Ksiądz Hartigan zaciągnął się mocno cravenem, ulegając zgubnemu nałogowi, i ukrył nie strząśniętego papierosa w dłoni, tak że żarzący się koniuszek znajdował się o milimetry od jego skóry. Nagle zgiął ksiądz wpół atak kaszlu, który niemal wyrzucił mu wnętrzności na nice.

- Niech ksiądz posłucha - powiedział Conora, gdy atak minął - jeśli wielebny nie rzuci tej trucizny, jeszcze mi gotów umrzeć!

- Wiem, wiem - wysapał duchowny, a łzy spływały mu po twarzy. - Ale człowiek musi mieć jakieś nałogi. Chcesz, żebym zaczął się oglądać za rozwiązłymi kobietami?

Conora uśmiechnął się. Choć miał tylko szesnaście lat, był teraz dobre trzydzieści centymetrów wyższy od małego księdza. Ich stosunki rozwinęły się przez lata, które upłynęły od chwili, kiedy to ksiądz Hartigan znalazł skulonego chłopca w kościele, do dnia dzisiejszego, gdy Conora uważał

przyjaźń z duchownym za rzecz niemal naturalną, a rozmowy i dyskusje, często burzliwe, prowadzili jak równy z równym. Dzięki wielebnemu Hartiganowi Conor zyskał niezmiernie na pewności siebie i nikt w szkole, żaden kolega czy zakonnik, nie mógł tego podważyć.

- Myśli ksiądz, że uda mu się przyjechać? - spytał chłopiec, gdy ramię dźwigu parowca wysunęło się po raz kolejny, zabierając łóżko. Choć ksiądz Hartigan wciąż nalegał, jedyną poufałość, na którą Conor nie mógł się zdobyć, stanowiło zarzucenie formy „proszę księdza” i zwracanie się do starszego przyjaciela po imieniu.

- Przyjadę, jak tylko się wyrwę, Conorze - odparł ksiądz. - Na pewno przyjadę, naprawdę. Muszę być na konferencji w Maynooth, ale poza tym i paroma weselami lato zapowiada się dość spokojnie.

Conor cieszył się na tę wizytę. Poprzedniego lata spędzili razem na Inis Oirthir prawie tydzień. Ksiądz Hartigan zatrzymał się u miejscowego wikarego, ale ponieważ był na urlopie i nie miał obowiązków duszpasterskich, obydwaj przez większość czasu spacerowali po wyspie, łowiąc makrele lub pływając w czystym, zimnym morzu. Ksiądz Hartigan nie miał nic przeciwko temu, że Molly często kręciła się przy nich. Dziewczynka czuła się swobodnie w towarzystwie duchownego.

Conor cieszył się z tego, że może popisać się swoją wiedzą o miejscowej florze i faunie. Zdawał sobie sprawę, że niektórzy mieszkańcy wyspy podśmiewali się i robili cichcem uwagi na ich temat, gdy przemierzali razem drogi czy pochyleni przyglądali się uważnie goryczce lub zrywali dziko rosnące róże albo garście czosnku, żeby zabrać rośliny do domu. Ale kose spojrzenia i na wpół kpiące słowa powitania rzucane przez przechadzających się mężczyzn, których spotykali na krzyżówkach i w innych miejscach spotkań na wyspie, nie przeszkadzały Conorowi ani trochę i chłopiec składał takie zachowanie na karb zazdrości.

Mama i tata nie potrafili zrozumieć tej przyjaźni, wiedział o tym. Ale intuicja mu mówiła (wnioskował tak z paru zdań, które mama wypowiedziała szczególnym tonem), że

w skrytości ducha jest dumna, iż ksiądz tak się zainteresował jej synem.

Zbliżała się pora, by wsiąść na statek.

- Napiszę i zawiadomię cię o swoich planach, nie obawiaj się - zapewnił ksiądz Hartigan.

- Dobrze, proszę księdza - powiedział Conor.

- Czy masz co czytać? - spytał ksiądz.

- Tak, wszystko jest schowane tutaj - odparł chłopiec, poklepując sfatygowaną walizkę. W zeszłym roku ksiądz Hartigan zaprenumerował „National Geographic” i po przeczytaniu przekazywał czasopismo Conorowi, zwykle po trzy, cztery numery naraz.

- Nie zapomnij tym razem napisać do brata Patricka. Conor nic nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się ironicznie. Ksiądz Hartigan poklepał go jeszcze po ramieniu na pożegnanie, a Conor wszedł po trapie na parowiec. Nie zważając na deszcz, który spływał mu strumieniami po włosach za kołnierz, oparł się o reling. Ksiądz Hartigan już wsiadał do swego garbusa. Nie oglądając się za siebie, zatrzasnął drzwiczki i silnik z rykiem obudził się do życia. Conor patrzył za nim, dopóki samochód nie zniknął za rogiem budynku. Gdy się odwrócił, ledwo widoczna chmura niebieskiego dymu wciąż jeszcze wisiała w powietrzu.

Rozpogodziło się, kiedy znaleźli się mniej więcej półtora kilometra od nabrzeża w Galway. Podróż po rześkim, lekko wzburzonym morzu, które w połowie cieśniny wygładziło się i całkowicie uspokoiło, było prawdziwą przyjemnością.

Conor rozpoznał Molly na plaży na długo przedtem, nim parowiec „Naomh Eanna” podpłynął na tyle blisko brzegu, by znaleźć się w zasięgu głosu. Mała postać, o charakterystycznej blond główce, podskakiwała, wymachując zapamiętałe rękoma. Odmachał siostrzyczce, choć wątpił, czy z tej odległości dojrzy go na pokładzie.

Dopiero po półgodzinie statek rzucił kotwicę i łódki ruszyły z wybrzeża w jego stronę. Przez ten czas Sorcha dołączyła do Molly na plaży. Nieczęsto wkładała szal miejscowego wyrobu, ale dzisiaj - zauważył Conor - z okazji jego

powrotu do domu założyła go i przepasała na krzyż na piersi. Chłopiec wysiadł pierwszy. Gdy łódka, którą płynął, znalazła się dwa metry od brzegu, wyskoczył przez burtę do wody sięgającej ud, nie przejmując się, że zamoczy szkolne buty i spodnie. Z walizką na plecach dobiegł na plażę, bryzgając na wszystkie strony, a wolną rękę wyciągając do siostrzyczki.

Molly piszczała z radości i tańczyła na piasku tuż przed napływającym falami, także wyciągając ku niemu ramiona. Conor, gdy dotarł do siostrzyczki, cisnął na plażę walizkę, chwycił Molly, uniósł w górę z ziemi i kręcił nią młynki w powietrzu.

- *Mo chailin, mo chailin! Feach chomh fdsta's ata tul** Wyraźnie urosła. Teraz to duża dziewczynka i taka śliczna. Chłopcy nie powinni płakać, więc Conor zacisnął powieki i, trzymając Molly na jednej ręce, drugą uściskał matkę. Suka biegała wokół ich nóg, rozbryzgując wodę.

Potem we trójkę ruszyli do domu.

Gdy tam dotarli, Micheala Ó Briaina nie zastali w chacie. Zbierał wężowce. Conor był z tego zadowolony. Wrzucił walizkę za ławę w kuchni i zdjął z gwoździa na ścianie domowe ciuchy, grube tweedowe spodnie i wełnianą bluzę. Ściągnął szkolny mundurek i włożył ubranie, które miał nosić całe lato. Uwielbiał swobodę, jaką dają stare, znoszone łachy.

Sorcha roześmiała się, gdy go zobaczyła.

- Muszę podłużyć te spodnie - znowu! - powiedziała. Schyliła się i obejrzała uważnie dół nogawek, z których kostki Conora wystawały jak pnie młodych drzew. Wyprostowała się. - Nie ma już z czego wypuszczać.

- Nie szkodzi, mamó! - Conor ani trochę nie dbał o wygląd. - Są w porządku.

Molly stanęła przed nim z rękoma schowanym nieśmiało za plecami.

- Co się stało, *a stóirin?** - spytał, kucając przy niej. Wyciągnęła rączkę z tanią, pozłacaną spinką do krawata.

*** Moja dziewczynka! Moja dziewczynka! Ależ jesteś wysoka! (irl.) ** moje złotko (irl.)**

- Och! Coś podobnego! Prawdziwe złoto! - Conor znowu się wzruszył.

Skinęła głową.

- Kupiłam w Galway, gdy pojechałam z mamą na ląd. Conor przypiął spinkę do kołnierza koszuli.

- Teraz będę musiał dokupić prawdziwy krawat, Molly. Gdy skończę szkołę, zabiorę cię na ląd i pomożesz mi wybrać odpowiedni...

Jeszcze raz uroczyście skinęła głową z miną pełną dorosłej powagi. To był pierwszy prezent, który mu dała, kupiony za jej własne pieniądze. Conor uściskał siostrzyczkę i usiadł przy stole, gdzie Sorcha przygotowała dla niego posiłek - smaczny boczek, małe ziemniaczki i dużo mleka do popicia. Molly wdrapała się na swoje krzesło przy końcu stołu i, oparłszy podbródek na ręce, przyglądała się, jak Conor je.

Gdy skończył, wziął ją na barana i ruszyli na jedną ze swoich wędrowek po wyspie.

Molly trzymała się mocno głowy brata, wsunawszy dłonie w jego grube włosy. Najpierw zabrał ją do dyszącej dziury obok urwiska. Kiedyś już ją tam przyprowadził. Morze było wtedy wzburzone, a Molly czuła strach i podniecenie za każdym razem, gdy struga wody z białą pianą wylatywała przez dziurę wysoko w powietrze. Ale dzisiaj panował spokój, taki spokój, że Conor pozwolił jej położyć się na brzuchu i przytrzymał siostrzyczkę za stopy, żeby mogła spojrzeć prosto w przepaść, tam gdzie zielone morze, niby płynne szkło, falowało daleko w dole.

W innym miejscu znalazł dla niej pierwiosnki, wciąż kwitnące w szczelinach między kamieniami, ukryte przed palącymi promieniami słońca. Pokazał jej, gdzie za parę tygodni będzie mogła zbierać dzwonki. Posłuchali kukułki i uważnie przyglądali się niebu w poszukiwaniu sokoła wędrownego, jednego z pary, którą widzieli zeszłego lata, ale sokół, jeśli wciąż znajdował się gdzieś w pobliżu, nie polował dzisiaj.

I wreszcie, gdy się zmęczyła, Conor znalazł małe zagłębienie osłonięte brzegiem skały, gdzie mogli odpocząć. Molly zwinęła się w kłębek na miękkim perzu obok brata.

Czuła na policzku ciepło jego boku, ale nie było tu tak miękko jak u mamy. Conor powiedział, że zadeklamuje jej wiersz, którego nauczył się w tym semestrze w szkole.

- To wiersz o miejscu daleko stąd, Molly, ślicznym miejscu, gdzie są wysokie góry i śnieg w zimie, i gdzie krowy noszą dzwonki na szyjach, więc nawet w miastach słyszy się dochodzący z gór daleki odgłos jakby pianina.

Pianino w szkole Molly nie wygrywało pięciu dźwięków i w ogóle nie brzmiało jak dzwoneczki, ale dziewczynka zmarszczyła czoło i wyobraziła sobie rozdzwonione w oddali góry.

- Kiedyś cię tam zabiorę - ciągnął Conor, odrzucając głowę do tyłu, by spojrzeć na dryfujące niebo. - Pojedziemy razem. Wiersz jest po angielsku, Molly, więc skup się. Nie martw się, jeśli nie zrozumiesz. Słuchaj tylko brzmienia. I zaczął recytować, akcentując spółgłoski.

Czy pamiętasz tę gospodę, Miranda?

Czy ją pamiętasz dziś? To krzątanie, rozścielanie Słomy śliskiej pod posłanie,

I te pchły, gdy wieczór zły - z pirenejskiej schodzi mgły, I to wino, co pachnie jak smoła? Pośród krzyku - kpin bez liku, czy pamiętasz śmiech

mulników

(Winogradem ocieniona weranda), Czy pamiętasz tę gospodę, Miranda? Czy ją pamiętasz dziś?

Pośród krzyku - kpin bez liku, czy pamiętasz śmiech

mulników,

Żaden nie miał ni szeląga.

Kto nie płaci, niech naciąga.

I trzask drzwi - i ten łoskot i gwar -

I-hip, hop, hip-w krag,

Klaskanie rąk,

Wir - wirowanie, kolisty taniec, Gdy dziw-dziewczyna

*Ciało przegina -Świetlisty chód -To w tył, to w przód,
Trzask kastanietów w rytm śmigłych nóg, Raz tu, raz tam - w miejscu, pod próg -Brzęk, jęk i łza - dźwięczy i drga
gitara. Czy pamiętasz tę gospodę, Miranda ?*

*Czy ją pamiętasz dziś?**

Nie skończył recytacji, bo jego uwagę przykuła para mew, która leniwie zataczała kręgi nad nimi, krzycząc na wiatr. Molly poczuła się zawiedziona, gdy urwał. Słuchała z przejęciem i choć niewiele zrozumiała, poddała się rytmowi słów. W całości pojęła jeden wers i pociągnęła brata za rękaw.

- Ja też nie mam szeląga - powiedziała. Odwrócił się na bok i podniósł na łokciu.

- Molly! Zrozumiałaś! Ależ jesteś mądra! Będziesz najmądrzejsza z całej rodziny.

Usiłował ją połaskotać, ale była zbyt szybka, uciekła, zanim ją złapał. Z rozmachem rzucił się z powrotem na plecy, żeby popatrzeć na niebo, a ona znowu ułożyła się obok niego.

Pomyślała, że jej brat jest zdecydowanie najwspanialszą osobą na całym świecie. Ale potem poczuła się tak, jakby zdradzała mamę. Mama też była najwspanialsza na świecie. Molly nie mogła się zdecydować, kogo kocha bardziej, Conora czy mamę.

Christian, długonogi, w białych spodenkach do tenisa, przesadzał frontowe schody po dwa stopnie naraz. Obok niego biegł w podskokach Flash. Nagły hałas stanowił jedyny przejaw życia w umarłym domu i Christian zdawał sobie sprawę, że zakłóca spokój, ale nie dbał o to. Miał po uszy życia w tym mauzoleum.

Była sobota i wybierał się do Dicka.

*** „Tarantella” Hilaire'a Belloc’a w przekładzie Jerzego Pietrkiewicza**

Otworzył szarpnięciem drzwi do swojego pokoju i stanął w progu: musiał przyznać, że dziadek miał rację, panował tu bałagan. Choć pokojówka docierała w każdy kąt elektroluksem i ścierała kurze, dla zasady polecono jej nie sprzątać pokoju Christiana. Kieszonkowe chłopca zależało od tego, czy utrzymywał u siebie porządek. Dzisiaj był dzień wypłaty.

Flash stanął obok niego, dysząc ze szczęścia w oczekiwaniu na to, co będzie się działo. Gdy tylko Christian się poruszył, zareagował natychmiast, przeszkadzając mu w sprzątaniu. Biegał wkoło swego pana, czekał, chwycił i szarpał brudne skarpetki. Christian musiał stoczyć z nim walkę

0 podkoszulek.

Mimo swawolenia Flasha udało mu się posegregować kłęb ciuchów z podłogi. Otworzył wszystkie drzwi od garderoby i powiesił ubrania byle jak na wieszakach. Używane rzeczy - a nawet niektóre czyste - wrzucił do brudów w łazience. Następnie zrobił szybki wypad w stronę półki z książkami, upychając tam te, które leżały rozrzucone wokół łóżka, a potem, stękając z wysiłku, przeniósł z powrotem ciężki telewizor na stolik, na swoje miejsce. Telewizor również stał na podłodze obok łóżka.

Obrzucił uważnym spojrzeniem pokój, chwilę odpoczywając. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku.

Christian nie pozwolił wyrzucić żadnego sprzętu czy zabawki ze swego dzieciństwa, i gdy wkraczał w wiek młodzięncy, jego dobytek, powiększający się z roku na rok, przepełniał nawet tak duży pokój. Teraz pomieszczenie wyglądało jak skrzyżowanie sezamu z zapchaną graciarnią, ale chłopcu to nie przeszkadzało i uznał, że zostało mu już tylko pościelenie łóżka. Nie zawracając sobie głowy wyglądaniem prześcieradła, odwinął wierzchni koc i obetkał nim pościel ze wszystkich stron, aż łóżko zaczęło wyglądać przyzwoicie.

Rozejrzał się za psem, który nagle ucichł. Flash ściągnął coś z jednej półki i gryzł zdobycz w kącie pokoju. Chłopiec podszedł, by sprawdzić, co to takiego - pies miał w pysku starego wypchanego królika.

- Oddaj to, Flash! - rozkazał Christian.

Pies przestał gryźć, podniósł wzrok na twarz pana, ale nie puścił zabawki.

-Flash, oddaj! - Christian przechodził mutację. Głos mu się załamał, gdy go podniósł. Ręka odruchowo podniosła się do gardła. Schylił się i chwycił królika, po czym nastąpiła krótka walka o zabawkę. Christian nie chciał jej tak zniszczyć, żeby była nie do naprawienia, ale w końcu, rozdrażniony, wyszarpnął gwałtownie królika z zębów Flasha. Przetarty materiał pękł i część włókien ze środka wypadła na podłogę.

- Zobacz, co zrobiłeś! - Głos Christiana znów załamał się niebezpiecznie. Chłopiec był bliski łez. Podniósł trochę włókna i wepchnął je z powrotem do środka, ale królik - niby miękka i sflaczała kielbaska - zwisał mu w rękach. Christian usiadł na podłodze i rozplakał się. Pies przydreptał cichaczem i położył się obok chłopca, ale Christian go odepchnął.

- Zawołaj Christiana, dobrze, Bridie?

Cordelia siedziała na honorowym miejscu przy małym stole pod oknem wychodzącym na zatokę w jadalni. Masywny, duży stół, który zajmował środek pokoju, od lat stał nie używany.

Malcolm miał na sobie letnie ubranie - bluzę i spodnie. Ukradkiem zerknął do porannej „Tribune”, gdy czekali na Christiana. Usłyszał ciężkie kroki gospodyni na schodach, kiedy szła na górę poprosić jego wnuka, i przyszło mu do głowy, że powinien zaproponować Bridie Loftus przejście na emeryturę. Pracowała w jego domu ponad trzydzieści lat.

Wreszcie Christian dotarł do jadalni, usiadł przy stole, nie witając się z dziadkami, i sięgnął po rogalik. Malcolm złożył gazetę.

- Patrz, Chris, Lew Hoad znowu zwyciężył w Wimbledo-nie.

- Uhm! - odmruknął Christian z ustami pełnymi bułki. Malcolm spojrział na Cordelię. Skinęła głową.

- Chciałbyś pójść na mecz dziś po południu? - Malcolm już miał bilety.

- Nie, dziękuję, dziadku - odparł Christian, nie podnosząc wzroku znad talerza i sięgając po następny rogalik.

Odpowiedział uprzejmie, ale z rezerwą.

Malcolm spróbował jeszcze raz.

- Cubs grają z Pirates. To powinien być niezły mecz.

- Nie, dziękuję. Mam inne plany.

- Co robisz po południu? - przejęła pałeczkę Cordelia.

- Idę do Dicka.

Dalej smarował rogalik masłem.

Bridie podała zupę i w jadalni słychać było tylko brzęk łyżki wazowej o talerze.

Gdy gospodyni wyszła, Cordelia spróbowała jeszcze raz.

- Może Dick poszedłby z tobą i dziadkiem na mecz? -Spojrzała na męża. - Dziadek nie miałby nic przeciwko temu, prawda, Malcolmie?

Malcolm skinął głową.

- Oczywiście że nie. Zadzwoń do niego, Christianie. Zaproś go...

- Nie, dziękuję, dziadku, nie ma sprawy. Możemy obejrzeć mecz w telewizji, ale zagramy w tenisa w parku. -Wsunął łyżkę zupy do ust.

Kończyli we troje lunch, instynktownie usiłując nie przerywać ciszy, jak najmniej szczękać sztućcami o talerze.

Malcolm i Cordelia wymienili kolejne spojrzenie. Od pewnego czasu martwili się, że Christian coraz bardziej się od nich oddala, i nie mieli pojęcia, jak przebić mur, który wnuk wznosił wokół siebie.

Bridie zebrała głębokie talerze i podała rostbef. Wyczuwając napiętą atmosferę przy stole, poruszała się niemal na palcach. Stawiała przed nimi talerze, jakby to była mei-ssenowska porcelana, a nie chiński serwis do codziennego użytku.

- Coś nowego w szkole, Chris? - Malcolm przerwał ciszę, gdy Bridie znowu wyszła z pokoju.

- Nie... - Christian pokręcił głową.

Malcolm westchnął. Zastanawiał się, czy powinien nadal wymagać, żeby wspólnie jadali w weekendy, tak jak teraz.

Próbował zagadnąć Christiana na temat, który - jak wiedział - go interesuje.

- A co tam słyhać na bieżni? - Jego wnuk zapowiadał się na gwiazdę drużyny lekkoatletycznej w szkole średniej.
- W porządku! - Christian zajął się energicznie krojeniem rostbefu.

Malcolm tylko westchnął i pokonany wzruszył ramionami, patrząc na Cordelię. Przez resztę posiłku rozgrzebywał jedzenie na talerzu.

Ukradkiem obserwował wnuka. Choć jeszcze daleko mu było do wzrostu dorosłego, wyglądał świetnie: atletycznie zbudowany, o szerokich ramionach i jasnych, żywych oczach. Blond włosy miał schludnie przyczesane, a paznokcie czyste i obcięte. Przedstawiał obraz doskonałego, uprzywilejowanego, amerykańskiego dziecka. Ale miał twardo zarysowaną szczękę, a wokół ust czaiło się napięcie. Christian wyglądał na wiecznie zagniewanego. To była jedna z przyczyn, jak przypuszczał Malcolm, że jego wnuk osiągał dobre wyniki w lekkoatletyce, sporcie opartym na rywalizacji, gdzie mógł wyładować część agresji, która go przepełniała.

- Czy mógłbym przeprosić? - spytał Christian, gdy tylko opróżnił talerz. Ton głosu chłopca balansował na krawędzi przesadnej uprzejmości, na którą trudno odpowiedzieć odmową, więc Malcolm po prostu skinął głową, a wnuk wstał i wyszedł z pokoju, nie oglądając się za siebie. Usłyszeli trzaśnięcie drzwi i głos Christiana wołającego psa na dworze.

Malcolm popatrzył w ślad za wnukiem.

- Może za bardzo naciskałem go o porządek w pokoju - powiedział z powątpiewaniem.
- Nie martw się, Malcolmie - odparła Cordelia - pewnie przechodzi teraz trudny okres. Wyrośnie z tego.
- To już za długo trwa. Nadal uważam, że powinniśmy zgłosić się z nim do jakiejś poradni.
- Zostaw go na razie. Porozmawiam z kimś w szpitalu. - Cordelia dużo pracowała społecznie w szpitalu St Joe's w Chicago.

Usłyszeli, że Christian wbiega jak burza po schodach. Flash wpadł do jadalni przed swoim panem.

- Czy mógłbym dostać kieszonkowe? - Po raz pierwszy Christian odezwał się nie pytany.

Malcolm wyjął portfel, wyciągnął zeń banknot pięciodolarowy i mu podał. Christian wziął pieniądze, powiedział „dziękuję” - i opuścił pokój wraz z psem. Malcolm popatrzył w ślad za nim. Miał dopiero pięćdziesiąt siedem lat, ale czuł się tak, jakby miał dziewięćdziesiąt. Powiedział Cordelii, że idzie na spacer, nachylił się, by pocałować ją w policzek, i wstał od stołu.

Był sam środek lata, gorący, pochmurny i bardzo parny dzień. Zanim Malcolm wybrał się na daleką przechadzkę wzdłuż jeziora, koszula zaczęła mu się nieprzyjemnie lepić do pleców. Zdjął blezer i położył porządnie na trawie na granicy swej posiadłości, żeby zabrać go, wracając. Spojrzał na jezioro, które rozpościerało się nieruchome i gładkie, jakby też znużone upałem. Kilka motorówek pyrkotało powoli kilkaset metrów od wybrzeża, ale posuwały się tak leniwie, że ich kilwatery prawie nie mąciły powierzchni.

Malcolm był zmęczony fizycznie i psychicznie. Ostatnio nie sypiał dobrze i gdy leżał bezsennie, znowu dręczyły go straszliwe wizje, które po raz pierwszy pojawiły się wkrótce po katastrofie samolotu cztery lata temu. Czy Cal i Maggie cierpieli? Jak długo to trwało? Męczył go obraz syna trzymającego się kurczowo szczątków samolotu w zimnym Atlantyku, dopóki nie osunęły mu się z nich zmarznięte palce. Widział krzyczące niemowlę, któremu woda wlewa się do otwartych ust.

Cordelia miała umówione spotkanie w mieście i puste popołudnie rozciągało się przed Malcolmem aż do kolacji. Zastanowił się, czy nie należałoby odwiedzić Mamie.

Alan Morgan, wuj z Chicago, do którego przyjechał, gdy miał szesnaście lat, po tym, jak ojciec i bracia zginęli, od dawna nie żył, ale jego żona Mamie mieszkała w domu starców w Cicero po zachodniej stronie miasta. Malcolm uwielbiał Mamie i wielokrotnie nakłaniał ją, żeby się przenieśli do Evanston, ale ona nie chciała. Pomógł jej przeprowadzić się do najlepszego domu starców, jaki mógł znaleźć, nie najdroższego, ale najbardziej pogodnego, o jasnych słonecznych pokojach i z dużym ogrodem. Instytucja nie była wyznaniowa, lecz prowadzili ją katolicy. Mamie nosiła jaskrawozielone i purpurowe sukienki, i nie pa-

sujące do nich pantofle. Często zabierano ją do kina, które stało się największą pasją starszej pani, i zezwalano jej na picie dżinu w granicach rozsądku. Zwykle popijała nim tabletki przed snem. W wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat Mamie tak dobrze czuła się w swoim domu starców, że myślała o przejściu na katolicyzm.

Malcolm zorientował się, że dotarł do następnej prywatnej posiadłości, więc zawrócił. Podniósł blezer i postanowił odwiedzić Mamie.

Idąc po samochód, zajrzał do kuchni, by zapytać gospodynię, czy nie chce przekazać przez niego Mamie jakiejś wiadomości. Bridie też natychmiast przyłgnęła do starszej pani i, choć ostatnio nie widywała jej często, utrzymywała z nią kontakt listowny.

Malcolm miał buty na miękkich podszewkach i Bridie nie słyszała, jak się zbliżał. Maszynka do kawy perkotała na kuchni, a gospodyni siedziała przy wyszorowanym stole, z podbródkiem opartym na rękach, i gapiała się w przestrzeń. Jej bezruch podkreśla pustkę i przesadną wielkość kuchni, pomyślał Malcolm. Pomieszczenie z buczącymi lodówkami, rzędami miedzianych rondli, półkami pełnymi warzyw, słoików z marynatami i innych porządnie ułożonych zapasów wyglądało nieskazitelnie czysto, jak zawsze. Pachniało kawą, girlandami czosnku, cebuli i ziół, zwisającymi z drewnianej kratki pod sufitem. Ale brakowało w kuchni życia. Cały dom potrzebuje zastrzyku młodości, pomyślał Malcolm. To słoneczne pomieszczenie, które niegdyś w soboty tętniło gwarem - wszyscy wchodzili i wychodzili, brali przekąski, grzali napoje, gawędzili i planowali, jak spędzą czas - teraz rozpościerało się opustoszałe wokół Bridie, jakby pytając: „Gdzie się oni podziali?”

Odezwał się cicho, żeby jej nie przestraszyć.

- Bridie!

Zaskoczył ją, a gdy się odwróciła, zobaczył, że jest już stara i zmęczona.

- Wychodzę, Bridie - powiedział. - Pani Smith też. Wrócimy na kolację.

- Co z Christianem? - Gospodyni była speszona, że przyłapał ją na bezczynnym siedzeniu.

- Nie martw się o niego. Po południu poszedł do Dicka i nie powiedział, kiedy wróci. Jeśli później będzie czegoś potrzebował, doskonale sobie poradzi ze zrobieniem kanapki. Teraz pojedę odwiedzić Mamie - czy coś jej przekazać?

- Och tak, panie Smith. Proszę przekazać moje najserdeczniejsze pozdrowienia i powiedzieć, że napiszę parę słów w ten weekend.

Skinął głową.

- No to do zobaczenia, Bridie.

- Do zobaczenia, panie Smith. - Gospodyni już odzyskała zimną krew. - Przyrządę kurczaka na jutro i schowam do lodówki razem z sałatką. A później upiekę placek z owocami na deser. Czy to wystarczy, jak pan sądzi?

-Bridie, to nawel za dużo. Przepraszam... - Ale nie potrafił powiedzieć, za co przeprasza. Żał mu było siebie i Cordelii, Christiana, jej i rodziny, którą wysłał samolotem na śmierć.

Christian oparł rower o ganek domu Dicka, stojącego w szeregu niemal identycznych budynków z cegły i szalów-ki wzdłuż torów kolejowych w okolicy, którą ojciec Dicka pogodnie nazywał niskoczynszową częścią Evanston.

Przywiózł nowy album Elvisa, owinięty troskliwie w podkoszulek, i gdy odwiązywał kruchą płytę na siedemdziesiąt osiem obrotów z bagażnika roweru, czuł, jak humor mu wraca. Drzwi frontowe stały otworem i do Christiana już dolatywał gwar ze środka.

Wydawało się, że w domu Dicka zawsze co najmniej dwoje ludzi rozmawia, przekrzykując głośno radio i niedawno kupiony przez rodzinę telewizor. Poziom decybeli był jedną z rzeczy, które przyciągały go do tego miejsca, i przyczyną, dla której wolałby spędzać cały czas tutaj niż w eleganckim, ale posepnym wnętrzu własnego domu.

Christian nigdy nie potrafił spojrzeć rias Greentrees oczami Dicka. Gdy tylko ten, pod wrażeniem wspaniałej rezydencji bogatego przyjaciela, powiedział o niej coś miłego, Christian z lekceważeniem zbywał komplement. Dla niego dom dziadka był przygnębiający niczym cmentarz

i równie zabawny. Od śmierci rodziców przebywał w nim możliwie najmniej, z wyjątkiem azylu własnego pokoju, i coraz więcej wolnych chwil spędzał u Dicka.

- Cześć! - powiedział w przestrzeń pokoju.

Dwaj młodszy bracia Dicka przewalali się po podłodze, mocując się ze sobą, podczas gdy ich siostra, sześciolatka i dlatego dzierżąca władzę nad chłopcami, którzy mieli po trzy i cztery lata, stała nad nimi z rękoma na biodrach i rozkazywała im apodyktycznie.

- Przestańcie! W tej chwili macie przestać!

Chłopcy nie zwracali uwagi ani na nią, ani na to, że na polu walki pojawił się Christian.

Druga siostra, jedenastoletnia, karmiła butelką niemowlę, które trzymała na ręku, usiłując jednocześnie skupić się na mrugających, czarno-białych obrazach starego filmu z Fredem Astaire'em. Usłyszawszy trzaśnięcie drzwi, spojrzała przez ramię na przyjaciela najstarszego brata.

- Cześć, Christian - przywitała go, wyjęła smoczek z buzi niemowlaka, który rozwrzeszczał się oburzony, i sięgnęła do telewizora, żeby podkręcić głoś.

Christian przeszedł do kuchni. Dwa kotki goniły się tu po podłodze. Zatrzymał się, żeby pogłaskać jednego.

- Dzień dobry, pani Spielberg - zwrócił się do matki Dicka, która mieszała coś w misce ustawionej w zlewku z sennym spojrzeniem w oczach.

- O, dzień dobry, Christianie - odpowiedziała, wynurzając się ze swego świata marzeń. - Jak miło, że przyszedłeś. Chłopiec spodziewał się, że kobieta to powie - zawsze tak mówiła, choć widziała go poprzedniego dnia lub nawet kilka godzin wcześniej.

Znalazł wolne miejsce na jednym ze stołków kuchennych i położył tam przyniesioną płytę. Wziął jednego kotka, po czym z przyzwyczajenia otworzył lodówkę, żeby przejrzeć jej zawartość. Była załadowana żywnością, częściowo nadpsutą, ale w większości nadającą się do jedzenia. Stały w niej miski i garnki z resztkami - pani Spielberg była dobrą, choć kapryśną kucharką - na w pół opróżnione słoiki z masłem orzechowym, dżemem, otwarte paczuszki z kiełbasą, wątrobianka, krakersy, miseczki z ga-

laretką, opakowania odżywki dla niemowląt. Dick był najstarszy z siedmiorga dzieci utrzymywanych z pensji ojca, który pracował jako sierżant dyżurny w wydziale policji w Evanston.

Christian wybrał większy z dwóch na wół zjedzonych hot dogów i zamknął drzwi lodówki. Kotek wyrywał się w kierunku jedzenia, ale chłopiec trzymał je z daleka.

- Jeśli chcesz, zrób sobie kanapkę, Christianie. - Pani Spielberg odwróciła się z powrotem do miski.

- Nie, dziękuję, pani Spielberg - odpowiedział. - Dopiero co jadłem. Gdzie Dick?

- W suterenie, tak myślę. - Matka Dicka przechyliła się i ręką usmarowaną białym kremem włączyła radio stojące na blacie między naczyniami po rodzinnej przekąsce.

Christian, wciąż z kotkiem w ramionach, przestąpił stertę czasopism u szczytu schodów prowadzących do suterenu. Zielonkawe światło, wpadające przez pojedyncze małe okienko pod sufitem, sprawiało, że pomieszczenie wydawało się zimniejsze od pokoi na górze. Christian pokonał pełną przeszkód drogę między połamanymi meblami, walizkami, skrzynkami po wodzie sodowej i stosami rzeczy do prania. Dick, też ubrany w białe spodenki do tenisa, siedział na starym siedzeniu samochodowym, pochłonięty komiksem „Spiderman”.

- Cześć - odezwał się, nie odrywając oczu od pisma. - Chcesz oglądać mecz?

- Mogę - odparł Christian, postawił kotka na ziemi i usiadł na sąsiednim siedzeniu samochodowym. - Przyniosłem „Ali Shook Up”.

- Na siedemdziesiąt osiem obrotów czy długogrającą?

- Siedemdziesiąt osiem. Jest na górze. Chcesz przesłuchać?

- Później - odpowiedział Dick, odwracając stronę, ale Christian wiedział, że zrobił na przyjacielu wrażenie. „Ali Shook Up” to był nowy przebój.

Też wziął komiks i zaczął czytać. Stanowili dziwną parę. Ciemne włosy Dicka i krępa, zaokrąglona sylwetka z widoczną już skłonnością do tycia kontrastowały z patrycjuszowskim wyglądem Christiana. Sufit skrzypiał i łomotał

nad ich głowami, ale obaj przyjaciele czytali cicho przez mniej więcej godzinę, jakby wyłączeni z wszelkich hałasów.

Dziadek Christiana jechał Sheridan Road w kierunku Lake Shore Drive. Prowadził nie śpiesząc się, pozwalał innym się wyprzedzać, przeznaczył na dojazd do domu starców, w którym mieszkała Mamie, prawie całą godzinę. Zawsze uspokajał się, prowadząc w ten sposób. Samochód był jedynym miejscem, gdzie nikt nie mógł go nagabywać.

Przy Rogers Park zatrzymał się na czerwonym świetle obok budynku Illinois Trust, zamkniętego na weekend. Wywołało to falę gorzkich wspomnień o synu.

Cal, którego ambicje aktorskie nie spełniły się, na osiemnaście miesięcy przed katastrofą samolotową wciąż zmieniał pracę. Browar Smitha, zainteresowany lokowaniem pieniędzy w rozmaitych przedsiębiorstwach, kupił niewielką sieć kin Midwest i Malcolm oddał synowi w zarząd filię, w nadziei że ponieważ ma to pewien związek z show-biznesem, Calowi spodoba się nowe zajęcie i potraktuje je poważnie. Z początku wydawało się, że tak właśnie będzie - w pierwszym roku działalności Cal przekonał macierzystą firmę do rozszerzenia sieci i zbudowania trzech nowych kin, których otwarcie nastąpiło jesienią 1952 w odstępach dwumiesięcznych.

Ale po śmierci Cala nowy człowiek zajął się tą sprawą i w ciągu sześciu tygodni odkrył, że w rachunkach panuje bałagan, sieć znajduje się na krawędzi bankructwa, a listy i żądania kredytodawców, w tym przedsiębiorców i firm budowlanych, leżą wsunięte na samo dno szuflady w szafce z dokumentami. Dzięki nieświadomej pomocy przyjaciela z lokalnej filii Illinois Trust, którego urzekł swoim wdziękiem, Cal najwyraźniej źle gospodarował pieniędzmi, pozostającymi w jego dyspozycji. Wciąż pożyczał, płacił personelowi, ale nie kredytodawcom, popadając w coraz większe kłopoty.

Malcolm dowiedział się o tym dopiero w trzy miesiące po śmierci syna, gdy następcę Cala, który usiłował doprowadzić sprawy do ładu, odwiedził przedstawiciel sieci kasyn w śródmieściu. Miał przy sobie weksle, które świadczy-

ły o tym, że Cal grywał i zapożyczał się, by wybrnąć z tarapatów.

Samochód dotarł do Cermak Avenue, Malcolm skręcił w prawo i jechał teraz przez okolice, gdzie znajdowały się składy i punkty sprzedaży używanych samochodów, zostawiając z tyłu bardziej eleganckie rejony wzdłuż Outer Drive. Na skrzyżowaniu z Western Avenue kilkoro dzieciaków otworzyło hydrant przeciwpożarowy i na wpół nago wbiegało i wybiegało z krzykiem spod tryskającej wody. Jakaś kobieta, najwyraźniej matka jednego z nich, rzuciła wiązaną przekleństw w ich kierunku z drugiej strony ulicy, usiłując jednocześnie zapanować nad wózkiem dziecięcym i małym dzieckiem wyrrywającym się, by przebiec przez ruchliwe skrzyżowanie i przyłączyć się do zabawy. Malcolm, czekając na zmianę świateł, obserwował scenę pełną hałaśliwego życia. Pomyślał o własnym martwym, cichym domu i serce omal mu nie pękło z żalu nad swym pozbawionym matki, posępnym wnukiem. Dotarcie do domu starców, cofniętego nieco od ulicy, zajęło kolejne dziesięć minut. Ustawił samochód na małym parkingu, obsadzonym na skraju pstrymi, czerwono-żółtymi daliami. Cadillac miał klimatyzację i gdy Malcolm wysiadł, fala gorącego powietrza, ciężkiego od woni asfaltu, uderzyła go w twarz. Zanim wszedł do budynku, ukradkiem, jak złodziej, zerwał dla ciotki żółtą dalię z klombu.

Była w cieplarni, siedziała w fotelu na kółkach tyłem do niego i pochylała się w kierunku otwartego okna, przytrzymując liście usychającej palmy w doniczce i rozmawiając z kobietą, która stała na zewnątrz, w ogrodzie. Podeszedł i dotknął delikatnie ramienia ciotki.

- Dzień dobry, Mamie.

- Malcolm! - Na jej pomarszczonej twarzy odbiło się radosne zdziwienie. Puściła palmę, która z powrotem zasłoniła okno. - Przyszedłeś mnie odwiedzić?

- Dlaczego nie miałbym cię odwiedzać?

Pożegnała kobietę za oknem i obróciła się w fotelu na kółkach, wskazując Malcolmowi krzesło obok siebie.

- To dalia dla ciebie. Może lepiej ją schowaj - jest zerwana z klombu.

Mamie zaśmiała się cichutko.

- Niech to lichy! Mój bratanek złodziejaskiem. - Wsunęła dalej w szpic dekoltu jaskraworóżowego podkoszulka, a Malcolm założył nogę na nogę, rozsiadając się wygodnie.

- Bridie przesyła ci serdeczne pozdrowienia. Mówiła, że napisze do ciebie w ten weekend.

- Och, dziękuję, Malcolmie. To miło z jej strony. Wypiłbyś kieliszeczek? - Sięgnęła po torebkę i zaczęła grzebać w jej przepastnym wnętrzu.

Podniósł rękę z uśmiechem.

- Nie, dziękuję, Mamie, nie mogę pić. Ale ty się nie krepuj.

Wyciągnęła srebrną buteleczkę, którą jej kiedyś podarował, i odkręciła zakrętkę, stanowiącą zarazem mały kieliszek. Mamie lubiła dżin. Obserwował, jak nalała sobie alkoholu do kieliszka i upiła niewielki łyk. Strój Mamie -kwiecista spódnica i różowy podkoszulek - zdecydowanie nie był odpowiedni dla osiemdziesięciodziewięcioletniej kobiety, pomyślał. Malcolmowi wydawało się, że się skurczyła, odkąd widział ją ostatnio, ledwie sześć tygodni temu.

Pomarszczone fałdy zwiotczalej skóry zwisały z jej rąk i zatrzęsły się, gdy podniosła kieliszek do ust. Z wychudłymi, artretycznymi nogami wyglądała jak szkielet, ale starannie zakręcone włosy zdobiły jej głowę niby białe runo. Oczy o powiekach pociągniętych niebieskim cieniem błyszcząły. Usta uszminkowała na czerwono, a policzki zabarwiła suchym różem.

- A teraz - rzekła, wypiwszy dżin - opowiedz mi, co u ciebie.

- To ja przyszedłem cię odwiedzić, Mamie - odparł. - Ty mi opowiedz, co u ciebie!

- E tam! - prychnęła. - Tu się nigdy nic nie dzieje - o, to jest pan Wilson... - Dostrzegła starszego, czarnego mężczyznę o kuli, który mijał drzwi. - Dzień dobry, panie Wilson! - zawołała. - Niech pan wejdzie i pozna mojego bratanka.

Malcolm wiedział, że mieszkańcy tego domu wymieniali uwagi na temat statusu swoich krewnych i że Mamie nie mogła przepuścić okazji, żeby się nim pochwalić. Wstał, by przywitać mężczyznę, który powoli posuwał się po wyłożonej kafłami podłodze cieplarni.

Mamie promieniała.

- Malcolmie, to jest pan Wilson - powiedziała swym „dystyngowanym” tonem, machnąwszy łaskawie ręką. - Żebyś wiedział, jak on śpiewa! Jest tak dobry jak niegdyś Paul Robeson.

- Ach, skądże, pani Morgan... - Mężczyzna zaśmiał się. Rzeczywiście miał donośny, dźwięczny głos. - Chyba paniusia przesadza.

- Mój bratanek, jak pan wie, jest z tych Smithów, właścicieli browaru.

- Tak, tak, pani Morgan. Miło było pana poznać, panie Smith - rzekł mężczyzna. - Jeśli będzie pan miał jakieś nadwyżki w produkcji, panie Smith, wie pan, dokąd je wysłać. Racja, pani Morgan?

- Oczywiście, panie Wilson - odparła Mamie.

- Z przyjemnością przyślę panu trochę piwa. - Malcolm wyrzucił sobie, że nie pomyślał o tym wcześniej.

Gdy starszy mężczyzna odszedł, Mamie pochyliła się do przodu w fotelu.

- Biedak! - szepnęła. - Ma syna, lekarza, który właśnie rozwiódł się ze swą biedną żoną i odszedł z sekretarką, małą flirciarą, o połowę młodszą od niego.

- Znasz ją? - Malcolm był ubawiony. Powinien odwiedzać Mamie częściej.

- Oczywiście że nie! - Mamie zgrabnie wypila kolejny łyk ze srebrnego kieliszka. - Nie odważyłby się jej tu przyprowadzić!

- Więc skąd wiesz, że sekretarka jest flirciarą? - Wypowiedział to słowo z lubością. Zawsze należało do słownika Mamie. - Może to jego żona była flirciarą.

- Niektórzy potrafią czytać między wierszami. - Mamie zacisnęła umalowane wargi.

Zapadło milczenie.

- Jak tam Christian? - zapytała po chwili.

- Mamie, tak naprawdę, to nie wiem - odparł. - Chyba nie mogę do niego dotrzeć. Cały czas wygląda, jakby był o coś straszliwie wściekły.

-Dlaczegoż by nie miał być wściekły, biedne maleństwo? Stracić całą rodzinę w taki sposób! Wiesz, wciąż nie

mogę uwierzyć, że historia tak się powtórzyła. Dwa razy straciłeś całą swoją rodzinę. - Mamie była na tyle stara, by mówić bez zakłopotania o tragedii i śmierci. - Nigdy nie zapomnę tego dnia, gdy Alan, biedaczysko, przyprowadził cię do domu. Miałeś wynędzniałą, bladą twarzyczkę z wielkimi oczyskami...

- Ja też tego nie zapomnę. Ciepły dom i całe to jedzenie pierwszego wieczoru. - Motto Mamie w postępowaniu z młodymi ludźmi zawsze brzmiało: „Jeśli ma kłopoty - nakarmić”.

Odstawiła kieliszek i wzięła go za rękę.

- Czy to wciąż jest takie straszne, Malcolmie? Skinął głową, przygnębiony.

- Nie wiem, co ci powiedzieć, mój drogi. Wszystko, co możesz zrobić, to pamiętać o latach, które przeżyłeś ze swą ukochaną rodziną. Wykorzystaj te wspomnienia, Malcolmie. - Jej miły, starczy głos załamał się i znowu zaczęła przegrzebywać torbę, tym razem w poszukiwaniu chusteczki. Malcolm patrzył, jak wydmuchuje nos. To właśnie ona w wieku osiemdziesięciu pięciu lat pojechała do Bangoru w stanie Maine z nim i Cordelią, by opłakiwać utraconą rodzinę. Na maleńkiej kamienistej plaży siedziała w fotelu na kółkach obok nich, gdy na brzegu Atlantyku, trzymając się w objęciach, płakali razem, a potem rzucali kwiaty na fale. Nie płakała, siedziała po stoicku spokojna, z nogami otulonymi pledem, w czarnym kapeluszu przypiętym mocno do runa grubych, białych loków. Gdy silny wiatr wyrzucił róże z powrotem na brzeg, to właśnie ona przejechała fotelem na kółkach przez kamienie, by podnieść kwiaty i znów cisnąć je do wody.

- Gdy ktoś jest tak stary jak ja, Malcolmie - powiedziała wreszcie Mamie - dziwne rzeczy się dzieją. Dobre wspomnienia tak bardzo stają się częścią codziennego życia, że trudno dostrzec linię dzielącą dzień dzisiejszy od przeszłości. Czasami myślę, że Alan i ja obchodziliśmy nasze srebrne wesele ledwo w zeszłym tygodniu.

- Mam kłopoty ze spaniem, Mamie - powiedział. Słowa popłynęły gwałtownie. - W środku nocy wydaje mi się, że widzę katastrofę samolotową, wciąż na nowo.

Mamie westchnęła.

- Ból nigdy nie zniknie całkowicie, mój drogi, ale będzie odchodził po trochu, aż zostanie tylko skorupa. I pod tą skorupą znajdziesz całą słodycz dobrych czasów, którą będziesz mógł smakować, kiedy tylko zechcesz. Ale musisz pomóc Christianowi. Teraz jego kolej.

- Wiem, tylko że on nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Sądzę, że obwinia mnie i swoją babcię za to, co się stało.

- Pewnie tak, Malcolmie. Ale postaw się na jego miejscu. Biedne dziecko musi kogoś za to winić. - Wzięła go za rękę. - Pamiętaj, nigdy nie można kochać dziecka zbyt mocno.

- Jedno mnie martwi - nie rozmawiam o tym nawet z Delią - że ponieważ nie potrafię do niego dotrzeć, może wyrosnąć na lekkoducha jak jego ojciec... i to będzie moja wina.

- I co z tego, jeśli nawet tak się stanie, Malcolmie? Zdarzają się w życiu gorsze rzeczy niż lekkomyślność, wiesz przecież. Nie wszyscy jesteśmy stworzeni do ważnych i odpowiedzialnych zadań. Bóg potrzebuje też ludzi wachających kwiatki. - Malcolm uwielbiał rodzący się katolicyzm Mamie. Spojrzał na jej miłą, mądrą twarz, ożywioną sztucznymi kolorami.

- Jesteś wspaniałą kobietą! - powiedział, ściskając jej rękę.

- Bzdury! - odparła Mamie. - Jestem stara i żyję dłużej od ciebie, to wszystko. Widziałam więcej.

Siedział z nią prawie godzinę. W cieplarni było bardzo cicho. Doniczki i wiszące koszyki z lobeliami, nasturcjami i różnymi odmianami bluszczu trwały bez ruchu w ciężkiej spiekocie i Malcolm poddał się temu spokojowi. Mamie wypła jeszcze trochę dżinu i dalej z nim gawędziła, ale on dostrzegł, że niebieskie powieki opadły raz czy dwa.

Zmęczyła się.

- Chyba już sobie pójdę, Mamie - powiedział, gdy zobaczył, że głowa opadła jej na pierś.

Obudziła się.

- Nie idź, jeśli nie musisz, Malcolmie.

Ale on widział, że Mamie potrzebuje drzemki. Pocałował ją w pergaminowy policzek. Pachniała zasypką dla dzieci, przyjemnie, choć z lekkim tchnieniem stęchlizny.

- Do widzenia, Mamie. Chciałbym, żebyś przyjechała do Evanston w odwiedziny.

- Może przyjadę, Malcolmie, ale jestem tu bardzo zajęta.

Uśmiechnął się i pocałował ją po raz drugi.

- Do widzenia więc. Niebawem znowu cię odwiedzę. Ona także uśmiechnęła się do niego, ale widać było, że znajduje się na krawędzi snu. Zerknął od drzwi - głowa już jej opadła do przodu.

Molly spędziła lato wspaniale. Jednego z najlepszych dni ona, mama i Conor poszli na zabawę na Inis Meain. Od początku do końca był to niezwykle dzień.

Brendan przyjechał do domu na urlop z pracy w Birmingham, ale nie wybrał się z nimi. Molly to nie zdziwiło.

Zawsze zachowywał się nieznośnie, ale wydawał się coraz gorszy, od kiedy wyjechał z domu. Ponieważ był teraz mężczyzną i zarabiał, dostawał pokój Molly, ilekroć przyjeżdżał, a ona wtedy musiała spać na rozstawionym w kuchni łóżku, Conor zaś na drugim, obok kominka. Brendan nigdy nie wynurzał się z pokoju prawie do obiadu.

Conor i Molly schodzili mu z drogi, jak tylko mogli, choć mama starała się cały czas poprawić mu humor pochlebstwami. Wydawało się, że Brendan lubi tylko towarzystwo taty. Stale wychodził z nim i wujkiem do łodzi, żeby zastawić więcierze, a potem szedł z nimi do gospody.

Sorcha pragnęła odwiedzić siostry na Inis Meain i zabawa stwarzała wspaniałą okazję, gdyż wtedy wiele łodzi wypływało z Inis Oirthir. Spytała Conora, czy nie wybrałby się z nią, żeby nie musiała jechać sama, bo Michealowi nawet się nie śniło ją tam zabrać.

- Pojadę - odparł Conor, podnosząc Molly do góry, ponad głowę - jeśli będę mógł wziąć ze sobą moją przyjaciółkę. Serce Molly omal nie pękło ze szczęścia. Ustalono, że brat Micheala, Sean, zabierze całą trójkę swoją łodzią.

Zabawy na Inis Meain nigdy nie rozkręcały się właściwie przed północą, dlatego mieli tam przenocować, więc dzień wcześniej Molly musiała pomóc mamie w przygotowaniach. Znowu pożyczły niebieską, jedwabną sukienkę od Kettów, wyprasowały ją i ostrożnie złożyły. Sorcha wyjęła swoją odświętną suknię, owiniętą w bibułkę, uprała ją i wywiesiła do wyschnięcia na świeżym powietrzu. Potem, późnym wieczorem, przy pomocy Molly ugotowała boczek, upiekła chleb i upewniła się, czy jest dość jedzenia dla Brendana i Micheala, gdy zostaną w domu sami. Nazajutrz rano cała trójka wyruszyła łodzią Seana z małym silniczkiem za burtą. Sorcha usiadła na dziobie, otoczona tobołkami i paczkami, a Molly zajęła miejsce obok Conora na siedzeniu z deski pośrodku łodzi, podczas gdy ich wuj trzymał rumpel na rufie. Morze miało butelkowitzelony kolor i było lekko wzburzone, a gdy śmigali naprzód, pył wodny wzniesany przez łódź zwilżał im twarze. Molly, która obawiała się morza tylko trochę mniej dzięki podróży na ląd, trzymała się mocno Conora i zlizywała z warg wodę, zimną i słoną.

Magia zaczęła działać, gdy byli w połowie drogi przez Foul Sound. Przyłączyła się do nich szkółka delfinów. Molly widziała z brzegu delfiny i morświny, a nawet małe wieloryby - często spotykane w wodach otaczających wyspy Aran - ale po raz pierwszy oglądała je z tak bliska. Gdy wynurzył się pierwszy delfin, straszliwie się przeraziła i krzyknęła cicho, ale Conor mocniej objął ją ramieniem, tak że poczuła się bezpieczna i przejęta zarazem.

Nawet wuj, który był przyzwyczajony do delfinów, zwolnił obroty silnika i poddał się panującemu podnieceniu, gdy stworzenia zamąciły powierzchnię morza wokół ich małej łodzi, wyskakując z wody pojedynczo, parami, a czasem po trzy, i przyglądając się za każdym razem ludziom na pokładzie. Molly pomyślała, że pyski delfinów układają się do śmiechu. Zaklaskała w dłonie i zobaczyła, że na dziobie Sorcha też klaszcze i śmieje się radośnie. Chusteczka, którą nosiła, zsunęła się jej na tył głowy, a włosy, targane silnym morskim wiatrem, wysuwały się z upiętego wężła.

Jeden z delfinów, bardziej ciekawy od reszty, płynął wciąż obok łodzi w odległości zaledwie jakichś trzech metrów; za każdym razem, gdy wynurzał się na powierzchnię, ciemny i błyszczący od wody, która lała mu się z grzbietu, uśmiechał się wprost do Molly, jednym dużym okiem spoglądając jej prosto w oczy. I za każdym razem, gdy z pluskiem wskakiwał z powrotem do wody, widziała setki maleńkich tęczy uwieczonych w kroplach, które spadały za nim.

Delfiny bawiły się z nimi przez pięć minut, po czym ruszyły w swoją stronę, wciąż podskakując. Zanim jednak na dobre znikły im z widoku, jeden znowu wyłonił się na powierzchni. Tuż za nim drugi. Pierwszy wzniósł się pionowo, wynurzając się z wody, i tańczył na ogonie przez sekundę lub dwie. Drugi zrobił to samo. Potem po kolei plusnęły z powrotem w głębinę, wzbijając fontanny wody.

Reszta podróży była monotonna. Siostry Sorchy czekały na łódź na przystani na Inis Meain i zabrały ich do domu tej z nich, która miała największą chatę, gdzie zjedli obfity posiłek, składający się z ryby i boczku oraz galaretki z kremem na deser. Siostry przyszły z mężami i dziećmi, wszyscy tłoczyli się wokół stołu, dorośli siedzieli, dzieci stały. Potem dzieci wysłano, by się pobawiły, żeby mężczyźni mogli zapalić, a kobiety poplotkować przy filiżance herbaty. Molly czuła się onieśmielona w towarzystwie swoich kuzynów, choć widywała ich już wcześniej, i wzbraniała się przed grą w klasy czy w skakankę, ale Conor pogrążył się w rozmowie z chłopcami, więc jeśli nie chciała zostać sama, nie miała wyboru, musiała się przyłączyć do innych.

Gdy zmierzch ukradkiem nadszedł od morza, wszyscy zaczęli się stroić na zabawę. Molly wraz z mamą ulokowano w sypialni z dwojgiem tutejszych dzieci. Miały spać na łóżku, a reszta na materacu na podłodze. Trudno było się poruszać w maleńkim pokoju, ale w końcu wszyscy zdołali się przygotować do wyjścia. Każdy podziwiał Molly w królewskiej sukience i wszyscy dorośli mówili jej, jaką jest dużą dziewczynką na swój wiek i jakie ma śliczne, jedwabiste blond włosy.

Dwudziestoosobowe towarzystwo wspólnie wyruszyło do klubu, gdzie miała się odbyć zabawa. Budynek stał na

wzniesieniu i Molly już z pewnej odległości dostrzegła światło buchające z otwartych drzwi i usłyszała słabe odgłosy muzyki, niosącej się przez maleńkie pola i kamienne murki. Zastanawiała się, czy tak właśnie Pireneje rozbrzmiewają dzwonekami, ale bała się podejść do Conora i zapytać. Szedł z przodu z kuzynami, trzema chłopcami starszymi od niego i dwoma młodszymi, pochłonięty męskim światem, do którego - jak wiedziała - ona nie ma dostępu.

Choć prawie dochodziła północ, nie ściemniło się jeszcze całkowicie i daleko nad morzem, na zachodzie wyspy, wciąż można było dostrzec bladoniebieski pas nad horyzontem. Idąc między mamą i jedną z ciotek, Molly widziała wszędzie wokół siebie płomyki niby chmury świetlików na kobiercu ścieżek. Liczne światełka rzucały pochodnie niesione przez tancerzy, którzy zmierzali prosto do klubu.

W końcu doszli. W środku Molly oślepiło światło i ogłuszył hałas. Wielki mur rozmów przerósł dźwięki muzyki wykonywanej przez siedmiu grajków na podwyższeniu, pięciu miejscowych i dwóch gwiazdorów sprowadzonych z dużej wyspy - akordeonistę i mężczyznę, który grał na flecie. Zmarszczyła nos, czując woń alkoholu, gdy przepychali się do sali poprzez tłum mężczyzn i chłopców stłoczonych w potrójnym szeregu wokół drzwi.

Kobiety w klubie powitały jej mamę. Ubrane w niedzielne spódnice, siedziały rozpromienione, parami, w rzędzie fornirowanych krzeseł pod ścianą. Sorcha wzięła Molly ze sobą i posadziła ją sobie na kolanach. Kobiety narobiły wokół niej dużego zamieszania i jedna poszła po szklanekę lemoniady. Sącząc napój, Molly przysłuchiwała się rozmowie, która toczyła się w całości wokół dni i zabaw dawno minionych. Obserwowała tancerzy na parkiecie, którzy przytupywali jedną albo obiema nogami, wirowali i obracali się. Tańczyli ludzie w każdym wieku, od lat trzech do osiemdziesięciu.

Przyszedł Conor i wyciągnął ją na parkiet. Nie umiała tańczyć, ale on tak czy owak zakręcił nią wkoło, a potem podszedł inny chłopiec i zabrał ją Conorowi. Wirował tak siarczyście, że oderwał Molly od podłogi. Gdy taniec się

skończył, Conor odprowadził ją do mamy, ale ona właśnie wstawała z krzesła, poproszona do tańca przez starszego mężczyznę o zgarbionych plecach. Kiedy mężczyzna przedostał się na parkiet, ułomność nie przeszkodziła mu tańczyć lekko jak piórko. Twarz mamy wypogodziła się i rozkwitła uśmiechem - i Molly pomyślała, że mama wygląda prześlicznie, tak jak wtedy, gdy w łodzi śmiała się do delfinów. Starszy mężczyzna odprowadził ją z powrotem do Molly, uklonił się, tupnął obiema nogami i wykrzyknął: „Hura!” Powiedział Molly, że ma nadzieję, iż wie, że jej matka jest najlepszą tancerką w Irlandii.

Noc mijała powoli i Molly poczuła się bardzo senna. Nigdy nie zdarzyło jej się nie spać, chyba że była chora. Conor usłał jej gniazdko z całego stosu okryć, żeby mogła spać w kącie sali. Inne dzieci już tam spały - dwaj mali chłopcy i dziewczynka, nie więcej niż dwuletnia, pomyślała Molly. Gdy zasypiała przy melodii staromodnego walca, mama minęła ją, tańcząc z jedną z sióstr. Molly pomyślała, jakie ma szczęście, że jest córką najlepszej tancerki w Irlandii. Nie pamiętała, jak przenieśli ją z powrotem do chaty cioci, a kiedy się obudziła, mama przygotowywała się już do powrotu na Inis Oirthir. Wyjeżdżali wcześniej, żeby Sorcha zdążyła w domu ugotować obiad dla Micheala i Brendana.

Tym razem nic się nie wydarzyło podczas podróży przez Foul Sound - delfiny nie pojawiły się, by płynąć z nimi po spokojnym morzu, tylko pojedyncza mewa szybowała leniwie, nieskazitelnie biała na ciemnoszarym niebie, tak szarym, że wuj Sean powiedział, iż wygląda, jakby padał deszcz. Byli bardzo zmęczeni, wszyscy czworo. Molly z trudem trzymała oczy otwarte.

Nikt nie wyszedł im na spotkanie na plażę, ale Conor wyskoczył z łodzi i wciągnął ją na brzeg, żeby Molly i Sorcha się nie zamoczyły. Potem razem z Seanem obrócili łódź do góry dnem i przenieśli ją - niby czworonożnego żuka z czarnym pancerzem - w bezpieczne miejsce poza linią wodną. Wszyscy pożegnali się z Seanem i powędrowali na wzgórze do domu.

Brendana nigdzie nie było widać, ale tata Molly siedział przy kominku.

- Nie śpieszyło się wam - powiedział, gdy stanęli w drzwiach. Wyszedł i oddalił się drogą.

Conor rzucił za nim groźne spojrzenie, ale Sorcha tylko westchnęła i kazała Molly przynieść torf, a sama wygarnęła popiół i podłożyła trochę drewna, żeby rozpalić na nowo ogień. Potem wysłała Conora do studni po wodę, bo bańka na mleko, w której trzymali wodę, była prawie pusta.

W milczeniu jedli obiad we czwórkę, Micheal bowiem wrócił, usiadł na swoim miejscu i dziobał jedzenie widelcem, nie podnosząc oczu. Nie było dzisiaj mięsa, ale Sorcha ugotowała kilka solonych śledzi, które dostała w podarunku od siostry. Podobnie jak sąsiedzi, jadali bardzo niewiele ryb, ani Molly jednak, ani Conor nie powiedzieli słowa, żując twardą, włóknistą rybę. Brendana wciąż nie było nigdzie widać, lecz nastrój Micheala sprawiał, że nikt nie odważył się o niego zapytać.

Z ulgą skończyli posiłek. Micheal bez słowa odsunął krzesło od stołu, podszedł do kominka i wziął trochę pieniędzy ze słoika. Podczas posiłku zaczął padać deszcz, więc zdjął płaszcz nieprzemakalny z wieszaka za drzwiami, ubrał się i wyszedł. Pozostała trójka odetchnęła. Molly pomogła mamie sprzątnąć talerze i kubki ze stołu i starła blat. Conor wyjął książkę z torby za łóżkiem i przeniósł krzesło pod okno, żeby poczytać.

Przejaśniło się około podwieczorku i Sorcha wysłała Molly, żeby posiedziała na murze i zawiadomiła ją, kiedy zobaczy, że Micheal i Brendan wracają do domu. Gdy dziewczynka ich dostrzegła, jak wspinają się na wzgórze, była siódma. Brendan się zataczał. Z Michealem nie było tak źle, ale też szedł chwiejnym krokiem i miał wojowniczą minę.

Stół był już nakryty do podwieczorku tylko dla nich dwóch. Pozostała trójka zjadła wcześniej.

- Lepiej wyjdź, Conorze - poprosiła Sorcha nalegającym tonem. - Wymknij się i zaczekaj przy kaplicy, aż ich obsłużę. Będzie lepiej, gdy zjedzą podwieczorek.

- Mamo - odparł spokojnie Conor - nigdzie nie pójdę.

Nic złego tu nie robię, ani ja, ani nikt inny. Wszyscy spokojnie odpoczywamy.

Molly słyszała to i zrozumiała, o czym mowa. Gdy Micheal miał w czubie, zwykle wybuchała kłótnia. Chciała, żeby Conor wyszedł, bo i ona wymknęłaby się z nim, ale gdy wziął książkę i wrócił pod okno, wśliznęła się do kąta w kuchni i siedziała tam cicho jak trusia.

Dwaj mężczyźni weszli w drzwi. Brendan zatoczył się na ścianę i byłby upadł, gdyby Micheal nie złapał go za ramię. Sorcha zbliżyła się do stołu.

- Herbata gotowa, Michealu - powiedziała.

Micheal pomógł Brendanowi dotrzeć do stołu i obydwaj usiedli. Sorcha naląła im herbaty i upewniła się, że chleb leży w zasięgu ręki. Brendan był zbyt pijany, by jeść, ale siedział, a głowa kiwała mu się niepewnie; sięgał po jedzenie, po czym zmieniał zamiar i znowu opuszczał rękę.

Micheal szybko jadł i pił, siorbał dużymi haustami herbatę i wpychał chleb do ust. Po chwili podniósł wzrok, by wziąć masło, i natknął się na spojrzenie Conora.

- Czego się gapisz? - ryknął tak głośno, że okruchy na wpół pogryzionego chleba wyprysnęły mu z ust. Jeden z nich przykleił się do nie ogolonej brody.

Zanim go strząsnął, Conorowi wyrwał się nerwowy śmiech. To rozwścieczyło Micheala; skoczył na równe nogi, aż krzesło upadło z łoskotem na kamienną podłogę.

- Ty szczeniaku! Ja cię nauczę śmiać się z ojca! - wrzasnął i rzucił się przez kuchnię w stronę syna.

Sorcha podbiegła, usiłując wcisnąć się przed Conora, ale Micheal odepchnął ją gwałtownie na bok. Straciła równowagę i upadła na kredens.

- Tatusiu! - krzyczała Molly ze swego kąta. - Proszę, tatusiu, nie!

Conor też krzyczał.

- Tatusiu, przepraszam - proszę - proszę, tatusiu, przepraszam!

Ale Micheal zbyt się już zagalopował. Rozwścieczony, zamachnął się na syna otwartą dłonią, lecz Conor zrobił unik i impet pociągnął Micheala do przodu, tak że uderzył o ścianę. Złapał się za ramię, jakby go bolało.

Znowu ruszył gwałtownie na Conora. Chłopiec próbował uciec, ale ponieważ drzwi otwierały się do środka, Michealowi udało się chwycić go od tyłu. Upadli obydwaj na ziemię i zaczęli się szarpać. Conor, choć duży i silny, nie dorównywał cięższemu i mocniejszemu ojcu. Mimo to walczył zajadłe, używając kolan i pięści.

Molly była tak przerażona, że nie mogła nawet krzyknąć. Przywarła do ściany, gdy ojciec z bratem przewalali się po podłodze, przewracając krzesła i uderzając o nogi stołu. Sorcha pozbiierała się i usiłowała pochwycić Micheala od tyłu, ale ten strząsnął ją z siebie. Sorcha potknęła się i znowu upadła na kolano. Micheal cały czas wrzeszczał i przeklinał po irlandzku i po angielsku, używając słów, których Molly nigdy dotąd nie słyszała.

- Ty pieprzony mały bękarcie...

Udało mu się unieruchomić Conora, przygwoździć jedną jego rękę do boku i wstać. Powłókł go za sobą, wciąż przeklinając. Zaciągnął syna do pokoju Molly, obecnie Brenda-na, i zatrzasnął drzwi.

Nadal dobiegały stamtąd odgłosy walki i głos Conora, teraz żałośnie podniesiony.

- Proszę, tato, przepraszam, proszę, proszę... Proszę, nie! Przepraszam, tato, przepraszam...

Brendan nadal siedział przy stole z opuszczoną szczęką, ledwo do niego docierało, co się dzieje. Sorcha nie wytrzymała dłużej. Szlochając, zerwała chustę z wieszaka i wybiegła za drzwi. Molly wyskoczyła za nią, ale mama uciekała zbyt szybko i wdrapała się już na wysokość pięćdziesięciu metrów na wzgórze, zanim córka okrążyła róg domu. Molly słyszała jej szlochy, które niosły się przez mury, a z domu jednocześnie nadal dobiegały uszu dziewczynki krzyki Conora. Dwaj mężczyźni idący drogą zatrzymali się i popatrzyli za Sorchą, a potem na siebie. Molly niemal umierała z przerażenia i smutku. I wstydu.

Pobiegła pod dach przybudówki za stertą torfu, gdzie zwykle sypiała suczka na posłaniu z wysuszonych wodorostów. Wpełzła tam, położyła się obok małego pieska i ukryła głowę w jego ciepłej sierści, chroniąc uszy przed odgłosami wciąż dochodzącymi z domu i wsłuchując się za-

pamiętała w bicie serca collie. Suczka też była przestraszona, drżała i lizała goły łokieć Molly.

Po chwili, nie wiedziała, jak dłużej, Molly odsłoniła uszy. Panował spokój, nie słyszała żadnych wrzasków, żadnych płaczów, żadnych krzyków.

Przerażona, powoli obeszła z powrotem róg domu. Chciała zerknąć przez okno, ale wciąż było dla niej za wysokie.

Przekradła się więc na paluszkach w stronę otwartych drzwi. Kuchnia była pusta. Wszystkie krzesła leżały porozwalane dokoła przewróconego stołu. Szczątki miski wały się na podłodze przed kredensem, wszędzie poniewierały się skorupki jajek, a białka i żółtka kleistą breją pokryły dużą powierzchnię pomieszczenia.

Molly ostrożnie wyminęła cały ten bałagan i otworzyła drzwi do swojego pokoju. On też nosił ślady walki. Koce były niemal całkiem ściągnięte z łóżka, a budzik, przywieziony do domu z Birmingham przez Brendana, leżał na podłodze ze stłuczonym szklanym cyferblatem. Wciąż jednak tykał.

Conor leżał na łóżku plecami do niej. Był na wpół nagi. Spodnie miał ściągnięte do kostek, a koszulę porozrywaną na strzępy. Siniaki już pojawiły się na całym ciele chłopca, szczególnie na pośladkach i plecach. Wystąpiła też długa czerwona pręga w miejscu, gdzie ojciec czymś go uderzył, prawdopodobnie pasem. Miał też ślady na rękach, związanych z tyłu powrozem.

Molly pobiegła do kredensu w kuchni i otworzyła jedną z szuflad. Wyjęła duży nóż, którego mama używała do zaryzowania drobiu, i wróciła pędem do sypialni. Miała kłopoty z przecięciem powrozu i piłowała go nieudolnie, co, jak jej się wydawało, trwało wieki. Ale Conor, choć pojękiwał, usiłował jej pomóc, zginał ręce, napręzał sznurek, rozstawiając pięści jak najdalej od siebie, żeby Molly było wygodniej.

Gdy powróż wreszcie puścił i chłopiec się uwolnił, podciągnął spodnie, by zakryć swą nagość. Potem popatrzył na Molly, która nigdy przedtem nie widziała w jego oczach takiego wyrazu. Znowu się przestraszyła. Ale wyraz ten zaraz zniknął i oczy Conora napełniły się łzami. Wyciągnął do

niej ręce, a ona wdrapała się na łóżko obok brata i skuliła się u jego piersi jak mały kotek. Ciało Conora wydzielalo kwaśną woń. Otoczył siostrzyczkę ramionami.

-*La amhain!** - szepnął jej we włosy. - Pewnego dnia, Molly, dopadnę go. Pewnego dnia...

* **Pewnego dnia! (irl.)**

Rozdział 4

Szepty w sali sypialnej narastały; wreszcie niektóre dziewczęta zrezygnowały z ostrożności i w ogóle nie zwracały sobie głowy szeptaniem, tylko rozmawiały półgłosem. Jutro zaczynały się letnie wakacje.

Łóżko Molly stało przy oknie, więc jedna strona jej kącika nie była osłonięta; przez okno widziało się trawnik przed szkołą od strony jeziora. Dostęp do okna stanowił wątpliwy przywilej zimą, kiedy deszcz walił o szyby, a wiatr kładł swe lodowate palce na policzkach, wciskając się poprzez popekany kit, ale letnie noce, jak ta, osładzały zimową pokutę. Dochodziła dziesiąta i Molly, stojąc na podwyższeniu z poduszki, patrzyła, jak słońce pogrąża się w jeziorze i znika za górami, które wydawały się o półtora kilometra stąd, a naprawdę odległość wynosiła prawie osiem.

Zasłona oddzielająca jej łóżko od posłania przyjaciółki drgnęła, pociągnięta w bok, i u jej skraju pojawiła się kędzierzawa głowa Kathleen Agnes Dwyer.

- Molly! - szepnęła dziewczyna.

Molly porzuciła oglądanie zachodu słońca, odwróciła się bokiem na łóżku i, spuściwszy rękę na podłogę, usiłowała zrozumieć, czego chce jej przyjaciółka. Zakonnice rozdzieliły dziewczęta na początku roku, ale pozwolono im znowu przebywać razem, gdy Kathleen Agnes, kokietując dołecz-kami w policzkach, przekonała matkę Regis, że Molly jej potrzebuje i ponieważ jest taka nieśmiała, trudno jej będzie znaleźć inną przyjaciółkę.

Molly dowiedziała się, że Kathleen Agnes nie ma jej nic szczególnego do powiedzenia; chciała tylko przypomnieć, jak się umówiły co do spotkania w lecie. Zamierzały się odwiedzić nawzajem w sierpniu. Ojciec Kathleen Agnes był rolnikiem i gospodarował na sześćdziesięciu hektarach urodzajnej ziemi w Limerick.

Gdy Kathleen Agnes po raz pierwszy zaczęła snuć te wakacyjne plany, Molly podeszła do nich niechętnie. Choć pragnęła pojechać do Limerick, obawiała się rewizyty przyjaciółki i jej reakcji na maleńką chatę, która była tak prymitywna w porównaniu z luksusowym mieszkaniem Kathleen Agnes. Ale wybrnęła z kłopotu, ustalając, że tygodniowe odwiedziny przyjaciółki na Inis Oirthir zbiegną się z przyjazdem Conora na wakacje w połowie sierpnia. Miała nadzieję, że Conor zawojuje romantyczne serce Kathleen Agnes i humory taty nie będą w niczym przeszkadzały.

Matka przełożona wkroczyła do sali sypialnej, by przywrócić porządek. Molly cofnęła się do łóżka i razem ze wszystkimi odmówiła różaniec.

- Dobranoc, dziewczęta! - odezwała się zakonnica po skończeniu modlitwy. - Teraz już śpimy! Żadnego bałaganienia.

Nawet na matkę przełożoną wpłynął wakacyjny nastrój, pomyślała Molly. Jej głos brzmiał młodo, jak głos prawdziwej kobiety.

- Dobranoc, matko przełożona! - odpowiedziała w chórze z resztą dziewcząt.

- Pchły na noc, karaluchy pod poduchy! - Samotny głos z drugiego końca dużej sali załamał się pod ciężarem własnej zuchwałości.

Molly wtuliła się w łóżko i zamknęła oczy. Nie miała nic przeciwko szkole, tak naprawdę nawet ją lubiła, ale cieszyła się z powrotu do domu. Miała szesnaście lat, cztery miesiące i siedem dni.

Gdy obudziła się następnego ranka, doszły ją przyciszone odgłosy krzątania w całej sali sypialnej. Nikt nie rozmawiał, ale dziewczęta złamały zasadę, która nie pozwalała im wstawać przed dzwonkiem, i korzystały z łazienek.

Drzwiczki szafek otwierały się i zamykały i Molly słyszała szuranie walizek po podłodze.

Zgodnie z planem, miała pojechać do Galway wraz z innymi dziewczętami, które tam przesiadały się do pociągów i autobusów. Ona jednak podróżowała pod opieką siostry zakonnej, ponieważ ze względu na pogodę „Naomh Eanna” mogła odbić z opóźnieniem lub wcale. W takim wypadku zakonnica zabrałaby ją z powrotem do szkoły. Spoglądając w niebo, Molly nie martwiła się o to. Słońce stało wysoko i zapowiadał się ładny dzień.

Wyskoczyła z łóżka i umyła się. Zimna woda spływająca na ciepłą pierś zapała jej dech. Molly wyniosła miednicę do łazienki, by wylać brudną wodę do jednego ze zlewów. Gdy rozległ się dzwonek, dziewczyna była już z powrotem przy łóżku i wciskała gąbkę do walizki.

Śniadanie podano uroczyste - płatki kukurydziane zamiast owsianki. Oczywiście nie było lekcji - nawet dziewczęta przygotowujące się do egzaminów powtarzały materiał tylko pod nadzorem - tak więc po śniadaniu Molly z Kathleen Agnes, której ojciec miał przyjechać po nią z Limerick, poszły na przechadzkę nad brzeg jeziora przez trawnik usiany stokrotkami. Nagie przeguby wystawały Molly z rękawów bluzy; idąc, naciągała też bezskutecznie brązowe spodenki gimnastyczne, jakby mogła je w ten sposób przedłużyć. Kończyły się wysoko nad kolanami i czuła się niemal obnażona. Szybko urosła w ciągu roku szkolnego i we własnych oczach wyglądała po prostu okropnie.

- Wyglądam strasznie! - powiedziała ponuro do małej, drobnej Kathleen Agnes, gdy zatrzymał ją krzak czepliwych jeżyn, pod którym jej przyjaciółka przeszła bez trudu. - Nie cierpię tego, że jestem taka wysoka.

- Na litość boską! Przestań jęczeć! - Kathleen Agnes nigdy nie przebierała w słowach. - Matka Josephine powiedziała mi, że jej zdaniem, z twoim wyglądem mogłabyś zostać modelką albo gwiazdą filmową.

Kathleen Agnes przesadzała. Naprawdę zakonnica powiedziała, że nie widziała jeszcze tak wysokiej dziewczyny z wysp Aran. Kathleen Agnes miotała się jednak ciągle między irytacją, że Molly może być tak piękna i nie wie-

dzieć o tym - albo, co gorsza, nie dbać o to - i naturalną chęcią do podbudowania wiary w siebie nieśmiałej przyjaciółki.

- Gdybym ja wyglądała tak jak ty i miała twój wzrost -ciągnęła - nic na świecie nie zmusiłoby mnie do powrotu do tej budy w przyszłym roku tylko po to, by dostać świadectwo ukończenia szkoły. Pojechałabym do Londynu.

- Kathleen Agnes, jesteś piękna! A świadectwo ukończenia szkoły daje ci możliwość wyboru w dalszym życiu

-dodała Molly sztywno, powtarzając słowa zakonnicy.

- Guzik mnie obchodzi możliwość wyboru. - Kathleen Agnes potrząsnęła lokami. Dla Molly barwny język koleżanek w internacie stanowił prawdziwe odkrycie. - Zamierzam wyjść za mąż za bogatego człowieka - ciągnęła przyjaciółka

- nie za rolnika. Będę miała tylko dwoje dzieci - i zamierzam wspaniale się bawić! - Podniosła kamień i dla podkreślenia swoich słów cisnęła go do czystej wody jeziora.

Molly przyzwyczaiła się do zdecydowanych poglądów i śmiałych planów Kathleen Agnes. Sama czuła - jak zwykle - że nie nadaje się do niczego. Nie miała bladego pojęcia, co chce robić po ukończeniu szkoły. Przesiąknięta religijną atmosferą zakonu, myślała niejasno, że mogłaby zostać zakonnica.

Gdy nadeszła pora wyjazdu, Molly i Kathleen Agnes pożegnały się, stojąc przed frontowymi drzwiami szkoły na brudnym żwirze.

- Napisz natychmiast! - poleciła Molly Kathleen Agnes, zatrzymując drzwiczki szkolnego minibusu, w którym oprócz Molly znajdowało się siedem dziewcząt, kierowca i zakonnica.

- Możesz być spokojna! - obiecała Molly. Potem Kathleen podała jej coś przez otwarte okno samochodu, kawałek papieru. Gdy ruszyli podjazdem, Molly rozwinęła kartkę. Dostała święty obrazek, złożony we czworo.

Brązowo-biały wizerunek świętej Marii Goretti, młodej dziewczyny, kanonizowanej za to, że wolała umrzeć zakłuta nożem, niż dać się wykorzystać seksualnie mężczyźnie.

Molly odwróciła obrazek. „Lepiej potem nie żałować!” -skreśliła na odwrocie jej przyjaciółka charakterystycznym

pismem z zawijasami. Molly stłumiła chichot i rzuciła spojrzenie na zakonnice siedzącą obok, ale ta nic nie zauważyła. Zajęta była rozmową z dziewczynką po drugiej stronie.

Parowiec „Naomh Eanna” był zatłoczony, bo turyści już zaczęli podróżować. Molly stanęła na dziobie statku, który dzisiaj najpierw zawijał do Kilronan na dużej wyspie, dalej na Inis Oirthir i potem na Inis Meain. Molly niosła walizkę i wolną ręką wciąż obciągała skraj spodenek gimnastycznych. Znalazła miejsce osłonięte przed morskim wiatrem obok komina parowca.

- To będzie ładne lato, dzięki Bogu. - Głos należał do księdza. Nie zauważyła go. Siedział na małej walizce i pykał z fajki.

- Tak, proszę księdza - odpowiedziała nieśmiało. Nieczęsto spotykała księży na gruncie towarzyskim. Jej dom nie należał do tych, w których bywali duchowni; szkolny kapelan miał parę spanieli i lubił z nimi polować, a Molly, pod wpływem Conora, szanowała i kochała wszystkie żywe stworzenia i zdecydowanie potępiała polowanie.

Nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć i, obciążając spodenki gimnastyczne, udawała, że z zainteresowaniem obserwuje, co dzieje się w doku. Ksiądz odezwał się znowu.

- Nie znam cię, prawda? Czy jedziesz do Kilronan?

- Nie, proszę księdza. Na Inis Oirthir.

- Ja też tam jadę - odpowiedział gładko. - To dopiero moja druga podróż w tamte strony. Ksiądz Naughton jedzie na urlop i będę go zastępował przez dwa tygodnie. Jestem pewien, że się spotkamy.

Skinęła głową oniemiała, a on wyciągnął rękę.

- Jestem Pat Morahan.

- Bardzo mi przyjemnie, proszę księdza. Nazywam się Molly Ni Bhriain.

- Trochę tu wieje, Molly. Chyba powinniśmy się trochę cofnąć.

- Dobrze, proszę księdza. - Włączenie jej osoby w plany duchownego wprowadziło Molly w zakłopotanie.

Znalazł inne miejsce na rufie, bardziej osłonięte. Molly szukała rozpaczliwie tematu do rozmowy, ale ponieważ wyglądało na to, że ksiądz nie zwraca na nią uwagi, odwróciła

się od duchownego, by popatrzeć na doki. Parowiec zabu-czai, a ona zyskała uzasadnienie dla swego milczenia, gdy wypływali z miasta.

- Nie przygotowujesz się do egzaminów końcowych? - spytał ksiądz, gdy od pięciu minut sunęli po zatoce.

- Nie, proszę księdza, dopiero w przyszłym roku.

- A co potem?

Wyglądał na dość miłego człowieka.

- Nie wiem, proszę księdza. Chyba pójdę do szkoły dla pielęgniarek. - Połowa klasy myślała o zawodzie pielęgniarki.

Molly nie powiedziała nikomu, że chodzi jej po głowie myśli o wstąpieniu do zakonu.

- Wspaniale, Molly. Pielęgniarstwo to świetny zawód. Kiedyś myślałem, że mógłbym zostać lekarzem.

- Naprawdę, proszę księdza? - Czuła się już trochę swobodniej w jego towarzystwie i - zawsze ciekawa życia innych ludzi - była autentycznie zainteresowana tym, co może usłyszeć.

- Tak, ale, niestety, nic z tego nie wyszło.

- Dlaczego, proszę księdza?

- No cóż, w tamtych czasach ludzie tacy jak ja nie zostawali lekarzami. To były studia dla chłopców z wyższych sfer i synów bogatych farmerów.

- Więc jak to się stało, że został ksiądz duchownym? - Pozałowała głupiego pytania, gdy tylko wyrwało jej się z ust, bo spojrział na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Naprawdę cię to interesuje?

- Pewnie, proszę księdza!

Musieli krzyczeć, żeby ich głosy przedarły się poprzez warkot silników parowca i szum morza. Molly słuchała z przejęciem, gdy opowiadał jej o biednym gospodarstwie, w którym dorastał w hrabstwie Mayo, o matce oszczędzającej każdy grosz, by mógł pójść do szkoły ponadpodstawowej, i o wspaniałym misjonarzu, który pojawił się, gdy on był w piątej klasie, i werbował ochotników na misję do Afryki jako żołnierzy Chrystusa.

- Wyglądało to jak wielka ucieczka z moczarów i od niewolniczej pracy w gospodarstwie - powiedział ksiądz. - I zakon misyjny miał pokryć wszystkie koszty, więc matka

nie musiałyby martwić się o czesne na uniwersytecie czy inne opłaty.

Molly była tak zdziwiona, że zapomniała o nieśmiałości. Zawsze myślała, że powołanie spada na księży nagle i nieoczekiwanie, że słyszą z nieba głos Boga, który ich wzywa. Wyobrażała sobie, że promienie boskiej światłości zalewają ich w środku nocy, gdy leżą przerażeni w łózkach.

- I pojechał ksiądz do Afryki? - spytała z entuzjazmem. - Czy wyprawa była pasjonująca i niezwykła?

- No cóż - odparł - nigdy nie dotarłem do Afryki. Nawet nie zostałem u misjonarzy.

Ledwo powstrzymała się od pytania, dlaczego nie, ale w porę przypomniała sobie o zasadach dobrego wychowania.

- Skończyłem dwa lata teologii, więc zostałem skierowany do diecezji w Maynooth - ciągnął. - Tak to się stało.

- Wydawało się, że zamierza coś jeszcze dodać, ale wyjął tylko pudełko zapalek z kieszeni i skupił się na ponownym zapalaniu fajki, osłaniając dłonią płomień zapalki przed wiatrem.

Potem zmienił temat.

- Inis Oirthir to urocze miejsce, Molly, masz szczęście, że tam mieszkasz. Wioska, gdzie ja dorastałem, wygląda jak siedlisko duchów. Gdy byłem chłopcem, mieliśmy szewca i kowala, którzy pracowali w warsztatach obok siebie.

Dziś wszystko jest tam pozamykane, Molly, wszystko zniknęło. Nie mamy teraz rzeźnika, ani aptekarza, ani przychodni, ani lekarza - tylko pielęgniarkę środowiskową, która przyjeżdża małym samochodem. To smutne. - Pyknął z fajki.

Ksiądz jej się podoba, uznała w duchu, pokonując nieśmiałość. Łatwo się z nim rozmawiało. Opowiedziała mu o Kathleen Agnes, którą miała nadzieję odwiedzić latem.

- Jej ojciec jest naprawdę bogaty. Mają samochód i konie, i własny telefon, i Kathleen Agnes obiecała, że mnie nauczy jeździć konno.

- To miło.

- I mają dwa telewizory! Roześmiał się.

- Oglądasz dużo telewizji?

- Widziałam ją tylko jeden raz w życiu, proszę księdza. W sklepie w Galway. Zakonnice zabrały mnie do dentysty. Zaśmiała się znowu, a ona odpowiedziała uśmiechem. Dziwnie na to zareagował. Spuścił oczy i odwrócił się.

- Chyba się przejdę po pokładzie.

Wrócił do niej, gdy podpływali do nabrzeża w Kilronan na Inis Mór. Nie rozmawiali dużo podczas wyładunku ludzi i towarów. Parowiec zabierał niewiele, tylko parę skrzyń ryb, a potem płynęli już na Inis Oirthir. Widzieli przed sobą wyspę, mały kopiec na morzu w odległości kilku kilometrów, z wyraźnym punktem orientacyjnym w postaci „Plas-sy”, parowca, który rozbił się w marcu 1960 roku i teraz spoczywał na mieliźnie, wystając ponad linię wody. Dziwne rzeczy działy się z księdzem Morahanem, gdy stał obok Molly na „Naomh Eanna”. Miał przyśpieszony puls i nie mógł się uwolnić od obrazka, jaki mu opisała -ona siedząca okrakiem, po męsku, na jednym z koni Kathleen Agnes. Przez całe swoje życie księdza udało mu się utrzymać na ścieżce chwiejnego, lecz rzetelnego celibatu, mimo przeszkód usianych na owej drodze przez jego seksualny pociąg do kobiet. Ale ta dziewczyna była inna. Rozbijała na drobne kawałki pieczołowicie wzniesione i umacniane zapory. Odkrył, że usiłuje wzbudzić jej zainteresowanie, słyszał, jak jego własny głos przybiera niezwykle, ożywiony ton. Ku swemu przerażeniu ksiądz Morahan spostrzegł, że flirtuje. Ogarnął go lęk. Ona nie miała więcej niż szesnaście, siedemnaście lat, on był po pięćdziesiątce. A czuł się, jakby skończył dwanaście.

Ociągał się z zejściem z pokładu, gdy parowiec zarzucił kotwicę, i pozwolił dziewczynie wsiąść przed nim do innej łódki. Jakaś kobieta, bez wątpienia matka, czekała na nią na plaży. Wspinając się z kobietą na wzgórze, Molly odwróciła się i pomachała mu ręką.

- Nic złego się nie stało, powiedział sobie wieczorem, gdy ukląkł do modlitwy przy łóżku w domu wikarego. Na razie! - odparło na to jego zdradzieckie serce. Zasnął tuż przed świtem.

Zobaczył ją następnego ranka na mszy, w kolejce do komunii świętej, na długo zanim doszła do niego, i z trudem przełknął ślinę. Zamknęła oczy i wysunęła język, a on miał nadzieję, że nikt nie dostrzegł, jak on podaje jej hostię drżącą ręką. Gdy po mszy zdejmował szaty liturgiczne w zakrystii, walczył z chęcią, by uciec, udać, że jest chory, wsiąść na łódź i wrócić do domu. Ale od razu wiedział, że nic takiego nie zrobi. Walczyły w nim trzy pragnienia: żeby nie trwożyć Molly, żeby dotrzymać ślubów i żeby - przemożna chęć! - ją zobaczyć.

Tego wieczoru i nazajutrz włóczył się po wyspie. Te długie spacerunki odbywał z nadzieją, że otumani sam siebie i uwierzy, iż spaceruje dla zdrowia - ale serce nie pozwoliło się okpić. Inis Oirthir to tak mała wysepka, wszystkiego trzy kilometry kwadratowe, że jeśli Molly nie siedziała cały czas w domu, musiał na nią natrafić wcześniej czy później.

Drugiego dnia dostrzegł ją na długo wcześniej, zanim ona go zobaczyła. Odkrył, gdzie mieszka, nietrudna rzecz na tak małej powierzchni, i usadowił się na murze, który graniczył z drogą powyżej domu i za nim. Cały czas patrzył na morze, a brewiarz spoczywał obok niego. Upłynęło pół godziny. Wiedział, że zachowuje się jak stuknięty uczeń, ale zdawało mu się, że utracił kontrolę nad własnymi czynami.

Gdy wyszła z domu, serce zaczęło mu walić i na kilka sekund stracił oddech. Ale jakoś się opanował i ześliznął z muru. Wspinała się na wzgórze w jego kierunku. Ruszył ścieżką niedbałym krokiem i zatrzymał się po chwili, by obejrzeć skamieliny na powierzchni wapiennego bruku. Zręcznie pokierował sytuacją tak, żeby to ona go dogoniła, a nie na odwrót.

- Dzień dobry księdzu! - Miała na sobie dłuższą, czerwoną spódniczkę i sweterek ze zgrzebnej wełny, co podkreślało jej perłową skórę. Nie związane blond włosy rozsypywały się i powiewały na wietrze. Ksiądz Morahan poczuł się niemal fizycznie chory z pożądania.

Zapanował jednak nad wyrazem twarzy i głosem, najlepiej jak potrafił.

- O, dzień dobry, Molly! - powiedział z nadzieją, że wygląda na zaskoczonego. - Wyszedłem właśnie na spacer.

By pokryć zmieszanie, przykucnął na gościńcu.

- Zobacz, co znalazłem. - Wskazując na skamieliny, delikatnie postukał w wapień. - Zastanawiam się, co to właściwie jest.

Kucnęła obok niego. Pachniała mydłem.

- To krynoidy, proszę księdza - odparła. - Inaczej nazywają je liliowcami. Conor, mój brat, zbadał całą wyspę. Zna tu każdy kamień.

Podnieśli się.

- Naprawdę? - spytał ksiądz. - Widzisz ten duży otoczek tam na środku pola - ten różowawy? Wiesz, co to za skała?

- Miał ochotę dać sobie kopniaka za własną głupotę.

- Tak, proszę księdza. - Kroczyła obok niego, gdy wspinali się we dwójkę na wzgórze. - Ten kamień to granit, przyniesiony tu przez lodowiec w epoce lodowcowej, ale gdy podejdziesz się bliżej, widać, że skała jest w rzeczywistości szara. Kryształowe skalenia sprawiają, że wygląda na różową. Wie ksiądz, co to jest?

Serce waliło mu jak młotem. Przypomniał sobie, czego nauczył się na lekcjach geografii w szkole podstawowej.

Udał, że recytuje.

- Skaleń-to-złoże-mineralne-które-zawiera-glinokrzemian-potasu-sodu-i-wapnia.

Znow się uśmiechnęła i zaklaskała. Miał szaleńczą ochotę ryknąć ze szczęścia pod samo niebo. Ale zamiast tego powiedział:

- Znakomicie. Tyle wiesz o wyspie, Molly. Czy przypadkiem nie miałabyś trochę wolnego czasu, żeby pokazać mi więcej? Można by równie dobrze wykorzystać mój pobyt tutaj konstruktywnie. - I zaśmiał się. Dla niego śmiech ten zabrzmiał wariacko - cienko, fałszywie i idiotycznie. Poczul, że zaczyna się pocić ze zdenerwowania na dłoniach i pod pachami.

Ale nie wyglądało na to, żeby ona zauważyła, iż coś jest nie w porządku.

- Oczywiście, proszę księdza - powiedziała. - Szkoda, że nie ma tu Conora, przyjedzie w połowie sierpnia. On dużo lepiej niż ja oprowadziłby księdza. Ale ja też zrobię to z przyjemnością.

Wykorzystał okazję.

- Czy wybierasz się gdzieś teraz, czy możemy zacząć od razu?

- Właśnie szłam do kaplicy.

- Dobrze, Molly. Zajrzemy razem do kaplicy, a potem się wypuścimy na spacer.

Uklękli obok siebie w jasnej, pomalowanej na biało kaplicy. Ksiądz Morahan pochylił głowę, ale nie mógł się modlić. Wyszedł pierwszy. Przyłączyła się do niego po chwili i ruszyli na wyprawę po Inis Oirthir. Usiłował skupić się na krótkich wykładach, które mu robiła na temat tej i dwóch pozostałych wysp, gdzie choć nie ma rzek, są dobre źródła.

- I przed wiekami, proszę księdza - ciągnęła, wskazując na skarłowaciałe leszczyny walczące o przetrwanie - wyspy Aran pokrywały drzewa, a gleba była dość urodzajna. Ale nasi przodkowie nadmierną hodowlą i uprawą wyjałowili ziemię, ścięli drzewa i oto rezultat. - Nie zdając sobie z tego sprawy, mówiła jak nauczycielka w szkole.

Stali w najwyższym punkcie wyspy. Skała opadała ku szmaragdowemu w blasku słońca morzu.

- Chciałbym umieć malować - powiedział ksiądz, przewyciężając na kilka chwil obsesję na jej punkcie i podziwiając przejrzystość światła, które zdawało się odbijać od skał z powrotem w niebo.

Znów jednak odebrała mu wolę, gdy ujrzał jej uśmiech.

- Pewnie, dlaczego ksiądz nie zacznie? Nigdy się nie wie, co się potrafi, dopóki się nie spróbuje!

Zapomniał o morzu, i niebie, i świetle, i pragnął wziąć ją w ramiona tu i teraz. Odstąpił od niej o parę kroków i trzymał się trochę z przodu, aż dotarli do skrzyżowania.

Podziękował jej i na tyle się opanował, zanim podali sobie ręce, że zaproponował, by umówili się na dalsze zwiedzanie nazajutrz. Zgodziła się.

W drodze powrotnej do domu wikarego ksiądz Morahan czuł się jak Gene Kelly w „Deszczowej piosence”.

Tego wieczoru zaciągnął zasłony na oknach w sypialni księdza Naughtona i rozebrał się do naga. Wziął upstrzone płamami lustro do golenia należące do wikarego, oparł

je na komodzie i cofał się ku ścianie, aż ujrzał odbicie większej części swojego ciała. Nie patrzył tak na siebie od czasu, gdy miał piętnaście lat i był przestraszony, że nie rozwija się normalnie.

Kto wymyślił, że miłość oznacza radość?

Przypomniawszy sobie gładki, chłodny dotyk jej skóry, gdy podali sobie ręce na pożegnanie.

Popatrzył na swoje starzejące się ciało w owalnym lusterku do golenia. Wiedział, że to, co robi, jest szaleństwem.

Molly wybrała się z księdzem Morahanem na spacer następnego dnia. Tym razem zwiedzili ruiny Ciii na Seacht n-Inion, Kościół Siedmiu Sióstr, zbudowany przez zakonników w miejscu dużo starszej kamiennej twierdzy. Poszli też do ruin kościoła świętego Cavana, brata świętego Kevi-na z Glendalough, z dziesiątego wieku. Molly opowiedziała księdzu, jak mały kościółek mężnie walczy z żarłocznym, piaszczystym wzgórzem, które stale prawie go zasypuje, i że tylko dzięki ciągłemu odkopywaniu utrzymywany jest na powierzchni.

Wyglądało na to, że ksiądz Morahan już wie o przywiązaniu wyspiarzy do świętego Cavana i ich wierze w jego cudowne orędownictwo. W każdym razie z pewnością wiedział wszystko o uroczystościach, które miały się odbyć w dzień świętego Cavana w jego kościele za parę dni.

- Wierzysz w cuda, Molly? - spytał, gdy wędrowali plażą, oddalając się od kościółka.

- Myślę, że tak, proszę księdza - odparła powoli. Naprawdę jednak nie wierzyła w cuda, na przekór słowom Ewangelii i innych ksiąg. Nie potrafiła wyjaśnić dlaczego -każdy w nie wierzył, Kathleen Agnes i inni - ale nie mogła przyznać się do swych wątpliwości księdzu.

Wtedy on powiedział coś bardzo dziwnego.

- Sądzę, że ja też!

Pomyślała, że to zdumiewające. Księża powinni bez zastrzeżeń wierzyć w cuda. Modlili się przecież o nie.

Włoczyli się po wyspie i Molly pokazała księdzu roślinność alpejską, zawciągi, skalnicę i paprocie, i odkryła stare gniazdo strzyżyka w jednej ze szczelin wapienia.

- Wiedział ksiądz, że strzyżyki umieją pływać?

- Oczywiście, że nie wiedziałem!

- No cóż, umieją. Conor mówi, że umieją. Spacerowali wzdłuż urwisk skalnych, a ona wyjaśniała mu, że zbyt strome i gładkie skały nie stanowią dobrego miejsca na gniazda dla ptaków morskich, dostrzegli jednak trzy maskonury, a na wodzie parę nurków z czarnymi podgardlami. Molly, poznając księdza coraz lepiej, zaczynała myśleć, że jest naprawdę trochę dziwny. Na przykład śmiał się z rzeczy, które mówiła, mimo że nie były zabawne. A dwa razy zatrzymał się, by spojrzeć na morze, oraz pokazał i ze zdumieniem zapytał o najzwyklejsze rzeczy, które - jak przypuszczała - musiał wiedzieć. Raz chodziło o samca dzikiej kaczki, a za drugim razem o dwie łódki, płynące obok siebie w kierunku wyspy.

W ciągu mniej więcej dwóch godzin obejrżeli niemal wszystko, co, jej zdaniem, warte było pokazania. Wyglądało na to, że dobra pogoda, trwająca od kilku dni, załamała się. Chmury zbierały się na zachodzie, a powietrze, tak ciepłe dzień wcześniej, oziębilo się.

Molly zadygotała z chłodu.

- Chyba pójdę teraz do domu, proszę księdza - powiedziała. - Muszę pomóc mamie przy podwieczorku.

- Byłaś dla mnie bardzo dobra, Molly.

- Nie, wcale nie, proszę księdza. Przyjemnie spędziłam czas. Może wybierzemy się znowu, choć sądzę, że pokazałam księdzu wszystko, co tu jest do zobaczenia. - Zaśmiała się.

- A więc spotkamy się jeszcze.

Gdy to mówił, znowu wyczuła w jego głosie tę dziwną skwapliwość.

- Och, jestem tego pewna, proszę księdza - odparła, pragnąc już się oddalić.

- Pewnie, pozostanę tu jeszcze przez jakiś tydzień. - Nadal nie ruszał się z miejsca i przez chwilę myślała, że zamierza pójść z nią do domu.

- Tak, zostaje ksiądz. Oczywiście, zobaczymy się. Klepnął się w czoło otwartą dłonią.

- I naturalnie będziemy świętować. Przyjdziesz? Skinęła głową.

- Cała wyspa przyjdzie tego dnia, proszę księdza. Czekala, ale on wciąż nie ruszał się z miejsca.
- I z pewnością zobaczymy się pod koniec lata.
- A kiedy ksiądz znowu się do nas wybierze? - spytała uprzejmie i cofnęła się o kilka kroków w swoją stronę.
- Nie wiem, prawdopodobnie w sierpniu.
- Och, mam nadzieję, że ksiądz będzie tu, gdy przyjedzie Conor. On dużo lepiej opowie księdzu o wyspie. Naprawdę go ksiądz polubi.

Podali sobie ręce.

Tak, to miły człowiek, pomyślała, śpiesząc do domu, ale najwyraźniej trochę dziwny. Pewnie dlatego, że jest księdzem.

Prawie dwa miesiące później, w dniu, kiedy miał przyjechać Conor, Molly zeszła na plażę, by - jak zwykle - wyglądać parowca. Brat nie skoczył do wody, żeby podnieść ją do góry, tak jak to robił, gdy była mała, tylko przypłynął wraz z innymi pasażerami i turystami na brzeg.

Rzucił jednak torbę i uściskał Molly, gdy dotarł na plażę.

- Mój Boże! - powiedział, odsunawszy ją od siebie. - Tak się zmieniłaś! Nie jesteś już moją małą siostrzyczką, jesteś moją olbrzymią, dużą siostrą!

- Zamknij się, Conorze - odparła. Nie cierpiała uwag na temat swojego wzrostu, choć czuła się dużo swobodniej w codziennym ubraniu niż za małym mundurku.

Poruszyła temat Kathleen Agnes, gdy szli pod górę do domu.

- Posłuchaj, Conorze, znasz moją przyjaciółkę, Kathleen Agnes Dwyer?

Skinął głową.

- A więc, przyjeżdża tu w odwiedziny w przyszłym tygodniu na całe siedem dni, a gdy stąd wyjedzie, zabierze mnie ze sobą do Limerick na wakacje w jej domu. Mówię ci o tym, bo trochę się martwię, że nie będzie miała tu zbyt wiele rozrywek. Jest przyzwyczajona do telefonów, samochodów i telewizji. Będiesz dla niej miły, Conorze? Oprowadzisz ją po wyspie, pokażesz jej ciekawsze miejsca i poświęcisz jej trochę czasu?

- Ohoho! - zaśmiał się. - Nie tak szybko. Jestem tu na wakacjach. Nie żeby zabawiać twoje przyjaciółki, wiesz o tym!

Stanąła jak wryta.

- Proszę, Conorze.

- Na miłość boską, przecież tylko żartuję! Oczywiście, będę miły dla twojej koleżanki.

Wzięła go pod rękę i we dwójkę poszli dalej ścieżką do domu. Była z niego bardzo dumna. Miał teraz dwadzieścia siedem lat i pracował jako młodszy wykładowca w Państwowym Ogrodzie Botanicznym w Dublinie. Zdobył stypendium naukowe, ale swą karierę zawdzięczał w dużym stopniu matce, której - mimo ciągłych szturmów Micheala na słoik na kominku - udało się zaoszczędzić dość pieniędzy na utrzymanie syna w Dublinie w czasie studiów.

Przez kilka pierwszych dni Molly i Conor nie wychodzili wiele z domu. Pogoda była burzliwa, wietrzna i padało. Conor spędzał dużo czasu na czytaniu, schodząc Michealowi z drogi. Molly, niespokojna, jak przebiegnie wizyta Kathleen Agnes, obserwowała milczące zmagania między nimi dwoma. Ich przyczyna po części tkwiła w tym, że Micheal, którego zły nastrój wraz z latami stał się permanentny, nie uważał wcale pracy Conora za odpowiednie dla syna zajęcie.

Aby uniknąć zadrażnień, Conor w porozumieniu z Sor-chą próbował jadać o innych porach niż ojciec, ale czasami się to nie udawało i wtedy, gdy musieli siedzieć w odległości trzydziestu centymetrów jeden od drugiego, cierpiał na tym cały dom. Conor jednak nie dawał się sprowokować pomrukowi Micheala i na razie utrzymywał się pomiędzy oboma mężczyznami kruchy pokój.

Pod koniec tygodnia pogoda poprawiła się wreszcie

1 Molly wybrała się na spacer z bratem ich starymi ścieżkami. Po jakimś czasie zatrzymali się na odpoczynek i usiedli w niewielkiej kotlinie.

- Pamiętasz, jak przyprowadziłem cię tu pierwszy raz? - spytał Conor po kilku minutach milczenia.

- Tak - odparła Molly radośnie i zaczęła recytować wiersz Belloca, który teraz i ona już знаła.

Czy pamiętasz tę gospodę, Miranda?

Czy ją pamiętasz dziś? To krzątanie, rozścielanie Słomy śliskiej pod postanie

I te pchły, gdy wieczór zły - z pirenejskiej splywa mgły...

- O, o - odezwał się Conor. - Błąd!

- Jaki błąd? - zdziwiła się.

- Nie „z pirenejskiej splywa mgły”, lecz „z pirenejskiej schodzi mgły”.

- Skąd! „Z pirenejskiej splywa mgły”. Tak my się uczyliśmy.

- Cóż, nauczyliście się źle!

- Nie! -Tak!

- Nie, Conorze Ó Briain. To w twojej kiepskiej budzie was źle nauczono!

- Co powiedziałaś, panno Molly Ni Bhriain? W kiepskiej budzie? Ja ci pokażę kiepską budę!

Zrobił ruch, jakby chciał ją pociągnąć za włosy. Ale Molly szybko odskoczyła od brata. Conor zerwał się na nogi i puścił w pogoń po miękkiej trawie. Śmieli się obydwójce, gdy płasała wokół niego, zawsze odrobinę poza zasięgiem jego ręki.

- Chodź tu do mnie! - krzyczał. - Przetrzepię ci skórę!

- Musisz mnie najpierw złapać! - odkrzyknęła, wymykając mu się zręcznie.

Ale on schwytał Molly i, choć szarpała się i walczyła, zdołał ją zawlec na pobliski kamień, na którym usiadł i usiłował przełożyć ją przez kolano.

- Nauczę cię, jak recytować poezję! - zapowiedział. Wierzgała nogami, ale był silniejszy. Poczula powiew wiatru, gdy uniósł jej spódnice i zaczął dawać klapsy. Piszczala i protestowała, choć uderzenia tak naprawdę nie bolały. Ale nagle po kilku szybkich klapsach Conor zrzucił ją z kolan na trawę. Spojrzała na niego zdziwiona. Wstał.

- Wystarczy - burknął.

Podniosła się. Szczypały ją pośladki w miejscu klapsów, ale nie było to nieprzyjemne. Poczula, że mrowienie przeszło do krwi.

Brat stał tyłem do niej.

- Conorze? - spytała niepewnie.

- Przepraszam, że cię uderzyłem - odezwał się dziwnym, grubym głosem.

- Nic nie szkodzi, nie bolało.

- Chodźmy już. Robi się późno.

Rozmyślała nad tym, gdy wracali razem do domu. Szli tak daleko od siebie, jak tylko pozwalała na to wąska ścieżka. Ukradkiem zerknęła na niego. Wlókł się ze zwieszoną głową i nieodgadnionym wyrazem twarzy. Wydarzyło się coś nowego.

Po raz pierwszy ujrzała w nim nie tylko sprzymierzeńca, uroczego, łagodnego brata, lecz również mężczyznę.

Zdawała sobie sprawę bardziej niż zwykle z mrowienia, które czuła na pupie. Prawdę mówiąc, Molly spodobało się to lanie. I zdawała sobie sprawę, że w jakiś sposób było ono rzeczą zakazaną, co czyniło całe wydarzenie bardziej podniecającym.

- Conorze? - odezwała się.

- Tak? - Po raz pierwszy, odkąd przełożył siostrę przez kolano, spojrział jej prosto w twarz. Molly ulżyło, ale nie potrafiła zgłębić wyrazu jego oczu.

- Przepraszam, że powiedziałam o twojej szkole „kiepska”. - Wiedziała, że nie zabrzmiało to przekonywająco.

- W porządku, Molly, miałaś całkowitą rację. Ta szkoła była kiepska.

Umilkła zatem. Trochę później, gdy wciąż szli bez słowa, zobaczyła, że parowiec rzucił kotwicę w zatoczce i łódki podskakują wokół niego na wodzie. Przybycie statku miało miejsce trzy razy w tygodniu - zawsze stanowiło główne wydarzenie w życiu wyspy i grupki ludzi gromadziły się na brzegu. Dwa traktory z przyczepami czekały na ładunek.

- Chodźmy na plażę, Conorze. - Molly bardzo pragnęła naprawić owo coś, co się popsło między nimi. Skinał głową i to podniosło ją na duchu. Niech sprawa trochę się odleży. Tak samo postępowała z Michealem i z Brendanem, zanim wyjechał do pracy w Anglii.

Gdy dotarli na plażę, pierwsza łódka już wysadziła czworo ludzi na piasek. Molly zauważyła, że jednym z nich jest Pat Morahan.

- O, popatrz, Conorse - powiedziała - to ksiądz Morahan, o którym ci opowiadałam. Och, jestem taka zadowolona, że przyjechał. Będziesz mógł pokazać mu dużo więcej ode mnie. Chodź, poznasz go.

Ksiądz szedł plażą z małą walizką w rękę.

Pat Morahan rozpoznał charakterystyczną blond głowę Molly, gdy jego łódka płynęła do brzegu. Serce zaczęło mu walić jak w chorobie, tak że musiał szybko oddychać, żeby w ogóle nabrać powietrza w płuca. Była jeszcze piękniejsza, niż ją zapamiętał, choć od tygodni nie myślał niemal o niczym innym.

Nigdy w życiu nie pocałował kobiety.

Nie miał sióstr, matka była osobą cichą i skromną. W wieku dwunastu lat przeszedł ze szkoły podstawowej do średniej tylko dla chłopców, która zarazem przygotowywała do seminarium, a stamtąd prosto na sześćoletnie studia dla księży.

Podczas letnich wakacji i w ciągu wszystkich lat po wyświęceniu ksiądz Morahan odczuwał łagodny, skryty pociąg do różnych dziewcząt i kobiet, które znalazły się w pobliżu, ale ostrzeżony i dobrze przeszkolony, zawsze -jak większość jego kolegów - uznawał to za nieuniknione zaburzenia w powołaniu do celibatu. Unikał „okazji do wypełnienia grzechu”, starając się nigdy nie pozostawać sam na sam z osobą, która była przyczyną owych zaburzeń. Do tej pory stosunki między kobietą a mężczyzną Pat Morahan wyobrażał sobie w sposób nieokreślony, niby na filmie, jak najwyższe uniesienie, uwieńczone łagodną rozkoszą - spojrzał na Molly, śpieszącą mu na spotkanie - a nie jako nagłą, nieposkromioną namiętność, wypełnioną bólem...

Zobaczył z nią mężczyznę. Wysokiego, ciemnowłosego młodzieńca, trochę podobnego do Molly - musiał być jej bratem. Ksiądz zapanował nad wyrazem twarzy, zanim się spotkali, ale dziewczyna znowu poczuła onieśmienie.

- Dzień dobry księdzu. To mój brat, Conor. Wie ksiądz,

ten botanik. Pamięta ksiądz, mówiłam, że zna każdą roślinę i ptaka na wyspie.

- Tak, oczywiście. Jak się pan miewa?

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce. Ksiądz zwrócił się do dziewczyny.

- A co słyszeć u ciebie, Molly?

- Och, w porządku, proszę księdza. Czekam na swoje wakacje. Przypomina sobie ksiądz, wspominałam o wyjeździe do mojej przyjaciółki Kathleen Agnes.

Ksiądz Morahan pamiętał. To ta z końmi. Molly siedząca na koniu... .

Conor wziął torbę księdza, a Molly szła między nimi dwoma ścieżką wystarczająco szeroką, by mogli wszyscy troje iść ramię w ramię. Dziewczyna znajdowała się tak blisko! Ksiądz wyobrażał sobie, że czuje ciepło jej ciała.

Mimo to jednak zauważył napięcie brata dziewczyny, które - był tego pewien - w jakiejś mierze dotyczyło jego. Miał wrażenie, że Molly też to wyczuwa. Paplała o planowanej wizycie u Kathleen Agnes tonem, którego nigdy wcześniej u niej nie słyszał.

- Przyjechałeś do domu na długo, Conorze? - spytał, gdy Molly na chwilę zamilkła.

- Na kilka dni.

- Ach tak.

Zalała go fala uczucia, które - ku swej rozpaczy - rozpoznał jako zazdrość. Ten braciszek zabierał Molly czas, mógł przychodzić i wychodzić z jej domu, mógł jej dotykać, jeśli chciał... Niemniej milczenie podczas drogi bardzo księdzu ciążyło i poczuł niemal ulgę, gdy dotarli do chaty Molly i rodzeństwo weszło do środka, a on ruszył dalej sam do domu, w którym miał mieszkać.

Ku zdziwieniu Molly Micheal siedział przy ogniu, gdy weszła do izby. Spojrzał na nią, kiedy wchodziła.

- *Ca raibh tusa?** - Molly przyzwyczaiła się do wyjaśnień, gdzie się podziewała, ale teraz - biegła w interpretowaniu intonacji głosu ojca - stwierdziła, że pytanie brzmi całkiem łagodnie.

* **Co robiłaś? (irl.)**

- *Thdnaig an „Naomh Eanna”, Dadda** - Po czym opowiedziała, że ksiądz Morahan przyplął parowcem, tym razem nie na zastępstwo, lecz na urlop. - *Cupan tae, Dadda?**** - spytała potem, a gdy skinął głową, że rzeczywiście chciałby filiżankę herbaty, zajęła się czajnikiem i imbryczkiem. Kiedy brał od niej filiżankę i spodeczek, zawahał się, jakby chciał coś powiedzieć. Ale znowu tylko kiwnął głową i zabrał się do picia, przelał herbatę na spodeczek i chleptał ją z niego.

Ojciec tak rzadko bywał wczesnym popołudniem, że Molly zastanawiała się, czy aby nie zachorował. Nie wiedziała też, jak się zachowywać, pozostając z nim sam na sam, szczególnie w jego obecnym, spokojnym nastroju. Nieczęsto zostawała z nim sama, bo Sorcha wychodziła z chaty tylko do kaplicy albo na krótkie odwiedziny u sąsiadki. Gdy Micheal przebywał w domu, Molly przyzwyczała się mieć na baczności i w razie potrzeby łagodzić sytuację, ale kiedy natknęła się na ojca, siedzącego w samotności i ciszy, zwykła śmiałość ją odeszła.

Zawsze był milczący, lecz tego popołudnia zdawało jej się, że jego milczenie jest jakby inne. Miała nieodparte wrażenie, iż ojciec, uwięziony za szklaną taflą, usiłuje w jakiś sposób przebić się na zewnątrz. Krążyła wokół niego nerwowo, gotowa ponownie napełnić mu filiżankę, próbując przerzucić most nad dzielącą ich przepaścią. Wiele razy, szczególnie gdy odezwał się ostro do niej lub po jednej z gwałtownych kłótni między nim a Conorem, leżała w łóżku, szepcząc w poduszkę, że go nienawidzi, nienawidzi. Ale dzisiaj, gdy patrzyła, jak siorbie herbatę, ogarnęła ją dziwna czułość. Wyraźnie dostrzegła, że się zestarzał. Gdyby pozostawali w nieco cieplejszych stosunkach, mogłaby go uściskać. Jednakże na powściągliwość i ostrożność w zachowaniu Micheala złożyło się doświadczenie i nawyki całego życia.

Molly słusznie się domyślała, że Micheal chce jej coś powiedzieć, ale nie wie jak. Gdy weszła z dworu, zasłaniając słońce w drzwiach, jej widok zaskoczył go. Sorcha po-

* **Przyplnęła „Naomh Eanna”, tato. (irl.)**

** **Filiżankę herbaty, tato? (irl.)**

szła odwiedzić Kettów, a on akurat nie miał ochoty na towarzystwo w pubie. Zawsze zamknięty w sobie, dzisiaj z jakiejś przyczyny uległ rzadkiej chęci do analizy własnego postępowania. Siedział przy kominku i rozmyślał o swoim życiu, co nieczęsto robił. Rozpatrywał listę życiowych rozczarowań.

Na pierwszym miejscu oczywiście znajdowało się małżeństwo. Choć utrzymywał ich wszystkich, wiedział, że Sorcha i on z powodzeniem mogliby żyć osobno. Może, pomyślał, byłoby jej lepiej, uwielbiała tańczyć i lubiła piękne rzeczy i dobre towarzystwo, teraz jednak zniszczona pracą, złą pogodą i trudnymi warunkami - jak większość kobiet na wyspie z jej pokolenia - poddała się.

A najgorszą rolę w upadku żony, pomyślał, odegrał on sam. Czasami przyłapywał jej zakłopotane spojrzenia, jakby go nie znała. Ten wyraz jej twarzy doprowadzał go do wściekłości. Kochał ją, wciąż ją kochał, ale przez wiele, wiele lat nie potrafił powiedzieć ani zrobić nic, by okazać żonie swe przywiązanie.

Gdyby nie byli wyspiarzami, pomyślał, może mieliby szansę. Wiedział, że nie brak mu inteligencji, i pomstował w duchu na los, który sprawił, że urodził się i tkwił, niczym w pułapce, na tym małym kawałku skały, zlewany wodami północnego Atlantyku.

Z drugiej strony zaakceptował to, nie uciekł jak inni do fabryk, na budowy, do metra w Anglii lub Ameryce - takie życie nie było dla niego. Myśli nie układały mu się jasno w głowie, nie umiałby też wyraźnie ująć tego w słowa, ale przyznawał, że czyste powietrze i wody wysp Aran w jakiś nieokreślony sposób dużo dla niego znaczyły i znaczą. Popijając herbatę w obecności Molly, wciąż siedzącej cicho jak mysz pod miotłą po drugiej stronie kominka, Micheal wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w spodek i usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz czuł się szczęśliwy czy zaspokojony - lub choćby spokojny. Rzucił ukradkowe spojrzenie na córkę. Chyba pewnej nocy, kiedy wkrótce po jej przybyciu stanęli z Sorchą przy kołysce w kuchni nad śpiącym dzieckiem, a on objął ramieniem żonę. Może wtedy. To był prawdopodobnie ostatni raz, kiedy

obydwoje wiedzieli na pewno, o czym myśli współmałżonek - o drugiej Molly, małym ciałku pochowanym za domem. Wspólne myśli zbliżyły ich. Czasami zastanawiał się w samotności, jaka byłaby tamta Molly. Czy wyrosłaby na piękność, jak ta, która rozkwitła niby kwiat na jałowej glebie domu? Pragnął z całego serca zdobyć się na odwagę i przemówić do niej, powiedzieć, że przeprasza za ból, przemoc i rozczarowania, które wniósł w jej krótkie życie. Zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie i słowa już miały popłynąć z jego ust. Ale nie popłynęły. Niedomówienia i milczenie całego życia nie dały się pokonać i chwila umknęła.

Dokończył herbatę, zdjął czapkę z haczyka, mruknął coś na pożegnanie i wyszedł na dwór.

Molly obserwowała przez okno, jak wlecze się do gospody. Ona także pragnęła, żeby Coś powiedział. Zauważyła, że silne ramiona ojca zaokrągliły się i pochyliły.

Przed porą podwieczorku sierpniowy żar ogarnął wyspę i na zewnątrz chaty zaroilo się od muszek. Micheal wrócił do domu z pubu w nastroju zupełnie odmiennym od poprzedniego - był nastawiony wojowniczo. Usiadł u szczytu stołu i stukał nerwowo palcami w blat - Sorchą kręciła się wokół nowej kuchenki na gaz z butli - czekając niecierpliwie, aż chleb, który żona piecze, będzie gotowy. Conor zajął miejsce po drugiej stronie i siedział w zupełnym milczeniu. Każda mijająca sekunda zdawała się kwadransiem w dusznej atmosferze kuchni.

Wreszcie Sorchą wyjęła bochenek na ściereczkę i zaniósła na kredens, by pokrajać na desce, ale Molly, chcąc jak najszybciej podać podwieczorek, przeszkodziła matce i wzięła od niej chleb. Ściereczka zsunęła się przy tym i upieczony bochenek, wciąż gorący, prosto z piecyka, oparzył ją w rękę, tak że upuściła go na podłogę.

-*Mhuire's trua** Ty głupia dziwko! - Micheal tak walnął w stół, że wszystkie naczynia podskoczyły.

- Zostaw ją w spokoju! - Głos Conora smagnął jak biczem. Conor miał pobladłą twarz, a dłonie leżące na stole

* **Na miłość boską! (irl.)**

zwinął w pięści. Molly patrzyła na brata ze strachem - nigdy przedtem nie widziała takiej wściekłości i zawodu na jego twarzy.

- Co powiedziałeś? - Ton Micheala dorównał głosowi syna.

- Powiedziałem, żebyś... zostawił... ją... w spokoju...

- Kto mnie zmusi? - Micheal cofnął podbródek i spojrzał na syna spod brwi. Wysunął głowę do przodu niczym szarżujący byk.

- Jeśli to będzie konieczne - ja - odrzekł Conor niebezpiecznie łagodnym głosem, również wysuwając głowę do przodu. - Mam jednak nadzieję, że nie będzie to konieczne.

- Michealu, Michealu, on nie miał tego na myśli, *a stór** Nie chciałeś nic takiego powiedzieć, prawda, że nie, Cono-rze? - Sorcha odruchowo wysunęła się naprzód, ale Micheal się zerwał i, tak jak to często robił wcześniej, odepchnął ją z drogi. Zrzucił marynarkę.

- Na Boga, załatwimy to raz na zawsze...

- Skoro tak mówisz, tato. - Conor wciąż był opanowany, ale oczy mu błyszczały. On również wstał. - Gdzie chcesz, żeby się to odbyło? Tu? Chciałbyś znowu porozbijać meble? - Siła głosu Conora wzrastała z każdym słowem, ale on nadal kontrolował sytuację. Micheal przez chwilę gapił się na niego osłupiały.

- Co cię powstrzymuje, tato? Może potrzebujesz czasu, żeby przynieść sznurek? - Głos Conora pełen był nienawiści. Micheal nie wytrzymał i rzucił się na niego.

- Ty pieprzony gówniarzu! Jak się odzywasz do ojca? Zabiję cię!

Conor usunął się na bok, szybszy od Micheala.

- O nie, nie zrobisz tego. Nie pozwolę ci. Ale przetrzepię ci tyłek za te wszystkie razy, kiedy ty łoileś mi skórę. Wyszedł szybko na spiekotę. Micheal podążył za nim ociężałym krokiem.

Molly i Sorcha wbiegły do tylnego pokoju i zamknęły drzwi. Molly rzuciła się twarzą na łóżko i zasłoniła uszy.

* **mój skarbie (irl.)**

Sorcha położyła się obok niej. Objęła córkę. Obydwie drżały ze strachu, płaczu i wstydu, że walkę będą oglądać sąsiedzi, którzy - o czym dobrze wiedziały - niedługo zejdą się niczym na mecz.

Spoza zamkniętych drzwi, przebijając się przez ich rozpacz, dochodziły słabe odgłosy walki na dworze. Bójka trwała od dobrych pięciu minut, podgrzewana wrzaskami tłumu, który się zebrał. Nagle ryk urwał się. Sorcha usiadła na łóżku, a Molly odjęła ręce od uszu.

- Co to, mamó?

- Nie wiem, córeczko. Coś się stało. - Żadna z nich się nie poruszyła. Niemal bały się oddychać.

Dobiegł je łoskot z kuchni, po czym drzwi sypialni otworzyły się z trzaskiem. To był Conor, krwawiący, w podartej koszuli. Krew lała mu się z czoła, z nosa i z rozciętej wargi.

Wyglądał na półprzytomnego i opierał się o drzwi.

- Mamó, mamó. Chodź szybko. - Był zupełnie oszołomiony. - Tata upadł. Chyba coś sobie zrobił.

Sorcha podniosła się z łóżka i wyszła na dwór. Molly podążyła za nią.

Grupka sąsiadów, skupionych wokół drzwi, rozstąpiła się przed Sorchą z szacunkiem. Mężczyźni zdjęli czapki.

Jedna stara kobieta przeżegnała się. Po głośnych okrzykach zapanowała raptem niesamowita cisza.

Wszystko to docierało do Molly jasno i jakby w spowolnionym tempie. Micheal leżał na szarej nawierzchni. Jedną pięść z pocieranymi, purpurowymi knykciami miał wciąż zaciśniętą. Druga dłoń leżała rozwarta bezradnie niby u niemowlęcia i Molly zauważyła głębokie blizny, które ją znaczyły. Wyszła boso i czuła pod stopami rozgrzaną nawierzchnię. Dostrzegła, że nie widzące oczy Micheala są otwarte i że z kącika jednego sączy się krew. Gdy tak patrzyła, pojawiło się więcej krwi. Płynęła powoli z jego ust.

Micheal nie żył.

Conor wyszedł z domu i stanął za zebraniem tłumem. Nadal panowała cisza. Dzień był pochmurny i parny, a wcześniejsze jasne popołudnie zzieleniało. Coraz więcej sąsiadów gromadziło się wokół ciała. Posłano chłopca po

duchownego i ksiądz Morahan przybiegł z plebanii z rozwianą stulą. Wszyscy klęczeli nierównym kołem wokół Micheala podczas ostatniej posługi.

Conor wciąż stał z tyłu, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Patrzył nieruchomo na twarz ojca. Zauważył, że dwie muchy bzyczą wokół strużki krwi krzepnącej na czole.

Tłum zaczął odmawiać różaniec i Conor wycofał się powoli do domu, a potem spokojnie spakował do torby kilka sztuk odzieży, które mu wpadły w ręce.

Sąsiedzi wciąż się modlili, kiedy Conor wyszedł z powrotem na skwar. Popatrzyli na niego, gdy ruszył w kierunku plaży, ale nikt nie usiłował go zatrzymać i nie zakłócił rytmu modlitwy.

Spojrzał za siebie z plaży. Widział tłum, z którego wielu ludzi obserwowało w ciszy jego odejście. Ni z tego, ni z owego przyszło mu do głowy, że zebrani musieli już skończyć różaniec. Odwrócił się i poszedł dalej w kierunku wody. Jednak jeszcze raz rzucił okiem do tyłu i niemal zachwiał się w swej decyzji o ucieczce. Molly też wyszła, by na niego popatrzeć. Wyłowił jej charakterystyczne blond włosy trochę z boku tłumy. Jedną rękę dziwnie jakoś zarzuciła na głowę.

Gdy tak się wahał, dostrzegł, że Sorcha stanęła obok niej.

Nie powinien sprawiać im więcej kłopotów.

Odwrócił się tyłem i wziął łódkę wuja. Jeden mężczyzna z trudem sobie z nią radził, ale Conorowi udało się spuścić ją na spokojne morze. Wrzucił do łodzi torbę, sam wspiał się przez burtę i zaczął wiosłować.

Nawet tu, na morzu, panowała głęboka sierpniowa cisza, a plusk wiosła rozbrzmiewał głośno. Tłum przyglądał się Conorowi sprzed jego domu, a on z kolei obserwował zebranych do chwili, gdy nie mógł już odróżnić pojedynczych osób. Wyteżał wzrok, nie spuszczając oczu z Molly i matki, dopóki gorące powietrze sprawiło, że ich postacie zamigotały i w końcu zniknęły.

W połowie drogi do Doolin ogarnęła go silna pokusa, żeby się zwinąć na dnio łodzi i pozwolić prądowi znieść się dokądkolwiek. Czuł, że jego siły niemal się wyczerpały. Bo-

łała go każda kość w ciele, a ręce miał pokryte bolesnymi pęcherzami. Nigdy sam nie odpłynął na wiosłach tak daleko, inis Oirthir malała przed jego twarzą, ale kiedy się odwrócił, zobaczył, że od lądu dzieli go jeszcze kilometry. Wciągnął wiosła i pozwolił łódce dryfować. Zamknął oczy i pokonany osunął się na siedzenie. Łódź kołysała się na łagodnej fali. Para mew, które podążały za Conorem w nadziei na odpadki, usadowiła się na wodzie dwadzieścia metrów dalej i obserwowała go bystrymi, mądrymi oczami.

Po mniej więcej pięciu minutach dotarł do niego skądś znad wody słaby pomruk diesli i zaniepokojony otworzył oczy. Mały trawler płynął pół mili od niego. Przesuwał się żwawo na północny zachód, zbyt daleko, żeby odczytać jego nazwę, ale Conor wywnioskował z kursu statku i towarzyszących mu mew i innych ptaków morskich, że wraca na Inis Mór z połowu. Nie dojrzał, czy ktoś na pokładzie go zauważył, ale nawet jeśli, to trawler i tak nie zmienił kursu.

Widok statku pobudził Conora do życia. Dotarło do niego, że rany na twarzy palą tak samo jak pęcherze na rękach, i zdarł z siebie porwaną i zakrwawioną koszulę. Obmył ręce w morzu, a potem, uważając, żeby nie przeważać łódki, zaczerpnął chłodnej wody i oblał sobie głowę i twarz. I jeszcze raz, i jeszcze raz, aż się oczyścił. Zimna woda spływała mu po piersi i plecach. Ostry wstrząs przywrócił mu odwagę. Znowu zaczął wiosłować.

Słońce zachodziło, gdy zbliżył się do wybrzeża. Był tak wyczerpany, że ledwo udało mu się wyciągnąć łódkę na brzeg przy Doolin. Tylko jedna osoba znajdowała się w pobliżu - ze sto metrów dalej jakiś starszy mężczyzna naprawiał sieci.

Conor wziął torbę i porwaną koszulę, przewrócił łódź i usiadł na kamienistej plaży. Nogi mu drżały, czuł się tak, jakby całe jego ciało ktoś przepuścił przez maszynkę do mielenia mięsa. Teraz pragnął jedynie doczołgać się do miękkiej trawy i zasnąć, ale wiedział, że musi działać. Działanie było najważniejsze.

Spojrzał przez ramię, czy człowiek przy sieciach go obserwuje. O ile mógł to ocenić - raczej nie. Otworzył torbę, wyjął z niej czystą koszulę i włożył ją. Po raz pierwszy za-

uważył, że krew Micheala lub jego własna poplamiała również spodnie. Zdjął je więc i zastąpił czystą parą. Zwinął w kłębek zrzucone ubranie i umieścił je w torbie, a potem podniósł się na nogi. Musiał znaleźć telefon.

Molly stała z dala od sąsiadów i patrzyła, jak łódka odpływa po gładkim morzu, aż prawie zniknęła z widoku. Czuła się tak, jakby serce miała z ołowiu. Nie potrafiła płakać, choć wiedziała, że pewnie powinna. Usłyszała, nie odwracając się, że paru sąsiadów wniosło Micheala do domu. Rozpoczęły się obrządki pogrzebowe, wszystkim dobrze znane.

Dopiero gdy już nie mogła odróżnić postaci na łódce, weszła spokojnie do kuchni i stwierdziła, że sąsiedzi opanowali sytuację. Usiadła obok matki i wzięła z czyichś rąk filiżankę herbaty. Kobiety tymczasem obmyły Micheala, ubrały go w niedzielny garnitur i rozpostarły czyste prześcieradła na łóżku. Jedna sąsiadka wymknęła się i przyniosła dwie woskowe świece, by umieścić je po obu stronach wezgłowia. Druga pożyczyła białą narzutę z surowego płótna. Pani Kett dostarczyła lnianą poszewkę do obleczenia poduszki.

Dopiero gdy ułożono Micheala właściwie i przyzwoicie, zapalono świece i odmówiono kolejny różaniec, postanowiono posłać po lekarza na dużą wyspę, żeby wystawił akt zgonu.

Potem sąsiedzi posprzeczali się o to, czy należy sprowadzić też policję. Wielu mężczyzn sprzeciwiało się, twierdząc, że lekarz sam się tym zajmie, jeśli uzna za stosowne, i że to nie ich sprawa. Inni jednak sądzili przeciwnie i ci przeważali. Niektórzy myśleli w duchu, że Conor przeholował.

Lekarz i sierżant przybyli po zapadnięciu zmroku. Sierżant rozmawiał ze wszystkimi w domu, ale nikt - nawet ci, którzy sądzili, że Conor posunął się za daleko - nie potrafili wyjaśnić, co stało się Michealowi. Nikt nic nie widział. Byli uprzejmi i pełni dobrych chęci.

- Może upadł, jak myślisz? - spytał Marcus Ó Braonain.

- Mógł się potknąć na bruku, ma zdradliwe dziury -podsunał Sean Ban Nóra, kuzyn Molly. Sierżant spisał wszystko i obejrzał ciało razem z lekarzem.
 - Jeden syn jest w Birmingham. Gdzie podziewa się drugi - Conor, prawda? - spytał po wyjściu z sypialni. Sean Ban Nóra powiedział, że ostatni raz widział Cono-ra, gdy szedł na spacer na plażę. Może niedługo wróci, dodał. Sierżant zwrócił się do Sorchy, zdejmując czapkę z szacunku dla jej żałoby.
 - Przepraszam za kłopot, proszę pani. Ale czy to prawda? Czy pani syn poszedł na plażę na spacer? Sorchy skinęła głową i kilku sąsiadów potwierdziło, że widziało Conora, jak szedł w stronę plaży.
 - No cóż, jeśli poszedł na spacer, to na długi. Gdzie jest teraz?
 - Może popłynął na dużą wyspę? - podsunał mężczyzna z drugiej strony wysepki. Inny mu przytaknął, mówiąc, że słyszał, jak Conor planował wyjazd na Inis Mór.
 - Może chodziło mu o trawler - powiedział trzeci i upił łyk herbaty z filiżanki.
 - Trawler? - powtórzył sierżant.
 - Trawler, aha - przytaknął chór mężczyzn.
 - Ma dużo pieniędzy, wie pan, z Dublina - wyjaśnił mężczyzna, który pierwszy powiedział, że Conor mógł pojechać na Inis Mór.
- Molly nie czuła zupełnie nic, gdy tak siedziała obok matki. Jakby nie brała udziału w całej scenie. Ale mimo tego dystansu różne szczegóły przykuwały jej uwagę. Na przykład, kiedy sierżant mówił do matki, zauważyła, że światło lampy naftowej ozłociło srebrne guziki jego munduru.
- Policjant stanął przed nią.
- A panienka? Panienka coś widziała? Pokręciła głową.
 - Rozumiem. - Sierżant głośno zamknął notes i rozejrzał się wokół. - Nikt nic nie widział. Nieprawdaż? Mężczyźni zamruczeli.

- No cóż, wszyscy zostaniecie wezwani na przesłuchanie. A jeśli Conor Ó Briain w najbliższej przyszłości wróci ze swego spaceru albo z trawlera, koniecznie nas o tym powiadomcie. Chcielibyśmy zamienić z nim słówko.

Włożył z powrotem czapkę i pochylony wyszedł z chaty.

Wiatr gwizdał przez wybitą szybę budki telefonicznej, ale Conor, niepomny na niewygodę, schwycił za słuchawkę. Telefon na drugim końcu dzwonił i dzwonił i Conor już miał się rozłączyć zrozpaczony, gdy usłyszał trzask, po czym odezwał się Tom Hartigan.

- Halo? - Głos brzmiał słabo. Telefonistka weszła na linię.

- Proszę wrzucić jeden szyling i osiem pensów. Nastąpiła niepożądana zwłoka, gdy wrzucił pojedynczo monety do otworu. Nacisnął guzik A i wreszcie znów się połączył.

- Halo, proszę księdza!

- Conor! - Ksiądz wydawał się zadowolony. - Czy to ty?

- Tak. Niech ksiądz posłucha, brak teraz czasu na wyjaśnienia, bo nas rozłączają, a ja nie mam więcej drobnych. Ale dzwonię do księdza z wielką prośbą.

- O co chodzi, Conorze?

- Jestem pod Doolin. Wiem, że strasznie się narzucam, i nie prosiłbym księdza, gdybym miał się do kogo zwrócić, ale czy ewentualnie przyjechałby ksiądz tutaj po mnie? Nie ma stąd żadnej komunikacji wieczorem, a nie chcę się tu zatrzymywać. Mógłbym poczekać na księdza w Lahinch.

- Dobrze, Conorze. - Ksiądz się nie wahał. - I tak nie mam nic do roboty na dzisiejszy wieczór. Z przyjemnością cię zabiorę.

- A mógłbym zostać dzisiaj u księdza na noc?

- Wiesz, że zawsze jesteś mile widziany.

-Dziękuję księdzu. Wiem, że to wielki kłopot, ale wszystko wyjaśnię po drodze.

- Nie ma sprawy - odparł ksiądz Hartigan. - Gdzie się spotkamy?

- Zaczekam w „Sheaf” - podał Conor nazwę pubu w mieście.

Rozłączyli się.

Conor z zadowoleniem ruszył pieszo do Lahinch w zapadającym zmroku, gdyż miał okazję po drodze uporządkować myśli. W parny dzień żywopłoty rozsiewały zapachy i do Conora, mimo rozpacz i chaosu w głowie, docierała woń wiciokrzewu i dzikiego tymianku. W ten piękny wieczór natykał się na wielu ludzi, młodzież na rowerach z pakunkami na bagażnikach, miejscowe rodziny zażywające świeżego powietrza. Nie chciał zwracać na siebie uwagi, więc odpowiadał na pozdrowienia.

Usiłował uporządkować swoje uczucia. Gdy ojciec upadł, Conor - rozwścieczony, z krwią wciąż wzburzoną zazartą walką - czekał chwilę, aż wstanie. Ale Micheal nie drgnął, a wtedy jeden z sąsiadów wysunął się i sprawdził jego puls. Najpierw ogarnęło Conora oszołomienie. Spojrzał tępo na ciało, a potem na tłumek milczących sąsiadów.

Rzucił się do domu, by sprowadzić matkę. Leżała na łóżku z Molly.

Scena z Molly po południu, przypływ pożądania, gdy wierzgała nogami, a on dał jej parę klapsów w pupę, wróciła jak fala, przeplatając się z obrazem martwego ojca. Conor czuł się wstrząśnięty, zarówno wtedy, kiedy to się stało, jak i teraz. Cokolwiek się teraz wydarzy, nigdy już nie będzie między nim a Molly tak samo jak dotąd.

Conor, który nigdy nie użalał się nad sobą, uznał, biorąc pod uwagę wszelkie okoliczności, że dla wszystkich zainteresowanych lepiej będzie, gdy zniknie.

Zapadała noc, kiedy dowlókl się na bolących nogach do Lahinch. Jego torba podróżna, która wydawała się taka lekka, gdy przyjechał na Inis Oirthir kilka dni temu, ciążyła, jakby potroiła swą wagę.

Morze szumiało cicho, a promenadę wzdłuż plaży wciąż zaludniali spacerowicze. Conor jednak skierował się prosto do pubu. Lokal był zapchany, głównie urlopowiczami, ale on, ku swej wielkiej uldze, nie rozpoznał nikogo wśród ludzi, których po ubraniu i zachowaniu ocenił jako miejscowych. Zamówił kufel piwa i usiadł przy stole, udając, że obserwuje dwóch młodych ludzi, rozgrywających zawzięcie partię bilardu.

Ksiądz dotarł do pubu niecałą godzinę później. Conor był w połowie drugiego kufla. Wstał od stołu.

- Zapropowałbym księdzu coś do picia, ale zależy mi, by jak najszybciej stąd wyruszyć.

Poszli do samochodu. Ksiądz Hartigan dawno temu pozbył się sfatygowanego garbusa i teraz jeździł fordem escortem już niemal tak samo zużytym.

Dopiero gdy dojeżdżali do Ballyvaughan, zwrócił się do milczącego towarzysza:

- Chyba powiesz mi, co się wydarzyło?

Dwa dni później ksiądz Morahan jako ostatni zbierał się do wyjścia ze zwyczajowej stypy po pogrzebie Michea-la. Czuł się tego dnia strasznie - modlił się nad grobem ojca Molly, mając jej niedostępną, piękną twarz na wyciągnięcie ręki. Z trudem zachowywał się podczas pochówku jak na księdza przystało, mimo że wskazówki w modlitewniku wiodły go po znajomych ścieżkach, nie wymagając zbytniego skupienia.

Oczywiście, nie wspomniał w ogóle o okolicznościach śmierci Micheala. Nikt tego nie uczynił. Jakby przemożne milczenie przygniotło całą wyspę. Wśród żałobników pod kościołem i na cmentarzu padały zwykłe uwagi.

- To był porządny człowiek.

- Dobry rybak.

- Miał ciężkie życie.

- Był dobrym człowiekiem, naprawdę.

Ktoś spoza wyspy mógłby śmiało uznać, że Micheal Ó Briain umarł we własnym łóżku. I nikt nie wspomniał Conora. Przynajmniej w obecności księdza.

Najtrudniejszą częścią dnia była stypa po pogrzebie w domu zmarłego. Molly podawała księdzu Morahanowi jedzenie i picie, poruszała się w zatłoczonej kuchni tak blisko niego, że czasami mógł jej dotknąć, zmieniając po prostu pozycję na krześle.

Wreszcie stypa się skończyła i nadeszła pora, by wyjść. Spostrzegł, że jest ostatni. Wstał i drugi brat Molly, Brendan, odruchowo też się podniósł. Od czasu do czasu w ciągu dnia ksiądz Morahan przyglądał się baczniej Brendanowi,

który przyjechał z Birmingham do domu na pogrzeb. Był duży i silny jak Conor, ale trochę się od niego różnił. Brendan chodził lekko przygarbiony, jakby stale się spodziewał, że ktoś go uderzy.

Ksiądz Morahan przeszedł kilka kroków przez kuchnię i uściśnął rękę mężczyźnie, który nie spojrział mu w oczy. Zamienił ostatnie słowo z Sorchą, siedzącą z czterema siostrami przy kuchennym stole. Przez cały czas czuł, że Molly obserwuje go ze swego miejsca obok wygasłego paleniska.

Odwrócił się, by się z nią pożegnać, a ona wstała i odprowadziła go do drzwi. Wyszła z nim na dwór w jasny wieczór. Nim zdołał się powstrzymać, słowa same popłynęły. Poprosił ją, żeby się przeszli po wyspie. Zawahała się i obejrzała do tyłu, na dom. Właściwie zamierzała odmówić, a on oczekiwał tego niemal z ulgą.

- Nie wiem, czy powinnam zostawić mamę i Brendana.

- Oczywiście, oczywiście - odparł. - Zobaczymy się kiedy indziej.

Ale, ku jego zdziwieniu, Molly popatrzyła na morze i powiedziała:

- Wszystkie ciocie są na miejscu, więc chyba oni oboje dadzą sobie radę przez jakiś czas. Tak, poszłabym na spacer. Tego dnia, tak jak wcześniej, było pochmurno, choć gorąco i parno, a łagodny wieczór niechętnie oddawał ciepło. Nie było wiatru, więc zgodnie ruszyli w dół ku wybrzeżu, gdzie spodziewali się chłodniejszego powietrza. Żadne z nich się nie odezwało, gdy tak szli powoli obok siebie, a ksiądz bał się popsuć nastrój. Nie chciał jej zgorszyć ani przstraszyć. Sam na sam z Molly sprawiło, że nie mógł wykrztusić słowa i czuł się jak szalony.

Z drugiej strony nie pojmował, dlaczego ona nie wyczuwa niebezpieczeństwa i nie ucieka od niego, jak najszybciej potrafi. Każdy jego zmysł odbierał wrażenia tak ostro, jakby Morahan dopiero co się urodził. Czuł jej czysty zapach i słyszał każdy krok. Nie zaplanował tego spaceru, powtarzał sobie w poczuciu winy. Gdyby odmówiła, jak na to z początku wyglądało, odszedłby. Ale jej ustępliwość wziął za znak.

Dotarli do brzegu i poszli plażą, pod jej stopami chrzęściły muszelki ukryte w piasku. Schyliła się, podniosła kawałek wysuszonego morskoczynu i zgmiotła jedną z kulek, tak jak dzieci robią to dla zabawy. Trzask wydawał się bardzo głośny, a on ujrzał delikatne palce Molly igrające nie z wodorostem, lecz z nim, i ogarnęło go szaleńcze pożądanie. Zrobił parę kroków naprzód, usiłując zachować resztki opanowania. Wyczuwał jednak dokładnie, gdzie ona się znajduje.

Doszli do końca plaży i ruszyli dalej wydmami. Morze omywało delikatnie skały obok. Dotarli do małego pagórka, pokrytego trawą. Już prawie zapadł zmrok.

- Usiądźmy na chwilę, Molly, tak tu spokojnie. - Miał wrażenie, że mówi dziwnie stłumionym głosem.

Wydawało się, że dziewczyna niczego szczególnego nie zauważyła, bo usiadła na pagórku, położyła rękę na piaskownicy, przebiła się przez piasek i palcami przegarniała młode źdźbła rośliny. Usiadł obok Molly. To szaleństwo, powiedział sobie. Ale nie odsunąłby się od niej, nawet gdyby od tego zależało jego życie.

Molly odezwała się po raz pierwszy.

- Dziękuję księdzu...

- Za co? - spytał chrapliwie.

- Że jest ksiądz tak dobry dla nas. Ujął jej dłonie w swoje ręce.

- Och, Molly, kochanie, Molly...

Wydawała się zaskoczona, ale niezbyt mocno. Słowa popłynęły, nim się powstrzymał.

- Mogę cię pocałować?

Wciąż patrzyła na niego i niemal widział jej myśli. Przecież był księdzem, obowiązywał go celibat i otaczał szacunek.

- Ja... ja nie wiem, proszę księdza. - W głosie dziewczyny czuć było zakłopotanie, ale nie strach.

Rzucił w diabły rozważę i opanowanie. Przygarnął ją mocno do siebie, poczuł krągłe, młode piersi. Całował pożądliwie, przebiegał jej ciało natarczywymi dłońmi, pokrywając twarz i szyję niewprawnymi ustami i językiem.

Osunęła się lekko pod naciskiem jego ciała i legli obydwoje.

Nie wrywała się. Ksiądz się odsunął, chcąc wyczytać coś z jej twarzy, czystej i pięknej. Wciąż patrzyła na niego wielkimi zdziwionymi oczami. Znowu ją pocałował, słysząc jak z gardła wydobywa mu się jęk. Odpiął guziki bluzki, którą miała na sobie, i w uwielbieniu uniósł jej piersi do swych ust. Były gładkie, niewymownie gładkie, i uległe. Spódnica zapinała się też na guziki, ale zanim rozpiął pierwszy, znowu spojrzał na twarz Molly. Miała zamknięte oczy. Zsunęła się z pagórka, na którym leżeli, jej włosy rozpościerały się wokół głowy niby jasna aureola, jaśniejsza od piasku.

Guziki przeleciały mu przez palce, spódnica opadła na jedną stronę, odsłaniając jej długie nogi i brzuch. W jego oczach ciało dziewczyny zdawało się lśnić i błyszczeć w pogłębiających się ciemnościach. Niemal zapłakał. Gdy zabrał się do zsuwania majtek, Molly krzyknęła cicho, ale uspokoił ją delikatnymi pocałunkami w brzuch, który odbierał w dotyku ust jak ciepły, miękki jedwab. Jego Molly, jego piękna, młoda Molly. Jego ukochana, długonoga, pachnąca Molly...

Gdy jednak wynurzał się z szaleństwa, czuł ogarniającą go panikę. Szukał gorączkowo uchwyty suwaka w rozporku, kiedy w głowie zahuczały mu nagle słowa jakiegoś dawno zapomnianego mentora, grzmiący głos z wiejskiej ambony czy może ostrzeżenia misjonarza redemptorysty, straszącego wiecznym potępieniem i mękami piekielnymi zgromadzenie przerażonych parafian.

Zawirowały mu przed oczami różne obrazy: grób matki, on rozpostarty na ziemi podczas wyświęcenia.

Zatrważające, krwawe obrazy z dzieciństwa: święty Sebastian przeszyty strzałami. Ogień piekielny. Mściwy, straszny Bóg z rozwianą białą brodą i piorunami zamiast palców...

Spojrzał na tę jasną, powolną mu istotę pod sobą, która w jakiś niezwykły sposób przypominała obrazki z jego dzieciństwa. Była jak anioł, męczennica bez skazy, święta Maria Goretti, szesnastoletnia Maria Panna podczas Zwiastowania, Kwiatuszek...

Zerwał się i odbiegł, chwiejąc się i potykając w miękkim piasku wydm aż dotarł do morza. W ubraniu rzucił się

do wody i parł naprzód, dopóki nie sięgnęła mu pasa. Walił rękoma w wodę, obryzgując sobie twarz, jakby chłód mógł zmyć jego grzech i pożądanie.

Wracając na miejsce, gdzie zostawił Molly, był przygotowany na to, że dziewczyny nie będzie, lub na jej pogardę. Ale znalazł Molly w tym samym miejscu. Nie próbowała się ubrać, leżała bez ruchu na boku, z podciągniętymi kolanami i rękami, i zasłaniała piersi. Jasne włosy opadły jej na twarz.

W piaszczystym zagłębieniu wyglądała niewinnie i bez skazy, jakby dopiero co wykluła się ze skorupy swego ubrania, porozrzucanego dokoła.

- Molly - powiedział cicho, tak cicho, że nie usłyszała go i musiał powtórzyć jej imię.

Usiadła i, nie patrząc mu w oczy, ubrała się szybko.

- Molly... - zaczął jeszcze raz, gdy była gotowa.

- Tak, proszę księdza? - Była spokojna. Za spokojna.

- Droga Molly, bardzo mi przykro... ale z drugiej strony wcale nie jest mi przykro, czy możesz to zrozumieć?

- Ksiądz jest cały mokry. Co się stało? Spróbował jeszcze raz:

- Molly, księża też są ludźmi, nie tylko księżmi, i zakochują się jak inni ludzie... - Patrzył na siebie z boku, śmieszny mężczyzna w średnim wieku, prawiący o miłości, ubrany w zniszczoną, ociekającą wodą sutannę. Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać.

- W porządku, proszę księdza - odparła. Musiał jej to ułatwić.

- Molly, moja droga - nie ty jesteś odpowiedzialna za to, co się stało... To nie twoja wina, naprawdę... Proszę, uwierz mi, Molly... I wina, i odpowiedzialność spadają całkowicie na mnie...

Westchnęła cicho i spojrzała ponad wydymami na morze. Dystans między nimi stał się nie do przekroczenia. Morahan czuł się całkowicie bezsilny i zagubiony. On również popatrzył na morze.

Potem odszedł od niej w dół, na plażę, a woda chlupotała mu w butach.

Molly nikt nigdy dotąd nie pocałował. To wydarzenie na razie usunęło w cień nawet przerażającą śmierć taty. Jeszcze nie doszła do ładu z wydarzeniami, które spadły na nią w ciągu minionych kilku dni. W sypialni rozebrała się powoli, z zamkniętymi oczami, usiłując odtworzyć pocałunek. Pożałowała, że z powodu śmierci ojca musiała odwołać wizytę Kathleen Agnes; pragnęła, żeby przyjaciółka była tutaj, żeby mogła jej opowiedzieć, co zaszło. Molly odkryła, że wydarzenia stają się prawdziwe, gdy się je z kimś omówi.

Ale po chwili zastanowienia wiedziała już, że nigdy nie opowie ani przyjaciółce, ani nikomu innemu o tym, co się stało na wydmach. Nawet Conorowi, który wyjechał nie wiadomo dokąd.

Gdy tak siedziała na brzegu łóżka, stanęła jej nagle przed oczami ciemna postać Conora w podartym ubraniu, który mocno ciągnął wiosła. Czy straciła brata? Nie mogła w to uwierzyć. Przepelniała ją nadzieja. Wróci, musi wrócić. Najstraszniejszą rzeczą, która się wydarzyła, straszniejszą od śmierci taty, od tego, co zaszło z księdzem, było odplnięcie Conora.

Ksiądz dotykał jej piersi. Zanim włożyła koszulę nocną, chwyciła piersi w ręce i próbowała sobie wyobrazić, co by czuła, gdyby to były dłonie księdza Morahana, a potem zawstydzona pomyślała o rękach Conora...

Najdziwniejsze, że w ogóle nie poczuła skrępowania, gdy ksiądz dotknął jej biustu. Na pewno ogarnęłoby ją zażenowanie, gdyby uczynił to Conor... Zastanawiała się, czy dlatego, że tego pragnęła. Stąd mogła wynikać ta odrobina skrępowania. Odkryła całkiem nowe uczucie... Teraz, gdy wyjechał i nigdy nie... ale oczywiście i tak by nie mógł. Jest jej bratem. Wszystko się pogmatwało.

Scena z księdzem była inna, prostsza... Wydawała się częścią rytuału, połączoną w jakiś sposób ze śmiercią ojca. Był księdzem. Żaden ksiądz nie mógłby jej zrobić nic złego. Gdy leżała z nim na wydmach, jej odczucia, które wcale nie były takie nieprzyjemne, nie stanowiły problemu i jakby w ogóle do niej nie należały.

Tak czy inaczej, pomyślała, wślizgując się do wąskiego łóżka - po cichu, bo słyszała Brendana kręcącego się po kuchni - ksiądz okazał się całkiem miły. Jest stary, to prawda, ale niebrzydki i bardzo delikatny.

Wpatrywała się w sufit i jeszcze raz przebiegała w myślach całą scenę. Pamiętała każdy szczegół, nie tylko swoje odczucia, ale i to, jak wyglądali obydwój, bo nawet gdy rzecz się działa, jej myśl błądziła gdzieś nad piaskiem i Molly przyglądała się sobie z księdzem jakby z góry, gdzieś z wysoka.

Ale - co najbardziej interesujące z całego zajścia - podczas pieszczot księdza odkryła, że będąc z Conorem, czuła jego fizyczną władzę nad swymi rozbudzonymi zmysłami, owo mrowienie przechodzące przez krew i skórę. Na wpół zawstydzona, ujęła piersi w ręce i jeszcze raz wyobraziła sobie, że to są dłonie Conora.

Uznała, że teraz już nie mogłaby zostać zakonnica.

Odwróciła się na bok i próbowała zasnąć. Ale widok brata odpływającego łodzią wciąż powracał.

Po raz pierwszy od śmierci Micheala rozplakała się. Nie potrafiła jak należy rozdzielić przyczyn płaczu. Płakała z powodu śmierci ojca, smutku matki i bladej, zatrwożonej twarzy Brendana. Płakała, bo Conor wyjechał. Płakała, bo ksiądz się w niej zakochał. Płakała, bo musiała teraz dorosnąć.

Nazajutrz obudziła się w biały dzień. Brendan stał w nogach łóżka.

- Wyjeżdżam, Molly - powiedział zakłopotany. Usiadła, miała zupełnie jasny umysł.

- Dokąd jedziesz, Brendanie?

- Myślę, że wrócę do Birmingham.

- Tak szybko? Zaszurał stopą.

- Ale wciąż jest bardzo wcześnie, Brendanie! Parowiec przybędzie dopiero po południu.

- Wiem! Sean Ban powiedział, że zabierze mnie na Inis Mór. - Spojrzał na nią błagalnie. Zrozumiała. Brendan musiał uciec z tego domu żałoby i siedliska kobiet.

Nagle jej własna droga stała się jasna. Ona też musi wyjechać.

Powiedziała mu, żeby zaczekał kilka minut, i gdy wyszedł z pokoju bez słowa, ubrała się. Zdjęła z szafy walizkę, włożyła do niej codzienne ubrania i kosmetyczkę - wszystko razem zapełniło tylko w połowie wnętrza. Potem wzięła pieniądze z szuflady kredensu. Miała około ośmiu funtów. Zawsze odkładała pieniądze, które dostawała od Brendana i Conora na urodziny i na Boże Narodzenie, bo na Inis Oirthir nie było na co ich wydawać. Papeterię trzymała w szufladzie kredensu. Wyjęła ją i skreśliła parę słów do księdza Morahana. Pisała szybko, żeby nie myśleć, co pisze.

Drogi księżu Morahanie.

Bardzo mi przykro, ale nie będę mogła oprowadzić księdza po wyspie tego lata. Coś mi wypadło i muszę jechać do Dublinu. Dziękuję za wszystko, co ksiądz zrobił dla mnie i mojej rodziny. U mnie wszystko w porządku.

Zawahała się przed podpisaniem kartki. Zawsze podpisywała swe listy: „uściski, Molly”, ale nie wydawało się to stosowne do okoliczności. Jednakże ani „z poważaniem”, ani „szczerze oddana” również nie pasowało, więc podpisała po prostu „pozdrawienia, Molly”. Dodała „pozdrawienia”, żeby wyglądało naturalnie.

Brendan siedział przy palenisku, gapiąc się w jego czyste wnętrze.

-Jeszcze chwileczkę, Brendanie! - zawołała. Włożyła list do koperty, zakleiła ją, zaadresowała i odłożyła na bok. List do matki był trudniejszy.

Kochana Mamo.

Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz. Muszę opuścić wyspę i wyjechać na jakiś czas do Dublinu.

Przygryzła koniec długopisu, a potem pisała dalej:

Jestem pewna, że dasz sobie radę, a ciocie Mona i Moya zostaną z Tobą trochę dłużej, żebyś nie była taka samotna.

Wyjeżdżam tylko na tydzień lub dwa i wrócę do domu przed końcem lata, więc się nie martw.

Zastanowiła się znowu.

Dam sobie radę w Dublinie. Mam numery telefonów dwóch dziewcząt z mojej klasy, które tam mieszkają i zaprosiły mnie, żebym je odwiedziła. Zadzwońię do nich, jak tylko przyjadę.

To było kłamstwo wymyślone na użytek listu, ale im bardziej się nad tym zastanawiała, tym bardziej rzecz wydawała jej się możliwa do urzeczywistnienia. Naprawdę miała te numery telefonów. To dodało jej zdecydowania i odwagi.

Naprawdę mam nadzieję, że nie będziesz zbyt samotna, i nie zapominaj, że wkrótce wrócę. Napiszę, jak tylko przyjadę na miejsce.

Mnóstwo uścisków,

Molly

Włożyła list do drugiej koperty i zaadresowała.

- Już prawie jestem gotowa, Brendanie - powiedziała, opierając obydwie listy o dzbanek na mleko na kredensie.

Włożyła szkolny płaszcz, za mały dla niej, ale innego nie miała.

Brendan wziął jej walizkę i swoją. Do Molly dotarło, że ani razu nie zapytał, dokąd jedzie i dlaczego, i co powie na to ich matka. Pomyślała, że nawet gdyby żyła sto lat, nigdy nie zrozumiałaby do końca swego brata, tak innego od Conora.

Schodzili na plażę w milczeniu, wymieniając pozdrowienia z sąsiadami, których spotkali po drodze. Seana Bana jeszcze nie było widać. Molly nie miała pojęcia o planach brata, ale ona zamierzała na Inis Mór wsiąść na „Naomh Eanna”, który nie zawijał dzisiaj na Inis Oirthir.

Na plaży usiadła na walizce i popatrzyła na morze. Brendan chodził tam i z powrotem po piasku i wlepił oczy w wyspiarskie drogi, wypatrując Seana Bana.

- Zastanawiam się, czy nie powinienem pójść po niego do domu - zwrócił się do Molly po kilku minutach, marszcząc czoło.

- Daj mu trochę czasu - odparła. - Jest jeszcze wcześniej. Spojrzała przez ramię, czy nie widać Seana.

Sorcha biegła drogą w kierunku plaży. Molly wstała. Widok biegnącej matki wytrącił ją z równowagi.

Sorcha miała rozpuszczone włosy i gołe stopy. Stała parę metrów od córki.

- Cześć, mamó - powiedziała Molly. Matka trzymała się jedną ręką za gardło.

- Molly...

Dziewczyna spostrzegła, że w drugiej ręce ma jej list i jakąś drugą kopertę, tak starą, że papier na zgięciach jest pożółkły jak stare płótno.

Sorcha podeszła jeszcze bliżej i podała jej starą kopertę. Molly zawahała się, ale ją przyjęła. Była gruba i Molly wiedziała, że kryje w sobie pieniądze.

- Och, mamó! - powiedziała tylko.

Stały naprzeciwko siebie, Brendan trochę z boku. Teraz odwrócił się tyłem.

- Kiedy wyruszacie? - spytała Sorcha, wciąż trzymając rękę na gardle.

- Seán Bán zabiera nas na Inis Mór. Będzie tu lada chwila. Sorcha skinęła głową.

Molly widziała, że matka usiłuje się opanować.

- Nie zapomnij napisać - powiedziała Sorcha.

- Nie zapomnę, mamó.

- A gdybyś spotkała Conora... - Matka odwróciła wzrok i zacisnęła rękę na gardle. - Jest już Seán Bán - dokończyła.

- Bóg z tobą. - Wymamrotała słowa pożegnania do Brendana, odwróciła się i ruszyła z powrotem plażą.

Gdy dwaj mężczyźni spuszczaali łódź na wodę, Molly otworzyła kopertę. Było w niej osiemdziesiąt funtów. Wiedziała, że to pieniądze na pogrzeb Sorchy. Wszystkie kobiety na wyspie odkładały przez całe życie drobne kwoty na trumnę i na inne rzeczy potrzebne podczas czuwania przy zwłokach.

Rozdział 5

Nie ma za co, naprawdę!

Christian odłożył słuchawkę i zdjął okulary do czytania, trąc zmęczone oczy. Pracował za dwóch: przeglądał własny tekst i jednocześnie pomagał w dziale miejskim odbierać telefony, które urywały się przez całą noc. Zaledwie parę z nich miało jakieś znaczenie z punktu widzenia „Chicago Sentinel”. Dzwonili głównie zaniepokojeni rodzice z przedmieść, by się dowiedzieć, czy można bezpiecznie wysłać dzieciaki do centrum, albo reporterzy spoza miasta dopytywali się o najświeższe ustalenia i informacje.

Wrócił do swej sylwetki Toma Haydena, zagłębiając się w treść najnowszych przemówień przywódcy Nowej Lewicy. Wszyscy byli w mieście: koalicja oszołomów i radykałów - Hayden i Abbie Hoffman, Jerry Rubin, zwany Yippie, poeta Allen Ginsberg, nawet francuski dramaturg Jean Genêt. Spodziewano się też wielebnego Ralpa Abernathy'ego wraz z jego świtą kolorowych i biedaków. Ale zdaniem Christiana, zjazd w amfiteatrze, rozgorączkowane tłumy na ulicach i w parkach - wszystko to sprowadzało się do prostego pojedynku: burmistrz Daley kontra reszta świata.

Christian poprawiał pierwszy akapit, usiłując tak go wystylizować, żeby brzmiał stanowczo, ale nie stronniczo. Było to trudne zadanie, wzięwszy pod uwagę jego zdecydowaną opinię co do sposobu zarządzania miastem Chicago przez burmistrza Daleya. Równie dobrze moglibyśmy żyć w średniowieczu, nie w 1968 roku, pomyślał Christian. Richard

Daley zachowywał się tak, jakby miasto stanowiło jego lenno. Gaz łzawiący, pałki i bicie na ulicach, awantury w radzie. Ogólnie rzecz biorąc burmistrz zarówno względem Chicago, jak i Partii Demokratycznej miał całkowicie sprecyzowaną wizję - sprawy musiały się toczyć zgodnie z jego wolą. Ale działo się niezupełnie tak i po całym mieście krążyły pogłoski, że Daley zamierza wezwać Gwardię Narodową.

Christian czuł dużo sympatii dla radykałów. On sam uniknął poboru i wojny w Wietnamie z całkowicie absurdalnego powodu - tylko dlatego, że wykryto u niego płaskostopie i wadę wzroku w jednym oku. Przeciągająca się wojna wydawała mu się coraz bardziej bezcelowa i niepotrzebna, ale na polu zawodowym żądano od niego neutralności. Właściciele gazety byli republikanami, redakcja „Chicago Sentinel” zajmowała jednak zdecydowanie bezstronne stanowisko wobec wojny - choć wspólnie z innymi gazetami w mieście apelowała do burmistrza o udzielenie zezwolenia na przeprowadzenie demonstracji. Praca Christiana nie była warta zdrady własnych przekonań. Nie interesował się na tyle żadnym aspektem polityki krajowej ani „szerszym tłem”. Złożył wniosek o przeniesienie do działu zagranicznego, ale na razie nic się nie ruszyło w tej sprawie. Znowu zadzwonił telefon. Christian pochylił głowę nad rozrzuconym maszynopisem i zignorował dzwonek.

- Kończysz?

Podniósł wzrok. Stał przed nim Dick, obwieszony aparatami i laminowanymi przepustkami.

- Tak, jeszcze z dziesięć minut.

- Myślę, że mam jedno lub dwa dobre ujęcia Haydena w wieczornym urobku - powiedział Dick. - Zaraz je wywołam.

Chcesz zobaczyć, gdy skończę?

- Pewnie.

- Mordownia na zewnątrz. Powinieneś pójść i sam zobaczyć.

- Taak, może jutro wieczorem.

Znowu zadzwonił telefon, tym razem Christian podniósł słuchawkę. Telefonował jakiś angielski reporter i chciał się dowiedzieć, czy może skorzystać ze zbioru wycinków prasowych.

Christian wiedział, że bibliotekarz pada z nóg, spełniając prośby pracowników gazety, ale stał po stronie reportera. Sam często znajdował się w podobnej sytuacji - obce miasto, nikogo znajomego, a tu szybko potrzeba jakiejś informacji.

- Tak, można - odparł. - Niech pan się zgłosi do działu ogólnego.
- Ile czasu ci to zajmie? - spytał Dicka, gdy już odłożył słuchawkę.
- Około godziny - odparł jego przyjaciel, idąc do ciemni.
- Pójdiesz na jednego? Dick zawahał się.
- Dobra. Do zobaczenia w „Shamrock”.

Christian, oderwawszy się od tekstu, patrzył, jak jego najlepszy przyjaciel idzie przez salę. Dick stał od niego wyżej w hierarchii redakcyjnej, bo zgłosił się tu do pracy dwa lata wcześniej. Christian miał nadzieję, że kiedy się przeniesie, będą pracowali razem nad niektórymi zadaniami. Dick był ostoją jego życia.

Christian zauważył wahanie przyjaciela, czy przyjść do baru „Shamrock”. Zdawał sobie sprawę, że - zdaniem Dicka - pije za dużo, ale uważał, że to wyłącznie jego sprawa, nie tamtego.

W Dublinie panował zgiełk. Molly po wyjściu z pociągu z Galway na stacji Kingsbridge stanęła na peronie, walizkę postawiła przy nodze i usiłowała jakoś odzyskać orientację. Nie mogła zrozumieć informacji grzmiących z głośników i odbijanych echem przez żelazną konstrukcję dachu. Ogłuszał ją odgłos dieslowskiej lokomotywy ciągnącej skład pociągu, hałas spotęgowany wielokrotnie przez marmurowo-metalowy wystrój stacji. Molly była bardzo przestraszona.

- Przepraszam, przepraszam... - Strumień pasażerów płynął mimo miejsca, gdzie stała. Pociąg był przepełniony.
- Gdy kamienisty krajobraz Connacht ustąpił miejsca zielonemu pastwiskom środkowej Irlandii, Molly zdecydowała, że stać ją na to, by przynajmniej pierwszą noc spędzić

w hotelu. Będzie bezpieczna i spokojnie wszystko przemyśli. Z hotelu zatelefonuje do jednej albo do obydwu koleżanek z klasy. Na stacji w Galway kupiła „Irish Independent”, gdzie znalazła artykuł o pokazie koni w Dublinie. Zamierzała udawać przed koleżankami, że wybrała się do Dublina na tę imprezę.

Podjęcie przynajmniej jednej decyzji co do własnej przyszłości sprawiło, że poczuła się lepiej. Ale teraz, gdy naprawdę się tu znalazła, miała wielką ochotę odwrócić się na pięcie i wsiąść w najbliższy pociąg z powrotem do Galway. Martwiła się też, że zwraca uwagę za krótkim szkolnym płaszczem. Musi kupić porządne okrycie.

Obserwując jednak tych wszystkich ludzi, śpieszących obok niej w stronę barierki, gdzie przyjaciele, którzy wyszli im na spotkanie, przepychali się i tłoczyli, by zdobyć lepsze miejsce, uświadomiła sobie, że nikt nie zwraca na nią specjalnej uwagi. Wydawało się, że każdy - oprócz niej - ma jakiś cel, wie dokładnie, dokąd iść.

Czuła się naprawdę samotna.

Jedynie miejsca w Dublinie, których nazwy były jej znajome, to O'Connell Street i GUP - Główny Urząd Pocztowy, gdzie rozgrywały się wydarzenia powstania wielkanocnego 1916 roku. Zdawało jej się, że jeśli dotrze do GUP-u, będzie miała od czego zacząć. Podniosła walizkę i ruszyła wraz z tłumem ludzi w kierunku wyjścia ze stacji. Ale kiedy znalazła się na zewnątrz, nie miała pojęcia, czy pójść w prawo, czy w lewo.

- Przepraszam - zwróciła się do mężczyzny w czapce z daszkiem - czy mógłby mi pan powiedzieć, jak dotrzeć do poczty głównej?

Mężczyzna udzielił jej wskazówek, ale spojrzał z powątpiewaniem na walizkę.

- Czy pani zamierza iść pieszo?

- Tak.

- No cóż, to spory spacer. Lepiej niech pani pojedzie autobusem.

Powiedział jej, gdzie i do jakiego autobusu wsiąść, ale gdy dotarła na przystanek, już zapomniała, jaki to miał być autobus. Przypominając sobie wskazówki mężczyzny, popa-

trzyła w kierunku centrum miasta, na ulice zatłoczone trąbiącymi samochodami. Nie wydawało się tak daleko... Ale spacer ulicami okazał się nieprzyjemny i znów odwaga niemal ją opuściła. Mżyło. Intensywny, mdły zapach dolatywał od strony zanieczyszczonego ropą nabrzeża Lif-fey, odsłoniętego przez odpływ. Autobusy i ciężarówki kopciły czarnym dymem. Rozmiękłe śmieci leżały w ściekach wzdłuż trotuaru. Raz Molly potknęła się o pękniętą płytę chodnikową i omal nie upadła.

Wydawało jej się, że idzie i idzie - tak od zawsze. Po dziesięciu minutach walizka tak ciążyła jej w ręku, że musiała ją postawić i odpocząć. Spojrzała jeszcze raz w kierunku O'Connell Street. Nie wyglądało na to, żeby się przybliżyła...

Ale tuż przed sobą zobaczyła Molly flagi zwisające na drzewcach z fasady szarego budynku, który okazał się hotelem. Zadecydowała, że nigdzie dalej nie idzie. Wszystko jedno, jaki to hotel i ile kosztuje, wynajmie pokój. Wzięła walizkę, przemierzyła kilka ostatnich metrów i weszła do holu hotelu „Clarence”. Było tu ciepło i spokojnie. Jakaś dziewczyna stała za małym kontuarem.

Molly poczuła się w pewien niejasny sposób winna, gdy poprosiła o pokój - jakby nie miała do tego prawa - ale wydawało się, że recepcjonistka tak nie myśli - podsunęła jej przez ladę formularz i pióro. Molly zawahała się, ale postanowiła się zachowywać, jakby była przyzwyczajona do takich sytuacji. Formularz po przeczytaniu okazał się prosty do wypełnienia - należało wpisać nazwisko, adres i numer rejestracyjny samochodu.

- Czy muszę mieć samochód? - zapytała speszona.

To wywołało błysk w oku recepcjonistki, ale nie zadrżały jej wargi, gdy odpowiadała.

- Nie.

Molly poczuła się nagle beznadziejnie głupia.

Wypełniła formularz i zapłaciła za jedną noc z góry, trzydzieści szylingów, w co wchodziło - jak powiedziała jej recepcjonistka - śniadanie. Potem dziewczyna zaproponowała, żeby Molly oddała walizkę portierowi, który stał cierpliwie za nią, gdy się meldowała.

Portier ruszył przodem schodami w górę, a potem krótkim korytarzem z rzędami drzwi. Zatrzymał się przed jednymi z nich i wsunął klucz do zamka.

Molly spała w hotelu tylko raz, gdy się zatrzymały z mamą w domu noclegowym w Galway, kiedy miała pięć lat, więc nie wiedziała, że powinna dać napiwek. Portier, mężczyzna w średnim wieku, otworzył drzwi i wstawił walizkę do pokoju.

- Czy coś jeszcze? - spytał. Wyglądało, jakby na coś czekał.

- Nie, dziękuję - odparła Molly. - Dziękuję panu bardzo za przyniesienie walizki.

Portier się zawahał, potem uśmiechnął się i odszedł. Gdy drzwi się zamknęły z trzaskiem, Molly obrzuciła spojrzeniem pokój. Nikt nie troszczył się o to, co teraz robiła. Nie było zakonnicy ani Sorchy, żeby powiedzieć jej, co ma robić...

Skupiła się na myśli, że jest bardzo głodna. Chciała coś zjeść. Wyjęła pieniądze i przeliczyła je - wciąż miała ponad dziewięćdziesiąt funtów. Całe mnóstwo, ale trzeba uważać. Możliwe, że te pieniądze będą musiały jej wystarczyć na długo.

Zamknęła pokój i zeszła schodami w dół. Intensywny zapach rostbefu i kapusty dochodził z sali jadalnej i przez kilka chwil miała ochotę pójść za nim, ale była zbyt nieśmiała i nie wiedziała, jak należy się zachowywać w restauracji hotelowej. Minęła więc jadalnię i wyszła z hotelu na ulicę. Przestało mżyć, ale ostry wiatr dmuchał od rzeki. Znowu skierowała się ku O'Connell Street.

Bez obciążenia szła szybko i poczuła się niemal radośnie. Wciąż była przestraszona, ale teraz, gdy miała bazę, tymczasowy dom, zaczynała odzyskiwać odwagę. Rozpoczęła coś - kto wie, co?

Przeszła przez most O'Connella i ruszyła jedną ulicą, potem drugą, zafascynowana krzykliwym zgiełkiem. Wydawało się, że każdy ma dokąd pójść. Ludzie wsiadali i wysiadali z autobusów, witali się, przechadzali dwójkami lub w większych grupach. Kolejki czekały w parach przed kinami. Znalazła GUP, rozpoznając go po skrzynkach na listy

i automatach ze znaczkami. Kilkanaście wystrojonych osób stało pojedynczo, chowając się pod kamiennym portykiem poczty. Najwyraźniej się tu umówiły na spotkania. Zastanowiła się, ile czasu upłynie, zanim ona umówi się przed pocztą główną.

Przeszła przez ulicę. Wystawy sklepu Clery'ego były zaklejone czerwonymi napisami „Wyprzedaż” i zavalone towarami - pościelą i obrusami, damskimi szlafrokami, chłopięcymi kurtkami, walizkami i serwisami do herbaty, kijami do hokeja i rakietami do tenisa, zegarami i zegarkami, czajnikami i sztucami. Molly nigdy w życiu nie widziała tylu rzeczy. Sorcha byłaby zachwycona, pomyślała.

Dalej na tej samej ulicy znajdowała się restauracja „U Cafolli”. W witrynach umieszczono kolorowe plansze z talerzami pełnymi jedzenia, tłusciutkich kiełbasek z dużymi frytkami, jaskrawożółtych jajek i wielkich, pastelowych kul lodów z owocami i bitą śmietaną. Napłynęła jej ślinka, więc weszła do środka.

Jedzenie nie było tak dobre, jak to wyglądało na planszach, ale Molly rozgrzała się i poczuła sytość po posiłku. Teraz marudziła jeszcze nad filiżanką herbaty, chcąc przedłużyć przyjemność. Z zadowoleniem zauważyła, że nie tylko ona je w samotności. Przy wielu stołach siedziały pojedyncze osoby.

Latarnie już się paliły, kiedy wyszła z powrotem na O'Connell Street. Minęła znów sklep Clery'ego, skręciła w prawo, powędrowała North Earl Street i dotarła do Talbot Street. Na jej końcu znajdowała się druga stacja kolejowa - przynajmniej wydawało jej się, że jest tam druga stacja, bo wiadukt przebiegał przez ulicę. Dwie stacje kolejowe! Choć często wyobrażała sobie, jak duży musi być Dublin, teraz jednak, kiedy się tu znalazła, rozmiary miasta zadziwiły ją.

Stała na rogu Talbot Place, patrząc w stronę stacji, gdy zauważyła w oknie pubu na rogu małą karteczkę: „Szukam pracownika”. Zanim się zastanowiła, już weszła do środka.

John Pius McCarthy, kawaler w średnim wieku, który mieszkał z matką nad pubem, spojrzawszy z rzędu wysta-

wianych kufli. W barze panował tłok i hałas, niebieski dym papierosowy wisiał w powietrzu.

Stała przed nim dziewczyna o czerwonej od wiatru twarzy, w brązowym szkolnym płaszczu, za małym na nią -ale tak rzucała się w oczy jej klasa, że Johna Piusa aż ścisnęło w gardle. Dziewczyna coś mówiła, ale nie mógł dosłyszeć co. Pochylił się do przodu.

- Panienska czegoś potrzebuje?

- C-czy mogłabym rozmawiać z k-kierownikiem, proszę pana? - wyjąkała. Miała miękki, wiejski akcent.

- Ja jestem kierownikiem. - Czekał, ale wydawało się, że zabrakło jej słów. Wytarł ręce w starą ścierkę i przeprowadził ją z baru do drugiej sali, w której także było pełno ludzi, ale hałas o połowę mniejszy. Odwrócił się do dziewczyny.

- Teraz będziemy mogli się porozumieć.

- Chodzi... chodzi o kartkę w oknie...

Chcąc zyskać na czasie, włączył do kontaktu czajnik na ladzie za barkiem.

- Rozumiem. Przepraszam bardzo za to pytanie, ale ile panienska ma lat?

- Szesnaście, prawie siedemnaście, proszę pana. Tak myślał.

- Wypiłaby panienska filiżankę kawy? - spytał.

Skinęła głową. Doświadczone oczy Johna Piusa powiedziały mu, że dziewczyna nigdy w życiu nie była w pubie, co dopiero mówić o pracy. Ale chyba wzięła jego milczenie za zachętę.

- Mogę robić wszystko, proszę pana - powiedziała. -O jakiego rodzaju pracę chodzi?

- Proszę usiąść - rzekł John Pius, wskazując jej miejsce na wysokim stołku przy barze. Z powodu swojej nieśmiałości zawsze czuł się gorszy w towarzystwie kobiet. Bar bezpiecznie oddzielał go od Molly, kiedy zdejmował z blatu kieliszki i stawiał je pod ladą obok zlewu. Hałaśliwie puścił wodę, rozchlapując ją dookoła, podczas gdy barman, poruszając się sprawnie za barem, wypełniał zamówienia przyniesione przez kelnera. Jednakże John Pius jednocześnie intensywnie myślał i obserwował Molly ukradkiem. Bał

się, że jeśli jej nie zatrudni, ktoś inny wykorzysta naiwność i niewinność dziewczyny. Jego serce, o czym Molly miała się dopiero przekonać, było miękkie jak z wosku. Zakręcił wodę.

- Czy ma panienka jakieś referencje? Pokręciła głową.

- To moja pierwsza praca, proszę pana.

- No cóż, to jest pewien problem.

Wyglądała na zmartwioną, pomyślał, że dziewczyna za chwilę się rozplacze.

- Wiesz co - powiedział pośpiesznie - przyjdź jutro wieczorem około dziewiątej. Potrzebuję kogoś na salę. Czy będziesz mogła zostać do późna? - Właśnie stworzył stanowisko pracy zupełnie zbędne i zarazem - ponieważ umożliwił w ten sposób zakazane prawem picie alkoholu po wyznaczonej godzinie - całkowicie nielegalne.

Szeroko otworzyła oczy. Nawet w przyćmionym świetle zauważył, jak bardzo są niebieskie. Dziewczyna była naprawdę piękna.

- Oczywiście, zostanę, proszę pana. Tak długo, jak pan zechce.

John Pius westchnął.

- A przy okazji, jak się nazywasz? - spytał.

- Molly. Molly Ni Bhriain.

- To wszystko - powiedział. - Przepraszam, ale muszę wrócić do baru. Mick - barman - zabije mnie! - I ku zdumieniu Molly, John Pius zachichotał. Jego rumiana twarz schowała się niemal w kołnierzyku jak żółw w skorupie, a całym ciałem wstrząsnął bezgłośny atak wesołości. Efekt był zadziwiający.

- Nazywam się John Pius McCarthy, tak przy okazji - udało mu się powiedzieć wśród chichotów - ale wszyscy nazywają mnie JP!

- Dziękuję panu bardzo, panie McCarthy. Uścisnęli sobie ręce.

- No dobrze - powiedział JP. - Do zobaczenia jutro wieczorem.

Molly wyszła z powrotem na ulicę podniecona i oszołomiona. Od czterech godzin jest w Dublinie i już ma pracę!

Nie planowała szukania zajęcia, początkowo zamierzała skontaktować się z koleżankami z klasy, ale teraz, gdy wydarzenia potoczyły się tak szybko, nie ucieknie przed nimi. Zapomniała zapytać o pieniądze, ale wiedziała, że nawet gdyby pamiętała, nie miałyby odwagi o nie zagadnąć. Nieważne. Dostała pracę - i instynktownie ufała Johnowi Piusowi McCarthy'emu.

Droga powrotna do hotelu „Clarence” wydała się Molly o połowę krótsza, niż kiedy z niego wyruszała. Gdy weszła do holu, inna dziewczyna miała dyżur za kontuarem, ale Molly i tak zapowiedziała, że zostaje jeszcze na dwie noce. Molly spędziła następny dzień na oglądaniu wystaw sklepów w śródmieściu, a na obiad poszła znowu do Cafolli. Pojawiła się w pubie parę minut po ósmej, ubrana w najlepszą spódnicę i wełnianą bluzę. Nie dojrzała nigdzie Johna Piusa i wydawało się, że nikt na nią nie czeka. Ale barman z drugiej sali rozpoznał ją, pozwolił jej usiąść przy ladzie i podał napój pomarańczowy.

JP przyszedł do baru za piętnaście dziewiąta.

- Ale punktualna! - powiedział, kiedy ją zobaczył. Przygotował Molly filiżankę kawy i wyjaśnił, co należy do jej obowiązków. Nie było ich wiele: miała pomagać kelnerowi w razie tłoku i przy sprzątanii po zamknięciu. John Pius wyjaśnił, że nie co wieczór, ale dość często zbiera się w pubie małe grono specjalnych gości - aktorów, ludzi teatru, pisarzy, artystów, którzy zostają po zamknięciu lokalu. Do Molly miała należeć obsługa i sprzątanie po nich.

- Ale nie martw się, gdy zrobi się późno. Zawsze cię podrzucimy do domu. A propos, gdzie mieszkasz?

Gdy powiedziała, że mieszka w hotelu „Clarence”, był zgorszony.

- Mieszkasz w hotelu? Musi cię to kosztować majątek!

Pierwszego wieczora Molly poradziła sobie całkiem nieźle, a ponieważ nikt nie został po zamknięciu, John Pius odwiózł ją do hotelu i położyła się do łóżka przed pierwszą. Następnego popołudnia John Pius zjawił się niespodziewanie z gazetą w ręku. Znalazł jej mieszkanie - pokój nad sklepem na Dame Street. Przyszedł po nią, żeby obejrzała lokum, czy jej się podoba.

Molly się spodobało. Mały pokój, ogrzewany jedynie jednopiętowym piecykiem elektrycznym, był czysty i świeżo odmalowany; znajdowało się w nim wszystko, czego potrzebowała. Wrócili do hotelu i Molly się wyprowadziła. Podczas gdy rozpakowywała się w nowym mieszkaniu, John Pius zniknął na kilka minut, a kiedy wrócił, zaróżowiony i chichoczący, wręczył jej dużą papierową torbę.

- Osiedliny i parapetowa! - oświadczył.

W torbie Molly znalazła kolorowy kalendarz ścienny i małą lampkę na stół z ładnym abażurem w kwiatki.

Zabrakło jej słów wobec takiej bezinteresowności i życzliwości.

- A tu jest wtyczka - powiedział, wyjmując ją przesadnie zamaszystym gestem z kieszeni. Połączył sznur z wtyczką za pomocą noża, który znalazł w szufladzie na sztuce w maciupieńkiej zasłoniętej wnęce, służącej jako kuchnia.

Włożyli wtyczkę do kontaktu i zaświecili lampę. Małe mieszkanie - ciemne, bo jedno nieduże okno wychodziło na północ - od razu zaczęło promieniować ciepłem.

- Teraz przyjęcie! - oznajmił John Pius i wyjął z drugiej kieszeni butelkę szampana.

Molly, zauważywszy, że jej szef jest jeszcze bardziej nieśmiały od niej, z minuty na minutę czuła się przy nim swobodniej. Nigdy nie piła szampana - ani innego alkoholu - i patrzyła urzeczona, jak pieniające się wino spływa do wyszczerbionych kieliszków, które John Pius znalazł w jej nowej kuchence. Wypiła łyk i zaszczypało ją w język.

Tego wieczoru przyszli do pubu aktorzy. Zjawili się około jedenastej i John Pius posadził ich w kącie, gdzie pozostali, dopóki reszta gości nie wyszła. Potem rozpałił w kominku, przyciemnił światło i przyniósł butelki wina z piwnicy.

Gdy Molly posprzątała bar i upewniła się, że aktorzy mają kieliszki, John Pius nastawił koncert na dwoje skrzypiec Bacha na swojej wieży hi-fi i przedstawił dziewczynę każdemu z osobna. Była przekonana, że nigdy nie zapomni tytułu nazwisk.

John Pius poszedł na górę przygotować dla gości kanapki z tuńczykiem we własnej kuchni i zostawił salę pod opie-

ką Molly. Poruszała się po pubie, starając się jak najmniej przeszkadzać. Pamiętając o wskazówkach Johna Piusa, sprawdziła, czy nie trzeba podrzucić drew do ognia, i zawsze była pod ręką, by podać drinki. Większość aktorów piła wino, więc szło jej całkiem łatwo.

Tej nocy zdarzały się długie przerwy, kiedy nie miała wiele do roboty i snuła się po mrocznej sali poza kręgiem światła wokół kominka. Goście poprosili ją, by się do nich przyłączyła. Usiadła milcząca i przestraszona, a ci pełni życia, fascynujący ludzie, ścisząc swe donośne głosy z obawy przed inspekcją straży miejskiej, pili po cichu, wspominali i opowiadali różne historie. Molly była oczarowana.

Do pubu przychodzili między innymi dwaj aktorzy - Ma-cartan O'Toole i Dessie Byrne. Czwartego wieczoru z kolei Dessie wdał się w rozmowę z Molly. Aktor był inteligentny, przystojny i czarujący. Molly nigdy nie spotkała kogoś takiego jak on, ale ku swemu zdumieniu całkiem łatwo się z nim gawędziło. Dessie Byrne umiał uczynić ze słuchania sztukę.

Macartan przyłączył się do nich i obaj mężczyźni wypytywali Molly delikatnie o historię jej życia. Nie wyciągnęli z dziewczyny wszystkiego - Molly zrelacjonowała im tylko powszednie fakty. Nie wspomniała o Conorze ani o śmierci taty. A gdy zapytali, dlaczego porzuciła szkołę i przyjechała do Dublina w tak młodym wieku, znalazła dość śmiałości, by im odpowiedzieć:

- Szukać szczęścia!

To podsunęło Dessiemu i Macartanowi pewien pomysł. Następnego ranka miały odbyć się przesłuchania w Abbey Theatre. Chodziło o obsadzenie statystów w scenach zbiorowych w „Wielkim Wozie i gwiazdach”, ale to byłby jakiś początek, powiedział Macartan.

John Pius, który przysłuchiwał się rozmowie, zachęcał Molly, żeby się zgodziła.

- Spróbuj, Molly, czemu nie? - namawiał.

- To nic takiego - przekonywał Dessie. - Naprawdę, Molly. Bułka z masłem!

- Wiem, że jesteś nieśmiała - powiedział Macartan. - Wszyscy jesteśmy nieśmiali, uwierz mi. - I dla żartu wykonał piruet przed kominkiem.

- Ty i nieśmiałość, gadanie! - roześmiał się Dessie. -W dniu, w którym ogarnie cię nieśmiałość, Macartanie O'Toole, świnię zaczną fruwać! Ale mówiąc poważnie, Molly - zwrócił się do dziewczyny - aktorzy są nieśmiali. Znasz chyba powiedzenie, że gra jest zemstą nieśmiałych.

Molly nie słyszała tego wcześniej. Miała wielką ochotę spróbować. Pochlebiali jej też, że aktorzy się nią interesują i sądzą, że mogłaby wystąpić w spektaklu na prawdziwej, profesjonalnej scenie.

Grała wcześniej w przedstawieniach szkolnych i zakonnica, która ćwiczyła z nią dykcję, bardzo ją chwaliła. Ze względu na wysoki wzrost, Molly dostawała zawsze role męskie; mimo swych zahamowań ze zdziwieniem odkryła, że uwielbia przeżycia na scenie. I choć myślała wtedy, że popada w grzech pychy, wyczuwała z reakcji innych, że jest dobra. Nie miała z tego powodu żadnych przywilejów, ale cała szkoła dobrze wiedziała, że jeśli na przykład w danym roku będzie się wystawiało „Hamleta”, Molly niewątpliwie dostanie rolę duńskiego księcia. Nauczycielka dykcji zgłosiła ją na *feiseanna** osławionego miejscowego konkursu talentów i kolekcja zdobytych przez Molly srebrnych pucharów i dyplomów za recytację wierszy została wystawiona w mrocznym holu szkoły.

Konkursy bawiły dziewczynę - i stanowiły dobre, oficjalne usprawiedliwienie dla opuszczania zajęć szkolnych - ale wieczory, kiedy odbywały się prawdziwe przedstawienia, były najlepsze. Stara, zetłala, zjedzona przez mole kurtyna w szkolnym holu, choć łatana, miała pełno dziur i pęknięć. Wbrew wszystkim zasadom Molly, ze skurczem w żołądku, zawsze zerkała przez nie na zbierającą się publiczność. Rodzice i przyjaciele uczniów, którzy mieszkali w pobliżu, siedzieli w rzędach drewnianych krzeseł w środkowej części widowni, gawędząc ze sobą; z tyłu, za nimi, miejsca na ławkach z refektarza zajmowały dziewczęta nie biorące udziału w sztuce.

Dwa pierwsze rzędy pozostawały puste aż do ostatniej chwili, dopóki wszystkie zakonnice, prowadzone przez

* **występy (irl.)**

przeoryszę, ich nie zajęły. Siostry stały, dopóki - jako ostatnia - nie przybyła siostra prowincjałka, która zasiadała w samym środku rządu na symbolicznym tronie - jedynym krześle z poręczami.

Po rozpoczęciu przedstawienia Molly zawsze ogarniało poczucie jakby większej świadomości samej siebie. Uwielbiała sposób, w jaki światła wymazywały wszystkie twarze poza krawędzią sceny i rozgrzewały ją samą, tworząc wokół zamknięty mały świat, w którym odgrywana postać poruszała się i przemawiała poprzez nią. Podczas przedstawień Molly czuła się tak bezpieczna jak ślimak w muszli.

Molly rozejrzała się po twarzach aktorów w pubie JP. Mieli wyczekujące miny.

- No i jak, Molly? - ponaglił ją Dessie.

- Pewnie, czemu nie? - odparła.

Przyszła dziesięć minut przed wyznaczonym czasem, czyli przed dziesiątą rano. Teatr, który znajdował się niedaleko pubu, był jeszcze ciemny i pusty, ale dwie inne dziewczyny i chłopak siedzieli na sali, czekając na przesłuchanie.

Wyglądało na to, że się znają; nie zwracali na nią uwagi, ale z ich rozmowy Molly wywnioskowała, że wszyscy trochę się już szkolili w sztuce aktorskiej. Ogarnęło ją uczucie, że nie ma szansy, i omal nie wyszła z teatru, wtedy jednak pojawił się jakiś mężczyzna, zaklaskał w dłonie i wezwał całą czwórkę bliżej, na przód sali.

Kazał jej tylko stanąć pośrodku sceny i pokrzykiwać jak na meczu piłki nożnej, a potem kilka razy wejść i wyjść różnymi wejściami i wyjściami.

Wszyscy zostali zatrudnieni, cała czwórka. Molly pośpieszyła do pubu z dobrą wieścią i oczywiście John Pius przeżywał nowinę wraz z nią. Powiedział Molly, że przez czas wystawiania sztuki może przychodzić do pracy dopiero po zapadnięciu kurtyny. Zabrał ją na lunch do hotelu „Gre-sham”, by uczcić to wydarzenie, i zapewnił ją, że będzie gwiazdą.

Conor przyglądał się małej arabskiej dziewczynce, która uganiała się za gołębiami na Trafalgar Square. Raz po raz biegła ku nim, machając małymi ramionkami jak skrzy-

dłami, ale znające życie, doświadczone gołębie umykały zawsze kilka centymetrów przed nią, wszystko jedno, jak szybko i w jakim kierunku pomknęła. Zakwefiona matka przyglądała się córeczce z czułością, a ojciec robił jej zdjęcie za zdjęciem, trzaskając automatycznym nikonem.

Dziewczynka z rozwichrzonymi wokół twarzy włosami ubrana była w dziecięcą sukienkę w stylu hiszpańskim, czerwoną w białe kropki, z kilkoma halkami i szalem z frędzlami do kompletu, a na nogach miała legginsy.

Conor nie mógł oderwać od niej oczu. Choć nie znalazł w wyglądzie dziecka niczego, co by w jakiś nieuchwytny sposób przypominało jego siostrę, jednakże coś w śmiechu i bieganinie dziewczynki sprawiło, że stanęły mu przed oczami beztroskie wędrówki z Molly po Inis Oirthir wiele lat temu. Szybko odwrócił wzrok od zabawnej scenki i z rękoma w kieszeniach zaczął obserwować innych turystów. Był już w Londynie kilka razy, ale wtedy przyjeżdżał tu dla przyjemności - na mecz piłki nożnej albo na weekend. Teraz sprawy się miały inaczej. Zamiast z radością odkrywać i beztrosko korzystać z uroków miasta, włóczył się po ulicach Londynu, przytłoczony strachem i poczuciem straty. Przyjechał tu ponad dwa tygodnie temu i pierwszą noc spędził w lichym hotelu przy King's Cross. Teraz znalazł lepsze noclegi w małym prywatnym hoteliku przy Bayswater.

Żył w ciągłym strachu, że wpadnie na kogoś ze swoich stron, bo jako pierwsze zawsze padało pytanie: „Z jakiego hrabstwa pan pochodzi?”, a to prowadziło do kolejnych. Z tego powodu omijał puby. Nie tylko goście mogli być Irlandczykami, wielu barmanów też, dlatego przez dwa tygodnie pobytu w Londynie często odwiedzał muzea i galerie sztuki z wolnym wstępem, jadał w tanich restauracjach rybnych lub w chińskiej dzielnicy, a po południu chodził do kina.

Wieczory były najgorsze, bo nie pozostawało nic innego niż powrót do pokoju hotelowego.

Kończyły mu się pieniądze. Musiał zdobyć pracę. Ta myśl prześladowała go. Powinien unikać zajęcia związane go ze swoją dziedziną - botaniką czy nawet ogrodnictwem - bo zapewne tym tropem policja poszłaby najpierw.

Wyjął notes z adresami. Nie telefonował jeszcze do duchownego, którego nazwisko podał mu ksiądz Hartigan, w razie gdyby potrzebował pomocy. Ten ksiądz miał być dyskretny, jak zapewnił go przyjaciel, który obiecał na tychmiast do niego napisać w sprawie Conora. Wygląda na to, że musi dużo ukrywać pod sukienką duchowną, pomyślał Conor ponuro, szukając numeru telefonu księdza, ale przecież sam wpakował się w pułpkę bez wyjścia. Ksiądz Frank O'Hare ułatwił mu rozmowę.

- Ach tak! - powiedział pogodnie. - Przyjaciel Toma Hartigana. Spodziewałem się, że zadzwonisz. A więc, gdzie się spotkamy? Nie przypuszczam, żeby chciało ci się jechać taki kawał drogi, aż tutaj... - Mieszkał w Willesden.

- Przyjadę wszędzie, gdzie ksiądz zechce.

- Frank, proszę! Żadne „proszę księdza”, dopóki serce mi bije. Padłbym trupem, gdyby któryś z moich podopiecznych nazwał mnie księdzem! - Hartigan uprzedził Conora, że O'Hare działa w najtrudniejszych rejonach Londynu.

- Dobrze, Frank. - Ale Conorowi trudno było się przestawić. Miał głęboko zakorzeniony irlandzki szacunek dla duchowieństwa.

- A więc, którą to mamy godzinę? - ciągnął ksiądz i zaraz odpowiedział sam sobie: - Jest parę minut po drugiej. Czy lubisz ryby? Niedaleko Leicester Square jest bardzo miła rybna restauracja Manziego. Znasz ją?

Conor nie znał tego lokalu.

- Na pewno ją znajdzie, proszę księdza... - Frank.

- W porządku. Nie miałbym nic przeciwko solidnemu kawałkowi ryby. Raz w miesiącu pozwalam sobie na to. Możemy spotkać się u Manziego około siódmej?

- Dobrze, Frank, do zobaczenia. I bardzo, bardzo dziękuję.

- Nie dziękuj mi, jeszcze nic dla ciebie nie zrobiłem. Ale myślę o twojej sprawie, od kiedy dostałem list Toma, i może będę mógł cię jakoś urządzić. Chyba nie masz nic przeciwko pracy fizycznej?

- Nie, proszę księdza... Frank. Nie mam w ogóle nic przeciwko niczemu. Nie mam prawa do żadnych sprzeciwów.

- Nie mów tak. Dopóki życia, dopóty nadziei. W porządku?
- W porządku. Dziękuję raz jeszcze.
- Zatem do wieczora...
- Do widzenia, Frank.

Conor, chcąc wyładować napędzaną nerwami energię, przeszedł pieszo całą drogę do Cromwell Road i spędził popołudnie w Victoria and Albert Museum.

Wieczorem bez trudu znalazł restaurację Manzięgo i wszedł do środka. Zjawił się wcześniej, była dopiero za kwadrans siódma, ale w restauracji panował duży tłok i na stół trzeba było czekać co najmniej godzinę.

- Może zechciałby pan posiedzieć przy barze?

Conor skinął głową, oniesmielony. Właściwie czuł się obco w dobrych restauracjach. W Dublinie było ich kilka, ale nikt z kręgu jego przyjaciół tam nie był, zbierali się w pubach lub na przyjęciach we własnych domach.

- Pana nazwisko? - Mężczyzna trzymał srebrne pióro nad książką rezerwacji.
- Molloy - odparł, podając nazwisko, pod którym zameldował się w hotelu.
- Sean Molloy.

Gdyby napięcie - jak siekiera - nie wisiało w powietrzu, Christian poczułby się pewnie znudzony. Było ciemno i tak naprawdę nic się nie wydarzyło od wielu godzin, przynajmniej wydawało się, że od wielu godzin. Demonstranci, prawie wszyscy - o ile się zorientował - niepełnoletni, w skrajnej determinacji postanowili, że nie pozwolą się ruszyć z trawiastego kawałka gruntu w Lincoln Park, między North Clark a La Salle Drive. Policja, wiedząc o tym, stanowczo zamierzała ich stamtąd usunąć. Oczekiwanie na ostateczną rozprawę wisiało w powietrzu niby jakiś smrodliwy obłok.

Christian i Dick włączyli się w pobliżu po niewielkim lasku i obserwowali, jak część demonstrantów buduje barykadę z ławek, stołów, gałęzi, śmieci, nawet prętów, wszystkiego, co mogli znaleźć. Większość dzieciaków kręciła się wokół bez celu lub siedziała na trawie, prowadząc ci-

che, nerwowe rozmowy i rozważając, jak się zachować, gdy nadejdzie policja.

Wozy policyjne krążyły spokojnie w pobliżu, nie robiąc dużo zamieszania. Kilka miało włączone niebiesko-białe koguty na dachach, ale syreny nie wyły. Same światła nadawały scenie surrealistycznego wyglądu. Christian słyszał ze swego miejsca ciche trzaski policyjnych radioodbiorników. Kilku gliniarzy mruczało coś do walkie-talkie. Przeprowadził już wszystkie wywiady potrzebne do artykułu. Miał wypowiedzi Geneta i amerykańskiego pisarza Williama Burroughsa, i mnóstwo zwariowanych, idealistycznych tekstów zgromadzonych tu dzieciaków. Ale nie mógł odejść, dopóki sprawa się nie zakończy. Reszta reporterów też czekała. Nikt nie chciał, żeby inni zdobyli pierwszy materiał o nadchodzącym starciu młodzieży z policją.

Jakaś dziewczyna z grupy obok Christiana wyjęła słoiczki wazeliny z wyszywanej indiańskiej torby i wszyscy zaczęli rozsmarowywać krem na twarzach i rękach. Christian podszedł do dziewczyny.

- Przepraszam - zwrócił się do niej - jestem z „Chicago Sentinel”. Możesz mi powiedzieć, co robicie?

Spostrzegł, że dziewczyna o delikatnej, subtelnej twarzy nie może mieć więcej niż siedemnaście lat.

- Wazelina chroni skórę przed pałkami - odparła. - To cholerstwo naprawdę piecze, wiesz, a gdy dostaniesz po oczach, wpadłeś w gówno. - Drżał jej głos. Dalej smarowała skórę wazeliną.

Christian obserwował dziewczynę, żeby złapać trochę „kolorytu” do swego artykułu. W myślach odnotował, że pasmo pięknych długich włosów przylepiło jej się do policzka.

Wtem rozpętało się piekło.

Zaczął się od tego, że wóz policyjny na pełnej szybkości ruszył na barykadę i rozwalił ją. Po wcześniejszym spokoju ryk, zgrzyt i huk silnika wstrząsnął wszystkimi. Przez ułamek sekundy dziewczyna siedziała jak zamarła, z otwartym słoiczkiem wazeliny w ręku. Potem zerwała się na nogi.

- Świnie! Faszystowskie świnie! - krzyczała z twarzą wykrzywioną nienawiścią. Rzuciła maleńkim słoiczkiem

w stronę samochodu policyjnego, ale wylądował najwyżej dwadzieścia, trzydzieści metrów od niej. Christian wycofał się do lasku, do bezpiecznej strefy reporterów i dziennikarzy. Jednakże ekipa telewizyjna - potężni, silni mężczyźni - ruszyła w kierunku starcia, więc i on poszedł z powrotem. Policja pałowała młodzież, waląc ją po głowach. Christian był wstrząśnięty, ale napływająca adrenalina robiła swoje. Usiłował zachować spokój i nagrywał opis wydarzeń na magnetofon. Dicka chwilowo stracił z oczu.

Zalesioną część parku miał za sobą, więc bardziej usłyszał, niż zobaczył, grupę policjantów bez odznak i identyfikatorów, która pojawiła się nagle, pałując fotoreporterów i wyrywając im aparaty. Odwrócił się przodem i dostrzegł Dicka, który pochłonięty pracą, nie widział, co się dzieje z tyłu. Klęczał na trawie i fotografował chłopaka w poncho; młody człowiek wyglądał na nieprzytomnego, krew lała mu się z rany na kości policzkowej.

- Dick! Dick! - krzyczał Christian.

Ale młodzież w całym parku wrzeszczała i jego głos nikał w zgiełku.

Jeden z policjantów, groźnie wyglądający w hełmie, z pałką uniesioną w powietrzu zbliżał się szybko do jego przyjaciela. Christian, zanim pomyślał, już zareagował. Ruszył, by przeszkodzić gliniarzowi, który tak był zaprzątnięty obranym celem, że nie zauważył Christiana nadbiegającego z boku. Christian dopadł mężczyznę, zwalając go wyciągniętymi rękoma z nóg, o ułamek sekundy wcześniej nim pałka spadła na nie chronioną niczym głowę Dicka. Christian, przygotowany na zderzenie, utrzymał równowagę i nie upadł, ale policjant, pociągnięty własnym rozpędem, przeleciał nad Dickiem, jakby ten był koniem do ćwiczeń. Pałka przeszkadzała mu teraz, gdy wyciągnął rękę, by się osłonić. Wylądował na chłopcu w poncho. Chłopak nie poruszył się.

Christian schylił się, żeby pomóc Dickowi wstać, ale nagle coś eksplodowało mu w głowie, zamigotały jaskrawe światła, kolory i poczuł wstrząsający ból. Zemdlał.

Obudził się z bolącą głową w szpitalu Henrotin. Dick siedział obok, a przy nim jeden z nocnych redaktorów z gazety.

- Jak się czujesz? - spytał redaktor.
- Co się stało? - Christiana zabolęły mięśnie twarzy, gdy poruszył ustami przy mówieniu.
- Spałowali cię - odparł Dick - ale nie odbieraj tego osobiście. Nie byłeś jedyny. Siedemnastu dziennikarzy! Nawet z sieci telewizyjnych!

Christian zamknął oczy. Czuł zawroty głowy.

- Przepraszam, że cię o to pytam - zaczął redaktor po przerwie. - Pewnie nie wiesz, gdzie są twoje notatki?

Christian pokręcił głową, a raczej usiłował to zrobić.

- Co z magnetofonem? - ledwo dał radę powiedzieć.

- Zabrali kasetę - odparł Dick - i mój film. Wszystko. Mimo bólu Christian poczuł, jak zalewa go wściekłość.

- Nie potrzebuję notatek - powiedział. - Moje ubranie...

- Nie możesz stąd wyjść. Jesteś mocno poturbowany. -Ale w głosie redaktora brakowało przekonania. Już spóźnili się z pierwszym wydaniem i nie mieli relacji z parku.

Rozwścieczony Christian poczuł się silniejszy.

- Dick - zażądał - zabierz mnie stąd.

- Jesteś pewien, że tego chcesz?

- Tak.

Wbrew wyraźnemu zaleceniu lekarzy, Christian wypisał się ze szpitala. Szedł na chwiejnych nogach, ból wciąż rozsadzał mu czaszkę, ale wściekłość zwyciężyła. Dostanie tych drani, powiedział sobie. Kiedy już napisze artykuł, będzie mógł spać przez parę dni.

W redakcji telefony dzwoniły jak oszalałe. Christian usiadł przy maszynie do pisania i wziął głęboki oddech, usiłując świadomie opanować furję, żeby obiektywnie przedstawić fakty. Zaczął pisać, zmuszając się, by przedstawić dokładnie to, co widział. Już w trakcie pracy uświadamiał sobie z radością, że będzie to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek napisał. Relacja wylewała się z niego niczym roztopiona stal, zastygając na stronicach w precyzyjnych sformułowaniach.

Wszystko razem zabrało mu tylko czterdzieści minut i redaktor nocny, który stał obok jego biurka i odbierał gotową stronę po stronie, nie wstawił nawet jednego przecinka. Gdy Christian wykręcił ostatnią kartkę z maszyny, Dick

odwiozł go do mieszkania w Old Town. Christian wypił dużą whisky i walnął się do łóżka.

Nazajutrz otworzył oczy około południa i nadal czuł się chory. Ale przynajmniej poruszał rękoma i nogami i nie miał wrażenia, że zaraz umrze. W łazience wytrząsnął na dłoń cztery aspiryny i połknął je, popijając szklanką wody.

Potem poszedł do kuchni i zrobił sobie filiżankę mocnej czarnej kawy, do której dolał kropelkę whisky. Znowu położył się do łóżka, ale po półgodzinie poczuł się trochę lepiej i zadzwonił do redakcji z aparatu na nocnym stoliku.

- Mam dla ciebie wiadomość - tak przy okazji, gratuluję artykułu - Morton chce cię widzieć - oznajmił dyżurny.

Morton był redaktorem naczelnym.

- O co chodzi?

- Nie mam pojęcia - odparł dyżurny. - Czemu sam do niego nie zadzwonisz?

- Dobra - powiedział Christian. Wykręcił jeszcze raz numer redakcji i połączono go bezpośrednio z sekretariatem naczelnego.

- Wspaniały reportaż z parku, panie Smith - orzekł naczelnny, który zwracał się do wszystkich bez wyjątku po nazwisku.

- Dziękuję, proszę pana.

- Materiał zrobił wrażenie. Był pan cytowany w wiadomościach telewizji BBC w Londynie.

- To wspaniale.

- Tak, no cóż, pewnie to nie pora na taką rozmowę, ale zdaje się, że chce się pan przenieść do działu zagranicznego?

- Tak, proszę pana. - Christianowi zaczęło walić serce.

- Nie widzę żadnych przeszkód, panie Smith. Jak pan wie, nie mamy w tej chwili wolnego etatu, ale rozmawialiśmy tutaj na gorze o rozszerzeniu naszego serwisu zagranicznego. Przyszło mi do głowy dziś rano, że moglibyśmy panu zaproponować pracę jakby latającego reportera od nagłych wydarzeń. Nie pisałby pan analiz politycznych - to zostawilibyśmy redakcji - ale mógłby pan jeździć na miejsca różnych wypadków, wie pan, trzęsienia ziemi, tego typu rzeczy. Pański sposób oddania nastroju i kolorytu i opis

ostatniej nocy były pierwsza klasa. Sądzę, że to pana najmocniejsza strona i gazeta mogłaby ją wykorzystać. Co pan o tym myśli?

Propozycja przekraczała najśmielsze oczekiwania Christiana. Wiedział, że istotnie ten rodzaj reportażu wychodzi mu najlepiej.

- To byłoby wspaniale, proszę pana - odpowiedział drżącym głosem.

- A więc dobrze. Niech pan wpadnie, omówimy szczegóły. Przełączę pana z powrotem do mojej sekretarki, a ona ustali termin spotkania. A przy okazji, jak tam pańska głowa?

- Coraz lepiej, proszę pana. Bez trwałych uszkodzeń.

- Dranie! - skwitował sprawę naczelnym, zanim się rozłączył.

Molly rzuciła się podniecona w wir nowego życia. Napisała do domu i do Kathleen Agnes, która wróciła już do szkoły, o swym szczęśliwym losie. Zapytywała matkę, czy się zgadza, by ona w ogóle nie podjęła nauki:

Jeśli nic z tego nie wyjdzie, mamusi, zawsze mogę wrócić do szkoły i skończyć ją. Słowo honoru. I, słowo honoru, kiedyś zdobędę świadectwo ukończenia szkoły, możesz być tego pewna. Nie jestem głupia. John Pius i wszyscy ludzie w teatrze są dla mnie bardzo mili i wszyscy uważają, że mam szansę na zrobienie kariery. To się bardzo, bardzo różni od gry w szkole, naprawdę nie potrafię tego wyjaśnić - ale tu wszyscy wokół mnie tak dobrze grają i tak ciężko pracują. To w połowie zabawa, ale w połowie najważniejsza rzecz w życiu. Och, wszystko poplątałam. Naprawdę nie potrafię tego opisać. Musisz sama się przekonać.

To wspaniały pomysł. Może Ty i Brendan lub jedna z cioć moglibyście przyjechać, żeby zobaczyć mnie na scenie? Bardzo bym chciała, żebyście mnie obejrżeli (choć nie mam zbyt wiele do roboty, żadnego tekstu, ale wszyscy aktorzy mówią, że jestem niezła). Naprawdę chciałabym się z Tobą zobaczyć.

Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt samotna. Może przyjechałabyś wkrótce do Dublina i pobyła trochę w moim mieszkaniu-

ku? Jest naprawdę bardzo ładne, mamo, w samym centrum miasta, więc mam wszędzie blisko. Codziennie, idąc do pracy, przechodzę obok Trinity College, gdzie jest Księga z Kells. Pomyśl sama. Nie tylko byśmy się zobaczyły, ale mogłabym Cię też zabrać do kina - wspaniałe filmy grają w Dublinie każdego popołudnia, codziennie.

Dublin jest bardzo emocjonujący. Muszę już kończyć, bo idę na próbę.

PRÓBA! Czyż nie brzmi to wspaniale?

Pozdrowienia dla Ciebie i wszystkich cioć. Czy masz wiadomości od Brendana? Niedługo przyjadę do domu, nie martw się. Niepokoję się tylko o to, gdzie jest Conor. Ale jak go znam, da sobie radę.

Przed zaklejeniem koperty Molly przeczytała list jeszcze raz. Gdzie podziewa się Conor? Nie było niemal dnia, żeby nie martwiła się o brata. W jej wyobraźni czasami żył pośród czarów egzotyki - jako nomad na arabskich pustyniach, czasami zaś prozaicznie, gdzieś w osiedlach mieszkaniowych Birmingham, o których słyszała trochę od Brendana. Jednakże nigdy, nawet przez chwilę, nie miała wątpliwości, że przetrwał, utrzymał się na powierzchni.

Napisał do niej raz krótki list, który przeszedł przez ręce matki i jego przyjaciela, księdza Hartigana. Przekonywał Molly, żeby się o niego nie martwiła, a na końcu obiecał, że - jeżeli taka będzie wola boska - spotka się z nią, gdy tylko będzie mógł, nawet jeśli się okaże, że trzeba długo na to czekać. Strasznie za nim tęskniła, ale za każdym razem, gdy pomyślała o bracie, przerażająca scena śmierci ojca nakładała się na jego twarz. Bez względu na to, jak bardzo była zmęczona, ten obraz prześladował ją co noc, gdy leżała w swym wąskim łóżku.

Teraz zdecydowanie usunęła ową scenę sprzed oczu, przyklepiła pięćofuntowy znaczek na kopercie zaadresowanej do matki i zakleiła ją.

Oczywiście John Pius przyszedł na pierwsze przedstawienie, a następnego dnia, dziesięć po pierwszej, gdy pociąg pocztowy z Galway jechał powoli torami za pubem, otworzył butelkę szampana z okazji debiutu Molly.

Ona zaś nadal pracowała u Johna Piusa i przechodziła jako statystka z przedstawienia do przedstawienia w Abbey Theatre, który działał na dwóch scenach: w samym Abbey Theatre i w mniejszym Peacock Theatre, w suterenie. W październiku zaproponowano jej stanowisko pełnoetatowej asystentki reżysera. Pracowała szybko i chętnie i już była bardzo lubiana.

Zwykły dzień w Abbey Theatre zaczynał się od porannej próby, potem był czas wolny, a wieczorem przedstawienie. Molly w pełni wykorzystywała popołudnia - namiętnie chodziła do kina. Czasami, gdy dzień był zbyt piękny, by siedzieć w kinie, poznawała miasto - jeździła autobusami do krańcowych przystanków w Tallaght i Stillorgan, Ballymun, Ballyfermot, Clontarf, Sutton, Finglas, Howth, a nawet w Bray, dla samej przyjemności jazdy. Uwielbiała Henry Street i handlarzy owoców na Moore Street. Czasami kupowała torbę jabłek, żeby usłyszeć du-bliński akcent, tak różny od jej własnego. Ćwiczyła wymowę, słyszaną regularnie wieczorami w paru sztukach, przy których pracowała, i wypróbowała siły na Johnie Piusie. Chichocząc, mówił jej, że jak na dziewczynę ze wsi, radzi sobie całkiem dobrze...

Cały czas była zachwycona swoją pracą. Molly zadziwiały, ale zarazem fascynowały, pełne narzekań, lecz dowcipne pogaduszki ludzi teatru, choć przyzwyczała się już do nich. Przyszła do Abbey Theatre w stanie nerwowego podniecenia, spodziewała się grupy ludzi wyjątkowych, pełnych dramatyzmu pięknoduchów, wybitnych osobowości. Nastawiła się na górnolotne dyskusje o sztuce i sądziła, że będzie się uczyć rzemiosła od poważnych artystów, gruntownie zaznajomionych z językiem Seana O'Caseya i Johna Millingtona Synge'a...

Tymczasem znalazła zespół ludzi, narzekających cały czas na zimno, upał, długość przerwy na lunch, na cholerne kierownictwo, co nie pozwalała się urywać. Aktorów, którzy podczas prób czytali gazety, gdy akurat nie grali w jakiejś scenie - a czasami nawet kiedy grali - oraz aktorki, które robiły na drutach, nosiły wełniane czapki i szaliki podczas scen miłosnych. Poza tym wszyscy oni bez końca pili herba-

tę. Nigdy nie przestała się dziwić, kiedy co wieczór z budki suflera widziała, jak ten tłum jęczących i wyrzekających larw przeistacza się w eleganckie motyle.

Najbardziej lubiła porę około szóstej wieczorem, gdy kasjerzy i dzienna zmiana personelu wyszli, a nocna jeszcze się nie pojawiła. Często pozostawała wtedy sama w budynku i choć był on nowy - z zewnątrz wyglądał jak banalny betonowy schron - bujna wyobraźnia Molly przystrajała jego wnętrza szczyptą historii i fantazji i zappełniła olbrzymią otwartą scenę tradycyjnymi duchami teatru.

Dziewczyna zaglądała we wszystkie kąty, wdychała ulubione, podniecające zapachy starych kostiumów, dekoracji malowanych setki razy, klejonego drewna i płótna. Chodziła cicho po ciemnej scenie i wsłuchiwała się w stare szepty. Zerknęła na rzędy pustych krzeseł, rozkładające się w sali niby szeroki błękitny wachlarz z piór.

Pewnego wieczoru, gdy była całkowicie pewna, że nikogo nie ma, stanęła nieruchomo pośrodku sceny. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest aktorką, grającą główną rolę w jednej ze sztuk Abbey Theatre, Norę Clitheroe w „Wielkim Wozie i gwiazdach” czy Deirdre w „Boleściwej Deirdre” Synge'a... W jej fantazji przedstawienie odniosło sukces i wywoływano ją przed kurtynę, a fale oklasków i owacji nie milkły.

„Dobra robota, Molly!” - To mówili partnerzy, którzy kłaniali się u boku Molly, trzymając ją za rękę...

Odgłos zamykanych w pewnej odległości drzwi sprawił, że przerażona dziewczyna szybko otworzyła oczy. Poczula się głupio. Oslaniając oczy przed światłem jedyne reflektora, popatrzyła na salę, gotowa się wytłumaczyć - ale nikogo nie było. Usiadła zatem w budce suflera. Odwracając kartki scenopisu, powtarzała w myślach, kiedy ma dać sygnał do zmiany dźwięku lub świateł, żeby potem niczego nie pominąć. Naprawdę czuła się w teatrze jak w domu, najbardziej swojsko, gdy była sama.

Uczestniczyła w wieczornych eskapadach, przyjęto ją do paczki nie tylko w pubie Johna Piusa, chodziła też z aktorami do innych barów i restauracji wprost po spektaklach. Wysłuchiwała opowieści o skandalicznym zarzyna-

niu ról i zafascynowana obserwowała niestałe miłosne związki.

Rzadko jednak przychodziło Molly do głowy, że ona sama mogłaby być przedmiotem męskiego pożądania. Choć instynktownie pojmowała, co czuł do niej ksiądz Morahan, wspomnienie sceny na wydmach było ulotne jak mgła, czasami pojawiała się w jej myślach, ale nie wywoływało żadnego wrażenia. Z drugiej strony Molly odkryła, że wspomnienia o Conorze pozostały żywe i zmysłowe. Wydawały się w pewien sposób zamknięte i doskonale same w sobie. Molly stwierdziła, że stale porównuje nowych przyjaciół do brata - i zawsze odkrywa, że czegoś im brakuje. Ale pewnego wieczoru w pubie po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko teatru, podszedł do niej młody mężczyzna.

- Cześć - odezwał się zuchwale. - Obserwowałem cię! Molly była chwilowo sama. Macartan, z którym przyszła na drinka, poszedł do toalety.

- Cześć - odpowiedziała przestraszona.

- Czy on jest twoim chłopakiem? - spytał młody mężczyzna, który - jak zauważyła Molly - miał błyszczące jasnoniebieskie oczy, nieczęsto spotykane w Irlandii.

- Słucham? - odparła, choć dokładnie wiedziała, o co mu chodzi.

- Czy on jest twoim chłopakiem? To znaczy, czy ten facet jest z tobą? - Wskazał głową w stronę męskiej toalety.

Molly pokręciła głową.

- To kolega.

- Och, to dobrze! - ucieszył się młody człowiek. - Mogę się do ciebie przyłączyć?

Molly nigdy nie spotkała się z tak niezachwianą pewnością siebie i, choć nadstawiała ucha, akcent mężczyzny też był jej obcy. Bezradnie patrzyła, jak zdjął ze stołka barowego zwinięty płaszcz gabardynowy i położył go na podłodze. Przyciągnął stołek do Molly, usiadł i z uśmiechem wpatrywał się w nią. Wyglądało na to, że jest mu całkiem wygodnie i może czekać choćby całą noc, aż Molly się odezwie. Jego spojrzenie odbierało jakoś dziewczynie odwagę.

- Jesteś Irlandczykiem? - spytała, usiłując podtrzymać rozmowę i wyczekując powrotu Macartana. Zobaczyła po-

nad ramieniem mężczyzny, że wychodzi z toalety, ale zatrzymały go dwie panie, które najwyraźniej oglądały wieczorne przedstawienie. Kobiety wyjęły programy, a Macartan zabierał się do składania autografów.

- Właściwie jestem Szwedem - odparł mężczyzna. - Podróżuję po Wielkiej Brytanii i Irlandii. - Gdy Molly nie odpowiedziała, ciągnął dalej: - Znam Irlandię. Przyjeżdżam tu bardzo często. Robię doktorat z Williama Butlera Yeatsa.

- To miło - rzekła Molly i pociągnęła duży łyk drinka, tak że omal się nie zakrztusiła.

- Z Williama Butlera Yeatsa - powtórzyła, kiedy doszła do siebie. - Wybiera się pan do Sligo?

- Wiele razy byłem w Sligo - odparł, machając niedbale ręką. - Lepiej porozmawiajmy o tobie. Jesteś aktorką? - zapytał ze swoim charakterystycznym akcentem.

- No cóż, kimś w tym rodzaju - powiedziała Molly. - Właściwie zamierzam nią zostać. Stawiam dopiero pierwsze kroki, brałam nawet udział w dzisiejszej sztuce. Ale tylko jako statystka! - dodała pośpiesznie, na wypadek gdyby mężczyzna oglądał przedstawienie.

- Per Keller - przedstawił się mężczyzna, wyciągając rękę.

Molly uścisnęła ją.

- Molly Ni Bhriain.

- O, pochodzisz z Celtów - uśmiechnął się do niej i Molly zauważyła, że ma zęby niemal bez skazy. Miała zwyczaj natychmiastowego oceniania ludzi. Uznała, że lubi tego młodego człowieka.

- Jak długo zamierzasz tu zostać, Per?

- To zależy. Nie wiem, ile Irlandia ma mi do zaoferowania, szczególnie jej celtycka część.

Aluzja była przejrzysta. Nawet niedoświadczona Molly nie mogła jej nie zrozumieć. Wypiła kolejny łyk soku pomarańczowego, wzmocnionego kroplą alkoholu.

- Mogę ci postawić następnego drinka? - spytał Szwed, wyraźnie rozbawiony. - Jeszcze jeden sok?

- Dziękuję - odpowiedziała Molly, rzucając rozpaczliwe spojrzenia na Macartana, który na dobre zagłębił się w rozmowie z dwiema miłośniczkami teatru.

Szwed przywołał barmana. O tej porze ruch przy barze był olbrzymi, ale ten mężczyzna potrafił natychmiast zwrócić na siebie uwagę. Zamówił sok dla Molly i pół kwarty guinnessa dla siebie, ale zanim barman przyniósł drinki, Macartan przyłączył się do nich.

- Macartanie - zaczęła Molly - to jest Per... Przepraszam - zwróciła się do Szweda - zapomniałam twego nazwiska.

- Keller - rzekł Per, wymieniając uścisk dłoni z Macartanem, który sam się przedstawił.

- Per zbiera materiały na temat Williama Butlera Yeatsa - ciągnęła Molly.

- Ach tak - odparł Macartan. - Byłeś w Sligo?

- Wiele razy - znów powtórzył Szwed cierpliwie. - Wypiłbyś drinka, Macartanie? - On nie miał kłopotów z zapamiętywaniem imion.

- No pewnie, Per. - Macartan nigdy nie odmawiał kolejki.

Bezpieczna pod opieką Macartana, Molly odprężyła się. Obserwowała, jak drugi mężczyzna załatwia sprawę z barmanem, i stwierdziła, ku swemu zdumieniu, że podziwia zarys jego szczęki.

Młody człowiek poszedł z nimi na imprezę do mieszkania przy Rathmines Road. Przyjechali we trójkę taksówką, zatrzymując się po drodze przed sklepem, by kupić alkohol. Gdy taksówka stanęła, Szwed zaproponował, że on pójdzie po piwo.

- Dobra, dobra, Per! - zgodził się Macartan. - Wystarczą dwa kontenerki po sześć butelek. Nie będziemy tam długo.

- Powinniśmy mu dać jakieś pieniądze - zwróciła się do Macartana Molly, gdy Szwed wysiadł z samochodu.

- Nonsens - odparł Macartan. - On i tak uważa, że jest wspaniale. Dwoje aktorów z Abbey Theatre. Impreza. Alkohol! To prawdziwe życie dla Szweda.

- Pleciesz bzdury, Macartanie, i wiesz o tym - powiedziała Molly, śmiejąc się.

- Byłaś kiedykolwiek w Szwecji? Zamknij się, Molly, już wrócił... Jak tam, Per?... Równy z ciebie gość, równy gość...

Per zapłacił też za taksówkę, gdy dojechali do domu, gdzie odbywała się impreza. Było to przyjęcie zorganizowa-

ne naprędce, bez szczególnej okazji. W maleńkim mieszkanku ludzie tłoczyli się w grupkach i parach, stali lub siedzieli na krzesłach, poręczach krzesel, na cudzych kolanach i na podłodze. Jedna grupka w rogu rozsunała się i zrobiła miejsce dla nowych gości. Molly usadowiła się między Perem a Macartanem, oparta plecami o ścianę. Miała na sobie spódniczkę mini i pamiętała, by ułożyć nogi przyzwoicie. Zauważyła, że Per się im przygląda. Właściwie jej się to podobało, chociaż wolałaby być w dzinsach.

Gospodarz, też aktor, dla nastroju zgasił wszystkie światła i zapalił mnóstwo świeczek osadzonych w butelkach po mleku i słoikach, ustawionych na obramowaniu zamurowanego kominka. Świece rzucały długie, tańczące cienie. Zapach wosku mieszał się w pokoju z ciężką wonią kadzidełek. Gramofon cicho odtwarzał piosenki z albumu Beatlesów „Sergeant Pepper”, niemal całkowicie zagłuszone przez fale rozmów. Molly zauważyła, że zmieniacz jest pusty, co oznaczało, że tylko tego będą słuchać przez cały wieczór. Zdawała sobie sprawę, że Szwed bez żenady się na nią gapi. Zmieszana i niepewna, wywołała uśmiech na twarz i pochyliła się ku Macartanowi.

Aktor pokazywał Perowi, jak otworzyć butelkę piwa zębami. Szwed śmiał się.

- Wspaniale, kolego. Ale chyba nie wypróbuję tego teraz. - Zwrócił się do Molly. - Mam znaleźć dla nas otwieracz, Molly?

- Dobra, Per - powiedział Macartan. - Otworzę też jedną dla niej. Proszę bardzo, kochanie. - Podał Molly otwartą butelkę.

Dziewczyna nie znosiła piwa, ale nie chcąc urazić Macartana, wypiła maleńki łycalek. Szwed wciąż jej się przyglądał.

- Ile masz lat, Molly? - spytał nagle.

- Osiemnaście - skłamała. Po raz pierwszy w życiu zrobiła coś takiego i sama była tym zdumiona. Mężczyzna natychmiast objął ją w talii.

- Jesteś śliczna - powiedział cicho. Nie wiedząc, co robić, usiadła sztywno.

- O co chodzi? - spytał.

Siedzący u jej drugiego boku Macartan poczuł, że zeszywniała. Pochylił się ku niej.

-Wszystko w porządku, Molly? - spytał, patrząc na Szweda.

- Tak, w porządku - odparła.

- Jesteś pewna? - dopytywał się Macartan.

- Mówiła ci już, Macartanie - wtrącił się Szwed, nie usuwając ręki.

Po chwili Molly uznała, że w tym uścisku nie czuje się źle. Mężczyzna nie przeciągał struny i spokojnie opowiadał dalej o swej karierze na uniwersytecie w Uppsali i wcześniejszych podróżach do Irlandii. Macartana pochłonięła pasjonująca dyskusja o filmie „Lew zimą”, który aktualnie doprowadzał aktorów do białej gorączki. Molly musiała więc polegać wyłącznie na sobie, kiedy Szwed zręcznie wytworzył wokół nich jakby odosobnioną przestrzeń.

Centymetr po centymetrze odsuwał Molly od innych, zachęcając ją do opowiadania o dzieciństwie na Inis Oirthir - a ona, jak zawsze, dziwiła się, że wyspa może być tak interesująca dla obcych. Szwed powiedział jej, że zwiedził Inis Oirthir podczas jednej z poprzednich podróży do Irlandii.

Skończył piwo, odstawił butelkę na podłogę obok siebie i jakby przypadkiem ujął dłoń Molly, zamykając dziewczynę w objęciach.

- Jesteś dziewczyną, Molly?

Macartan, który wciąż siedział u boku dziewczyny, znów wyczuł jej strach. Przerwał dyskusję w pół słowa i odwrócił się.

- Co się dzieje, Per?

- Słucham? - Szwed nie puścił dłoni Molly, ani nie zdjął ręki z jej talii.

- O co pytałeś Molly? - Macartan zwrócił się do mężczyzny uprzejmie, ale lodowatym tonem.

- Przykro mi, ale nie sądzę, żeby to była twoja sprawa...

- A jednak moja. Wiesz, że ona ma tylko siedemnaście lat?

- Powiedziała mi, że osiemnaście, ale i tak nie wiem, co to...

- Molly! - Macartan mówił teraz bezpośrednio do niej. - O co on cię spytał?

Dziewczyna poczuła się bardzo zakłopotana.

- Posłuchaj - wtrącił się Szwed, wciąż patrząc jej w oczy. - To nic takiego. Bez żadnych konsekwencji. A z pewnością nie jest to sprawa, z której warto robić incydent na skalę międzynarodową.

- Przepraszam, Per - Macartan podniósł głos - nie zamierzam niczego robić. Chcę tylko wiedzieć, o co zapytałeś tę dziewczynę.

- Proszę, Macartanie, daj spokój, już wszystko w porządku - rzekła Molly nieśmiało. Czowała, jak płonie jej ręka w dłoni Szweda, ale nie miała odwagi jej cofnąć.

- Myślę, że już pójdziemy - powiedział Macartan stanowczo, podnosząc się jednym zręcznym ruchem. Pochylił się i ujął Molly pod ramię. - Chodź, kochanie, idziemy.

- Chwileczkę - przerwał Szwed. - Uważam, że powinniśmy pozwolić Molly zdecydować, czy czas już wyjść. Prowadzimy miłą pogawędkę. Sądzę, że chyba od niej zależy, czy chce ją kontynuować...

- A więc, Molly? - naciskał Macartan, wciąż z ręką wsuniętą pod jej ramię.

Między tymi dwoma Molly czuła się jak ptak uwięziony w siatce ogrodzenia.

- Tak. T-tak - wyjąkała. Miała wrażenie, że wszyscy w pokoju gapią się na nią. - R-robi się trochę późno...

Szwed natychmiast cofnął obie ręce i uniół je do góry w geście poddania. Macartan pomógł Molly wstać i stał przy niej, gdy zakłopotana wyciągnęła dłoń do Szweda.

- No cóż, do widzenia, Per, miło było cię poznać. Szwed chwycił jej rękę i potrząsnął. Miał ironiczny wyraz twarzy.

- Do widzenia, Molly. Może spotkamy się jeszcze, gdy będziesz trochę starsza, i to bez twojego anioła stróża!

- Chodź, Molly. - Macartan nawet nie rzucił okiem na Szweda. Przeprowadził ją pomiędzy stłoczonymi gośćmi w kierunku wyjścia, przystając jedynie na krótko, by pożegnać się z gospodarzami. Molly spojrzała od drzwi. Szwed nadal siedział całkiem wygodnie, najwyraźniej ni-

czym nie speszony. Próbował otworzyć zębami kolejną butelkę piwa.

Dziesięć minut szli Rathmines Road, rozglądając się na wszystkie strony, zanim zauważyli taksówkę. Macartan parł naprzód, a Molly kroczyła obok niego, nie wiedząc, co, u licha, powinna powiedzieć.

Wsiedli do taksówki w milczeniu. Nagle, gdy jechali Camden Street, Macartan wziął ją w ramiona i mocno pocałował w usta. Była zbyt zaskoczona, by zaprotestować.

Pocałował ją po raz drugi, delikatniej, po czym uwolnił dziewczynę z objęć, wycofując się w swój kąt siedzenia.

-Tylko, Molly, nie odnieś jakiegoś mylnego wrażenia. Dla mnie jesteś oszałamiająco pięknym dzieciakiem, jakiego od dawna nie spotkałem, i miałem ochotę cię pocałować, od kiedy się poznaliśmy. Ale musisz być ostrożna. W tym akwariarium pływają miliony piranii.

- Co to jest pirania? - Nic więcej nie przyszło Molly do głowy.

Wziął ją za rękę.

- Pirania jest piękną, olśniewającą rybą, która rozszarpie cię i pożre, zostawiając jedynie kości, zanim spostrzeżesz, że grozi ci niebezpieczeństwo.

- Rozumiem.

- Nie sądzę, żebyś rozumiała. Ludzie tacy jak Dessie czy ja są oportunistami, w porządku, ale nie piraniami. Trzymaj się nas, dzieciaku. Zaopiekujemy się tobą.

Molly uśmiechnęła się. Ogarnęło ją ciepłe uczucie wdzięczności.

- Dzięki, Macartanie.

- Nie dziękuj mi, bo nie ma za co - powiedział cicho. -Przy lada okazji mógłbym stać się wobec ciebie piranią.

Zajdziesz daleko, Molly, dalej niż ja czy Dessie, dalej niż ktokolwiek z tego cholernego Abbey. Musisz jednak być ostrożna. Chciałbym pójść z tobą, ale ty będziesz za dobra dla mnie... Wiem o tym. - Puścił jej rękę. - Teraz - ożywił się, gdy taksówka skręciła z George's Street w Dame Street - jesteś prawie w domu. Jeszcze jeden całus, dobrze?

- Dobrze! - Molly nadstawiła twarz. Macartan wziął ją w obie dłonie.

- Jesteś śliczna, Molly, naprawdę. Jeden całus na drogę... - Pocałował ją w usta, ale nie przedłużał pocałunku. Taksówka zatrzymała się przed drzwiami jej domu i Molly wysiadła.

- Dobranoc, Macartanie.

- Dobranoc, moja droga - i pamiętaj o wujku Macu w swoich snach!

- Będę pamiętała! - Zamknęła drzwiczki i pomachała przyjacielowi ręką, gdy samochód odjeżdżał.

Pewnego ranka pod koniec listopada trwały próby awangardowej adaptacji „Snu nocy letniej” Szekspira, która miała zostać wystawiona na scenie Peacock. Kierownictwo teatru sprowadziło do tej sztuki angielskiego reżysera, Johna Chalmersa. Jedna z aktorek zachorowała i nie przyszła na próbę, więc - jak było w zwyczaju - Chalmers poprosił Molly jako asystentkę reżysera, żeby czytała ze scenopisu jej rolę.

Molly, nie czując przymusu grania, poruszała się po scenie całkiem naturalnie, replikowała, czytała tekst bez aktorskich sztuczek, nie podnosząc znad niego oczu.

W czasie przerwy na herbatę Chalmers poprosił ją na chwilę rozmowy.

- Jakie masz doświadczenie sceniczne, Molly?

- No, cóż, statystowałam w kilku sztukach granych na górze, w Abbey Theatre.

- Zamierzasz zająć się reżyserią?

- Nie zastanawiałam się jeszcze nad tym, panie Chalmers. Wszystko to jest dla mnie takie nowe.

- Myślałaś kiedykolwiek o tym, żeby zostać aktorką?

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział 6

Kiedy prom przybił do portu w Harwich, Conor - jak większość pasażerów - skierował się na peron, skąd odjeżdżał pociąg do Londynu. Choć ostrożność stała się jego drugą naturą, nieoczekiwanie zawarł na statku znajomość z amerykańską turystką z plecakiem, z dziewczyną z Lubbock w Teksasie, o białych zębach i szerokich biodrach. „Zaliczała” Europę.

- Irlandczyk, co? Zgadłam? Jesteś pierwszym Irlandczykiem, jakiego spotkałam w Europie.

Miała na imię Kirsty. Conor wiedział już, że spędziła Wielkanoc w Paryżu, podoba jej się Amsterdam, a o Berlinie nie miała wyrobionego zdania. Wypytała go dokładnie o Dublin, który miał być ostatnim etapem jej podróży - co zwiedzić, gdzie pójść, czy jest bezpiecznie na ulicach. Zakładając, że już jej więcej nie zobaczy, Conor przez lekkomyślność, a może z poczucia osamotnienia, skierował dziewczynę do Państwowego Ogrodu Botanicznego i poprosił, żeby powiedziała któremukolwiek z ogrodników, że zna Conora O'Briaina. Pożałował tego natychmiast, ponieważ oczywiście uczepiła się tematu.

- Conor - jakie urocze imię! Jak to się pisze, przez „C” czy przez „K”? - Wyjęła z plecaka swój dziennik i wieczne pióro, by zanotować jego imię.

- Przez „C” - mruknął. Co go opętało? Dziewczyna na pewno pojedzie prosto do ogrodu. Pocieszył się myślą, że po sześciu latach personel na pewno się zmienił. Dopiero kiedy przybili do portu, zdał sobie sprawę, w jakie wpako-

wał się tarapaty. Dziewczyna z pewnością przyczepi się do niego przy odprawie paszportowo-celnej. Paszport na nazwisko Sean Molloy zaciążył mu w portfelu. Kiedy jednak przyszło co do czego, udało mu się stanąć w osobnej kolejce i przejść kontrolę bez problemu. Gdy jednak dołączył do niej przy wsiadaniu do pociągu, cały był zlany potem. Ten incydent postanowił potraktować jako ostrzeżenie. Sean Molloy - sezonowy robotnik na londyńskich budowach, w fabrykach konserw w Holandii, w montażowni Volkswagena w Niemczech - był jego drugim wcieleniem, a przynajmniej tak dotychczas uważał. Już od lat nie zdarzyła mu się podobna wpadka.

Kirsty przepchnęła potężny plecak przez drzwi wagonu i usiadła obok Conora, który postanowił zapobiec dalszym indagacjom.

- Nie będzie ci przeszkadzało, Kirsty, że spróbuję się trochę zdrzemnąć?

- Oczywiście że nie, Conorze. Nie przeszkadzaj sobie. Stukot pociągu był tak monotony, że Conor, który od chwili gdy rozpoczął nowe życie jako Sean Molloy, nauczył się zasypiać wszędzie, wkrótce już drzemał. Gdy się obudził, Kirsty spała z policzkiem przyciśniętym do okna. Ocknęła się dopiero, kiedy wjechali na stację przy Liverpool Street. Zignorował niedwuznaczne aluzje dziewczyny, że powinni się spotkać podczas jej pobytu w Londynie, ale nim się rozstali, wziął adres Kirsty w Lubbock.

- Na wypadek, gdybyś kiedyś tamtędy przejeżdżał. - Było to równie mało prawdopodobne, jak wizyta na Księżycu w drodze na Marsa.

Zatrzymał się przy automatach telefonicznych, żeby zadzwonić do księdza Franka O'Hare. Był on jedyną osobą w Londynie, z którą utrzymywał kontakt. To właśnie od Franka dowiedział się o śmierci Toma Hartigana na raka płuc w sześć miesięcy po swoim przyjeździe do Londynu.

Jego stary przyjaciel w listach kierowanych na poste restante ani słowem mu nie wspomniał, jak bardzo jest chory. Ostatni list, który przesłał na Boże Narodzenie, tuż przed swoją śmiercią, był jak zawsze pełen otuchy, optymizmu i życzliwości. W połowie stycznia ksiądz już nie żył.

Nie licząc okresu tuż po ucieczce, chwile, jakie Conor przeżywał po otrzymaniu wiadomości o jego śmierci, były najtrudniejsze od momentu opuszczenia Inis Oirthir sześć lat wcześniej. Poczul się straszliwie samotny, odrzucony, pozostawiony własnemu losowi. Rozwazał nawet możliwość oddania się w ręce policji i poniesienia wszelkich konsekwencji, ale powstrzymała go wrodzona, wyspiarska nieufność wobec wymiaru sprawiedliwości.

Ksiądz w Londynie był życzliwy i zaangażowany w jego sprawę, ale pochłaniały go własne obowiązki. Conor z niepokojem uświadomił sobie, że pragnie przerzucić uzależnienie emocjonalne z jednej sutanny na drugą. Zły na siebie za słabość, odrzucił tę drogę. Choć utrzymywał kontakty z Frankiem - ksiądz pomagał mu znaleźć mieszkanie i pracę, ilekroć Conor pojawiał się w mieście - nigdy nie łączyły ich zażyłe stosunki.

Tym razem telefon księdza O'Hare nie odpowiadał. Conor spojrzął na zegarek. Nie było jeszcze ósmej. Pewnie odprawia poranną mszę. Conor postanowił zadzwonić później do jego kancelarii w Camden Town.

W metrze panował tłok typowy dla godzin porannego szczytu. Conor stanął niezdecydowany. Fale ubranych w ciemne garnitury podróżnych opływały go ze wszystkich stron. Musi gdzieś zostawić bagaż, dopóki nie znajdzie noclegu. Ostatnim razem mieszkał przy bocznej uliczce niedaleko Pentonville Road, ale nie lubił tej okolicy.

Postanowił dostać się metrem do Earl's Court.

Kiedy zjeżdżał na peron, przenikliwy lament skrzypiec ulicznego grajka przedarł się przez ludzki tłum. Muzyk był młody - miał około dwudziestki, jak ocenił Conor - i nawet na jego niewprawne ucho, bardzo utalentowany. Conor poszperał w kieszeni, wyjął kilka monet, ale gdy stopień ruchomych schodów, którymi jechał, zrównał się z butami grającego, jego uwagę przykuł afisz na ścianie. Reklamował sztukę graną na West Endzie, wznowienie „Wesołego ducha” Noela Cowarda. Conor nie był miłośnikiem teatru. Jego zainteresowanie wzbudziło zdjęcie trojga głównych bohaterów, mężczyzny i dwóch kobiet. W jednej z nich, tej młodszej, rozpoznał własną siostrę. Był tego pewien.

Zszedł

z ruchomych schodów i dołączył do tłumu pasażerów wychodzących na ulicę. Plakaty pokrywały ściany od góry do dołu, dzięki czemu mógł dokładnie przeczytać ich treść. Nie widniało tam nazwisko jego siostry, podpis pod zdjęciem młodszej aktorki głosił, iż nazywa się ona Margo Bryan. Nie miał jednak wątpliwości, że to Molly.

Molly przyszła do teatru Wyndhama, jak zwykle, trzy godziny przed przedstawieniem. Wchodząc pod daszek przy wejściu, nie mogła się powstrzymać, by nie rzucić okiem na afisze umieszczone na fasadzie budynku.

Annabel Critchley w

„Wesołym duchu”

Noela Cowarda Występują również: Margo Bryan i Jeremy Forsythe

Sztuka szła już sześć miesięcy, a Molly wciąż nie mogła tak naprawdę uwierzyć, że te wielkie napisy odnoszą się również do niej. Zatrzymała się na chwilę, aby przywitać się z portierem.

- Śliczny dzisiaj dzień, Peter.

- Cudowny, pani Bryan. Wspaniała wiadomość o księżniczce Annie, prawda?

Molly uśmiechnęła się. Po drodze do teatru widziała przy kioskach napisy: „Anna wychodzi za Marka”.

- Tak, oby im się ułożyło.

- Miejmy nadzieję. - Portier był wyraźnie w nastroju do pogawędki, ale Molly uśmiechnęła się tylko i ruszyła w kierunku wejścia dla aktorów małą uliczką okrążającą z tyłu budynek.

Chociaż wciąż musiała się upewniać w duchu, że to właśnie ona jest jedną z gwiazd tego spektaklu, zaczynała już przywykać do swojego nowego nazwiska. Postrzegała siebie jako dwie osoby: Molly, dziewczynę, której przeszłość wiązała się z Irlandią i na której życiu zostawiło ślad jej dzieciństwo, oraz Margo, aktorkę, która przypadkiem jest pochodzenia irlandzkiego.

Weszła do teatru, rzuciła kolejne „dzień dobry” do drugiego portiera, weszła na piętro i korytarzem dotarła do małych, odrapanych drzwi garderoby. Przekręciła klucz w zamku i je otworzyła. Pokój był ciemny, oświetlony jedynie pojedynczą smugą szarego światła, wpadającego przez okratowane okna od strony uliczki z tyłu teatru.

Zamknęła za sobą drzwi i zapaliła światło. Annabel Critchley, która grała Madame Arcati, miała naturalnie najlepszą garderobę, klitka Margo była mała i obskurna, a ściany rozpaczliwie domagały się odmalowania. Szpary między deskami w podłodze pełne były kurzu - pewno jeszcze z zeszłego stulecia - który zestalił się przez te wszystkie lata na podobieństwo czarnej zaprawy murarskiej. Ale w tej chwili było to jej małe królestwo. Molly rozejrzała się wokół i westchnęła z zadowoleniem. Zazwyczaj przychodziła pierwsza z obsady i czas przed nadejściem pozostałych aktorów stanowił jej ulubioną porę dnia. Zgiełk i ruch uliczny wydawały się bardzo odległe, cały teatr pogrążony był w uśpieniu i oczekiwaniu, a terażniejszość nie naruszała zapachów i szelestów przeszłości. Świecące miękkim, złocistym światłem żarówki wokół jej lustra przywitały ją jak starzy przyjaciele.

Wzięła ze stolika kilka zaadresowanych do niej listów i wiadomości. Na wierzchu znajdowała się kartka od Doiły, przypominająca jej o umówionym występie w programie ITV. Zmieniła nazwisko z powodu nalegań Dolly Dolly Mencken, agentkę Margo, przedstawił jej John Chalmers w czasie pierwszego wspólnego próbnego przedstawienia. To właśnie Chalmers ściągnął ją do Londynu, by zagrała w prowadzonych przez niego warsztatach i w początkowym okresie okazał się znakomitym przewodnikiem po labiryncie tutejszego życia teatralnego, bardzo odmiennego od przytulnego światka, który pozostawiła w Dublinie.

Była tak młoda, że myślała o Johnie Chalmersie niemal jak o ojcu czy wuju, a on wydawał się z tego zadowolony. Kiedy powiedział, że dokonała nie lada wyczynu, wzbudzając zainteresowanie osoby o takiej pozycji i wpływach jak Molly Mencken, zrobiło to na niej olbrzymie wrażenie.

Dolly przybyła na zaproszenie Chalmersa, by obejrzeć Molly podczas warsztatów, i nazajutrz spotkali się we troje na lunchu w barze w Soho. Mimo że Dolly głośno podziwiała jej talent, Molly z początku czuła się bardzo niepewnie. Miała przed sobą przesadnie wystrojoną, gadatliwą, niewysoką kobietę, obwieszoną mnóstwem biżuterii i zdecydowanie zbyt apodyktyczną.

- Daj spokój, kochanie - Dolly przekonywała ją już podczas tego pierwszego obiadu - twoje nazwisko nic nie mówi, jest staroświeckie, nie wpada w ucho. Jak to powiedział Szekspir? Cóż znaczy nazwa? Czy to Szekspir powiedział, kochanie? Może ty wiesz, kto to powiedział, John?

Nim którekolwiek z nich zdążyło się odezwać, machnęła tłustą, upierścienioną dłonią.

- Cóż to zresztą za różnica, kochanie? Jakie ma znaczenie, czy nazywasz się Hopaj Siup Cassidy, wobec faktu, że twoje nazwisko da się wypowiedzieć, zapamiętać, i w dodatku ma w sobie to coś? Chwytność ma zasadnicze znaczenie, kochanie. Molly siedzi w domu przy kominku i robi skarpetki na drutach. - Wypiła łyk wina. - Idź do domu, kochanie, i wymyśl sobie jakiś pseudonim, który jest prosty, podoba ci się, da się wymówić, zapamiętać i ma w sobie coś. - Przerwała, aby zaczerpnąć oddechu. - Myślę, że dwusylabowe imię w połączeniu z jednosylabowym nazwiskiem przyjemnie brzmi. Ju-di Dench! Do-ris Day! Rozumiesz, o co chodzi? Brzmi dobrze i mocno, prawda, kochanie? Z pewnością pamiętasz Doris Day.

Na Molly gwałtowna eksplozja osobowości Dolly podziałała jak uderzenie obuchem. Tego wieczora po spektaklu sprokurowali razem z Johnem pseudonim Margo Bryan z prawdziwego nazwiska Molly. Nazajutrz zadzwoniła do Dolly, aby przedstawić jej tę propozycję. Agentka była zachwycona.

-To świetny pseudonim, kochanie. Dobry, mocny i symetryczny. Dziesięć liter, pięć na imię i pięć na nazwisko. Będzie doskonale wyglądał na afiszu.

Ich następne spotkanie odbyło się w Chelsea, w domu Dolly, która wydała przyjęcie, aby przedstawić swoją nową klientkę kierownikom obsady i producentom. Po godzinie

Molly - Margo już się kręciło w głowie od uścisków dłoni. Nie podobała jej się zresztą większość ludzi, których jej przedstawiano. Powiedziała Dolly, że chce iść do domu, ale ta z szerokim uśmiechem ujęła ją mocno pod rękę i dalej oprowadzała po salonie, potokiem własnych słów nadrabiając niedobory konwersacyjne swojej klientki. Przyjęcie przyniosło małą rolę w telewizyjnej sztuce, która z kolei zaowocowała większym występem dla stacji telewizyjnej Granada. Agentka załatwiła wówczas Molly przesłuchanie do roli niepewnej siebie córki wpływowej szkockiej rozwódki w „Bez ojca” - nowej komedii sytuacyjnej w odcinkach, nadawanej w dobrym czasie antenowym. W dzień przesłuchania Molly omal nie puściły nerwy - najbardziej obawiała się, że nie poradzi sobie ze szkocką wymową. Ale jej talent do szybkiego łapania akcentów nie zawiódł, spodobała się reżyserowi i - ku swojemu zdumieniu - otrzymała rolę.

Siła oddziaływania telewizji ujawniła się już po paru tygodniach od emisji pierwszego odcinka. Serial zyskał natychmiastową popularność. Zdumiewało Molly, jak często bywa rozpoznawana. Dolly skorzystała oczywiście z okazji, by podsunąć gazetom starannie wyselekcjonowane, nie przesadnie pikantne informacje o Molly, i w krótkim czasie zaczęły zamieszczać artykuły o niej tak popularne czasopisma jak „Woman” czy „Cosmopolitan”.

Dolly reżyserowała nawet jej życie towarzyskie. Molly odkryła, że jest fotografowana przy różnych okazjach, a jej zdjęcia ukazują się w prasie. Mimo to podniosły się sceptyczne, pełne zazdrości głosy, kiedy obsadzano ją w roli Elviry w wznowieniu „Wesołego ducha”. Elvira grana pierwotnie przez niezrównaną Kay Hammond, była bardzo angielska, tak twierdzili ludzie z branży. Ale Dolly i tym razem dokonała trafnego wyboru. Sprzedano bilety na wszystkie przedstawienia. Margo Bryan dostała same dobre recenzje. Nie była jeszcze gwiazdą w pełnym tego słowa znaczeniu, ale wschodziła już na firmamencie aktorskiego nieba.

Molly wkrótce odkryła, że za afektacją i sprytem Dolly kryje się osoba dobra i wyrozumiała. Dolly stała się jej

przyjaciółką, kimś w rodzaju ciotki. Pomogła Molly znaleźć mały domek z tarasem niedaleko Bayswater, a ponieważ konto bankowe jej nowej klientki było bardzo świeże, poręczyła kredyt hipoteczny, nie pozwalając młodej aktorce na żadne podziękowania.

- Nie przejmuj się, kochanie, to inwestycja w naszą przyszłość. Jeszcze to sobie odbiję przed śmiercią, bądź spokojna.

Również John Chnlmers nadal nad nią czuwał. Molly była wdzięczna reżyserowi za opiekuńczość i nieustające zainteresowanie, ale nie w pełni mu ułała. Często umawiała się z nim na kolacje, a on towarzyszył jej na przyjęciach i uroczystych bankietach, wkrótce jednak po rozpoczęciu pracy nad „Wesołym duchem”, zauważyła, że jego zachowanie w stosunku do niej się zmieniło. Z irytacją wyczuła, że John uważa ją w pewnym stopniu za swoją własność - jako jej odkrywca. Odnosiła wrażenie, że jego zainteresowanie nie wypływa już wyłącznie z wielkoduszności - chociaż, prawdę mówiąc, nigdy otwarcie się do niej nie zalecał. Często jednak czuła się niezręcznie pod jego badawczym spojrzeniem. Pewnego razu, podпиты, z błyskiem w oku chwycił ją za rękę.

- Jak cię rozpuścić, moja królewno z lodu?

Molly udało się jakoś wykręcić i żadne z nich nie wspomniało potem o tym wydarzeniu. Mimo to słowa reżysera wytrąciły ją z równowagi. Uświadomiła sobie, że w odróżnieniu od większości, jeśli nie wszystkich koleżanek z teatru, w wieku już niemal dwudziestu dwóch lat, nie nawiązała jeszcze z żadnym mężczyzną dojrzałej znajomości w sferze seksualnej. Nie skonsumowany epizod z księdzem na wydmach sprzed wielu lat zatarł się już w jej pamięci, stał się zupełnie nierzeczywisty. Ale z nikim nie posunęła się dalej. Molly zdawała sobie sprawę, że lata spędzone w Londynie odcisnęły na niej swoje piętno, przestała już być dziewczynką z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, ponieważ jednak rozpoczęła prawdziwe życie teatralne w tak niezwykle sposób, wyczuwała instynktownie, że powinna całkowicie się skoncentrować na pracy, zapominając o wszystkim innym, nawet o mężczyznach.

Molly zrzuciła pantofle i zaczęła się rozbierać. Czasami, obserwując koleżanki, zazdrościła im pogodnej pewności siebie i swobody w obcowaniu z mężczyznami, przekonania, że seks jest koniecznym elementem randek i przyjęć. Często się zastanawiała, czy i ona wyrosłaby na inną osobę, gdyby - jak większość z nich - chodziła do szkoły teatralnej. Rozebrana do stanika i majteczek, przyglądała się sobie uważnie w wielkim lustrze. Odbite światło nadawało jej jasnej skórze niemal złoty kolor. Co z nią jest nie tak? Lubi mężczyzn, dobrze się czuje w ich towarzystwie... ale w pewnym momencie, kiedy zaczynają się domagać fizycznego kontaktu, zawsze się wycofuje.

Molly umawiała się na randki, ale nigdy dwa razy z tym samym mężczyzną. Z dwoma wyjątkami. Jednym z nich był kolega aktor, którego z początku bardzo polubiła, jednakże jego egocentryzm szybko ją znudził, drugim - młody, atrakcyjny makler z City, którego poznała na przyjęciu u Dolly. Była nawet skłonna kontynuować tę znajomość, przyjacielską i bez zobowiązań. Nie miał jeszcze trzydziestki, pochodził z Liverpoolu i swoim ironicznym poczuciem humoru wprawiał ją w doskonały nastrój. Ale ich związek raptownie się urwał, i to jak zwykle z jej winy. Na szóstej czy siódmej randce poszli na kolację. Była sobota wieczór, po przedstawieniu, Molly, mając w perspektywie wolną niedzielę, czuła się odprężona. Po kolacji chętnie przyjęła propozycję wybrania się do nocnego klubu.

Kiedy przybyli na miejsce, kakofoniczna dyskotekowa muzyka i zatłoczony parkiet wytrąciły ją kompletnie z równowagi. Miły nastrój prysnął. Nie chciała zachować się niegrzecznie, ale gdy szaleńczo i absolutnie nie w takt wirująca na parkiecie dziewczyna niechcący nadepnęła jej obcasem na nogę, Molly wykorzystała to jako pretekst i poprosiła maklera, aby odprowadził ją do domu.

Po wyjściu z klubu chłopak gorąco ją przeproszał, a Molly zdała sobie sprawę, że zachowała się nieładnie. W końcu wydał na nią tego wieczoru naprawdę sporo pieniędzy. Czuła, że wina leży po jej stronie. To ona nie przestrzegła reguł gry, toteż zaprosiła go do domu na drinka. Chętnie przyjął zaproszenie. Molly zbyt późno zdała sobie sprawę,

że popełniła błąd. Makler, ma się rozumieć, założył, że zaproszenie do domu oznacza zaproszenie do łóżka. Zaczął ją całować, gdy tylko znaleźli się w holu. Odsunęła się ze śmiechem.

- Zaraz, nie tak szybko.

Zapaliła światło i wprowadziła go do salonu. Kiedy jednak nalewała drinki, podszedł od tyłu i przytulił się do niej twarzą. Molly sprawiło to przyjemność i odwróciła się, aby go pocałować, ale okazał się zbyt gwałtowny i natarczywy. W jej głowie, jak zwykle, włączył się dzwonek alarmowy.

- Simonie, Simonie, przestań, proszę - udało się jej wykrztusić.

- Co się stało? - Makler był autentycznie zdumiony.

- To, że... że...

- Co?

- No, po prostu tempo jest dla mnie za szybkie. Zareagował na te słowa tak, jakby dostał w twarz. Odsunął się i usiadł na kanapie. Molly pokryła zmieszanie, udając, że szuka czegoś w barku, aby dokończyć przygotowanie drinków. Czują jego spojrzenie na swoich pochylonych plecach.

Po chwili wyprostowała się i ostrożnie, by nic nie rozlać, zaniosiła mu whisky na kanapę. Kryształ rozbłyskiwał w przyćmionym świetle maleńkimi tęczkami.

- Proszę - powiedziała, unikając jego wzroku.

- Dzięki. - Upił łyk alkoholu.

Podeszła do fotela naprzeciwko kanapy, gdzie siedział.

- Włączyć jakąś muzykę? Wzruszył ramionami.

- To twój dom, Molly.

Podeszła do wieży stereo. Płyta, ścieżka dźwiękowa z nowego filmu „Żądło”, była już nastawiona.

- Lubisz ragtime? - zapytała.

Znow tylko wzruszył ramionami. Włączyła muzykę i ciche kompozycje Joplina wypełniły pokój. Molly wróciła na fotel. Udawała głębokie zaszuchanie.

- Simonie... - odezwała się po chwili, ale powstrzymał ją gestem dłoni.

- Nie martw się, Molly. Nie pierwszy raz zostałem odrzucony.

- Ale ja cię nie odrzucam! - wykrzyknęła. - Naprawdę nie. Tylko że...
- Nie chcesz się ze mną kochać - dokończył. - A ja chcę. Skoro zaprosiłaś mnie do siebie, pomyślałem, że... - Rzucił jej przeciągłe spojrzenie. - Ale myliłem się, prawda?
- Nie umiem tego wytłumaczyć, Simonie, nawet gdybym chciała. - Widziała, jak bardzo czuje się dotknięty.
- Chyba lepiej już pójdę - powiedział.

Nie chciała, by wieczór skończył się w ten sposób, ale nie mogła przecież teraz zatrzymać Simona ani go ułagodzić. Patrzyła więc tylko, jak dopija drinka i wstaje. Wyczuła coś nieodwracalnego w drobnym gościu, jakim zapinał guziki marynarki. Zrozumiała, że to koniec ich znajomości. Było jej z tego powodu smutno, ale dała za wygraną.

Odprowadziła go do drzwi, a on cmoknął ją w policzek i obiecał, że zadzwoni za kilka dni.

Później, leżąc już w łóżku i gapiąc się w sufit, Molly rozważała całe zajście. Wiedziała, że obiektywnie makler jest bardzo przystojny. Dobrze zbudowany, inteligentny i niezależny - tak jak ona. Nie było żadnego powodu, dla którego nie mogłaby pójść z nim do łóżka.

Tylko że to nie był ten mężczyzna. Podobnie jak wszyscy inni.

Molly z przerażeniem przyznawała się sama przed sobą w chwilach szczerości, że nie interesuje jej żaden mężczyzna poza własnym bratem. Myśl ta była przerażająca i podniecająca zarazem. Z jednej strony Molly cieszyła się, że go nie ma, z drugiej zaś zastanawiała, czy to czasem nie jego fizyczna nieobecność wciąż podsycą w niej namiętność. Może gdyby przebywał w jej pobliżu, jak normalny brat, inaczej by na niego patrzyła i dałaby sobie radę ze swoimi problemami.

Ze wstydem przyznawała w duchu, że jej seksualną wyobraźnię najbardziej rozpala wspomnienie Conora, który sprawił jej lanie w dniu śmierci ojca. Przywoływała tę scenę wiele razy, leżąc samotnie w łóżku - brat przytrzymuje ją mocnymi rękoma na swoich kolanach, a wiatr owiewa jej nagie nogi. Molly ukrywała tę fantazję w tajemnym, kolo-

rowym pudełeczku, obwiązany w jej wyobraźni wstążką, niczym prezent gwiazdkowy. Ale nocą, w ciemności, kokarda rozwiązywała się - czasem przypadkowo, czasem przy pomocy drżących rąk Molly - w leniwym, upajającym preludium przed uwolnieniem wyimaginowanych obrazów.

Molly żałowała, że nie może z kimś o tym porozmawiać. W Londynie miała wielu znajomych, ale żadnej bliskiej przyjaciółki, chyba z wyjątkiem swojej agentki. Dolly nie była jednak osobą, której mogłaby się zwierzyć z seksualnych wątpliwości i pragnień.

Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze garderoby. Wpadła we własne sidła. Jak może komukolwiek powiedzieć o sobie prawdę? To zbyt dziwaczne...

- Niech to cholera, Conorze! - powiedziała głośno do lustra. - Gdzie jesteś, do diabła?

Z oddali dobiegł ledwo słyszalny dzwonek telefonu, podkreślając jeszcze ciszę i spokój w jej garderobie. Zawijając pasek płaszcza kąpielowego, Molly zastygła bez ruchu i nasłuchiwała tak długo, dopóki ktoś nie podniósł słuchawki. Wtedy zrzuciła pantofle i położyła się na małej obskurnej kanapce, która stała pod ścianą. Zamknęła oczy i pozwoliła odpłynąć wszystkim myślom. Nadal jednak majaczyła przed nią twarz brata nałożona na skały Inis Oirthir.

Listy, które pisała do domu, do matki, były zawsze pełne otuchy i optymizmu co do sytuacji Conora. Nie mogła martwić steranej ciężką pracą Sorchy, o której zdrowie się niepokoiła. Nie chciała dodawać matce kolejnych trosk nawet najłżejszym cieniem wątpliwości co do losów syna. Nie było to trudne, gdyż Molly miała całkowitą pewność, że wcześniej czy później brat pojawi się ponownie w jej życiu.

Zadzwoił telefon na ścianie przy drzwiach. Molly poderwała się. Serce zaczęło jej walić jak młotem.

Telefonował portier. Na dole czekała agentka z dziennikarką. Molly zdążyła zapomnieć, że miała udzielić wywiadu.

- Poproś je na górę - powiedziała. Szybko poprawiła włosy przed lustrem i sprawdziła, czy pasek szlafroka jest mocno zawiązany.

Dolly weszła, pobrząkując biżuterią. Ucałowała swoją klientkę w oba policzki.

- To jest Una O'Connor z „Irish Record” w Dublinie -przedstawiła dziennikarkę - piegowatą, rudowłosą dziewczynę mniej więcej w wieku Molly.

Podąły sobie ręce.

- Gratuluję pani przedstawienia i recenzji, pani Bryan -powiedziała dziewczyna, sadowiac się na kanapce. Molly usiadła obok niej, a Dolly rozparła się w fotelu przed toaletką.

Dziennikarka włączyła mały magnetofon.

- Pani Bryan - zaczęła - wiem o pani pochodzeniu, początkach w Abbey Theatre, ale najbardziej intryguje mnie, czemu uznała pani za konieczne zmienić nazwisko?

Sens pytania był jednoznaczny: widocznie Margo Bryan uważała, że irlandzkie nazwisko nie jest dla niej dość dobre.

Sprawy szły w złym kierunku, więc Dolly włączyła się do rozmowy.

- A, to był mój pomysł - oświadczyła, poprawiając włosy. Jej bransoletki zabrzęczały. - Wyczuwałam, chociaż Margo nie do końca się z tym zgodziła, że imię „Molly” jest zbyt staroświeckie dla rynku, na który ją wprowadzałam.

- Rozumiem - powiedziała reporterka niepewnie. Molly zauważyła z ulgą, że jej rozmówczyni jest zdenerwowana. Aktorka nienawidziła udzielania wywiadów. Kiedy widziała swoje wypowiedzi w druku, brzmiały one banalnie i zupełnie odbiegały od tego, co miała na myśli. Dziewczyna nie wyglądała na jedną z tych przemądrzałych i wszechwiedzących reporterek, na które Molly bywała na ogół skazana.

Uśmiechnęła się więc, aby ośmielić dziewczynę.

- Tak naprawdę to wspólnie podjęłyśmy decyzję - wyjaśniła. - Dolly - pani Mencken - nalegała na zmianę imienia, ale to ja razem z Johnem Chalmersem wymyśliłam pseudonim.

Dziennikarka najwyraźniej dobrze odrobiła zadanie domowe. Wiedziała wszystko o wpływie Chalmersa na karierę aktorki. Od tej chwili obie się rozluźniły. Przez następne dwadzieścia minut wywiad toczył się gładko.

Aż doszły do pochodzenia Molly.

- Czytałam kilka wcześniejszych wywiadów z panią, pani Bryan. Choć wspomina pani, że matka wywarła na panią

wielki wpływ, nigdzie nie widziałam żadnej wzmianki o ojcu. Czy w jakikolwiek sposób przyczynił się on do wybrania przez panią tego zawodu?

Molly straciła czujność, którą zwykle wykazywała. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc Dolly ponownie wtrąciła się do rozmowy, spoglądając znacząco na zegarek.

- Czas leci, pani O'Connor. Proszę nie zapominać, że Margo ma za dwie godziny występ i chciałaby mieć przedtem trochę czasu dla siebie. Jestem pewna, że zebrała pani mnóstwo materiału. Jeśli będzie pani jeszcze czegoś potrzebować, zawsze może pani do mnie zadzwonić. Ma pani mój numer telefonu?

Dziennikarka wyłączyła magnetofon i wstała.

- Dziękuję, pani Bryan - powiedziała uprzejmie. - Jestem naprawdę wdzięczna, że tak szybko mnie pani przyjęła.

Molly również wstała.

- To żaden kłopot, pani O'Connor. - Do diabła, nie może pokazać po sobie zdenerwowania.

- Najważniejsi są zawsze krajanie - zapewniła z czarującym uśmiechem. - Przykro mi, że musiałyśmy przerwać, ale mam jeszcze sporo pracy. Jestem pewna, że pani to rozumie. Mam nadzieję, że zebrała pani wystarczająco dużo informacji.

- Mnóstwo - odparła dziennikarka.

Ale Molly, odprowadzając ją do drzwi, wyraźnie poczuła, że dziewczyna zwróciła uwagę na sposób zakończenia wywiadu. Mimo że zdenerwowana, pomyślała Molly, jest bardzo bystra.

- Ufam, że spodoba się pani dzisiejsze przedstawienie - powiedziała, kiedy podały sobie ręce. - Bilet czeka na panią.

- Dziękuję raz jeszcze. Jestem pewna, że tak.

- Zapraszam później na drinka. - Natychmiast pożałowała tych słów. Powinna wystrzegać się dziennikarzy. Zauważyła, że Dolly zeszywniała. Zależało jej jednak bardzo, żeby wyrzeć korzystne wrażenie. Chciała pozyskać szacunek Irlandczyków i mieć tę dziennikarkę po swojej stronie. Liczyła, że zrekompensuje jej w ten sposób niezręczne zakończenie wywiadu.

- Z przyjemnością, pani Bryan. - Dziewczyna wydawała się zdumiona.

Dzisiaj przedstawienie poszło dobrze, myślała Molly, wywoływana na scenę burzą oklasków.

W „Wesołym duchu” Elvira jest bardzo kłopotliwą zjawą, która prześladowuje swojego byłego męża i jego nową żonę. Nareszcie niezwykle wzrost Molly stał się atutem na scenie. Obydwoje aktorzy grający „żywe” małżeństwo byli od niej o głowę niżsi i kontrast stanowił dodatkowy element komediowy, a także przydawał Molly aury niezmierności. Ona sama pracowała bardzo sumiennie nad opanowaniem płynnego sposobu poruszania się i wiedziała, że - dosłownie - nie postawiła stopy, gdzie nie trzeba.

Była wobec siebie bardzo wymagająca. Reżyserzy i koledzy często jej powtarzali, że ma wobec siebie za wysokie wymagania, ale dzisiejszego wieczoru, kiedy oklaski umilkły, czuła, że naprawdę zasłużyła na aplauz. Jak zwykle po ostatecznym zapadnięciu kurtyny, wyłowiła w myślach ze sztuki te sceny, które mogła zagrać lepiej. Zdawała sobie sprawę, że nie było ich dzisiaj wiele, choć świadomość obecności dziennikarki na sali odebrała jej zdolność pełnej koncentracji. Jęknęła w duchu na myśl, że ta O'Connor ma do niej przyjść na drinka. Nałożyła na twarz olejek kokosowy. Była zmęczona bardziej niż zwykle. Gdy zmywała resztki makijażu, poczuła, że skórę na twarzy ma zaczerwienioną i napiętą. Nie wyszła jeszcze spod prysznicy, gdy garderobiana wpuściła dziennikarkę. Kiedy Molly zakręciła wodę, usłyszała głos garderobianej, skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi.

- Dobry wieczór, pani O'Connor! - zawołała. - To potrwa tylko chwilkę. Proszę usiąść.

Zobaczyła w lustrze swoją twarz - czerwoną i pokrytą plamami po zmyciu makijażu i gorącym prysznicy. By poprawić swój wygląd, nałożyła krem nawilżający i lekki podkład. Z pokoju nie dobiegał żaden dźwięk poza słabym stukaniem wieszaków - to garderobiana porządkowała jej kostiumy. Z korytarza dochodziły głosy aktorów rozmawia-

jących ze sobą przez otwarte drzwi garderób. Teatr powoli pogrązał się ciemności.

Zdjęła elastyczną opaskę, którą zabezpieczyła włosy, i uczesała się. Wyszła z łazienki.

- Przepraszam - zaczęła i stanęła jak wryta. Jasno oświetlona garderoba skurczyła się. W pokoju stał mężczyzna, a nie Una O'Connor.

Teraz miał trzydzieści trzy lata. Odkąd widziała go ostatni raz, sześć lat temu, niewiele się zmienił. Miał mocno opaloną twarz, przez co oczy wydawały się jaśniejsze. Niesforne, ciemne włosy nosił teraz dłuższe, wiły się tuż nad kołnierzykiem. Zmężniał, co mogła zauważyć nawet pod sportową marynarką.

- *Dia dhuit**... - powiedział. Stał i czekał cierpliwie. Nie słyszała irlandzkiego od sześciu lat.

- *Dia's Mhuire dhuit*** - odpowiedziała automatycznie.

Wniósł ze sobą do pokoju aurę celowości i energii. Molly stała się nagle bardzo świadoma wszystkich otaczających ją przedmiotów.

Przyklejone na ścianach kolorowe karty z czarnym kotem i zieloną podkową, które dostała na szczęście od członków trupy, wydawały się jej teraz w złym guście. Życzenie „Złam nogę!”, które Jeremy, jej partner, wypisał u góry lustra karminową szminką numer dwa - wówczas ogromnie jej się to podobało - robiło tandetne i idiotyczne wrażenie.

Poczuła się fatalnie i nagle, zupełnie bez powodu, ogarnęła ją potworna wściekłość. Miała ochotę go uderzyć.

Wydawało jej się, że on czeka, aż ona poprosi go, by usiadł. Garderobiana, nieświadoma napięcia, uwijała się przy sprzątaniu ubrań Molly, porzuconych na małym fotelu, aby gość mógł spocząć. Podziękował jej i usiadł, zakładając nogę na nogę.

- To Joan, mo ja garderobiana. - Przedstawiła kobietę po angielsku, ale nie dokończyła prezentacji. Odwróciła się do lustra i wzięła do ręki szczotkę do włosów. Garderobia-

* Niech będzie pochwalony. (irl.) ** Na wieki wieków. (irl.)

na, niewysoka Angielka w okularach, podała rękę Conoro-wi, po czym weszła do łazienki. Molly cesała włosy w milczeniu. W końcu odłożyła szczotkę i odwróciła się na krześle twarzą do brata.

- Posłuchaj, Conorze, nie wiem, co powiedzieć. Gdzie... - Chociaż nie straciła biegłości w irlandzkim, zabrakło jej słowa, ponieważ była bardzo wzburzona. Wściekłość za to spotkanie spotęgowała jeszcze jej gniew.

Spokój Conora wyprowadzał ją z równowagi.

- O czym tu mówić? Umarłem, a teraz powstałem z grobu! - Uśmiechnął się.

- Gdzie byłeś, skąd przychodzisz, co robiłeś przez te wszystkie lata?

- Słuchaj, Molly, a może raczej Margo, wszystko we właściwym czasie. - Popatrzył jej prosto w oczy, aż pierwsza spuściła wzrok. - Mógłbym ci zadać te same pytania - ciągnął z niewzruszonym spokojem. Tak jakby gawędził z kimś, kogo spotyka codziennie w metrze. - Zachowałem w pamięci przegródkę, w której jako moja mała siostrzyczka biegasz po całej wyspie. Słyszałem, że wyjechałaś do Dublina, ale to wszystko. Muszę przyznać, że nie miałem pojęcia, iż zaszłaś tak wysoko, aż do dzisiejszego popołudnia, kiedy to przypadkiem znalazłem się na stacji metra i coś znajomego uderzyło mnie w afiszach reklamujących sztukę, w której grasz.

- Byłeś na przedstawieniu?

- Nie, niestety, trochę się spóźniłem, ale przyjdę. Kupiłem za to program. - Uniósł go w rękę. - Wynika z niego, że jesteś gwiazdą serialu telewizyjnego.

Ten komplement mało ją wzruszył.

- Mama bardzo się zdenerwowała, kiedy przestałeś pisać - krzyknęła prawie.

- Wierzę. Jest mi bardzo przykro, ale miałem swoje powody.

- Czy mogę je poznać?

- Wszystko we właściwym czasie. Czy jesteś gdzieś teraz, no wiesz, umówiona?

Dureń, pomyślała Molly. Pokręciła przecząco głową.

- To może moglibyśmy dokądś pójść i pogadać?

- Mam mnóstwo czasu - odpowiedziała. - Porozmawiajmy teraz.

- Słuchaj - powiedział pojednawczym tonem. - Przestałem pisać do mamy, bo wiedziałem, że prędzej czy później policja się do niej dobierze. Będą ją pytać, czy miała ode mnie jakieś wiadomości. Nie chciałem, aby z mojego powodu musiała wciąż kłamać.

- To dorosła kobieta. - Molly sama kipiała gniewem, ale wołała przypisać tę wściekłość matce. - Mogłeś pozwolić jej zdecydować, czy chce dla ciebie kłamać, czy też nie. Ona nie czuje się dobrze. Może to powinno być cię zainteresować, ale wówczas nie...

Ktoś zapukał delikatnie do drzwi. Całkiem zapomniała o Unie O'Connor. Zdenerwowana poderwała się na nogi. Musiał podkurczyć kolana, aby mogła przejść.

Kiedy otwierała drzwi, żeby wpuścić dziennikarkę, uszła z niej cała złość na brata. Zauważyła, że dziewczyna zmieniła spódnicę i bluzkę, które miała po południu, na dobrze skrojoną suknię, ładnie podkreślającą jej pełną figurę.

Molly była zawsze wzruszona, widząc starania, jakich dokładają ludzie, by dobrze wyglądać, idąc do teatru.

- Dobry wieczór, pani O'Connor - powiedziała ciepło. - Zechce pani wejść. - Z ulgą przeszła na angielski. Pozwalało to narzucić pewien dystans wobec Conora.

Dziennikarka weszła, ale zatrzymała się w progu.

- Ach, nie jest pani sama! - wykrzyknęła.

- Proszę wybaczyć - powiedział Conor, wstając. - Żadna ze mnie ważna persona, tylko stary przyjaciel ze starego kraju. Sean Molloy - przedstawił się, wyciągając rękę.

- Una O'Connor. - Uścisnęła jego dłoń.

Molly z trudem usiłowała połapać się w sytuacji. Sean Molloy? Nie przeszkodziło jej to zauważyć błysku w oku reporterki, która przyglądała się Conorowi.

Conor poprosił Unę, by usiadła na jego miejscu, a sam przeniósł się na kanapkę.

- Pani też pracuje w teatrze? - zapytał. Dziennikarka pokręciła przecząco głową.

- Nie, jestem reporterką. Obecnie związaną z „Irish Record” w Dublinie.

- Ach tak.

Molly odniosła wrażenie, że traci grunt pod nogami. Nie była w stanie przewidzieć, jak rozwinie się sytuacja.

- Pani O'Connor przeprowadziła dzisiaj ze mną wywiad - wyjaśniła.

- Ach tak - powtórzył Conor.

Zapadło niezręczne milczenie, które przerwała dziennikarka.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedziała. Podniosła się z fotela. - Nie będę państwu przeszkadzać.

Molly, która wciąż stała, podeszła do lodówki. Co ja robię, pomyślała.

- Napije się pani? Czego pani nalać?

- Dziękuję - odpowiedziała Una. - Zrobiło się późno. Pani jest pewnie bardzo zmęczona po przedstawieniu. Muszę powiedzieć, że było wspaniałe.

- Dziękuję.

- Proszę zostać na drinka. Ja też bym się napił, Molly. -Conor założył nogę na nogę i przeniósł spojrzenie z siostry na dziennikarkę.

- Dobrze, jeśli to państwu nie przeszkadza. - Dziewczyna ponownie usiadła. Przyjęła szklanekę wody mineralnej Perrier. Conor poprosił o piwo. Molly nalała sobie szklaneczkę mocnej whisky. Zasłużyła na to.

- Czym się pan zajmuje, panie Molloy? - zapytała Una, kiedy zajęli miejsca.

- Trochę tym, trochę owym. Podróżuję.

- Bardzo interesujące. Czy jest pan handlowcem? Conor uśmiechnął się.

- W pewnym sensie. Sprzedaję siebie. Nie zajmuję się niczym specjalnym. Jestem robotnikiem, jednym z tych, którzy zmieniają miejsca pobytu w poszukiwaniu nowej pracy. Właśnie wróciłem z Niemiec, gdzie dokręciłem sworznie w około dziewięciu milionach volkswagenow.

Molly przysłuchiwała się tej lekko ironicznej rozmowie. To był brat, jakiego nie znała. Obraz dawnego Conora miała w pełni ukształtowany, nowy stanowił dla niej całkowitą niespodziankę. Co więcej, poczuła zazdrość, widząc, w jaki sposób Una O'Connor reaguje na jej brata, mężczyznę,

który przecież należy do niej. Szybko jednak zapanowała nad uczuciami.

- Jeszcze wody, pani O'Connor? - zapytała ze swoim najśłodszym uśmiechem Margo Bryan.

W tym momencie do pokoju weszła garderobiana.

- Skończyłam, pani Bryan - powiedziała. - Do jutra. Miło było pana poznać - zwróciła się do Conora. - I panią.

-Skinęła wszystkim głową i wyszła.

Una wstała zdecydowanie.

- Ja też już pójdę. Zasiedziałam się. Dziękuję serdecznie. Była pani bardzo miła.

Podążyła rękę Conorowi.

- Cieszę się, że pana poznałam. - Przysunęła się do mego bliżej, a może Molly tak się tylko wydawało.

Kiedy dziennikarka wyszła, Molly bez śladu poprzedniej uprzejmości odwróciła się do Conora.

- Co to wszystko ma znaczyć? Kto to jest Sean Molloy? Pytanie wcale go nie zmieszało.

-Czy moglibyśmy gdzieś pójść? Napić się, coś zjeść, posiedzieć? Mamy do nadrobienia dużo zaległości. Jego tupet był niesłychany.

- Nie wiem, czy na to zasługujesz, Conorze O'Brien.

- Mniejsza z tym. Czy moglibyśmy gdzieś pójść? - Rozluźnił kołnierzyk. - Tutaj jest bardzo gorąco.

- Dobrze, daj mi chwilę czasu.

Kiedy była gotowa, wyszli z teatru i taksówką dojechali do dobrze jej znanej restauracji niedaleko Covent Garden. W ciemnym samochodzie siedzieli odsunięci od siebie, wymieniając błahe uwagi, a większą część drogi - milcząc.

Conor wydawał się całkowicie swobodny, ale w głowie Molly szalała burza. Obserwowała jego dłonie - jedną oparł na kolanie, drugą położył wewnętrzną stroną do góry na siedzeniu między nimi. Miał duże, kształtne ręce, a palce długie i giętkie.

Gdy dotarli do włoskiej restauracji, wciąż jeszcze nie opanowała zdenerwowania. Lokal był mały i przytulny. Powitał ich kierownik sali i zaprowadził do stolika w niewielkiej niszy. Zamówiła piwo dla Conora, likier dla siebie. Wieczór był spokojny, zaledwie dwa inne stoliki były zajęte

- przy jednym siedzieli nad szampanem trzej wåsaci mężczyźni, przy drugim wpatrzona w siebie zamglonym wzrokiem para, bujająca w obłokach miłości.

- No dobrze - powiedziała Molly, kiedy kelner przyjął już zamówienie. - Dlaczego powiedziałeś, że nazywaś się Sean Molloy?

- Takie mam nazwisko w prawie jazdy, w paszporcie i na ubezpieczeniu. Molly, zastanów się, jak myślisz, dlaczego nie chcę występować pod prawdziwym nazwiskiem?

- Skąd masz te papiery?

- Molly, nie mogę uwierzyć, że jesteś aż tak naiwna.

- A ja nie mogę uwierzyć, że się tak przedstawiłeś - zasyczała.

Był zaskoczony jej wybuchem. Nią z kolei wstrząsnęło odkrycie, że cała awantura nie była spowodowana jego fałszywymi papierami, ale błyskiem, który - jak jej się wydawało - zauważyła w oku Uny O'Connor. Nie umiała się powstrzymać.

- Od miesięcy wiedziałeś, jak można się ze mną skontaktować - rzuciła oskarżycielskim tonem. - Nie miałam od ciebie żadnej wiadomości, od kiedy opuściłeś Inis Oir-thir.

- Jak to? Napisałem do ciebie, Molly, zanim wyjechałem z Irlandii do Anglii. Poprosiłem księdza Hartigana, aby ci przesłał list.

- Ach, to?

- Uważasz, że to mało?

- Jak na sześć lat, chyba trochę za mało.

- Tak, to prawda, przepraszam. Czy przyjmiesz moje przeprosiny? Nigdy więcej tego nie zrobię. Obiecuję. Będę do ciebie pisał co drugi dzień.

- Bądź poważny, Conorse.

- W porządku. - Roześmiał się. - Mówię poważnie, w każdym razie jeśli chodzi o jedną rzecz. Nie zamierzam już z tobą tracić łączności.

- A co z mamą? Czy z nią też będziesz w kontakcie? Kelner przyniósł drinki. Molly umilkła i odwróciła wzrok, żeby nie zauważył wyrazu jej oczu. Kiedy odszedł, spojrzała na brata z wyrzutem.

- To przedstawienie idzie już od sześciu miesięcy. Było 0 nim dużo w prasie, musiałeś o tym słyszeć.
 - Tam, gdzie pracuję, nie dostajemy gazet, w których można zobaczyć twoje zdjęcie.
 - Gdzie pracujesz?
 - Tak jak mówiłem tej dziewczynie, dziennikarce, tu 1 tam.
 - Tak, ale gdzie konkretnie?
 - W północnej Anglii, Holandii, Niemczech Zachodnich.
 - Co robisz, Conorze?
 - Pracuję.
 - Jaki rodzaj pracy wykonujesz?
 - Wszystko, cokolwiek mogę złapać.
 - Na przykład?
 - Murarka, kopanie tuneli, połów skorupiaków, pakowanie mrozonek w hurtowni. Mówiłem ci już o pracy dla Volkswagena.
- Jej gniew osłabł.
- A twoje kwalifikacje? - zawołała z żalem. - Co z botaniką i ciężką pracą, którą włożyłeś w swoje studia?
 - Molly, botanika nie jest zbyt popularną specjalnością. To oczywisty trop dla policji. Gdybym próbował znaleźć pracę jako botanik czy marny ogrodnik, nawet pod zmienionym nazwiskiem, policja znalazłaby mnie bardzo szybko. Wiesz równie dobrze jak ja, że jedynym sposobem, by uniknąć złapania, było wtopienie się w tłum zwykłych robotników i ciągle zmiany miejsca pobytu. - Zamilkł ponownie i popatrzył na nią przeciągle.
 - Conorze, przestań. Dlaczego tak na mnie patrzysz?
 - Nie patrzę na ciebie w żaden szczególny sposób.
 - Właśnie że tak. Czuję się głupio. Wziął ją za rękę.
 - Stałaś się piękną kobietą - powiedział po prostu. - Tęskniłem za tobą.
- W pokoju hotelowym Una O'Connor przesłuchiwała taśmę z nagraniem wywiadem z Margo Bryan. Miała wrażenie, że jest za gładki. Zdobyła trochę interesującego materiału na temat wysokich wymagań, jakie aktorka sobie stawia,

i jej profesjonalizmu, ale większość informacji była już znana.

Intrygowało ją osobiste życie Margo Bryan. Zastanawiała stosunki aktorki z ojcem. Pomyślała, że powinna trochę poszperać. W istocie najbardziej zainteresował ją Sean Molloy. Czy to przyjaciel aktorki? Tego Una nie była pewna. Kiedy weszła do garderoby, wyczuła, że panuje między nimi olbrzymie napięcie, ale nie potrafiła rozszyfrować jego natury. Początkowo sądziła, że wkroczyła w środek kłótni, ale zmieniła zdanie. Sean był na to zbyt spokojny. Zdała sobie sprawę, że nie może przestać o nim myśleć.

Una była w trakcie poszukiwań odpowiedniego dla siebie mężczyzny. Nie umiała określić, jaką cechą, czy też cechami, powinien się charakteryzować, ale Sean Molloy z pewnością je posiadał. Wywierał potężny wpływ.

Zamknawszy oczy, Una znowu odczuła jego fizyczne oddziaływanie.

Miała spore doświadczenie w sprawach seksu. Zmieniła kilku kochanków - niektórzy z nich byli jej stałymi partnerami, każdy miły i na swój sposób pociągający - ale obecnie wszystkie te związki stały się tylko wyblakłym wspomnieniem. Instynktownie czuła, że nowa znajomość, jeśli udałoby się ją rozwinać, byłaby inna. Una nauczyła się ufać swojemu instynktowi.

Ale jak może znowu zobaczyć tego mężczyznę. Istnieje tylko jeden sposób, aby nawiązać z nim kontakt - przez Margo Bryan. Nie należy jednak wchodzić Margo w drogę. Najpierw musi się dowiedzieć, czy nie wkracza na jej terytorium. W tych sprawach Una była bardzo honorowa.

Następnego dnia, w niedzielę, Conor popijał piwo w jednym z londyńskich pubów, przeglądając uważnie „Observe-ra” przy kominku gazowym. Była pora obiadu. Pub, położony w zamożnej okolicy nad Tamizą - która płynęła dostojnie za oknem wychodzącym na tyły restauracji - zdobiły perka-lowie obicia i mosiężne figurki koni, co miało przydać lokalowi „domowej” atmosfery. Przy barze aż szumiało od rozmów, prowadzonych w grupach przyjaciół, głównie mężczyzn.

Conor nie mógł się skupić na lekturze. Słyszał przytłumione, bardzo angielskie głosy - jak zawsze w takiej sytua-

cji zapragnął *znaleźć* się w ciemnym barze w Dublinie, pełnym gwaru wzniesianego przez ordynarne i głupawe, niemal napastliwe rozmowy. Zwrócił uwagę, że tocząca się obok niego rozmowa dotyczy głównie cen domów. Spróbował uporządkować wrażenia. Spotkanie z siostrą wstrząsnęło nim. Zawsze konkretny i praktyczny, w ciągu sześciu lat, odkąd opuścił Irlandię, zdążył pogodzić się ze swoją sytuacją i czasami cenił sobie nawet niezależność nowego życia, którą przynosiła praca sezonowego robotnika. Bardzo tęsknił za Irlandią, żałował jedynie satysfakcji, jaką w poprzednim życiu dawał mu zawód botanika. Ale ponieważ Conor był twardy i łatwo się przystosowywał, zawsze znajdował pracę na tyle dobrze płatną, aby mieć sporo wolnego czasu. Jego wymagania były skromne i - chociaż wciąż jadł za dwóch - gromadzenie dóbr materialnych go nie interesowało. Dlatego też gdy pracował, odkładał zawsze część pieniędzy, a kiedy suma wystarczała, by kupić sobie za nią wolny czas, porzucał dotychczasowe zajęcie i ruszał dalej.

Nie marnował tego czasu. Jeśli był akurat w Anglii, korzystał z bibliotek, by zorientować się w najnowszych osiągnięciach w dziedzinie botaniki, jeśli za granicą - uczył się języka kraju, w którym właśnie przebywał. Mówił po francusku, holendersku i niemiecku na tyle dobrze, by prowadzić potoczną rozmowę, a dzięki szkolnej znajomości łaciny z łatwością rozumiał hiszpański i włoski, chociaż nie władał swobodnie tymi językami. Dlatego też nigdy nie miał kłopotów z dostaniem pracy. Kilka razy jego szefom się zdawało, że ten spokojny, opanowany mężczyzna ma chyba zbyt wysokie kwalifikacje, by podejmować u nich pracę, ale Conorowi zawsze udawało się ich przekonać, że wszystko, czego pragnie, to zarobić tyle, by móc się utrzymać.

W jego życiu pojawiały się kobiety, nigdy jednak na serio i nigdy na długo. Conor wiedział, że uważają go za atrakcyjnego mężczyznę. Wiele kobiet, z którymi się wiązał, usiłowało na różne sposoby przedłużyć z nim znajomość, ale on, wiedząc, że nie zagrzeje długo miejsca, nie dopuszczał do powstania wzajemnej zależności emocjonalnej.

Rozejrzał się po pubie, w którym wciąż rozbrzmiewały, niczym echo dzwoneczków, stonowane angielskie głosy. Bezbarwne postacie gości i sztuczna przytulność wnętrza, wypracowana ręką dekoratora, zaczęły mu działać na nerwy. Postanowił zadzwonić do Molly. Spojrzał na zegarek. Była pierwsza po południu. Przypuszczał, że aktorki wstają późno, ale chyba była to już odpowiednia pora na telefon.

Odebrała po drugim dzwonku, co oznaczało, że pewno leży jeszcze w łóżku.

- Nie na mszy, jak widzę - powiedział żartobliwie.

- A na jakiej mszy ty byłeś, bracie? - roześmiała się.

- Punkt dla ciebie. Obudziłem cię?

- Tak naprawdę, to nie. Dzwoniła już do mnie Una O'Connor. Pamiętasz ją?

- Oczywiście. Poznałem ją wczoraj wieczorem w twojej garderobie.

- Otóż pani O'Connor uważa, że należy przerobić artykuł o mnie na szkic biograficzny, co wymaga nie tylko rozmowy ze mną, ale również z innymi na mój temat...

-I?

- Zgadnij, z kim chce o mnie porozmawiać?

- Ty mi powiedz.

- Jeśli pytasz mnie o zdanie, to spodobałaś się pani O'Connor.

- Niemożliwe. Widzieliśmy się tylko przez dziesięć minut.

- Jak dużo czasu potrzeba na to w Holandii, w Niemczech czy w północnej Anglii?

Conor zrozumiał złośliwą aluzję Molly.

- To zupełnie wykluczone. Nie mogę z nią rozmawiać o tobie.

- Niestety, drogi braciszku, już jej obiecałam przekazać ci tę wiadomość. Współpraca z prasą i tak dalej.

Conor westchnął. Jakkolwiek sprawa się przedstawia, musi się z tego wykręcić.

- No, dobrze, porozmawiamy o tym później. Śliczny dzisiaj dzień. Zastanawiam się, czy nie miałabyś ochoty na spacer nad rzeką.

Zawahała się.

- O której?
- O której chcesz. Dostosuję się.
- Świetnie. Co powiesz na wpół do czwartej?
- Wspaniale. Spotkamy się przy wejściu do metra przy Westminsterze. Co ty na to?
- Dobrze.
- No to do widzenia.
- Do zobaczenia później.

Odłożył słuchawkę i wrócił do baru, gdzie zamówił whisky z wodą. Usiadł ze szklaneczką przy stoliku i znów próbował skupić się na lekturze dodatku, ale uświadomił sobie, że wciąż czyta to samo zdanie. Sprawdził czas. Miał jeszcze dwie godziny do spotkania przy Westminsterze.

Brakowało kilku minut do wyznaczonej pory, kiedy ujrzał nadchodzącą Molly. Zabijał czas oglądaniem podkoszulków, miniatuerek parlamentu i Big Bena w sklepie z pamiątkami. Ubrana była zwyczajnie. Dzień był pogodny i Molly włożyła sprane džinsy i bawełnianą bluzkę bez rękawów, rozpinaną z przodu od góry do dołu, w kolorze ja-snożółtym. Włosy miała związane w koński ogon, na bosych stopach skórzane sandały z rzemyków, a przez ramię przewieszony żółty letni żakiet, w odcieniu ciemniejszym niż bluzka. Gdyby nie jej wzrost i postawa, można by ją wziąć" za nastolatkę. Zauważyła go i pomachała ręką. Ale zanim do niego podeszła, zagroziła jej drogę para w średnim wieku, prosząc, oczywiście, o autograf.

Ruszył w kierunku Molly i zaczął w pewnej odległości, aż pozbędzie się pary, składając na odwrocie starej kopy, którą kobieta wyjęła z torebki, swój podpis.

- Cześć, Molly - powiedział, kiedy ludzie odeszli.
- Cześć. - Uśmiechnęła się do niego. Zauważył, że wciąż jest tą samą promienną dziewczyną.

Postanowili zrobić sobie wycieczkę jednym ze statków turystycznych, które kursują po Tamizie aż do Greenwich. Zeszli po kamiennych schodkach nad rzekę, kupili w budce bilety i wraz z innymi pasażerami weszli na pokład.

- Byłeś już tutaj przedtem? - Miała dobry nastrój. Pokręcił przecząco głową.
- Zawsze jest ten pierwszy raz.

- A ja byłam tutaj z Dolly. To moja agentka. Musisz ją poznać. Ona twierdzi, że każdy, kto przyjeżdża do Londynu, powinien zobaczyć miasto od strony Tamizy.

Molly cały czas była w świetnym humorze. Tymczasem statek, wypełniony turystami różnych nacji, zasapał ciężko i odbił od brzegu. Nie bardzo mogli rozmawiać, ponieważ przewodnik wyrzaskiwnł bezustannie przez głośnik objaśnienia, kiedy statek sunął po rzece, pod kolejnymi mostami, obok barek, szalup i statków turystycznych. Kilka dwu-i trójmasztowych żaglówek, zacumowanych obok siebie, kołysało się na grzbietach fal, wzbudzanych przez dwie ścigające się - niebezpiecznie, zdaniem Conora - motorówki.

- Gdzie tam do nich naszym łódkom i promowi „Naomh Eanna”! - krzyknął do ucha Molly, kiedy jedna z motorówek, uniesiona wysoko falą, wykonała efektowny skręt w miejscu. Ale jego słowa utonęły w metalicznych tonach piosenki „Złap mi kangura, przyjacielu”, która nieoczekiwanie rozległa się z głośnika, wywołując pośród grupy Australijczyków anemiczne oklaski.

Przewodnik zaserwował turystom historię Londynu w pigułce, pokazując różne obiekty po obu stronach rzeki - Igłę Kleopatry, katedrę Świętego Pawła, szare cielska HMS Belfast, most Londyński i wieżę Tower. Na statku było chłodno i kiedy dopłynęli do Greenwich, zmarznięta Molly zaproponowała, by zeszli z pokładu i wstąpili gdzieś na kawę.

Znalezienie otwartej kawiarni okazało się trudne. W niedzielne popołudnie prawie wszystkie lokale były zamknięte, choć znajdowali się na szlaku turystycznym, i przeszli kilka ulic, zanim trafili na barek przy kiosku z gazetami.

Nikogo nie było widać, ale zza drzwi za kontuarem dochodziły odgłosy telewizyjnej relacji z zawodów krykieta-wych. Conor przycisnął dzwonek na ladzie i po chwili ukazał się niewysoki, ciemnoskóry mężczyzna, Hindus lub Pakistańczyk, by przyjąć od nich zamówienie. Przeczytali przypięte na ścianie, ręcznie napisane menu i poprosili o jabłecznik i kawę. Usiedli przy stoliku naprzeciw upstrzonego przez muchy okna. Jabłecznik był twardy i nie dopieczony, z bitą śmietaną z proszku na wierzchu, a kawa

najwyraźniej zaparzona wiele godzin wcześniej i wielokrotnie odgrzewana.

- Beznadziejna - orzekł Conor i skosztował ciasta. Odsunął je gwałtownie i wyjął fajkę z wewnętrznej kieszeni marynarki. - Nie wiedziałam, że palisz fajkę - powiedziała Molly.
- Najwyraźniej nie wiesz o mnie wielu rzeczy.
- To mi o nich powiedz.
- Przecież wczoraj wieczorem wypełniłem najważniejsze luki.
- Więc opowiedz mi o tych mniej istotnych sprawach.
- Na przykład?
- Daj spokój, Conorze. Nie drażnij się ze mną.
- W porządku, co chcesz wiedzieć?
- Czy mogę cię pytać o wszystko?
- Tak.
- Czy masz przyjaciółkę? -Nie.
- Daj spokój, musisz kogoś mieć. Masz trzydzieści dwa lata...
- Dokładnie trzydzieści trzy.
- Nie wykręcaj się. Opowiedz mi o kobiecie albo kobietach w twoim życiu...
- Nie ma wiele do opowiadania.
- Conorze Ó Briain, czy masz tyle tupetu, by twierdzić, że doszedłeś do tego wieku i nikt cię nawet nie pocałował?
- Dobra. Całowały mnie.
- Dużo kobiet? - Kilka...
- Na pewno kilka?
- No, cóż, można tak powiedzieć.
- Kilka czy dużo? - Ton jej głosu zmienił się w ledwo uchwytny sposób.
- Wydaje mi się, że dużo.
- Któraś szczególnie?
- Hmm...
- Czyli była jakaś szczególna?
- Ale już jej nie ma.
- Chciałeś się z nią ożenić?

-Nie.

Spróbowała w inny sposób.

- No to powiedz mi, kim ona była. Conora bawiła ta rozmowa.

- Dlaczego nagle to jest takie istotne?

- Czy powiedziałam, że to istotne?

Nie odpowiedział, tylko zajął się ubijaniem tytoniu w fajce za pomocą pudełka zapalek. Odgonił ręką muchę krążącą wokół jego prawie nietkniętego, zaschniętego ciastka.

- Conorze.

- Tak?

- Przestań grzebać w swojej cholernie j fajce i opowiedz mi o tej kobiecie.

- Dlaczego?

Ta potyczka słowna zaczęła go podniecać. Molly pochyliła się do przodu.

- Powiedziałeś, że mogę cię pytać o wszystko.

Jej bluzka rozchyliła się lekko. Cień biegnący od obojczyka aż do rowka między piersiami przykuł uwagę Conora. Skoncentrował się jednak na fajce.

- Dlaczego tylko to cię interesuje? - zapytał ze wzrokiem utkwionym w pudełku zapalek, które trzymał nad fajką. - Swoją drogą, mógłbym cię zapytać o to samo. Czy jest ktoś szczególnie w twoim życiu?

- Nie zmieniaj tematu.

- W porządku. - Odsunął się na bezpieczną odległość. - Powiem, jeśli i ty powiesz.

- Dobrze. Ty zaczynasz.

Kiedy jednak przyszło do odpowiedzi, nie umiał mówić o tym lekko. Nie było żadnej „szczególnej kobiety” w jego życiu, powiedział cicho. Poznał kilka, które mogłyby się nimi stać, gdyby dołożył starań, ale świadomie z tego zrezygnował.

- Dlaczego?

- Z tego samego powodu, dla którego nie posługuję się prawdziwym nazwiskiem. - Pyknął dymem z fajki. - Teraz twoja kolej.

Zastanawiała się przez chwilę.

- No, cóż, ja mam na swoje usprawiedliwienie to, że jeszcze nie skończyłam trzydziestu trzech lat.
- Daj spokój. Chcesz mi powiedzieć, że przez cały ten czas, gdy grałaś w teatrze w Dublinie, a potem mieszkałaś w Londynie, nie było nikogo, kto by się tobą zainteresował?
- Nie powiedziałam, że...
- Rozumiem. To co jest nie w porządku? Opanowała się.
- Co masz na myśli mówiąc, że coś jest nie w porządku?
- Wiesz, o co mi chodzi.
- Nie wiem. Czy dajesz mi do zrozumienia, że coś jest ze mną nie tak?
- A nie jest?

Usiadła sztywno, nerwowo zaciskając dłonie na blacie stołu.

- To ja nie byłam nikim zainteresowana.
- Dlaczego?
- Nie wiem... - Zarumieniła się. - To idiotyczne. Zmieńmy temat.
- O, więc jak ty nie chcesz mówić, należy zmienić temat?
- No więc, masz jeszcze coś do powiedzenia? - Wypiła łyk obrzydliwej, zimnej kawy. - Dajmy temu spokój. Przykro mi, że zeszliśmy na ten temat.
- To ty chciałaś o tym rozmawiać, pamiętasz?
- No dobrze, zmieniłam zdanie. - Zabrzmiało to, jakby miała dwanaście lat.
- Jak pani sobie życzy, pani Bryan. O czym chcesz teraz rozmawiać?
- Nie wiem.
- Czyżby interesowały cię wyłącznie kobiety w moim życiu?
- Oczywiście że nie.
- Dobra - powiedział, wydmuchując dym. - Zastanów się. Nie chcę cię popędzać. - Uśmiechnął się przekornie, ale przestał drażnić temat.

Zapadło milczenie. Oboje popatrzyli przez okno, przy którym siedzieli.

- A co z Uną O'Connor? Podoba ci się? - Jej głos brzmiał bardzo dziecinnie.
- Molly, nie bądź śmieszna. Jak może podobać mi się ktoś, kogo widziałem tak krótko i w takiej niezręcznej sytuacji?
- Różnie bywa.
- Może, ale nie tym razem. Zadowolona?
- Jednak - na twarzy malowało jej się zdecydowanie, kiedy grzebała w torebce - obiecałam, że dam ci jej numer, abys mógł z nią o mnie porozmawiać. - Wręczyła mu kartkę. Zauważył, że wypisano na niej numer dubliński.
- Jest w Dublinie - powiedziała Molly, zatrzasnąwszy zamek torebki. - Mówiła, że wkrótce wróci.
- Może nie chcesz, żebym z nią rozmawiał?
- To zależy od ciebie.
- W takim razie nie będę, dobrze?
- Conorze, oczywiście, że musisz z nią porozmawiać. Westchnął i włożył kartkę do kieszeni.
- Posłuchaj - powiedziała Molly. - Mam świetny pomysł. Moja przyjaciółka, aktorka, która występuje ze mną w serialu, wydaje dzisiaj przyjęcie urodzinowe, a ja okropnie nie mam ochoty iść tam sama. Może byś ze mną poszedł? Naprawdę bardzo bym chciała, żebyś ją poznał.
- Nienawidzę przyjęć. A co to za serial?
- „Gdzie jest tatuś?” - komedia sytuacyjna, o której czytałeś w programie teatralnym.
- Aha, początki twojej sławy.
- Nie bądź wstętny. Dzięki temu opłacam czynsz. A tak na marginesie, wątpię, czy dostałabym rolę na West Endzie w „Wesołym duchu”, gdybym nie była, jak mówisz, sławna.
- I kiedy to idzie?
- W środę wieczorem.
- Jak możesz występować w serialu i jednocześnie codziennie grać na West Endzie?
- Nagrywamy w studio od poniedziałku do piątku w godzinach pracy, jak urzędnicy. Kiedy gram w popołudniówkach, nakręcają sceny, w których nie występuję. Już się do tego przyzwyczaili. Nie tylko ja pracuję równocześnie w teatrze. Dolly tak załatwiła.

- Ta słynna agentka.
- Tak. - Molly nie chciała więcej mówić o sobie. - Co z przyjęciem urodzinowym?
- Już ci powiedziałem, że nie znoszę przyjęć.
- Nie będzie tak źle. Nie musimy tam długo siedzieć. W takim tłumie i hałasie nikt nie zauważy, jeśli wyjdziemy wcześniej. Bardzo bym chciała, żebyś poznał tę dziewczynę. Ona jest naprawdę fantastyczna.
- 1 co z tego?
- No, może ci się spodoba. -1 co z tego?
- Może ci się spodoba, Conorze!
- Pytam, co z tego?
- Na miłość boską, nie bądź takim zrzędą!

Zauważył, że wróciła jej pewność siebie i że Molly znów panuje nad sytuacją.

Una chodziła nerwowo po swoim mieszkaniu. Przyjechała z lotniska zaledwie piętnaście minut temu. Nie było najmniejszej szansy, że do niej zadzwoni. Może zrobił to wcześniej. Może nawet jeszcze nic nie wie.

Na wszelki wypadek zostawiła otwarte drzwi. Naprzeciwko jej mieszkania, po drugiej stronie holu, znajdował się automat telefoniczny, z którego korzystali wszyscy lokatorzy. Wyszła na korytarz i podniosła słuchawkę, by sprawdzić, czy aparat działa. Działał.

Kiedy zadzwoniła do Margo Bryan z wiadomością o planowanej zamianie wywiadu na szkic biograficzny, wsłuchiwała się uważnie w odpowiedzi aktorki, by wychwycić wszelkie niuanse w jej głosie. Ta wykazała jednak nikłe zainteresowanie. Z pewnością telefon ją obudził i Margo była zaspana. A kiedy, wstrzymując oddech, Una wspomniała nazwisko Seana Molloya, zareagowała spokojnie i zapisała dla niego numer telefonu dziennikarki. Czy jej spokój był udawany, czy szczery? Una nie wiedziała. Tak czy owak, prośba Uny była całkowicie uzasadniona, bo nawet jeśli tamtych coś łączyło, Margo nie musiała wyczuć podstępny w propozycji dziennikarki, która w dobrej wierze pragnęła

porozmawiać o niej z jej chłopakiem. Una wciąż nie wiedziała, co łączy tych dwoje. Będzie musiała poczekać do rozmowy z Seanem. Jeśli, oczywiście, zadzwoni.

Jedyną rzeczą, której Una nie znosiła, było bierne oczekiwanie. Nie nadawała się na widza, lubiła działać. Pocięła się myślą, że jeśli on się do niej nie odezwie, ona zadzwoni jeszcze raz do Margo Bryan. Wykorzysta pretekst, że nie zawsze jest pod telefonem - pewnie akurat jej nie było, kiedy Sean Molloy dzwonił.

Nastawiła elektryczny czajnik, by zaparzyć kawę, ale wyłączyła go w obawie, że gwizd zagłuszy dzwonek telefonu w korytarzu.

Chyba całkiem straciła rozum. Podeszła do drzwi i zamknęła je zdecydowanym ruchem.

W tej chwili zadzwonił telefon. Otworzyła drzwi i wypadła na korytarz. Zatrzymała się przy aparacie i przeczekała kilka dzwonek, by złapać oddech. Okazywanie zbytnej skwapliwości jej nie pomoże.

- Halo - odezwała się wreszcie. Ale był to szef redakcji.

- Słuchaj - rzucił szybko w słuchawkę - podobno był masowy striptiz na meczu piłkarskim w Dalymount. Siedem osób aresztowano - zabrali ich na Store Street.

- Rozumiem - powiedziała Una, wyraźnie rozczarowana. Obliczała już w myślach, ile czasu zajmie jej dojazd do Dalymount - stadionu piłkarskiego w północnej części miasta - a stamtąd na komisariat przy Store Street w samym centrum. Natychmiast doszła do wniosku, że w ogóle nie chce jechać. A gdyby tak zadzwonił i jej nie zastał? - Ale właśnie się zabieram do tego wywiadu z Margo Bryan - zaoponowała.

- To może poczekać - rzekł redaktor.

- Chcą to mieć w dziale reportażu na jutro, a ty wyznaczyłeś mnie na nocny dyżur. - Una zazwyczaj nie pracowała na trzeciej zmianie, ale w gazecie chwilowo brakowało dziennikarzy.

- Ach tak - przypomniał sobie redaktor. - Przepraszam. Wycofuję się! - Odwiesił słuchawkę. Una odetchnęła z ulgą. Wróciła do mieszkania, zamknęła za sobą drzwi

i znów nastawiła czajnik. Striptizy, pomyślała, przygotowując kawę, to przebój roku. Grupa nagich wyrostków, ogarniętych manią wielkości. Ale czy mogę być naprawdę obiektywna, sama będąc w stanie młodzieńczego podniecenia seksualnego, pomyślała kwaśno...

Postawiła kubek z kawą tuż przy rozchwianym stoliku, który służył jej jednocześnie za stół jadalny i biurko, i przyciągnęła do siebie maszynę do pisania. Położyła magnetofon obok maszyny, włączając i wyłączając przyjemny głos Margo Bryan przyciskiem pauzy, i zabrała się do spisywania rozmowy z taśmy. To zabawne, pomyślała, że większość aktorek, które bez wysiłku potrafią dotrzeć głosem do tylnych rzędów w teatrze, w zwykłej rozmowie mówi subtelnie i cicho.

Po czterech minutach pracy Una wstała, podeszła do drzwi i otworzyła je.

Conor nie kłamał, kiedy powiedział Molly, że nie znosi przyjęć. Zaszył się w kącie domku, który - jak przypuszczał - agenci handlu nieruchomości nazwaliby *pied-d--terre**, gdyż przeszkadzał mu hałas i bezsensowna paplanina, dym papierosowy i straszliwie kwaśny sikacz, jaki wciśnięto mu do ręki zaraz po wejściu.

Najbardziej nie cierpiał tych łowów, tego seksualnego napięcia, które elektryzowało atmosferę. Odbił już trzy takie same rozmowy z kobietami usiłującymi wybadać, jak dalece jest nimi zainteresowany i otwarty na ich propozycje.

Czuł się nieswojo z jeszcze jednego powodu - musiał zachować ostrożność i czujność, by utrzymać pozory, że jest przyjacielem Molly - tylko przyjacielem - z dawnych lat.

- Cześć, jak się nazywasz? - Przed nim stała jeszcze jedna szczupła blondynka.

- Sean Molloy.

- Masz irlandzki akcent, czy tylko mi się wydaje? Uniosła brew.

- Tak. Przepraszam! - Conor wyszedł na korytarz. Przepchnąwszy się obok splecionej w uścisku pary, siedzącej

* **Mieszkanie, w którym się mieszka okazjonalnie. (franc.)**

u stóp schodów, wszedł na górę do pomieszczenia, które -jak przypuszczał - było łazienką. Wiedział, że zachował się nieuprzejmie, ale miał nadzieję, że ta kobieta nie jest dla Molly nikim ważnym.

Na szczęście łazienka była wolna. Zamknął za sobą drzwi i usiadł na brzegu zielonej wanny ze złoconym kranem. Tkwiał tam już dosyć długo, gdy dobiegło go nieśmiałe pukanie do drzwi. Zdał sobie sprawę, że przez cały czas wpatruje się w dwie ozdobne miseczki z *pot-pourri**, stojące na parapecie.

Pukanie nie milkło.

- Tak? - zawołał.

- Och, przepraszam! - odezwał się kobiecy głos. - Czy długo pan tam jeszcze będzie? Jest tylko jedna łazienka -niestety!

- Już wychodzę. - Spuścił wodę w toalecie i przemógł się, żeby otworzyć drzwi. Przeprosił kobietę, która przemknęła obok niego. Spojrzał w dół, na otwarte drzwi wejściowe, i zaczął się zastanawiać, czy starczy mu odwagi, by zejść ze schodów i umknąć, ale się rozmyślił. Molly byłaby bardzo dotknięta. Poszedł jej poszukać.

Dzięki swojemu wzrostowi szybko ją zauważył. Stała z kieliszkiem w ręku, zajęta żywą rozmową z gestykulującym mężczyzną. Był od niej niższy o jakieś dziesięć centymetrów i Molly musiała pochylać głowę, by w tym zgiełku słyszeć, co on mówi.

Conor utorował sobie do niej drogę. Molly zobaczyła, jak nadchodzi, uśmiechnęła się przepaszająco do mężczyzny i podeszła do brata. Poprowadziła go do kuchni, ale nie udało im się wejść do środka. Małe pomieszczenie było jeszcze bardziej zatłoczone - jeśli to w ogóle możliwe - niż niewielki salon. Gospodyni, ubrana barwnie niczym rajski ptak, miała niecałe sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Rozejrzała się i zobaczyła Molly przy wejściu.

- O, cześć! - zawołała. - Istny dom wariatów, co? Myślałam, że nie przyjdiesz. Znasz wszystkich? - Zauważyła Conora.

* **Tu: z różnymi drobiazgami. (franc.)**

Wytarła ręce w ścierkę i przepchnęła się przez tłum do drzwi.

- Kto to, Margo? - wyszeptwała. Podnosząc wzrok coraz wyżej i wyżej na Conora, sama wydawała się coraz niższa.

- To mój przyjaciel z Inis Oirthir, Sean Molloy, Jenny. Chyba nie masz mi za złe, że go przyprowadziłam...

- Za złe? - zapytał rajski ptak. - Czy to twój facet? Conor miał już tego dość.

- Miło mi - powiedział najuprzejmiej, jak potrafił. - Molly, obawiam się, że muszę już iść. Zadzwoń do ciebie do teatru. - Przez chwilę żałował, że to powiedział - wyglądała, jakby ją uderzył.

- Pozwól, że cię odprowadzę do drzwi - zaproponowała.

- Zgoda - odparł. - Miło było cię poznać, eeee... - Zapomniał imienia rajskiego ptaka.

Utorowali sobie drogę do drzwi frontowych i wyszli na zewnątrz.

- Na pewno musisz iść? Było aż tak strasznie?

- Raczej tak.

- Ja też idę...

- Nie, ty zostań. To twoi przyjaciele.

Na jej twarzy znów odmalowała się niepewność, ale Conor pocałował ją w policzek i powiedział stanowczo:

- Cześć!

- Kiedy zadzwonisz? - zawołała za nim.

- Jutro.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Odetchnął głęboko. Przyjechali na przyjęcie taksówką i nie wiedział dobrze, gdzie się znajduje. Rozejrzawszy się wokół, zobaczył bloki mieszkalne i skrzynki kwiatowe w oknach. Na rogu dostrzegł jakiś pub. W środku było spokojnie i prawie pusto. Zamówił kufel piwa i usiadł w kącie. Szukając w kieszeni drobnych, wyciągnął kartkę z nazwiskiem Uny O'Connor i numerem telefonu, który dostał od Molly.

Zmiał ją i wrzucił do stojącej przed nim popielniczki.

- Ciepło ci, kochanie? - Malcolm Smith pochylił się na tylnym siedzeniu limuzyny, by owinąć szczelnie kocem no-

gi Cordelii. Był przyjemny wieczór. Postanowili odsunąć dach na czas jazdy do opery w Chicago. Szofer prowadził lincolna majestatycznie, świadom zainteresowania, jakie samochód wzbudza w przechodniach i w nieszczęsnych właścicielach samochodów niższej klasy. Kasztanowobrazowy lakier lśnił, podobnie jak wyczyszczona do połysku biała skórzana tapicerka. Malcolm nie miał już wielu obowiązków towarzyskich, a jego codzienna praca w browarze od dawna należała do przeszłości, wraz z Cordelią zatem wiedli spokojne, dostatnie życie domowe. Rzadko gdzieś wychodzili, ale przy takich okazjach Malcolm ze względu na Cordelię robił z tego wielkie wydarzenie.

Stanowimy bardzo dobraną parę, pomyślał, patrząc na nią. Widział, że jest wyrozumiała wobec niego i jego dziwactw. Nie narzuca mu niczego. Akceptuje na przykład jego zamiłowanie do samotnych śniadań - zwyczaj, z którego nie zrezygnował, mimo że nie chodził już codziennie do pracy. Uwielbiał słodczyce, a najbardziej smakował mu od lat pewien rodzaj nugatów, dostępnych tylko w żydowskich delikatesach przy Rogers Park. Cordelia dbała, by w każdą sobotę rano szofer jeździł do tego sklepu i odbierał zamówienie. Malcolm westchnął z zadowoleniem. Uwielbiał rozkład ich wspólnych dni i czułość nocy.

Tego wieczora Cordelia włożyła prezent, który podarował jej na ostatnie urodziny - na wciąż młodej mimo wieku szyi miała naszyjnik z pięknie dobranych pereł. Ubrana była w długą kremową spódnicę i dopasowaną kolorem bluzkę z czystego jedwabiu, na którą narzuciła czekoladowy szal z moheru. Malcolm uważał, że wygląda tak cudownie, jak wówczas, kiedy ją zobaczył po raz pierwszy, a było to prawie pięćdziesiąt lat temu.

Szofer gładko zjechał z Outer Drive i włączył się w sznur samochodów na Inner Drive. Cordelia zauważyła, że Malcolm ją obserwuje. Wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie ramienia męża.

- Wyglądasz dzisiaj bardzo dystyngowanie, Malcolmie.

- Zawsze tak mówisz, kochanie. - Żeby jej zrobić przyjemność włożył smoking, którego nie znosił, choć Cordelia

zawsze powtarzała, że każdy mężczyzna prezentuje się w smokingu wspaniale.

Bardzo lubił wieczory w Chicago, zwłaszcza o tej porze roku, kiedy lato nie wysuszyło jeszcze ulic. Czuł przyływ energii na widok miasta, które po pracy rzuca się w wir przyjemności - taksówek przewożących ludzi w wieczorowych strojach, świateł ulicznych rzucających wyzwanie mglistemu półmrokowi napływającemu z zatoki. Widzieli przed sobą ostry kształt Hancock Center, który wznosi się opiekuńczo nad miastem niczym współczesny Minotaur, wystawiając w niebo bliźniacze rogi anten.

Włączyli się w długi sznur samochodów na Michigan Avenue, przejeżdżając nad leniwymi nurtami rzeki Chicago, której obu brzegów strzegły Wrigley Building i prawie identyczny budynek mieszczący redakcję „Sun-Timesa”. Gmach „Chicago Sentinel” znajdował się nieco bliżej ujścia rzeki. Malcolma opuścił miły nastrój. Niedobre stosunki z wnukiem stale napełniały go smutkiem.

Wrogość Christiana wobec Malcolma osłabła nieco, gdy wydorósł, ale nadal nie mogli dłużej przebywać w jednym pokoju, by nie doszło do kłótni, a przynajmniej do sprzeczki. Wbrew własnym chęciom, Malcolm zawsze krytykował Christiana za ubiór, trwonienie pieniędzy, styl życia, zaniedbywanie żony, Jo-Ann. Malcolm od samego początku wiedział, że małżeństwo wnuka skończy się porażką, ale świadomość, że miał rację, nie stanowiła żadnego pocieszenia. Głęboko ubolewał nad rozwodem Christiana i to on dopilnował, żeby Jo-Ann została godziwie zabezpieczona. Malcolm obawiał się, że jeśliby strona materialna całej sprawy zależała od Christiana, rozwód byłby długi i bolesny. Ponieważ Malcolm zdawał sobie jasno sprawę, że głównym powodem rozstania było złe traktowanie żony przez jego wnuka, a głębokie poczucie sprawiedliwości budziło w nim sprzeciw wobec niefrasobliwego podejścia Christiana do kwestii finansowych, zdecydował się na interwencję, zmuszając go do korzystnego zapisu na rzecz Jo-Ann, który sam kontrasygnował.

W Malcolmie, niezwykle pedantycznym w interesach, „luzackie” postępowanie Christiana wzbudzało wstręt. Był

autentycznie dumny z dziennikarskich osiągnięć wnuka, zwłaszcza odkąd sześć lat temu Christian zajął się sprawami zagranicznymi. Ten zaś, gdy tylko mógł, tak kierował sprawami, by Dick mógł mu towarzyszyć w wyprawach zagranicznych jako fotograf, i obaj stali się swego rodzaju wędrowcami, budzącymi sumienia czytelników, których informowali o dyktatorskich rządach w Ameryce Środkowej, apartheidzie w Afryce Południowej, powodziach i nędzy w Azji i Ameryce Południowej, wstrząsających prześladowaniach i niesprawiedliwości niemal wszędzie na świecie. Ich artykuły omawiano często w podmiejskich klubach, nie zawsze z uznaniem, bo Christian nierzadko poruszał kwestie, które wielu przyjaciół i znajomych Malcolma wolałoby przemilczeć. Nie można było jednak nie doceniać go jako dziennikarza i Malcolm zbierał pochwały za wnuka.

Jego podziw dla profesjonalizmu Christiana przyćmiewała jednak nieustająca obawa. Najwyraźniej Christian po powrocie ze swych zagranicznych podróży coraz częściej sięgał po butelkę, a ostatnio Malcolm musiał zapłacić kaucję za wnuka, któremu postawiono zarzut prowadzenia samochodu po pijanemu.

- O czym myślisz, Malcolmie? Jesteś jakiś smutny. -Cordelia znów dotknęła jego ręki.

Spostrzegł, że są już prawie przed gmachem opery.

- O niczym specjalnym, Delio. O zwykłych sprawach... Pokiwała głową ze współczuciem.

- Nie martw się. Pomyśl tylko, co nas dzisiaj czeka. Carreras!

Wysiedli z samochodu, który zatrzymał się przy krawężniku, i utonęli w wyperfumowanym tłumie, kłębiącym się pod żyrandolami oświetlającymi obity pluszem westybul. Malcolm zauważył dwóch znajomych z klubu, którzy znajdowali się w połowie olbrzymich schodów.

- Cześć, Sam! Cześć, Dave!

Obaj mężczyźni odwrócili się i zeszli na dół, by uścisnąć dłoń Malcolma, a ich wystrojone, opalone w solariach żony załaskotały policzki Cordelii swoimi sztucznymi rzęsami, wypowiadając słowa powitania. Cordelia pozostała nie-wzruszona.

Rozdział 7

Wyglądało na to, że popijawy Christiana przeszkodzą w wykonaniu zadania, które im powierzono.

Na początku stycznia 1974 roku znajdowali się obaj, Christian z Dickiem, w hotelu „Hilton” w Addis Abebie, w olbrzymim, wyłożonym lśniącymi płytami, klimatyzowanym holu, udekorowanym kwiatami i różnymi dziełami miejscowej sztuki, gdzie stały miękkie kanapy i fotele. Siedzieli zagłębieni w pluszowej kanapie w sali obok baru. Cierpliwość Dicka wyczerpywała się. Trzeci wieczór pod rząd Christian pił. Właśnie popadał w wojowniczy nastrój, a Dick chciał uniknąć tego za wszelką cenę. Gdyby nie było to takie nudne, Dick mógłby obserwować bez końca, w jaki sposób zmienia się pod wpływem alkoholu osobowość jego przyjaciela.

- Chodź, Christianie - powiedział. - Trzeba iść spać.

- Ale nie... nie ustaliliśmy, co robimy z tym artykułem.

- Porozmawiamy o tym rano, Christianie.

- Nie! Chcę to ustalić teraz!

Dick westchnął i powiedział najspokojniej, jak potrafił.

- Christianie, jesteśmy tu od trzech dni i nie wykazałeś nim, jak dotąd, żadnego zainteresowania.

Tego tylko Christian potrzebował.

- Co ty pleciesz, bałwanie? - zachnął się Christian. - Co ty pleciesz? To... to jest ważny temat. Musimy go przemyśleć.

- Tak, tak! Na miły Bóg... - Dick miał poważne wątpliwości, czy w ogóle napiszą coś z tej podróży. Teleksy, które

nadsyłano kilka razy dziennie z redakcji w Chicago, stawały się coraz bardziej natarczywe. Christian odmówił odpowiedzi na którykolwiek z nich. („Napisz im, co chcesz, Dick. Napisz że skontaktuję się z nimi, kiedy będę miał materiał".)

Od kiedy przyjechali do Addis Abeby, Christian popadł w stan takiej apatii, podlewanej morzem alkoholu, że wydawał się niezdolny do podjęcia choćby najbliższej decyzji. Prząd lekki garnitur, który kupił w sklepie hotelowym w dzień przyjazdu, był teraz cały poplamiony, a gęste blond włosy Christiana rozczochrane i brudne. Dick obawiał się, że Christian stracił na dobre zapal do pracy. Przyjechali, żeby zebrać materiał o klęsce głodu, która - jak krążyły pogłoski - pogłębiała się na północy kraju, ale na razie nie ruszyli się z miasta. Wysyłając w kółko teleksy, że Christian złapał tropikalną biegunkę, Dick poważnie rozważał, czy nie powinien sam się wszystkim zająć, zostawić Christiana, pojechać na północ bez niego i wysłać reportaż zdjęciowy z rozszerzonymi podpisami.

Wiedział z doświadczenia, że nie ma żadnego sensu przekonywać kolegi. Będzie musiał - jak zawsze - poczekać, aż Christian sam się wynurzy z otchłani pijaństwa. Mieli szczęście przynajmniej w jednej sprawie - redakcji jeszcze nie udało się ich złapać telefonicznie, choć Dick wiedział, że to tylko kwestia czasu. Wstał.

- Idę do łóżka, a ty rób, co chcesz, Christianie.

Uwagę Christiana przykuł teraz olbrzymi stos owoców przed restauracją po drugiej stronie holu.

- Popatrz tylko na to! Wul... wul... wulgarny pomysł... -Usiłował wstać z kanapy, ale zachwiał się, tak że Dick musiał podeprzeć Christiana ramieniem, by uchronić go przed upadkiem.

- Christianie, idziesz spać?

- Spać? Spać? - Christian nie zdziwiłby się bardziej, gdyby jego przyjaciel zaproponował mu, żeby wyhodowali skrzydła i odfrunęli. Klapnął bezwładnie z powrotem na kanapę. Najwyraźniej miał kłopoty ze skupieniem wzroku.

- Jak ja w og... - czknął. Dick czekał. - Jak ja w ogó... w ogóle mogę pójść spać?

- Dlaczego nie, Christianie?

- Dlaczego co?

Dick zazgrzyta! zębami.

- Dlaczego nie możesz pójść spać?

- Bo nie chcę! - Na interesującej twarzy Christiana malował się upór.

- Dobra, Christianie, zobaczymy się rano.

- Zaczekaj chwilę, Dick...

- Co znowu?

Christian wrócił do stosu owoców.

- Nie myślisz, że to jest wulgarnie, Dick?

- Tak, tak sędzę.

- Aha, więc naprawdę myślisz, że to jest wulgarnie? -Tak.

- Otóż to!

- Co, otóż to?

- Naprawdę myślisz, że to jest wulgarnie?

- Ile razy mam ci powtarzać?

- Otóż to!

Christian usiadł z powrotem zadowolony. Nawet gdy był sprawny umysłowo i trzeźwy, jego myśli biegły specyficznym torem, co wprawiało w zakłopotanie również ludzi, którzy go znali. Dick miał dość.

- Do zobaczenia rano. - Przeszedł przez hol do windy. Christian spojrzął za nim i wzruszył ramionami. Zamknął oczy i zasnął. Zawiadomiony przez pełnego pogardy barmana dyżurny recepcjonista obudził go pół godziny później i zaprowadził do pokoju.

Gdy Dick zszedł na śniadanie następnego ranka, Christian siedział w restauracji ze wzrokiem wlepionym w szklanekę krwawej Mary. Słuchając instrumentalnej wersji „Yester-day” Beatlesów ze zużytej taśmy z przebojami, bez zapалу przyglądał się typowo amerykańskiemu sandwichowi z bekonem, sałatą i pomidorem, przekłutym plastikową koktajlową wykałaczką z przymocowaną na małej głowce niewielką papierową flagą Stanów Zjednoczonych. Pod przekrwionymi oczami miał worki, dolną część twarzy pokrywała jasna kłująca szczecina zarostu.

Przynajmniej, pomyślał Dick, jeszcze nie jest pijany.

- Wyglądasz strasznie, Christianie - powiedział, siadając

- Przestań mi dokuczać.

Dick spostrzegł, że jego przyjaciel jeszcze nawet nie tknął swojej szklanki.

- Musisz coś zjeść - doradził mu. - Zaraz poczujesz się lepiej.

- Nie jestem głodny.

- Potrzebujesz jedzenia. - Sam zamówił jajecznicę na bekonie. - Słuchaj, Christianie - zaczął - nie da się ich już dłużej zbywać. - Wyjął z kieszeni ostatni teleks z Chicago i położył na stole między nimi. - Chcą wiedzieć, kiedy mają się spodziewać reportażu, o czym mniej więcej będzie i jak długi.

Przyjaciel nie patrzył mu w oczy.

- Christianie?

- Wiem, zawałem sprawę.

- Daruj sobie te ckliwe teksty. Pytanie, co z tym zrobimy?

Christian wzruszył ramionami i spuścił głowę. Dick odchylił się do tyłu, rozgoryczony, ale zbyt przywiązany do przyjaciela, by się rozzłościć. Opiekował się nim przez całe życie, tak się przynajmniej wydawało.

- Dobra - powiedział - dość już strat, wyjeżdżamy stąd. Nie możemy dalej wydawać pieniędzy gazety na obijanie się tutaj. Tak czy inaczej, twoja wątroba potrzebuje odpoczynku.

- Co im powiemy?

- Wymyślimy coś - odparł Dick. - Zostań tu, nigdzie się nie ruszaj, pójdę do recepcji dowiedzieć się o loty.

- Dobrze, Dick - odpowiedział Christian pokornie. Był całkiem skruszony. Dick poklepał go po ramieniu z łagodną irytacją i poszedł do recepcji. Mieli szczęście. Samolot Alitalii odlatywał do Rzymu o dziewiątej wieczorem i choć nie było natychmiastowego połączenia z Chicago, mogli polecieć tymi samymi liniami z Rzymu do Londynu, gdzie znaleźliby się wcześniej rano. Stamtąd mieli dużo samolotów.

Przez cały czas Christian nawet nie tknął jedzenia.

- Bierz się do tej kanapki! - rozkazał Dick. - Musimy się dostać na lotnisko przed szóstą trzydzieści. Nie ma wolnych miejsc, ale najwyraźniej nigdy ich nie ma w tym okresie. Jesteśmy na liście oczekujących.

Christian trzymał się rękami stołu. Powiedział Dickowi, że czuje się chory.

- No już! - Dick podsunął mu kanapkę pod nos.

- Nie mogę...

- Dobra. Powiedziałem, żeby przygotowali rachunek, ale dowiedzmy się, czy nie możemy zatrzymać pokoi jeszcze na kilka godzin. Ty, mój drogi, zdrzemniesz się i weźmiesz prysznic.

- Dobrze - zgodził się Christian potulnie. - Która jest godzina?

- Parę minut po wpół do jedenastej. Christian zamknął oczy.

- Chryste, Dick, czuję się wprost okropnie!

- Wyglądasz gorzej - odparł Dick. - Nie poszedłbyś teraz na górę, do swojego pokoju? Obudzę cię o czwartej trzydzieści. Odprowadzę cię, żebyś mógł mi dać klucz. W ten sposób będę mógł wejść i obudzić cię, nie wyłamując drzwi!

Christian posłusznie wstał - był o osiemnaście centymetrów wyższy od przyjaciela - chwiejąc się niby kruche, chore drzewo. Dick popatrzył na niego ze smutkiem. Rozzłościć się na Christiana jest łatwo, pomyślał. Gniewać się - niemożliwe. Poczul się jak kwoka pilnująca kurczęcia.

Wieczorem dotarli w okolice lotniska wcześniej, ale wydawało się, że wszyscy w Etiopii zrobili to samo. Gdy przedostali się przez liczne punkty kontrolne na samo lotnisko, Christian ze względu na swój wzrost i wagę przejął sprawy w swoje ręce. Dick podziwiał zdolność przyjaciela do regeneracji. Christian miał na sobie nowy, biały, lekki garnitur, ogolił się i wziął prysznic. Gdyby nie siatka drobnych czerwonych żyłek na białkach oczu, wyglądałby jak międzynarodowa gwiazda tenisa. Kiedy chciał, potrafił zachowywać się w sposób arogancki i rozkazujący. Dick przyglądał się z zachwytem, jak utorował sobie drogę przez falujący, rozgestykulowany tłum i władczo stłumił protesty umundurowanej kobiety z walkie-talkie.

Zostali wezwani jako pierwsi z listy oczekujących, ale musieli podróżować klasą turystyczną. Nie było to wygodne, szczególnie dla Christiana, który miał kłopoty ze swymi długimi nogami, ale wkrótce po starcie zasnął. Głowa opadała mu w kierunku Dicka i po chwili znalazła się na ramieniu przyjaciela. Nie chcąc go budzić, Dick obrócił się ostrożnie, by popatrzeć na twarz śpiącego Christiana. Zobaczył tylko wypukłość policzka i niedorzeczny loczek na czubku głowy.

Padało, gdy przylecieli do Londynu. Krople wody spływały poziomo po szybach, kiedy jumbo jet Alitalii wylądował na lotnisku Heathrow i przetoczył się po pasie, hamując. Na długo, zanim samolot zwolnił do szybkości kołowania, mimo protestów załogi, rozpoczął się rozgardiasz przed wysiadaniem. Ludzie odpinali pasy, wstawali, zdejmowali torby i paczki z półek.

Christian i Dick byli tak zmęczeni, gdy znaleźli się w Rzymie, że żaden z nich nie chciał lecieć bezpośrednio do Chicago z Londynu, postanowili zatem spędzić noc w tym mieście. Przeszli nużącą procedurę kontroli celnej i paszportowej i ustawili się w kolejce w hali przylotów, by zarezerwować hotel. Jedyne miejsca wolne od zaraz znalazły się w małym prywatnym hoteliku przy Belgrave Square. Stanęli w deszczu w jeszcze jednej kolejce, tym razem do taksówek. Mimo daszku nad postojem, strugi wody lały się na nich, przeinaczając ubrania. Trzęśli się obydwaj w lekkich garniturach, zupełnie nieodpowiednich na londyńską pogodę w dzień tak nietypowy dla tej pory roku.

- Pamiętasz czasy, kiedy myśleliśmy, że to wspaniałe jeździć po świecie jako korespondenci zagraniczni? - spytał Christian, który nagle dostrzegł śmieszny aspekt całej sytuacji. Ale Dick był zbyt zmęczony, by zdobyć się na odpowiedź.

Zameldowali się w hotelu parę minut po dwunastej i umówili się, że o czwartej zejdą do holu.

Spotkali się po drzemce i prysznicu bardzo wygłodniali, więc złapali taksówkę i pojechali na Piccadilly.

Christianowi zależało na tym, żeby zrewanżować się Dickowi za opie-

kę, którą otaczał go przez kilka ostatnich dni. Nie śmiał poruszyć tematu redakcji „Chicago Sentinel”, która wciąż trwała w słodkiej nieświadomości nie tylko co do tego, że wyjechali z Etiopii do Londynu, lecz również co do faktu, że nie mają ani linijki reportażu.

Wysiedli z taksówki przy Piccadilly. Oczy Christiana zatrzymały się na barze z hamburgerami. Dick podniósł rękę.

- Nie, nie pójdziemy tam. - Zawrócił zdecydowanie i ruszył w kierunku Shaftesbury Avenue. - Ani do żadnego baru szybkiej obsługi. Zapomnij o tym, Christianie!

Christian westchnął. Gdy ogarniał go głód, nie dbał w ogóle o to, co je, pod warunkiem, że to było znane, jadalne i dostępne natychmiast.

Znaleźli wreszcie średniej klasy restaurację, gdzie rzucili się jeden na stek, drugi na kurczę po kijowsku z górą angielskich frytek i miękkiej, starej sałaty.

- Wciąż nie można dostać w tym kraju dobrego steku - jęknął Christian, gdy przyniesiono im jedzenie. Piłował zawzięcie stek, który, prawdę mówiąc, zawierał ledwo widoczny paseczek różowego mięsa w samym środku twardego plastra.

- Ile razy ci mówiłem, żebyś nie zamawiał steku nigdzie na wschód od Rio de Janeiro czy Nowego Jorku...

- No cóż, przypomnij mi o tym następnym razem.

- Przypominałem ci tuż przed zamówieniem.

- Tak, ale minęły już trzy lata, odkąd tu byliśmy. Jak bym się dowiedział, że nic się nie zmieniło na lepsze? Skąd ty o tym wiesz?

- Nie pleć głupstw, Christianie. Zamknij się i jedz.

- Zachowujesz się tak, że można by pomyśleć, iż jesteśmy małżeństwem!

- No cóż, pod pewnymi względami jesteśmy! Żyjemy razem, czyż nie?

Christian roześmiał się, a Dick mu zawtórował.

Nadal nie rozmawiali o redakcji. Ten temat ciążył Christianowi jak brzemień i ścisnął mu głowę niby obręcz, ale ponieważ był mistrzem w odwlekaniu spraw, umiał skierować swe myśli na co innego.

Po posiłku poszli spacerem na Leicester Square. Było parę minut po wpół do szóstej i ulice ożyły, pełne śpieszą-

cych się urzędników, którzy zdecydowanie różnili się od turystów; ci wyglądali na trochę zagubionych.

Minęli kasy biletowe Keith Prowse i zatrzymali się przypadkowo przed wystawą.

- Wybierzemy się dziś wieczór do teatru? - spytał Dick.

Christian zawahał się. Spojrzał na zegarek. Za piętnaście szósta. Teatr w ogóle go nie pociągał, ale wiadomo, że Londyn to jego Mekka. Sir Laurence Olivier i tak dalej... A on zachowywał się dziś bez zarzutu.

- Co grają?

- Rozejrzymy się.

Weszli do środka i zaczęli wertować ulotki i afisze wyłożone na stole.

„Południowy Pacyfik”(świetne przedstawienie według „Evening Standard”) grali w Drury Lane. Christiana pociągał „Południowy Pacyfik”, bo grał żołnierza, jednego z towarzyszy Emilia, w przedstawieniu wystawianym w drugiej klasie szkoły średniej w Evanston.

- Przynajmniej znam melodie.

Ale wszystkie miejsca były zarezerwowane oprócz pojedynczych biletów na spektakle poranne.

- Mogliby panowie dziś wieczorem stanąć w kolejce do kasy teatralnej - poradził sprzedawca. - Czasami zdarzają się zwroty.

- E - odparł Christian. - W porządku, w każdym razie dziękujemy.

- A co z tym? - Dick trzymał w ręku ulotkę reklamującą spektakl w Teatrze Wyndhama.

- Co to jest?

- Wznowienie sztuki Noëla Cowarda „Wesoły duch”...

- O czym to?

- Nie wiem, ale znam Noëla Cowarda. Grają to od miesięcy, więc musi być dobre. Skoro już jesteśmy w Anglii, równie dobrze możemy zobaczyć - odczytał z ulotki - „kwintesencję angielskiej sztuki”.

- Czy to ciężkie?

- Nie, jeśli autorem jest Coward.

- Są jeszcze bilety? - spytał Christian sprzedawcę.

- Właśnie tak się złożyło, proszę pana, że zwolniono pięć miejsc.

Christian wzruszył ramionami.

- Dobra. Niech będzie Noel Coward.

Usiedli na miejscach pięć minut przed podniesieniem kurtyny. Stary teatr z pluszowymi fotelami i połączanymi łozami był przesiąknięty mdłym zapachem kurzu, a publiczność wszystkich narodowości rozmawiała przyciszonymi głosami jakby z szacunku dla jego sędziwego wieku. Przytłumione światło wydzieliło zamkniętą przestrzeń, odciętą od świata zewnętrznego. Christian, którego doświadczenia teatralne ograniczały się do szkolnych przedstawień i pokazów na tafli lodowej, poczuł instynktownie, że powinien wstrzymać oddech.

W ciasnych fotelach niewygodnie się siedziało i Christian jak zwykle miał kłopoty z pomieszczeniem swych długich nóg w przeznaczonym na to miejscu.

- Kwintesencja angielskiej sztuki, co? - syknął. - Obiecuj mi, że jeśli to chała, wyjdziemy w połowie, dobrze?

-Zauważył małą lornetkę operową przymocowaną do uchwyty na oparciu fotela przed nim.

- Ej, popatrz! - Znalazł otwór na dziesięciopensówkę, za którą można było skorzystać z lornetki. Dick miał jedną monetę i Christian wrzucił ją do otworu. Ale lornetka rozczarowała go. Niezależnie od tego, w którą stronę kręcił nakładką, nie mógł jej odpowiednio ustawić.

- Zostaw to, Christianie - doradził mu Dick. - Gdy scena zostanie oświetlona, będzie lepiej widać.

Światło zgasło i kurtyna poszła w górę.

Po półgodzinie pierwszego aktu wszystkie myśli na temat wyjścia z teatru podczas antraktu uleciały Christianowi z głowy. Nie mógł oderwać oczu od aktorki grającej Elvirę. Obraz, który widział przez małą lornetkę, był niewyraźny i zniekształcony, mimo to urzekł go sposób, w jaki trzymała głowę, w jaki światło igrało na jej gładkiej twarzy, w jaki niemal unosiła się nad sceną. Ledwie słyszał tekst, który wypowiadała, i nie obchodziło go za grosz, jaką rolę odgrywa w akcji. Odkładał lornetkę za każdym razem, gdy schodziła ze sceny i przysuwał ją do oczu, gdy się pojawiała. Uznał, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widział.

W czasie przerwy był już w stanie najwyższego podniecenia. Gdy Dick usiłował zamówić dla nich drinki w tłoku przy bufecie, Christian czytał uważnie w programie notkę biograficzną Margo Bryan.

- Ona jest Irlandką! - powiedział Dickowi, gdy ten przyniósł dwa kieliszki z odrobiną alkoholu.

-Kto?

- Ta aktorka, Margo Bryan, la, która gra ducha...

- I co z tego?

- Nie sądzisz, że ona jest naprawdę niezła?

- Myślę, że jest bardzo, bardzo dobra. Choć nie sądziłem, że jest Irlandką.

- Nie... Chciałem wiedzieć, czy nie uważasz, że to niezła laska?

- Christianie, czasami nie mogę uwierzyć, że masz tyle samo lat, co ja. Jesteś niepoprawny!

- Taak, ale czy nie mam racji? - Christian ukazał zęby w uśmiechu. - Wygląda trochę znajomo... Nie przypomina ci kogoś? - spytał z zapalem.

- Teraz, gdy wspomniałeś o tym, rzeczywiście, przypomina mi trochę Jo-Ann...

- Tę sukę! - wykrzyknął, a widząc minę Dicka, dodał: -Przepraszam, Dick. Wiem, obiecałem, że nie będę więcej tak o niej mówił.

Dick się nie odezwał.

- Ale poważnie, Dick, poważnie, ta dziewczyna ma naprawdę klasę... - Przejrzał jeszcze raz notkę biograficzną. -Nie piszą, czy jest zamężna...

- Rzadko kiedy to robią - rzekł Dick sucho.

- No cóż - podjął decyzję Christian. - Po przedstawieniu idę za kulisy się z nią zobaczyć.

- A jak zamierzasz się tam dostać?

Zręcznie manipulując kieliszkiem, Christian wyjął portfel. Wydobył z niego legitymację prasową i rozradowany podsunął ją Dickowi pod nos.

- Te rzeczy mają swoje zastosowanie.

- Myślisz, że ona wpuszcza ludzi z mediów jak leci?

- Wpuści korespondenta zagranicznego z prestiżowej gazety „Chicago Sentinel”, jeśli prześlę jej słówko, że właś-

nie zdobyła prestiżową nagrodę od prestiżowego Stowarzyszenia Krytyków Prasowych Środkowozachodniej Ameryki dla zagranicznej aktorki roku. -Co?

- Słyszałeś.

- A co ja mam robić w tym czasie?

- Kryć mnie, oczywiście. Jesteś fotografem, który zrobi zdjęcia zagranicznej aktorki roku, gdy ja będę przeprowadzał z nią wywiad.

-Czy nie nabierze jakichś podejrzeń, widząc, że nie mam aparatu?

- Dick! - Christian cofnął się w udanym przerażeniu. -Przecież wiesz, jak pracuję nad ważnymi artykułami dla prestiżowego Stowarzyszenia Krytyków Środkowozachodniej Ameryki. - Najpierw rekonesans. Małe rozpoznanie gruntu. - Wypił drinka. - Dziś wieczorem przedstawimy się. Jutro przeprowadzimy wywiad. Przynajmniej ja zrobię wywiad, a ty zdjęcia. Kilka zdjęć.

- Czy nie byłoby prościej umówić się z nią telefonicznie i poprosić o wywiad? Większość aktorek lubi widzieć swoje nazwiska w prasie. - Ale Dick wiedział, że traci czas. Dla Christiana opracowanie szczegółów stanowiło część wyzwania.

Bileterzy zapraszali na miejsca. Przerwa się kończyła. Dick wypił ostatnią kropelkę whisky z kieliszka .

- A jak już zrobię tych kilka zdjęć, mam się wycofać? Christian z uśmiechem położył rękę na ramieniu przyjaciela.

- Taki jest plan, chłopie...

Po przedstawieniu obydwaj ruszyli w poszukiwaniu wejścia dla aktorów. Teatr znajdował się na rogu, żeby dostać się do wejścia dla aktorów, musieli obejść go od tyłu. Przeszli przez dość szeroką boczną uliczkę i utorowali sobie drogę pośród tłumku pijaków z pubu na drugim rogu.

Hol, w którym się znaleźli, nie należał do najprzyjemniejszych miejsc, choć był nagrany piecykiem elektrycznym aż do duchoty. Wisiał tu automat telefoniczny i tablica ogłoszeń z trzepoczącymi kartkami z obsadą i ulotkami w sprawie ochrony wielorybów. Nie było krzeseł ani ławek.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - Przynajmniej portier był uprzejmy.
- Tak - odparł Christian ze swoim najbardziej olśniewającym uśmiechem. - Na pewno może nam pan pomóc. Jestem korespondentem zagranicznym „Chicago Sentinel” z Chicago, stan Illinois, oczywiście, a to jest mój fotograf, Dick Spielberg... - Podał portierowi swoją legitymację prasową. - Mamy czasowy przydział do Londynu i właśnie dowiedzieliśmy się, że Margo Bryan, wasza aktorka, zdobyła wielką nagrodę w Ameryce. Moja gazeta poleciła mi przeprowadzić z panną Bryan wywiad na ten temat.
- Pierwszy raz o tym słyszę - zdziwił się portier, ale nie był nastawiony wobec nich wrogo. - Czy jest pan umówiony z panną Bryan?
- Nie - odparł Christian przepraszącym tonem. - Zatelefonowano do mnie z redakcji, informując o tej nagrodzie, około siódmej wieczorem. I oczywiście wiedziałem, że nie ma sensu dzwonić do panny Bryan tuż przed spektaklem.
- Proszę chwilę poczekać, zaraz się z nią skontaktuję - powiedział portier i podniósł słuchawkę.
- Czy można mówić z panną Bryan? - rzucił do telefonu. A po chwili: - Pani Bryan, są tutaj dwaj panowie z amerykańskiej gazety. Mówią, że chcą przeprowadzić z panią wywiad na temat pani nagrody...
Chwilę słuchał, po czym zakrył ręką mikrofon.
- Jakiej nagrody? - spytał Christiana.
- Dla najlepszej zagranicznej aktorki roku - odparł Christian z przekonaniem, choć zdawkowo. Dick uważnie studiował tablicę ogłoszeń, wpatrując się w zamazany druk informacji na temat zbliżającego się spotkania przeciwników wiwisekcji.
- On mówi, że dla najlepszej zagranicznej aktorki roku, panno Bryan... Portier znowu posłuchał i, odłożywszy słuchawkę, powiedział im, że mogą iść do jej garderoby.
- Ona też pierwszy raz o czymś takim słyszy - dodał, śmiejąc się cicho.
Garderoba znajdowała się u szczytu krótkiego ciągu schodów, w jasno oświetlonym korytarzu z kilkoma parami drzwi, zza których dochodziły odgłosy pogawędek i szum

wody. Różne zapachy walczyły ze sobą o lepsze: pot, koty, płyn do mycia podłóg, beton, kurz i ciężka woń szminki, którą Christian rozpoznawał z czasów, gdy odnosił triumfy jako żołnierz w „Południowym Pacyfiku”. Christian zapukał do drzwi Margo Bryan.

- Nie wiem, jak zamierzasz dopiąć swego - syknął Dick. Ale zanim Christian zdążył odpowiedzieć, drzwi otworzyła pulchna kobieta w okularach, która zaprosiła ich do pokoju.

W środku znajdował się jeszcze jeden mężczyzna, duży i ciemnowłosy, ale Christian ledwo go zauważył, bo Margo Bryan wyłoniła się z łazienki z zaróżowioną od wody, czystą twarzą i rozpuszczonymi włosami, które przytrzymała opaska. Miała na sobie męski biały płaszcz kąpielowy.

- Dzień dobry! - powiedziała.

Christianowi serce podskoczyło i zamarło. Przedstawił siebie i Dicka.

- Bardzo mi miło - oświadczyła Molly. Wskazała na mężczyznę. - To jest jeden z moich irlandzkich przyjaciół, Sean Molloy.

Mężczyzna uściśnął dłonie dwóm Amerykanom. Christian ocenił go fachowym okiem. Rywal? Na twarzy Conora malowała się szczerłość.

Wszyscy usiedli.

- Bardzo się cieszę i doceniam zainteresowanie panów - zaczęła Molly - ale co to za nagroda? Alfred powiedział...

Miała zupełnie inny głos niż na scenie. Mówiła miękko i z akcentem.

Odezwał się Dick.

- Pani Bryan... - zaczął. Ale Christian mu przerwał.

- Bardzo przepraszamy za nasze natręctwo, pani Bryan, tylko że widzi pani, dowiedzieliśmy się o tej nagrodzie dopiero około siódmej. Pani pewnie usłyszy o niej dziś wieczorem albo jutro.

- To pierwsza nagroda, jaką kiedykolwiek dostałam! - oznajmiła Molly z promiennym uśmiechem. Odwróciła się do Conora. - Czy to nie wspaniałe, Sean?

Christian zauważył wahanie w jej głosie.

- Pan też pracuje w teatrze, panie Molloy? - spytał.

- Nie. - Mężczyzna nie rozwinął tematu, ale Christian nie przejął się tym. Wiedział, że tylko Amerykanie w ciągu pierwszych pięciu minut znajomości zdradzają, skąd pochodzą i ile zarabiają. Przedstawiciele innych narodowości kierują się odmiennymi zasadami w kontaktach międzyludzkich.

- Może wypiliby panowie drinka? - zapyła Molly.

- Nie, dziękuję - odparł Dick.

-Tak, poproszę - powiedział Christian równocześnie z nim.

Spojrzała na nich niepewnie.

- Z wielką ochotą wypijemy drinka. Mój fotograf trochę wolno łapie...

Dick zmilczał tę uwagę.

Molly dała im po piwie z maleńkiej lodówki.

- A ty, Seanie?

- Ja też się napiję piwa.

Gdy wszyscy trzej mężczyźni siedzieli już ściśnięci na małej kanapce ze szklankami w ręku, Molly poprosiła Christiana, by wyjaśnił, co ta nagroda oznacza dla niej.

- Prawdę mówiąc, pani Bryan - odpowiedział Christian z czarującym uśmiechem - wiemy o nagrodzie prawie tyle samo, co pani. Oczywiście wiemy, że jest prestiżowa i że przyznaje ją Stowarzyszenie Krytyków Środkowozachodniej Ameryki.

- Kto? - Wyglądała na zaintrygowaną.

- Stowarzyszenie Krytyków Prasowych Środkowozachodniej Ameryki.

- To tylko gazety?

- O nie, telewizja i radio też - improwizował Christian.

- Więc dlaczego nazywa się Stowarzyszeniem Krytyków Prasowych? - wtrącił się Conor. Nie odwrócił głowy, tylko skierował do Christiana pytanie wprost, poprzez lustro.

- Tak powiedziałem? Miałem na myśli Stowarzyszenie Krytyków Środkowozachodniej Ameryki - poprawił się Christian.

Molly popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, bardzo mi to pochlebia

- ale jak oni mogli mnie zobaczyć, ci krytycy? Nigdy nie byłam w Ameryce.
- Kto wie? - Christian wzruszył ramionami. - Nigdy nie interesowałem się specjalnie teatrem, podobnie mój kolega.
- Dick rzucił mu gniewne spojrzenie, ale Christian je zignorował. - I choć wiedziałem o tej nagrodzie wcześniej, nigdy nie przeprowadzałem wywiadu z osobą z nią związaną. Oczywiście dowiem się wszystkich szczegółów przed rozmową z panią.

Molly zamilkła i Conor znowu się wtrącił:

- A kto został zagranicznym aktorem roku? Christian rzucił okiem na Irlandczyka poprzez lustro, ale ten przyglądał się swojej szklance. Christian, kompletny neofita we wszystkich sprawach dotyczących teatru i nagród, rozłożył ręce i wzruszył ramionami bez odpowiedzi.

Garderobiana, która krzątała się wokół bez hałasu, porządkując pokój, powiedziała cicho „do widzenia” i wyszła.

- Co pociąga za sobą ta nagroda? - spytała Molly, gdy drzwi się za nią zamknęły. - Czy będę musiała jechać do Ameryki? - Perspektywa towarzyszenia aktorce w podróży do Stanów - razem we dwoje, przez osiem godzin odcięci od świata w kabinie samolotowej pierwszej klasy - olśniła zachwyconego Christiana.

- Rzeczywiście, może tak być, pani Bryan - odparł z zapalem. Dick zachłysnął się piwem i rozkaszał.

- W porządku, Dick? - spytał Christian, wolną ręką waląc przyjaciela energicznie po plecach. Dick, czerwony jak burak, pokaszłał jeszcze trochę i przytaknął najbardziej przekonująco, jak potrafił.

Christian znów zwrócił się z powrotem do Molly.

- Przepraszam, pani Bryan. Co pani mówiła?

- Nie sędzę, żebym mogła pojechać do Ameryki - powiedziała. - Mamy wolne tylko w niedziele wieczorem. Kiedy jest rozdanie nagród?

- Wszystko wyjaśnię, gdy spotkamy się na wywiadzie, obiecuję. Zadzwoń do redakcji, jak tylko wrócę do hotelu, i dowiem się szczegółów. - Postanowił popchnąć sprawę dalej. - O której możemy się jutro spotkać?

- Zobaczmy... - Wzięła zielony kalendarzyk z toaletki

i otworzyła na stronie zaznaczonej wstążeczką. - Czy pora lunchu by panu odpowiadała?

- Doskonale! - wykrzyknął Christian. - Podjadę po panią. Gdzie pani mieszka?

Zawahała się.

- Nie, niech się pan nie kłopotuje. Spotkajmy się, gdzie panu odpowiada.

- Czy mogę panią zaprosić na lunch? - Christian uśmiechnął się szeroko. - Niech się pani nie martwi - na koszt firmy.

- Jeśli pan chce...

- Oczywiście. Dokąd pani ma ochotę się wybrać? Do „Ritza”? Do „Dorchester”? - Ponościło go, wiedział o tym.

Roześmiała się, porwana jego entuzjazmem.

- O nie, tam jest zbyt elegancko!

- A więc gdzie?

- Może do Kettnera na Soho? Zna pan to miejsce?

- Nie, ale z pewnością je znajdę!

- Dobrze, do zobaczenia tam o pierwszej. Zarezerwuję stolik. »noxA,

Amerykane zebrali się do wyjścia.

-Do widzenia, panie Molloy! Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze - powiedział Christian do Irlandczyka, nie czekając, czy usłyszy w odpowiedzi „do widzenia”.

Nic nie mogło popsuć jego wspaniałego nastroju. Zamknął drzwi za sobą i Dickiem i zbiegł w dół, po dwa stopnie naraz. Miał ochotę pocałować portiera, aktora, który przytrzymał otwarte drzwi, Dicka, menela, który potykając się odskoczył na bok, gdy Christian z impetem wypadł przez drzwi na ulicę...

Na dworze chwycił Dicka za rękę.

- Zakochałem się! Ożenię się z tą kobietą!

- Spokojnie! - odparł Dick. - Więc co zamierzasz jej powiedzieć o nagrodzie?

Jak się okazało, nazajutrz nie było problemu z nagrodą. Zaczęło się trochę niewyraźnie - z punktu widzenia Christiana. Stawił się w restauracji Kettnera - według własnej opinii - pięć minut przed czasem, ale znalazł już Molly sie--

dzącą przy stoliku pod oknem. Był piątek i w lokalu panował ożywiony ruch, głównie biznesmeni tłoczyli się nad zupami.

- Naprawdę przepraszam, pani Bryan. Czy źle zapamiętałem godzinę?

- Nie, wszystko w porządku. Ja zawsze przychodzę za wcześnie! Nic na to nie poradzę. To z pewnością wpływ szkoły z internatem. - Spojrzała przez ramię. - Zarezerwowałam stolik dla trzech osób. Gdzie jest pan Steinberg?

- Spielberg. Wezwano go do innego zadania. - Nie powiedział jej, że Dick już wyjechał do Chicago, wściekły, że sam będzie musiał wysłuchać gromów za wyprawę do Etiopii.

- Aha! - Znowu wyglądała na niezdecydowaną.

- Niech się pani nie martwi, w Londynie jest mnóstwo wolnych fotografów. Wszystko będzie w porządku.

Złożyli zamówienie. Wzięła tylko sałatkę, bo wieczorem miała grać. On zamówił stek.

- Wie pan coś więcej o nagrodzie? - spytała, gdy kelner przyniósł wodę Perrier dla obydwójga.

Christian stanowczo postanowił rozpocząć nowy etap w swoim życiu - nigdy więcej nie weźmie kropli alkoholu do ust.

Odetchnął głęboko.

- Co do nagrody, pani Bryan, śmieszna rzecz. Wyglądała na zaintrygowaną. Rzucił się głową w dół.

- Nie ma żadnej nagrody, pani Bryan... Margo. To był podstęp. Chciałem się z panią spotkać. - Poczęstował ją najbardziej olśniewającym, chłopięcym uśmiechem. Służył mu dobrze wobec wszystkich kobiet na całym świecie. Z napięciem obserwował, jak zmienia się wyraz jej twarzy: najpierw zdziwienie, potem irytacja, a wreszcie - ku uldze Christiana - rozbawienie.

- Nie ma nagrody? - powiedziała bezbarwnie.

- Aha!

- W ogóle nie istnieje taka nagroda?

- Aha!

- Ani Stowarzyszenie Krytyków Środkowo-zachodniej Ameryki czy coś takiego?

-Aha.

- Rozumiem. - Wypiła łyk wody mineralnej.

- Nie chciałem przez to powiedzieć, pani Bryan, że nie zdobędzie pani każdej następnej nagrody. Oscara, Golden Glob, Nobla za aktorstwo...

- Nie ma takiej nagrody.

- No cóż, to przynajmniej prestiżowej nagrody od prestiżowego Stowarzyszenia Nowojorskich Krytyków...

- Czy to prawdziwa nagroda?

- Nie mam pojęcia.

Spojrzała na niego i przez chwilę pomyślała, że zaryzykował zbyt wiele.

-Dlaczegoż, u licha, po prostu nie poprosił mnie pan o spotkanie? - spytała.

Nie mógł odczytać wyrazu jej oczu.

- Ponieważ mogła pani powiedzieć „nie”.

Kelner przyniósł bukiet surówek. Wzięła łydkę selera.

- Przypuśćmy, że wstanę teraz i wyjdę?

- Przypuśćmy? Mogę się założyć, że nie zrobi pani tego.

- Naprawdę? -Aha!

- Co mnie zatrzyma?

- Pani sama!

- Czy mogę spytać dlaczego?

- Ponieważ uważa pani, że jestem bezczelny, a jednocześnie sądzi pani, że jestem interesujący, żeby nie powiedzieć przystojny. I nigdy pani nie spotkała kogoś takiego jak ja.

- To na pewno.

Wzięła różyczkę kalafiora i żuła ją w milczeniu.

- Smakuje pani, Margo?

- Jest wyśmienite.

- Mogę pani pokazać, gdzie leży wspaniała dynia. Zaśmiała się, a jemu zakręciło się w głowie z radości i ulgi. Wszystko będzie w porządku.

- Mógłbym się z panią ożenić - powiedział. Zaśmiała się znowu.

Następnego dnia późnym wieczorem książka Pat Mora-han, leżąc wygodnie na swym tymczasowym łóżku na Inis

Oirthir, zapadał w sen. Miejscowy wikary leżał złożony grypą i ksiądz Morahan, nie chcąc dodawać pracy starej gospodyni, przyjął propozycję zamieszkania w wolnym pokoju w jednym z domów obok plaży. Otulił się miękkim kokonem prześcieradeł i koców, zadowolony, że znajduje się w przytulnym wnętrzu zamiast na dworze, gdzie szaleje burza, wyładowując swą furję na małym okienku w pokoju i na pofalowanym dachu nad głową księdza. Przez sen Pat Morahan zdał sobie sprawę, że walenie stało się jakby głośniejsze i bardziej natarczywe. Nagle usiadł z półotwartymi oczami. Usłyszał nieprzerwane pukanie do drzwi i głos gospodyni.

- *A Athair, a Athain* *

- *Nóimead amhdin!*** - odezwał się. Wciągnięcie spodni leżących na drewnianym krześle obok łóżka i dotarcie do drzwi zajęło mu mniej niż minutę. Przyczepione szelki zwisały mu po obu stronach prawie do kolan.

Gospodyni czekała w dużym pokoju, ubrana w koszulę nocną, z szalem na ramionach. Ksiądz natychmiast zrozumiał, dlaczego go obudzono, bo stał za nią rozczochrany Brendan Ó Briain. Strumyki wody ściekały mu po sztormiaku. Miał w rękach mokrą czapkę.

- Twoja matka? - spytał ksiądz.

Brendan skinął głową w milczeniu. Oczy miał rozszerzone strachem.

- Poczekaj chwilkę, ubiorę się i pójdę z tobą. Masz lampę? Brendan ponownie skinął głową.

Ksiądz ubrał się szybko, włożył gruby sweter pod czarną kamizelkę. Oczywiście, zawsze nosił ze sobą oleje święte, gdy wybierał się z wizytą duszpasterską, i teraz też wyjął je z walizki i umieścił ostrożnie w małej torbie podróźnej. Wiedział, że Sorcha jest chora, i naprawdę zamierzał odwiedzić ją po niedzielnej mszy, ale nie miał pojęcia, że z kobietą jest tak źle, jak się teraz okazało. Wyspiarze byli twardymi ludźmi i posyłali po księdza, dopiero gdy zbliżał się koniec.

* Ojcze, ojcze! (irl.)

** Chwileczkę! (irl.)

Kiedy był gotowy, ubrany w sztormiak, wyszedł razem z Brendanem na dwór. Zaatakował ich z wyciem wiatr z północnego zachodu. Natychmiast też zmoczył ich deszcz i słony pył wodny od strony morza, które bardziej słyszeli, niż widzieli - odbijało się z hukiem od skał mniej więcej trzydzieści metrów na lewo. Noc była tak czarna, że dostrzegali tylko strumienie wody przecinające zbyt mały stożek światła wokół lampy Brendana. Ale ten, znając na pamięć każdą piędź wyspy, świecił na ziemię kilka centymetrów przed swoimi butami i kroczył śmiało naprzód. Ksiądz Morahan schował się za jego plecami i tak gęsiego wspinali się z trudem na wzgórze pod wiatr, pochyleni pod kątem trzydziestu stopni. Po kilku minutach ksiądz, który trochę przytył, zaczął dyszeć.

Sztorm szalał jeszcze bardziej na górze, wokół domu. Gdy Brendan otworzył pchnięciem drzwi, wiatr wyrwał mu je z ręki i wdarł się z wyciem do kuchni. Drzwi uderzyły o ścianę w środku, a wiatr pognał do kominka, rozdmuchując popiół i dym z paleniska. Przez kilka chwil, gdy Brendan, kaszląc, usiłował zamknąć drzwi, kuchnię zaciemniła kłębiąca się szara chmura pyłu. Wreszcie zdołał przekręcić zamek i popiół zaczął powoli opadać na całą kuchnię. Dwaj mężczyźni zdjęli sztormiaki.

Brendan zaprowadził księdza na tył domu, do pokoju Sorchy.

Ó Briainom dopiero niedawno podłączono prąd i nie pomalowali jeszcze nowego tynku wokół gniazdka do lampki nocnej, która świeciła bez osłony klosza na małym stoliku przy łóżku Sorchy. W świetle gołej żarówki widać było zmarszczki wyżłobione przez ciężkie życie i ostry klimat na jej zniszczonej twarzy, dodając kobiecie do prawdziwego wieku wiele lat. Ksiądz oceniał, że Sorcha ma ich sześćdziesiąt pięć. Gęste, siwe włosy, zawsze tak starannie uczesane, leżały rozpuszczone, rozczochrane, wiły się splątane na poduszce i choć Sorcha była okryta kocami i dodatkowo uzulami i paltami, dygotała. Miała zamknięte powieki i nie dała żadnego znaku, że wie, iż ktoś jeszcze jest w pokoju. Ale gdy ksiądz położył rękę na jej zimnym czole, otworzyła oczy.

Kiedy zobaczyła, kto to zrobił, usiłowała z wielkim trudem usiąść, ale była za słaba.

- Nie kłopotz się, Sorcho - powiedział ksiądz cicho ukląkł przy łóżku i powstrzymał jej wysiłki, kładąc rękę na ramieniu kobiety. Usta Sorchy poruszyły się, ale wydobyła z siebie tak słaby głos, że nie usłyszał, co próbuje mu powiedzieć. Schylił się i zbliżył ucho do jej ust.

- O co chodzi, Sorcho?

- Ksiądz musi być zmęczony - wyszeptała po angielsku Każde słowo okupiła wielkim wysiłkiem. - Może wypiłby ksiądz filiżankę herbaty?

- Nie, Sorcho - odparł. - Ze mną wszystko w porządku Nie przejmuj się. Brendan da mi herbaty później.

Usiłowała znowu się podnieść.

-Przepraszam, nie ma dla księdza krzesła - Brendanie...

Pat Morahan powstrzymał ją i położył palec na ustach.

- Proszę, Sorcho, niczego mi nie trzeba.

Zamknęła znów oczy. Postawił lampę na podłodze by złagodzić ostre światło. Potem, przykładając usta do jej ucha, spytał, czy chce się wypowiedzieć. Skinęła głową nie otwierając oczu.

Wyjął purpurową stułę z wewnętrznej kieszeni, pocałował ją, założył na szyję i znowu pochylił się ku kobiecie tak nisko, że poczuł zapach stęchlizny zalatujący od palt, które przykrywały chorą. Wydawało się, że burza szaleje coraz głośniejsze na dworze, jakby usiłowała wedrzeć się do małego kręgu światła i cienia.

Sorcha zaczęła spowiedź, wkładając w to olbrzymi, przerastający ją wysiłek, ale ksiądz, mimo całego profesjonalnego przeszkolenia w koncentracji, nie potrafił się skupić na tej smutnej litami grzechów. Sorcha mówiła o myślach błądzących podczas mszy, o grzechu zaniedbania wobec dawno zmarłego męża i syna, który z nią mieszkał. O grzechach wobec mściwego, wymagającego Boga. Jak zwykle w podobnych okolicznościach, ksiądz czuł się straszliwie zawstydzony ich znikomością w stosunku do prawdziwego grzechu. Ale w tym wypadku ledwie mógł znieść ironię losu, że Sorcha właśnie jemu - jemu - wyznaje dziecięcą kronikę żalonych wykroczeń

Zmusił się do reprezentowania Boga, w co ona święcie wierzyła, i usiłował się skoncentrować nie na sobie, lecz na jej słowach.

- To wszystko, moje dziecko? - spytał cicho, gdy wydawało się, że wyczerpana Sorcha skończyła. Nie odpowiedziała i ksiądz położył jej rękę na ramieniu.

- Czy to wszystko, Sorcho?

Z trudem ponownie uniosła powieki. W oczach kobiety malowało się takie przerażenie, że mimowolnie ścisnął mocniej jej ramię.

- O co chodzi, Sorcho? O co chodzi? - Dreszcze, które ustały, znowu powróciły. Głowa stoczyła jej się na poduszkę.

- Sorcho, cokolwiek by to było, Bóg ci wybacza. Wybaczam ci w imię Boga... - Ale ona nie odwróciła głowy.

Poruszała ustami, pochylił się tak nisko, że czuł na policzku jej słaby oddech. Wciąż nie mógł zrozumieć, co kobieta usiłuje mu powiedzieć.

- Mów po irlandzku, Sorcho, będzie ci łatwiej. Wyłowił coś. Coś o Molly...

Poczuł, jak ścisną mu się żołądek. Obawiał się, że Sorcha to wyczuje. Nie próbowała nic powiedzieć. Zmusił się do spokoju.

- Nie śpiesz się, Sorcho...

Znowu zamknęła oczy. Jego postać, oświetlona od tyłu, rzucała olbrzymi cień na ścianę nad łóżkiem i sufit. Mimo burzy w ich małym kręgu panował spokój, teraz aż groźny. Słyszał tykanie dużego budzika z dwoma dzwoneczkami, stojącego na umywalce. Zegarek co drugi raz tykał głośniejszy. Z kuchni dochodziły ciche odgłosy krzątania Brendana.

Zwlekała tak długo, że pomyślał, iż usnęła, i nie wiedział, czy powinien być z tego zadowolony, czy nie. Już zamierzał uczynić znak krzyża, by udzielić jej rozgrzeszenia, gdy jeszcze raz otworzyła oczy. Drżenie ustało.

Wyglądało na to, że zyskała trochę sił.

- Molly nie jest moim dzieckiem, proszę księdza. Ostrożnie, pomny na pracę każdego mięśnia i kości, zdjął lewą rękę z jej ramienia i przyłożył do prawej, składając je jak do modlitwy. Zebrał całe swoje profesjonalne doświadczenie.

- Rozumiem, moje dziecko. - Przełknął głośno ślinę. Nie miał wyjścia. Wykraczał poza konfesjonał, ale musiał wiedzieć.

- Czyim jest dzieckiem, Sorcho?

Spostrzegł, że ulga już wygładziła jej twarz. Kobieta mówiła wyraźniej i głośniejsze:

- Nie wiem, proszę księdza. Micheal wyłowił ją z morza. Ksiądz Morahan nie czuł, czy sam oddycha.

- Kiedy to było, moje dziecko?

- Pierwszego maja 1953 roku.

Zmusił się, by zachować ton, jaki przystoi duchownemu.

- Ale, Sorcho, jak wyjaśniłaś wszystkim obecność dziecka?

- Moja mała Molly chorowała i zmarła tej samej nocy.

- Nikt cię o nic nie pytał? - Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Myślę, że każdy na wyspie musiał wiedzieć, iż twoje dziecko jest chore. Jak to wyjaśniłaś?

- Krążyły opowieści o podmianie dzieci, proszę księdza, ale u nas każdy pilnuje swoich spraw. Nowe dziecko było w tym samym wieku i też miało jasną cerę. Nie przejmowałam się gadaniną i kochałam je jak własne, Boże, wybacz mi.

- Gdzie ono jest, Sorcho? To dziecko? Mam na myśli twoje dziecko...

- Micheal pochował ją pod zagonami ziemniaków.

Przed oczami stanęły mu ziemniaki, które jadł tego wieczoru na kolację. Ile innych małych ciałek dodawało im smaku na tej przeklętej wyspie? Zmusił się do słuchania słabego głosu.

- Odmówiłam nad nią modlitwy, proszę księdza, i została pochowana z różańcem w ręku. Modliłam się za to dziecko każdego dnia bez wyjątku przez całe życie, proszę księdza.

Wsparł głowę na jednej ręce, przyjmując pozycję jak przy spowiedzi.

- Czy Molly - mam na myśli tę Molly - wie?

- Nie, proszę księdza. - Niewielki przyptyk sił kobiety prawie się wyczerpał. Pat Morahan usłyszał brzęk filiżanek na kredensie. Brendan robił w kuchni herbatę.

- Czy wie o tym ktoś jeszcze? Brendan? Conor? - spytał natarczywie. Uświadomił sobie, że zachowuje się bardziej jak detektyw niż jak ksiądz. Pokręciła głową. Znowu zamknęła oczy. Mechanicznie, rutynowo, uczynił znak krzyża. - *Ego te absolvo...* - Gdy szeptał te słowa, uderzyło go nagle odkrycie: jest jedyną osobą, która wie. Wstał jak bardzo stary człowiek. Zobaczył, że Sorcha śpi spokojnie z rękoma wciąż splecionymi. Wyszedł na palcach z pokoju do kuchni.

Brendan spojrział znad czajnika, z którego ał wrzątek do poczerniałego imbryczka, stojącego w schowku obok kominka. Ó Briainowie mieli kuchenkę gazową w kuchni ale tak jak wielu wyspiarzy, wciąż używali haka nad paleniskiem, by zagotować wodę.

- Napije się ksiądz herbaty?

Pat Morahan skinął głową i usiadł na jednym z krzeseł przy kominku.

Czekali, aż herbata naciągnie. Brendan patrzył w ogień, a ksiądz zwrócił wzrok w stronę stołu. Przyglądał się pustej puszcze po sardynkach, Zauważył, że do tłustej powierzchni metalowego wieczka, ściśle nawiniętego na otwieracz, przykleił się drobny płatek popiołu. Kuchnia wyglądała na opuszczoną, zaniedbaną. Dwa brudne talerze stały na kredensie miotła leżała w drzwiach. Zastanawiał się, jak będzie wyglądał po kilku latach dom powierzony pieczy samego Brendana. Burza na zewnątrz szalała jak nigdy dotąd. Wiatr wył w szerokim kominie i miotał krople deszczu w dół na ogień, który trzaskał i syczał. Musieli usiąść dalej żeby nie dławić się dymem, którego kłęby wylatywały od czasu do czasu Ale kiedy tak obydwaj popijali herbatę, ksiądz Morahan cieszył się z hałasu. Burza uniemożliwiała rozmowę

Pragnienie, żeby ją zobaczyć, stało się tak silne jak sztorm na dworze. Poczuł, że w samotności pewnie by zapłakał. Przyjazd na Inis Oirthir zawsze wiązał się z niebezpieczeństwem, ale jemu udawało się zepchnąć myśl o niej w tajemne bezpieczne miejsce umysłu. Czasami jednak zapierało mu dech, gdy zobaczył kogoś, kto ją przypominał, lub słyszał niektóre przeboje. Głęboka noc należała wyłącznie do niej.

Wyznanie Sorchy jakoś nie wydawało mu się wcale takie dziwne. Chyba zawsze wiedział, że Molly nie może być dzieckiem tego nagiego, nędznego kawałka sponiewieranej skały. Gdy wpatrywał się w pokryty popiołem stół kuchenny, stało mu znowu przed oczyma jej jasne, lśniące ciało na piasku. Musiał wyjść. Wypił ostatni łyk herbaty. Kiedy wstawał, poczuł w kościach swój wiek. Brendan też się podniósł, ale ksiądz Morahan popchnął go delikatnie z powrotem na krzesło.

-Pójdę sobie, Brendanie - powiedział - ale wrócę tu wcześniej rano przed mszą. - Uścisnął Brendanowi dłoń i odwrócił się, ale mężczyzna zerwał się i chwycił go za ramię.

- Odprowadzę księdza.

- Nie, Brendanie. Powinieneś być tutaj ze swoją matką. Potrzebuje kogoś w domu. - Zauważył, że Brendan boi się zostać sam z umierającą kobietą. - Wiem, że jest ci ciężko, Brendanie, ale nie zostaniesz sam na długo. Wkrótce wrócę.

- Proszę księdza! -Tak?

Ale Brendan tylko zwiesił głowę. Ksiądz Morahan dotknął jego ramienia.

- Pożycz mi lampę, dobrze?

Brendan podszedł do kredensu i wziął lampę. Podał ją księdzu.

- Zadzwoń ksiądz do Molly?

Ksiądz Morahan skinął głową, a potem musiał poczekać, aż Brendan znajdzie w pięknydm dzbanku na mleko, stojącym na kredensie, numer telefonu Molly w Londynie.

Na dworze burza rzuciła się na niego jak demon, zdławiła mu oddech, ale ksiądz pochylił mocno głowę i niemal z radością powitał czarny chaos wiatru i wody. Mógł się wreszcie odprężyć. Zawierucha jednak, teraz dmąca w plecy, zmusiła go niemal do biegu. Po paru metrach potknął się i upadł ciężko. Ból przeszył mu ramię.

Z trudem, zadyszany, podniósł się przy murze, otarłszy sobie rękę o szorstki kamień. Usiłując złapać oddech, kurczowo trzymał się muru i stał tak nieruchomo, jak tylko potrafił, ale porywy wiatru znowu go pogały. Lodowaty, zaci-

naiący ze wszystkich stron deszcz wtargnął przez kaptur pod sztormiak i płynął zimnym strumieniem wzdłuż rowka pośrodku pleców. Ksiądz, czepiając się muru i usiłując rozpaczliwie utrzymać światło lampy na ziemi przed sobą, szedł naprzód.

Zwalił się jeszcze dwa razy. Przy drugim upadku lampa zgasła i wypadła mu z ręki. Pozostał na czworakach, pełza dookoła, zataczając małe kręgi, i usiłował ją znaleźć. Czuł pod rękoma śliskie, lodowate kamienie, a potem uderzył mocno głową w mur. Ból był tak dotkliwy, że po raz pierwszy w swym dorosłym życiu ksiądz Morahan stracił panowanie nad sobą. Przestał szukać lampy, znieruchomiał na czworakach i zaryczał przeciągle niczym byk.

Wrzeszczał z wściekłości, bólu i zawodu, rzucał wyzwania sztormowi.

„Bluźnił, - Pierdołę takiego Boga! Pierdołę! - wykrzyczał ze dwadzieścia razy. . . .t Opuścił głowę w ciemności i poddał się burzy, rozluźnił mięśnie, aż plecami uderzył o mur obok. Potem zwinięty leżał spokojnie pod osłoną wyszczerbionego muru jak jeden z psów na tej wyspie lub jak owca w jego rodzinnym Mayo.

Został na tym miejscu długo, z głową schowaną w kapturze, nie dbając o nic, zadowolony z szalejącego sztormu. Wyobrażał sobie, że jest odłamkiem skały, małym odłamkiem, kamieniem, który wiatr może potoczyć ścieżką w doł do morza, gdzie zatonie bez śladu w cichej ciemności. Taka cisza. Po chwili nie czuł już rąk ani nóg, a jego pobruzdzo-na twarz zastygła, tak że poruszenie jakimkolwiek mięśniem nawet zlizanie deszczu z warg, sprawiało mu ból.

Stopniowo obraz samego siebie - zwiniętego pod murem, przemoczonego głupca w średnim wieku - zmusił go do wstania. Poruszał się z jeszcze większym trudem niż poprzednio, walcząc z okropną pogodą i odrętwiałością rąk i nóg. W kaloszach czuł tylko kości piętowe, na których, zęby w ogóle iść, musiał balansować niczym na kijach od szczotki. Ostrożnie, krok po kroku, szedł w kierunku morza, trzymając się muru. .

Gdy dotarł do chaty swojej gospodyni, starał się zachowywać cicho, bo wiedział, że będzie na niego czekała.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, weszła do kuchni w męskim płaszczu narzuconym na koszulę nocną i zaczęła się użalać nad stanem swego gościa. Rozgarnęła popiół i postawiła czajnik na okopconej kuchni, by zagotować wodę.

- Niech ksiądz idzie zmienić ubranie - powiedziała. - Dam księdzu filiżankę herbaty z kropelką czegoś mocniejszego. Był zbyt wyczerpany, by zaprotestować lub zachować się uprzejmie. Podał jej sztormiak, żeby go gdzieś powiesiła. W sypialni spryskał twarz zimną wodą i umył otarte ręce. Potem zdjął przemoczone, brudne spodnie, zmienił je na czystą parę i wrócił do kuchni, gdzie krzątała się gospodyni. Z goryczą zauważył, że zbyt przejęła się swoją rolą w tym dramacie. Posadziła go na honorowym miejscu przy dużym kominku i podała herbatę.

- Proszę - powiedziała ze śpiewnym akcentem - niech ksiądz wypije. Wlałam tam kropelkę czegoś mocniejszego, na pewno przyda się księdzu, bo rna ksiądz przed sobą ciężki dzień.

Usadowiła się na mniejszym kiesele naprzeciwko niego i złożyła ręce na podolku.

- Jak się czuje Sorcha, to biedne stworzenie? - spytała. - Przetrwaj noc?

Był zbyt zmęczony, żeby odpowiedzieć. Wzruszył ramionami i łyknął herbaty, wzmocnionej ostrym w smaku bimbrem. Palący płyn spłynął mu przez przełyk do żołądka.

Nie obrazila się. W milczeniu razem patrzyli w ogień, który - tak jak w domu Molly - syczał pod kroplami deszczu, wpadającymi przez szeroki komin. Tak spędzili kwadrans, aż ksiądz skończył pić herbatę i głowa opadła mu na pierś. Gospodyni wstała i zabrała filiżankę, która wysunęła mu się z ręki. Potem zostawiła go i poszła do sypialni. Molly obudziła się tuż przed biciem zegara na dole. Było jej tak wygodnie, że nie miała ochoty się ruszyć, by sprawdzić godzinę na zegarku obok łóżka, więc policzyła uderzenia. Wybiła ósma. Na ulicach panowała cisza, żadnego ruchu, żadnych wozów dostawczych, a gwałtowna ulewa, która waliła o szyby wcześniej rano, chyba przeszła.

Molly wsunęła się głębiej pod kołdrę, rozkoszowała się ciepłem, świadomością, że to niedziela. Żadnych wywiadów, żadnych agentów prasowych, żadnej pracy, fryzjera czy kosmetyczki. Zamierzała przez cały dzień kręcić się po domu, czytać niedzielne gazety, oglądać telewizję. Na razie zostanie w łóżku tak długo, jak jej się zechce.

Myśli Molly błędziły wokół urządzania domu i różnych innowacji, jakie planowała teraz, kiedy mogła sobie na to pozwolić. Uwielbiała słońce i światło, jasne, świeże kolory. Jej sypialnia była utrzymana w takim samym stylu jak reszta domu. Białawe futrzaki na polakierowanych deskach podłogi, stare fotografie na ścianach, barwna patchworkowa narzuta na łóżku, gliniany dzbanek na biurku w wykuszu okiennym, a w dzbanku wczesne żonkile o pochylonych główkach. Tego lata zamierzała urządzić okno kwiatowe w wychodzącej na południe kuchni. Conor pomógłby jej w tym. Mogłaby nawet wbudować małą ptaszarnię.

Conor. Od kiedy wrócił, życie bez niego wydawało się Molly po prostu niemożliwe. Obdarzona żywą wyobraźnią, od dziecka przedstawiała sobie Conora w postaci olbrzymiego dębu, podpory mostu albo wieży starej katedry. Zawsze było to coś potężnego, solidnego. Często próbowała też sobie wyobrazić, jak brat ją widzi, i sądziła, że - dla pewnej równowagi - postrzega ją wciąż bardzo prozaicznie, jako dziecko, małą dziewczynkę w kwiecistej sukience, z gołymi nogami, której ulubioną rozrywką jest zbieranie różowych muszelek na plaży.

Podkurczyła palce u nóg pod gładką, ciepłą pościelą. Kiedyś, gdy miała mniej więcej siedem lat, usiłowała opisać Conorowi własną wizję nieba. Zaintrygowało ją pojęcie nieba nieskończonego w swej wielkości i zapytała nauczycielkę, jak Bogu udaje się w nim pomieścić tak wiele miliardów dusz, codziennie nowe miliardy.

Bóg jest dobrym organizatorem, wyjaśniła nauczycielka. Odtąd Molly zawsze widziała niebo w postaci olbrzymiej platformy unoszącej się w wiecznej nieskończoności, jasnoniebieskiej z puchatymi chmurkami. Na platformie znajdowało się mnóstwo rzędów drewnianych ławek szkolnych, w których posadzono miliardy identycznych, nieskazitelnie

białych dusz. Miały one kształt trójkątów i wszystkie balansowały na jednym z wierzchołków, tak żeby jak najwięcej zmieściło się w każdej ławce.

Molly próbowała wyjaśnić to Conorowi i opowiedzieć

o pracy Boga w niebie, zawsze zajętego przyjmowaniem rzesz nowych dusz i przynoszeniem dla nich coraz większej ilości ławek. Niebo - zdaniem siedmioletniej Molly - było strasznie nudne.

Conor tylko ryknął śmiechem, połaskotał ją zartobliwie

1 na tym się skończyło.

Wczoraj wieczorem, gdy wróciła z teatru do domu, zadzwonił, pełen planów. Zdobył pracę jako strażnik w londyńskim zoo; choć nie jest to wysoko płatne zajęcie, po zapłaceniu czynszu za kawalerkę przy Battersea wystarczy mu pieniędzy na jedzenie i chesne za wieczorowy kurs archeologii. Wydawał się zadowolony i Molly cieszyła się za niego - i za siebie. Przynajmniej przez jakiś czas Conor zagrzeje tu miejsce.

Zastanawiała się teraz, czy powinna porzucić rozkoszne ciepło, by zrobić sobie filiżankę herbaty lub kawy. Nawet gdy się potem wróci do łóżka, nie jest to już to samo. Wciąż prowadziła sama ze sobą leniwą dyskusję na ten temat, gdy zadzwonił telefon. Wyciągnęła rękę i podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Wyjdiesz za mnie?

- Christianie! Wiesz, która jest godzina? - Ale rozgrzana i bezpieczna w łóżku, roześmiała się.

- Oczywiście, wiem, która jest godzina. Chodzi o to, czy za mnie wyjdiesz?

- Na miłość boską. Zjedliśmy razem jeden lunch!

- Tak, ale jaki lunch!

- Całkiem zwykły, moim zdaniem. Sałata, stek, nic, co by wstrząsnęło światem.

- To był najbardziej niezwykły lunch w historii świata. Wyjdź za mnie, a nie będziesz już nigdy musiała jeść sałaty!

- Ale może ja chcę jeść sałatę.

- Kupię ci fabrykę sałaty.

- Christianie, odkładam słuchawkę. Mam kilka spraw do załatwienia.

- Tak wcześnie rano?
- Spraw, których ty nie zrozumiesz. Jesteś Amerykaninem! - Przeciągnęła się leniwie i ziewnęła.
- Angielskich spraw? - dopytywał się.
- Irlandzkich.
- Jakich?
- Tajemniczych, które nic mają z tobą nic wspólnego
- Więc załatwmy te tajemnicze sprawy razem.
- Christianie! Wracaj do Chicago. Spotkamy się, gdy będziesz następnym razem w Londynie.
- Teraz jestem w Londynie. Nie mogę pojechać do domu bez jakiegoś znaku, że wyjdiesz za mnie. To okrucieństwo. Będę musiał wstąpić do stowarzyszenia.
- Tego, które dało mi nagrodę?
- Nie, to inne stowarzyszenie. Stowarzyszenie Naprawy Złamanych Serc.
- Ach, tak. No cóż, chyba rzeczywiście będziesz musiał. Odkładam słuchawkę.
- W porządku, moja droga Śpiąca Królewno. Zadzwoń do ciebie ze Stanów.
- To będzie kosztowało majątek, Christianie.
- Och, nie, nie będzie. „Sentinel” zapłaci - jeśli jeszcze mam pracę, oczywiście!
- Dlaczego miałbyś nie mieć?
- Nie zaprzataj sobie tym swojej pięknej główki - to drobnostka. Jestem spóźniony o trzy dni i nie mam żadnego artykułu...
- Christianie!
- Powiedziałem, żebyś się nie martwiła, królewno. To mój problem. Pomyśl raczej o mojej propozycji. Miłego dnia!
- Do widzenia, Christianie!
- Do widzenia, królewno...

Nikt nigdy nie zalecał się do niej w ten sposób i choć nie traktowała Christiana poważnie, wywołał w niej jednak uczucie podobne do tego, kiedy pierwszy raz piła szampana. Amerykańska szczerść, pewność siebie, ciepło i urok były jak świeży powiew. Nigdy nie spotkała nikogo, kto by tak dosłownie miał serce na dłoni. Christian był zabawny, interesujący i czuły.

Jeśli Conor był dla niej dębem, to czym jest Christian? Próbowała to sobie jakoś wyobrazić. Christian - niedościgniona, śmigająca srebrna rybka, zawsze w ruchu. Przywołała w myślach jego gibkie, wysportowane ciało, szerokie ramiona, długie nogi, wąskie biodra. Bez wątpienia, pociągający z niego mężczyzna.

Znow zadzwonił telefon na stoliku przy łóżku, po raz drugi przerywając jej rozmyślania. Podniosła słuchawkę.

- Powiedziałam ci, żebyś wyjechał do Chicago!

Ale na linii rozległy się trzaski, a potem dotarł cichy kobiecy głos z bardzo daleka. Ledwie rozróżniała słowa.

- Halo, halo, halo... - powtarzała kobieta, najwyraźniej krzycząc.

- Halo - odpowiedziała Molly, teraz już zaniepokojona. Nie usłyszała odpowiedzi, tylko jeszcze więcej trzasków.

- Halo? - rzuciła głośnie. Rozpoznała zakłócenia atmosferyczne. Nigdy nie miała telefonu z Inis Oirthir tak wcześnie rano. I to w niedzielę. Na pewno wydarzyło się coś złego. Spuściła nogi i usiadła na brzegu łóżka.

- Halo? - powtórzyła. - Kto mówi? Czy jest tam ktoś? Teraz usłyszała męski głos, również bardzo cichy, choć rozpoznała po tonie, że mężczyzna też krzyczy w słuchawkę.

- Halo, czy to ty, Molly?

- Tak! - odchrząknęła. - Czy to ty, Brendanie? - Brendan dawno temu rzucił pracę w Birmingham i zamieszkał z powrotem na wyspie z mamą.

- Tu ksiądz Pat Morahan - powiedział oddalony głos. Ciało Molly zeszywniało.

- Halo! Halo! Czy jeszcze tam jesteś? - wołał ksiądz. Zmusiła się do odpowiedzi.

- Czy stało się coś złego, proszę księdza?

- Molly, czy mogłabyś jak najszybciej przyjechać? Twoja matka... - Jego głos całkiem zanikł.

Ścisnęła słuchawkę.

- Halo, proszę księdza, halo... halo... - powtarzała. Powiedział coś, czego nie zrozumiała, i zawiedziona, niemal płacząc, przyłożyła usta prawie do samego mikrofonu.

- Czy..ksiądz...mnie...słyszysz? - Ale znowu nie udało się

zrozumieć odpowiedzi. - Nie...słyszę...księdza! - Nadał trzaski.

Mówiła powoli i bardzo wyraźnie, wykorzystując aktorską dykcję.

- Niech ksiądz odpowiada tylko „tak” lub „nie”. Czy mama żyje?

Usłyszała ciche „tak”.

- Czy...z nią...bardzo...źle? - Dotarły do niej tylko słowa „ciężko chora” i coś, czego nie zrozumiała. - Przylecę pierwszym samolotem, na który się dostanę, proszę księdza! - krzyknęła.

- Dobrze, Molly! - odkrzyknął. Połączenie zostało przerwane. Siedziała, gapiąc się na słuchawkę w rękę. Odłożyła ją. Odruchowo spojrzała na zegarek. Ósma czterdzieści dwie. Wstała, weszła do łazienki i puściła wodę. Była już niemal pod prysznicem, ale nagle się cofnęła.

Conor!

Zakręciła kran, wróciła do telefonu i wykręciła numer Conora. Sygnał zahuczał cztery razy, zanim Conor podniósł słuchawkę.

- Miałam telefon z Inis Oirthir - powiedziała, usiłując opanować panikę w głosie. - Mama jest bardzo chora. Jadę tam zaraz. Ty też chcesz pojechać?

Na drugim końcu linii zapadło milczenie.

- Słuchaj - ciągnęła nagłym tonem. - Spotkajmy się na Heathrow. Będę tam za niecałą godzinę.

- Dobrze - odparł. - Zatem do zobaczenia.

Ze względu na niedzielę, kiedy to panuje zmniejszony ruch na ulicach, droga na lotnisko zabrała tylko czterdzieści minut, ale Conor przyjechał szybciej. Zobaczyła go od razu po wejściu do olbrzymiej hali odlotów, wspólnej dla wszystkich krajowych linii lotniczych i połączeń między wyspami. Stał przy jednym ze stanowisk Aer Lingus i gapił się w przestrzeń. Nie ogolony, zmizerowany, w dżinsach i bluzie, na którą zarzucił wełniane palto. Instynkt podpowiadał Molly, by podbiegła do brata i zarzuciła mu ręce na szyję, ale powstrzymała ten odruch. Gdy dotarła do Conora, dotknęła tylko jego łokcia.

- Conorze?

Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Molly zostawiła go i przeszła do kasy biletowej. Miała szczęście, samolot do Shannon odlatywał o jedenastej. Posługując się kartą kredytową kupiła bilet powrotny typu *open* i wróciła do stanowiska, przy którym wciąż stał Conor. Pracownica linii lotniczych, elegancko ubrana w znajomy zielony mundur, była Irlandką.

- Ilu pasażerów?

- Tylko ja - odparła Molly. Urzędniczka zakończyła formalności.

- Jakiś bagaż?

- Nie, tylko torba podręczna...

Conor nadal stał za Molly, gapiąc się w przestrzeń. Pracownica linii lotniczych spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Czy z pani towarzyszem wszystko w porządku? - spytała. - Nie wygląda dobrze.

- Dopiero co dowiedział się o śmierci jednego z przyjaciół w kraju. Jadę właśnie na pogrzeb, on, niestety nie może. Nawał pracy... - dodała, improwizując.

Urzędniczka skinęła głową ze współczuciem. W Londynie mieszka mnóstwo Irlandczyków, więc często widywała ludzi nagle wyjeżdżających do kraju, by pochować przyjaciół czy krewnych.

- Wie pani co - powiedziała - ma pani co najmniej pół godziny do wejścia na pokład. Sprawdzę, czy nie mogłabym umieścić państwa w sali dla ważnych osobistości. Zapewni to państwu trochę wygody i spokoju.

Zatelefonowała gdzieś i za kilka minut przyszedł pracownik lotniska, by wskazać im drogę. Zabrał ich na górę, na półpiętrze były drzwi, za którymi znajdowała się mała salka z dwiema sofami, fotelem i niskim stolikiem. Mężczyzna spytał ich, czy chcieliby kawę, herbatę lub może coś mocniejszego. Gdy ze wszystkiego zrezygnowali, wyszedł po cichu. Kiedy zostali sami, Conor chwycił się rękami za głowę.

- Co mam robić, Molly?

- Naprawdę nie chcesz pojechać ze mną? - spytała. - Jest niedziela rano, nie będzie dużo ludzi, nie ma urzędnika imigracyjnego po irlandzkiej stronie...

Pokręcił głową z goryczą.

- Na miłość boską, Molly, opamiętaj się! - Niemal krzyczał. - Gdy tylko pojawię się na wyspach, policja się dowie. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja!

- Wiem, wiem, przepraszam. Chciałabym tylko wymyślić jakiś sposób, żeby ci pomóc.

Napięcie między nimi narastało. Okna pomieszczenia miały podwójne szyby. Krzątania widoczna na zewnątrz była jak niemy film, puszczone na tle szarego nieba.

- Może nie umrze - powiedziała w końcu Molly, choć wiedziała, że nie brzmi to przekonująco.

Znowu potrząsnął tylko głową.

Czas płynął. Poranna prasa irlandzka leżała na małym stoliku w rogu salki. Conor wziął egzemplarz „Sunday Independent”, rozłożył go i pochylił głowę nad otwartą gazetą. Ale po chwili rzucił ją na stół, wstał i podszedł do okna.

- Chciałbym, naprawdę chciałbym... Gdybym nie... gdyby on nie... Gdyby mu się to nie przydarzyło...

- Przestań, Conorze! - powstrzymała go, zaniepokojona zamianą ról. To on zawsze wiedział, co robić, panował nad sobą.

- To była tak samo moja wina, jak twoja - powiedziała uspokajająco. - Sprowokowałam go.

- Nie bądź śmieszna! - wykrzykiwał. - Z pewnością go nie sprowokowałaś. Był strasznym, przerażającym człowiekiem.

- Ale, Conorze...

- Nie sprowokowałaś go, do kurwy nędzy!

Naprawdę się przestraszyła. Conor rzadko przeklinał. Intuicja podpowiadała jej, że należy uspokoić brata za wszelką cenę, ale siedziała na sofie jak sparaliżowana.

Zacisnął pięści i uderzył jedną o drugą.

- Nie masz pojęcia, co przeżywałem za każdym razem, kiedy widziałem, że podnosi na ciebie rękę.

Molly patrzyła, jak Conor przemierza tam i z powrotem przestrzeń między dwiema sofami. Od dzieciństwa nie czuła się tak bezsilna.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Młody pracownik lotniska sprawdzał, czy czegoś nie potrzebują. Conor

wciąż stał odwrócony tyłem do drzwi, wyglądając przez okno. Molly, wyrwana z rozmyślań, chciała pozbyć się mężczyzny, więc zamówiła kawę.

Młody człowiek wyszedł, zostawiając drzwi lekko uchylone. Conor nie ruszył się z miejsca.

Odwrócił się po wyjściu pracownika lotniska i posłał Molly spojrzenie, które wzburzyło jej krew. Nigdy tak wyraźnie nie uświadamiała sobie, że brat jest o dobre dziesięć- dwanaście centymetrów wyższy od niej.

Podszedł do Molly i podniósł ją z sofy, chwytając za ramiona. Niezwykłość chwili sprawiła, że pomyślała, iż chce ją pocałować. Ale on opuścił ręce i wrócił do okna. Widziała, jak pobiełały mu kostki dłoni, gdy ścisnął palcami ramę okienną.

Ostrożnie ugięła nogi, które miała jak z gumy, i usiadła z powrotem. Samolot przetoczył się przed oknami i ryk silników, przytłumiony podwójnymi szybami, wypełnił małą salkę.

Pracownik lotniska wrócił z kawą. Oczy wbite miał w maleńką tackę, by nie rozlać płynu.

- Przepraszam - powiedział - ale obawiam się, że musi pani pić dość szybko. Wchodzi pani na pokład za trzy- cztery minuty.

Na szczęście kawa już trochę wystygła, tak że mogła ją przełknąć. Conor zabrał jej płaszcz z poręczy sofy, na której siedzieli. Jego twarz była jak maska.

- Wszystko masz?

Wzięła od Conora okrycie i skinęła głową, bojąc się spojrzeć na brata. Pracownik lotniska podniósł jej torbę podręczną i we trójkę wyszli z pokoju. Przed barierkami Conor zatrzymał się.

- Dalej nie idę - powiedział spokojnie. Pocałował ją w policzek. Odwrócił się i powoli odszedł.

Molly weszła ostatnia na pokład samolotu, który był zapełniony tylko do połowy, i drzwi niemal natychmiast zamknięto. Nie przyjęła cukierka zaproponowanego przez stewardesę i zamknęła oczy, gdy odrzutowiec zaczął się toczyć na punkt startowy. Wspomnienie niezwyklej sceny w sali odlotów zastąpił paniczny strach przed lotem. Jak

zwykle, gdy silniki ryczały przed startem, żołądek jej się wywracał. Zacisnęła ręce na poręczach siedzenia tak mocno, że ją rozbolewały, i choć od lat nie przekroczyła progu kościoła, zaczęła odmawiać dziecięcą modlitwę. -Aniele Boży, stróżu mój, iy zawsze przy mnie stój, rano, wieczór, we dnie, w nocy bądź mi zawsze ku pomocy. Powtarzała to w myśli wciąż od nowa, gdy samolot pędził pasem startowym, i otworzyła oczy dopiero poczuwszy zmianę w kącie nachylenia i drgania, które oznaczały, że oderwali się od ziemi.

Podczas lotu usiłowała wymazać z pamięci twarz Conora, czytając pismo „Cara”, wydawane przez linie Aer Lin-gus, ale obraz brata wciąż pojawiał się na lśniących, kolorowych stronach. Zmusiła się, żeby nie myśleć o nim, lecz o matce.

W Shannon natrafiła na piękną pogodę i była wdzięczna taksówkarzowi, że w drodze na nowe lotnisko w Oranmore, za Galway, nie wszczynał rozmowy. Oparła głowę o zniszczone siedzenie i patrzyła na mijane krajobrazy hrabstwa Clare. Choć niskie styczniowe słońce świeciło jasno, burza, która przeszła zeszłej nocy, zostawiła wyraźne ślady. Liche pola stały pod wodą, w górze jaśniało obmyte deszczem niebo; z wielu bezlistnych drzew na poboczach drogi zwisały na wpół połamane gałęzie i kilka razy musieli omijać zwalone pnie. Opony taksówki bez przerwy chrzęściły na ściółce z gałęzi. Jeśli jest tak źle tutaj, czterdzieści kilometrów w głąb lądu, pomyślała Molly, to jak musi wyglądać na wyspach?

Przejechali przez centrum Ennis, gdzie musieli zwolnić z powodu zwiększonego ruchu samochodów i rowerów przed kościołem po późnej mszy. Molly już oddaliła się milion kilometrów od Londynu. Znane irlandzkie nazwy podnosiły ją na duchu, kiedy mijali wioski i drogowskazy. Powtarzała w duchu swojskie, łagodnie brzmiące słowa: Dromore i Crusheen, Carra Lake, Gort i Kiltartan, Laban, Ardrahan, Kilcolgan, Kilcarnan, Clarinbridge... Było tuż po wpół do trzeciej, gdy dojechali na lotnisko w Oranmore. Zapłaciła kierowcy i weszła do maleńkiego jednopiętrowego budyneczku, niewiele większego od zwy-

kłego pawiloniku, który służył jako sala odpraw, punkt zborny, poczekalnia, ekspedycja bagażowa i centrum łączności Aer Arann, linii lotniczych, obsługujących wszystkie trzy wyspy.

Wiadomości na temat Sorchy najwyraźniej się rozeszły, bo w chwili, gdy Molly weszła do baraczku, dziewczyna zza kontuaru, która - jak rozpoznała Molly - należała do rodziny O'Flahertych z Inis Mór, wstała i złożyła jej wyrazy współczucia.

- Spodziewaliśmy się ciebie, Molly. Wszystkim nam bardzo przykro z powodu biednej Sorchy. - Ta uprzejmość i troska zachwiały trochę opanowaniem Molly, ale podziękowała dziewczynie i przyjęła filiżankę herbaty, którą zrobiono dla niej za kontuarem.

- Teraz to już nie potrwa! długo - powiedziała córka O'Flaherty'ego. - Wyruszacie o trzeciej.

Samolot islander, mały i mocny, zaprojektowany specjalnie do lotów między wyspami, według planu miał najpierw zatrzymać się na Inis Mór, a potem na Inis Oirthir, ale linie lotnicze, respektując wagę podróży Molly, zmieniły rozkład i to ona lądowała teraz pierwsza. Leciało tylko pięciu innych pasażerów, wszyscy na większą wyspę, wracają - jak na ironię - z pogrzebu na lądzie. Ale nie sprzeciwili się zmianie trasy, spoglądając na Molly ze współczuciem. Za pięć trzecia cała szóstka po kolei została zważona z bagażem na dużej wadze Berkela. Pilot osobiście ważył pasażerów, gawędząc z nimi podczas zapisywania wyników w manifeście.

Podczas lotu nic się nie wydarzyło. Sunęli na zachód nad zatoką Galway przez piętnaście minut, aż przed ich oczyma pojawiła się Inis Oirthir. Molly po raz pierwszy widziała swój dom z powietrza i mimo dramatycznej przyczyny tej wizyty, zafascynował ją nagi, pozbawiony drzew krajobraz, niemal w całości jasnoszary, głęboko ponacinany szczelinami i naznaczony zwariowanym wzorem kamiennych murów. Wyspa wyglądała jak wapienna układanka na powierzchni ciemnozielonego oceanu.

Zniknęła jej z oczu, gdy pilot zatoczył koło nad morzem i skierował maszynę w kierunku płaskiego trawiastego cypla, który służył jako pas startowy. Dostrzegła traktor

z przyczepą, używany do przewożenia ładunku i bagaży, oraz paru ludzi stojących na trawie, którzy osłaniając oczy rękoma, patrzyli do góry. Przybycie samolotu Aer Arann zawsze stanowiło atrakcję w życiu wyspy i zwykle przyciągało tłum, ale dzisiaj - w niedzielę - wielu ludzi najwyraźniej jeszcze siedziało przy obiedzie.

Choć na dworze było sucho i pogodnie, wciąż jednak wiał silny wiatr. Małym samolotem huśtało, gdy wytracał wysokość, i Molly zaczęło mdlić. Uświadomiła sobie, że cały dzień nie jadła, wypila tylko letnią kawę na Heathrow i filiżankę herbaty w Oranmore. Ale zanim ją zemdlilo na dobre, samolot przechylił się jeszcze raz i uderzył o trawę. Molly wyjrzała przez okno i rozpoznała jedną osobę. Był to ksiądz Morahan, starszy, grubszy, ale niewątpliwie on. Wiatr rozwiewał mu włosy na wszystkie strony, postawiony kołnierz czarnego palta osłaniał uszy. Zaabsorbowana innymi wydarzeniami tego dnia, nie pomyślała o nim dotąd. Jak mogła być taka głupia? Nieuchronnie przecież musiała się z nim spotkać. Brendan na pewno opiekuje się mamą.

Samolot podskakiwał na wybojach, aż stanął. Pilot odpiął pasy. Wstał z siedzenia, otworzył drzwi i natychmiast zimne powietrze wdarło się do małej kabiny. Nie było odwrotu. Molly też uwolniła się z pasów, wzięła torbę podręczną i z trudem wstała z siedzenia. Jeden z pasażerów lecących dalej, na Inis Mór, musiał zeskoczyć na trawę, by mogła przejść.

Pilot pożegnał się z nią. Poczekała, aż wspiął się z powrotem do samolotu, a potem odwróciła się do księdza, który wciąż zwlekał z podejściem. Przeszła wąski pas trawy, który ich rozdzielał, i gdy zbliżyła się do duchownego, wyciągnęła rękę.

- Jak się ksiądz miewa?

Chwycił rękę Molly, ale ledwie jej dotknął, już ją wypuścił.

- Dobrze, Molly - odparł. - Bardzo mi przykro z powodu Sorchy...

Skinęła głową. Zapadło milczenie. Ksiądz przerwał je, pochylając się, by wziąć torbę z ręki Molly. Zauważyła, że lewą dłoń ma obandażowaną. Odwrócił się i ruszył w kie-

runku małego otworu w kamiennej ścianie, która biegła wzdłuż jednej strony lotniska.

- Co się księdzu stało w rękę? - zapytała, gdy wcisnęli się do poobijanego samochodu, który pożyczył, by odwieźć ją do domu. Auto, jedno z kilku na wyspie, było skorodowane i małe. Molly miała kłopoty ze zmieszczeniem nóg pod tablicą rozdzielczą, nie tylko dlatego, że u jej stóp, na podłodze, leżał sześciowoltowy akumulator.

- O, nic wielkiego - odrzekł. Wyskoczył z samochodu, mrużąc coś o sprawdzeniu wody, więc musiała siedzieć niewygodnie przez kilka minut, usiłując ustawić jakoś stopy na akumulatorze, podczas gdy on majstrował pod maską samochodu.

Wreszcie wsiadł z powrotem i wbił wzrok przed siebie. Wydawało się, że skurczył się w sobie, żeby nawet milimetr powierzchni jego ciała nie dotknął Molly, co nie było łatwe w ograniczonej przestrzeni. Poczula, że łydki zaczynają jej drętwieć, gdy reagując na to, z wysiłkiem próbowała utrzymać własne ciało z dala od jego. Widziała wyraźnie piegowatą skórę nad bandażem na jego lewej ręce, która spoczywała na dźwigni zmiany biegów, niczym gruby pajak, zaledwie parę centymetrów od jej uda. Wiedziała, że on to czuje, bo po chwili wsunął dłoń do kieszeni. Nie wyjął ręki przez resztę podróży, choć silnik dygotał i należało zmienić bieg, kiedy jechali pod górę.

Gdy dotarli do miejsca, skąd widać było dom, zobaczyła grupkę mężczyzn stojących przed frontowymi drzwiami. Dwóch z nich rozpoznała: jeden to wuj, a drugi - jego syn, kuzyn Molly. Wszyscy mężczyźni mieli na głowach czapki i wszyscy trzymali ręce w kieszeniach niedzielnych ubrań. Dwie kury i kogucik wydziobywały coś z ziemi u ich nóg.

Molly mówiła sobie, że nie ma powodu czuć się zakłopotana, kiedy mężczyźni gapili się na nią spod czapek, jednakże ich kose spojrzenia zdecydowanie sprawiły jej przykrość. Zawahała się, gdy wraz z księdzem dochodzili do drzwi, ale grupa rozdzieliła się, część odstała w jedną stronę, a dwaj mężczyźni w przeciwną. Kiedy ich mijała, najpierw jeden, a potem drugi dotknął ręką czapki. Molly z wysoko podniesioną głową otworzyła drzwi i weszła do

środku. Ksiądz Morahan podążył za nią, ale tylko położył jej torbę pod ścianą w kuchni i od razu wyszedł. W kuchni było jasno i czysto, do ognia dosypane, a sąsiadka zmywała naczynia w małym pomieszczeniu obok. Molly nie zastała tu Brendana, przypuszczała, że siedzi przy matce. Przywitała się z sąsiadką, ale zwlekała z wejściem do Sorchy, zbierając siły. Podczas gdy kobieta przygotowywała jej filiżankę herbaty, Molly wyglądała przez okno. Mężczyźni na dworze odwrócili głowy, patrząc za księdzem, który odszedł kawałek ścieżką. Zatrzymał się w miejscu, gdzie dwa mury tworzyły niezbyt regularny kąt prosty, oparł się o nie i zaciągnął papierosem. Mężczyźni, pochłonięci obserwacją, nie zauważyli, że Molly się im przygląda. Zobaczyła, że jeden z nich chichocze, i nagle poczuła wielkie zadowolenie, iż mieszka w wielkim zatłoczonym mieście, gdzie ludzie są anonimowi. Brendan wyszedł z pokoju matki. Był bardzo chudy i lekko przygarbiony. Wstrząśnięta Molly stwierdziła, że wygląda jak stary człowiek.

- *Dia dhuit** - powiedział z zakłopotaniem.

Molly też się przywitała. Nigdy nie byli z Brendanem blisko i wiedziała, że brat ma jej za złe karierę w Anglii i sukces, który osiągnęła. Jednakże widząc Brendana w takim stanie, jedynie mu współczuła. W pierwszym odruchu chciała go uścisnąć, ale się powstrzymała.

- Mama leży? - spytała.

Skinał głową. Gestem dała znać sąsiadce, że herbatę wypije później i weszła do pokoju matki.

Piecyk na gaz z butli cicho syczał pod oknem. Łóżko było schludnie zasłane świeżą pościelą i czystymi wełnianymi kocami pod nieskazitelnie białą narzutą z surowego płótna. Ktoś zarzucił białą serwetkę na stelaż lampki nocnej i miękkie światło łagodnie zalewało twarz Sorchy na białej, lnianej poduszce. Ręce spoczywały na kapie, podnosząc się i opadając nieregularnie w rytm płytkich oddechów chorej. Siwe, sięgające ramion włosy były rozpuszczone, ale porządnie uczesane. Przytrzymała je niestosowna w tej sy-

* **Niech będzie pochwalony. (irl.)**

tuacji dziecięca opaska z czerwonego plastiku. Ten szczegół ugodził Molly w samo serce.

Uklękła przy łóżku. Kilka minut wpatrywała się w twarz matki, a potem łagodnie ujęła starczą rękę w swoją własną. Sorcha miała skórę szorstką i stwardniałą i cienka złota obrączka niemal w niej zniknęła, ale sama dłoń była mała i delikatna. Tak mało czasu zostało, żeby powiedzieć matce, jak bardzo wszyscy ją kochają. Może w ogóle nie ma na to czasu. Poglaskała kruchą rękę i przyłożyła do niej policzek. Skóra była twarda i sucha. Sorcha otworzyła oczy.

- Czy to ty, Molly? - wyszeptała. Usiłowała się podnieść, ale ledwo udało jej się poruszyć głową.

- Odpoczywaj, mamó, odpoczywaj - powiedziała Molly. - *Suan** - Pochyliła się i ucałowała wilgotne czoło matki.

- Ale po długiej podróży, musisz...

- Daj spokój, mamó. Odpocznij sobie... Sorcha uległa. Próbowwała się uśmiechnąć.

- Jestem szczęśliwa, że przyjechałaś, Molly.

- Kochana mamusiu, kochana mamusiu... - To wszystko, co Molly udało się wydobyć w odpowiedzi. Wciąż trzymała małą, stwardniałą rękę w obydwu dłoniach.

- Co ja zrobię bez ciebie? - szepnęła niemal do siebie, kryjąc twarz w narzucie.

Sorcha z wielkim trudem podniosła drugą rękę i pogłaskała głowę córki.

- *Cśśś, a chroi***, teraz ty będziesz opiekować się rodziną. Wszystkie wielkie plany Molly, wszystko, o czym chciała opowiedzieć matce, nie miało teraz sensu. Widziała, że nie ma na to czasu.

- Zaopiekuję się nimi, mamó. Odpoczywaj teraz. Zajmę się wszystkimi.

Coś się poruszyło za jej plecami. Brendan wsunął się do pokoju i stał, wyłamując palce. Twarz miał naznaczoną cierpieniem.

Gdy Molly odwróciła się z powrotem do matki, Sorcha spoglądała prosto na nią.

*** Odpocznij, (iri.) ** moja droga (irl.)**

- Chcę tylko powiedzieć - zaczęła cicho, tak cicho, że Molly musiała się mocniej pochylić, by usłyszeć - że matka wie więcej, niż córka myśli, że wie...

Molly wsunęła rękę pod głowę Sorchy, jak by chciała ją ukołysać. Twarz matki była zwrócona ku niej. Molly odgarnęła kosmyk swoich włosów z policzka Sorchy i wzięła ją za rękę. Ledwo dosłyszała ostatnie ciche słowa:

- *Maith dom ġ11 Maith dom cli* * Sorcha nie żyła.

- Cokolwiek to było, mamó, wybaczam ci - wyszeptała Molly w zwiotczące palce matki.

Podczas pogrzebu zaczął styczniowy deszcz i Una O'Connor trzęsła się z zimna, czekając przy grobie, by złożyć kondolencje Molly. Była ostatnia w kolejce. Dostrzegła na twarzy aktorki wysiłek, gdy ta starała się przypomnieć ją sobie.

- Una O'Connor - powiedziała dziennikarka, wyciągając rękę.

- Och, tak - odparła Molly. Wyglądała na prawdziwie zaskoczoną. - Przepraszam, że nie poznałam pani, ale nie spodziewałam się...

- Bardzo mi przykro z powodu pani matki - powiedziała Una. - Nie znałam jej, oczywiście, ale wiem, jak to jest stracić matkę.

- Skąd pani wie? - Molly wciąż trzymała rękę Uny.

- Moja matka zmarła w zeszłym roku...

- Nie - odparła Molly. - Mam na myśli, skąd pani wie o śmierci mojej mamy?

- Nekrologi w „Independent” - wyjaśniła Una.

- Dziękuję bardzo, że trudziła się pani z tak daleka, naprawdę doceniam to.

Una poczuła zakłopotanie. Jak zwykle, motywy jej postępowania były skomplikowane. Potraktowała pogrzeb jako okazję do wejścia w ponowny koniaki z Seanem Molloyem. Ośmieliła się nawet mieć nadzieję, że będzie tam obecny. Ale jednocześnie lubiła Margo Bryan i naprawdę chciała okazać jej współczucie. Molly puściła jej rękę.

* Wybacz **mi!** Wybacz **mi!** (irl.)

- Wstąpi pani do nas do domu?

- Och, nie! To spotkanie rodzinne.

- Proszę nie odmawiać, musi pani przyjść. Przejechała pani taki szmat drogi. To jest Brendan, mój brat.

Una przypuszczała, że ten wysoki, przygarbiony mężczyzna, który wygląda tak staro, że mógłby być ojcem Molly, to jej brat. W czasie rozmowy obu kobiet stał cicho, z założonymi rękoma, jakby czekał, by ktoś powiedział mu, co ma robić. Una знаła ten typ ludzi, słabych i smutnych. Uścisnęli sobie teraz dłonie.

- Bardzo mi przykro, panie Ó Briain.

- Tak, tak - powiedział pośpiesznie - niech pani wstąpi do nas do domu, niech pani wstąpi.

Una poczuła się jak oszustka. Pragnęła z całego serca cofnąć przyjazd tutaj. Brnęła za resztą żałobników przez monotonię szarą, ociekającą wodą, skalistą okolicę, a ciągle nowe fale deszczu uderzały w jej płaszcz, bezsensowny przy tej pogodzie. Jak można w ogóle żyć w takim miejscu?

Maleńki domek wyglądał tak, jak się spodziewała. Poczowała się niczym w innym świecie. Jednakże gdy otoczył ją gwar irlandzkiej mowy, tak szybkiej, że nie mogła nic zrozumieć, odnotowała fachowym okiem i zachowała w pamięci wygląd kuchni, kredens i poczerniały kominek, nieskazitelnie biały, wykrochmalony obrus na stole, butelki whisky, sterty kanapek i beczułkę mocnego portera, pożyczone kieliszki z różnych kompletów i rzędy krzeseł. Wzięła kieliszek whisky od jakiejś kobiety, która uśmiechnęła się do niej tak przyjaźnie, że Una poczuła się podwójnie zawstydzona mieszanymi motywami swego przyjazdu tutaj.

Pojawiła się Molly i usiadła obok niej, ale tematy rozmowy szybko się skończyły. Una przeszła przez kuchnię i usiłowała porozmawiać z Brendanem, ale ten wpatrywał się w odległy róg pomieszczenia i odpowiadał na wszystkie jej pytania monosylabami.

- Czy Sean Molloy nie przyjechał na pogrzeb? - spytała go w końcu, gdy upewniła się, że Molly jest w drugim końcu kuchni.

Skrzywił swą pociągłą, pomarszczoną twarz.

- Sean Molloy? - powtórzył jakby oszołomiony. - Sean Molloy? Odchylił się do tyłu na krześle i wznosił oczy do nieba, jakby się namyślając, ale Unie wystarczyła chwila, by uświadomić sobie, że cała ta pantomima oznacza, iż Brendan wysiła się na uprzejmość wobec obcej osoby. Nigdy nie słyszał o Seanie Molloyu. Zatem to nie jej chłopak... Ale z drugiej strony, czy Margo Bryan zwierzałaby się takiemu bratu? Una niczego się nie dowiedziała. A nie była to odpowiednia chwila, żeby spytać samą Margo. Przynajmniej aktorka będzie teraz traktować ją jak przyjaciółkę. Już w momencie, gdy pozwoliła sobie na tę myśl, poczuła się jak robak.

Rozdział 8

Za dużo wiatru i deszczu w tym cholernym kraju.

Ksiądz Morahan otrząsnął parasol w holu plebanii w Tullyhalli i ściągnął płaszcz przeciwdeszczowy z plastikowej folii, który nakładał na zwykłe palto. Mimo hojnej porcji whisky, którą mu nalano, gdy zakończył obrządki wokół chorego, przemarzył po krótkim spacerze od domu mężczyzny na skraju wioski do własnego, oddalonego od drogi, stojącego w małym ogrodzie tuż obok kościoła. I buty mu przemiekły. Mam tego dość, dość, pomyślał rozdrażniony, rozwiązując sznurowadła i skopując buty z nóg. Spojrzał na skarpetki. Dwa mokre półksiężycy zaznaczały się wokół palców.

Luty to zdecydowanie najgorszy miesiąc w Irlandii, pomyślał wchodząc do ponurego pokoju frontowego, w którym unosił się zapach pasty. Jeśli nie burze czy deszcz ze śniegiem, to sam deszcz, cholerny deszcz. I choć miesiąc ten oznacza kalendarzowy początek wiosny, on będzie jeszcze musiał poczekać na przebiśniegi w ogródku za domem, które przetrwają podmuchy zimnego lutowego wiatru.

Wyjrzał przez okno na wiejską drogę. Żywego ducha. Światła małego sklepu spożywczego po drugiej stronie jarzyły się wesoło, ale przez zaparowane okno widział właściciela siedzącego beczynnym przy kasie i gapącego się na ulicę. Młodym drzewkiem, zasadzonym przez Komitet Upiększania Miast przed frontową bramą i podpartym kołkiem, wstrząsały zajadle fale deszczu. Ksiądz zadrzał. To okropny kraj, powtórzył jak mantrę, rozłożył gazetę przy kominku i wyjął butelkę whisky i kieliszek. To okropny

kraj, a ta zapomniana przez Boga i ludzi wioska na końcu świata jest jego prawdziwym symbolem.

Przez jeden wspomniały rok ksiądz Morahan żył inaczej.

W 1970 roku, podczas rocznego urlopu, zastępował pastora w zamożnej dzielnicy podmiejskiej San Diego w Kalifornii. Słońce, wspaniałe słońce, łatwa praca, zaproszenia do korzystania z basenów bogatych parafian; żadnych nie kończących się tur loteryjki czy bingo, żadnego pośredniczenia w sporach między nauczycielami i rodzicami o to, kto kieruje szkołą, żadnego udziału w delegacjach do władz lokalnych w celu wyżebrania funduszy na sfinansowanie domu kultury. Żadnego przeciekającego dachu w kościele. Żadnego udawania, że smakuje człowiekowi obrzydliwa sałatka z szynką i kiepskie ciasto w refektarzu miejscowego klasztoru. Żadnej potrzeby odwracania twarzy podczas picia drinka poza plebanią.

Żadnego skandalu, gdy zobaczą cię na ulicy rozmawiającego z kobietą.

Wypił pierwszy łyk whisky. Przeciąg ciągnący od otwartych drzwi zawirował i zdmuchnął na podłogę poplamione zdjęcie księdza z jednym z parafian, oparte o kufel na obramowaniu kominka. Morahan spojrział na fotografię ze wstrętem. Jakże tęsknił teraz za ciepłem słońca na nagich plecach i rozleniwieniem, które ogarniało ciało po kąpieli w czystym niebieskim basenie.

Nawet obsesja na punkcie Molly Ni Bhriain nie była tak natrętna tamtego roku.

Ale potem musiał wrócić do domu. Do tego okropnego, cholernego kraju.

Podniósł zdjęcie z dywanika przed kominkiem i postawił je z powrotem na parapecie kominka. Z drinkiem w rękę poszedł do kuchni. Wionęło tam jeszcze większym chłodem i temperatura była niższa - przeciąg hulał w źle dopasowanych tylnych drzwiach. Każda filiżanka stała tu karnie na swoim miejscu, a wyłożone kafelkami ściany lśniły w zimowym świetle padającym z ogrodu za domem. Na nieskazitelnie czystej suszarce leżała karteczka od pani Conway. Poszła odwiedzić matkę w Galway i wróci, żeby mu przygotować podwieczorek.

Stał przez chwilę niezdecydowany i gapił się przez okno na rozmiękłą trawę, zapomniawszy, po co w ogóle przyszedł do kuchni. Skierował się do małej jadalni obok, którą wybrał na swoją kryjówkę. Przynajmniej było tu cieplej, choć ogień się dopalał. Dorzucił klocek drewna do paleniska, rozniecając snop iskier, i włączył telewizor. Na pierwszym kanale były wyścigi konne, a gdy przycisnął guzik, przełączając na drugi program, jadalnia wypełniła się odgłosami strzałów. Rozpoznał Gene'a Autry'ego, stał i patrzył przez chwilę, akcja go wciągnęła. Usiadł na krześle przy kominku i wypił drugi łyk whisky.

Po jakichś pięciu minutach, kiedy prawie opróżnił kieliszek, uświadomił sobie, że już widział ten film - a jeśli nie ten, to inny bardzo podobny - i jego uwaga osłabła. Rozważał w myślach decyzję, którą odkładał od wielu dni. Podjął ją już w połowie nazajutrz po wyjeździe Molly do Londynu. W trzech czwartych był zdecydowany w dniu, kiedy pojechał trzydzieści parę kilometrów do biblioteki publicznej w Galway, by odszukać dwa adresy: Federalnego Urzędu Lotnictwa w Waszyngtonie i Lloyda w Londynie. Nie chciał ryzykować kłopotliwych pytań miejscowego bibliotekarza: „A po co to księdzu?”

Teraz potrzebował tylko ostatecznego impulsu, by przejść do działania. Nie powinien dłużej zwlekać, tylko to zrobić. Zżerała go świadomość prawdy o Molly, a jednocześnie nie wiedział dokładnie, kim ona jest. To musi pójść łatwo. Nie mogło znowu tak dużo niemowląt zginąć na Atlantyku pod koniec kwietnia lub na początku maja 1953 roku. Jak zamierzał spożytkować zdobytą wiedzę, to już inna sprawa. Trzeba przekroczyć most, gdy się na niego weszło...

Nie ma sensu dłużej zwlekać - dziś jest dobry dzień. Pani Conway na szczęście wyszła z domu. Nic do roboty aż do spowiedzi po podwieczorku.

Obok krzesła znajdowało się małe, zaśmiecone biurko. Zamykany, oszklony przód biurka mieścił wciśniętą bezładnie stertę książek i papierów, ale część mebla zawsze stała otworem. Był to teren zakazany dla Peg Conway i jej ścierki. Podobnie jak dolna połowa, która była zawsze zamknięta i do której tylko on miał klucz. Trzymał tam najbardziej osobiste przedmioty, zdjęcia matki i fotografie z dzieciństwa, książki, które należały do ojca, mszał podarowany mu przez spowiednika jezuitę po wyświęceniu, blaszane pudełko z dwoma, teraz już pordzewiałymi, medalami, które zdobył w młodości, grając hokeja, i jeszcze jedno ze starym odznaczeniem ojca z IR A.

Chował tam też pudło po bulach, do którego latami chował wszystkie notatki i recenzje z występów Molly Ni Bhriain, jakie tylko mógł znaleźć. Robił to ostrożnie, zawsze wycinał artykuły, gdy był sam, zwykle późno w nocy, a po wycięciu palił resztę strony. Latem, gdy nie rozpalano ognia w kominku, musiał stać nad paleniskiem, czekać, aż papier spłonie, i zgarniać popiół przez ruszt.

Otworzył biurko i odruchowo sprawdził, czy pudełko wciąż tam jest. Zebrał w nim zadziwiającą liczbę artykułów - rzadko mijał miesiąc bez jakiejś notatki o niej w szowinistycznych irlandzkich gazetach, czy to w kolumnie towarzyskiej, czy w reportażach lub na kolumnach poświęconych wiadomościom kulturalnym. Wycinki zajmowały teraz ponad połowę pudełka.

Na blacie biurka stał cynowy kufel z pokrywką, poobijany ze starości i pełen starych rachunków, gumek, nie zatemperowanych ołówków, kartek wyrwanych z „Posłańca Świętego Serca”, gdzie na marginesach notował i zapisywał numery telefonów. Odstawił drinka i wziął kufel. Potrząsał nim tak długo, aż dojrzał adresy, których szukał, napisane odręcznie na zmiętych kartkach, wyrwanych z kieszonkowego kalendarza. Wygładził papier i odłożył na bok. Potem odstawił kufel, wziął kieliszek i wlał resztki whisky do ust. Alkohol zaszczypał go w wargi, jak zawsze zimą popękane i bolące. Wiedział, że pije za dużo, ale nie dbał o to. Ostatnio coraz częściej odkrywał, że nie obchodzi go zbytnio własna osoba.

Rzucił okiem na telewizor. Gene Autry wciąż strzelał się z czarnymi charakterami.

Ksiądz Morahan wziął długopis i kartkę z drugiej części biurka i odwrócił krzesło przodem do niego. Krzesło było za niskie w stosunku do blatu i ksiądz miał nieprzyjemnie

napięte mięśnie pleców. Ale zawsze pisał listy w ten sposób i był za stary, żeby zmieniać teraz przyzwyczajenia. Christian Smith gapił się na odrapany blat biurka redaktora naczelnego. Ten człowiek był zbyt chudy. Wszyscy wiedzieli, że ma wrzód dwunastnicy.

Naczelny skrupulatnie przestrzegał porządku, zauważył Christian. Choć postęp techniczny dotarł do „Chicago Sentinel”, szef trzymał zapas żółtych, ostrych jak brzytwa ołówków w starym pudełku po cygarach, ustawionym idealnie równolegle do brzegu biurka. Na blacie znajdowało się jedynie pudełko, dwa telefony, komputer i jeden prospekt. Okno w biurze naczelnego było otwarte, choć na dworze padał śnieg, i do Christiana docierały słabe odgłosy ruchu ulicznego w centrum i zgrzyty kolejki naziemnej, która objeżdżała róg na podwieszonych torach nad pętlą.

Choć nie patrzył w oczy naczelnemu, zdawał sobie sprawę, że ten gapi się w niego uporczywie i dłubie w zębach rozprostowanym spinaczem do papieru. Dojrzał kątem oka, jak naczelny wyrzuca spinacz do metalowego kosza na śmieci. Ni stąd, ni zowąd przyszło mu do głowy, że kosz musi być pełny, bo spinacz wpadł tam zupełnie bezgłośnie. Nie chcąc zaczynać rozmowy, Christian wyglądał przez okno małego gabinetu. Zauważył, że rzeka Chicago częściowo zamarzła, cienka warstewka lodu wiła się wzdłuż wałów brudnymi mętnymi łukami. Zaczął ją pokrywać śnieg.

- To ostatnie ostrzeżenie, Smith. - Naczelny cedził słowa w gęstej atmosferze, jaka panowała w pokoju. Otworzył szufladę i pchnął przez biurko kartkę.

- To do mnie, panie redaktorze? - Christian uważał, żeby ton jego głosu brzmiał neutralnie.

- No cóż, z pewnością nie do mnie!

Christian wziął papier. Przeczytał tekst: „Gdy matka mówi, że cię kocha - sprawdź to!”

Christian wiedział aż nazbyt dobrze, że od pewnego czasu znajduje się niebezpiecznie blisko granicy ostatniej szansy w „Chicago Sentinel”. Jego teczka z materiałami dla gazety robiła wrażenie, ale coraz powszechniejsza była

opinia, że jest niesolidny. Otrzymał ostrzeżenie cztery tygodnie temu po epizodzie w Etiopii, a teraz - jego zdaniem - został wezwany na dywanik za stosunkowo niewielkie wykroczenie, maleńki błąd w faktach (istotnie poszedł na łatwiznę), który doprowadził do tego, że pewien kongresman zaskarżył gazetę i trzeba było załatwić sprawę natychmiast, żeby nie stanąć przed sądem.

- Dziękuję panu. - Położył przed naczelnym kartkę.

- Sądzę, że dotarło to do pana?

- Tak, panie redaktorze - odparł Christian i wtedy nagle coś, ten zdradliwy duch przekory, przebiło się przez napięcie i wylało z niego. Miał dość protekcyjnego tonu i traktowania go jak uczniaka. Usłyszał swój głos, niemal zanim pomyślał, co powie:

- No cóż, ja też mam dla pana wiadomość, panie redaktorze!

Sięgnął ponownie po kartkę i podarł ją z furją na drobne kawałki, które sfrunęły w całości na nieskazitelne biurko redaktora. Christian odsunął się, stał wystarczająco długo, by z satysfakcją zauważyć, jak oczy mężczyzny rozszerzają się, po czym majestatycznie wyszedł z gabinetu.

Ogarnięty uniesieniem, zbywał pytania kolegów, opróżnił biurko, napisał naprędce parę słów do Dicka i przypiął kartkę na tablicy ogłoszeń. Potem opuścił budynek. Poszedł prosto do baru „Shamrock”.

Dick dołączył do niego później i usiłował namówić go do przeprosin.

- Jestem pewien, że przyjmie cię z powrotem, Chris. Ale w Christianie burzyła się krew. Zawsze łatwo wszystko racjonalizował. Cokolwiek złego by się mu przydarzyło, winą można było obarczyć kogoś innego, w tym wypadku dotyczyło to troglodytów z zarządu „Chicago Sentinel”, których uosobieniem był naczelny. Jego, Christiana, nigdy tutaj nie doceniano. Jest zbyt utalentowany na taki neandertalski organ. Potwierdził swą rezygnację.

Wypili kilka drinków i Christian poszedł do mieszkania Dicka na jeszcze parę. Został też u niego na noc. Zapoznał się z tajnikami rozkładanych łóżek wkrótce po wyprowadzeniu się z domu do centrum. Większość starych mieszkań

kryła jakieś tajemnice i Christian stale bał się, że którejs nocy, gdy zaśnie głęboko, urządzenie wbrew jego woli wskoczy z powrotem na swoje miejsce w ścianie i zatrzaś-nie go w środku niby mumię.

Cztery dni później Cordelia jechała z Christianem na lotnisko O'Hare, by odprowadzić go na samolot do Londynu. Czuł się dużo swobodniej w towarzystwie babci niż Malcolma, zwłaszcza że jej cicha obecność działała kojąco, rozładowywała napięte stosunki wnuka z dziadkiem.

Był taki okres, przed śmiercią rodziców, kiedy Christian zbliżył się z Malcolmem, choć zawsze trochę bał się władczego zachowania dziadka i nigdy nie czuł się przy nim całkowicie odprężony. Ale w ostatnich latach ich indywidualne postawy skamieniały i Christian nie potrafił - choćby tego chciał - zlikwidować przepaści, która ich rozdzieliła, gdy był nastolatkiem.

Pożegnali się sztywno. Christian wiedział, że Malcolm jest wściekły, bo on rzucił pracę i wyrusza na wyprawę, którą dziadek uważa za cholernie głupią - by spróbować sił jako wolny strzelec w Londynie. Ale nie prowadzili otwartej wojny i Malcolm ograniczył się do lodowatego zachowania w obecności wnuka. Christian z ulgą uciekł. Przyszło mu jednak do głowy, że to może być ostatnie pożegnanie, i uznał, że traktuje sprawę zaskakująco emocjonalnie.

Malcolm miał teraz siedemdziesiąt cztery lata, tyle ile obecne stulecie, i choć dla niego zawsze był - i nadal pozostał - niezniszczalny, Christian wstrząśnięty zauważył, że ręce dziadka są zdeformowane i pokryte plamami wątro-bianymi, kiedy podali sobie dłonie na schodach frontowych Greentrees.

- Babciu, przepraszam - powiedział Christian po prostu, gdy w godzinach szczytu lincoln posuwał się w deszczu ze śniegiem trasą szybkiego ruchu imienia Kennedy'ego w kierunku lotniska O'Hare.

- Wiem, Christianie - odparła Cordelia. - Ale wszystko jest w porządku, mój drogi. Każdy z nas ma tylko jedno życie do przeżycia i ty także musisz przejść przez swoje w sposób, jaki ci odpowiada.

Lincoln stanął.

- Przed nami musiał być wypadek, proszę pani - powiedział szofer przez ramię. I rzeczywiście, po kilku minutach przejechały z rykiem po krawężniku karetki pogotowia, błyskając czerwonymi światłami.

- Czy Jo-Ann odezwała się w ogóle do ciebie? - spytała Cordelia, przecierając zaparowaną, boczną szybę samochodu.

- Nie, babciu, słyszałem od Dicka, że może znowu wyjdzie za mąż.

-To dobrze. Zawsze lubiłam Jo-Ann. Było mi przykro, kiedy się rozwiedliście.

Christian miał, jak zwykle, na końcu języka swoją wersję tej historii, ale się powstrzymał i zadowolił nie obowiązującym: „uhm”.

Znowu pełzli do przodu.

- Opowiedz mi jeszcze raz, jakie masz plany, Christianie - zaproponowała Cordelia.

Christian nie miał żadnych konkretnych pomysłów, teczka z jego materiałami spoczywała w bagażniku samochodu wraz z resztą bagaży. Zebrał informacje - Wielka Brytania znajdowała się w dołku recesji i choć wierzył we własne zdolności i sądził, że uda mu się zdobyć pracę, nie miał pojęcia, w jakim stopniu ogólna konieczność zaciskania pasa wpłynęła na świat prasy. Naprawdę żywił nadzieję - i to nie bezpodstawną - że jego doświadczenie w relacjonowaniu katastrof i kataklizmów, na które nigdy nie brakowało popytu w gazetach, i fakt, że jest Amerykaninem, któremu wypadło żyć w takim akurat okresie historycznym, pomoże mu. Świat wciąż bulwersowały popłuczyny po aferze Watergate, interesowano się prezydentem Nixonem, a Christian miał dobre kontakty z demokratami.

- Nie planuję nic na bieżąco, babciu - odparł szczerze. Ale zaraz ze względu na Cordelię zaczął fantazjować.

-Przedstawiono mi kilka ofert. Nie zamierzam się śpieszyć. I tak przyda mi się jakaś przerwa. I... - zawahał się, ale ciągnął dalej - poznałem w Londynie dziewczynę, babciu.

- Ach tak?

- Wyobraź sobie, spotkaliśmy się tylko dwa razy, ale dużo rozmawialiśmy przez telefon. Zwariowałem na jej punkcie, babciu.

- Jak się nazywa?

-Margo Bryan. No cóż, jej prawdziwe imię brzmi Molly, ale jest aktorką, bardzo dobrą aktorką, babciu, a imienia Margo używa na scenie. To Irlandka.

- Masz jej zdjęcie?

- Nie, niestety, nie. Ale babciu, wiem, że by cię zachwyła.

- A co ona czuje do ciebie, Christianie?

- Nie... nie jestem całkiem pewien. Na pewno mnie nie odrzuciła ani nic w tym rodzaju. W tej chwili jest bardzo rozstrojona, bo właśnie zmarła jej matka. Babciu, poprosiłem ją o rękę.

- Po dwóch spotkaniach i paru telefonach?

- Wiedziałem już w chwili, gdy ją ujrzałem, że tak musi być. Nigdy w życiu nie byłem niczego bardziej pewny.

- Pamiętam, że mówiłeś to samo o Jo-Ann, Christianie. -Wiem, babciu, wiem. - Zasłużył na to. Wiedział, że babcia nie miała zamiaru go strofować - to nie leżało w jej naturze - ale poczuł się jak przekłuty balonik. Cordelia pogłaskała go po rękę.

- Christianie, nie śmiałybym się wtrącać. Chcę tylko, żebyś był trochę ostrożniejszy tym razem, żebyś nie sprawił sobie bólu. Ale pamiętam, uwierz mi, naprawdę pamiętam, jak to jest, gdy zakochujesz się natychmiast, niczym rażony piorunem. Tak stało się ze mną i twoim dziadkiem. Więc rozumiem to. Tylko nie śpiesz się, dobrze?

- Oczywiście, babciu. - Pocałował ją w policzek. Ale nie zamierzał pójść za jej radą.

- Jeszcze jedno. - Otworzyła torebkę. - To dla ciebie, ale niech sprawa zostanie tylko między mną a tobą, Christianie, niech nikt się nie dowie ani nie zobaczy, dobrze?

Christian rozłożył czek. Zatkanęło go.

- Babciu! - Czek opiewał na dziesięć tysięcy dolarów.

- To z moich własnych funduszy - powiedziała Cordelia spokojnie - i nie ma nic wspólnego z Malcolmem czy rodziną. Pamiętaj, browar otrzymałam ja. - Chyba nigdy się to nie liczyło. Malcolm tak całkowicie poświęcił swe życie browarowi, że nikt w rodzinie nie myślał o nim jako o własności Cordelii.

- Babciu, nie mogę tego przyjąć!
- Dlaczego nie? - spytała pogodnie jak zwykle.
- No cóż... - Był przytłoczony. - Po prostu nie mogę i już!
- Dostaniesz wszystko, gdy ja i Malcolm umrzemy, więc co za różnica, jeśli weźmiesz trochę teraz? Mam przeczucie, że będziesz potrzebował tych pieniędzy.

Wciąż trzymał czek, kiedy w końcu dotarli do hali odpraw lotniska międzynarodowego. Cordelia nie zamierzała tam z nim wchodzić.

- Pożegnamy się tutaj, mój drogi. Nienawidzę rozstań. Przyjemnej podróży, Christianie, i zadzwoń do nas po przylocie, by podać nam adres. Wiem, że uważasz inaczej, ale dziadek bardzo się martwi o ciebie.

- Wiem, babciu.

- I ja też się martwię, mój drogi. A teraz trzymaj się i zawiadom nas, co wydarzy się między tobą i twoją dziewczyną!

- Dobrze, babciu. - Cordelia wsiadała do lincolna i Christian zauważył, że choć wciąż jeszcze wygląda wytwornie, to jednak bardzo schudła. Chciał powiedzieć, że ją kocha -i Malcolma też. Ale gdy się odwróciła wyczekująco, nie mógł tego zrobić.

- Dzięki - rzekł zamiast tego.

Zafundował sobie ostatni raz pierwszą klasę. Ale nie spał. Ani nie zamówił drinka. Przez cały długi lot sącył wodę mineralną i sok pomarańczowy. Od tego ranka, gdy obudził się w łóżku u Dicka i postanowił pojechać do Londynu, miał uczucie, jakby wyruszał na poszukiwanie przygód, na które dostał dodatkowy czas. Ostatnią szansę, której nie może zmarnować.

Patrzył na migocące obrazy z filmu „Odrobina klasy”. Wszyscy ludzie wokół śmiali się z uznaniem, ale Christian, pogrążony w planach i marzeniach, nie zwracał uwagi na film. Po chwili zdjął swoje słuchawki. Na tle monotonnego pomruku silników docierał do niego cichy szum systemu klimatyzacyjnego, pompującego zimne powietrze z wentylatora nad jego głową. Zamknął oczy, ale pobudzony adrenaliną umysł nie pozwolił mu zasnąć.

Na dwie godziny przed lądowaniem zdrzemnął się trochę, obudził się jednak nagle, gdy kapitan wszedł do salo-

nu pasażerskiego, by powiedzieć „dzień dobry”. Obsługa samolotu już pchała przez kabinę wózki załadowane sokiem pomarańczowym, kawą i rogalikami na śniadanie. Kapitan wyjaśnił, że z powodu silnego wiatru wyprzedzają 0 dobre pięćdziesiąt minut rozkład, mają tylko godzinę lotu do Londynu i obecnie znajdują się około stu kilometrów od północno-zachodniego wybrzeża Irlandii.

Christian leciał tą trasą niezliczoną ilość razy, ale zawsze w tym miejscu uświadamiał sobie, że gdzieś w morzu, dziewięć tysięcy metrów niżej, leżą jego matka, ojciec i mała siostrzyczka. Usiłował dojrzeć zarys lądu. Przyszło mu do głowy, że gdyby Molly zgodziła się na ślub - a miał świadomość tego, że sprawa stoi pod dużym znakiem zapytania - byłoby to dla niego stosowne zadośćuczynienie. Jakby los, który złamał go, zabierając w tej części kuli ziemskiej najdroższych, chciał teraz naprawić krzywdy, ofiarując rekompensatę.

Nie było najmniejszej chmurki na niebie i irlandzkie wybrzeże wyłoniło się w postaci wyraźnej, postrzępionej, szarej linii z białą lamówką na całej długości w miejscu, gdzie rozbijały się fale oceanu. Lecieli tak wysoko, że nie udawało się wyłowić poszczególnych punktów orientacyjnych, ale Christian miał wrażenie, że dostrzegł kilka wysp, siedem albo osiem, wzdłuż wybrzeża. Jedną z nich niewątpliwie była Inis Oirthir.

Christian, krzywiąc się, popijał kwaśny sok pomarańczowy. Znienacka napłynęły wspomnienia o matce, rozświetlone niby klejnoty. On wbiega po powrocie ze szkoły do saloniku. Mama pochylona nad wózkiem podnosi niemowlę, które ma około trzech miesięcy. Odwraca się i uśmiecha do niego, a potem siada na dziadkowym krześle z poręczami, bierze go na kolana i daje maleństwo do potrzymania. Siedzą tam we trójkę, on bezpieczny w jej ciepłych ramionach, a słońce znad jeziora zalewa ich przez otwarte drzwi. Niemowlę siedzi bez ruchu, przyglądając się ze zdziwieniem jego twarzy szeroko otwartymi, poważnymi oczami. Poczul zapach dziecka, czystą, miłą woń. Ostrożnie odstawił kubek po soku na blat przed sobą i odwrócił się do okna. Wpatrywał się z natężeniem w Ir-

landię poprzez poszarpane kłaczki białych chmur, aż poczuł, że znów panuje nad twarzą.

W połowie marca Molly zgodziła się poślubić Christiana Smitha.

Od śmierci matki przechodziła od depresji do normalnego życia i z powrotem. „Wesoły duch” zszedł z afisza, co pogłębiło w niej uczucie pustki, i nawet wiadomość, że została nominowana do Nagrody Keane'a* za grę w tej sztuce, podniosła ją na duchu tylko chwilowo.

Przyjęła konwencjonalne wyrazy współczucia od przyjaciół z powodu śmierci matki, ale nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Wkrótce po jej powrocie z Inis Oirthir Conor, do którego naturalnie zwróciłaby się o pocieszenie, wziął urlop z pracy w zoo i pojechał do Izraela na wykopaliska związane z wieczorowym kursem archeologii.

Gdy tylko Christian usłyszał o matce Molly, przestał nalegać na romans, ale po prostu wydawał się zawsze pod ręką, chętny i gotowy do słuchania. Zajmował się także własną karierą, pośpieszną pracą, której nie brakowało, od kiedy w Waszyngtonie oficjalnie ogłoszono, że Nixon jest zamieszany w aferę Watergate. Christian, wykreowawszy się na eksperta w tej dziedzinie, miał wzięcie nie tylko w gazetach: przeprowadzano z nim również wywiady w programach radiowych na temat bieżących wydarzeń.

Zarzucił też ekstrawaganckie gesty wobec Molly, zadowolając się przynoszeniem kwiatów. Czują się z nim bardzo swobodnie i zgodziła się na ślub, jakby proponował jej miły spacer brzegiem Tamizy. Wydarzyło się to po obiedzie w „La Vecchia Rizzione” przy St Martin's Lane, restauracji, którą Molly uwielbiała.

Obiad był wspaniały. Lokal zatłoczony jak zawsze, poziom decybeli odpowiednio wysoki, bo goście usiłowali przekrzyczeć muzykę i ogólny hałas. Kelnerzy śpieszyli w jedną i drugą stronę długiej sali, mówili do siebie głośno po włosku, śpiewali do wtóru muzyki operowej i neapolitańskiej.

***John Brendan Keane (ur. 1928) - dramaturg i krytyk angielski pochodzenia irlandzkiego.**

tańskiej, tańczyli z klientkami i czasami ze sobą nawzajem, gasili światła dla wywołania efektu w kulminacyjnym punkcie wieczoru, żeby bajecznie oświetlony, olbrzymi fresk, który ciągnął się na jednej ścianie przez całą długość restauracji, można było dobrze obejrzeć.

Molly, choć była w stosunkowo dobrym nastroju, czuła się szczególnie podatna na ciosy, gdyż otrzymała właśnie angaż do pierwszego filmu. Zdjęcia zaczynały się nazajutrz, ale Molly nie była potrzebna na planie w Glasgow aż do następnego poniedziałku. Choć film był niskobudżetowy, ze zdjęciami zaplanowanymi tylko na osiem tygodni, miał swoją rangę, występowały w nim prawdziwe gwiazdy. Zaszczycem było zaproszenie na zdjęcia próbne do roli, triumfem - przyjęcie. Miała partnerować Eugene'owi Lo-tharowi, przystojnemu doświadczonemu aktorowi, który został uznany za najseksowniejszego mężczyznę w Wielkiej Brytanii na podstawie ankiety przeprowadzonej przez „News of the World”.

Ale im bliżej było do debiutu filmowego Molly, tym bardziej rosły jej obawy, wspólne zresztą wszystkim artystom. Film ją podniecał, a jednocześnie przerażał. A jeśli nie stanie na wysokości zadania? To złudzenie, że ludziom podoba się jej gra. Wszystko, co do tej pory zrobiła, za co ją chwalono, to szczęśliwy przypadek. Była aktorką jednej roli. Jest za wysoka, zbyt niezdarna. Wszyscy w tym filmie mają większe doświadczenie niż ona.

Kiedy zatem Christian zjawił się, by ją zabrać na obiad, była zachwycona, że trochę się rozerwie.

Spojrzała na niego czule, gdy składał zamówienie. Światło świec rzeźbiło zagłębienia w jego subtelnej twarzy i - co zauważyła jak zwykle z rozbawieniem - kosmyk włosów sterczał mu na czubku głowy. Wyglądał szalenie po amerykańsku. Zastanawiała się, czy go kocha. Na pewno bardzo go lubiła.

- Christianie? - powiedziała w pewnej chwili, gdy zagłębił się w menu.

- Tak, kochana? - Spojrzał na nią wyczekująco.

- Och, nic - odparła. Urwała kawałek bułki i uśmiechnęła się.

Pili mało alkoholu, ale za to bardzo dobrego - po lampce wina na początek i, choć to była włoska restauracja, naprawdę doskonale Rioja Grand Cru do posiłku. Zaleczyli zranioną dumę narodową kelnera, zamawiając potem dwa kieliszki sambuca. Christian był spokojny, nie mówił dużo, pozwalając, by rozmowa toczyła się własnym nurtem. Kiedy mieli wychodzić, Molly poczuła się po raz pierwszy od tygodni tak dobrze i swobodnie.

Potem pojechali do niej do domu na drinka. Zapaliła lampę na stole, zaciągnęła zasłony i puściła Mozarta na stereo. Mały domek wydawał im się niezwykle przytulny, gdy sączyli drinki i gawędzili ściszymi głosami pod wrażeniem panującej ciszy.

Około trzeciej nad ranem Molly wyszła do kuchni, żeby otworzyć następną butelkę wina. Gdy wróciła do saloniku, Christian nie podniósł głowy. Wpatrywał się w płomienie, które migotały hipnotycznie w przerobionym na gaz kominku.

- Chodź tu, kochanie... - powiedział i, nie odwracając się, wyciągnął ramiona. Podeszła do niego. Siedział w małym fotelu, więc usadowiła się na podłodze między kominkiem a Christianem, opierając się o jego kolana. Rozsunął nogi, żeby mogła wesprzeć się wygodnie o siedzenie fotela, a potem pochylił się do przodu, otoczył Molly delikatnie ramionami i przytulił policzek do jej włosów.

- Molly, musimy się pobrać... - powiedział cicho. - Nie mogę dłużej żyć, nie mając cię w zasięgu wzroku przez cały czas.

Poddała się. To przyszło tak łatwo, tak spokojnie. Ona zresztą też potrzebowała kogoś, kto stałby po jej stronie. Nie spali przez całą noc, snując plany. Nie było miejsca na uniesienia, ogarnęło ich spokojne szczęście, jakby przedłużenie nastroju wieczora, który spędzili. Christian powiedział Molly, trzymając ją mocno za rękę, że boi się, iż gdyby teraz zbyt hałaśliwie się cieszył, ona, dom, ten wieczór i cała przyszłość, wszystko, mogłoby się rozwiać jak kłęb dymu. Mały zegar Molly odmierzał czas do białego ranka, a Christian przytulał ją wciąż od nowa i całował delikatnie i zawzięcie na przemian, a pocałunków było tysiące.

- Może poszlibyśmy do łóżka, Molly? - wyszeptał jej we włosy około czwartej nad ranem.

Odsunęła się.

- Christianie, nie ma pośpiechu...

- Ale tak cię pragnę. Kocham cię, jesteśmy zaręczeni. Na co czekać? Cóż to teraz za różnica?

Molly nie umiała mu odpowiedzieć, ale nie mogła tego zrobić. Jeszcze nie.

- Czy to wiara katolicka? - spytał cicho. Głaskał jej włosy, bardzo delikatnie, uspokajająco.

- Nie potrafię tego wyjaśnić - odparła. - Jeśli mnie kochasz, musisz mi po prostu zaufać.

Odsunął ją trochę od siebie.

- Nie jestem dla ciebie dość atrakcyjny? - spytał z napięciem w głosie.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową, oładnęły ją czułość i opiekuńczość, jakby była raczej matką lub starszą siostrą Christiana niż narzeczoną. Przytuliła się do jego nóg i położyła mu głowę na kolanach.

- O nie, Christianie, jesteś chyba najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Oddał jej uścisk.

- Jeśli tak jest, jak możesz mi się opierać?

- Trudna sprawa, wiem - ale miałam dużo praktyki.

- No cóż, dobrze - powiedział z żartobliwą gderliwością. - Ale zobaczysz! Lepiej się dobrze przygotuj na naszą noc poślubną. Wtedy nie będzie litości.

Bingo! Una rzuciła się na teleks. Margo Bryan, irlandzka aktorka, poprzednio grająca w Abbey Theatre, została nominowana do Nagrody Keane'a. Una знаła się na tych sprawach wystarczająco, by wiedzieć, że to wyróżnienie jest na West Endzie odpowiednikiem Nagrody Tony'ego na Broadwayu, i jeśli się dobrze orientowała, żadnej irlandzkiej aktorki wcześniej do niego nie nominowano. To dopiero wiadomość!

Zaniosła ten fragment teleksu do szefa.

- Widziałeś to, Myles? Rzucił okiem na tekst.

- To ta, z którą robiłaś wcześniej wywiad?

- Tak. Jest naprawdę dobra. Może nawet zwyciężyć. Moim zdaniem, da się zrobić dobry artykuł o jej przeszłości, jeśli zdobędę dość materiału. - Siedziała jak na rozżarzonych węglach, kiedy rozważał sprawę.

- Czy mogłabyś to zrobić telefonicznie?

Una dojrzała w szufladzie szefa ostatni okólnik kierownictwa w sprawie ograniczeń budżetowych, dotyczących wyjazdów służbowych i innych wydatków.

- Ubijmy interes - powiedziała szybko. - I tak chcę jechać do Londynu w sprawach osobistych. Jeśli zapłacisz za podróż, ja pokryję resztę. Nawet taksówki. - Zauważyła, że szef się waha. - Mam znajomą w biurze podróży - wykupię bilet apexowy.

- Na to trzeba czekać czternaście dni...

- Powiedziałam ci, że mam znajomą w biurze podróży. Szef potrząsnął głową.

- „Irish Record” działa zgodnie z prawem - rzekł dumnie.

- Nikt się nie dowie. To będzie nasza tajemnica.

- Te sprawy osobiste to musi być jakiś facet! -Tak.

Szef ściągnął usta.

- Dobra, masz u mnie dług. I lepiej, żeby ten materiał był dobry!

- Będzie - obiecała Una.

Wróciła do biurka, wyjęła notes z telefonami i wykręciła numer domowy Margo Bryan. Nikt nie podnosił słuchawki. Spojrzała na zegarek. Powinna złapać ją za dwie godziny w teatrze.

Wyznaczono jej na to popołudnie zrelacjonowanie konferencji prasowej na temat nowej inicjatywy w dziedzinie raczkującego irlandzkiego przemysłu elektronicznego. Una, która święcie wierzyła, że jedynym sensownym sposobem poruszania się po Dublinie są dwa kółka, zaparkowała rower koło największego hotelu śródmieścia, gdzie miała się odbyć konferencja, na pięć minut przed jej rozpoczęciem.

Zgłosiła się, wzięła kieliszek wina i teczkę z materiałami prasowymi, po czym rozejrzała się uważnie po sali.

Wszyscy tu byli, wszyscy, których należało się spodziewać,

natrętna ekipa telewizyjna RTE, ludzie z irlandzkiego radia publicznego, eleganci z „poważnej” prasy i czasopism gospodarczych, murzyni z działów informacji, tacy jak ona, których posyła się do wszystkiego, od pogrzebu po napad na bank, kilku energicznych facetów, którzy - wiedziała o tym - będą usiłowali wywołać jakąś dyskusję.

- Cześć, Una! Co nowego? - Mark Trimble wpadł na nią. Kiedyś uważała go za atrakcyjnego i umówiła się z nim kilka razy. Ale teraz każdy mężczyzna, którego spotykała, wydawał się nieciekawym, gdy porównywała go z nieosiągalnym Seanem Molloyem. Unie trudno było uwierzyć, że ciągnie ją do faceta, którego widziała przez dziesięć minut. Ostatni raz przydarzyło jej się coś takiego, gdy miała jedenaście lat.

Szczyła się swoim realizmem życiowym, a przecież ta obsesja nie miała sensu. W pewien sposób żywiła nadzieję, że Sean rzeczywiście okaże się nieosiągalny. Wtedy mogłaby stłumić swoje uczucia i zająć się czymś innym. Ale niepewność ją dobijała.

- Cześć, Mark! - rzuciła bez entuzjazmu i dalej przeglądała specjalistyczne dane i wykresy w teczce z materiałami prasowymi. Trimble, nie speszony, otworzył własną dokumentację. Rzadko kiedy pozostawał bez ruchu. Teraz też podskakiwał i wiercił się na krześle podczas lektury, jakby bał się, że z niego spadnie, jeśli przestanie się poruszać. Gdy jeszcze się spotykali, to przyzwyczajenie doprowadzało Unę do szału.

Konferencja się rozpoczęła, ale Una nie mogła wykrzesać z siebie choćby iskierki zainteresowania. Przynajmniej raz, postanowiła, nie będzie perfekcjonistką i po prostu przekaże informacje dla prasy dosłownie. Ale żeby materiał trochę wzbogacić, podeszła do podium po zakończeniu oficjalnej części konferencji i poprosiła o krótki wywiad jednego z Japończyków, którzy otwierali fabrykę, oraz przedstawiciela Izby Handlowej z miejscowości w regionie rolniczym, gdzie zakłady miały powstać. Uwinęła się z obydwojma w pięć minut.

Popędziła do roweru, by dostać się z powrotem do redakcji, i już wykręcała numer Teatru Wyndhama jedną ręką, a drugą odsuwała krzesło od biurka.

- O nie - odparł portier, gdy spytała o Margo Bryan. - To przedstawienie zeszło z afisza, moja droga. Teraz idzie musical.

Una odłożyła słuchawkę, a potem wykręciła numer domowy Margo. Miała szczęście. Tym razem Margo zgłosiła się po trzecim dzwonku.

- Dzień dobry - powiedziała Una. - Tu Una O'Connor.

- O, dzień dobry, pani O'Connor - Uno. Przepraszam, zamierzałam napisać do ciebie po pogrzebie mamy i podziękować ci za przyjazd z tak daleka. Tylko jeszcze się na to nie zdobyłam.

- Proszę, nie dziękuj, nie ma za co. Z pewnością wciąż jesteś bardzo rozstrojona.

- No cóż, życie toczy się dalej, zwłaszcza w teatrze. Rzeczywiście, nie słyhać przygnębienia w jej głosie, pomyślała Una.

- Zdaje się, że powinnam ci złożyć gratulacje - powiedziała. - Zostałaś nominowana do Nagrody Keane'a? Molly zaśmiała się.

- Wieści szybko się rozchodzą. Tak, to prawda.

- Wspaniale! Nikt nie zasługuje na tę nagrodę bardziej niż ty.

- No cóż, dziękuję.

- Co przypomina mi - Una wzięła głęboki oddech - powód, dla którego dzwonię. Gazeta, którą reprezentuję, chciałaby zamieścić duży materiał na twój temat.

- Następny?

- No cóż, jak pamiętasz, ten ostatni został drastycznie skrócony, gdyż tego dnia brakowało miejsca na łamach. Ja... my... tym razem chcielibyśmy zamieścić obszerniejszy materiał w dziale reportaży.

Zapadła chwila ciszy, Una wstrzymała oddech.

- Kiedy chcesz to zrobić?

- W ciągu najbliższych paru tygodni, jeśli możesz.

- Nie, trzeba by się tym zająć wcześniej. Dzisiaj jest sobota, a w poniedziałek wyjeżdżam, by rozpocząć pracę nad filmem.

- Coraz lepiej - odparła Una.

- A nie mogłabyś przeprowadzić tego wywiadu telefonicznie?

Cholera, pomyślała Una. Ta kobieta szybko się uczy.

- No cóż, nie - odpowiedziała zdecydowanie. - To byłoby dla mnie naprawdę bardzo trudne. Nie umiem dobrze pracować przez telefon. Sądzę, że obydwie wypadłybyśmy dużo lepiej przy osobistym spotkaniu.

- Dobrze, w porządku - odparła Molly powoli. - A więc odłóżmy tę sprawę do czasu, gdy wrócę ze zdjęć.

- A może jutro?

- Jutro jest niedziela. Mój narzeczony zabiera mnie na cały dzień do Oksfordu.

Narzeczony? Cholera!

- Kto jest tym szczęściarzem? - Ku swemu przerażeniu Una usłyszała, że po prostu skrzeczy.

- To Amerykanin. Dziennikarz z Chicago.

Do Uny dotarło tylko słowo „Amerykanin”. Miała ochotę podrzucić słuchawkę do góry i podskakiwać z radości.

- Cóż, podwójne gratulacje! To znakomicie! - Ale nie udało jej się przekonać aktorki, żeby zrezygnowała z wolnego dnia, a nawet żeby przyjechała z Oksfordu wcześniej. Jednakże w świetle wspaniałej wiadomości Una z niezmaconą radością odsunęła wywiad do czasu, gdy Molly wypełni swoje zobowiązania.

- Dzięki temu będziemy miały więcej tematów do rozmowy - powiedziała - i termin rozdania nagród będzie bliższy.

To wyjdzie nam na dobre. Powodzenia na zdjęciach i jeszcze raz podwójne gratulacje! Zadzwoń do ciebie, gdy wrócisz za trzy tygodnie, i wtedy się umówimy. - Cisnęła z rozmachem słuchawkę na widełki i goniec zobaczył, jak Una O'Connor chwyta w ramiona szefa redakcji.

- A cóż to znowu? - zaprotestował zirytowany, wygładzając artykuł, który zgmiotła.

- Zrobię wywiad z Margo Bryan za trzy tygodnie.

- To ta dobra wiadomość?

- To bardzo dobra wiadomość!

- A co z osobistymi sprawami w Londynie, znajomą w biurze podróży, biletom? Wszystko wyglądało godzinę temu na cholernie pilne.

- Wtedy tak! - odparła Una. - Ale poczeka trzy tygodnie!

Trzy tygodnie to nie tak długo. Wyczuwała instynktownie, że gdyby dotarła do Seana na własną rękę, miałyby nieźle szanse. Na razie wystukiwała artykuł o inicjatywie przemysłowej z taką samą pasją, jaką Michał Anioł włożył w malowanie Kaplicy Sykstyńskiej.

Sczytywała swój materiał, zbliżając się już do końca, gdy nagle poraziła ją pewna myśl. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Sean Molloy może mieć przyjaciółkę.

Cztery tygodnie później, w sobotę, Molly wstała o jedenastej. Wiedziała, że Conor jest już w domu od trzech dni, ale nie miała odwagi do niego zatelefonować. Musiała mu powiedzieć o zaręczynach. Wyczuwała instynktownie, że będzie zdumiony, i nie chciała narażać swego kruchego poczucia równowagi na jego chłodną dezaprobatę. Nie chciała, by jej spokojne, nowe szczęście stało się przedmiotem drobiazgowej analizy.

Przebywając na zdjęciach - na planie czuła się zresztą jak ryba w wodzie - miała pretekst, żeby nie kontaktować się z Conorem. Ale nie należy dłużej odkładać sprawy. Teraz nadszedł czas.

W koszuli nocnej zbiegła do telefonu w holu. Ale po wykręceniu pierwszych cyfr odłożyła słuchawkę.

Wściekła na siebie, weszła do kuchni. Miotając się w złości po pomieszczeniu, zaparzyła kawę i wycisnęła pomarańcze. Wiedziała, że to niemądre, ale przerzuciła winę za swój gniew na Conora. Jak śmiał sprawić, że ona się go boi? Dlaczego się wtrąca w jej sprawy?

Pomaszerowała z powrotem do holu i zanim zdążyła zmienić zdanie, wykręciła jego numer, cały numer.

Odebrał po drugim dzwonku, głos miał zaspany.

- Cześć, Conor - burknęła. - Jeszcze w łóżku?

- Aha - odparł. - Co z tobą? Gdzie się podziało: „Witaj w domu, Conorze!”, „Jak ci się pracowało, Conorze?”, „Tęskniłam za tobą, Conorze!”?

- Dzwonię, żeby cię zaprosić na lunch - ciągnęła oficjalnym tonem.

- Słyszałem już miłsze zaproszenia!

- Więc pójdziesz ze mną na lunch czy nie?

- Tak jest! Jak człowiek mógłby odmówić takiemu zaproszeniu.
- Może za godzinę u Kettnera?
- Kettner jest za drogi.
- W porządku, pójdziemy na hamburgera.
- Odczep się!
- Dobrze, więc gdzie? Ja lubię Kettnera. A jeśli wciąż boisz się wydatków, zapłacę.
- Aha, znowu! - Głos Conora, w którym przebijał dobry humor, zmienił się. - Po pierwsze, kobiety nie płacą za moje lunchy w restauracjach. Po drugie, nie wydaje mi się, żebym w ogóle chciał iść z tobą, skoro jesteś w takim nastroju. Wiedziała, że ma rację.
- Jestem trochę rozdrażniona, Conorze...
- Słyszę to!
- No cóż, przepraszam. Ale naprawdę chciałabym zjeść z tobą lunch.
- W pobliżu Kettnera nie ma gdzie zaparkować... - Conor niedawno kupił poobijanego morrisa traveller'a; tak był z niego dumny i tak ostrożnie się z nim obchodził, jakby miał rolls-royce'a.
- Jest sobota, Conorze. Nie będzie problemu.
- Ale za godzinę nie zdążę. Niech będzie za półtorej.
- Dobra. Do zobaczenia!

Odłożyła słuchawkę i uświadomiła sobie, że cała się trzęsie. Co ona teraz ma zrobić?

Wykąpała się i ubrała, co zajęło jej trzykrotnie więcej czasu niż zwykle. Wciąż powtarzając sobie, że jest śmieszna, włożyła i zdjęła sześć różnych zestawów ubrań. Po piętnastu minutach jej łóżko przypominało stoisko na wyprzedazy. Wreszcie zdecydowała się na sukienkę z jasnoniebieskiego jedwabiu.

Dotarła do restauracji za wcześnie. U Kettnera oświetlenie miało przyjemny brązowy odcień. Lubiła to miejsce między innymi dlatego, że w porównaniu z innymi modnymi restauracjami kelnerzy nie naprzykrzali się i nie popędzali gości, nawet jeśli panował duży ruch. W sobotę (rocznica pierwszego lunchu z Christianem, pomyślała) było dużo wolnych miejsc.

Posadzono ją przy stoliku obok baru. Conor pojawił się w drzwiach. Wyglądem harmonizował doskonale ze swym morrisem travellerem, ubrany w stare, powypychane ubranie z tweedu. Mimo to opalony, ze zmierzwionymi włosami, wydawał się w dobrej formie. Nikt nie wziąłby go za skromnego strażnika w zoo, pomyślała z czułością, zapominając na chwilę o nerwach. Pomachała, chcąc przyciągnąć jego uwagę. Dostrzegł Molly natychmiast i ruszył w jej kierunku.

Zatrzymał się jednak w pewnej odległości z udawanym strachem.

- Czy mogę cię pocałować, *mein Fuhrer*?

- Nie bądź głupi, Conorze! Przepraszam za wcześniejsze zachowanie.

- Więc zacznijmy jeszcze raz od początku - powiedział, pocałował ją w policzek i usiadł na krześle obok. - Cześć! Jak się miewasz? - Obejrzał ją od góry do dołu. - No, no! Cóż za elegancja!

Sama musiała przyznać, gdy spojrzała w lustro przed wyjściem z domu, że wygląda bardzo dobrze.

- E, ten starość! - odparła i zaśmiała się. Śmiech zabrzmiał zgrzytliwie. - Napijesz się czegoś? - spytała.

- Postawmy sprawę jasno - powiedział. - Nie znoszę tego. Drinki muszą kosztować majątek w takim miejscu...

- Nie więcej niż gdzie indziej w centrum Londynu - zaprotestowała. - Ale jesteś moim gościem i nie obrażaj mnie.

- Przepraszam, Molly - rzekł - ale to nie w moim stylu.

- Za to w moim teraz, kiedy zamierzam zostać słynną gwiazdą filmową. Więc zamknij się, Conorze, i zamówmy wreszcie te cholerne drinki.

- Nie znoszę tego - powtórzył.

- Wiem. Ale pomyśl, kiedy będziesz sławnym archeologiem, zaprosisz mnie na swoje wykopaliska na pustyni i wtedy jako gospodarz będziesz mógł mnie napoić oślim mlekiem lub jakimś innym rarytasem.

- Mało prawdopodobne, żebym w ogóle zdał egzaminy, biorąc pod uwagę tempo, w jakim się teraz posuwam.

Przywołała jednego z kelnerów i zamówiła likier dla siebie.

- A co dla ciebie, Conorze?

Utkwił w kelnerze stalowe spojrzenie.

- Poproszę szklankę wody z kranu!

- Naprawdę, Conorze - odezwała się po odejściu kelnera - to chyba było niepotrzebne.

Zignorował jej wyrzut i rozsiadł się na krześle.

- Więc co porabiałaś ostatnio? Opowiedz mi o filmie.

- Wszystko w swoim czasie.

Wiedziała, że powinna wyrzucić to z siebie i mieć wreszcie sprawę z głowy. Ale nie mogła. Nie śmiała nawet włożyć pierścionka. Leżał w torebce, w kieszonce zamykanej na suwak.

Westchnął.

- Trzymasz mnie w niepewności, Saro Bernhardt!

Gdy im podano napoje rozmawiali o jego pracy, prawdziwej pracy, czyli archeologii, a nie o robocie w zoo, którą traktował po prostu jako zajęcie zarobkowe. Powiedział jej, że dużo się dzieje w Afryce, gdzie różne ekspedycje w Tanzanii, Kenii i Etiopii przesuwają w odleglejszą przeszłość granicę czasową pojawienia się człowieka na naszej planecie.

- Pewnie słyszałaś o Leakeyach, Molly, robią wspaniałą robotę, ale w Etiopii pracuje też inna ekspedycja pod kierownictwem faceta nazwiskiem Johanson. Krążą plotki, że znalazł cały szkielet kobiety, dzięki któremu może udowodnić, że człowiek jako gatunek jest o dwa miliony lat starszy, niż myśleliśmy...

Wskazano im stolik w części restauracyjnej, więc przesiedli się i zamówili lunch. Conor dalej rozprawiał o swoim nowym zamiłowaniu i próbował wyjaśnić, dlaczego jest ono takie pasjonujące. Szpikował swoją relację żargonem naukowym, którego Molly nie rozumiała. To prawda, że od lat nie widziała go tak ożywionego, ale cały czas nurt rozmowy omijał rafę wieści, którą musiała mu przekazać.

Usiłowała go słuchać, powtarzając jednocześnie w myślach to, co zamierzała mu powiedzieć, i starała się przytakiwać w odpowiednich momentach oraz zadawać w miarę inteligentne pytania - przynajmniej miała taką nadzieję.

Wydawało się, że im więcej pracy i nauki Conor musi w coś

włożyć, tym bardziej to lubi. Przyznał się jej, że nie spał do wpół do piątej rano, kończąc jakąś rozprawę - dlatego taki zaspany odebrał telefon.

Gdy przyniesiono im jedzenie, Molly nie mogła nic przełknąć i rozgrzebała sałatkę na talerzu. Musi mu powiedzieć, i to szybko. Ale teraz, przerywając wybuch entuzjazmu Conora, nie dałoby się to zrobić w sposób naturalny. Może zresztą ona wyolbrzymia całą sprawę i nowina nie będzie niczym nadzwyczajnym.

„Aha, tak przy okazji, jestem zaręczona...”

Obserwowała, jak Conor zabiera się do steku, i pomyślała, że jest to jedyna cecha wspólna jej brata i narzeczonego. Conor zawsze zamawiał steki w restauracjach. Gdy nie było steku - kotlety. Gdy nie było kotletów, niechętnie decydował się na rybę. Zwykłą rybę. Opowiadał właśnie teraz, że wszystko ma już zaplanowane. Kiedy tylko zdobędzie wystarczającą wiedzę fachową w dziedzinie archeologii, rzuci dotychczasowe zajęcie i postara się zatrudnić w którejś z ekspedycji prowadzących wykopaliska.

- Oczywiście, będę musiał zrobić specjalizację, zanim zostanę przyjęty do prawdziwego świata archeologii. Już zdecydowałem, co to będzie - nie powiem ci, bo wyjaśnienia zajęłyby z dziesięć minut - ale umożliwi mi to udział w prawdziwych wykopaliskach. Wyobraź sobie, Molly! Może wypełnię lukę w wiedzy o naszych przodkach. Może odnajdę nowy rodzaj siekiery używanej przez *Homo habilis* czy nawet przez *Australopithecus africanus*!

- To dopiero! - odparła Molly sucho.

- Przepraszam. - Uśmiechnął się szeroko.

Wytarł resztki sosu ostatnim kawałkiem steku, wsunął go do ust, odłożył ostrożnie nóż i widelec na talerz i spojrzał na Molly.

- Teraz twoja kolej. Jak tam film?

- Był naprawdę pasjonujący.

- Tylko tyle masz na ten temat do powiedzenia? - Powtórzył, naśladując ją: - Był naprawdę pasjonujący!

- No cóż, to prawda.

- A co dalej. Opowiedz mi. Co z tym facetem, Lotharem? Jaki był?

Dość zwłoki. Molly wzięła głęboki oddech.

- Chcę ci coś pokazać... - Sięgnęła pod stołem do torebki, znalazła pierścionek i wsunęła na palec przed wyjęciem ręki. Szczęk sztucców i gwar wokół jakby się nasilił.

- Kto jest tym szczęśliwcem? - spytał po chwili Conor głucho.

- Christian Smith, amerykański dziennikarz, którego poznałeś w mojej garderobie tego wieczoru, gdy pojawił się tam razem z fotografem. Pamiętasz?

- Ten oszust! - Zauważyła, że jej brat jest autentycznie zgorszony. Opowiedziała mu ze śmiechem o podstępie Christiana i rzekomej nagrodzie.

- Ależ, Conorze, on nie jest oszustem.

- Rozumiem - powiedział.

Nie wolno wpadać w panikę. Ónor ma twarz jak z granitu.

- Kiedy to się stało?

- Cztery tygodnie temu. Czy to ważne, kiedy?

- Nie sądzę, żeby to robiło różnicę. Co cię w nim pociąga? Jest bogaty?

- To nie twoja sprawa, Conorze. - Usiłowała trzymać się w ryzach. - Myślę, drogi braciszku, że mógłbyś na przykład złożyć mi gratulacje albo życzyć szczęścia, no wiesz, tak jak się to robi przy takich okazjach.

Przeszywali się nawzajem wzrokiem pełnym wściekłości. Conor ustąpił pierwszy.

- Masz całkowitą rację - powiedział spokojnie. - Przepraszam. Życzę ci dużo szczęścia w życiu, Molly, naprawdę. Z irytacją zauważyła, że na lewej ręce położyła prawą, zasłaniając pierścionek. Odkryła dłoń i oparła przed sobą obok talerza, wciąż pełnego sałatki.

- Miałam nadzieję, że pojedziesz do Chicago i poprowadzisz mnie do ołtarza - powiedziała.

- Nie stać mnie na podróż do Chicago.

- Twoja podróż zostanie wliczona w weselne wydatki.

- Och, przypuszczam, że on zapłaci. - Znowu robił się wściekły.

- On ma na imię Christian.

Znowu zapadła cisza. Sięgnęła pod stół i podniosła torebkę. Postawiła ją na blacie i wyjęła chusteczkę.

- Nie mów mi, że się rozplaczesz!

Zeskrobała nie istniejącą plamkę z rękawa sukienki.

- Nie, nie rozplacę się. Nie jestem z tych, co płaczą. Nie mam powodu do płaczu. 'Tb nie ja postępuję nieracjonalnie.

- Powiedziałaś Brendanowi?

- Co ma z tym wspólnego Brendan? - spytała zdumiona.

- Jest twoim bratem. Głową rodziny.

- Odczep się, Conorze!

Wziął nóż i zaczął przesuwając strączek fasolki szparagowej po talerzu. Molly wiedziała, że Conor nie cierpi żadnego warzywa przyrządzonego po francusku.

- Ty jesteś moim bratem - powiedziała cicho. Dalej popychał fasolkę.

- Sądzę, że robisz błąd - rzekł. - Ale najwyraźniej nic, co myślę lub powiem, nie wpłynie na twoją decyzję.

- Obawiam się, że nie. Zamierzamy pobrać się w Evan-ston, w domu Christiana, drugiego maja. I mam nadzieję, że tam będziesz.

- To już za kilka tygodni. Moje egzaminy zaczynają się w niecały miesiąc później - odparł powoli. - Nawet gdybym chciał, nie mógłbym prawdopodobnie poświęcić czasu na wyjazd do Ameryki. - Znowu położył nóż i widelec dokładnie obok siebie. - A nie chcę. To decyzja ostateczna. Teraz porozmawiajmy o innych sprawach.

W pewien sposób jego stanowczość sprawiła Molly ulgę. Nieobecność Conora na ślubie oznaczała o jedno zmartwienie mniej.

Zamówili kawę i Molly usiłowała podtrzymać lekki ton rozmowy. Opowiedziała mu o filmie, a kiedy wydawało się, że Conor nie słucha uważnie, wcisnęła między inne nowiny informację o nagrodzie.

- Tak przy okazji, oczekuję na dalsze gratulacje! Zostałam nominowana do Nagrody Keane'a.

- Czy to poważna nagroda?

- Jedna z najpoważniejszych na West Endzie. Był naprawdę zachwycony.

- To wspaniale, Molly! - Chwycił ją przez stół za rękę i zaraz puścił. Uprzytomniła sobie, że natrafił na pierścionek.
- Zostałam tylko nominowana - powiedziała. - Mam kilka rywalek. Mocna konkurencja. Ale to prawdziwy zaszczyt.
- Jestem z ciebie bardzo dumny, Molly. Zorientowała się po wyrazie jego twarzy, że Conor nie mówi tego, co myśli.

-Kelner, proszę o rachunek! - zawołała i wyjęła karty kredytowe z torebki. Odegrała wielką scenę z wybieraniem właściwej karty.

- Podrzucisz mnie do „Cumberlandu”, dobrze? - spytała. - Udzielam wywiadu. - Nie powiedziała mu, że ma się tam spotkać z Christianem i że Una O'Connor namówiła ją, żeby zabrała narzeczonego, z którym też chciała przeprowadzić rozmowę. Wsiądę szybko przed budynkiem. Dobrze?

- Pewnie. - Wzruszył ramionami.

Wyszli z restauracji. Padał deszcz, a żadne z nich nie miało parasola, więc podbiegli do traveller'a, który stał zaparkowany pięćdziesiąt metrów dalej. Bez tchu wsiedli do samochodu i Conor uruchomił silnik. Molly znowu poczuła męski zapach, teraz przytłumiony ciężką wonią wilgotnego tweedu.

Jechał tak szybko, jak pozwalały mu światła drogowe.

Kiedy zatrzymali się przed „Cumberlandem” na Marble Arch, Molly zauważyła Unę O'Connor śpieszącą w kierunku wejścia.

- Jest ta dziennikarka, Una O'Connor! - wykrzyknęła i wyskoczyła z samochodu. - Una! Cześć, Una! - zawołała.

Una usłyszała i odwróciła się. Molly stała przy drzwiczkach samochodu i machała ręką. Dziennikarka odpowiedziała tym samym i podeszła do auta.

- Pamiętasz... Seana Molloya? - spytała Molly, wskazując na kierowcę pojazdu.

Unie serce skoczyło do gardła. Oparł się o kierownicę, żeby powiedzieć jej „dzień dobry” - w każdym razie poruszał ustami i pomyślała, że to właśnie musi mówić. Odnios-

ła wrażenie, że włosy nosi chyba teraz dłuższe, niż pamiętała.

- Dzień dobry, panie Molloy - odparła, ze wszystkich sił usiłując się opanować. - Co za niespodzianka! Jak się pan miewa?

- Dobrze - rzekł.

- Wspaniale się pan opalił. Czy pan gdzieś wyjeżdżał? - Jej uśmiech, wiedziała o tym, był równie kretyński, jak ta uwaga.

Znów jednak odpowiedział uprzejmie:

- Rzeczywiście, byłem w Izraelu na wykopaliskach archeologicznych. - Nie słyhać było sarkazmu w jego głosie. Schylając się do samochodu, uświadomiła sobie niezręczność sytuacji - Molly stała jej za plecami. Cholera. Nie mogła pozwolić, by uciekła taka okazja, może jedyna. Chwytała się brzytwy. Równouprawienie płci i grup społecznych stanowiło jeden z niewielu plusów jej zawodu.

- Czy nie miałby pan ochoty zjeść kiedyś ze mną lunchu? - zaryzykowała. Zauważyła, że rzucił okiem na Molly, i zakwalifikowała to spojrzenie do dalszej analizy.

- Z przyjemnością - odparł spokojnie. - Podam pani mój numer telefonu. Kiedy następnym razem będzie pani w Londynie, pani O'Connor...

- Una, proszę! - rzuciła lekko.

Wyłowił długopis z kieszeni i szukał kartki. Mimo oszołomienia, Una jak nigdy dotąd czuła obecność aktorki za plecami.

- Przepraszam - powiedziała, odwracając się. - To zajmie tylko chwilkę. - Molly patrzyła w inną stronę, nie w kierunku samochodu.

Una odwróciła się z powrotem do morrisa właśnie wtedy, gdy Sean Molloy znalazł starą kartę do gry pod przednim siedzeniem. Napisał na niej szybko numer telefonu i podał jej.

- Czekam na spotkanie - powiedział. - Zaczynam się przyzwyczajać do fundowanych lunchów. Do widzenia, Molly!

- krzyknął, wychylając się dalej, żeby wyrzeć. - Dzięki za lunch. Był wyśmienity!

Una nie wiedziała, o co chodzi, ale nie przejmowała się tym. Ścisnęła w rękę drogocenną kartę i pomachała, gdy zamykał drzwiczki. Nie odwróciła się, żeby zobaczyć, czy Molly też to zrobiła.

- Dobrze - powiedziała uszczęśliwiona, obserwując oddalający się tył morrisa travellera - wchodzimy?

Naręczony czekał w holu. Nie można go było pomylić -zajaśniał jak choinka, gdy weszły. Przystojny i czarujący, widziała jak inne kobiety w holu obrzucały go spojrzeniami. Ale, oceniła po dziesięciu minutach od prezentacji, zdecydowanie nie był człowiekiem solidnym.

Uśmiechnęła się olśniewająco do obydwójga i ruszyła pierwsza do kawiarni, gdzie miała przeprowadzić z nimi wywiad.

Rozdział 9

Kilka dni później, dwudziestego ósmego kwietnia, w Tullyhalli panowała wspaniała pogoda; taki dzień przynosił wytchnienie w długiej, wyczerpującej wojnie księdza Morahana z irlandzkim klimatem. Słońce świeciło jak latem i grzało Pata w czubek łysiej głowy. Wiała tylko łagodna bryza i było tak cicho we wsi, że słyszał szelest liści na wszystkich nowych drzewach zasadzonych wzdłuż drogi przez Radę Hrabstwa i Komitet Upiększania Miast.

Wyszedł z kościoła po porannej mszy, przystanął na chwilę, rozkoszując się powietrzem, i przysłuchiwał się sennie wyciu hondy 50 Silvie-go Casha, które zakłócało spokój poranka. Motor jechał ulicą zrywami. Listonosz Silvie obsługiwał rejon o powierzchni pięciu tysięcy hektarów z porozrzucanymi na moczarach chatami i rozproszonymi małymi wioskami.

- Dzień dobry, proszę księdza! - wykrzyknął Silvie, gdy podjechał do kościoła. Nieustająca pogoda ducha tego człowieka zwykle denerwowała Morahana, ale dzisiaj odmachął mu, gdy listonosz skręcił na dziedziniec kościelny, zatoczył swym czerwonym rumakiem półkole i zatrzymał się z poślizgiem przy księdzu, syjąc żwirem na klomby.

- Nie powinienem tego robić, proszę księdza! - przekrzykiwał głuchy kaszel silnika. - Nie powinienem zbaczać z drogi!

Mówił z silnym miejscowym akcentem.

- Ale skoro to dla księdza - ciągnął, przekopując się przez torbę - zrobimy wyjątek. Czyż to nie piękny dzień, dzięki Bogu i Marii Pannie? Przepiękny! Wspaniały!

Podał księdzu trzy listy, ręką dotknął czapki, znacznie przyśpieszył obroty silnika i wystrzelił z bramy. Ksiądz Morahan spojrzął na korespondencję i serce skoczyło mu do gardła, przyprawiając o mdłości. Na jednej z kopert zobaczył amerykański znaczek i logo Federalnego Urzędu Lotnictwa. Ścisnął ją mocno, bo wydawało mu się, że list lśni jak neon, że wszyscy we wsi musieli zauważyć przesyłkę. Odruchowo chciał od razu rozerwać kopertę, ale się powstrzymał. Żywej duszy nie było widać w zasięgu trzydziestu metrów, ale po drugiej stronie drogi właściciel sklepu odsłaniał właśnie żaluzje i wnosił stos gazet rzuconych na ganek przez kierowcę autobusu jadącego do Galway. Sklepiarz miał sokole oczy.

Księdzu wydawało się, że list pulsuje mu w dłoniach, kiedy stał, usiłując zdecydować, czy iść do domu, czy wejść z powrotem do kościoła. Przypomniawszy sobie, że jest targ w pobliskiej miejscowości Toome, i serce mu zamarło. W dzień targowy pani Conway zawsze chciała mieć śniadanie szybko z głowy, żeby być gotowa, gdy siostrzeniec wstąpi po nią w drodze do miasta. Wiedziała, że msza skończyła się dziesięć minut temu.

Koperta parzyła go w rękę, kiedy przemierzał pięćdziesiąt metrów do drzwi frontowych. Przesyłka będzie musiała teraz poczekać, aż on zje śniadanie. Zanim wszedł do kuchni, wetknął listy, wszystkie trzy, za szkło biurka w jadalni. Pani Conway siedziała na stołku w kącie. Zobaczył, że już ma na sobie kapelusz.

-Przepraszam, że się trochę spóźniłem, pani Conway -powiedział z fałszywą serdecznością. - Silvie mnie zatrzymał. Prychnęła pogardliwie.

- W porządku, proszę księdza. To nie moja sprawa. -Peg Conway owdowiała w wieku dwudziestu siedmiu lat i od tamtej pory prowadziła gospodarstwo księżom. Miała brata biskupa.

Ksiądz Morahan zaatakował plasterki bekonu, jajka, kiełbaski i pomidor, które postawiła przed nim. Pożerał je-dzenie łapczywie. Pchało go nieprzepraczone do listu, ale bał się wzbudzić najmniejsze podejrzenia, zachowując się ina-

czej niż zwykle. Zjadł więc smażone jajka i dwie grzanki posmarowane masłem i domową marmoladą i wypił dwie filiżanki herbaty jak co ranka. Potem podziękował pani Conway i, zostawiając ją przy sprzątanii stołu, poszedł do małej jadalni, którą zawsze uważał za swój gabinet.

Ale dopóki nie usłyszał warkotu samochodu siostrzeńca, a potem trzasku drzwi frontowych, gdy pani Conway wychodziła, nie odważył się wyjąć tych listów spod szkła.

Wreszcie wziął głęboki oddech i otworzył kopertę.

List był podpisany nieczytelnie, z upoważnienia przez kogoś o nazwisku Philip Froelich, i informował księdza Morahana, że w nocy z 30 kwietnia na 1 maja 1953 roku samolot DC 3 spadł do morza gdzieś w pobliżu wybrzeża Irlandii, lecąc z Reykjavíku do Shannon. Samolot, który wyruszył z lotniska Midway w Chicago, wyczarterowała rodzina Smithów z Evanston (stan Illinois) i wraz z trzyosobową załogą na pokładzie znajdowało się siedem osób, sześcioro dorosłych i roczna dziewczynka. Ciało nigdy nie odnaleziono, choć kilka miesięcy po wypadku szczątki wraku woda wyrzuciła na brzeg w południowo-zachodniej Irlandii. Dochodzenie zamknięto stwierdzeniem, że samolot z powodu ciężkiego sztormu zszedł z kursu i zabrakło mu paliwa.

Teraz wiedział.

Jednakże nic nie wiedział. Tylko tyle, że jej prawdziwe nazwisko brzmi Smith, a ona pochodzi z Evanston (stan Illinois), która to miejscowość - jak przypuszczał - znajduje się blisko Chicago, gdyż stamtąd wystartował samolot. Jej rodzina wyczarterowała samolot, prawdopodobnie zatem była bogata.

Nie bardzo wiedząc, dlaczego to robi, ksiądz Morahan wziął kawałek papieru i napisał drżącą ręką „Smith, Evanston”. Złożył kartkę i wsunął do kieszeni. Odemknął dolną część biurka, wyjął pudełko po butach, otworzył je, ostrożnie włożył list z powrotem do koperty i umieścił ją pod stertą wycinków. Przed nałożeniem pokrywki upewnił się, że nie widać ani skrawka listu. Odstawił pudełko na miejsce i zamknął na klucz drzwiczki biurka.

Wepchnął dwie nietknięte koperty, z których jedna -jak zauważył - zawierała jakieś pismo ze starej szkoły,

a druga rachunek, do cynowego kufła na blacie biurka. Spojrzał na zegarek - dopiero dziewiąta trzydzieści. Zawahał się, czy wypić drinka tak wcześnie rano. Czekał go pogrzeb, ale ponieważ odbywał się targ w Toome, msza rozpoczynała się o jedenastej zamiast jak zwykle o dziesiątej i do tego czasu nie miał żadnych obowiązków.

Poszedł do salonu, otworzył szafkę z whisky, ale zamknął z powrotem drzwiczki. Lepiej nie. Nawet jeśli zje miętów-ki, żalobnicy na pogrzebie na pewno poczują zapach alkoholu w jego oddechu.

Stanął i popatrzył na Tullyhallę, na szeroką ulicę z małymi jedno- lub dwupiętrowymi domami, mniej lub bardziej zadbanymi; niektóre pomalowano na biało, inne na kolorowo, część była zaniedbana, ale wszystkie pochylały się ku sobie z zażyłością, która wiąże takich starych, dobrych sąsiadów jak one. Spoglądał na ogrodzenia wzniesione przez Radę Hrabstwa wokół pni młodych drzew, na dwa lśniące nowością kosze na śmieci, gdzie na dnie spoczywało morze papierków po lizakach, torebek po chipsach i na wpół zgniecionych puszek po napojach. Daleko na końcu ulicy pracownik Rady Hrabstwa na przemian popychał wózek i energicznie zamiatął rynsztok. Dokładnie naprzeciwko sklepikarz za pomocą małego pędzelka i miseczki wapna do bielenia malował na witrynie informację o ofercie specjalnej. Pani Moran, kobieta mieszkająca w domu obok sklepu, czyściła mosiężne detale na drzwiach.

Ksiądz Morahan wyjął kartkę z kieszeni. „Smith, Evanston”.

Spróbował wyobrazić sobie Evanston. Widział je zalane słońcem, pełne ładnych amerykańskich dzieci, które jeżdżą na rolkach po chodnikach lub niosą rakietki tenisowe, zarzucone niedbale na ramiona. Jeśli przypomina bogatsze dzielnice San Diego, to rozdzielają je szerokie aleje, a każdy dom stoi na osobnej działce, nie ogrodzonej murem.

Wczesnym rankiem kobiety odwożą mężów na stację kolejki podmiejskiej, manewrując między dużymi samochodami, już ustawionymi porządnie na specjalnym parkingu obok torów. Jego Molly została pozbawiona tego zdrowego, łatwego stylu życia i rzucona na dziką, jałową Inis Oirthir.

Teraz jednak, kiedy już wiedział, informacje rozczarowały go. Musiał dowiedzieć się więcej... Znowu spojrzał na szafkę z alkoholem, ale odwrócił się stanowczo. Jak Scarlett O'Hara, poważnie pomyśli o całej sprawie jutro.

Wyszedł z domu drzwiami frontowymi, zostawiając je otwarte, przeciął ulicę i znalazł się w sklepie, gdzie kupił dwa batony czekoladowe Cadbury, do których od dawna go ciągnęło. Nigdy ich nie gryzł, pozwalając czekoladzie powoli i smakowicie rozpląwać się w ustach. Wziął jak co dzień po egzemplarzu „Irish Independent” i „Irish Record” i jak zwykle podzielił resztę między stojące na ladzie sklepowej pudełka, do których zbierano pieniądze na różne cele charytatywne.

Wrócił do domu i ponurej kuchni, gdzie nastawił wodę na herbatę. Delektując się pierwszym batonem, czekał, aż woda się zagotuje. Zaparzył herbatę, nalał do filiżanki i zaniósł na stół. Potem odwinął drugi baton i rozłożył

„Independent”, otwierając gazetę najpierw na nekrologach, za którymi znajdowała się kolumna sportowa.

Ledwie dotarł do połowy gazety, kiedy przerwał mu telefon. Pośpieszył z powrotem do kuchni, umył filiżankę, opłukał czajniczek, złożył „Independent” i zabrał go wraz z „Recordem” do gabinetu. Zabierze się do lektury później.

Posługi pasterskie zajęły mu cały dzień, dopiero po szóstej wieczorem wziął się znowu do czytania gazet.

Dawno minęła pora podwieczorku, gdy wrócił do domu. Pani Conway nigdzie nie było widać, ale talerz z wystygłym kotлетem jagnięcym i frytkami jak wyrzut sumienia stał na stole pomiędzy nożem i widelcem. Ksiądz Morahan jadł już podczas obfitej stypy z żałobnikami. Z poczuciem winy zgarnął nieapetyczne jedzenie do kubła przy tylnym wejściu, odstawił talerz do zlewu i poszedł do gabinetu, zatrzymując się przy kredensie we frontowym pokoju, gdzie nalał sobie sporą porcję whisky.

W pracowni, z whisky pod ręką, rozłożył „Independent” i próbował skupić się na wiadomościach. W gazecie pełno było informacji o kradzieży dzieł sztuki z Beit. Według dziennika, wartość obrazów sięgała ośmiu milionów funtów. Osiem milionów funtów, pomyślał ksiądz Morahan

z zazdrością. Czego by on nie zrobił z taką ilością pieniędzy...

Po paru minutach odłożył „Independent” i wziął się do „Irish Record”, który także wyeksponował na czołowym miejscu napad na galerię. Przejrzał nekrologi na ostatniej stronie, a potem przekartkował resztę gazety, idąc od tyłu do przodu, niemal zbyt zmęczony, by odwracać strony.

Natrafił na Molly na stronie piątej.

Wyrwany z odrętwienia, czytał ze wzrastającym przerażeniem artykuł na całą kolumnę napisany przez Unę O'Connor. Relacja była jednoznaczna. Margo Bryan, pochodząca z wysp, znana aktorka i gwiazda filmowa, wychodzi za mąż za Christiana Smitha, spadkobiercę browarowego imperium w Stanach Zjednoczonych.

Pan Smith wreszcie znalazł szczęście w życiu, które do tej pory stanowiło jedno pasmo tragedii. Dziecko w czepku urodzone, którego bezpieczny świat rozleciał się na kawałki, gdy matka, ojciec i mała siostrzyczka zginęli w katastrofie lotniczej.

Jak na ironię, ciągnęła autorka artykułu, samolot DC 3, którym podróżowała rodzina przyszłego męża aktorki (ona sama jest za młoda, by o tym pamiętać) wpadł do morza około stu sześćdziesięciu kilometrów od miejsca, w którym Margo Bryan (prawdziwe nazwisko, dobrze znane w Irlandii - Molly Ni Bhriain) urodziła się i wychowała...

Reszta tekstu zamazała się przed oczami księdza Mora-hana.

Molly, jego Molly, zamierza poślubić własnego brata.

Gazeta szeleściła w jego trzęsących się rękach. Zawsze wiedział, że Molly kiedyś wyjdzie za mąż, i próbował przygotować się psychicznie do myśli o niej w łóżku innego mężczyzny. Ale ową straszną perspektywę przyćmiła wiadomość o straszliwym zbiegu okoliczności - jednym na miliard.

Pomstował na konieczność rozwiązania przerażającego dylematu, przed którym stanął. Czuł, że musi coś zrobić, by powstrzymać to kazirodcze małżeństwo, ale jak mógł wyjawic, że zna prawdę? Miał obowiązek dotrzymać tajemnicy

spowiedzi. Już złamał tę zasadę, pisząc do Federalnego Urzędu Lotnictwa i Lloyda. I komu miał to wyznać? Molly? Jak mógłby zwrócić się do niej? Poczul się nagle słabo i ogarnęły go mdłości.

Wszedł po schodach na górę do łazienki w samą porę, by zwymiotować na wpół strawiony posiłek ze stypy. Zwracał gwałtownie raz po raz, aż wyrzucił z siebie wszystko, a łzy zalały mu twarz. Wyczerpany splukał ustę, opadł na podłogę i oparł mokry policzek o gładką, zimną muszlę klozetową.

Po chwili wstał z trudem, umył twarz i poszedł do sypialni, gdzie usiadł na łóżku, by stawić czoło prawdzie. Przez całe życie był słaby. Teraz nadszedł czas, czy mu się to podoba, czy nie, kiedy musi postąpić honorowo i odważnie, bez względu na osobiste konsekwencje.

Wrócił do łazienki i umył zęby, by pozbyć się gorzkiego smaku w ustach, potem zszedł na dół i podniósł z podłogi upuszczoną gazetę. Przeczytał artykuł jeszcze raz. Nie miał czasu do stracenia: ślub najwyraźniej wyznaczono na drugiego maja, w domu pana młodego. Zostały tylko trzy dni. Molly i ten facet - nie mógł zmusić się do myślenia o nim jako jej narzeczonym, ani nawet bracie - prawdopodobnie pojechali już do Ameryki, a to eliminowało konieczność jego osobistego udziału w tej sprawie. Tego rodzaju wiadomości nie może przekazać przez telefon, nie da też rady zjawić się na progu ich domu. Ulżyło mu. Przynajmniej nie będzie musiał stanąć z nią twarzą w twarz.

Czy - jako że nie znaleziono ciała - dochodzenie Federalnego Urzędu Lotnictwa w sprawie katastrofy lotniczej można wznówić? Chyba powinien zadzwonić tam anonimowo i powiedzieć, że ma informacje o wypadku?

Ale czy tamci zadziałają wystarczająco szybko? Czy skontaktują się z Molly, zanim przejrzą akta? I jaki im podać powód, dla którego nie chce się ujawnić? Pomyślał, że dzwoni jakiś wariat i zlekceważą sygnał.

Spojrzał jeszcze raz na artykuł. Ta Una O'Connor na pewno byłaby zainteresowana tematem. Dziennikarze znani są z tego, że biorą pod uwagę również anonimowe informacje i nigdy nie zdradzają ich źródeł.

Zadrzał na myśl o rozmowie z nią, ale zanim jego wyobrażenia posunęła się za daleko, przeszedł do holu i zadzwonił do biura numerów. Poprosił o telefon do „Irish Record” w Dublinie.

- „Irish Record”. - Telefon odebrała kobieta.
- Czy mógłbym rozmawiać z Uną O'Connor?
- Proszę chwileczkę poczekać...

Usłyszał inny sygnał, a potem, gdy ktoś podniósł słuchawkę, dalsze odgłosy - gwar rozmów, stukot maszyny do pisania, pracę jakiegoś urzędnika. Po krótkiej chwili jednak się to urwało. Ktokolwiek podniósł słuchawkę, zakrył mikrofon. To był mężczyzna. Ksiądz Morahan słyszał przytłumiony głos i umierał z niecierpliwości. Chciał to już mieć za sobą, cokolwiek oznaczało owo „to”.

Wreszcie mężczyzna się odezwał:

- Przepraszam za chwilę zwłoki, o co chodzi?
- Czy mogę... czy mogę prosić Unę O'Connor?
- Una wzięła kilka dni wolnych. Mam jej coś przekazać?
- Kiedy wróci?

Znowu gwar w tle urwał się, gdy mężczyzna najwyraźniej dowiadywał się o to, po czym znowu się odezwał:

- Nie będzie jej do środy, tak sądzę.
- To bardzo ważne, muszę się z nią skontaktować. Czy może mi pan powiedzieć, gdzie jest?
- Czy to ma coś wspólnego z artykułem?
- Nie, to sprawa osobista.
- Przykro mi, ale nie podajemy prywatnych numerów telefonów ani innych informacji o naszych pracownikach.
- Ale to kwestia życia i śmierci!
- Jeśli ma pan ochotę, może pan zostawić swoje nazwisko i telefon - wyjaśnił cierpliwie mężczyzna. - Dopilnuję, żeby je dostała, o ile zadzwoni. O ile zadzwoni...
- Nie, dziękuję - powiedział ksiądz Morahan i nagle odłożył słuchawkę. Serce mu waliło. Spojrzał głupio na milczący, czarny aparat, który, jak mu się wydało, też na niego łypnął.

Napisze anonim do Uny O'Connor i dostarczy go osobiście do jej redakcji w Dublinie. Czas niebezpiecznie się skracał. Kolega dziennikarki powiedział, że nie będzie jej do środy, a środa to pierwszy maja, przeddzień ślubu. Ale

kiedy Una przeczyta list, na pewno zrozumie konieczność natychmiastowego działania. Pani O'Connor będzie też moralnie zobowiązana, by zrobić użytek z otrzymanej informacji. A nawet powinna być zadowolona, bo bez wątpienia zdobędzie dobry temat.

Rzucił się do biurka i zanim się zdążył rozmyślić, przysunął sobie blok papieru listowego i wyjął długopis z wewnętrznej kieszeni czarnej marynarki.

Nie podał adresu zwrotnego w górnym prawym rogu strony.

Szanowna Pani O'Connor,

proszę wybaczyć mi, że Panią niepokoję i piszę w takim pośpiechu, ale czuję, że muszę poinformować o sprawie, która wypłynęła w dzisiejszej gazecie z Pani artykułu o aktorce Margo Bryan - Molly Ni Bhriain - i jej bliskim ślubie z amerykańskim dziennikarzem, panem Christianem Smithem.

Zanim podzielę się moimi obawami, niech Pani mi uwierzy, że nie jestem intrygantem ani plotkarzem. Zapewniam Panią, że piszę z najwyższych pobudek moralnych.

Przeczytał powtórnie drugi akapit i zdał sobie sprawę, że brzmi on tak, jakby napisał go wścibski moralista. Podarł list i zaczął od nowa.

Szanowna Pani O'Connor,

przepraszam, że ją niepokoję, ale przeczytałem Pani artykuł w dzisiejszej gazecie i uważam, że powinienem przekazać Pani pilnie wiadomość, która może panią zainteresować.

Śledziłem karierę panny Bryan z wielkim zainteresowaniem i na początku z radością wyczytałem z Pani artykułu, że wychodzi za mąż. Niestety, dysponuję informacjami - nie mogę wyjawić, w jaki sposób je uzyskałem, ale proszę mi wierzyć, źródło ich jest całkowicie niepodważalne - że mamy do czynienia z przypadkiem jednym na milion - Molly Ni Bhriain i amerykański dziennikarz Christian Smith są w rzeczywistości bratem i siostrą.

Wiem, że brzmi to zupełnie niewiarygodnie, ale jeśli Pani napisze albo zatelefonuje do siedziby Federalnego Urzędu Lot-

nictwa w Waszyngtonie, potwierdzą tam, że w nocy 30 kwietnia 1953 roku - tej samej, o której wspomina pani w artykule

- w katastrofie lotniczej przy wybrzeżach Irlandii zginęło na morzu niemowlę.

Pani O'Connor, to dziecko nie zmarło, przeżyło. Morze wyrzuciło dziewczynkę na brzeg Inis Oirthir, gdzie wychowała ją biedna rodzina o nazwisku Ó Briain. Załączam list, który otrzymałem od Federalnego Urzędu Lotnictwa, potwierdzający, że taka katastrofa się wydarzyła, bo miałem swoje powody, by przeprowadzić dochodzenie na własną rękę.

Wiem, że bardzo trudno w to uwierzyć, ale ze względów zawodowych, etycznych i moralnych nie mogę wyjawić, jaką drogą uzyskałem te informacje. Wyznano mi je w najgłębszym zaufaniu i odkąd otrzymałem list od Federalnego Urzędu Lotnictwa, zdręczam się, czy powinienem naruszyć ową tajemnicę. Gdyby nie przerażający zbieg okoliczności, zabrałbym sekret prawdziwej tożsamości Molly Ni Bhriain do grobu. Ale - jak sądzę, widzi to Pani wyraźnie - podejmuję ten krok tylko po to, żeby uniknąć jeszcze większego dylematu moralnego i zapobiec ewentualnemu nieszczęściu dwojga młodych ludzi. Bóg świadkiem, Pani O'Connor, że na sercu leży mi jedynie ich dobro. Z tych samych przyczyn etycznych i moralnych, dla których nie wolno mi ujawnić źródła wiadomości, nie mogę osobiście zwrócić się do narzeczonych.

Jestem pewien, że doceni Pani znaczenie tej informacji, i mam nadzieję, że mogę polegać na Pani zdrowym rozsądku, który podpowie Pani, tak jak i mnie, że to małżeństwo nie powinno dojść do skutku.

Pozwoliłem sobie zadzwonić do redakcji i kolega poinformował mnie, że nie wróci pani z urlopu do środy 1 maja. Ale - jak Pani wie z własnego artykułu, który również załączam -ślub ma się odbyć w Evanston, stan Illinois, 2 maja. Sprawa jest więc niezwykle pilna.

Mam nadzieję, że mogę też polegać na Pani dyskrecji. I - jako kobieta inteligentna - pewnie wywnioskuje Pani z powyższego, dlaczego nie mogę się podpisać.

Zanim zdążył zmienić zdanie, otworzył biurko, wyjął pismo z Federalnego Urzędu Lotnictwa z pudełka po butach,

ostrożnie oderwał nagłówek „Szanowny księżu Morahan”, złożył kartkę i wsunął do listu napisanego do Uny. Włożył obydwie kartki do koperty, zaadresował do Uny O'Connor i zazaczył: „Do rąk własnych”. Wepchnął do kieszeni marynarki kawałki pierwszego, podartego listu i paseczek ze słowami „Szanowny księżu Morahan”. Już. Zrobione. Wpatrywał się w kopertę na biurku. Drwiła z niego. To zbyt niebezpieczne. Gdy Una zadzwoni do Federalnego Urzędu Lotnictwa, odnajdą kopię listu do niego w aktach Smithów i nie ma żadnej gwarancji, że nie wyjdzie szydło z worka.

Zachowuje się jak podły tchórz i egoista. Jak zareaguje Molly, gdy otrzyma od dziennikarki wiadomość, która przekreśli jej plany małżeńskie i prawdopodobnie narazi ją na publiczny rozgłos.

Istnieje jeszcze jedna możliwość: zwrócić się o poradę do kościoła - mimo całej jego czcigodności z pewnością znajdzie się precedens, jak postąpić w takiej sytuacji. Będzie musiał się zwierzyć jakiemuś przedstawicielowi władz kościelnych. Nie swojemu biskupowi, staremu i bardzo konserwatywnemu. To byłoby zbyt trudne i zbyt drażliwe.

Postanowił spotkać się z Nede O'Neillem.

Jezuita Edward O'Neill był przewodnikiem duchowym księdza Morahana w seminarium w Maynooth. Ned, który dobiegał teraz dziewięćdziesiątki, był tolerancyjny, mądry i tryskał humorem. Nic, a w każdym razie niewiele mogło zdziwić powiernika i przyjaciela setek młodych seminarzystów, z których wielu, tak jak ksiądz Morahan, utrzymywało z nim kontakt. Ned będzie wiedział, co robić.

Ksiądz Morahan już miał wejść do holu, gdy usłyszał klucz w zamku drzwi frontowych. Pani Conway! Na jakiś czas zupełnie o niej zapomniał.

Rzucił się z powrotem do biurka i chwycił kopertę zaadresowaną do Uny O'Connor. W panice rozejrzał się dookoła. Nie palił się ogień w kominku. Wygarnął wycinki gazetowe z pudełka i wepchnął kopertę na spód, potem włożył je z powrotem, nasadził pokrywkę i wrzucił pudełko do biurka. Zamykał je, gdy gospodyni weszła do pokoju.

- Dobry wieczór, proszę księdza - powiedziała.

Kiedy odwrócił się do niej, ku swemu przerażeniu dostrzegł, że jeden z wycinków wypadł.

- Dzień dobry, pani Conway - odparł z udaną pogodą, prostując się. Zrobił krok w jej kierunku, żeby stanąć na wycinku. Zauważyła?

Nie dała tego po sobie poznać.

- Byłam w wiosce, proszę księdza, odwiedziłam Sarah Sheehan. Już niedługo pobędzie na tym świecie.

- No cóż, pani Conway, dożyła wspaniałego wieku, niech Bóg ma ją w swojej opiece... - Róg wycinka wystawał mu spod buta.

- Przyszłam tylko po książeczkę do nabożeństwa, proszę księdza. Idę do kościoła na stacje Drogi Krzyżowej.

- Dobrze, dobrze, pani Conway. - Nadal się nie ruszał. Gdyby ta scena nie była tak pełna napięcia, pomyślał, pasowałyby do komedii braci Marx. Miał nawet ochotę zachichotać.

- Czy rozpalić ogień, proszę księdza? - spytała, patrząc na pusty kominek. - Robi się chłodno.

- Nie, w porządku, pani Conway. Ale czy mogłaby pani włączyć radio na wiadomości o wpół do szóstej? - Odbiornik stał w kuchni.

- Już prawie się skończyły, proszę księdza.

- To nic, chodzi mi o prognozę pogody.

- Dobrze.

Miłosiernie opuściła pokój. Schylił się, podniósł wycinek i wepchnął go do reszty papierów w kieszeni marynarki, którą zaczynał traktować jak kosz na śmieci. Gdy pani Conway weszła znowu do holu, ściskając w ręku postrzępioną książeczkę do nabożeństwa, odprowadził ją i zamknął drzwi. Potem natychmiast ruszył do telefonu. Miał szczęście. Został Neda.

- Pat! - Wciąż mocny głos starego księdza rozbrzmiewał zadowoleniem.

- Przepraszam za pośpiech, Ned, ale czy mógłbym cię odwiedzić dziś wieczorem?

- Tak ci pilno? - Głos Neda był pogodnie wymijający. - Nie myślisz o natychmiastowym odejściu, mam nadzieję?

Ksiądz Morahan zaśmiał się z zakłopotaniem.

- Nie, nic z tych rzeczy, Ned, ale to bardzo ważne.

- No cóż, cokolwiek by to było, może chyba poczekać parę dni? - spytał drugi mężczyzna. - Jestem zaproszony na dziś wieczór do Maynooth - właściwie złapałeś mnie w ostatniej chwili, samochód właśnie podjechał, a jutro jeden z moich ciotecznych wnuków zabiera mnie do Cavan na ryby.

Ksiądz Morahan zacisnął dłoń na stoliku telefonicznym.

- Obawiam się, że to trochę pilniejsze, Ned. - Spojrzał na zegarek. - Jest dopiero piętnaście po szóstej, jeszcze została godzina czy dwie do zmierzchu. Jak długo będziesz w Maynooth? Mógłbym się tam zjawić za niecałe dwie i pół godziny, jeśli dasz radę spotkać się dziś ze mną. To znaczy, jeśli nie będę ci przeszkadzał w kolacji...

Ton głosu Neda O'Neilla znowu się nieco zmienił: -Rozumiem. No cóż, Pat, oczywiście. I oczywiście nie będziesz przeszkadzał. Będą tam same takie stare pierniki jak ja i jestem pewien, że siły nam się wyczerpią na długo przed twoim przyjazdem. I tak nocuję dziś w Maynooth, a stare kości nie potrzebują tyle snu. Więc zaczekam na ciebie... Zostawię przy wejściu wiadomość, gdzie mnie szukać. Nie martw się, nie zasnę, więc śpiesząc się, nie zabij nikogo po drodze.

- Dobrze, proszę księdza - obiecał Morahan i rozłączył się. Po odłożeniu słuchawki znowu poczuł się słabo i przytrzymał się brzegu półokrągłego stolika pod telefon. Powiniennem coś zjeść, pomyślał, mam teraz zupełnie pusty żołądek. Zamiast tego, zapomniawszy, że już wypił jedną whisky w gabinecie, podszedł do szafki z alkoholem w salonie i nalał sobie następną porcję, którą osuszył jednym długim łykiem. Alkohol rozgrzał go całego i sprawił, że natychmiast poczuł się lepiej.

Nalał sobie następny kieliszek, mniejszy i zabrał go do gabinetu, i napisał parę słów do pani Conway, informując ją, że został zniemacka pilnie wezwany i wróci jutro w porze kolacji. Dzięki Bogu, pomyślał, sącząc drugą whisky, że poszła do kościoła i nie muszę odpierać żadnych pytań. Jeśli zaraz się ruszę, będę już niezły kawał drogi stąd, kiedy ona wróci...

Zostawił liścik na suszarce w kuchni, zadzwonił do hotelu Wynna w Dublinie, gdzie zawsze nocował, gdy był w stolicy, i wyjął czystą piżamę i kalesony z bielizniarki. Potem wziął szczoteczkę, pastę do zębów i elektryczną maszynkę do golenia z łazienki, brewiarz z sypialni i, zwinawszy wszystko razem, włożył do walizki, którą wyciągnął spod łóżka. Przed wyjściem zahaczył o salon i wyglądając przez okno, czy pani Conway nie wraca, nalał sobie jeszcze jedną whisky, małą porcyjkę, tylko dla kurażu.

Szczęście go nie opuszczało. Uruchamiał właśnie samochód, trzyletniego forda escorta, gdy zobaczył, że gospodyni wychodzi z kościoła. Udając, że jej nie widzi, wystrzelił z bramy, z rykiem ruszył ulicą pod górę w kierunku Lough-rei i główną drogą do Dublina. Szosy były stosunkowo puste, więc jechał szybko, skoncentrowany, świadom tego, że wypił kilka drinków. W radiu nadawali „Symfonię Pastoralną” Beethovena, utwór, który uwielbiał przez całe życie.

Tuż za Aughtim zaczęło padać, więc włączył wycieraczki, ale ich rytmiczne ruchy w połączeniu z kaskadą muzyki smyczkowej sprawiły, że przed Athlone poczuł, mimo otwartych okien, działanie alkoholu, który wypił wcześniej, i naprawdę z trudem zwalczał senność. Wjechał na parking przy hotelu „Monarch”, by odetchnąć.

W holu odbywały się tańce i słychać było dwa osobne chóralne śpiewy, jeden z baru, a drugi z sali przyjęć. Jak się zorientował ksiądz Morahan, wyprawiano jednocześnie dwa wesela, a goście mieszały się teraz ze sobą, łącząc się w jednej olbrzymiej imprezie.

- Napije się ksiądz? - Morahan rozejrzał się wokół. Niewyobrażalnie gruby mężczyzna o łysej głowie, poprzedzielanej długimi kosmykami włosów niczym brama prętami, siedział w fotelu w holu, trzymając kufel piwa, który chybotął mu się niebezpiecznie w rękę, grożąc rozlaniem na rozpięty przód koszuli.

-Nie, dziękuję - odparł uprzejmie ksiądz Morahan i wszedł do baru.

Personel, dwie młode dziewczyny i jeden mężczyzna, biegali tam i z powrotem wzdłuż pojemników z alkoholem, ledwo nadążając z wykonaniem zamówień. Na wpół opróż-

nione kufle stały w równych rzędach na ladzie. Ksiądz Morahan znalazł wolne miejsce na rogu i udało mu się przyciągnąć uwagę jednej z dziewcząt.

- Czy mogę poprosić o kanapkę?

- Jaką kanapkę, proszę księdza?

- Cokolwiek macie - odparł ze względu na panujące zamieszanie.

- Będę musiała pójść do kuchni. Czy może być z szynką?

- Może być.

- Czy podać coś do picia, proszę księdza?

- Tak - odpowiedział. - Poproszę whisky. Podwójną - dodał. Nic się nie stanie. Kanapka zneutralizuje skutki alkoholu. Skończył whisky, zanim dostał kanapkę, i zamówił do niej szklaneczkę piwa. Było mu bardzo niewygodnie na wysokim stołku, róg baru wbijał mu się w żołądek, gdy nachylił się nad kanapkę. Zdał sobie sprawę, że cała sala na niego patrzy, choć z szacunku dla sukienki duchownej goście weselni, a także stali bywalcy, usuwali się, chcąc zrobić mu miejsce. Przełknął kanapkę, popił piwem i jak najszybciej wyszedł.

Za piętnaście jedenasta dotarł do Maynooth, ale widok olbrzymiej bramy odebrał mu odwagę i zamiast skrócić w prawo, którą dojechałby do seminarium, pozostał na głównej drodze, przejechał przez miasto i wypadł z powrotem na trasę w kierunku Dublina.

Zastanowił się przez chwilę, czy nie wysiąść na spacer, by rozjaśniło mu się w głowie, ale zamiast tego postanowił zjeść drugą kanapkę w następnej miejscowości o nazwie Leixlip. Zobaczył pub przy głównej ulicy, po obu stronach drogi stało jednak pełno samochodów i nie było gdzie zaparkować. Pojechał dalej, skręcił w prawo na most i dojrzał za nim inny pub. Obok lokalu znajdował się parking.

Zatrzymał się. Teraz czuł się całkiem dobrze. Niedługo Ned O'Neill pomoże mu rozwiązać sprawę.

W pubie panował duży ruch, ale znowu znalazł wolny stół przy barze. Do jedzenia mógł dostać jedynie następną kanapkę z szynką.

- Czy podać księdzu coś do picia? - spytał młody barman.

- Poproszę piwo - odparł ksiądz Morahan. - Nie, lepiej zamówię co innego - dodał. - Niech będzie mineralna.

- Britvic? - spytał barman.

Ksiądz Morahan zmienił zdanie po raz trzeci.

- Poproszę kawę i małą irlandzką. - Barman westchnął i spojrzał wymownie na zegarek, ale postawił przed nim whisky, a potem poszedł po kanapkę i wstawił wodę na kawę.

Popijając alkohol, ksiądz zauważył, że jest tu jedyną samotną osobą. Ludzie, mężczyźni i kobiety, siedzieli w grupach, śmiali się, gawędzili, cieszyli się własnym towarzystwem. Postrzępiona, niebieska chmura dymu z papierosów i cygar wisiała w powietrzu nad ich głowami. Przy barze po jednej stronie Morahana siedziała grupka trzech mężczyzn, najwyraźniej starych przyjaciół na niezłej bani, śmiejących się głośno; para po drugiej stronie nie zwracała uwagi na nikogo i nic oprócz siebie nawzajem. Ich drinki stały nietknięte na ladzie, a ci dwoje siedzieli - on obejmował kolanami jej uda - i patrzyli sobie płomiennie w oczy.

Ksiądz utkwiał wzrok w złocistym lustrze własnej whisky. Na to mi przyszło, pomyślał, siedzę przy barze sam, na wpół zalany. Wszystko jedno, jak miły będzie dziś Ned O'Neill, on sam nigdy nie wymaże z pamięci tego, co zrobił. Każdy ma kogoś, a o niego nikt nie dba.

Z głębi posepnego rozczulenia nad sobą dojrzał, że barman wrócił z kanapką i kawą. Teraz o coś go pytał.

- Co? - udało mu się wykrztusić.

- Razem dwa funty sześćdziesiąt - powtórzył młody mężczyzna. - Czy z księdzem wszystko w porządku? Nie wygląda ksiądz dobrze.

Morahan podniósł rękę.

- Nic mi nie jest, synu, nic mi nie jest.

Zdjął celofanowe opakowanie i odgryzł kęs kanapki, ale smakowała jak tapeta i nie dał rady z jeść więcej. Zostawił kawę nietkniętą, wysuszył whisky i wstał ze stołka. Nie może dłużej odsuwać sprawy.

Na parkingu włączył silnik i wycieraczki też ruszyły, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Przez chwilę poskrzypywały cicho, dopóki nie ściągnęły strug deszczu z szyby. Wrzu-

cił bieg i wyjechał z parkingu na most, z powrotem w kierunku Leixlip.

Oślepiły go wysoko umieszczone reflektory ciężarówki, która właśnie dojeżdżała do mostu i wysunęła się nieco, by pokonać ostry zakręt w lewo. Ksiądz prawą ręką osłonił oczy przed światłem i instynktownie szarpnął kierownicę w lewo drugą ręką. Kierowca ciężarówki nacisnął klakson, który słyszany z bliska wydawał straszliwy ryk, i Morahan podskoczył przerażony. Prawą stopą trafił na gaz. Ford escort wystrzelił w kierunku żelaznych barierek starego mostu i przebił się przez nie z trzaskiem.

Ksiądz czuł się dziwnie rozluźniony, gdy samochód szybował w powietrzu przez parę sekund. Był bardziej zdumiony niż przestraszony. Ford spadł dziewięć metrów w dół, kierownica uderzyła Morahana i wbiła mu się w pierś, ale nie poczuł natychmiast eksplozji bólu. Domyślił się, że to nadejdzie później. Wszystko odbywało się jak na zwolnionym filmie. Samochód spadał pod dziwnym kątem, pochylony do przodu, na wpół bokiem. Morahan usłyszał straszliwy huk i jednocześnie poczuł, że robi mu się coraz zimniej w stopy, które miał zgięte pod osobliwym kątem. Woda. Wlewała się woda. Obmacywał drzwi w poszukiwaniu klamki, ale samochód znajdował się w takim położeniu, że ksiądz opierał się mocno o bok auta od strony kierowcy, a klamkę miał z tyłu. Nie mógł zgiąć ręki pod takim kątem. Wóz zaczął obracać się ze zgrzytem, a woda podeszła wyżej. Uznał, że samochód musiał nadziać się na jakąś skałę. Było mu bardzo zimno i zaczął dygotać. Zauważył, że woda podniosła się do poziomu radia, i ciekaw był, czy przetrwa ono zanurzenie. Jeszcze się nie bał. Pragnął tylko, żeby ustał ten warkot.

Ksiądz Morahan na ogół nie przeklinał. Teraz to zrobił. - O, cholera! - powiedział.

Paradoksalne, że kiedy lodowata woda o ziemistym smaku wdarła mu się do gardła i nosa oraz zamąciła wzrok, jego ostatnia świadoma myśl nie dotyczyła nieśmiertelnej duszy, ani Molly, ani też Neda O'Neill, który zaczynał się już niepokoić. Morahan z żalem przypomniał sobie, że nie zjadł swojej kanapki z szynką.

Podczas śledztwa, które później wszczęto, koroner nie potrafił ustalić, czy ksiądz zrobił jakiś wysiłek, by wydostać się z samochodu, który wpadł do wezbranych wód rzeki. Ponieważ najbliżsi żyjący krewni Morahana mieszkali za granicą, po jego osobiste rzeczy przyjechała do Dublina pani Peg Conway. Wszystko, co znaleziono w samochodzie, zapakowano do jego przemoczonej teczki.

-To jest jego portfel - rzekł urzędnik - a to zegarek i zawartość kieszeni. - Podał pani Conway portfel i plastikową torebkę zawierającą zegarek, kilka monet, kieszonkowy kalendarzyk i parę zamokłych kartek papieru.

Tego samego wieczora, już w domu, otworzyła plastikową torbę. Jeden z kawałków papieru został najwyraźniej oderwany z listu, który, jak wskazywał nagłówek, wysłano z Waszyngtonu. Na drugim widniało pismo księdza Morahana. Zamazany tekst brzmiał chyba: „Smith, Evanston”. Trzeci był miękkim jak lignina, ale jeszcze czytelnym kawałkiem gazety. Mówił o Margo Bryan. Pani Conway włożyła wszystkie trzy kartki do pustego kominka w gabinecie księdza i przytknęła zapalną. Palily się powoli, ale ona doczekała na stojąco, dopóki się nie skręca i nie zamienia w czarny popiół. Potem poszła do kuchni, usiadła przy stole i pogrążyła się na chwilę w myślach. Wreszcie podjęła decyzję.

Choć klucze księdza Morahana były w jego teczce, wyjęła z torebki własne i poszła do małej jadalni. Włożyła jeden z kluczy do zamka biurka, otworzyła je i wyjęła ze środka pudełko po butach.

Kiedy pani Conway odkryła jego zawartość kilka lat wcześniej, nie przeżyła zaskoczenia. Morahan nie był i nie będzie ostatnim księdzem, który żywi taką namiętność. Pani Conway w istocie rzeczy identyfikowała się z celtycką duszą, której nie okiełznają do końca nawet najzagorzalsze próby rzymskiego czy purytańskiego podporządkowania. O tym, co zrobi z pudełkiem i jego zawartością, zdecydowała już w kuchni. Mogłaby spalić wycinki, ale własność zmarłego budziła w niej zabobonny szacunek. Zostałaby jednak wyklęta, gdyby dopuściła do tego, by ktoś je znalazł i świsnął, wyśmiewał się, snuł domysły i kalał pamięć

księdza Morahana insynuacjami na temat czegoś, czego nie będzie w stanie zrozumieć.

Położyła przed sobą kartkę czystego papieru listowego księdza Morahana i nagryzmoliła drukowanymi literami: ZNALEZIONE W RZECZACH WIEL. PATRICKA MORAHANA. Otworzyła wieko pudełka i położyła kartkę w środku, na wycinkach. Następnie wróciła z pudełkiem do kuchni, usiadła przy stole i, wyjmując wycinki jeden po drugim, przejrzała ich treść, aż znalazła to, czego szukała: artykuł zawierający nazwę teatru, w którym grała Margo Bryan. Zapisała ją na osobnej kartce, a wycinki włożyła z powrotem na miejsce.

Otworzyła szufladę komody, w której przechowywała papiery do pakowania, sznurek, gumki i inne przydatne drobiazgi. Szperała w niej kilka minut, aż trafiła na wystarczająco duży kawałek mocnego, brązowego papieru. Zniosła go wraz z motkiem szpagatu na stół, wygładzając po drodze zgniecenia, zawinęła i zawiązała pudełko, po czym na otrzymanej w ten sposób zgrabnej paczuszce napisała dużymi literami: MARGO BRYAN, TEATR WYNDHAMA, LONDYN, ANGLIA.

Potem zrobiła sobie filiżankę herbaty i poszła spać.

Nazajutrz rano przyjechał siostrzeniec, by zabrać ją na pogrzeb, który miał się odbyć w parafii księdza Morahana, czyli w Kilmacslea w hrabstwie Mayo. Położyła paczkę na tylnym siedzeniu, a sama usiadła z przodu.

- Chcę się zatrzymać w Tuam, żeby nadać tę paczkę - powiedziała.

- Ależ, ciociu Peg, tutejsza poczta też jest otwarta - zaprotestował siostrzeniec. - W Tuam możemy mieć trudności z zaparkowaniem.

- Rób, co ci mówię! - odwarknęła. Peg Conway nie ufała chwilowo nikomu w Tullyhalli. A zwłaszcza pracownikom poczty.

Kościół w swej rozwadze rozstrzygnął na korzyść księdza Morahana wątpliwości dotyczące jego przypuszczalnego samobójstwa, dzięki czemu ceremonia pogrzebowa odbyła się z pełną pompą. Dwa sklepy i trzy puby w Kilmacslea były tego rana zamknięte, toteż maleńki sklepik przykościelny,

który pochodził z dwunastego wieku, pękał w szwach. Na mszę żałobną przybyło do kościoła trzydziestu jeden księży i trzech biskupów. Pani Peg Conway była jedyną osobą z parafii, która płakała nad grobem.

Molly przypuszczała, że przepych domu w Evanston ją onieśmieli, ale gdy weszła do przestronnego przedpokoju, natychmiast poczuła się jak u siebie.

Stała przez chwilę, patrząc w górę na piękny łuk wielkich schodów, a tymczasem Christian krzątał się przy torbach i płaszczach. Malcolm, który przyjechał po nich na lotnisko samochodem, pośpieszył zawiadomić gospozię o przybyciu gości, a Cordelia, słysząc, że są już w domu, wyszła z sąsiadującego z holem pokoju i wyciągnęła rękę.

- Bardzo się cieszymy, że przyjechałaś, Margo - powiedziała łagodnym głosem. - Mam nadzieję, że będzie ci tu dobrze.

Molly od razu ją polubiła.

- Dziękuję, pani Smith - odparła. - Już jestem tego pewna.

- Mogłabyś mówić mi Cordelio? Nie znoszę, jak ktoś się do mnie zwraca tak oficjalnie. Jeśli będziesz to robić, ja odpłacę ci tym samym!

Molly roześmiała się.

- Zgoda, Cordelio. Ale czy mogę cię prosić, żebyś mówiła mi Molly? Margo to mój pseudonim sceniczny.

- Imię Molly dużo bardziej mi się podoba. - Cordelia uśmiechnęła się.

Christian wziął Molly za rękę.

- Chodź! Chcę cię zaprowadzić nad jezioro.

- Christianie - zaprotestowała Cordelia. - Molly jest na pewno bardzo zmęczona i chciałaby się umyć.

- Jesteś zmęczona, Molly? - zapytał Christian ze skruchą.

- Niespecjalnie, ale chciałabym się przebrać.

- Wobec tego pójdziemy nad jezioro wcześniej rano, dobrze?

- Dobrze - roześmiała się.

Malcolm, który już wrócił do przedpokoju, wtrącił się do rozmowy:

- Zresztą jest tam okropnie zimno, a poza tym już zarządziłem kolację.

Odwróciła się ku niemu. Jeszcze nie zdjął płaszcza. Odniosła wrażenie, że ją uważnie obserwuje. Wrażenie to jej nie opuszczało - przez całą kolację miała poczucie, że Malcolm badawczo się jej przygląda. Był idealnym gospodarzem, prowadził lekką pogawędkę, która ją rozluźniała, ale wciąż wyglądało na to, że Malcolm po cichu nad czymś się głowi.

- To twoje przedstawienie w Londynie - powiedział. - Słyszałem, że ma powodzenie i że cię nominowano do jakiejś nagrody?

- To prawda - odparła Molly. - Zeszło już z afisza, ale nominowano mnie do Nagrody Keane'a. Ceremonia wręczenia nagród odbędzie się za dziesięć dni, a producenci mówią, że muszę tam być. Dlatego obawiam się, że nic nie wyjdzie z miesiąca miodowego.

Cordelia, która miała niecały miesiąc na zaplanowanie przyjęcia weselnego w domu („Nie dałeś mi wiele czasu, Christianie!”), opowiedziała Molly, co jeszcze zostało do zrobienia.

- Przywiozłaś suknię ślubną?

- Jeśli mam być szczerą, Cordelio, była to ostatnia rzecz, o której pamiętałam.

- To świetnie! - wykrzyknęła Cordelia. - Pójdziemy jutro na zakupy.

- Pożegnaj się ze swoją narzeczoną, Christianie! - Malcolm się roześmiał, ale Molly zauważyła, że Christian nie. Przez cały posiłek wyczuwała podskórną niechęć Christiana do dziadka, czego, poznawszy Malcolma, nie mogła zrozumieć. Malcolm, pomyślała, dwoi się i troi, żeby okazać Christianowi uprzejmość i życzliwość, a ten najwyraźniej odrzuca wszystkie jego zabiegi.

Przygotowania do wesela były stosunkowo skromne. Ani Christian, ani ona nie chcieli żadnego zamieszania, ale Cordelię wyraźnie niepokoiło katolickie pochodzenie Molly.

- Jesteś zupełnie pewna, Molly - zapytała - że nie chcesz katolickiej uroczystości? Jestem przekonana, że udałoby się nam to załatwić. Malcolm zna z widzenia kardynała, prawda, kochanie?

- Jestem zupełnie pewna, Cordelio - rzekła Molly, zanim Malcolm zdążył odpowiedzieć - że nawet kardynałowi nie udałoby się tak szybko tego załatwić. To naprawdę żaden problem, mówię szczerze. W zupełności wystarczy każda uroczystość, jaką przygotowaliście.

- I jesteś całkowicie pewna, że chcesz wyjść za mąż w Ameryce? Bo ja i Malcolm naprawdę moglibyśmy polecieć do Irlandii.

Molly wiedziała, że nie ma mowy, by mogła wyjść za rozwiedzionego mężczyznę na Inis Oirthir. Nawet nie próbowała wprowadzać Christiana w tajniki katolickiego małżeństwa. Powiedziała mu tylko, że na wyspie wywołałaby skandal, wychodząc za mąż w niecałe cztery miesiące po śmierci matki.

- Proszę cię, Cordelio, nie przejmuj się tym - powiedziała. - Nie ma dla mnie znaczenia, gdzie wychodzę za mąż.

- Cóż, skoro jesteś tego pewna - odparła Cordelia, która następnie wyjaśniła Christianowi, gdzie ma odebrać garnitur na rano.

Dick Spielberg, z którym Molly rozmawiała przelotnie trzy miesiące wcześniej w swojej garderobie, miał być drużbą Christiana, ale ciągle nie było wiadomo, kto zostanie druhną Molly i kto poprowadzi ją do ołtarza.

- Jaka szkoda - powiedziała Cordelia - że nie przyjedzie nikt z twojej rodziny.

Molly zdawała sobie sprawę, że zapraszanie Brendana nie ma sensu - on nie przyjechałby nawet do Londynu. A Conor sam wykluczył swoją osobę.

- Moja najbliższa rodzina jest bardzo nieliczna - powiedziała. - Christian na pewno wam powiedział, że mam tylko dwóch braci i z jednym z nich, niestety, zupełnie straciłam kontakt, bo pracuje za granicą. Ale jestem bardzo zadowolona, że tak się ułożyło. Nie zniosłabym tego całego zamieszania, które zwykle towarzyszy weselom.

- No to będziemy musieli znaleźć ci druhnę - powiedziała Cordelia wesoło. - A Malcolm poprowadzi cię do ołtarza, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Ależ skąd! Będę zachwycona.

Przy kawie Molly zaczęły się już ze zmęczenia kleić oczy i przeprosiła obecnych. Christian też wstał od stołu, ucałował babcię i oznajmił, że on także idzie się położyć.

Razem weszli na górę. Przed drzwiami pokoju, w którym umieszczono Molly, Christian delikatnie ją pocałował.

- Tak się cieszę, że tu jesteś, Molly - wyszeptał. - Marzyłem, żeby cię tu przywieźć. Bardzo, bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham... - szepnęła w odpowiedzi. Kiedy zamknęła drzwi, uświadomiła sobie, że powiedziała to po raz pierwszy.

Wróciła myślami do rozmowy przy kolacji, która pokazała, jak łatwo ona sama zarzuciła po przyjeździe do Londynu praktyki i surowe zasady swej wiary - niczym wąż pozbywający się skóry. Mimo to zawsze będzie czuć się katoliczką. Co by sobie Sorcha pomyślała? Czy Molly w ogóle wyszłaby za Christiana, gdyby Sorcha żyła? Była zbyt zmęczona, by się nad tym głowić, a nawet by się rozpakować.

Umyła twarz w małej łazience i weszła naga do chłodnego, pachnącego lnianą pościelą łóżka. Jej pokój znajdował się z tyłu domu i wychodził na jezioro. Nie zaciągnęła zasłon, więc kiedy zgaszyła lampkę przy łóżku, w pokoju zapanał mrok, ale stopniowo wszystkie przedmioty ukazały się ponownie w odcieniach szarości i srebra, które nadawało im odbijające się od wody światło księżyca. Molly czuła się bezpiecznie i wygodnie. Znajdując się pomiędzy świadomością i snem, słyszała wokół siebie coś jakby szept. Był niski i łagodny, niby westchnienie powstające z plusku fal i szumu wiatru za oknem.

Mimo zmęczenia nazajutrz obudziła się o czwartej, jak nakazał jej zegar biologiczny. Nie przestawiła się jeszcze z czasu londyńskiego na tutejszy. Nie mogła zasnąć ponownie i gdy służąca wniosła filiżankę herbaty, czytała książkę, którą wzięła z półki w pokoju. Wkrótce do drzwi zapukała Cordelia.

- W tym domu mieszkają ranne ptaszki - powiedziała przeproszającym tonem. - Mam nadzieję, że się nie gniewasz, że tak wcześnie przyszłam, ale jeśli mamy zrobić wszystkie zakupy, musimy szybko wyruszyć. W godzinie szczytu dojazd do centrum zajmie nam dobrą godzinę.

Molly, której zakupy zwykle absolutnie nie interesowały, odkryła, że uwielbia je robić z Cordelią. Zauważyła, że Cordelia jest znana i lubiana we wszystkich eleganckich butikach i sklepach na Michigan Avenue. Obie wspaniale się bawiły. Ku swemu zdumieniu Molly zdała sobie sprawę, że bardzo jej odpowiada to niezwykle uczucie podniecającej beztroski.

Cordelia uprzedziła sklepy i kolekcje sukien już były przygotowane do obejrzenia. Molly wirowała przed Cordelią w obłokach jedwabiu, satyny i koronek. Wreszcie u Sak-sa wybrała prostą, elegancką suknię z kremowej jedwabnej dzianiny, która układała się na jej ciele w efektowne fałdy. Wykonała piruet przed sklepowymi lustrami.

- Wyglądam jak Isadora Duncan! Jakie jest twoje zdanie, Cordelio, podoba ci się? - Spojrzała na stojącą za plecami sprzedawczyń Cordelię i natychmiast przerwała taniec. W oczach Cordelii zauważyła łzy. - Co ci jest, Cordelio?

- Nic, Molly. Po prostu ta suknia przypomina mi o kimś z zamierzchłej przeszłości.

- Bardzo mi przykro. Nie chciałam sprawić ci przykrości. Zaraz ją zdejmę. Jest jeszcze dużo innych sukien.

- Nie - powiedziała zdecydowanym głosem Cordelia, wycierając nos. - To tylko przelotne wspomnienie. Ma się rozumieć, że ją kupimy. Wyglądasz w niej zachwycająco, Molly.

Tego popołudnia Molly znalazła się na chwilę sama w małym salonie, którego rodzina używała na co dzień zamiast bardziej oficjalnego, przestronnego salonu, sąsiadującego z holem. Z zaciekawieniem przeszła wzdłuż ścian, oglądając książki na półkach i wiszące obrazy. W jednym rogu pokoju stało pianino, na którym zobaczyła sporo zdjęć. Kilka z nich przedstawiało Christiana w różnych okresach dzieciństwa oraz inne dziecko, które - jak się domyślała - było jego zmarłą siostrą. Ale uwagę Molly przyciągnęła fotografia nowożeńców. Zrozumiała reakcję Cordelii u Saksa. Panna młoda miała na sobie prostą białą suknię, niewiele się różniącą od tej, którą wybrała ona sama. Była wysoka i też miała proste, szerokie ramiona, ale za to nieco bardziej kwadratową twarz i zupełnie inną fry-

zurę. Mimo to Molly dostrzegła w niej uderzające podobieństwo do siebie. Nic dziwnego, że Cordelia była poruszona. To na pewno matka Christiana. Usłyszała zbliżające się kroki i odstawiła zdjęcie z nieczystym sumieniem, jakby złapano ją na podglądaniu przez dziurkę od klucza.

To Christian przyszedł zabrać ją na przejażdżkę po mieście w małym fiacie ghia należącym do Cordelii.

- Jeśli nie będziesz zbyt zmęczona, możemy się wybrać na mecz hokejowy dziś wieczór, kupiłem bilety. Dick też przyjdzie. Masz ochotę?

Z uwagi na Christiana Molly ze wszystkich sił próbowała tego wieczora dobrze się bawić na stadionie w Chicago. Ale hałas i elementy przemocy w tej grze, w której łyżwiarze umyślnie najeżdżali na siebie albo podstawiali sobie nogi, gdy - jak sądzili - sędzia patrzył w inną stronę, przerażały ją. Większą część meczu przesiedziała z zamkniętymi oczami, zatykając sobie uszy rękami. Kiedy dobiegł końca, była kompletnie wyczerpana.

Następnego wieczora Malcolm i Cordelia zabrali ich oboje oraz Dicka na kolację do restauracji na dziewięćdziesiątym czwartym piętrze Hancock Center. Trudno było o większy kontrast z poprzednim, nieudanym wieczorem. Po wyjściu z windy Molly westchnęła z zachwyty na widok panoramy, jaka roztaczała się dookoła - oświetlone reflektorami wieżowce na tle czarnego jeziora, sznur świateł przy Lake Shore Drive, smugi reflektorów samochodowych wzdłuż arterii szybkiego ruchu, migoczące gwiazdy, latarnie morskie, wieże kontrolne dla ruchu powietrznego, światełka ostrzegawcze na dźwigach, mrugające samoloty, przesuwające się powoli po niebie, lądujące i startujące z trzech lotnisk Chicago.

Cordelię ucieszyła reakcja Molly.

- Mam nadzieję, że będziesz bardzo szczęśliwa w naszym mieście, Molly - powiedziała.

- Jestem pewna - odparła Molly. Spojrzała na Christiana, który promieniał ze szczęścia.

Przez cały tydzień poprzedzający ich ślub Christian był idealnym towarzyszem, delikatnym i troskliwym. Jedyńszkopuł stanowił w oczach Molly jego powściągliwy stosu-

nek do dziadka. Ujrzała inną, zimną jak lód twarz Christiana, i to ją zaniepokoiło. Miała jednak niewiele czasu na zmartwienia, gdyż zaprzętały ją próby przed ceremonią ślubną oraz spotkania z szerokim kręgiem przyjaciół i krewnych Malcolma i Cordelii. Na drużną i jednocześnie pannę od kwiatów Cordelia wybrała małą dziewczynkę, córkę krewniaka Christiana. Molly uznała, że jest ona urocza.

Cały tydzień upłynął w wirze zajęć, aż wreszcie nadeszła jej ostatnia noc jako niezamężnej kobiety. Dom przeistoczył się w altanę pełną kwiatów, które oplatały poręcze schodów, okalały framugi drzwi i zdobiły całymi naręczami rogi przedpokoju i salonu, gdzie miało się odbyć przyjęcie.

Sam ślub zaplanowano w małym saloniku; dekoratorzy wewnątrz ustawili tam przed drzwiami balkonowymi kwiecisty łuk z lilii i białych róż. Molly miała wyjść za Christiana, patrząc na jezioro.

Cordelia uparła się, by gwoili tradycji Christian nocował poza domem. Nie szczędząc utyskiwań, przeprowadził się więc do Dicka. Molly położyła się wcześniej, ale nie mogła zasnąć. Leżąc w łóżku i obserwując wzory malowane na ścianie sypialni przez światło księżyca, zaczęła z niepokojem myśleć o współżyciu seksualnym z przyszłym mężem. Nie wywierał na nią żadnej presji w tej sprawie, choć na poły żartobliwie podejmował temat, często powtarzając, że nawet święty nie oparłby się jej urodzie...

Problem nie leżał w dziewictwie Molly, nie tego dotyczyły jej obawy. Kochała Christiana, była tego pewna, ale nie podniecał jej fizycznie i bez trudu zadowoliliby się utrzymaniem ich obecnego stopnia zażyłości. Wiedziała jednak, że nie jest to ani możliwe, ani lojalne. Musi być wobec Christiana uczciwa. Skoncentrowała się więc na pozytywnej stronie problemu: kocha jego ciało, lubi je czuć, gdy się całują. Nie miała wątpliwości, że będzie jej z nim dobrze. Wystarczy tylko oprzeć się na tym poczuciu...

Usłyszała ciche pukanie do drzwi. Wyskoczyła z łóżka, żeby je otworzyć, w przekonaniu, że to Cordelia, która chce uzgodnić ostatnie szczegóły.

Przed nią nie stała jednak Cordelia, lecz Malcolm. Był jeszcze ubrany w granatowy garnitur w drobne prążki.

Ciężko oddychał, bez wątplenia po wysiłku, jakim było dla niego pokonanie schodów. Cordelia zwierzyła się Molly, że chce dla niego zamontować windę krzeselkową, lecz on zdecydowanie sprzeciwia się psuciu urody schodów.

- Bardzo przepraszam, że tak późno przychodzę - powiedział - ale nie mieliśmy dużo okazji, żeby porozmawiać, a chciałbym sobie z tobą pogawędzić przed ślubem sam na sam. Mogę wejść?

- Oczywiście - odparła, otwierając szerzej drzwi i odsuwając się na bok.

Usiadł na małym, składanym krzeselku przy oknie, ona zaś przykryła łóżko i włożyła szlafrok. Przyszło jej do głowy, że powinna być zmieszana, ale wcale nie była. Kiedy skończyła poprawiać pościel i usiadła na łóżku, patrząc na Malcolma wyczekująco, zauważyła, że to on wydaje się niespokojny. Wszyscy starzy ludzie, których Molly знаła do tej pory, wykonywali mnóstwo nerwowych ruchów, ale Malcolm stanowił wyjątek. Zawsze był opanowany i emanował z niego spokój. Teraz też siedział w bezruchu.

- Pewnie się zastanawiasz, jaka to ważna sprawa kazała mi tu przyjść o takiej porze?

- Ależ nic nie szkodzi... cieszę się, że mamy okazję porozmawiać. - Postanowiła mu pomóc. - Czy chodzi o jutrzejszy dzień?

- W pewnym sensie tak - odrzekł. - W innym nie. Biłem się z myślami, czy ci to pokazać... - Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął portfel, a z niego małą fotografię do paszportu, i podał ją Molly.

Molly obejrzała zdjęcie. Była to kolorowa fotografia blondynki o wysokich kościach policzkowych i szerokich ustach. Gdyby nie oczy, które dziewczyna miała okrągłe, Molly mogłaby uznać, że patrzy na własną siostrę.

- Kto to jest? - zapytała.

- To Jo-Ann, pierwsza żona Christiana - odpowiedział. - Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, na lotnisku, natychmiast uderzyło mnie to podobieństwo. Jo-Ann była niska, dużo niższa od ciebie, Molly, ale poza tym jesteście do siebie uderzająco podobne. Właściwie to nie dlatego poruszam ten temat. Chodzi o to - ciągnął niepewnie - że kiedy

Christian po raz pierwszy przyprowadził Jo-Ann do domu, też byłem zaniepokojony. Widzisz, obie jesteście... jesteście bardzo podobne do matki Christiana, Maggie... - Włożył zdjęcie z powrotem do portfela i wyjął inne - starszy, czarno-biały portret, zrobiony w zakładzie fotograficznym i oprawiony w folię.

- Już zauważyłam to niezwykle podobieństwo - powiedziała otwarcie, biorąc do ręki fotografię i oglądając ją.

-Widziałam zdjęcie ślubne na dole, na pianinie.

Malcolm obserwował jej reakcję.

- Pomyślałem tylko, że powinnaś o tym wiedzieć - rzekł. Molly nie była tak skonsternowana, jak - być może - się spodziewał. Uczestniczyła w wielu kolacjach, na których omawiano te męskie poszukiwania substytutów matki; dyskusja się kończyła, gdy jeden lub drugi koniec stołu konstatował, że to najzupełniej właściwy psychologiczny fundament związku.

- Nie jesteś zaniepokojona? - zapytał.

- Nie. - Pokręciła głową. - To nic zaskakującego. Jeśli twoje sugestie są prawdziwe... choć wcale nie muszą...

Christian nie będzie pierwszym ani ostatnim, który to robi.

- Jesteś bardzo dojrzałą młodą damą - powiedział. -Christian niewiele nam mówił o twoich krewnych. Czy twoi rodzice nie żyją? Masz dwóch braci?

Skinęła głową.

- Tak, obaj są starsi ode mnie. Jeden z nich, Brendan, mieszka w naszym domu, on jest najstarszy. Młodszy, Conor, był botanikiem.

-Był?

- Nie wiem, co teraz robi...

Jego oczy były ukryte w cieniu, ale odniosła wrażenie, że przybrały ostrzejszy wyraz, jakby wyczuł coś dziwnego w tonie jej głosu. Zdała sobie sprawę, że powiedziała to tak, jakby czuła się winna.

- Poza tym martwi mnie odmienność waszych kultur -powiedział - ale proszę cię, przerwij mi, moja droga, jeśli będę plótl głupstwa. Niedużo wiem o Irlandii - koniczyny, pałki z tarniny i barwienie na zielono wód rzeki Chicago w dzień świętego Patryka są podstawą moich wyobrażeń

o tym kraju! - Uśmiechnął się szeroko. - Typowo amerykańskie widzenie Irlandii. Odwzajemniła jego uśmiech.
- No, może to niezupełnie prawda - ciągnął. - Mam trochę lepszą orientację. Czy wiesz, że podobnie jak ty jestem Celtem? Wiesz, że jestem Walijczykiem? - Skinęła głową. - Ale naszą krainę kopalń węgla i żużlu na pewno dzielią lata świetlne od Irlandii, takiej, jaką sobie zawsze wyobrażałem - kontynuował. - Zielonej, miękkiej, gdzie wszyscy recytują poezję i śpiewa ją na przyjęciach...

Roześmiała się.

- Być może nasze życie wcale się tak bardzo nie różniło. Na Inis Oirthir nie było dużo zieleni. I zapewniam cię, że poezję słyszałam wyłącznie na lekcjach w szkole publicznej!

- Ale na przykład ty jesteś katoliczką, a on nie - rzekł Malcolm. - Czy nie stanowi to dla ciebie problemu?

Pokręciła głową przecząco.

- Żadnego. Myślę, że już śpiewam na własną nutę.

- No, to wszystko, co miałem ci do powiedzenia. Wybacz mi, proszę, moja droga. Jestem starym człowiekiem. - Spuścił wzrok na swoje dłonie. - Ostatnio chyba często to mówię...

- Nie masz się czym martwić, Malcolmie - powiedziała. - Zaopiekuję się Christianem, obiecuję.

- Czy byłaś szczęśliwa jako dziecko? - To pytanie spadło na nią jak grom z jasnego nieba i zmusiło do głębokiego zastanowienia.

- Tak, chyba byłam szczęśliwa - odpowiedziała powoli. - Szczerze mówiąc, niewiele pamiętam.

Ogarnęło ją przeczucie, że za chwilę usłyszy, co Malcolm naprawdę chce jej powiedzieć.

- Wybacz mi, skarbie - powiedział cicho - ale jestem starym człowiekiem... No, proszę! Znów to powtórzyłem!... a starzy ludzie są odważni, bo nie mają nic do stracenia. Mam nadzieję, że nie poczujesz się urażona, jeśli zapytam, czy naprawdę kochasz Christiana. Nieczęsto się ze sobą zgadzamy... pewnie sama to zauważyłaś.... ale chyba nie zniósłbym myśli, że ktoś znów miałby go zranić. Dużo przeszedł, a ja patrzyłem na to bezradnie.

Zrobiło jej się żal Malcolma.

- Malcolmie - powiedziała z przekonaniem - za nic w świecie nie skrzywdziłabym Christiana.

- Wybacz mi, skarbie, ale nie o to pytałem.

Poczuła się przyparta do muru. Nie mogła teraz udawać.

- Jeśli mam mówić szczerze - powiedziała, starannie dobierając słowa - to wydaje mi się, że go kocham. Na pewno nigdy nie kochałam nikogo tak jak Christiana. - Mówiła prawdę, ale to było za mało. Wiedziała o tym, już kiedy wypowiadała te słowa.

Podniósł się z krzesła. Ona też wstała. Ujął ją za rękę i dziwnym, szarmanckim gestem pocałował w wierzch dłoni.

- Myślę, że jesteś uroczą dziewczyną - powiedział. - Naprawdę nie mogę się doczekać waszego ślubu i urodzin nowej wnuczki. Wybacz, proszę, staruszkowi te banialuki.

Ruszył do wyjścia, ale w drzwiach jeszcze raz się ku niej odwrócił.

- Dobranoc, skarbie, i do zobaczenia jutro. Chcę, żebyś wiedziała, że zawsze będziesz mile widziana w tym domu.

Bez względu na to, co się wydarzy...

- Już się o tym przekonałam - odparła.

Kiedy zamykał drzwi, ogarnęło ją - po raz kolejny w czasie tej wizyty - poczucie *déjà vu*.

Następnego dnia uroczystość przebiegła zupełnie gładko. Conor, któremu dała adres w Evanston, gdyby przytrafił się jakiś nagły wypadek, przysłał telegram: ŻYCZĘ WAM OBOJGU POWODZENIA. ŻYCIE DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE. Podpisał: SEAN MOLLOY.

Kiedy Molly i Christian zbudzili się następnego dnia jako mąż i żona w pokoju dla nowożeńców w hotelu „Palmer House”, Una O'Connor niecierpliwie czekała w londyńskiej restauracji przy hotelu „Cumberland” na mężczyznę, którego zaprosiła na lunch. Czekala już od piętnastu minut. Wcale nie dlatego, że się spóźnił. To ona przyszła dwadzieścia minut wcześniej - do umówionego spotkania o pierwszej pozostało jeszcze pięć minut.

Ze swojego miejsca widziała drzwi, ale postanowiła, że nie pozwoli się przyłapać swemu gościowi na jego wypatry-

waniu. Pochylała więc głowę nad powieścią, którą ze sobą wzięła. Una, której życie zależało od cudzej słowności i punktualności, nigdy nie wychodziła z domu bez książki.

Przyszedł punktualnie. Po raz kolejny jego obecność i imponująca postawa wywarły na niej ogromne wrażenie. Ściskając jego dłoń i patrząc, jak siada na swoim krześle, zauważyła, że on zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy. Bardzo spokojnie poprowadziła wstępną fazę rozmowy. Una zawsze była spokojna, jeśli tylko nie wzięto jej z zaskoczenia. Znała już jadłospis, więc wykorzystwała swą przewagę jako gospodyni i wskazała gościowi poszczególne dania.

- Czy mają jakieś steki? - zapytał, spoglądając na długą listę.

- Na pewno mogą usmażyć - odparła Una. Podniesioną ręką dała znak kelnerowi, który podszedł do ich stolika. - Czy mogą państwo przyrządzić stek?

- Mamy stek w karcie, proszę pani - rzekł kelner.

- Chodzi o stek bez żadnych dodatków - powiedział Conor. Una była mu wdzięczna. Rozpoczęła „wywiad”.

- Opowiedz mi o zoo - poprosiła.

- Nie bardzo jest o czym opowiadać - rzekł, wzruszając ramionami. - Pracuję tam jako strażnik. To mogę robić wszędzie.

- Lubisz zwierzęta czy traktujesz to zajęcie zarobkowo?

- Lubię zwierzęta... ale traktuję to zarobkowo. Tak naprawdę interesuje mnie teraz archeologia.

Zwróciła uwagę na słówko „teraz”.

- A wcześniej czym się interesowałaś?

- Botaniką - odparł.

W tonie jego głosu zabrzmiała jakaś dziwna nuta, jak gdyby ostrzeżenie. Wróciła do tematu archeologii.

- Nie mam najmniejszego pojęcia o archeologii - powiedziała. To podziałało jak naciśnięcie guzika. Nie musiała nic więcej robić. Wystarczyło, że sączyła wino i grzebała widelcem w swojej rybie. Conor rzucił się na stek, wkładając w podsunęty temat cały swój entuzjazm.

- Za kilka tygodni mam egzaminy - powiedział. - Zacząłem studia późno, dopiero w styczniu, i mam po uszy roboty, żeby nadażyć za resztą roku.

- Kiedy zrobisz dyplom?

- Pewnie nigdy. Nigdy nie zdobędę dość wiedzy, nie starczy mi na to życia. Jak tylko zacznę się orientować w jednej dziedzinie, pojawia się przede mną następna. Ale jak dobrze pójdzie, zostanę przyjęty do grona archeologów *bona fide* za jakieś dwa, trzy lata.

Una miała trudności ze skoncentrowaniem się na jego odpowiedziach. Mówił dalej, a ona czuła się tak pobudzona, jakby przez jej ciało przebiegał przewód wysokiego napięcia. Wszystko świetnie, on jest zupełnie rozluźniony, ale co dalej, do cholery? Nie miała planów wykraczających poza ten obiad i zaczęła już wpadać w panikę. Conor kończył stek i wycierał resztkę sosu kawałkiem bułki.

Zdała sobie sprawę, że przestał mówić i patrzy na nią wyczekująco. Chryste. Czy o coś zapytał?

- Przepraszam - powiedział. - Zanudzam cię? Niestety, często to robię.

- Nie, nie zanudzasz mnie.

Spojrzał na nią bez słowa i uśmiechnął się.

- Twoja kolej.

- Nie, chciałabym jeszcze porozmawiać o archeologii. Conor ułożył nóż i widelec dokładnie na środku pustego talerza.

- Uno - zapytał - dlaczego zaprosiłaś mnie na obiad?

- Bo byłeś... jak Mount Everest.

- Świetny powód. I co teraz? - zapytał swobodnym tonem.

- Co... co masz na myśli?

- No, chyba nie zaprosiłaś mnie na obiad dlatego, że uznałaś, iż inaczej umarłbym z głodu...

Zmobilizowała resztki swego opanowania.

- Skoro pytasz, to dlaczego przyjąłeś zaproszenie?

- O, miałem całe mnóstwo powodów! Między innymi ten, że lubię rude włosy - odparł.

Widziała, że Conor wciąż się uśmiecha, ale za nic w świecie nie potrafiła zinterpretować tego uśmiechu.

- Czy... czy masz dzisiaj wolny dzień? - wykrztusiła.

- Tak... chociaż oczywiście powinienem się uczyć.

- No tak! Racja!

Przywołała skinieniem ręki kelnera, żeby poprosić o rachunek.

- Dlaczego pytasz? - zaciekał się.

- Pomyślałam, że może mógłbyś zabrać mnie do zoo!

Jej wykręt był szyty grubymi nićmi i Conor nie zdołał stłumić uśmiechu.

- W porządku, Uno, niech będzie zoo!

Molly włożyła klucz do zamka domu przy Vernon Street. Christian zapłacił już taksówkarzowi i dźwigał teraz ich bagaże. Znajdował się wśród nich kufer, który kupili, by pomieścić część prezentów ślubnych.

Sprzątaczką Molly, pani Sharma, ustawiła w przedpokoju świeże kwiaty, a obok starannie ułożyła stertę listów.

- Idę do kuchni, Christianie! - zawołała Molly przez korytarz, biorąc ze sobą korespondencję. Nastawiła czajnik - robiła to odruchowo, kiedy wchodziła do kuchni po dłuższej nieobecności - i usiadła przy stole, sortując listy. Nie otworzyła żadnej brązowej koperty ani druków reklamowych, odłożyła natomiast kupkę zaproszeń, list od Brendana i kopertę z kaligraficznym pismem Dolly. Tę ostatnią otworzyła najpierw. Zawierała ona terminarz zdjęciowy jej filmu i małą, odręczną notatkę, w której Dolly pisała, że nadeszła dla jej klientki „bardzo intrygująca paczka”, odesłana z Teatru Wyndhama.

Czajnik zagwizdał. Słyszała, jak Christian taszczy walizki po schodach.

- Robię herbatę, kochanie! - zawołała przez drzwi. - Chcesz filiżankę?

- Wolę kawę!

- Może być rozpuszczalna?

- Tak - odburknął, targając kufer. - Nie dam rady sam tego wciągnąć. Będziesz musiała mi pomóc.

- Może by rozpakować część na dole? - zawołała. - Będzie potem łatwiej wnieść.

- O, jaki sprytny pomysł! A ja już prawie złamałem sobie kręgosłup!

- Christianie! Nie bądź taki marudny! Można by pomyśleć, że jesteśmy małżeństwem od trzydziestu lat, a nie od trzech dni.

- Czterech - poprawił ją, wchodząc do kuchni. - Nie zapomnij o różnicy czasu. - Podeszedł od tyłu do Molly, która nalewała wodę z czajnika do dwóch filiżanek, i przyciągnął ją do siebie.

- Christianie! Rozleję wodę!

Zdjął ręce z jej talii i wznosił je w powietrze.

- Przepraszam! - Odszedł i usiadł przy stole. Przeniosła obie filiżanki, zdecydowana zachować dobry humor.

- Czy mogę cię o coś prosić? -O co?

- Właśnie dostałam od Doiły wiadomość, że ma dla mnie paczkę. Twierdzi, że jest intrygująca. Cokolwiek to znaczy, okropnie mnie ciekawi, co zawiera. Byłbyś taki kochany i pojechał taksówką do biura, żeby ją odebrać?

Dostrzegła, że Christian nie pała chęcią pomocy.

- A tymczasem ja wszystko rozpakuję, Christianie - powiedziała. -Potem będziemy mogli iść do łóżka.

- Żeby się przespać? - W jego głosie zabrzmiał nie skrywany sarkazm.

- Nie jesteś zmęczony?

- Domyślam się, że ty tak?

- To chyba normalne, że człowiek jest zmęczony po transatlantyckim locie, jaki właśnie odbyliśmy.

- Owszem, to normalne. Przepraszam, Molly, odbiorę twoją paczkę.

Kiedy wrócił, była w sypialni i rozwieszała ubrania w szafie. Usiadła na łóżku i zaczęła rozpakowywać przesyłkę.

-To nie wygląda na scenariusz - powiedział z zaciekawieniem, siadając obok niej. Miał rację. Kiedy zerwała papier, odkryła, że ma przed sobą stare, sponiewierane pudełko po butach, którego stanu nie poprawił kontakt z pocztą.

Odkryła wieko i znalazła notatkę. ZNALEZIONE W RZECZACH WIEL. PATRICKA MORAHANA. Na widok tego zapomnianego nazwiska doznała wstrząsu.

Christian spoglądał jej przez ramię.

- Kim jest ten wielebny Patrick Morahan?

- Ach, to taki jeden ksiądz, którego znałam - odparła. -Pewnie nie żyje...

- Tu są same wycinki na twój temat - rzekł, grzebiąc w górnej warstwie papierów. - Czy on się w tobie bujał, Molly? Książdz?

- To było tak dawno temu - odpowiedziała Molly, usiłując zamknąć wieko.

-Kobieta z przeszłością, co? I to z księdzem! - Sięgnął żartobliwym gestem po pudełko. Już mu wrócił dobry humor.

- Obejrzyjmy te wycinki.

- Christianie, nie! - zawołała ze śmiechem, przyciskając pudełko do siebie. Wstydziła się i nie chciała mu pozwolić na czytanie tych starych artykułów na jej temat. On jednak chwycił pudełko i zaczęli mocować się o nie na łóżku. Wreszcie wyrwała mu się i, przyciskając pudełko mocno do piersi, wypadła z pokoju i zbiegła na dół, przeskakując po dwa stopnie.

- Dawaj je! - rozkazał Christian, sadząc za nią susami. -Żono! Masz słuchać swego pana!

- Pana, jeszcze czego! - odrzyknęła, uciekając przed nim korytarzem do kuchni. Złapał ją od tyłu, ale zdołała uchronić swój łup. - To tylko sterta starych śmieci - powiedziała zdecydowanym głosem - ale moja sterta! Tobie nic do tego. - Zrobiła kilka kroków, ciągnąc za sobą Christiana, który przylgnął do jej pleców jak przerośnięta małpka. Podniosła rękę i położyła pudełko na kuchennym kredensie.

- No, dobrze - powiedział z rozbawieniem, wtulając twarz w jej kark. - Wspowiadaj się. Co to za gość ten Morahan?

- Nikt, kim powinniśmy się przejmować, Christianie -odparła, przyciągając go do siebie i całując w usta.

Przerwał pocałunek i wysapał:

- Molly, ostrzegam cię, takie pocałunki mogą mieć poważne konsekwencje...

- I co z tego? Jesteśmy małżeństwem! Stuknął się w głowę dłonią.

- Patrzcie państwo! - Stanął do Molly tyłem i chwycił ją za rękę. - Nie żartujesz, Molly? Mówisz serio?

Skinęła głową. Lekko zadrżała.

- Chodź - powiedział czułym głosem. - Na górę, żono!

CZESC TRZECIA

Rozdział 10

-Dziewczynka! - wykrzyknęła położna z triumfem w głosie.

Łzy zalały twarz Molly, gdy dziecko się w końcu z niej wyślizgnęło.

Czuła się płaska i pusta, wyczerpana i zarazem ożywiona, wszystko jednocześnie. Z olbrzymim wysiłkiem uniosła głowę, by zobaczyć swoją córeczkę, ale niemowlę zabrano w drugi koniec sali na stół, wokół którego zgromadził się personel.

Położyła się z powrotem, trzymając Christiana za rękę. Poszukała wzrokiem jego twarzy, ale dojrzała tylko oczy nad maseczką chirurgiczną, którą miał na sobie. On jednakże nie patrzył na żonę, tylko na dziecko.

Cieszyła się, że Christian jest z nią. Naprawdę go potrzebowała.

Następny skurcz. Zamknęła oczy i wyparła łóżysko.

- Grzeczna dziewczynka - powiedziała położna.

Molly poczuła się absurdalnie zadowolona z pochwały. Ostre światło w sali porodowej raziło ją w oczy, ale mimo to znowu spojrzała w górę na Christiana. Choć wciąż trzymał ją za rękę, głowę miał teraz odwróconą i w ogóle nie patrzył na żonę, lecz na drzwi, przy których dojrzała jakieś zamieszanie. Pielęgniarka gdzieś pobiegła.

Młody lekarz podszedł i usiadł na stołku przy końcu stołu porodowego. Zauważyła, że jest Hindusem.

- Założę pani tylko parę szwów - powiedział. - Nic pani nie poczuje.

- Gdzie jest moje dziecko? - spytała. Widziała jedynie czubek jego ciemnej głowy, gdy pochylał się nad naciętym krocem, by je zaszyć.

- Teraz spokojnie - polecił łagodnie lekarz.

- Gdzie jest moje dziecko? - Molly wpadła w panikę. Miała wrażenie, że jej ciało jest tak delikatne i przezroczyste jak najcieńsze szkło. Przeniosła wzrok z doktora na męża. Christian miał oczy pełne łez. Stało się coś złego.

- Zabrali pani córeczkę na oddział noworodków, żeby włożyć ją do inkubatora, tylko na wszelki wypadek - odparł lekarz, wciąż na nią nie patrząc.

- Jak to na wszelki wypadek? - spytała Molly, podnosząc głos. Przyszła siostra i dała jej zastrzyk.

- Zeby cię nie bolało, moja droga - powiedziała pielęgniarka. -1 żebyś nie miała mdłości.

Molly nie czuła żadnego bólu. I nie miała mdłości.

- Czy stało się coś złego? - spytała Christiana niespokojnie.

Nie odpowiedział, ale zerwał maseczkę. Okropnie się przestraszyła, gdy zobaczyła wyraz jego twarzy.

- Czy dziecko jest martwe? - Molly usiłowała wstać ze stołu, ale wciąż była przywiązana do niego pasami, a pielęgniarka i lekarz szybko ją przytrzymali. Molly wiedziała, że słyszy własne krzyki, lecz jej głos brzmiał bardzo dziwnie.

- No, no, moja droga - uspokajała pielęgniarka. -Wszystko będzie dobrze. Tylko leż nieruchomo i odpocznij trochę. Lekarz powiedział coś, czego nie zrozumiała, gdyż nagle wszystko stało się ogromnie odległe i poczuła się bardzo zmęczona, nawet bardziej niż przedtem. Zmęczenie spadło na nią niby miękki czarny koc, tak miękki, że stłumił wszystkie słowa, które próbowała wymówić. Usiłowała walczyć, zrzucić go z siebie, ale pokonał ją, odcinając światło i wszelkie dźwięki. Zapadła w sen jak w głęboką studnię.

Kiedy się obudziła, było ciemno i przez chwilę pławiła się w rozkosznym rozleniwieniu, nie mając pojęcia, gdzie się znajduje. Przyśnił jej się bardzo wyrazisty, uroczy sen, w którym jeszcze raz wychodziła za mąż. Dom w Evanston unosił się na jeziorze niby zasypana kwiatami barka. Wszy-

scy pojawili się w śnie Molly, nawet Sorcha, jej matka, która pięknie wyglądała i z dumą patrzyła, jak córka idzie do ołtarza. Jo-Ann, blondynka w różowej sukience, stała obok innej uroczej kobiety w szarym stroju, która uśmiechnęła się do przechodzącej Molly, a Molly wiedziała, że to matka Christiana. Odwzajemniła uśmiech, gdy mijała tą panią, a ona wydawała się z tego bardzo zadowolona. Malcolm siedział w końcu sali i grał na instrumencie w rodzaju buzuki. Wszędzie na granatowym garniturze w prążki miał poupi-nane wstążki i serpentyny. John Pius z różową twarzą, promieniejącą uśmiechem, był pastorem. Nawet Beauty, mała suczka collie, którą Molly uwielbiała w dzieciństwie, była honorowym gościem. Z podniesionymi uszami siedziała u stóp Johna Piusa i merdała ogonem na widok zbliżającej się Molly. Beauty miała na biało-czarnym łbie maleńką spiczastą czapeczkę kłowna, a na szyi girlandę kwiatów.

Po uroczystości, gdy Christian odsunął welon z jej twarzy, okazało się, że to nie on, lecz Conor. Ale odkrycie to było przyjemne i wydawało się naturalne. Nie sprawiło jej w zdumienie.

Przeciągnęła się w ciepłym, miłym łóżku, ale gdy się poruszyła, poczuła nieprzyjemne szarpnięcie między nogami. Przypomniała sobie. Dziecko. Leżała w szpitalu. Miała córeczkę.

Strzępy snu z trudem znikwały, kręciło jej się w głowie. Podniosła się z poduszek i zapaliła światło nad łóżkiem. W pokoju panowała nieskazitelna czystość, ale zdobiły go kwiaty. Ktoś musiał wejść i je ustawić. Spływały z parapetów, szafek i stolików, nawet z telewizora, całe mnóstwo orchidei, róż, dali i chryzantem w koszach, wazonach i w bukietach. Zawładnęło ją poczucie nierealności, jakby umarła i przeniesiono ją po śmierci gdzie indziej. Nie widziała nikogo wnoszącego kwiaty.

Ruszyła się z łóżka. Zakręciło jej się w głowie, gdy próbowała się wyprostować. Z pochyloną głową doszła, trzymając się ściany, do okna i rozsunała ciężkie zasłony. Choć na dworze paliły się latarnie, nie było jeszcze naprawdę ciemno, wciąż panował zmrok. Daleko na zachodzie dojrzała na widnokręgu smugę czerwono-złotego nieba.

Dotarła z powrotem do łóżka i padła na nie. Jakiś przewód biegł od gniazdka w ścianie pod poduszkę. Przesunęła wzrokiem po drucie i odkryła na jego końcu gumową gruszkę z guzikiem w środku. Dzwonek. Nacisnęła guzik i zapaliło się światło nad drzwiami.

Po krótkiej chwili weszła pielęgniarka.

- Wielkie nieba, moja droga! Nie powinna pani wstawać z łóżka.

Siostra poprawiła jej kołdrę i zaczęła mościć pościel.

- Nie spodziewaliśmy się, że pani się tak szybko obudzi. Jak się pani czuje? - dopytywała się pielęgniarka, strzepując poduszki za plecami Molly i fachowo wygładzając kołdrę.

Molly poczuła się bardzo dezorientowana.

- Gdzie jest moje dziecko? - spytała. Jej głos brzmiał bardzo słabo, jakby dochodził z daleka.

- Przyniesiemy je pani za chwilę - odparła siostra. - Jest teraz na oddziale noworodków, lekarze oglądają dziewczynkę, przeprowadzamy kilka niewielkich badań.

Badania. To słowo przedarło się poprzez mgłę i napełniło strachem serce Molly.

- Jakich badań? - zdobyła się na pytanie.

- Niech się pani teraz nie martwi, moja droga, lekarz wkrótce przyjdzie i wszystko wyjaśni. Chciałaby się pani czegoś napić?

Pielęgniarka nalała trochę wody z turkusowego plastikowego dzbanka do takiego samego kubeczka i podniosła Molly do ust. Woda była bardzo słodka.

- Czy ktoś tutaj czeka? Gdzie jest mój mąż?

- Spała pani tak długo, moja droga, była pani zupełnie wyczerpana. Poszedł do domu, ale powiedział, żebyśmy zadzwonili, gdy tylko pani się obudzi.

- Zatelefonuje pani do niego? Chciałabym porozmawiać z mężem. Proszę.

- Oczywiście. Mamy numer telefonu na biurku. Niech pani teraz odpocznie.

- Kiedy zobaczę moje dziecko?

- Już niedługo. Niech pani wypoczywa, moja droga. - Pielęgniarka wyszła z pokoju. Gumowe podeszwy jej butów cmokały cicho na parkiecie. Całkowita cisza zapadła

w pokoju, gdy siostra zamknęła za sobą dźwiękoszczelne drzwi.

Molly usiłowała zatrzymać myśli w głowie, ale jej umykały. Wiedziała, że dzieje się coś złego z dzieckiem. Wynioskowała to nie tylko z zachowania personelu. Czuła to w sobie. Gdzie podziewa się Christian? Gdzie są Malcolm i Cordelia? Próbowwała z wielkim wysiłkiem skupić się. Malcolm i Cordelia z pewnością byli w szpitalu przez jakiś czas. Pamiętała dobrze ich zamazane twarze, unoszące się nad jej własną. A może to było wcześniej? Tylko jej się śniło, że tu przyszli? Na pewno byli w Londynie - miniony tydzień spędzili w Dorchester. Malcolm nalegał, żeby przyjechali na urodziny pierwszego prawnuka czy prawnuczki. Był bardzo podniecony przez ostatnie kilka dni.

Skoncentrowała się. Gdzie są teraz wszyscy? Christian powinien przy niej siedzieć. Opanowało ją lodowate przeżalenie - nie ma go tu, bo pije. Obiecał, że nie będzie. Miał zachować trzeźwość. Przysiękł.

Wydało jej się, że słyszy kogoś przy drzwiach. Przynieśli jej dziecko! Ale ktokolwiek to był, przeszedł dalej korytarzem.

Christian powinien być z nią. Postarałaby się, żeby im było dobrze. Muszą się z tego wygrzebać teraz, kiedy mają dziecko.

Jej myśli z trudem wylaniały się z mgły, ukazywały się i umykały, nie skryształizowane.

Christian ograniczy picie. Dziewczynka, powiedzieli jej. Uda mu się ograniczyć picie, bo teraz ma córeczkę...

Ona będzie się bardziej starała w sferze seksu. Ta strona ich życia nie udawała się z jej winy. Teraz powinno się poprawić. Niektóre książki sugerowały, że kobiety nie dojrzewają pod względem seksualnym aż do pierwszego porodu. Naprawdę włoży w to więcej wysiłku. Ból między nogami ustąpi i ona poczuje się dużo lepiej.

Wszystkim będzie dużo lepiej, wszystkim trojgu - Christianowi, jej i ich córeczce. Teraz całej rodzinie...

Przecież kocha Christiana.

Zatrzymała się przy tej myśli. Kocha Christiana i będzie go kochała bardziej niż dotąd. Wiele ich problemów wynikało z tego, że ona nie kochała go wystarczająco mocno...

Gdzie jest jej dziecko?

Usiłowała odtworzyć chwilę narodzin dziecka, jego krzyk. Choć wyteżała pamięć, nie mogła sobie przypomnieć żadnego krzyku. „To dziewczynka” - powiedział ktoś. Potem zamieszanie w drzwiach sali porodowej. Nie zobaczyła swojego dziecka, nie dali go jej do potrzymania...

Nacisnęła dzwonek po raz drugi i kiedy znowu przysła pielęgniarka, ta sama, co poprzednio, zażądała pokazania dziecka.

Siostra zauważyła jej niepokój.

- Tak, moja droga - odpowiedziała uspokajająco. - Pójdę zaraz i przyprowadzę doktora.

Tuż po urodzeniu się córeczki Christian towarzyszył śpiącej żonie, gdy odwożono Molly do sali poporodowej, a stamtąd do jej pokoju, gdzie - jak się wydawało - będzie dalej mocno spała przez wiele godzin. Usiadł na krześle w pokoju; czuł się całkiem zbyteczny, kiedy personel medyczny wchodził i wychodził, kontrolując stan jego żony.

Ginekolog, który przyjmował poród, starszy, siwy mężczyzna nazwiskiem Sinden, dobrze i kosztownie ubrany, przyszedł w pewnym momencie i odezwał się do niego półgłosem. Był uprzejmy, ale nie miał wiele do przekazania. Powiedział Christianowi, że wróci później, gdy tylko zdobędzie konkretne informacje.

Christian już wiedział, że wieści będą złe; chodziło teraz o to, jak dalece. Widział swoją córeczkę, sinawą i sztywną w rękach pielęgniarki, kiedy pośpiesznie przenoszono dziecko do inkubatora na oddziale noworodków. Zauważył, że w ogóle nie wyglądała jak noworodki oglądane razem z Molly na filmach w szkole rodzenia, do której uczęszczali. Siedział w cichym pokoju i próbował zgłębić przerażające uczucie oderwania. Po początkowych intensywnych przeżyciach podczas porodu jego umysł jakby przestawił się na boczny tor. Christian miał niejasne wrażenie, że powinien wpaść w panikę, smutek, dramatyzować, a nawet bać się przyszłości - ale ogarniała go jedynie wielka szara nuda. Wpatrywał się w żonę, która leżała na plecach, pod-

parta poduszkami, z głową w małym wgłębieniu. Splątane i rozczochrane włosy, rozrzucone na białej poszewce ciemnymi pasmami, lśniły w niebieskim świetle nocnej lampki nad łóżkiem. Molly miała otwarte usta i chrapała trochę przy oddychaniu.

Zaprzepaścił i to małżeństwo. Podobnie jak to było z Jo-Ann, zdobycie Molly oznaczało kres jego pragnień. Oczywiście, sprawa zajęła trochę czasu. Na początku fizyczne pożądanie wprawiło go w amok. Gdy po raz pierwszy zobaczył ją nagą w łóżku, miał ochotę paść na kolana, by oddać cześć takiej doskonałości. Był cierpliwy, wiedział, że ona potrzebuje czasu, by rozkwitnąć.

Ale kiedy tygodnie mijały, poczuł najpierw rozdrażnienie, a potem zawód. Prawdę mówiąc, nie było nic, o co mógłby ją obwinie. Nie udało mu się stworzyć między nimi więzi.

Spóźniony refleks podpowiadał mu, że Molly niepotrzebnie zrezygnowała z kariery - choć uzgodnili, że to tylko na rok. To był jego pomysł, że powinna odpocząć przez jakiś czas, poznać nową rodzinę w Ameryce. Wydawała się wtedy z tego dość zadowolona i mniej więcej pierwszy miesiąc w Evanston spędzili błogo - przynajmniej tak myślał. Babcia i dziadek uwielbiali Molly i w domu panowała atmosfera szczęścia, a nawet wesołości.

Ale potem Molly zaszła w ciążę i sytuacja się zmieniła. Z początku olbrzymia radość zawładnęła domem w Evanston - Malcolmowi jakby ubyło lat na wieść o przyszłym prawnuku - i Christian cieszył się wraz z nim. Ale jego radość szybko uleciała. Molly, chora przez pierwsze dwa miesiące, zajęła się swoją ciążą, wybierając Cordelię na powiernicę. Odgrodziła się od niego. Wraz z upływem miesięcy ich życie seksualne kurczyło się, aż zupełnie zanikło. Usiłował rozmawiać z żoną na ten temat i Molly zawsze uprzejmie go podejmowała, ale Christian miał poczucie daremności swoich zabiegów, zupełnie jakby przemawiał do osoby głęboko schowanej w jakiejś kryjówce, całkowicie poza jego zasięgiem. Prosiła go o cierpliwość, obiecując, że ta strona ich życia poprawi się po urodzeniu dziecka... Ale on wyczuwał z całą pewnością, że jest to obietnica, której

Molly nie dotrzyma - nie uda jej się dotrzymać. Jemu też -teraz to przyznawał - nie zależało, żeby spełniła przyrzeczenie.

Spojrzał na nią, spała jak zabita w szpitalnym łóżku. Była piękna w czasie tego spoczynku, mimo nie uczesanych włosów i cieni pod oczyma, piękna jak alabastrowy posąg. Tak naprawdę, myślał, wydaje się, że Molly nie potrzebuje seksu.

Ale ponieważ ją kochał - lub myślał, że kocha - próbował przekonać samego siebie, że seks to nie wszystko, i rzucił się w wir pracy. Pracował teraz jako wolny strzelec dla kilku czasopism w różnych częściach świata. Ucieszył się z przyjazdu do Londynu na dwa ostatnie miesiące ciąży, gdy Molly z jakiegoś powodu poczuła przemożną niechęć do sprawnego, ale bezosobowego sposobu przyjmowania porodów w Ameryce. Wyobrażał sobie nawet, że z dała od atmosfery łagodnego, opiekuńczego spokoju, jaką stworzyła Cordelia w Evanston, będą mieli szansę na odbudowanie intymności ich pierwszego wspólnego miesiąca. Ale powrót do Londynu nie zmienił wiele. Molly pozostała niedostępna. We dnie zachowywali się wobec siebie uprzejmie, a noce spędzali osobno, choć oddzielało ich tylko kilka centymetrów w olbrzymim podwójnym łóżku.

Gdzieś w głębi duszy Christian przyznawał przed samym sobą, że picie mogło przyczynić się do tego. Zamykała się przed nim, gdy wypił kilka drinków, i choć próbował, naprawdę próbował, nie pić tyle, nie umiał sobie z tym poradzić. Zdarzało się, że alkohol był jego jedynym przyjacielem... I chociaż Christian usprawiedliwiał się okolicznościami, brakiem zrozumienia u Molly, stratą najbliższych, kiedy był przygnębiony i trzeźwy jak teraz, wiedział, że wina spada całkowicie na niego.

Razem wzięwszy, miał olbrzymie poczucie klęski.

Westchnęła przez sen i Christian nachylił się, gotowy na jej przebudzenie. Ale Molly po prostu zmieniła pozycję, więc się cofnął.

Nie miał pojęcia, co sam czuje w stosunku do dziecka. Było za wcześnie i rozmiar przyszłych trudności pozostawał nieznany. Jednakże poczucie klęski i wstrętu do samego

siebie łagodziła złość na los, który spletał mu - im obydwójgu - brzydkiego figla. To na pewno nie była jego wina. Teraz obydwójce znaleźli się w pułapce, w sieci, która zaciskała się wokół, groteskowo związując ich ze sobą.

Christian spojrział na żonę i zobaczył jedynie wieczny niepokój. Lepiej jej będzie bez niego...

Wstał i podszedł do okna, rozsunał zasłony i popatrzył na ulicę w dole. Ludzie, zwykli ludzie, mężczyźni z aktówkami śpieszyli z pracy do domu. Samochody wjeżdżały i wyjeżdżały powoli z parkingu. Taksówka zabrała pasażera. Dlaczego on?

Zerknął przez ramię na nieprzytomną żonę. Siedział przy niej prawie godzinę i nawet się nie poruszyła. Nie miało sensu czekanie tutaj. W każdym razie wydawało się, że nikt w ogóle nie dba o to, czy Christian jest w pobliżu, czy nie, a najmniej sama Molly. Wiedział, że powinien zadzwonić do Malcolma i Cordelii, którzy chcieliby się już czegoś dowiedzieć. Obiecał, że zatelefonuje zaraz po porodzie. Ale to z pewnością nie była wiadomość, którą można przekazać telefonicznie. „Hej, dziadku, zgadnij, co się przytrafiło twojej pierwszej prawnuczce!” Będzie musiał osobiście pojechać do hotelu „Dorchester”.

Zawrócił i znowu stanął na chwilę przy łóżku Molly. Niebieskie światło znad łóżka odbijało się w jej zębach i sprawiało, że atłasowe powieki zdawały się półprzezroczyste. Z dreszczem uprzytomnił sobie, że Molly wygląda jak trup. Poczul dziwny impuls, by ją pocałować. Schylił się nad twarzą żony i dotknął ustami jej czoła, które było zimne i lekko wilgotne.

Wyszedł z pokoju i powiedział pielęgniarce w dyżurce przed windami, że opuszcza na jakiś czas budynek i idzie do domu, gdyż ma parę spraw do załatwienia, ale będzie pod telefonem za około półtorej godziny. Pośpiesznie zapisał numer telefonu na kartce, a potem przemierzył dywan i zaczekał na windę.

Na dworze ciepło uchodziło z majowego dnia, który jak na tę porę roku był niezwykle ładny. Christian złapał od razu taksówkę i poprosił o zawiezenie do „Dorchester”. Ale kiedy taksówkarz jechał na skróty przez Berkeley Square,

Christian zniemacka poprosił go, żeby zatrzymał się przy stoisku z kwiatami na chodniku. Ku zdumieniu sprzedawczyni, kupił kwiatów za pięćdziesiąt funtów - orchidee, róże, chryzantemy, dalie, wszystkie najpiękniejsze rośliny, jakie miała wystawione. Kobieta związała je, najlepiej jak potrafiła, w dwa olbrzymie bukiety i Christian zaniósł kwiaty do samochodu.

Gdy taksówka dojeżdżała do „Dorchester” i zbliżała się chwila, kiedy będzie musiał przekazać Malcolmowi i Cor-delii złe wieści, Christiana ogarnął strach. Zastukał w szybę oddzielającą go od kierowcy i gdy mężczyzna ją odsunął, powiedział mu, że zmienił plany i chce jechać do Soho. Taksówkarz wznosił oczy do nieba i ze zgrzytem zasunął szybę.

Kiedy dotarli do Brunswick Street, odsunął ją z powrotem.

- Jesteśmy już w Soho, gdzie pan chce wysiąść?

- Pod restauracją „UEpicure” - odparł Christian. Tylko tę nazwę znał w tej dzielnicy. Nie potrafił sobie od razu przypomnieć nazwy restauracji, gdzie jedli z Molly swój pierwszy wspólny lunch. Może to jakiś omen, pomyślał gorzko.

Taksówkarzowi zabrakło jeszcze pięć minut, nim dojechał do rogu, nad którym świecił charakterystyczny jaskrawy neon. Christian wysiadł, zostawiając kwiaty na siedzeniu. Poprosił taksówkarza, by zawiózł bukiet z powrotem do szpitala St Catherine. Napisał adres i nazwisko Molly na skrawku papieru. Zapłacił mężczyźnie dwa razy więcej, niż wskazywał taksometr, co wyniosło pięć trzydzieści, i dorzucił kolejne pięć funtów. Taksówkarz przyjął pieniądze.

- Cokolwiek pan sobie życzy, mistrzu! Miłego dnia!

Christian popatrzył za oddalającą się taksówką. Ogarnęła go teraz nieprzeparta ochota na drinka. Rozejrzał się wokół. Zobaczył przylegający do restauracji pub. Przebiegł ulicę i wszedł do środka. W lokalu było głośno i wesoło, siedziało pełno rozgadanych młodych ludzi, najwyraźniej pracowników pobliskich sklepów z odzieżą. Znalazło się tu też kilka twarzy z agencji reklamowych, młodzi mężczyźni z kucykami i szczupłe dziewczyny w bardzo obcisłych su-

kienkach, z długimi, pomalowanymi paznokciami i prostymi włosami, rozjaśnionymi drogimi farbami.

Christian dotarł do baru i zamówił podwójnego bourbo-na z lodem. Gdy dostał drinka, osuszył go jednym haustem, a potem przechwyciwszy wzrok barmana, natychmiast zamówił następnego. Tego zabrał ze sobą w róg sali, gdzie znalazł skrawek wolnego parapetu i usadowił się na nim. Sącząc alkohol, zastanawiał się nad minionymi paroma godzinami.

Nie potrafił myśleć o tym miękkim zakrwawionym strzępie, który pospiesznie wynoszono z sali porodowej szpitala niecałe trzy godziny temu, jako o swojej córeczce czy w ogóle jako o dziecku. Pociągnął duży łyk alkoholu. W tłoku i dogasającym ciepłe pogodnego dnia w pubie zrobiło się nieprzyjemnie gorąco. Zdjął kurtkę, wypił alkohol i znowu podszedł do baru zamówić następną kolejkę.

Przy ladzie stał jakiś Amerykanin, niemal w tym samym wieku, co Christian, lecz na tym podobieństwo między nimi się kończyło. Mężczyzna był niski i barylkaty, miał rudawoblond włosy i jasne oczy.

- Cześć - odezwał się. - Kolega Amerykanin, co? Christian nie był w nastroju do żartów, ale odwzajemnił powitanie.

- Cześć - odparł krótko i utkwiał oczy w barmanie. Ale mężczyzna wykazał się determinacją.

- Na urlopie?

- Nie - odpowiedział Christian z nadzieją, że ton głosu odstraszy tamtego. - Obecnie tu mieszkam.

Błędem było podanie jakiegokolwiek szczegółu. Mężczyzna natychmiast z tego skorzystał.

- No, no, patrzcie państwo! Może udzieli mi pan paru wskazówek. - Wyciągnął rękę. - Ferdy Cameron. Szkockie imię. Jestem profesorem angielskiego w Modenie w Osh-kosh, stan Wisconsin. W Anglii siedzę na rocznym urlopie dla pracowników naukowych.

Christian uściskał mu rękę.

- Cześć! Christian Smith. Dziennikarz.

- Mój Boże! Chyba nie ten Smith, który napisał wspaniały kawałek o zjeździe w Chicago?

Miało to miejsce tak dawno, że Christian poczuł się chwilowo rozbrojony.

- Tak - odparł zdziwiony.

- Pozwolisz, że ci uścisknę prawicę, Christianie! - powiedział mężczyzna. - Korzystam z tego artykułu na moich wykładach. To był niezły kawałek! - Znowu chwycił rękę Christiana i uściskał entuzjastycznie. - Jak wspaniale! Christian Smith! Muszę ci postawić drinka, Christianie! - Nie było ucieczki.

Po trzech kolejkach Christian w stanie, który poprzedza całkowite pijaństwo, uznał, że stary Ferdy nie jest taki zły, i zaproponował, żeby zjedli coś razem. Ferdy wpadł w zachwyty. Do tej pory czuł się samotny w Londynie, jak przyznał. Londyńczycy to zimne ryby. Christian, rozluźniony po alkoholu, miał ochotę zwierzyć się nowemu przyjacielowi ze swych obecnych problemów, ale coś - poczucie, że sprawa jest nie zakończona - go powstrzymało. Przeszli zatem na drugą stronę ulicy i weszli do „L'Epicure”, gdzie po krótkim czekaniu dostali stolik. Rozmawiali o Ameryce, czasach spędzonych w college'u i Christianowi udało się utrzymać w ryzach przerażające uczucie pustki w dole żołądka. Wypili z Ferdym parę kieliszków brandy po posiłku i zignorowali kelnerów kręcących się wokół ich stolika.

Właśnie kiedy lekarz wchodził w drzwi szpitalnego pokoju Molly, by powiedzieć jej prawdę na temat dziecka, w innej części Londynu Conor, leżąc w łóżku, zaczynał kłótnię z Uną O'Connor.

Dzień był gorący jak na początek maja. Okna małego mieszkania Conora na drugim piętrze stały otworem, ale i tak pocił się, leżąc na plecach w wąskim łóżku z miękkim, krągłym, też wilgotnym ciałem Uny przy boku. Miał ochotę natychmiast wstać, ale usiłował cierpliwie znosić przytulanki dziewczyny, które sprawiały, że czuł się jeszcze bardziej spocony.

Stłumił ziewnięcie. Nie po raz pierwszy rozważał, w jaki sposób wpakował się tak głęboko w tę sytuację. Lubił Unę, była inteligentnym kompanem, a seks z nią sprawiał mu

przyjemność, przynajmniej kiedyś. Ale ona brała z ich związku stanowczo o wiele więcej, niż miał ochotę jej dać, i coraz wyraźniej czuł, że stanowi dla niego ciężar. Mogła tak układać swoje dyżury, żeby spędzać sporo czasu w Londynie. Wolałby, żeby to nie było możliwe, ale z drugiej strony czuł, że jest niewdzięcznikiem, przecież wiedział, że Una wydaje prawie wszystkie swoje pieniądze na te podróże.

- Widziałeś w „Standardzie” artykuł o Margo Bryan? - spytała leniwie.

Skorzystał z okazji, by wysunąć się delikatnie z jej ramion i wstać z łóżka.

- Nie, co to za artykuł?

Przewróciła się na plecy i ułożyła swe ciało w szerokie, zmysłowe icks.

- Najwyraźniej „Rzeka nadziei”, film, który nagrała z Eugene'em Lotharem, został nominowany w Cannes, a sama Margo ma największe szanse na nagrodę. Oczywiście nazywają ją brytyjską aktorką. - Conor wiedział, że Una traktuje dziennikarską protegowaną jak swoją własność.

- Cóż, przypuszczam, że na swój sposób mają rację. - Podeszedł do umywalki i zaczął splukiwać pod strumieniem wody pot z twarzy. - W końcu większość, nie, wszystkie sukcesy odniosła w Anglii.

Una oparła się na łokciu.

- Seanie Molloy! - powiedziała oburzona. - Jak śmiesz właśnie ty?... Właśnie ty?...

- Co to za różnica, Uno?

- Cóż, dla mnie to duża różnica - i jestem pewna, że gdyby Margo tu była, jej też sprawiłoby to dużą różnicę! Jakby ci się podobało, gdybyś odkrył jakąś skamielinę, która zrewolucjonizowałaby poglądy świata na pochodzenie rodzaju ludzkiego czy coś w tym rodzaju, a wszystkie gazety nazwałyby cię Anglikiem?

Conor dalej ochlapał się wodą. Una, która miała skłonność do wybuchów z byle powodu, zaczynała go denerwować. Wiedział, że ją krzywdzi.

- Aha! - wymamrotał niewyraźnie. Nie pozwoliła się zbyć.

- Więc? - zażądała odpowiedzi; usłyszał skrzyp sprężyn, gdy siadała na łóżku. Nie odwrócił się, ale wiedział, że ma oczy szeroko otwarte w wyrazie oburzenia. Był zmęczony i miał dość kłótni. Pragnął oddalić się od tego pokoju, od niej, od dusznego dnia.

Od razu poczuł wstyd. Una była przyzwoitą dziewczyną, pewnie na jprzyzwoitszą, jaką mężczyzna może znaleźć, i wiedział, że rzeczywiście go kocha. Zasługiwała na lepsze traktowanie. Nigdy nie powiedział jej nawet swojego prawdziwego nazwiska ani nie wyjawiał, jakie stosunki naprawdę łączą go z Molly. Biedna Una dalej była przekonana, że on jest Seanem Molloyem z Inis Oirthir, starym przyjacielem Molly z lat dziecięcych. Wytarł twarz, wrócił do łóżka i usiadł z boku.

Przesunęła się, by zrobić mu miejsce, zbliżyła się i objęła Conora ramionami.

- Więc? Nie odpowiedziałeś mi. Anglik! - Zaczęła ocierać się o niego, wyginając plecy w łuk, przełożyła udo na jego nogi, piersiami suwając po boku. Poczul wstręt.

- Uno, przestań! - powiedział to ostrzej, niż zamierzał, i zobaczył, że jest dotknięta. Usiłował to naprawić. - Przepraszam, nie chciałem...

Ale ona powstrzymała go małym gestem, mającym oznaczać „nie to nie”, odsunęła się i wstała. Nie ruszył się w jej kierunku.

- Przepraszam, Uno, naprawdę nie chciałem tego powiedzieć. Jestem zgrzany, zmęczony i miałem naprawdę ciężki tydzień.

- Ja też, Seanie!

- Wiem. Chodźmy gdzieś coś zjeść albo...

- Dobrze, w porządku. Też jestem zmęczona. Wezmę tylko prysznic. Podniosła luźną bawełnianą sukienkę, która leżała na podłodze, włożyła ją przez głowę i przeszła parę kroków od niego do łazienki. Usłyszał, jak woda poleciała z prysznic. Westchnął. Ten weekend będzie ciężki.

Przyznał się przed sobą, że ma olbrzymią ochotę zobaczyć Molly. Una była miła, ale nie mogła jej zastąpić. Musiał spotkać się z Molly. Wiedział, że dziecko właśnie powinno się urodzić. Nie widzieli się od ślubu Molly

z Christianem - a faktycznie od lunchu, na którym powiedziała mu o planowanym małżeństwie. Trudno byłoby im się spotkać, nawet gdyby chcieli, bo stale przebywali na innych kontynentach. Gdy Molly siedziała w Ameryce, on -dzięki dobrej woli zoo, które wciąż dawało mu urlopy - dał się całkowicie pochłonać archeologii i ciągle wyjeżdżał na wykopaliska.

Z drugiej strony z mieszanymi uczuciami podchodził do tego, że nie widzieli się przez miniony rok. Tęsknił straszliwie i zawistnie, często budziły go w środku nocy myśli

o niej. Ale wzięwszy pod uwagę jej nową sytuację jako pani Smith, wiedział, że podczas spotkania w towarzystwie innych nie potrafiłby się zachowywać naturalnie, w sposób odpowiedni dla brata - a nawet dla rzekomego starego przyjaciela Seana Molloya. Dużo łatwiej było nie widywać się w ogóle.

Ale rozmawiali ze sobą. Zadzwoiła do niego, by podziękować za telegram i prezent, adamaszkowy obrus z irlandzkiego płótna - i przy paru innych okazjach. Przeważnie jednak utrzymywali kontakt listowny, wymieniali sztywne, oficjalne listy, takie, jakie mogliby do siebie wysyłać z poczucia obowiązku korespondencyjni znajomi. Pisała o sprawach nowej rodziny, zwłaszcza o starym Malcolmie, którego, jak się wydawało, bardzo polubiła. Opis wyjazdu na Inis Oirthir z Christianem, by odwiedzić Brendana, ciągnął się w listach przez dwa miesiące. Ale dopiero w piątym miesiącu powiedziała mu, że jest w ciąży.

Ze swej strony wysyłał jej z zagranicy długie opisy każdej pustyni i wąwozu, który przemierzał w danym czasie, i ponieważ było bardzo prawdopodobne, że jego listy czyta również mąż Molly, zawsze podpisywał się „Sean”.

Z łazienki wciąż dochodził szum płynącej wody. Rozejrzał się po maleńkim pokoiku, zagraconym i klaustrofobicznym. Wrażenie to potęgowały porzrzucone rzeczy Uny i jej na wpół rozpakowana nieduża torba na środku podłogi. Conor, który żył samotnie przez tak wiele lat, był pedantyczny i bardzo schludny, więc bałaganiarstwo Uny stanowiło dodatkowe źródło irytacji. Musiał wyjść i odetchnąć świeżym powietrzem...

Podszedł do drzwi łazienki i zastukał. Nie usłyszała go od razu, więc zapukał po raz drugi. Szum prysznicu ustał.

- Tak? - odezwała się.

- Una, wychodzę na parę minut. Nie na długo. - Poczekał chwilę.

- Dobra - odparła i usłyszał, że wraca do kąpieli.

Narzucił ubranie, które z przyzwyczajenia złożył przedtem porządnie na krześle przy łóżku, wyszedł z mieszkania i pokonał trzy kondygnacje schodów, skacząc po dwa stopnie.

Będzie musiał rozwiązać kwestię Uny raz na zawsze, pomyślał, pośpiesznie zmierzając do traveller'a, zaparkowanego w pobliżu. Utrzymywanie istniejącej sytuacji nie było dobre dla żadnego z nich.

Wsunął się do samochodu i siedział chwilę, oparty o kierownicę małego auta, gapiąc się na staromodną tablicę rozdzielczą nie widzącym wzrokiem. Uczucie, że powinien zobaczyć się z Molly, stawało się coraz bardziej naglące.

Ale jak? Jak może pojawić się w jej życiu po ponad rocznej nieobecności? Pod jakim pretekstem?

To śmieszne. Nie potrzebuje żadnego pretekstu, by zobaczyć się z własną siostrą. Bliski poród stanowi doskonałą okazję do skontaktowania się z nią - w końcu on należy do rodziny. Będzie wujem dziecka. A jeśli otworzy drzwi Christian, powie, że właśnie tędy przechodził lub coś w tym rodzaju.

Zapalił silnik i pomknął w kierunku domu przy Vernon Street.

Gdy tam dotarł, na ulicy panował zwykły spokój. Spojrzał na zegarek - było parę minut po wpół do jedenastej i paliły się latarnie. Świeciło się w oknach wielu domów, ale nie u Molly. Mimo to zadzwonił, na wypadek gdyby ona... lub oni byli gdzieś z tyłu, może w kuchni. Pożałował odruchu -co im powie? - i niemal mu ulżyło, kiedy nikt nie otworzył po trzecim dzwonku. Właśnie zamierzał odejść, gdy usłyszał, że ktoś podsuwa okno na górze w sąsiednim domu.

Wyłoniła się głowa, którą od dołu oświetlała latarnia.

- Szuka pan kogoś? - spytała kobieta w średnim wieku, której blond włosy wymykały się spod wałków.

- Tak, szukam pani Smith. Przepraszam, że zaniepokoiłem panią - odparł. - Mam nadzieję, że pani nie obudziłem.
- Nie ma sprawy, skarbie - powiedziała blondynka - ale nie zastaniesz tu dziś pani Smith. Jest w szpitalu. Pewnie do tej pory urodziła już dziecko. Odwieźli ją około ósmej rano.
- Bardzo dziękuję! - odrzekł Conor, głupio się czując. - Nie wie pani przypadkiem, do którego szpitala?
- Chyba do St Catherine - poinformowała.
- Jeszcze raz dzięki! - zawołał Conor.
- Jest pan krewnym? - spytała kobieta.
- Przyjacielem! - odkrzyknął.
- Przekaż jej pozdrowienia, gdy ją zobaczysz, mój drogi. Dobrze?
- Przekażę - obiecał.

Okno nad nim zamknęło się i wsiadł z powrotem do samochodu. Wyjechał z Vernon Street w kierunku Earl's Court. Panował mały ruch, więc Conor zaryzykował i zaparkował samochód obok stacji metra, żeby pójść do wejścia, gdzie były automaty telefoniczne. Wykręcił 142, dostał numer prywatnej kliniki St Catherine od telefonistki i zadzwonił tam. Po drugim dzwonku ktoś odebrał.

Powiedział, że chce zasięgnąć informacji o pani Molly Smith.

- Chwileczkę, proszę pana - odparła dziewczyna w centrali i na linii zapadła cisza. Przy następnym połączeniu odezwał się inny głos.
 - Pan chce się dowiedzieć o panią Molly Smith?
 - Tak - odrzekł Conor.
 - Czy to pan Smith? - spytał głos.
 - Tak - odpowiedział Conor bez wahania.
 - Bardzo się cieszę, że pan zadzwonił, panie Smith. Próbowaliśmy skontaktować się z panem pod numerem telefonu, który pan zostawił, ale nikt nie odbierał. Pani Smith dopytuje się o pana, bardzo chce z panem porozmawiać. Może pan jak najszybciej przyjść?
- Conorowi zaczęło walić serce.
- Tak, na pewno przyjdę - zapewnił. - Czy wszystko z nią w porządku?

- Jest u niej teraz lekarz - odparł głos szorstko. - Dopiero co przyszedłam na dyżur, ale wiem, że panujemy nad sytuacją. Jestem pewna, że doktor wprowadzi pana we wszystko, gdy pan tu dotrze.

- Dziękuję - powiedział Conor. Wyłączył się. Gapił się głupio na telefon, na graffiti, na małe ogłoszenia, które polecały usługi różnych surowych dyrektorów i nauczycielek. Coś poszło źle.

Zapomniał zapytać o adres kliniki. Ale przecież jako „pan Smith”, który powinien go znać, nie mógł zadzwonić jeszcze raz. Wybiegł ze stacji i, lekceważąc ryzykownie zaparkowanego traveller'a, zamachał na taksówkę. Kierowca wiedział, gdzie znajduje się klinika - w odległości niecałych dwóch kilometrów - więc dotarcie tam stanowiło kwestię tylko paru minut.

Szpital był schowany wśród domów na Regency, w spokojnej ślepej uliczce. Conor zapłacił za taksówkę i wbiegł po niewysokiej kondygnacji schodów. W holu, w którym stały fotele i stoliki do kawy, panował spokój. Muzyka Mozarta dochodziła dyskretnie zza zieleni, która zwisała z trzech stron półpiętra wokół klatki schodowej. Jedyнным śladem, że to szpital, a nie prywatny hotel, był wykrochma-lony, biały fartuch dziewczyny za pulpitem rejestracji.

- Smith - zawiadomił - do pani Molly Smith.

Czuł się jak przestępca. Ze zdenerwowania i poczucia winy za tę mistyfikację - może Christian dotarł tu po jego telefonie? Może dziewczyna widziała wcześniej Christiana i zapamiętała go? - miał chrapliwy głos.

Ale rejestratorka nie zareagowała, po prostu sprawdziła coś w kartotece przyjęć i skierowała go na półpiętro do windy, którą miał wjechać na drugie piętro.

Pielęgniarka i lekarz czekali na niego, gdy drzwi windy się otworzyły. Doktor przedstawił się jako Anderson i poprosił go na chwilę do swojego gabinetu. Conor chwycił lekarza za rękaw.

- Czy z Molly wszystko w porządku? Czy z nią wszystko w porządku?

- Żona czuje się dobrze, panie Smith. Jest trochę poruszona, więc daliśmy jej lekki środek uspokajający, ale na-

prawdę nic jej nie dolega... Doktor Sinden przeprasza, że nie może osobiście służyć informacjami, ale próbowaliśmy skontaktować się z panem od pewnego czasu i, niestety, w końcu musiał wyjść. Jednakże zanim poszedł, zapoznał mnie ze szczegółami tego przypadku i poprosił, żebym zaznajomił pana z sytuacją, gdy uda nam się nawiązać z panem kontakt. - Ton głosu był poważny, uprzejmy i uspokajający. Mówił, prowadząc Conora w kierunku gabinetu. Pielęgniarka weszła z nimi, zamknęła drzwi za dwoma mężczyznami i usadowiła się dyskretnie na krześle na wpół schowanym za szafką z aktami.

Lekarz wskazał Conorowi krzesło przed biurkiem, a sam usiadł na brzegu mebla.

- Chodzi o Molly czy o dziecko? - spytał Conor, zniecierpliwiony aranżowaną sceną.

- Pańskiej żonie nic nie dolega, proszę się o nią nie martwić. Oczywiście przeżyła wstrząs, a także jest zmęczona i wyczerpana po porodzie, ale z czasem pogodzi się z tym, co się stało.

- Więc co się stało? Co jest dziecku? - Do Conora dotarło z opóźnieniem, że nie wie, czy Molly urodziła chłopca czy dziewczynkę.

Lekarz zawahał się.

- Pańska córka może, podkreślam, może, cierpieć na chorobę, którą nazywamy porażeniem mózgowym. - Położył rutynowym gestem rękę na ramieniu Conora, który zmusił się, żeby nie strząsnąć dłoni lekarza. - Niełatwo to powiedzieć - ciągnął mężczyzna - ale pańska córka ma uszkodzony mózg. Za wcześnie na wyjaśnienia, w jakim stopniu i jak do tego doszło, czy było to uwarunkowane genetycznie, czy też wydarzyło się coś podczas ciąży lub porodu.

Oczywiście zrobimy dla niej wszystko, co w naszej mocy, może pan być pewien, ale obawiam się, że prognozy nie są dobre.

- Chce pan przez to powiedzieć, że umrze?

- Niektórzy ludzie w takim stanie dożywają starości.

- Ale co pan myśli o niej?

- Za wcześnie, żeby coś powiedzieć.

- Myśli pan, że źle z nią, prawda?

Lekarz skinął głową.

- Zawsze mówimy, że nie należy tracić nadziei w takich sytuacjach, ale to prawda, jest z nią źle.

- Jakie są objawy?

- U każdego pacjenta inne, oczywiście, w zależności od tego, jak bardzo i w którym miejscu jest uszkodzony mózg. Jeśli chodzi o pańską córkę, jest o wiele za wcześnie na ocenę. Będziemy obserwowali jej rozwój. - Urwał, dając Conorowi czas na przyswojenie informacji. - W przypadku pańskiej córki - podjął po chwili - wygląda na to, że może cierpieć na tetraplegię. Innymi słowy - jest w dużej mierze sparaliżowana. Mogą również pojawić się inne problemy. Wydaje się całkiem prawdopodobne, że jeśli przeżyje, będzie musiała przebywać w zakładzie.

Conor zupełnie zapomniał, że nie jest mężem Molly. Chciał pozbyć się tego mężczyzny, mimo jego dobrych intencji. Wstał.

- Pójdę teraz zobaczyć Molly - to znaczy moją żonę, dobrze?

- Pewnie śpi - ostrzegł go doktor Anderson - ale oczywiście może pan do niej wejść. Podniósł się ze swego miejsca i wyciągnął rękę. - Bardzo mi przykro. Przeżył pan szok, wiem. I z pewnością myśli pan, że łatwo mi stać tutaj i mówić, żeby się pan za bardzo nie martwił. Ale mogę pana zapewnić, że pańska córka jest w tej chwili w dobrych rękach. Wszystko, co można dla niej zrobić, zrobimy, zapewniam pana. I postaramy się o psychologa dla pana żony, oczywiście. - Zawahał się. - Naprawdę mi przykro... -powtórzył.

Conor ujął rękę mężczyzny i uścisnął ją krótko. Już nie czuł się jak oszust. Wszystkie myśli o Christianie uleciały mu z głowy.

Wyszli z pokoju i podążyli korytarzem, oświetlonym przyćmionymi kinkietami. Lekarz wyprzedzał Conora. Nie słychać było odgłosu ich kroków na grubym dywanie. Anderson otworzył pchnięciem jasne, ciężkie drzwi i stanął z boku, by wpuścić Conora samego.

W pokoju paliła się jedynie ciemnoniebieska żarówka nad wezłowiem. Molly spała na boku, oddychając spokoj-

nie, z nogami podkurczonymi jak u dziecka. Jej skóra wyglądała niby z cienkiej porcelany w nieziemskiej poświacie nocnej lampki i Conor pomyślał, że Molly jest piękniejsza niż kiedykolwiek.

Poruszał się bardzo cicho, z oczami utkwionymi przez cały czas w nią. Przeniósł krzesło z kąta pokoju, postawił je obok łóżka i usiadł jak najbliżej, nie dotykając jej. Jednak nie wierciła się i dalej spokojnie spała. Kosmyk włosów, który spadł jej na policzek, unosił się, kiedy oddychała, i Conor miał ochotę odsunąć go na bok. Zauważył, że pokój tonie w kwiatach.

Było bardzo cicho, odgłosy ulicy tłumiły podwójne szyby i ciężkie zasłony w oknie. Z drugiej strony drzwi usłyszał pojedynczy brzęk butelki o butelkę lub łyżki o szkło. Dotarła do niego mieszanina zapachów w pokoju, woń szpitalnej czystości zlewała się z mocną mieszanką aromatów kwiatowych i z czymś, co ze zdziwieniem rozpoznał jako ciężki odór krwi po porodzie. W dzieciństwie na wyspie widział czasami, jak cielęła się krowa czy szceniła suka. Ta woń była podobna.

Po mniej więcej dziesięciu minutach Molly otworzyła oczy. Patrzyła na Conora przez chwilę, nie rozpoznając go, a potem uśmiechnęła się niewinnie jak dziecko.

- Przyszedeś - szepnęła.

Skinął głową. Myślał, że serce mu pęknie. Wysunęła rękę spod kołdry i wyciągnęła do niego. Chwycił ją. Dłoń była ciepła i miękka.

- Wiesz o moim dziecku? - wyszeptała. Była bardzo spokojna. Znowu skinął głową. Zmarszczyła brwi na ślicznej twarzy, próbując sobie coś przypomnieć. - Coś jest nie w porządku z moim dzieckiem, Conorze...

Ścisnął mocniej jej rękę, a potem rozluźnił dłoń. Bał się, że może zgnieść jej palce.

- Molly, razem stawimy temu czoło. Wszyscy pomogą.

- Gdzie Christian?

- Nie wiem, Molly, ale jak wyjdę, znajdę go.

- Nie wiem, czy on już wie...

- Ja też nie wiem, ale nie będziesz borykać się z tym sama, obiecuję ci.

Siedział całkiem bez ruchu. Nawet przy słabym świetle zauważył, że oczy, którymi z napięciem się w niego wpatruje, są mętne.

- Widziałeś ją? - spytała wciąż szeptem. Pokręcił głową. - Ja tak - powiedziała. - Widziałam ją. Zaprowadzili mnie do niej na dół. Leży w małym szklanym pudełku. Jest śliczna, jak malutka krucha muszelka. - Miała trudności z doborem słów.

- Zdecydowałaś, jak dasz jej na imię? - Przez chwilę poczuł się głupio. Co za różnica, jak będzie się nazywać to dziecko?

Ale ona odpowiedziała.

- Margaret Susanna - wyszeptała.

- Śliczne imiona - pochwalił. - Margaret Susanna Smith -powtórzył, z trudem wypowiadając słowa. - Śliczne imiona.

- Tak - odrzekła - wiem. To śliczne imiona. Zamknęła oczy.

- Pewnie nie widziałaś dzisiaj „Evening Standard”? -spytał cicho.

- Nie...

- Piszą, że masz duże szanse na nagrodę w Cannes.

- Tak? To miło... - Nie otwierała oczu i Conor pomyślał, że zasnęła. Miał nadzieję, że pośpi trochę i przyśni jej się coś przyjemnego.

Ale jej usta znowu się poruszyły.

- Nie wychodź jeszcze, Conorze.

- Nie wyjdę. - Niedługo potem ręka Molly rozluźniła się w jego dłoni.

Gdy był pewien, że śpi głęboko, rozwarł kolejno palce i wstał bez szmeru. A potem, jakby składał hołd w świątyni, schylił się i pocałował ją lekko w otwarte usta. Wargi miała suche, ale bardzo miękkie.

Postał chwilę, patrząc na nią, i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Z drugiego końca budynku, wydawało się, że z bardzo daleka, usłyszał wysoki, zapamiętały płacz noworodka. Po sekundzie przyłączył się do niego drugi. Conor zastanowił się z przelotną goryczą, czy któreś kwilące niemowlę to dziecko Molly i czy w ogóle Margaret Susanna umie płakać.

Ciemnoskóra pielęgniarka na stanowisku przed windą spojrzała na Conora, gdy naciskał guzik, ale nie dotarło do niego, że dziewczyna się uśmiecha.

Nocne powietrze na dworze było chłodne i świeże po przegrzonym szpitalu. Przypomniawszy sobie, że w pośpiechu zapomniał zamknąć traveller'a. Miał nadzieję, że wciąż jest na swoim miejscu. Ruszył na poszukiwanie taksówki. Miał szczęście: samochód stał tam, gdzie go zaparkował. Conor spojrzawszy na zegarek, kiedy płacił za taksówkę, i ku swojemu zdumieniu zobaczył, że nie minęła jeszcze północ. Tyle emocji przeżył przez ostatnie dwie godziny, że gdyby go ktoś spytał, która godzina, powiedziałby, że druga nad ranem. Poczł, że jest głodny.

Następne zadanie to odnaleźć Christiana, ale przedtem musi po prostu coś zjeść. Spostrzegł, że bar „Wimpy” obok stacji jest wciąż otwarty. Pojechał traveller'em EarPs Court Road, zaparkował go w małej bocznej uliczce i wrócił do baru. Był jedynym klientem w jasno oświetlonym lokalu, gdzie zamówił dwa hamburgery i torebkę frytek. Pochłaniał je, stojąc przy ladzie, i myślał intensywnie podczas jedzenia. Nie miał pojęcia, gdzie Christian może się włóczyć, nie znał jego przyjaciół ani nawet znajomych. Nie mieli żadnego wspólnego kolegi. Żałował teraz gorzko, że nie utrzymywał kontaktów z siostrą. Czy Christian zostawił Molly jakieś informacje? Czy szpital coś wiedział?

To było to: „Próbowaliśmy skontaktować się z panem pod numerem, który pan zostawił, ale nikt nie odbierał...”

Zjadł ostatnią frytkę i wrócił do traveller'a. Na rogu ulicy, gdzie zaparkował, stała budka telefoniczna. Zapomniał numeru szpitala i jeszcze raz musiał zadzwonić do informacji.

W szpitalu znów ktoś podniósł słuchawkę po drugim dzwonku. Conor wziął głęboki oddech i - czując się idiotycznie, jak aktor w kiepskim, trzeciorzędnym filmie - spróbował jak najlepiej podrobić amerykański akcent.

- Mówi Gerard Smith - powiedział. - Jestem szwagrem pani Molly Smith, która właśnie urodziła dziecko. Usiłuję się skontaktować z jej mężem, a moim bratem Christianem. Domyślam się, że zostawił państwu numer telefonu?

- O tak, panie Smith - odparła chętna do pomocy recepcjonistka. - Chwileczkę...

Usłyszał trzask odkładanej słuchawki i na chwilę na linii zapanowała cisza. Potem recepcjonistka podała mu numer telefonu do domu Molly przy Vernon Street. Ale tam nie było nikogo. Conor podziękował dziewczynie i wyłączył się. Przynajmniej wiedział teraz, że Christian zamierza kiedyś wylądować w domu. Zadzwoił na wszelki wypadek pod ten numer, ale nikt nie podniósł słuchawki. Najlepsze, co mógł zrobić, to wrócić do siebie i dzwonić co jakiś czas przez całą noc. Christian musi zjawić się wcześniej czy później - mógł nawet pojechać do szpitala. Może jest teraz w szpitalu.

Ku swemu zdumieniu Conor nie poczuł żądła zazdrości na myśl o Christianie u Molly. Uznał, że przeżył coś w rodzaju katarsis; nie potrafił tego wyjaśnić, ale czuł, przynajmniej miał nadzieję, że już nigdy więcej nie będzie zazdrosny o męża Molly. Z pewnością na dziś wieczór była to prawda. Od tej pory cokolwiek ją uszczęśliwi, jego też, nawet jeśli Molly znajdzie szczęście w łóżku kogoś innego. Zapalił silnik i odjechał. Wiedział teraz bardzo jasno, co ma powiedzieć Unie.

Piątkowy tłum na Soho kłębił się wokół Christiana i Ferdy'ego, kiedy stali pod „LEpicure”. Christian, któremu, mimo morza wypitego alkoholu, nie udało się uśpić przerażenia, usilnie nakłaniał nowego przyjaciela, żeby poszedł z nim jeszcze gdzieś.

- No, Ferdy - jest za wcześnie, żeby kończyć wieczór!

Gdyby wypił jeszcze parę drinków, mógłby odłożyć powrót do pustego domu, gdzie sam musiałby stawić czoło swoim demonom. Co gorsza, jeśliby nigdzie nie szedł, powinien tak naprawdę pojechać do szpitala.

- Nie... nie wiem, Christianie. - Na małej twarzy Ferdy'ego malowało się niezdecydowanie. - Dokąd możemy pójść?

- W wiele miejsc - odparł Christian. - W Londynie jest mnóstwo nocnych klubów.

- Nie, ja nie, Christianie. - Ferdy mówił niewyraźnie.

- Dobra, w porządku. - Christian i tak był zmęczony to-

warzystwem tego mężczyzny. Rozstali się, wymieniając adresy i obietnice, że się skontaktują, obietnice, które w wypadku Christiana nic nie znaczyły. Potem każdy na własną rękę ruszył na poszukiwanie taksówki.

Na ulicy panował taki ruch, że Christianowi zajęło dwadzieścia minut złapanie jednej.

-Dokąd, proszę pana? - spytał taksówkarz. Christian zadrżał. Powinien wrócić do szpitala. Spojrzał na zegarek. Wpół do pierwszej w nocy. Z pewnością śpi i jego obecność znowu okaże się zbyteczna. Taksówkarz czekał cierpliwie. Christian powziął decyzję. Uspokoi swoje sumienie telefonem. A potem pojedzie do „Dorchester” do Malcolma i babci. Nikt mu nie będzie mógł wtedy nic zarzucić.

- Proszę zawieźć mnie do „Dorchester” - powiedział. -Ale czy mógłby pan zatrzymać się po drodze przy budce telefonicznej?

W szpitalu podniesiono słuchawkę po drugim dzwonku, ale Christian musiał podnieść głos, żeby usłyszano go poprzez hałas uliczny.

- O, tak, pan Smith - rzekła recepcjonistka. - Przełączę teraz pana na piętro.

- Halo? - Odezwał się drugi głos po paru trzaskach.

- Dzień dobry - powiedział Christian, wypowiadając słowa powoli i wyraźnie nie tylko z powodu hałasu, ale też po to, żeby nie zdradzić, iż wypił kilka kieliszków. - Tu Christian Smith, mąż Molly Smith.

- Tak, panie Smith?

- Tylko sprawdzam, co z moją żoną, Molly Smith.

- No cóż, bez zmian...

Nawet w tym hałasie usłyszał w głosie kobiety zakłopotanie.

- Rozumiem - powiedział. - Czy teraz śpi?

- Tak, i jestem pewna, że będzie spała do rana.

- Rozumiem. Cóż, przekaże jej pani wiadomość ode mnie? Proszę powiedzieć, gdy się obudzi, że dzwonił mąż, przesyła uściski i że będzie jutro wcześniej rano. - Nie usłyszał żadnej odpowiedzi z drugiej strony. - Przepraszam, panuje tu duży hałas - ciągnął Christian. - Czy pani mnie usłyszała?

- Tak, panie Smith - odparł głos powoli. - Dopilnuję, żeby pańska żona otrzymała wiadomość.

- Bardzo dziękuję - rzekł Christian. Odwiesił słuchawkę i wsiadł z powrotem do taksówki. - Do „Dorchester”, proszę - powiedział.

Bezczynność sprawiała, że Malcolm chodził po ścianach. Nie mógł dłużej czekać. Po raz dwudziesty piąty w ciągu ostatniej godziny odsunął rękaw marynarki i spojrzął na zegarek. Po wpół do pierwszej. Może stało się coś złego? Popatrzył na żonę i pomyślał, że chciałby mieć jej charakter. Zaszła się wygodnie na kanapie we wnęce okiennej małego saloniku w ich apartamencie i czytała postrzępioną książkę, którą wybrała tego dnia w antykwariacie. Była to „Droga do korony - Wiktoria w Kensington Palace” pisarki o nazwisku Eleanor Graham. Cordelia po raz pierwszy przyjechała do Anglii i' ku zdumieniu i rozbawieniu Malcolma odkryła w sobie fascynację brytyjską rodziną królewską.

Westchnął głośno. Nawet apartament hotelowy zaczynał go denerwować. Urządzono go w stylu regencji, w pastelowych tonach, z mnóstwem frędzli i falbanek, i teraz, kiedy Malcolm nie miał się czym zająć, ta podrabiana wspaniałość zaczęła razić jego oczy wykształconego człowieka. Wiedział, że Cordelia, niech Bóg ją błogosławi, robi, co może. Zjedli kolację w apartamencie i cały wieczór po posiłku usiłowała odwrócić jego uwagę, dzieląc się smakowitymi okruciami wiadomości zebranych przez panią Graham do życiorysu księżniczki Aleksandry Wiktorii. Minęły już cztery godziny, odkąd dzwonił do szpitala.

- Do tej pory muszą być jakieś wieści. Cordelia opuściła książkę.

- Malcolmie - zaprotestowała łagodnym tonem - to nic niezwykłego, że pierwszy poród trwa tak długo. Znam kobiety, które rodziły po trzydzieści sześć godzin. Molly jest w szpitalu dopiero szesnaście. Czemu nie pójdziesz do łóżka? Ja poczekam. Obiecuję, zawołam cię, gdy tylko zadzwoni telefon. Christian nie zapomni nas zawiadomić - wie, jak się niepokoisz.

- Nie ma sensu iść do łóżka - odparł rozdrażniony. -I tak nie mógłbym zasnąć. - Malcolm siedział na fotelu

przy telefonie, który stał na małym stoliku. Uderzył gniewnie w bok aparatu. - Chcę lam pojechać, Cordelio! Położyła otwartą książkę okładką do góry obok siebie na kanapie, podeszła do niego, stanęła za fotelem i pomasaowała mu kark.

-Ach, ty stary głupcze, dlaczego nie posłuchasz żony i nie pójdziesz do łóżka? Wiesz bardzo dobrze, że nie ma tam dla ciebie nic do roboty, a siedząc tu, wymęczysz się tylko bez żadnego powodu! I gdy nadejdą wieści, nie będziesz w stanie ich docenić.

Wyciągnął rękę za siebie i pogłaskał żonę po wierzchu dłoni.

- Przepraszam, moja droga, oczywiście masz rację. Jak to się dzieje, że masz zawsze rację? Nie wiem, jak w ogóle możesz ze mną wytrzymać...

- Kocham cię.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Malcolmie Smith! - zaprotestowała. - Powinieneś się ogolić!

- Cóż z tego? To oznaka prawdziwego mężczyzny, kochanie! - Uśmiechnęli się do siebie. Cordelia wróciła na kanapę i zabrała się z powrotem do czytania.

Malcolm westchnął i wziął egzemplarz „Tatlera”. Było to jedno z czasopism, które kierownictwo hotelu dostarczało jako swoistą dekorację na stolik przed fotelem. Zirytowany odwracał kartki, ale nie mógł się skupić na przeglądzie bali dla debiutantek i wesel pod miastem.

Podskoczył, kiedy zadzwonił telefon.

- Tu recepcja - powiedział głos do jego ucha. - Pana wnuk jest tutaj. Czy mam go wpuścić na górę?

Nareszcie!

- Tak, proszę go wpuścić! - rzucił podniecony w słuchawkę i odłożył ją. - Cordelio, to Christian! Musi mieć jakieś wiadomości!

Podszedł otworzyć drzwi, ale upłynęła co najmniej minuta, zanim przyjechała winda i pojawił się Christian. Radosne oczekiwanie zgasło w duszy Malcolma, gdy zobaczył twarz wnuka. I jeszcze zanim Christian do niego podszedł, wiedział, że pił. Ale powstrzymał wymówki, które cisnęły

mu się na usta. Upomnienia odniosłyby przeciwny skutek, jeśli naprawdę stało się coś złego.

- Wejdz, Christianie - powiedział i odsunął się, by wpuścić wnuka przez drzwi. - Zaczynaliśmy się martwić, naprawdę.

Christian wszedł do pokoju i zbliżył się do Cordelii, która wciąż siedziała na kanapie. Pochylił się i pocałował ją.

- Stało się coś złego, prawda, Christianie? - spytała spokojnie.

Malcolm wszedł i stanął pośrodku pokoju. Nie zamknął drzwi do apartamentu. Nerwowo brzękał monetami w kieszeni spodni.

- Co się stało, Christianie?

Christian nie odwrócił się, by odpowiedzieć Malcolmowi, lecz zwrócił się do babki.

- Tak - rzekł. - Mamy problem.

Malcolm usłyszał, że drży mu głos, i zobaczył, że wnuk chwieje się na nogach.

- Usiądź, Christianie - powiedział. Podeszedł do drzwi pokoju i zamknął je cicho. Potem ruszył do fotela, który niedawno opuścił, i z powrotem na nim usiadł. Christian zajął miejsce przy Cordelii.

- Dziecko jest upośledzone, babciu - wyjaśnił. - Ona -to dziewczynka - jest głęboko upośledzona. Ma uszkodzony mózg. - Odwrócił głowę i popatrzył w bok. Malcolm wpatrywał się w niego. To nie mogło się przydarzyć. Nie w tej rodzinie. Nie jeszcze raz.

- Widziałeś ją, Christianie? - Cordelia dotknęła wnuka siedzącego obok niej.

- Śpi - odparł. - Dali jej środki uspokajające...

- Dziecku? - Cordelia poczuła się zdezorientowana.

- Myślałem, że masz na myśli Molly. - Christian odpowiadał bezbarwnym tonem.

- Nie, chciałam się dowiedzieć, czy widziałeś swoją córkę?

- Widziałem ją po urodzeniu. Była sina. Straszne. - Objął głowę rękami i do Malcolma dotarło, że to się naprawdę dzieje.

- Czy mogę dostać trochę alkoholu? - spytał Christian przytłumionym głosem.

-Może być bourbon? - Malcolm poszedł do sypialni. Cordelia zawsze zabierała butelkę, gdy jechali w podróż, żeby - jak mawiała - pomogła im zasnąć w obcych łóżkach.

Pojawił się z butelką i kieliszkiem w rękę i podał to wnukowi. Christian nalał sobie porcję i wypił. Nie wypuścił butelki i wciąż ją ścisnął, kiedy pięć minut później opuszczał apartament. Tym razem Malcolm nie miał serca mu jej zabrać.

Po drodze do domu Conor zatrzymał się przy budce telefonicznej i zadzwonił na wszelki wypadek jeszcze raz pod numer mieszkania przy Vernon Street. Nadal nikt nie odbierał. Potem znowu zatelefonował do szpitala i poprosił o informacje na temat Molly Smith.

Usłyszał jak zwykle trzask i ciszę na linii, a potem kobiecy głos odezwał się ponownie.

- Czy jest pan krewnym?

- Jestem jej bratem - odparł tym razem.

- No cóż, pani Smith śpi i czuje się dobrze.

- Czy jest ktoś u niej? - spytał. - Może powinienem przyjść i z nią posiedzieć?

- Chwileczkę, proszę pana... - Głos umilkł i na linii znowu zapadła cisza. Po jakiejś minucie kobieta wróciła.

- Byłam na oddziale, proszę pana, i siostra przełożona uważa, że pani Smith należy pozwolić spać.

- Tak, ale czy ktoś z nią jest? Nie powinna być sama w takiej chwili.

-Nie ma odwiedzin w szpitalu o tej porze, proszę pana, mogą być tylko mężowie w wyjątkowych sytuacjach i podczas porodu.

- Czy jest z nią mąż? - spytał Conor.

- Proszę pana. - Dosłyszał, że pielęgniarka traci cierpliwość. - Pani Smith śpi.

- Dziękuję. Zadzwonię rano. - Więc przynajmniej tam Christiana nie ma. Teraz musi stawić czoło Unie.

Pięć minut później otworzył sobie drzwi do domu

I wszedł po schodach, nie usiłując zachowywać się cicho. W nocy z piątku na sobotę w budynku zwykle odbywały się imprezy. Nad drzwiami jego mieszkania było półkoliste

okienko i zobaczył, że w środku świeci się światło. Una jeszcze nie spała. Uświadomił sobie, że jak tchórz miał w duchu nadzieję, iż zastanie ją śpiącą.

- Cześć - powiedziała, kiedy otworzył drzwi. Siedziała w łóżku z książką w ręku. Umyta, w koszuli nocnej, z rudymi lokami wokół twarzy wyglądała bezbrinnie jak małe, wystawione na ciosy dziecko. Poczuł, że to, co zamierza zrobić, jest podłe.

- Nie było cię krótką chwilkę! - rzekła.

- Tak, przepraszam! Wypiłabyś drinka albo filiżankę kawy, herbaty czy czegoś innego?

- Mam w torbie butelkę ze sklepu wolnocłowego. Przywiozłam ją dla ciebie, ale gdy zniknąłeś na tak długo, zamierzałam otworzyć sama.

- Dobrze - odparł. - Pójdę po kieliszki.

Kiedy on płukał dwie szklaneczki pod kranem i napełniał dzbanek wodą, ona wyskoczyła z łóżka i przetrząsnęła torbę, rozrzucając bieliznę, książki i kasyty po całej podłodze.

-Tutaj jest! Zawsze pakuję je do torby. Nie cierpię przechodzić z tymi żółtymi torbami ze sklepu wolnocłowego przez odprawę na Heathrow. Czuję, że celnicy patrzą na mnie z pogardą. Ta-ra-ra! - Wyjęła butelkę irlandzkiej whisky. Potem wskoczyła z powrotem na łóżko, wygładziła kołdrę wokół siebie i spojrzała na niego wyczekująco, wciąż trzymając butelkę w ręku. - No, chodźże, ślamazaro!

Przyniósł szklaneczki i usiadł przy niej na łóżku. Nalała dwie hojne porcje i zakręciła zakrętkę. Dopełnił każdy kieliszek wodą z dzbanka, który potem odstawił na nocny stolik.

- Chluśniem, bo uśniem, kochanie - powiedziała Una, podnosząc kieliszek jak do toastu. Wypiła łyk.

-Nie zamierzasz mnie zapytać, gdzie byłem, Uno? -rzekł spokojnie, nie tykając swojego drinka.

- To twoja sprawa. Mnie nie dotyczy. Nie jesteśmy związani pępownią, wiesz o tym!

Nie ułatwiała mu sytuacji. Odstawił kieliszek na nocny stolik obok dzbanka.

- Uno - powiedział łagodnie, biorąc ją za rękę - musimy porozmawiać.

- Oho! - odparła. - Nie podoba mi się to! - Mimo pozornie lekkiego tonu dosłyszał w jej głosie powagę.

- Mam ci coś do powiedzenia.
- Nic nie mów! Wiedziałam od początku. Masz żonę w Clacton! - Wypiła następny łyk alkoholu.
- Una, nie jestem żonaty. Ale cię oszukiwałem. - Obydwoma dłońmi objęła kieliszek i wpatrywała się w niego.
- Słuchasz mnie, Uno?
- Och, nie, nie słucham. Śpiewam. A jak myślisz, co robię? - Spojrzała mu prosto w twarz. - Usiłujesz mi powiedzieć, że kochasz kogoś innego.
- Niemal potwierdził. Miał tak silną pokusę wyznać to komuś, komukolwiek! Ale nie Unie.
- To nie to, Uno. Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz. -Co?
- Nie nazywam się Sean Molloy. - Obserwował, jak przyswaja sobie tę informację.
- Rozumiem. Cóż, dowiem się, kim jesteś?
- Czy chcesz tego?
- Nie jestem pewna, czy mi się to spodoba, ale skoro już zaszliśmy tak daleko... - Uczyniła kolejny mały, lekceważący gest, lecz marnie to wypadło.
- Naprawdę nazywam się Conor O Briain i jestem bratem Molly. - Wyglądała na zupełnie zdezorientowaną. Ma prawo tak się czuć, pomyślał. - Jestem bratem Molly - powtórzył. - Wróciłem prosto ze szpitala, gdzie Molly urodziła dziewczynkę. Dziecko jest upośledzone, Uno. Muszę teraz zrobić parę rzeczy dla Molly - mojej siostry...
- Obserwował jej twarz. Ku swemu przerażeniu uświadomił sobie, że wszystko pogmatwał. Ona myśli, że z nimi będzie wszystko w porządku i, oczywiście, z jej punktu widzenia - dlaczego nie?
- Och, Sean! - Odstawiła kieliszek i objęła go. - Tak mi przykro - mam na myśli dziecko, ale ja pomogę! Zrobię wszystko, żeby pomóc.
- Nie, Uno. - Zdjął delikatnie jej rękę ze swojej szyi. -To właśnie chciałem ci powiedzieć. Nie potrzebuję pomocy, od nikogo. Chcę być sam.
- Opuściła rękę i założyła jedną na drugą, ale widział, że zajęło jej trochę czasu, by w pełni pojąć znaczenie jego słów.

- Rozumiem - rzekła spokojnie. Podniosła szklaneczkę. - Ale dlaczego, Sean? Jaka to dla nas różnica? A tak przy okazji - dodała tonem zwykłej rozmowy - po co to udawanie? Dlaczego jesteś Seanem Molloyem?

- Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, opowiem ci, ale to długa i bardzo skomplikowana historia. Teraz muszę odnaleźć męża Molly, który chwilowo zniknął.

- Dlaczego, Seanie-Conorze? Och, nie cierpię tego imienia! - rzuciła z nutą okrucieństwa w głosie.

- Dlaczego co?

- Wiesz przecież. To prawdziwe dlaczego. Znam cię na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że musiałeś mieć poważne powody do zmiany nazwiska, a twoja siostra - by zgodzić się na znowu. Należysz może do IRA?

Uśmiechnął się z podziwem.

- Nie, nie należę do IRA.

- No, dzięki Bogu! - Usiłowała się zaśmiać, lecz znowu jej się nie udało. - Ale moje pytanie dotyczy tego, dlaczego zmiana twojego nazwiska miałaby wpłynąć na nasze stosunki?

- To znowu bardzo, bardzo długa historia. Powiedzmy, że wiele rzeczy przydarzyło mi się zniecka i że naprawdę pragnę być przez jakiś czas sam.

Spróbowała jeszcze raz.

- Przez jakiś czas? -Una...

- W porządku, w porządku! - Zaczęła mówić z przesadnym irlandzkim akcentem. - Wiem, kiedy jestem pokonana! - Wypiła alkohol jednym haustem i ostrożnie postawiła kieliszek na nocnym stoliku. Potem z powagą spojrzała na zegarek. - Chcesz, żebym od razu sobie poszła? Jest trochę późno...

Znowu pomyślał, że wygląda jak dziecko, które udaje dorosłą osobę. Objął ją.

- Och, Uno!

Ale ona wysunęła się z jego ramion.

- No, no! Nie należy być sentymentalnym w tych sprawach! - Jej usta ułożyły się w parodii uśmiechu i Conor poczuł się podle winny. Wstał.

- Oczywiście, nie musisz teraz wychodzić, Uno. I mam nadzieję, że zostaniesz na weekend?

- Daj spokój, Sean! - krzyknęła i chwyciła książkę, która leżała porzucona na kołdrze. Odwracając się od Conora, cisnęła ją z całej siły, nie w niego, lecz w ścianę przy drugim końcu łóżka. Książka miała papierową okładkę, więc odbiła się nieszkodliwie od ściany, nie pozostawiając śladu, i spadła z cichym szelestem na wykładzinę.

Conor podniósł ręce w geście poddania. Choć czuł się winny, zadając jej ból w sposób tak oczywisty, ostatnią rzeczą, której pragnął, była scena.

- W porządku - powiedział - ale proszę, zostań tak długo, jak będziesz chciała. Muszę teraz wyjść, żeby spróbować ustalić, gdzie jest mąż Molly.

Una przełknęła ślinę.

- Tak, Molly. No cóż. Nie powinnam cię zatrzymywać ze względu na Molly. - Słyszał gorycz w jej głosie. Jeszcze raz przełknęła z trudem ślinę i Conor zauważył, że ledwo powstrzymuje łzy.

- Uno - zaczął, znowu o krok zbliżając się do łóżka.

Ale teraz z kolei ona uniosła ręce, by powstrzymać jego zapędy. Patrzyła nieruchomo na guzik koszuli Conora.

- Naprawdę bardzo mi przykro z powodu dziecka. Wiesz o tym. Proszę, przekaz Molly serdeczne pozdrowienia ode mnie. - Głos jej zadrżał.

- Przekażę.

- I - ciągnęła, już na powrót panując nad głosem - weź pod uwagę, że będę chciała poznać całą tajemnicę. Tylko że mogę zajmować się jedną rzeczą naraz... w tej chwili...

Czuł się tak, jakby ją wychłostał. Teraz bardzo pragnął wyjść.

- Dowiesz się wszystkiego, obiecuję. - Spojrzał na nią od drzwi, gdy wychodził. Wstała z łóżka i odwrócona tyłem do niego podnosiła książkę z podłogi. Zobaczył, że drżą jej ramiona, i zawahał się przez chwilę. Ale potem zdecydowanym ruchem zamknął drzwi.

Dotarł do domu przy Vernon Street po wpół do drugiej, zaparkował trochę dalej na ulicy, zgasił silnik, wyłączył

światła i zaczął czekać. Żałował, że nie wziął płaszcza, bo noc po wcześniejszym upale okazała się całkiem chłodna. Mimo to udało mu się nieco zdrzemnąć, a po drugiej w nocy dotarło do niego, że jakaś taksówka skręca w ulicę.

Dzięki Bogu!

Samochód zatrzymał się przed domem z włączonym silnikiem diesla, który pomrukiwał cicho. Po bardzo długiej, jak się wydawało, chwili tylne drzwi się otworzyły i w plamie żółtego światła latarni pojawił się Christian. Nawet z odległości dwudziestu metrów Conor dojrzał, że jest pijany. Miał zmierzwione włosy i rozpięty kołnierzyk koszuli. Kolana się pod Christianem ugięły, kiedy wysiadł z taksówki, i musiał oprzeć się obydwoma rękoma o samochód, bo inaczej by upadł.

Conor poczuł, że gorycz podchodzi mu do gardła, ale zdławił w sobie emocje. Musi pozostać spokojny i opanowany. Po odjeździe taksówki Christian wciąż stał na chodniku i spoglądał za nią. Ręce zwisały mu bezwładnie, kolana miał ugięte, a głowa chwiała się na szyi. Gdy odwracał się od ulicy, wykonał dziwny gest, podnosząc obie ręce do góry niczym zwyczajski generał, pozdrawiający swoich bohaterskich żołnierzy. Potem opuścił ręce, wzruszył ramionami w stronę opustoszałej ulicy i odwrócił się, celując czubkiem głowy w drzwi frontowe.

Conor wysiadł z samochodu po cichu, żeby go nie przestraszyć. Podeszedł do niego.

- Christianie - odezwał się, gdy był już blisko.

Mąż Molly zareagował bez zdziwienia, odwracając głowę.

- Och! Kim... kim jesteś? - spytał zaintrygowany.

- Dobry wieczór, Christianie - powiedział Conor. - Szukałem ciebie. Molly chciałaby cię zobaczyć.

- Molly?

- Tak! Twoja żona, Molly! - Conor zacisnął pięści.

- Moll... Molly chce... chce mnie widzieć teraz? - Christian zatoczył się w kierunku rynsztoka. - Ale kim ty jesteś?

- Może sobie nie przypominasz, ale raz się spotkaliśmy - odparł Conor. Kręcenie nie miało teraz sensu. Z drugiej strony, facet był tak pijany, że pewnie nie pamiętał. - Jestem bratem twojej żony, na imię mi Conor - wyjaśnił lakonicznie.

Christian sprawiał wrażenie, że grzebie w pamięci.

- Nigdy cię nie widziałem... Czekał no... ty... ty jesteś tym facetem z garderoby. Mallarkey...

- Molloy - poprawił Conor szorstko. - Uwierz mi jednak, jestem Ó Briain, Conor Ó Briain, brat Molly. Czy możemy już wejść do środka?

Ale Christian wciąż czepiał się poprzedniej wiadomości.

- Molly chce mnie widzieć teraz?

- Chodź, Christianie. - Conor wziął go pod ramię. - Wejźmy do środka i wypijmy po filiżance kawy. Nie ma sensu rozmawiać tu, na dworze.

Christian próbował strząsnąć jego rękę, ale nie dał rady pokonać żelaznego chwytu Conora.

- Dobra! Dobra! - Wygrzebał klucze z kieszeni marynarki i Conor, którego cierpliwość była na wyczerpaniu, odebrał mu je i otworzył drzwi frontowe.

Zapalił światło. W holu widać było ślady pośpiesznego wychodzenia. Pusta papierowa torebka poniewierała się po podłodze i jeden but stał porzucony pod wieszakiem na ubrania. Poczta leżała nie pozbierana.

Poprowadził powłóczącego nogami Christiana trzema schodkami w dół do kuchni z tyłu domu. Gdy zapalił tam światło, zobaczył dalsze ślady, świadczące o tym, że Molly wyszła w pośpiechu. Brudne naczynia piętrzyły się w zlewie i pokrywka leżała zdjęta z dzbanka na kawę, jakby Molly zamierzała wyrzucić stare fusy, ale zmieniła zdanie - albo jej coś przerwało.

Conor, zdany teraz całkowicie na siebie, znalazł paczkę kawy i filtry w kredensie, wylał fusy do zlewu i odmierzył świeżą porcję, która postawiłaby na nogi słonia. Napełnił ekspres i włączył go. Czekał, by zabulgotał, zerknął na Christiana. Ku swemu zdumieniu zobaczył, że tamten ma zamknięte oczy. Drzemał na stole.

- Hej! - odezwał się głośno Conor. - Hej, Christianie! Obudź się! Kawa już prawie gotowa.

Christian otworzył jedno zamglone oko.

- Co ty tu robisz, Mallarkey? - spytał zdumiony.

- Robię ci kawę, Christianie. Musimy iść do Molly.

- Molly? - spytał Christian obojętnie.

Widać było wyraźnie, że to nie ma sensu. I tak obecność Christiana w szpitalu przyniosłaby dziś więcej szkody niż pożytku.

- Dobra, człowieku - powiedział Conor. - Chodź, pomogę ci wejść na schody. - Christian wzruszył ramionami i pozwolił pomóc sobie wstać z krzesła. Współdziałał, pełen dobrej woli, kiedy Conor na wpół niósł go, na wpół wciągał po schodach.

Gdy dotarli do sypialni, Conor złożył swój ciężar na łóżku i wyprostował się. Christian wylądował na brzuchu, ze stopami zwisającymi z boku pościelenia. Zasnął natychmiast.

Conor cofnął się, lekko dysząc. Christian był prawie jego wzrostu, bardzo ciężki. Conor rozejrzał się po pokoju.

Nigdy tu nie był. Wszędzie widział rękę Molly - świeże kwiaty w dzbanku na małym biurczku pod oknem, miękkie dywaniki z owczych skór na podłodze.

W rogu pokoju stało łóżeczko, ozdobione wzorzystym płótnem i haftem angielskim. Pod nim i wokół niego piętrzyły się nie rozpieczętowane pudełka, w których - jak się zorientował po obrazkach - znajdowały się rzeczy dla dziecka. Obok łóżeczka łukowate przejście wybite w ścianie prowadziło do następnego pokoju, który przerobiono na coś w rodzaju garderoby. Stały tam dwie olbrzymie wiktoriańskie szafy, dwie wysokie komody, kilka mniejszych i toaletka przy oknie; w drewnianej ramie jej lustra sterczały żarówki elektryczne. Był również drewniany stojak do wietrzenia ubrań, teraz pusty. Szafy stały otwarte. W jednej, najwyraźniej Christiana, wisiały w nieładzie garnitury, marynarki i koszule. Krawaty leżały porozrzucane na podłodze przed szafą, a buty wepchnięte byle jak pod zwieńczony pięknym łukiem mebel. Druga szafa należała do Molly, wisiały w niej starannie uporządkowane sukienki, bluzki i spódnice z miękkich materiałów w jasnych kolorach, które lubiła.

Znowu spojrzął na chrapiącego Christiana i podszedł do szafy Molly. Przesunął rękoma po kilku sukienkach, które kiedyś nosiła, szorstką skórą dłoni zaczepiając o niektóre co delikatniejsze materiały. Rozpoznał sukienkę z jasnoniebieskiego jedwabiu, którą miała na sobie w dniu, kiedy

powiedziała mu, że zamierza wyjść za mąż. Materiał był w dotyku miękki jak pajęczyna i wciąż przesycony zapachem Molly. Wieszak cicho zatrzeszczał, więc Conor znowu zerknął przez ramię. Ale szwagier ani drgnął. Conor wrócił do sypialni i zdjął Christianowi buty, które tamten miał na nogach. Były wsuwane, więc łatwo zeszyły. Potem przemierzył pokój, by otworzyć okno i ochłodzić pomieszczenie, co - jak sądził - mogło nieco pomóc pijanemu w wytrzeźwieniu. Gdy przechylał się nad biurkiem, żeby podciągnąć do góry kwatere okna, jego oczy natrafiły na fotografię w srebrnej ramce, leżącą płasko na blacie. To był portret ich matki, Sorchy. A w rogu tkwiło wciśnięte zamazane czarno-białe zdjęcie całej rodziny. Wszyscy stali przed chatą, Micheal i Brendan, sztywni i bez uśmiechu, patrzyli wprost w aparat, Sorcha między nimi z ręką przy oczach osłaniała się przed słońcem, a Conor w krótkich spodenkach spoglądał nie na fotografa, lecz w bok. Jedną rękę wyciągał do malutkiej siostrzyczki. Molly, mniej więcej dwuletnia, stała tyłem do aparatu, ze stopami wbitymi mocno w ziemię, w rozkroku. Ręce trzymała założone na plecach, a głowę przechyliła na bok, najwyraźniej odrzucając namowy brata, by się ustawić do zdjęcia. Obok leżała druga fotografia, również w srebrnej ramce. Uroczyste zdjęcie ślubne Molly i Christiana. On patrzył na nią z wyrazem radosnego uwielbienia na twarzy. Ona była poważna i bardzo piękna. Conor zapomniał, że miał otworzyć okno, i czując, że wkroczył na cudzy grunt, opuścił pokój, zamknął drzwi i zszedł schodami w dół. W kuchni unosił się intensywny aromat kawy. Nalał sobie filiżankę i dodał trzy łyżeczki cukru, by złagodzić gorycz. Otworzył drzwi małej lodówki i w nozdrza uderzyła go woń czegoś płynnego i czerwonego w małej misce - ale nie znalazł mleka. W ogóle w lodówce prawie nie było jedzenia, oprócz zawartości miski, małego kawałka sera, główki sałaty i piętki chleba. Conor czuł jak zwykle głód. Jest piątek, pomyślał, nie, teraz już sobota. Molly pewnie robiła zakupy w weekend. Spojrzał na kawałek sera i z westchnieniem położył go na chlebie. Potem zaniósł naprędce skleconą kanapkę na

stół i wysunął krzesło, tak żeby móc oprzeć na nim nogi. Miał przed sobą długą noc.

Siedział przy stole, dopóki było ciemno, wstając od czasu do czasu, by przespacerować się po kuchni dla rozprostowania nóg. Tuż przed świtem wyszedł przez cieplarnię, wiodącą z kuchni do miniaturowego ogródka, który Molly urządziła na wyłożonym kamiennymi płytami patio. Podwórko wychodziło na południe i Molly zasadziła wszelkiego rodzaju pnącza i rośliny kwitnące, by wiły się na kratkach przymocowanych do pobielonych ścian: powojnik, lobelię, różne bluszcze, staromodne pnące róże. W doniczkach rosły pelargonie, a olbrzymie skrzynki wypełniały czerwone i pomarańczowe nasturcje. Perłowe światło, które poprzedza świt, nie było jeszcze na tyle silne, by uwidocznić różnicowanie barw i wiele kwiatów wciąż pozostawało ściśle zwiniętych, ale ich pomieszane zapachy już roztaczały swoje bogactwo. Przypomniawszy sobie Molly, leżącą nieruchomo w swej niebieskiej, wypełnionej kwiatami grocie w St Catherine...

Został na patio, wdychając nieruchome, wilgotne powietrze, i obserwował, jak kwiaty powoli budzą się do życia, gdy niebo najpierw zabarwiło się na łososiowo, potem na złoto, a wreszcie jasny odcień błękitu ozdobiły różowo-białe obłoczki. Wstawał kolejny ciepły, słoneczny dzień.

Poszedł do kuchni i zaparzył więcej kawy. Jeśli w St Catherine panują takie porządki, jak w każdym szpitalu, to niedługo pielęgniarzka obudzi Molly. Nadszedł czas, by wstał i jej mąż.

Coś sobie przypomniał.

Wyszedł z domu, wetknął w otwarte drzwi gazetę, wsiadł w samochód i zaczął objeżdżać pobliskie ulice. Szukał, gdzie mógłby kupić mleko, ale nie było w okolicy nocnych sklepów.

Zrezygnował więc z poszukiwań i zawrócił na Vernon Street, ale gdy wyłączył silnik traveller'a, zauważył, że do wielu domów mleczarz dostarczył mleko wcześniej rano. Poruszając się i czując jak złodziej, którym był, Conor wybrał dom o parę budynków od mieszkania Molly i zabrał butelkę mleka sprzed frontowych drzwi.

Rozdział 11

Christian nie wiedział, co go tak nagle poraziło. Wyrwał go ze snu jakiś trzask, a w chwilę później poczuł z tyłu głowy ból, wbijający mu się w czaszkę z siłą kafaru. Kiedy odważył się otworzyć oczy, odkrył, że trzask spowodowało podniesienie do góry obu okien w pokoju. Ku jego zdziwieniu, które przerodziło się wkrótce w oburzenie, dostrzegł, że zrobił to nie znany mu mężczyzna. Jeśli był to złodziej, to dlaczego otworzył okna? Christian już zamierzał zaprotestować, zapytać, co ten gość, do diabła, robi w jego własnej sypialni, kiedy ból zdusił mu słowa w gardle. Ponownie zamknął oczy. Czuł się fatalnie, i nawet gdyby w jego pokoju przebywała cała armia złodziei, też by się tym nie przejął.

Był w tak złym stanie, że zbierało mu się na płacz. Coś uwierało go w brzuch. Zorientował się, że to klamra od paska. Pewnie poszedł spać ubrany od stóp do głów. Zupełnie sobie nie przypominał, jak wrócił do domu, uleciało mu z pamięci wszystko, co się wydarzyło od czasu wizyty u dziadków w „Dorchester”.

Mimo złego samopoczucia rozzłościł się, gdy złodziej podszedł i nim potrząsnął. Christian jęknął coś w prześcieradło i spróbował podnieść głowę, żeby kazać mężczyźnie spłynąć, ale przeszył go ból aż po palce stóp, tak że nie wydusił z siebie ani słowa. Od wstrząsów dzwoniły mu zęby, jakby miał zamiast obolałych szczęk drażnione prądem stalowe łożyska. Bolały go nawet uszy.

- Idź sobie! - wymamrotał, ale złodziej nie dawał za wygraną.

- Szybko, Christianie, szybko! - Głos mężczyzny kaleczył obolałą głowę Christiana niczym papier ścierny. - Musisz wstać. Nie wyjdę, dopóki się nie podniesiesz. Albo wstajesz, albo poleję cię całego zimną wodą.

Christian czuł się zbyt kiepsko, żeby stawiać opór. Doszedł do wniosku, że będzie dużo prościej zrobić to, czego mężczyzna żąda. Podciągnął kolana i, nie unosząc pękającej głowy, wymacał stopami podłogę. Następnie tyłem zwłókł się z łóżka. Ze spuszczoną i ustawioną sztywno w stosunku do tułowia głową, którą dźwignął jako ostatnią część ciała, potoczył się w kierunku łazienki.

Jego oprawca dotarł tam wcześniej i puścił prysznic.

- Kim ty, do cholery, jesteś? - wykrztusił Christian, ale od tego wysiłku zebrało mu się na wymioty.

- Poznaliśmy się wczoraj w nocy - odparł mężczyzna. - Nazywam się Conor Ó Briain. Jestem bratem twojej żony.

- Przecież jesteś w Aus... Australii czy gdzieś w tamtych okolicach!

- Nie. Jestem tutaj, a ciebie czeka długi prysznic.

Christian był zbyt obolały, żeby się opierać. Ze spuszczoną i pochyloną w bok głową, co miało złagodzić ból, ściągnął ubranie, rzucił je beładnie na stertę i wszedł pod prysznic.

Aż wrzasnął. Woda była zimna jak lód. Na skutek szoku jego serce zabiło tak gwałtownie, że poczuł ostry ból nie tylko w głowie, ale i w klatce piersiowej. Jeszcze raz spróbował czmychnąć spod prysznica, ale mężczyzna niby kamienny mur zagradał mu drogę.

- Wracaj! - rozkazał. Christian stracił cierpliwość.

- Odpieprz się! - Podsunął mężczyźni głowę pod brodę, jakby chciał go ubóść. - Odpieprz się! - Wzbierający ból omal nie rozsadził mu czaszki.

Mężczyzna nawet nie drgnął. Wyglądało na to, że wybuch Christiana w najmniejszym stopniu go nie wzruszył.

- Musimy jak najszybciej jechać do szpitala - powiedział. - Proszę cię, wracaj pod prysznic. W takim stanie nigdzie nie zdołasz się ruszyć.

Christian splótł dłonie na czole, jakby mógł dzięki temu zamknąć ból w środku, zapobiec rwącemu pulsowaniu w skroniach. Spojrzał spod rąk na swego wroga.

- My musimy jechać do szpitala?

-Tracimy czas, Christianie. Twoja żona próbowała się z tobą skontaktować. Przypadkiem byłem u niej wczoraj wieczorem. Obiecałem, że cię sprowadzę.

Zziębnięty na skutek lodowatego prysznicy, nagi i ociekający wodą Christian zaczął się trząść. Obrzucił mężczyznę wzrokiem zza tarczy swoich dłoni. W końcu znajduje się we własnej łazience. Ten facet jest intruzem.

- Czy my się znamy? - zapytał, wkładając w ton swego głosu tak potężny ładunek wrogości, jak tylko potrafił.

- Owszem. Poznaliśmy się tego wieczora, gdy przyjechałeś do Londynu ze swoją lipną historyjką o wywiadzie z moją siostrą.

- Mallarkey!

- Molloy. Wracasz pod prysznic, czy chcesz, żebym cię tam wepchnął?

Mierzyli się wzrokiem jeszcze przez kilka sekund. Christian cały dygotał, ale wiedział, że nie może liczyć na taryfę ulgową i że w takim stanie nie byłby żadnym przeciwnikiem dla swego ciemżyciela, gdyby doszło co do czego.

Poddał się więc i wrócił do kabiny. Zanim wszedł pod prysznic, pokręcił kurkiem, nadając wodzie znośną temperaturę.

Przez dobre dwadzieścia minut wystawiał bolącą głowę na uderzenia wody, wmasowując ciepłe krople w twarz i kark. Kiedy zakręcił kran i poszedł do sypialni, żeby włożyć ubranie, czuł się już nieco lepiej. Rozpoznał dolatujący z dołu zapach kawy i woń jakiejś gotowanej potrawy. Zrobiło mu się niedobrze.

Gdy wszedł do kuchni, mężczyzna stał tyłem do niego przy zlewie, odlewając wodę z garnka. Wokół jego głowy unosiły się kłęby pary. Ziemniaki. Ten człowiek gotował rano ziemniaki!

- Oszalałeś? - zdołał zapytać Christian, zanim czyjaś silna ręka nie usadziła go przy kuchennym stole. Na płaskie naczynie, które już stało między nożem i widelcem, posypały się rozgotowane ziemniaki.

Christian spojrział z przerażeniem na dymiące, mokre kartofle, które od długiego gotowania zamieniły się niemal w miazgę. Spod sterty na jego talerzu wyciekała substancja przypominająca kluchowaty klej do tapet. Najgorsze jednak dopiero miało nadejść. Conor polał ten klajster gorącym mlekiem z małego rondla. Podał Christianowi pojemniki z solą i pieprzem.

- Jedz! - rozkazał.

- Nie chcę. Tego się nie da jeść. Wszystko zwymiotuję! - Christian usiłował wykrzesać z siebie trochę obłudnego oburzenia. - Odpieprz się! - powiedział, odsuwając krzesło, które potwornie zazgrzytało na wyłożonej terakotą podłodze.

- Jedz! - zagrzmiął tamten, nie pozwalając mu wstać. Christian spojrział znad talerza na Molloya i dostrzegł groźbę w jego oczach. Po raz trzeci w ciągu pół godziny poddał się. Chwycił widelec i wziął do ust próbną porcję. Ku swemu zdumieniu nie zwymiotował.

Hojnie posypał jedzenie solą i pieprzem, i w ciągu kilku minut zjadł wszystko, co było na talerzu. Następnie Molloy postawił przed nim filiżankę mocnej herbaty, a sobie samemu nalał kawy. Christian już miał powiedzieć, że wolałby kawę, ale postanowił zadowolić się herbatą. Wypił ją potulnie bez słowa protestu.

- Jeśli jesteś bratem Molly, to jakim cudem nazywasz się Molloy? - zapytał.

- To długa historia - odparł tamten, a Christian nie miał dość energii, by drażyć temat. Choć wciąż było mu bardzo żal samego siebie, musiał przyznać, że nawet jeśli mężczyzna nauczył się swojej kuracji na kaca w jakiejś irlandzkiej dziurze, to odnosiła ona skutek. Christian czuł się teraz bardziej człowiekiem niż czterdzieści pięć minut wcześniej.

- Dobra - rzekł Molloy, gdy dopił kawę. - Przyjechałem samochodem. Jest prawie za piętnaście siódma. Zdażę cię podwieźć do szpitala, zanim będzie piętnaście po. - Christian ponownie uświadomił sobie cały koszmar swojej sytuacji.

Jechali przez niedzielne ulice w milczeniu. Christian otworzył okno i wystawił twarz na powiew chłodnego, po-

rannego powietrza. Dotarli na miejsce zdecydowanie zbyt wcześnie.

Gdyby ta misja nie miała takiej wagi, pomyślał Conor, wyłączając silnik, sprawiłby mi przyjemność widok tej cichej części Londynu. Promienie słońca sączyły się na chodnik przez gałęzie platanów, z których - nie zagłuszany przez ruch uliczny dni powszednich - dobiegał głośny świergot wróbli. Conor zwrócił się do Christiana:

- Jesteśmy na miejscu!

Twarz tamtego wyglądała mizernie, więc w Conorze pojawił się cień współczucia. Christian otworzył drzwi, wystawił nogi na chodnik i powiedział z powagą:

- Dziękuję za podwiezienie. - Po chwili zapytał tonem, w którym pobrzmiwało coś na kształt prośby: - Ty też wejdiesz?

Conor pokręcił głową.

- Przyjdę później. Powinniście porozmawiać z Molly w cztery oczy.

Christian wysiadł i zamknął drzwi. Conor, który zaparkował traveller'a jakieś dwadzieścia metrów od kliniki, widział w lusterku wstecznym, jak Christian idzie powoli w kierunku budynku i wchodzi na schody prowadzące do głównego wejścia. Postanowił, że sam też wysiądzie z samochodu, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Ślepa uliczka kończyła się z jednej strony ogrodzeniem okalającym niewielki park. Nie zadając sobie trudu, żeby zamknąć drzwi samochodu, podążył w tamtym kierunku i wszedł do parku przez boczną furtkę.

Miejsce było przyjemne, chłodne i zielone. Chętnie ukazywało swe klomby, kwitnące krzewy i drzewa, rozległy, obsypany stokrotkami trawnik i niewiele większy od sporej kałuży staw. Conor miał cały park tylko dla siebie.

Okrażył go powoli wzdłuż ogrodzenia, a potem rzucił się na wznak na trawnik koło stawu. W miarę jak jego słuch oswajał się z ciszą, zaczynał do niego docierać nie tylko śpiew ptaków, ale także odgłos plusków i furkotów, wydawanych przez wodne owady załatwiające swoje sprawy nad i pod nieruchomą powierzchnią stawu, a w nozdrza uderzał ciepły

i stęchły zapach wody. Obecność innych owadów też dawała o sobie znać. Czuł pod dłonią, w trawie, nieznaczne drgnienia; prawdopodobnie przebiegały tamtędy mrówki lub pająki. Jego pole widzenia przeciął bielinek-kapustnik, zmuszając go do zamrugania powiekami. Conor zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony. Szczęśliwy, że właśnie ma wolną sobotę, z ulgą zamknął oczy i pogrążył się w lekką drzemkę.

Gdy tylko Christian wszedł do szpitalnego holu, znów poczuł w żołądku falę mdłości. Zapytał recepcjonistkę, gdzie jest toaleta, a ta wskazała drzwi częściowo ukryte za kwitnącym drzewkiem. Dotarł do kabiny w samą porę, żeby wymiotować.

Przez dłuższą chwilę stał na trzęsących się nogach, aż wreszcie wyszedł, by umyć ręce i twarz. Nad umywalkami wisiało dyskretnie oświetlone lustro. Spłukując dłonie wodą, Christian obserwował swoje odbicie. Zauważył, że jest bardzo blady, ale poza tym nieźle się prezentuje. Pomyślał o żonie, która czeka na niego w łóżku, i o niedorozwiniętej córeczce, leżącej pewnie w inkubatorze. Jednym z praktykowanych od lat zwyczajów Christiana było sumowanie plusów i minusów swego życia, ich bilansowanie. Patrząc w lustro, ocenił obecną sytuację najobiektywniej, jak potrafił.

Po stronie plusów: Jest zdrowy. Jest młody.

Jest dobrym dziennikarzem.

Zapewnia przyzwoity byt swojej rodzinie.

Po stronie minusów:

Jest ojcem upośledzonego dziecka.

Nie kocha żony.

Za dużo pije.

Unieszczęśliwia żonę.

Żona go nie szanuje.

Żona ma rację.

Wniosek sam się narzucał. Jest prawdziwym profesjonalistą, ale pechowcem w życiu prywatnym. Nie nadaje się na ojca tego dziecka ani na męża tej kobiety - ani też żadnej innej.

Nawet jeśli Molly nie podejmie pracy, co przy jej talencie nie wydaje się prawdopodobne, ani ona, ani dziecko nie będą mieć problemów finansowych - już o to zadba jego dziadek. Christian ma więc tylko jedno wyjście. Molly w swoim czasie zrozumie, że oddał jej przysługę.

Christian bardzo ostrożnie wysuszył ręce i uczesał włosy. Opuścił toaletę, przeciął hol i wyszedł ze szpitala. Kiedy oddalał się, wkraczając w londyński dzień, recepcjonistka, która akurat rozmawiała przez telefon, nie spojrzała na niego po raz drugi.

Gdy Conor się obudził, jakiś pies właśnie wachał jego ucho. Był to przekarmiony, odziany w wełniane ubranko zwierzak. Jego właścicielka, nieduża, starsza pani, której strój byłby bardziej na miejscu w zimowym salonie niż na letniej przechadzce w parku, wołała go drżącym głosem z drugiego krańca parku.

- Toddy, Toddy! Wracaj! Wracaj w tej chwili!

Conor usiadł. Kręciło mu się w głowie. Poklepał pieska, który zamerdał ogonem, szczechnął, po czym z zapalem podreptał do swojej pani. Ta pochyliła się i dała mu klapsa.

Conor spuścił głowę. Podniósł ją znad kolan, dopiero gdy uczucie oszołomienia minęło, po czym spojrzał na zegarek. Spał blisko pół godziny, a więc może już z powodzeniem pójść do kliniki na spotkanie z Christianem i Molly. Czuł się brudny, marzył o prysznicu i świeżym ubraniu. Na szczęście - jako że musiał się golić dwa razy dziennie - miał w schowku maszynkę na baterie. Wrócił do traveller'a, wsiadł, zwrócił ku sobie lusterko wewnętrzne i przejechał brzęczącą maszynką po ciemnym zaroście. Choć korzystał z lustra przy codziennych ablucjach, rzadko na siebie patrzył. Nie interesowała go własna twarz. Tym razem jednak wpadające ukośnie przez szybę poranne promienie słońca oświetliły ją wyraźnie i ku swemu zdziwieniu dostrzegł, iż ma na brodzie plamki siwizny. Starzeje się, pomyślał.

Zakończył golenie i najstaranniej, jak się dało, przyglądał dłonią niesforne włosy. Następnie wysiadł z samochodu, który tym razem zamknął, i ruszył do kliniki.

Tego ranka w holu panowała inna niż zwykle atmosfera. Drzwi otwarto na oścież, by wpuścić do środka świeże powietrze i światło słoneczne, a jakaś kobieta jeździła wyjąłym odkurzaczem po wykładzinie. Inna chodziła po półpiętrze z konewką o długim dziobku i podlewała rośliny. Conor zauważył, że w recepcji siedzi ktoś inny niż poprzedniego wieczora, ale tym razem nie wyjaśnił celu swego przybycia. Uśmiechnął się tylko w kierunku nowej kobiety i wszedł na schody, jakby był jednym z pracowników.

Jego pewność siebie zmalała, gdy wysiadł z windy i ruszył korytarzem do pokoju Molly. Nie zdążył przemyśleć, jak ma wyjaśnić, dlaczego zeszedł nocy podszył się pod kogoś innego, jeśli natknie się na którąś ze spotkanych wówczas osób. Teraz, gdy jest tu Christian, każdy wyczuje, że coś nie gra. Między nim i Christianem nie ma nawet śladu podobieństwa.

Rozpoznał pielęgniarkę o ciemnej karnacji, którą widział poprzednio, i już się nastawił na krępujące pytanie. Ta jednak tylko się uśmiechnęła.

- Dzień dobry, panie Smith - powiedziała. Z ulgą odwzajemnił uśmiech. Christian pewnie minął ją nie zauważony albo może to ona odeszła na parę minut ze stanowiska.

Już był przy drzwiach Molly, gdy usłyszał, jak męski głos woła:

- Panie Smith! Panie Smith!

Co miał zrobić? Był to doktor Anderson, z którym rozmawiał poprzedniego wieczora i który najwyraźniej nie widział jeszcze Christiana. Przystanął, żeby na niego zaczekać.

- Dzień dobry, panie Smith - rzekł lekko zdyszany lekarz. - Właśnie dzwonił doktor Sinden. Będzie chciał się z panem zobaczyć po przyjściu. Powinien się tu pojawić koło dziewiątej.

- Dziękuję panu - powiedział Conor. - Jak się czuje dziecko?

- Nie ma na razie większych zmian, ale będziemy wiedzieć więcej, gdy dostaniemy wyniki wczorajszych badań.

Normalnie dostalibyśmy je dopiero w poniedziałek, ale dzięki pozycji, jaką tu zajmuje doktor Sinden, zostaliśmy przyjęci do laboratorium poza kolejnością.

- Dziękuję - powtórzył Conor. Lekarz odwrócił się i ruszył tam, skąd przyszedł, a Conor udał się do pokoju Molly. W sali było jasno od słońca i kolorowo od naręczy kwiatów, przez co pokój bardzo się różnił od zasnutej przyćmionym błękitem groty, którą zapamiętał. Molly siedziała na łóżku podparta stertą poduszek, z twarzą odwróconą od drzwi, i patrzyła w okno, toteż w pierwszej chwili nie usłyszała, że wszedł. Zauważył, że ma uczesane włosy, ale pod opuchniętymi oczami dostrzegł ciemne kręgi. Przyszło mu do głowy, że musiała przed chwilą płakać. Zdziwiło go, że nie zastał w pokoju nikogo więcej. Może Christian wpadł tylko na chwilę i natychmiast sobie poszedł?

- Cześć, Molly - powiedział miękko, stojąc w drzwiach, żeby jej nie wystraszyć.

Odwróciła się ku niemu, a na jej twarzy pojawił się wyraz radości.

- Cześć, Conorze - powiedziała. - Jesteś znowu. Bardzo się cieszę.

- Christian już wyszedł? - zapytał. Wyglądała na zaskoczoną.

- Jeszcze go nie było - odparła. - Ale na niego czekam. Zadzwoił w nocy i zostawił wiadomość, że wpadnie z samego rana. Pewnie ciągle śpi - dodała lojalnie.

Może Christian jest w toalecie. Conor już od dawna nie miał takiego kaca, jaki dręczył Christiana, ale zdawał sobie sprawę, co tamten cierpi.

- Czy lekarz badał cię rano? - zapytał, przysuwając krzesło do łóżka.

Pokręciła głową.

- Jeszcze nie, ale pielęgniarka powiedziała, że ma przyjść trochę wcześniej.

Conora wciąż intrygowała sprawa Christiana. Przecież sam widział, jak tamten wchodził. Może jest w sali noworodków?

- Na pewno nie widziałaś Christiana? - zapytał.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Po prostu... ee, nieważne. Jak się dziś czujesz? -Dobrze, znakomicie... - Po chwili dodała z wahaniem:

- Chciałbyś zobaczyć dziecko?

Skinął głową. Wstała z łóżka i sięgnęła po szlafrok. Zauważył, że w jej koszuli nocnej na wysokości piersi znajduje się śmieszna, zapinana na guzik klapka, która - jak się domyślił - miała ułatwiać karmienie.

Idąc za nią w kierunku sali noworodków, próbował przygotować się na czekający go widok. Nie był nadwrażliwy, ale nigdy wcześniej nie widział niedorozwiniętego dziecka i nie wiedział, czego się spodziewać. Miał nadzieję, że ze względu na Molly zdobędzie się na właściwą reakcję.

Margaret Susanna była jedynym dzieckiem w sali noworodków. Molly wyjaśniła mu, że wszystkie pozostałe są właśnie karmione przez matki. Powiedziała to rzeczowym tonem, zdaniem Conora, zbyt rzeczowym. Przyjrzał się swojej jedynej siostrzenicy przez dwie szyby - szklaną ścianę sali i ściankę inkubatora.

Była naga, leżała na brzuchu. Prawie nie było widać drobnych, pozbawionych ciała pośladków. Miała rudawe, jasne włosy i zamknięte oczy. Do jej pleców i ramion przymocowano gumowe przyssawki. Leżała twarzą do niego, widział więc wychodzące z jej nosa i ust rurki. Druty i rurki prowadziły do kilku urządzeń i monitorów stojących wokół inkubatora, a jedna biegła do wiszącego na stojaku worka. Jej koniec został przytwierdzony za pomocą miniaturowej szyny do chudego jak zapałka ramienia dziecka. Dziewczynka była tak wąła i nieruchoma, że z trudem przekonał samego siebie, iż żyje, ale świadczyły o tym mrugające światełka na monitorach. Nawet biorąc poprawkę na rurkę i sporą odległość, widział, że dziecko ma zniekształcone usta.

Rozpaczliwie zaczął szukać właściwych słów, ale Molly wybawiła go z opresji.

- Czyż nie jest piękna? - szepnęła. Podniosła na niego wzrok, w którym malowała się prośba.

- Jest prześliczna, Molly - odparł. Znow ogarnęło go uczucie, że byłby zdolny dojść na kraj świata i pokonać każdego przeciwnika, by oszczędzić siostrze kolejnego bó-

lu. Ponownie spojrzął na Margaret Susannę. Nawet tę sytuację da się rozwiązać. Pomoże jej.

Tylko gdzie, do cholery, podział się Christian?

- Jesteś pewna, że nie było tu przede mną Christiana? -zapytał łagodnie. - Może przyszedł bez twojej wiedzy? Nie wychodziłaś ani na chwilę z pokoju?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

-Nie, Conorze. Zresztą nawet gdyby przyszedł, kiedy mnie nie było, to na pewno by poczekał albo zostawił jakąś wiadomość. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie - odparł, a ona nie pytała dalej. Sprawa była bardzo dziwna.

Stali jeszcze przez chwilę, ale dziecko nawet nie drgnęło, choć monitory czujnie świeciły stałym, zielonym światłem. W końcu powoli ruszyli z powrotem do pokoju Molly. Kiedy pchnęli drzwi, okazało się, że pomieszczenie nie jest puste. Na dwóch krzesłach koło łóżka siedzieli sztywno obok siebie Malcolm i Cordelia. Molly krzyknęła radośnie i podbiegła, by rzucić się obojgu w objęcia. Malcolm chciał wstać, ale usadziła go z powrotem.

- Och, Malcolmie! - zawołała. - Już słyszałeś? Mężczyzna był starszy, niż Conor sobie wyobrażał na podstawie wzmianek w listach Molly. Nawet z tych sztywnych, oficjalnych sprawozdań wylaniał się obraz Malcolma pełnego życia i energii. Ten Malcolm Smith, choć wyglądał na dystyngowanego arystokratę, siedział ciężko na krześle, zaciskając gruzłowatą dłoń niby szpon na uchwycie laski. W jasnym, porannym słońcu wydawał się blady jak świeca łojowa. Jego żona Cordelia była ładną kobietą. Spoglądała pytająco w kierunku drzwi, gdzie nadal tkwił skonsternowany Conor, który nie wiedział, czy ma wejść, czy też nie.

Molly niepewnie zamilkła, zastanawiając się, jak go przedstawić, ale wybawił ją z kłopotu i wziął sprawy w swoje ręce. Podeszedł do starszych państwa i wyciągnął rękę.

- Dzień dobry, pani i panie Smith - rzekł. - Synowa państwa dużo mi o państwie opowiadała. Jestem jej bratem.

Nazywam się Conor. - Molly wciągnęła powietrze w płuca. Odwrócił się do niej. - Wszystko w porządku, Molly - po-

wiedział. - Od dzisiaj problem rozwiązany. - Conor z niejakim zaskoczeniem usłyszał pewność we własnym głosie.

-Przemyślałem całą rzecz i jakoś to załatwię. - Zwrócił się znów do Malcolma: - Bardzo mi przykro, że poznajemy się w takich okolicznościach.

Staruszek wyciągnął dłoń z pełną powagi kurtuazją. Conor żałował, że wygląda tak nieświeżo. Wydało mu się, że wie, co Molly polubiła w Malcolmie. Nawet w tak smutnej chwili była w nim jakaś szlachetność.

- Bardzo miło mi pana poznać - rzekł Malcolm. - I cieszę się, że Molly ma pana przy sobie w takiej chwili. -Znów spojrzał na Molly, która siedziała na brzegu łóżka z twarzą zwróconą ku niemu. - To ten brat, o którym mi opowiadałaś, ten botanik? - zapytał. Skinęła głową.

Conor uznał, że zapuszczanie się w długie wyjaśnienia tłumaczące jego obecną, skromną posadę w londyńskim zoo byłoby bezcelowe i nie na miejscu, więc aby uciąć dalszą rozmowę na swój temat, przesunął się nieco i oparł zmęczone plecy o ścianę.

- Tak mi przykro. Czuję się naprawdę bezradny - powiedział staruszek. - A skoro ja cierpię, mogę sobie wyobrazić, co czujecie wy, ty i Christian. Skoro o tym mowa, gdzie on jest?

Molly wzruszyła ramionami.

- Na pewno zaraz tu będzie. Zostawił mi wiadomość. Jest jeszcze bardzo wcześnie.

Twarz starszego pana - przynajmniej takie wrażenie odniósł Conor - spochmurniała, ale Malcolm nie wałkował dalej tematu.

- Molly - powiedział tonem, który w uchu Conora zabrzmiał prosząco - chcę cię zapewnić, że my, Cordelia i ja, zrobimy wszystko, obiecuję...

W wyobraźni Conora pojawił się obraz nieruchomego, naszpikowanego rurkami ciała Margaret Susanny. W głębi serca poczuł, że nawet najlepsze intencje bardzo niewiele mogą tu zdziałać. Badał wzrokiem kosztowną wykładzinę, która miała bladoniebieski kolor ptasiego puchu.

- Ja już ją kocham, naprawdę... - szepnęła Molly. Była bliska płaczu.

- Na pewno, kochanie - rzekł Malcolm - i wszyscy razem się nią zajmiemy. To jest taka kwestia, w której pieniądze coś znaczą, a, Bogu dzięki, nie mamy problemów w tym względzie. Zdobędę najlepszą pomoc, najlepszych konsultantów medycznych, najnowocześniejsze środki terapeutyczne, jakie można dostać za pieniądze. - Umilkł i spojrzał na żonę, a potem znów na Molly. - Czy myślisz, że moglibyśmy ją zobaczyć?

- Może Molly nie czuje się na siłach, Malcolmie. - Conor po raz pierwszy usłyszał mówiącą Cordelię. Miała przyjemny, niski głos.

- Ależ nie, możemy pójść, Cordelio - rzekła Molly. Obeszła łóżko, wyjęła chusteczkę ze stojącego na nocnej szafce pudełka i wydmuchała nos. - Przykro mi, że tak beczę - powiedziała. - Zaraz was zaprowadzę do sali noworodków. Conor poczuł, że jego obecność jest chwilowo zbędna. Poza tym uświadomił sobie, że został naładowany świeżą energią. Wykonał pierwszy, wielki skok, polegający na przyznaniu się do własnej tożsamości, i coś popychało go teraz ku następnym, kazało rozwiązywać pozostałe niejasności, pozbyć się wszystkich elementów obcych nowemu w jego życiu uczuciu pewności siebie.

- Idę sobie, Molly - powiedział - ale wpadnę znowu po południu.

Molly już się opanowała.

- Odprowadzę cię do windy - odparła.

Winda utknęła na niższym piętrze. Słyszeli jakiś szcęk, prawdopodobnie wstawiano do środka coś dużego, może łóżko z pacjentem. Molly znów wytarła nos.

- Przepraszam cię za ten wybuch, Conorze - powiedziała. - Obawiam się, że nie wiem, ani skąd przychodzę, ani dokąd zmierzam.

- Nie przepraszaj - odparł i z powrotem zapadł w milczenie. Znów dotarła do jego świadomości fizyczna bliskość Molly. Nawet gdyby nie była jego siostrą, pożądanie jej w obecnym stanie - a nawet sama myśl o pożądaniu - wydało mu się tak niestosowne, że uznał się za potwora. Ręce miała założone poniżej piersi, które były tak nabrzmiące od mleka, że z trudem dopięła guziki szlafroka. Przez materiał

- delikatny batyst - dostrzega! ciemne kręgi sutek. Poczul szaleńczą chęć, by przytknąć do nich usta i je possać.

Wreszcie przyjechała winda. Wsiadł do niej zupełnie roztrzęsiony.

Una po raz ostatni rzuciła okiem na niedużą sypialnię i wzięła do ręki torbę. Stała jeszcze przez chwilę w głębokim zamyśleniu, po czym usiadła na blacie oddzielającym maleńką kuchenkę Conora od reszty jego przestrzeni życiowej i służącym jednocześnie jako stół i biurko. Wyjęła z torebki notatnik stenograficzny oraz długopis i nagryzmoła liścik do Conora.

Drogi Conorze!

Wiem, że nie ma nic banalniejszego niż listy pożegnalne, więc będę się streszczać. Jeśli uważasz, że to uchybia mojej godności (chodzi o sam fakt pisania), to jest mi przykro. Moje motto życiowe brzmiało „żadnego ryzyka...” itd. Choć może cię to zdziwi, nie jestem przyzwyczajona do tego, żeby ktoś mnie rzucił! Korci mnie, by ci powiedzieć, żebyś się po prostu odpieprzył. Przychodzi mi na myśl całe mnóstwo fantastycznych złośliwości, od których włosy jeszcze bardziej skrećilyby ci się na głowie! Ale nawet gdybym kazała ci się odpieprzyć, nie byłoby to szczere.

Powiedziałabym tak tylko przez dumę, a przekonałam się, że duma to zaleta ludzi bardzo samotnych.

Tak więc, mój skarbie, to już chyba wszystko. Chciałabym wymyślić jeszcze coś efektownego i szlachetnego, jakieś zdanie w stylu Jane Austen, ale za nic w świecie nie potrafię. Kiepska ze mnie stylistka!

Chyba liczę na to, że jeśli uda mi się cierpliwie poczekać, może kiedyś znów się zejdziemy. Tak czy inaczej, było miło.

Nie mogę napisać więcej, bo byłoby to lizusostwo.

Una

PS. Szczerze mówiąc, uważam, że dobrze o mnie świadczy, iż przyjmuję to tak spokojnie. A ty jak sądzisz?

Una nie przeczytała jeszcze raz listu w obawie, że się rozmyśli. Złożyła kartkę, wsunęła ją pod puszkę na herbatę, która stała na blacie, a notatnik i długopis wrzuciła do

torebki. Podniosła stojącą na środku pokoju dużą torbę i, nie oglądając się za siebie, wyszła z mieszkania. Doktor Sinden opuścił pokój, pozostawiając Molly, Malcolma i Cordelię w stanie rozpaczy. Po jego wyjściu żadne z nich się nie odezwało. Był bardzo miły, ale nie upiększał faktów. Margaret Susanna cierpi na bezwład wszystkich czterech kończyn. Ma dziurę w sercu, rozszczep podniebienia i będzie - o ile lekarze mogą (o w tej chwili ocenić -całkowicie głucha. Jest za wcześnie, by mówić cokolwiek o jej wzroku. Nie nadeszły jeszcze wszystkie wyniki badań, nie potrafi więc na razie udzielić wiążących wyjaśnień. Poród przebiegał prawidłowo, nie doszło do poważnego odtlenienia. Zapewne miną miesiące, zanim będzie można z pewnością stwierdzić, jaki czynnik lub splot czynników spowodował u dziecka tak liczne formy upośledzenia. „Może to być nawet sprawa genetyczna - zakończył -więc aby wyeliminować tę ewentualność, będziemy prawdopodobnie musieli, pani Smith, przeprowadzić badania pani i jej męża”.

Po jego wyjściu Molly wyglądała przez okno, stojąc tyłem do Malcolma i Cordelii, którzy siedzieli obok siebie, zwróceniu twarzami w kierunku jej pustego łóżka. To Cordelia przerwała milczenie.

- Myślicie, że powinniśmy się modlić?

- Nie! - wykrzyknęli jednocześnie Molly i Malcolm. Molly odwróciła się.

- Przepraszam cię, Cordelio, nie chciałam się odezwać do ciebie w ten sposób. - Wróciła do łóżka i przykryła się kołdrą. Leżała na wznak, szeroko otwartymi oczami patrząc w sufit. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin przeżywała taką huśtawkę emocjonalną, że spodziewała się teraz ataku hysterii. Odczuwała jednak wyłącznie wściekłość. Mimo jak najlepszych intencji i troskliwości Malcolma i Cordelii, chciała być sama. Milczenie przeciągało się. Słyszała lekko charczący oddech staruszka.

- Gdzie jest Christian? - zapytał Malcolm ni stąd, ni zowąd. - Powinien być tutaj...

- Która godzina? - Molly, do tej pory zachowująca lojal-

ność wobec męża w obecności jego dziadka i innych osób, przestała się przejmować.

- Właśnie minęła dziesiąta - odparła Cordelia.

- Wobec tego nie wiem, gdzie on jest - rzekła Molly. - Pewnie w jakimś domu publicznym.

- Czy dużo pije? - zapytał Malcolm cicho.

- Nie wiem - odrzekła. - Ale to chyba oczywiste, prawda?

- Wolałabyś, żebyśmy już poszli, Molly? - Malcolm wyczuł jej nastrój.

- Szczerze mówiąc, jestem trochę zmęczona. Malcolm wstał. Molly spojrzała na jego kochaną twarz, na której malowało się cierpienie z powodu dziecka i współczucie dla niej. Zawstydzona swoją nieuprzejmością, wstała i wyciągnęła ramiona, by go przytulić.

- Czuję się taka samotna, Malcolmie. Wszyscy są bardzo mili, ale jestem strasznie samotna. Nawet jej nie miałam na rękach.

Wspierając się ciężko jedną ręką na lasce, Malcolm pochylił się i objął Molly wolnym ramieniem.

- To po prostu straszne i... - Wyprostował się, z wysiłkiem szukając słów. - Chciałabyś, żeby odwiedził cię ksiądz? Pokręciła głową.

- Rozmawiam z Bogiem, ale na swój własny sposób. Jestem na niego bardzo zła i nie mam ochoty wysłuchiwać opowieści o woli boskiej.

Malcolm spojrzał bezradnie na Cordelię, a potem ponownie na Molly, która nadal patrzyła w sufit.

- Gdybyś chciała nas widzieć, wiesz, gdzie jesteśmy, skarbie - powiedział. - Dzwoń śmiało, jeśli będziesz czegoś potrzebowała - choćby po to, żeby porozmawiać. Tak czy owak skontaktuję się z tobą. Zadzwoń po południu i, jeżeli będziesz miała ochotę, przyjdziemy jeszcze raz wieczorem, po kolacji. A kiedy pojawi się mój wnuk, powiedz mu, że jeśli się nie opamięta, będzie miał ze mną do czynienia!

Nie ufając swoim strunom głosowym, Molly skinęła tylko głową ze wzrokiem wbitym w sufit.

Po chwili wyszli. Malcolm opierał się ciężko na swej lasce.

Molly nie było jednak dane pograć się w samotności, gdyż gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, znów je otworzono i do środka weszły dwie pielęgniarki, które oświadczyły, że zabierają ją na kąpiel. Próbowano ją przekonać, że równie dobrze może wykąpać się sama, ale starsza pielęgniarka, która najwyraźniej była tu szefem, nawet nie chciała o tym słyszeć.

- Nasza praca, droga pani, polega między innymi na tym, żeby asystować przy pierwszych kąpielach. Nawet sobie pani nie wyobraża, jaka będzie potem zmęczona. Tylko tego nam potrzeba, żeby pani padła nieprzytomna i się utopiła! To by nam zepsuło opinię, chyba sama pani przyzna?

Molly dosłyszała w jej głosie irlandzki akcent, zagłuszony wieloletnim pobytem w Londynie, i poczuła wdzięczność. Weszła z nimi do połączonej z pokojem łazienki, gdzie młodsza pielęgniarka napuściła wody do wanny, a następnie wsypała tam trochę dettolu i garść soli. Irlandka namoczyła tymczasem w umywalce mały ręcznik, wyżeła go i zaczęła łagodnymi, choć zdecydowanymi ruchami myć twarz Molly, która - jako że była od niej dużo wyższa - musiała się pochylić, żeby tamta mogła jej dosięgnąć. Mimo to czuła się jak dziecko, co - ku jej zdziwieniu - wpłynęło na nią kojąco.

Podporządkowała się pielęgniarkom, które sprawnie zdjęły z niej koszulę i pomogły wejść do parującej, mlecznobiałej wody. Zaszczypało ją trochę między nogami, ale czuła to tylko przez chwilę. Wyszorowały Molly gąbką, namydliły i wytarły flanelową myjką, a jedna z pielęgniarek uczesała jej włosy. Wkrótce woda zaczęła na nią działać jak balsam.

Miała wrażenie, że obie jej piersi są bardzo ciężkie i coraz bardziej boją. Zapytała pielęgniarki, czy to normalne.

- Dostała pani zastrzyk? - zapytała ta z irlandzkim akcentem.

- Miałam dużo zastrzyków - odparła Molly. - Nie wiem, o który pani chodzi.

- O tym by pani powiedziano. Jest na zmniejszenie laktacji.
 - Nie wiem. Nie pamiętam. Tyle rzeczy się działo.
 - Biedactwo - rzekła Irlandka, która - jak Molly przeczytała na plakietce przypiętej do jej bujnego biustu - nazywała się Bridget Slevin i była starszą pielęgniarką. - Pójdę sprawdzić, jak już skończymy kąpiel, wytrzymaj panią i zapakujemy do łóżka - ciągnęła. - Doprowadzimy panią do porządku, proszę się nie bać. - Namydliła plecy Molly.
 - Tak, doprowadzimy do porządku.
- Po raz pierwszy od porodu Molly świadomie się rozluźniła i poddała umiejętnym i delikatnym zabiegom. Pielęgniarka miała rację, że kąpiel spowoduje zmęczenie - ogarnęła ją senność, zamarzyła o łóżku i długim śnie.
- Niech pani się oprze plecami o wannę i odpręż się - powiedziała Bridget Slevin - a my tymczasem pościelimy łóżko. Zostawimy drzwi otwarte, żeby mieć panią na oku.
- Molly wyciągnęła się w antyseptycznej wodzie i zaczęła obserwować białe smugi mydlin, które łączyły się, dzieliły i znów łączyły, a potem znów dzieliły i znów łączyły jak ramiona delty rzecznej. Słyszała krzątające się wokół łóżka pielęgniarki, szelest podnoszonej i wstrząsanej podczas zmiany pościeli. Rozmawiały po cichu przy pracy, ale nie słyszała, co mówią. Ukołyszana ciepłą, kojącą wodą łagodnie odpływała w mglistą krainę snu.
- Dobrze się pani czuje? - To był głos Irlandki, która wsunęła głowę w drzwi.
 - Tak, wszystko w porządku. - Molly ocknęła się i trochę wyprostowała.
 - Jeszcze nam się pani gdzieś zawieruszy. Taka ważna dama.
 - Nie taka znów ważna!
 - Ej, niech pani nie opowiada! Zbytek skromności! Przecież to pani występuje w telewizji, pani nazwisko jest w gazetach i w ogóle. Margo Bryan, słynna aktorka! - Mówiła dialektem z Galway, który w uszach Molly brzmiał bardzo swojsko. - No, skarbie, czas do łóżka. - Bridget pomogła Molly wyjść z wanny i narzuciła na nią ręcznik, po czym wytarła tak energicznie, że zaczęła ją szczypać skóra. Na-

stepnie podała Molly świeżą bieliznę i podpaski. - Ma pani czystą koszulę nocną?

Molly wskazała ręką na szafkę koło łóżka, którą pani Slevin otworzyła. Wyjęła ze środka jedną z pięknych, nowych koszul ciążowych z batystu, które Christian kupił jej u Harrodsa.

- Czyż to nie prześliczne? - Pielęgniarka przytknęła koszulę do nosa, wdychając jej świeży zapach. - Coś uroczonego! - Zebrała materiał i włożyła Molly koszulę przez głowę.

- Gotowe, skarbie, jest już pani czysta i elegancka. A teraz do łóżka! - Molly zauważyła, że druga pielęgniarka zdążyła wyjść.

Bridget rozsunęła szeleszczącą pościel, by Molly mogła się między nią wsunąć, a kiedy ta już się ułożyła, opatuliła ją kołdrą.

- Annie poszła sprawdzić, co z tym zastrzykiem - powiedziała Irlandka. - Zaraz wrócę. Proszę odpoczywać. Może uda się pani trochę przespać.

Molly zareagowała na jej matczyną opiekuńczość z wygłodniałą zachłannością. Poczula, że jest w ciepłym, przytulnym i bezpiecznym miejscu i ktoś się o nią troszczy.

- Słyszała pani o moim dziecku? - zapytała.

- Jakżeby nie! - odparła Bridget, klepiąc poduszki, które i bez tego były już grube niczym bożonarodzeniowe gęsi.

- Kochane biedactwo, ciężko pani, prawda? Ale niech się pani tak nie zadręcza. Bóg jest dobry. - Ta znana jej z dzieciństwa sentencja zabrzmiała w ustach Bridget świeżo i odkrywczco, toteż Molly nie poczuła się urażona. Zamknęła oczy, a pielęgniarka wyszła.

Musiała zasnąć, bo następną rzeczą, która dotarła do jej świadomości, były przytłumione głosy i poruszenie wokół jej łóżka. Molly otworzyła oczy. Ponownie zobaczyła Bridget Slevin, której miła twarz była jednak tym razem zmartwiała ze smutku.

- Pani Smith! - powtarzała łagodnie. - Pani Smith!

Za nią stała inna pielęgniarka, a Molly wydawało się, że widzi w drzwiach męską postać w białym fartuchu. Z wysiłkiem wróciła do świadomości.

- O co chodzi?

- Jest pani proszona do sali noworodków, pani Smith - powiedziała Bridget, podchodząc do wezłowania łóżka.

- Śmiało, skarbie, pomogę pani.

Sięgnęła pod łóżko, wyjęła pantofle Molly i odwróciła je nosami we właściwą stronę, by ta mogła w nie wsunąć stopy. Szlafrok Molly wisiał na drzwiach do łazienki. Bridget zdjęła go z haczyka i podała jej.

- Co się stało? - zapytała Molly, przy pomocy pielęgniarki wkładając ręce w rękawy i zawiązując troczki z przodu szlafroka. Wyczytała odpowiedź z twarzy Bridget i znieruchomiała.

- Bardzo źle? - zapytała

- Nie wiem, kochanie - odparła pielęgniarka.

Niewielką odległość, która dzieliła ją od sali noworodków, pokonała Molly jak we śnie z Bridget u boku. Dwie pozostałe pielęgniarki szły z tyłu. Molly czuła, że płynie w powietrzu, a jej serce przestało je bić. (iłowa stała się lekka. Ona zaś chyba wcale nie oddychała.

Kiedy weszła, usłyszała, że jedno z niemowląt w kącie pokoju kwili, próbując wydawać ciche okrzyki, ale wokół inkubatora jej własnego dziecka panowała cisza. Zebrana przy nim grupka osób zdawała się wykonywać jakieś czynności, ale monitory mówiły wszystko. Zamiast migać i brzęczeć - milczały. Margaret Susanna, która nie miała nawet dwudziestu czterech godzin, zrezygnowała z walki.

Molly podeszła do inkubatora i stanęła obok. Był otwarty. Jakiś lekarz zdejmował z pleców dziecka przyssawki.

Odrywały się z cichymi cmoknięciami. Rurki zostały już wyjęte z ust i nosa dziecka, a maleńkiego ramienia nie karmiła kroplówka.

Lekarz, młody Hindus, chyba ten sam, który ją zszywał, Molly nie była pewna, skończył wykonywaną czynność i z szacunkiem się usunął.

- Bardzo nam przykro, pani Smith - powiedział. - Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

- Mogę ją wziąć na ręce? - zapytała Molly.

Skinął głową. Pozostałe osoby oddaliły się. Po chwili wahania lekarz uczynił to samo. Molly włożyła ręce do przezroczystego pudła i ostrożnie wyjęła drobne ciało. Wciąż

wydawało się ciepłe, gdyż temperatura w inkubatorze nie zdążyła spaść. Głowa dziecka zwisała i Molly instynktownie ją podparła.

Poczuła czyjaś obecność przy swoim boku. Była to Bridget, która przyniosła jej miękkie, niemowlęcy kocyk.

- Owinę ją - powiedziała. Wzięła ciało do rąk i wprawnymi ruchami opatulila je, a potem podała zawiniątko Molly. Molly przytuliła córeczkę po raz pierwszy i ostatni. Wskazującym palcem przesunęła po linii brwi dziecka, po łuku jej małego policzka i przytuliła twarz do wilgotnych włosów. Jedna z rączek wystawała odrobinę z fałd koca. Molly dotknęła paluszków, delikatnych jak źdźbła dzikich kwiatów, wyrosłych w szczelinach wapiennych skał na Inis Oirthir.

- Chciałaby ją pani ochrzcić? - zapytała szeptem Bridget. Molly skinęła głową.

Bridget oddaliła się na palcach i wróciła po kilku minutach z dzbankiem wody. Wylała kilka kropli na głowę dziecka i powiedziała cichym głosem:

- Ja ciebie chrzczę w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. - Woda spłynęła z główki małej i zmoczyła bok Molly.

Bridget znów odeszła. Wzięła na ręce niemowlę leżące w rogu sali, które już odkryło siłę swego głosu i zaczęło na całe gardło rozpaczliwie krzyczeć, po czym wróciła do Molly.

- Zniosę tego kawalera do jego mamy i zaraz będę z powrotem - powiedziała cicho. - Usiądź, kochanie. - Wolną ręką podprowadziła Molly do małego taboretu, opartego o stół do przewijania.

Inna pielęgniarka pisała coś zawzięcie przy małym biurku, ale taktownie pochylała głowę nad swą pracą, nie podnosząc oczu.

Molly ogarnął wielki spokój. Usiadła i spojrzała na pogodną twarz swego dziecka, zapisując w pamięci wszystkie jego rysy. Margaret Susanna ważyła tyle co ptaszek, a jej spoczywająca na piersi Molly główka wydawała się pasować do zgięcia ramienia matki. Molly zapagnęła otworzyć powieki córki, by sprawdzić, jaki kolor mają jej oczy, ale przestała na głaskaniu zmoczonych podczas chrztu wło-

sów dziecka, które odchyliły się do tyłu na miękkim cie-miączku.

-Biedne stworzonko - powiedziała łagodnym głosem stojąca przy jej łokciu Bridget. - Czyż nie jest piękna? -Jako Irlandka Bridget nie wykazywała w obliczu śmierci takiej powściągliwości, jaka czasem charakteryzowała jej angielskie koleżanki. - Jedno jest pewne - ciągnęła, gładząc główkę małej - że ma pani teraz w niebie małego aniołka, który będzie się panią opiekować.

Wtedy popłynęły łzy, które wzbierały w sercu Molly. Te wielkie łzy smutku i żalu oczyściły ją z goryczy. Ciekły z serca na twarz, a ona nie próbowała ich powstrzymać ani ukryć.

- Biedne skarby - powiedziała cicho Bridget, obejmując ją ramieniem. - Już, już. Biedactwo...

Druga pielęgniarka wstała cicho i wyszła z pokoju, a Molly oparła głowę na piersi tej dobrej kobiety, płacząc z żalu nad sobą i dzieckiem.

Do ostatniej chwili Molly miała nadzieję, że Christian pojawi się na pogrzebie córeczki, który odbył się nazajutrz po południu. Nie zrobił tego. Oczywiście próbowano go znaleźć. Conor znów wsiadł w traveller, wystawił czujki przed domem, a sam objechał ulubione puby Christiana w najbliższej okolicy i w Soho. Ale w Londynie mieszka dziesięć milionów ludzi i Conor dobrze wiedział, że jeśli ktoś zechce się tu zgubić, z łatwością tego dokona.

Próbowali go wytropić przez policję, ale mimo znajomości Malcolma udało im się dowiedzieć tylko tyle, że Christian opuścił kraj na pokładzie odrzutowca Pan Amu; poleciał nim do Chicago. Nie pojechał do domu, nie skontaktował się z Dickiem ani z Jo-Ann - która znów wyszła za mąż - ani z żadnym kolegą z „Chicago Sentinel”. Pogrzeb odbył się na terenie klasztoru starszych sióstr zakonnych koło Willesden. Spisek uknuła Bridget Slevin, której ciotka należała do ich grona. Nie było żadnej pompy. Mszę żałobną odprawił klasztorny kapelan, który - podobnie jak jego owieczki - był za stary, żeby pełnić aktywniejszą służbę w większej społeczności. Śpiewała jedna

z zakonnicy - dama, której drżący głos musiał być kiedyś niezły. Akompaniowała jej inna siostra, która wysilając tknięte artretyzmem palce nie zawsze potrafiła wziąć oktawę na popękanej fisharmonii.

Przez całą mszę Molly była bardzo spokojna. Mimo zmęczenia jej ciało, które zaledwie czterdzieści osiem godzin wcześniej wydało z siebie życie, nie bolało tak bardzo, by ją dekoncentrować. Kaplica przypominała Molly szkolne lata - jej czystość, prostota, nastrój stwarzany przez wspólnotę kobiet żyjących ze sobą w zgodzie, szyby ze zwykłego szkła, przez które światło słoneczne wpadało do środka, by rozsypywać się na prostych meblach i wyłożonej biało-czarnymi kafelkami posadzce, wszystko to było kojące. Stacji Drogi Krzyżowej nie przedstawiały żadne obrazy, lecz dyskretne czarne krzyże, umieszczone w pewnych odstępach na białych ścianach i ponumerowane rzymskimi cyframi od jednego do czternastu. Na czas mszy zapalono świecę paschalną i świece na ołtarzu. Ich płomienie były w słońcu niemal niewidoczne. Oprócz tego kaplicę zdobiły tylko dwie gałązki białych lilii, umieszczone po obu stronach mierzącej zaledwie sześćdziesiąt centymetrów, białej trumienki, ustawionej na niskim stopniu przy wejściu. Choć Molly nie była w kościele od pogrzebu matki, subtelność nabożeństwa w takiej scenerii podziałała na nią kojąco.

Malcolm siedział za Molly, zagubiony we własnych myślach. W czasie mszy przebiegł we wspomnieniach galerię ludzi, którzy przewinęli się przez jego długie życie - współpracowników i osób, z którymi utrzymywał kontakty towarzyskie, w większości dawno zmarłych. Te wszystkie transakcje, które wydawały się swego czasu bardzo ważne, a które nie miały żadnego znaczenia... Tyle nerwów, tyle gadaniny... Ludzie, których kochał: matka, którą pamiętał jak przez mgłę, ojciec i bracia, Alan i ukochana Mamie, Maggie, Cal i Susanna. Wszystkich stracił. A teraz wygląda na to, że i Christiana...

Przyjechał do Londynu taki przejęty i pełen nadziei. Spodziewał się urodzin, a trafił na kolejny pogrzeb. Jego wzrok nieustannie wędrował ku trumnie pozbawionej jakichkolwiek ozdób, jeśli nie liczyć srebrnej tabliczki o dłu-

gości piętnastu centymetrów, na której wygrawerowano imiona i nazwisko, Margaret Susanna Smith. Bez dat. Miał dziecko na rękach po sekcji zwłok i tuż przed włożeniem do trumny. Jego prawnuczka. Ją także stracił.

Malcolm jeszcze nigdy nie czuł się w głębi duszy tak zmęczony. Nadszedł czas, żeby się poddać. Kiedy msza dobiegła końca, Cordelia pomogła mu wyjść z kaplicy, a jeśli jego ciężar stanowił dla niej większe brzemie niż zwykle, to nie dała tego po sobie poznać. Molly osobiście wyniosła białą trumnę na zewnątrz. Był kolejny gorący i pogodny dzień. Słońce oślepiało Malcolma, który zmrużył oczy. Zaczynała go boleć głowa.

Ruszyli na cmentarz. Znajdował się niedaleko i nieoficjalny charakter procesji jeszcze bardziej chwycił za serce.

Zgarbiony kapelan w rozwianej komży i stule kroczył przed trumną. Conor szedł u boku Molly, a Malcolm, który wciąż wspierał się na Cordelii, z tyłu. W pogrzebie dziecka uczestniczyły oprócz nich tylko przeorysza i gromadka siedmiu siostr, które szły, a raczej kuśtykały dwójkami zwirowaną ścieżką prowadzącą do grobu.

Malcolm czuł, że tego nie wytrzyma. Zamknął oczy i pozwolił się prowadzić Cordelii. Chrząst stóp na żwirze docierał teraz do niego ze wzmożoną wyrazistością. Było już tyle pogrzebów... Nie chce żadnego więcej. Następny to jego własny i już nie będzie go musiał znosić.

Będzie go musiała jednak znieść Cordelia. Otworzył oczy i spojrzał na swą cierpliwą i tak mu pomocną żonę, która szła niewzruszenie krok w krok z nim. Nie zasługuje na nią. Jest płaczkliwym starym głupcem, który chce się wycofać, chociaż inni wciąż go potrzebują. Wyprostował plecy, dzięki czemu zdjął część ciężaru z podtrzymującego go ramienia. Cordelia zauważyła tę zmianę i posłała mu łagodny uśmiech. Malcolm natychmiast postanowił wziąć się w garść i żyć tak długo, jak długo Cordelia będzie go kochać, a Bóg sobie tego życzyć.

Cmentarz, na którym stały szeregi starannie utrzymanych, prostych, białych krzyży, znajdował się w rogu małego, przyklasztornego sadu jabłoniowego, wypełnionego brzęczeniem i furkotem muszek i motyli. Gdyby sad w tej

części Londynu trafił w inne ręce, stałby się bezcenną nieruchomością. Niewielka procesja zatrzymała się w pewnej odległości od rzędów krzyży, w miejscu gdzie wysoki żywopłot z fuksji osłaniał teren przed oknem mieszkańców pobliskich domów. Żywopłot niedawno przyszyżono, dzięki czemu ziemia wokół grobu Margaret Susanny była obficie usłana dzwonkami w kolorze głębokiego różu i fioletu niczym radosnym konfetti.

Malcolm miał głowę pochyloną na znak poważania, gdy kapelan i zakonnice odmawiali dziesięć modlitw różańcowych. Na twarzy Molly zastygł nieodgadniony wyraz. Conor był pełen skupienia. Trzymał siostrę pod ramię. Gdy nadeszła pora, Molly ostrożnie zgięła kolana, przykucnęła nad grobem i włożyła córeczkę do przygotowanego dla niej małego dołka. Opuszczając trumnę, uważała, by nią nie wstrząsnąć ani nie zawadzić o ściany grobu.

Wreszcie wyprostowała się.

Kapelan opryskał wieko trumny kilkoma kroplami wody, odmówił jeszcze jakieś modlitwy, których Malcolm nie zrozumiał, a potem wystąpił do przodu Conor. Gdy brat Molly zaczął gołymi rękami spychać miękką ziemię do grobu, zasypując ją trumienką, Malcolm wreszcie się rozplakał. Conor wstał, dopiero gdy ziemia utworzyła nad grobem mały kopczyk.

Rozdział 12

W październiku, cztery i pół miesiąca po śmierci córki, Molly zaczęła pracę nad swoim drugim filmem.

Pierwszy, „Rzeka nadziei”, przyniósł zyski. Mimo szumu w brytyjskich gazetach, nie dostał żadnej nagrody w Cannes, ale za to aż dwa Oscary: nagroda za najlepszą rolę drugoplanową przypadła debutantce Tracy Sullivan, a za najlepszą muzykę - zespołowi rockowemu Morgan La Fay. Sama Molly zebrała niemal wyłącznie przychylne recenzje, zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w Stanach Zjednoczonych, a film wzbudził dzięki dwóm Oscarom tak ogromne zainteresowanie, że Dolly Mencken brodziła po swój gruby pas w ofertach.

Za jej radą Molly nie śpieszyła się z przyjmowaniem propozycji i na drugi wypad w krainę filmu wybrała „Smaragdową noc”, oscylującą na pograniczu fantazji historię, luźno opartą na dziecięcej baśni. I tym razem był to film niskobudżetowy. Zdawała sobie sprawę, że otrzymała ten angaż prawdopodobnie dzięki swym udanym występom na West Endzie w „Wesołym duchu”. To ją niepokoiło, choć rola była cudowna - miała grać tajemnicze stworzenie z innego świata, które rzuca czar na średniozamożnego, ulegającego nakazom konwenansów profesora matematyki z Liverpool University. Obawiała się zaszufładowania.

Dolly nie miała podobnych skrupułów.

- Słuchaj - powiedziała Dolly, którą ledwo było widać zza stosów papierów na biurku - będziemy się martwić,

kiedy na twoim stole zostaną wyłącznie propozycje zagrania czwartego ducha, wróżki albo syreny.

Pobrzękując bransoletkami, otworzyła szufladę i wyjęła puderniczkę. Zezując, nałożyła róż na swe pokryte zmarszczkami policzki.

- Margo, ta rola leży ci jak ulał. No i tym razem nie poprosili cię o próbne zdjęcia, kochanie. To jest coś. To znaczy, że naprawdę już do czegoś doszliśmy. Postaramy się, żebyś następnym razem paradowała w ręcznie robionych swetrach i tweedach, otoczona przez zgraję psów. Dobrze, kochanie? - Zatrzasnęła puderniczkę. - Zgoda?

- Zgoda - uległa Molly.

- Poza tym będziesz grać z Davidem Croftem, kochanie. - David Croft, który zgodził się na rolę profesora, był gwiazdorem o międzynarodowej sławie.

Molly zdawała się zadowolona.

Kiedy jednak nadszedł pierwszy dzień zdjęć, rozchorowała się ze zdenerwowania. W wieczór przed wyjazdem na plan zdjęciowy do Liverpoolu dostała bóle i musiała położyć się do łóżka.

Około ósmej zapukał do drzwi Conor, który mieszkał teraz przy Vernon Street.

- Przygotowałem ci filiżankę bovrilu, Molly.

- Dziękuję, Conorze, ale nie skorzystam. Nie czuję się na siłach.

Otworzył szerzej drzwi.

- Musisz. Poza tym gorące płyny są dobre na bóle.

- Kto tak twierdzi? - Czuła się naprawdę fatalnie.

- Ja. Posłuchaj, Molly, uważam, że powinnaś wziąć się w garść.

- Co takiego? - Była oburzona.

- Wiesz, co myślę? - ciągnął. - Myślę, że po prostu boisz się tego, co cię jutro spotka, i twoje ciało celowo zachorowało, żebyś miała wymówkę i mogła zostać w domu. Uważam, że twoje bóle są psychosomatyczne, Molly.

Z wysiłkiem zmieniła pozycję na siedzącą. W jej oczach pojawiły się łzy wściekłości.

- Jak śmiesz? Ciekawe, jak ty byś dał sobie radę w mojej sytuacji.

- A z czym musisz sobie dać radę, Molly? - Zignorował jej wybuch wściekłości, zachowując irytujący spokój.
-Wiem, że przeżyłaś ciężkie chwile, ale robisz karierę, jesteś rozchwytywana, masz ładny dom, kupę forsy i nawet pomocnika domowego pod ręką, kuny znosi twoje kaprysy i przynosi ci ciepłe napoje, gdy - jak mówisz - nie dajesz rady! - Spojrzała na niego, ale to nic nie dało. Podał jej parujący kubek. - Weźmiesz to picie czy nie... a może mam ci pozwolić pograć się w cierpieniu? Wzięła od niego filiżankę.
- Bylebym nie musiała dłużej słuchać pogadanek. -Pogadanka skończona. - Ukłonił się jak mandaryn i opuścił pokój.

Molly sączyła bovril, wsparta na poduszkach. Conor chyba ma rację, przyznała z niechęcią. Prawie zawsze tak jest we wszystkich sprawach, które dotyczą jej samej i jej życia. Po pogrzebie Margaret Susanny przyjęła nieśmiałą propozycję Conora, że wprowadzi się na jakiś czas na Vernon Street i dotrzyma jej towarzystwa. Nie zrezygnował z własnej kawalerki i w dalszym ciągu płacił za nią czynsz, ale przeniósł do wolnego pokoju w jej mieszkaniu trochę ubrań i rzeczy osobistych. Był tu już od czterech miesięcy i wyglądało na to, że ich umowa nie wygasa.

Zycie w domu toczyło się bez wstrząsów. Oboje przychodzili i wychodzili, na nowo pograżeni we własnych sprawach. Każde miało osobny krąg przyjaciół - co bardziej dyskretni wiedzieli, kim Conor jest w rzeczywistości - ale kiedy byli w domu jednocześnie, spędzali czas po cichu: na lekturze lub, w przypadku Conora, na nauce. Dość często oglądali telewizję.

- Jak dwa zręczące potwory - żartowała Molly, gdy przyjaciele pytali, jak się dogadują z bratem. - Typowy irlandzki układ między bratem-kawalerem i siostrą-panną! -Wiedziała, że nie jest to zupełnie ściśle określenie. Jak na rodzeństwo, przesadnie szanowali nawzajem swoją prywatność, a jeśli przypadkiem jedno otarło się o drugie w pokoju albo w wąskim korytarzu, sypały się gorliwe przeprosiny. W istocie byli jednak oboje spokojni, a nawet zadowoleni, a ich wzajemny feblik stał się częścią normal-

nego życia w domu. Coś się między nimi tliło, ale pozostawało pod kontrolą. Molly czuła, że jest rozpieszczana i otaczana opieką, a od czasu do czasu ogarniało ją nieodparte wrażenie, że stała się znów dzieckiem i bawi się z bratem w dom. Odkryła, że może mu swobodnie mówić o swoim smutku i poczuciu straty po śmierci dziecka.

Rozmawiali też o Christianie, choć niezbyt często. Z ulgą wyznała Conorowi pewnego razu przy wieczornym drinku, że spadnie jej kamień z serca, jeśli mąż nigdy nie wróci. Wiedziała, że Malcolm zastanawia się, czy nie zlecić odnalezienia Christiana prywatnej agencji detektywistycznej, ale jeszcze nie jest zdecydowany. Molly wyczuwała, że Malcolm boi się tego, co może wyjść na jaw. Sama też miała podobne obawy.

Zdawała sobie jasno sprawę, że nie chce już Christiana za męża. Zastanawiali się z Conorem, jak postąpić, jeśli go znajdą. Brat doradził jej, żeby nie podejmowała żadnych kroków przed zasięgnięciem porady prawnej.

Dopiła bovril. Czy jej się zdaje, czy ból w stawach rzeczywiście zmalął? Poruszyła nogami. Były tak samo sztywne i obolałe jak przedtem, ale postanowiła na to nie zważać i myśleć pozytywnie. Wstała z łóżka, włożyła szlafrok i z pustym kubkiem w ręku zeszła na dół.

- Dziękuję, Conorze - powiedziała po wejściu do kuchni. - Przepraszam za swoje kaprysy.

- Nic nie szkodzi... trochę ci pomogło?

- Trochę tak - przyznała.

- Cudowna mikstura doktora Ó Briaina. Pisał list na blacie kuchennym.

- Do kogo to?

- Jak zwykle.

- Rozumiem. Jak ci idzie?

- Chyba nieźle, ale nie należy się łudzić. To będzie długie polowanie, Molly...

Cmoknęła współczująco i opłukała kubek w zlewie.

Conor rozpoczął już negocjacje z przedstawicielami irlandzkiej policji. Ostrożność weszła mu jednak w krew i załatwiał tę sprawę okrężną drogą. Zadzwonił do przyjaciela w Amsterdamie, który wynajął holenderskiego adwokata.

Ten na polecenie przyjaciela Conora zwrócił się z prośbą

o poradę do ambasady irlandzkiej. Ambasada zasięgnęła informacji w ministerstwie sprawiedliwości w Dublinie i powiadomiła adwokata, iż sprawa wciąż pozostaje otwarta i formalnie Conor nadal jest poszukiwany.

Conor prowadził teraz przez ambasady w obu krajach trójstronne negocjacje z holenderskim adwokatem, adwokatem angielskim i ministerstwem sprawiedliwości. Jednocześnie na wszelki wypadek zaprzestał podróży poza granice Anglii, nadal pracując i posługując się dokumentami na nazwisko Sean Molloy.

- To mi przypomina - rzekła Molly, która skończyła już zmywać - że muszę napisać do Malcolma i Brendana.

Przynajmniej przestanę myśleć o jutrze. - Otworzyła szufladę niedużej komódki, stojącej przy ścianie w kuchni, wyjęła przybory do pisania i przeniosła je na stół. Usiadła naprzeciwko Conora. - Jeszcze się źle czuję, ciągle mam bóle.

- Pewnie - rzekł, nie podnosząc wzroku znad swojego listu. - A niby dlaczego masz nie mieć? Ale zobaczysz, że jak tylko wejdiesz jutro na plan filmowy, poczujesz się jak ryba w wodzie!

Conor oczywiście miał rację, pomyślała Molly, siedząc nazajutrz z reżyserem i Davidem Croftem w przyczepie aktora i omawiając ich pierwszą wspólną scenę. Oboje, ona i David, byli ucharakteryzowani i mieli na sobie kostiumy - ponieważ budżet filmu był bardzo napięty, czas trwania prób ograniczono - a Molly nie czuła w kościach ani śladu bólu.

David Croft przechadzał się po przyczepie, wyrzucając z siebie słowa niczym karabin maszynowy. Był wysoki, gibki i chudy jak patyk. Palił papierosy jednego za drugim. Teraz, proponując zmiany w niektórych scenach scenariusza, tak by ukazywały zgodną z jego wyobrażeniem motywację granej przezeń postaci, kopał bez przerwy. Molly obawiała się spotkania z nim, gdyż został zaszufładowany przez media, a zwłaszcza przez prasę brukową, jako niecierpliwy, wesołkowaty utrapieniec, który równie łatwo potrafi ciskać przedmiotami i samowolnie schodzić z planu, jak wspaniale zagrać rolę.

Miał też reputację pogromcy serc niewieścich. Molly oscylowała między niepokojem o to, czy zdoła go okiełznać, i wstydem, że ma czelność przypuszczać, iż Croft będzie nią zainteresowany. Zresztą nawet gdyby był, to czy ona odwzajemni jego zainteresowanie?

Szczerze mówiąc, Molly w pełni odpowiadał jej wolny stan. Jediną osobą - zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet - która potrafiła przeniknąć przez emocjonalne mury obronne Molly, był jej brat, a ponieważ obejmowało go tabu seksualne, zaakceptowała namiastkowy charakter ich związku.

Z drugiej strony, obserwując inteligentnego, energicznego Davida Crofta, który przemierzał przyczepę, wykładając swoje racje, wyraźnie dostrzegła, dlaczego jest uznawany za tak atrakcyjnego mężczyznę. Rozluźniało ją samo jego ożywienie. Identyfikowała się z nim, widząc, jak bardzo jest bezbronny pod pancerzem hałaśliwości i agresji. Zdała sobie sprawę, że choć David Croft to doświadczony aktor, gwiazdor, pierwszy krok w nowym filmie napawa go takim samym przerażeniem jak ją. Kiedy więc bezustannie bombardował reżysera swoimi teoriami i pytaniami sam na nie odpowiadając, zanim tamten zdążył otworzyć usta, w Molly wzbierało instynktowne pragnienie, by otulić go w koc i wyszeptać: „Już dobrze”.

Kiedy gwiazdrowi wreszcie zabrakło tchu, reżyser, który był Walińczykiem, wstał.

- Niektóre z tych sugestii są bardzo cenne, Davidzie. Porozmawiam ze scenarzystami. Teraz jednak muszę zajrzeć na plan. Może zagrałby pan tę scenę zgodnie ze scenariuszem, tylko ten pierwszy raz, a wtedy zobaczymy, co się da poprawić? - Croft nie miał innego wyjścia, jak się zgodzić. - Wobec tego widzimy się na planie podczas próby, tak?

- Reżyser opuścił przyczepę i Molly została sama na sam ze swym filmowym kolegą.

- Poczęstuje się pani? - zaproponował Molly papierosa. Pokręciła głową odmownie.

- Chciałby pan, żebym ja też sobie poszła, Davidzie?

- Nie, niech pani zostanie, proszę. Ma pani na mnie dobry wpływ! - Zapalił papierosa i opadł na tapczan. Spojrzał na nią uważnie. - Zna pani Tammy?

- Nie. - Tammy Simms, która zdobyła nagrodę BAFTA i nominację do Oscara za poprzednią rolę, została obsadzona w tym filmie jako rozchwiana wewnętrznie żona Crofta.

- No to niech pani na nią uważa - rzekł Croft. - Jest, co prawda, urocza, ale niepewna siebie. Nie lubi rywalizacji.

- Rywalizacji? - Molly była autentycznie zdumiona. - Jesteśmy dwoma różnymi typami kobiet i gramy zupełnie inne role.

- Tak, kochanie, ale Tammy, tak jak ty, jest, a raczej była, blondynką, ma o piętnaście lat więcej i jest u szczytu kariery. Pani dopiero zaczyna. No i niech pani tylko spojrzy w lustro!

Molly machinalnie zerknęła w lustro, które znajdowało się mniej więcej w odległości metra, i natychmiast się speszyła.

- Uważam, że Tammy jest piękna - powiedziała.

- A pani niby jaka jest? - Zauważyła, że Croft ma zielone tęczówki z brązowymi cętkami. Jej zmieszanie wzrosło.

- Dziwna z pani osoba - powiedział zaintrygowanym tonem.

- Widziałem „Rzekę nadziei”. Czy grała w niej pani z przyjemnością?

- Tak, i to ogromną.

- Kamera panią lubi.

Dostrzegła, że lustruje ją wzrokiem. Od kiedy została aktorką, nauczyła się rozpoznawać takie łowieckie spojrzenia i je odpierać. Fakt, że nie różnił się od innych, dodał jej pewności siebie. Ona na pewno nie pozwoli mu zrobić kolejnego nacięcia na wezłowskiu łóżka. Zamierzała zagrać w grę o nazwie „zmiana tematu”.

- Jeśli mamy zostać przyjaciółmi, Davidzie - powiedziała zdecydowanym tonem - powinien pan nazywać mnie moim prawdziwym imieniem, czyli Molly!

- Molly - powtórzył, przeciągle wymawiając literę „l”. - Mo-l-l-l-l-y... Ładne imię. Miękkie. Jak pani...

- Ja nie jestem miętka - odparowała. - Niech się panu nie wydaje.

- Wspaniale! - wykrzyknął. - Twarda baba! Nienawidzę miękkich kobiet! - Znow rzucił jej przeciągłe, taksujące spojrzenie, ale zanim zdążyła wymyślić trafną ripostę, ze-

skoczył z tapczanu i znów zaczął przemierzać pokój. - Co pani sądzi o tym scenariuszu? Podoba się pani postać, którą ma pani grać? A może uważa pani, moja profesorko, że jest przegadana?

- Myślę, że i rola, i scenariusz są bardzo dobre - odparła Molly spokojnie.

- Naprawdę? - Odwrócił się do niej. - A ile scenariuszy pani w życiu czytała?

- Co pan się spodziewa usłyszeć?

. Proszę mi odpowiedzieć. Jak długo pani jest w branży? Ach tak! Nadepnęłam panu na odcisk?

- Przepraszam, kochanie! - W jego głosie natychmiast pojawiła się skrucha. - Proszę się mną zupełnie nie przejmować. Zawsze taki jestem pierwszego dnia zdjęć. Jak mnie pani pozna, to zacznie pani za mną przepadać.

- Może tak, może nie!

- Oho, rogata dusza! - powiedział i znów opadł na tapczan. - Nie miała pani żadnych scen miłosnych w poprzednim filmie. Jak się pani czuje przed tą, którą będziemy grać za piętnaście minut? - Ponieważ sceny filmowe nie są kręcone chronologicznie, rzeczywiście bywa, że ludzie, którzy zupełnie się nie znają, muszą kochać się przed kamerą w godzinę od chwili, gdy zostali sobie przedstawieni.

- Jestem zdenerwowana. - Molly doszła do wniosku, że może być szczerą, choć wiedziała, że ta konkretna scena miłosna jest dość niewinna. Według scenariusza ona miała nawiedzić profesora we śnie, zawisnąć nad jego łóżkiem i pocałować go w zbliżeniu - uwodzicielsko, choć skromnie - on zaś miał się obudzić przerażony.

- Pójdzie dobrze - powiedział. - Jest pani naprawdę śliczna, panno Molly. Nie mogę się doczekać, kiedy panią pocałuję. - Nie patrzył jednak na nią, tylko na swoje odbicie w lustrze.

Molly była przyzwyczajona do takiej próżności aktorów.

- Mam nadzieję, że się pan nie rozczaruje - powiedziała, a od dalszej rozmowy wybawiło ją pukanie do drzwi. Drugi asystent prosił ich na próbę.

Croft zgasił papierosa i wziął ze swej toaletki flakonik z płynem odświeżającym oddech.

- Damy grające główne role zmywają mi głowę za to, że mam podczas pocałunku oddech przesiąknięty tytoniem! Nigdzie się nie ruszam bez mojego Złotego Powiewu! -Psiknął sobie dwa razy płynem w usta. - Teraz jestem gotów na wszystko, moje dzierlatki! - Wyszczrzył zęby w uśmiechu, a Molly doszła do wniosku, że go lubi.

Na następne sześć tygodni wpadła w wir pracy. Czerpała z niej przyjemność od samego początku. Pierwsze spotkanie z Tammy Simms wymagało pewnego wycucia dyplomatycznego, ale po otrzymanym ostrzeżeniu Molly zachowała się wobec niej skromnie, niczym debiutantka u stóp Wielkiej Aktorki. Nie tylko uspokoiła Tammy Simms, ale także ją oczarowała.

Na planie panowała naprawdę wesoła atmosfera. Aktorzy i ekipa techniczna skupiali się wokół reżysera, tworząc zgrany zespół. Zdjęcia przebiegały gładko. Pracowali tak ciężko, że było niewiele okazji do pozascenicznych dramatów. David Croft, który był właśnie w trakcie trzeciego rozwodu, bez zapału przystąpił do romantycznego obłężenia Molly. Dzięki jego poczuciu humoru sytuacja nie była jednak krępująca i dawała okazję do żartów na planie.

Często chwycił ją w ramiona i - ku wielkiej rozpaczy charakteryzatorów - całował, a kiedy wyślizgiwała się z jego objęć niczym węgorz, teatralnym gestem przykładając dłoń do piersi i wykrzykiwał: „Spójrzcie tylko!” w kierunku audytorium składającego się z techników, scenarzystki, asystentów reżysera i operatorów. „Widzicie, co ja z nią mam!” Przesyłał jej naręcza kwiatów. Na tylnym siedzeniu samochodu, który odwoził Molly na plan spod jej hotelu, codziennie leżał świeży bukiet białych róż. Kiedy wieczorem wracała wykończona do pokoju, znajdowała na poduszce białe goździki.

Ta adoracja sprawiała Molly przyjemność. Od miesięcy nie śmiała się tyle co teraz. Pod koniec zdjęć zaczęła się jednak trochę niepokoić. Było za wesoło. Christian też w ten sposób się do niej zalecał.

Kiedy spotkali się na planie w pierwszy dzień ostatniego tygodnia zdjęć, Molly miała w ręku otrzymaną ostatnio wiązaną goździków i białych frezji.

- Posłuchaj, Davidzie - powiedziała. - Myślę, że to już zaszło za daleko. Mam tyle kwiatów, że mogłabym otworzyć kwiaciarnię. Lubię je i jestem ci za wszystko wdzięczna, ale to się musi skończyć.

Spojrzał na nią z góry, a ona zdała sobie sprawę, że chyba po raz pierwszy pracuje z aktorem, który jest od niej wyższy o dobrą głowę. Swoją okazałą posturą przypominał jej niekiedy Conora.

- Dlaczego? - zapytał.

- Dla niczego. Zresztą wiesz dlaczego - powiedziała. Jej zdecydowanie zaczęło słabnąć. - Bo tak... - dodała niejasno po chwili.

- Bo jak?

- Mówiłam ci! Bez powodu... bo tak.

- Czy to jakieś irlandzkie rozumowanie? Nie lubisz kwiatów, Molly?

- Uwielbiam. Mówiłam ci milion razy. Ale tyle samo razy wspominałam, że wystarczy mi kwiatów do końca życia. I, i...

-Ico?

- I nie potrzebuję więcej kwiatów.

- Ale ja uwielbiam przysyłać kwiaty.

- Posłuchaj, Davidzie... - Molly była w kłopotcie. Nigdy nie powiedział wprost, że ma wobec niej poważne zamiary.

- Tak, Molly?

Zauważyła, że jeden z kierowców ekipy filmowej i operator ruchomej kamery stoją w pobliżu i najwyraźniej przysłuchują się rozmowie. Wzięła go pod ramię i zaprowadziła za cykloramę.

- Dlaczego mi przysyłasz te wszystkie kwiaty? - zapytała. - Dlaczego właśnie mnie?

- Przecież wiesz... czyżbym stracił wyczucie?

Jego zielone oczy po raz pierwszy były bardzo nieruchome. Zawahała się na ułamek sekundy. Prawdopodobnie nie obowiązujący romans z tym atrakcyjnym, zabawnym i utalentowanym mężczyzną byłby ogromną przyjemnością.

Tymczasem jednak w jego spojrzeniu pojawił się wyraz czułości. Molly natychmiast wskoczyła na swą barykadę.

- Davidzie - rzekła. - Bardzo cię lubię. Ale to wszystko. Daj spokój z tymi kwiatami.
 - Życzenie damy jest dla mnie rozkazem... - Pochylił się i ucałował jej dłoń.
 - Mam... mam nadzieję, że cię nie dotknęłam... - powiedziała z wahaniem.
 - Moja droga Molly - odparł. - Jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie został odrzucony w sposób równie dyplomatyczny.
 - Nie odrzucam cię.
 - Proszę cię, skarbie, tylko bez wykretów urażonej niewinności. Po prostu szkoda, że to nie ja jestem tym wybranym.
 - Nie ma żadnego wybranca, nie myśl sobie.
 - Oo, czyżby? - Uniósł brwi. - Muszę pędzić. Jaka szkoda! - rzucił, odwracając się. - Mogło być tak fajnie! - Molly o mały włos nie zawołała, by wrócił. Co się z nią, do diabła, dzieje?
- Nie dostała więcej kwiatów, a David zachowywał się przez ostatni tydzień zdjęć nienagannie. Na szczęście prawie wszystkie sceny miłosne mieli już za sobą, a te, które jeszcze zostały, były w większości kręcone na promie do Mersey podczas paskudnej pogody; tak im się dał we znaki deszcz, charakterystyczna, mokre kostiumy i konieczność podłożenia aktorskiemu zadaniu na kołyszacej się łodzi, że tydzień minął im szybko.
- Ostatniego wieczora odbyło się przyjęcie dla całej ekipy. Każdy mógł się napić do woli, toteż napięcia związane z pracą stopniowo opadały i nastroje się poprawiały. David, który siedział przy kolacji naprzeciwko Molly, okazując daleko idące zainteresowanie scenarzystką, pochylił się ku swej sąsiadce, gdy tylko tamta wyszła do toalety. Molly zauważyła, że jest lekko wstawiony. Chwycił ją za rękę.
- Czy naprawdę, naprawdę się ze mną nie prześpisz? Molly wypila już trochę szampana. Czowała się swobodnie, była rozgrzana i na jedną szaloną chwilę ogarnęła ją pokusa. Chwila jednak minęła i Molly pokręciła głową.
 - Naprawdę, naprawdę nie, Davidzie. Zresztą widzę, że świetnie dajesz sobie radę beze mnie.

Puścił jej dłoń i poklepał ją.

- Cóż, jeśli kiedyś zmienisz zdanie... - powiedział.

- Będę wiedziała, gdzie cię znaleźć - dokończyła Molly. Wkrótce potem opuściła przyjęcie, pocałowawszy go w czubek głowy, a gdy się obudziła następnego dnia, znalazła liścik pożegnalny od Davida, wsunięty pod drzwi jej pokoju wcześniej rano, kiedy jeszcze spała. Wewnątrz białej karty bez żadnego nadruku znajdowały się dwa słowa napisane jego dużym, nieregularnym pismem: *Forsę ancora...*

Molly uśmiechnęła się. Wiedziała, że *ancora* znaczy „znów”, a pamiętając trochę łaciny ze szkoły, mogła się domyślić, co znaczy pierwsze słowo. „Może znów...”, napisał. Zakończył zwykłym D.

Wytwórnia zarezerwowała dla niej miejsce pierwszej klasy w pociągu, który odjeżdżał do Londynu rano. Z ulgą stwierdziła, że wagon jest prawie pusty. Zanim pociąg ruszył ze stacji Lime Street, nieśmiało podeszły do Molly z prośbą o autograf dwie gospodynie w średnim wieku, które znały ją z serialu telewizyjnego, ale przez, pozostała część podróży nikt jej nie niepokoił.

Pociąg sunął ze stukotem przed siebie. Molly wyjęła z torebki kartkę od Davida Crofta i zamyśliła się, patrząc na nią. Straciła kolejną okazję. Zdawała sobie sprawę, że nadszedł czas, by wreszcie poważnie zastanowiła się nad swoim obecnym życiem, nad ciągłym odrzucaniem więzów emocjonalnych. Jak każdy, czytała trochę popularyzatorskich artykułów z dziedziny psychologii, z których dowiedziała się, że podobne problemy mają częstokroć ludzie, którzy byli w dzieciństwie źle traktowani, maltretowani lub zaniedbywani. Ona nie miała na swoje usprawiedliwienie nic takiego. Dopóki jej ojciec żył, prowadziła dość normalne życie.

Czuła się w miarę pełnym człowiekiem tylko na scenie, wcielając się w czyjąś postać. Jakaś przyczyna zewnętrzna lub defekt charakteru sprawiał, że w swym życiu pozascenicznym wydawała się sobie dziwnym sposobem tylko widzom. Mimo tylu starań ciągle czuła się niepełną, pozbawioną swego miejsca osobą, matką bez dziecka, żoną bez męża, małością bez ojca i matki, kobietą bez mężczy-

zny. A jednak za każdym razem, gdy ktoś jej podawał linę ratunkową, odrzucała ją.

Ciągle też nurtował Molly epizod z księdzem na wydmach. Może stłumiła w sobie jakiś aspekt tego wydarzenia? Czy nie leżało ono u źródeł jej poczucia izolacji? W przekonaniu Molly było to doświadczenie nieistotne i bez konsekwencji, błądka, która równie dobrze mogła się przytrafić komuś innemu. Gdyby to był powód jej problemów z mężczyznami w dorosłym życiu, musiałaby chyba uważać, że ksiądz Morahan zrobił jej coś strasznego. Tymczasem nic podobnego. Tamtego obfitu jącego w wydarzenia krótkiego okresu jej życia we wspomnieniach Molly nie zdominował ksiądz Morahan i jego nieudolne zaloty ani nawet śmierć ojca, lecz obraz Conora, oddalającego się od niej w łódce.

W drodze do domu obserwowała schludny, falisty krajobraz, który przesunął się za oknem. Londyn nie jest moim domem, pomyślała, ale Inis Oirthir także nie. Spróbowała przywołać we wspomnieniach swoje dzieciństwo, burze, wschody słońca, surowość kamienistej okolicy, małomównego ojca i łagodną matkę. Wszyscy się jednak skurczyli w oprawione obrazy na ścianach bezdusznej galerii. Z wyjątkiem Conora. Ze skrucą przyznawała, że powrót do domu, do Conora, budzi w niej skrywane podniecenie. Zadała sobie pytanie, czy nie powinna skonsultować się z psychiatrą, choć myśl owa była daleka od konkretnego postanowienia.

Zdecydowanie położyła kres tej samoanalizie - która zresztą, jak uczono ją w szkole, była samorozgrzeszeniem - i otworzyła pismo, usiłując się skupić na artykule o królowej matce. W miarę jednak jak pociąg zbliżał się do Londynu, radość i podniecenie na myśl o spotkaniu z Conorem znów wezbrały w jej sercu.

Ku swemu rozczarowaniu, nie zastała go w domu przy Vernon Street. Na zewnątrz nie było traveller'a, a kiedy weszła do środka, poczuła smutny, zatęchły zapach pustki. Na macie leżało trochę wrzuconej przez otwór w drzwiach korespondencji. Podniosła ją, powiększając równo ułożoną stertę na stoliku w przedpokoju.

Poszła do kuchni, żeby nastawić czajnik. Na komodzie znalazła wiadomość od Conora. Wyjechał na weekend do Yorku, wróci dopiero we wtorek.

Molly poczuła się równie pusta jak jej dom. Zabrała listy i otworzyła je na stole w kuchni. Jak się przekonała, Dolly nie próżnowała podczas jej nieobecności. Zorganizowała kilka wywiadów prasowych i spotkań związanych z przyszłą pracą.

Zadzwoiła do Dolly, która dosłyszała w jej głosie po-zdjęciową chandrę i natychmiast wyciągnęła ją na kolację. Kiedy nadeszła pierwsza rocznica urodzin Margaret Su-sanny, Molly miała już za sobą pewną liczbę przedstawień „Hamleta” w Domu Sztuki na przedmieściach Londynu. Grała Ofelię. Dolly doszła do wniosku, że to dobrze wpłynęło na notowania Molly. Na szczęście krytycy byli podobnego zdania.

Pewnego piątkowego ranka, w maju, zaproszono ją na pokaz roboczej wersji „Smaragdowej nocy” do małego kina, które zostało wynajęte specjalnie na tę okazję. Reżyser już rozpoczął proces nagłaśniania filmu i ściągnął - obok aktorów, ekipy technicznej, facetów z kasą i przyjaciół - starannie dobraną grupę przedstawicieli prasy: pięciu krytyków, których szanował i osobiście znał. Kiedy zapaliły się światła po projekcji, aktorzy, ekipa techniczna, faceci z kasą i przyjaciele wstali z foteli i zaczęli, wiwatując, bić brawo.

Krytycy, jak zauważyła Molly, też klaskali, ale mniej ostentacyjnie. Zdecydowali się siedzieć na uboczu, z daleka od siebie. Bili brawo powoli i ostrożnie, stanowiąc wyspy powagi w morzu entuzjazmu. Wszyscy - a byli to sami mężczyźni - obserwowali pozostałych czterech kątem oka, nie chcąc stracić twarzy poprzez okazanie nadmiernego zachwyty. Oczywiście wszyscy zobowiązali się uprzednio, że zachowają dyskrecję do chwili oficjalnej premiery, ale reżyser wiedział, że obietnica ta jest równie zawodna jak zegarek za dwa pensy. Był zupełnie pewien, że żaden z nich nie oprze się pokusie, by rzucić tu i ówdzie drobną wzmiankę lub aluzję. Każdy z nich będzie chciał zakasować pozo-

stałych, pierwszy rozgłosić nowinę i zostać uznanym - głównie przez krytyków-rywali - za człowieka z koneksjami. Po seansie odbył się obiad w górnej sali przyjemnej restauracji w Covent Garden, na który krytycy - jak przystało na ludzi niezależnych - nie poszli. Molly jednak bawiła się wyśmienicie. Była zadowolona ze swojej gry. Ze zdumieniem przekonała się, że potrafi odsunąć na bok niewiarę we własne siły i widzieć przede wszystkim postać ekranową, a nie siebie samą. Odtwórcy głównych ról, David i Tarniny, nie mogli przyjść na projekcję, bo oboje kręcili za granicą inne filmy, toteż Molly była na obiedzie najważniejszą przedstawicielką obsady i tak też ją traktowano. Wypiła trochę szampana i po drugim kieliszku poczuła się bezcielesna i lekka jak piórko. Zwykle popijała alkohol wodą mineralną, ale tego dnia pozwoliła się ponieść wszechogarniającej fali dobrego nastroju i dalekosiężnych nadziei, i piła szampana kieliszek za kieliszkiem.

Niech to diabli, doszła do wniosku po czwartym, nieczęsto kobiecie udaje się zobaczyć samą siebie w filmie.

- Dziękuję! - rzekła z zadowoleniem, gdy usłużny kelner nappełnił jej kieliszek.

Im więcej Molly piła, tym bardziej rosła jej czułość w stosunku do aktorów i ekipy technicznej, tym błyskotliwsza i ciekawsza wydawała jej się rozmowa z nimi. Doszła do wniosku, że kocha ich wszystkich. Kręcenie filmu to świetna rozrywka.

Nie czekając, aż ktoś to zrobi, znów nappełniła swój kieliszek. Ulała trochę wina na obrus i posłała szeroki, przeproszący uśmiech w obie strony stołu. Wszyscy zapewnili ją, że nic się nie stało i nie ma się czym przejmować.

Jacy uroczy ludzie... Nalała sobie. Kochała aktorstwo, filmy i scenarzystkę, która siedziała po jej prawicy.

- A co tam słyhać u Davida? - zapytała, odwracając głowę i próbując oprzeć brodę na ramieniu, ale jej się nie udało.

- Jakiego znów Davida? - odpowiedziała pytaniem scenarzystka. Zmarszczyła brwi, a w jej jasnoniebieskich oczach odmalowało się zaskoczenie.

- No, Davida! - odparła Molly. - Wiesz, Davida Crofta, naszego gwiazdora! Twojego Davida...

- Ach, tego! - rzekła dziewczyna ze śmiechem, a jej twarz się rozpogodziła. - To wcale nie mój David. Skąd ci przyszło do głowy, że jest mój?

- Ojej! - zawołała Molly, której łokieć zsunął się ze stołu. - Masz ci los! - Zachichotała i zwróciła się do oświetleniowca, który był Australijczykiem: - No jasne. On wcale nie jest jej Davidem. Jest niczyj. *Forsę an... ancoral* - Machnęła ręką nad stołem w geście przypominającym błogosławieństwo i pochyliła głowę. - Co słysząc, Bluey? - zapytała oświetleniowca.

- Kto to jest Cora? - zacięła się scenarzystka. Tym razem Molly się zdziwiła.

- Cora? Jaka Cora?

- Nieważne, skarbie - odparła scenarzystka, klepiąc Molly po ramieniu.

- Wszystko w porządku, Margo! - rzekł oświetleniowiec, który siedział po jej lewej stronie, więc Molly odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Wiedziała, że utrzymuje co najmniej dwie żony i około siedmiorga dzieci.

- A jak tam... jak tam dzie... dzieciaki? - Dostała ataku czkawki.

- Świetnie, Margo, pierwszorzędnie! - odparł tamten z chichotem. - Napij się wody. Może powinnaś wrócić do domu? - Molly doszła do wniosku, że to rozsądny pomysł. Zerknęła na zegarek i ze zdumieniem stwierdziła, że jest prawie w pół do piątej.

Czule pożegnała się z reżyserem, który zamówił dla niej taksówkę i czekał na jej przyjazd przed wejściem do restauracji wraz z Molly. Zanim Molly wsiadła do samochodu, rzuciła się reżyserowi na szyję i powiedziała, że go kocha całym sercem...

Przez całą drogę do domu Molly, która nigdy w życiu nie była tak zalana, upajała się swym frywolnym, pijackim nastrojem. Ze wzruszeniem przypominała sobie wszystkich swoich przyjaciół z obsady i ekipy technicznej. David, kochany David. Musi wysłać mu kartkę. Taksówka brała zakręty, zmieniała pasy, nurkując między samochodami, a Molly, zupełnie rozluźniona, leciała na boki i chichotała.

- Dobrze się pani czuje, złotko? - zapytał kierowca pobłażliwym tonem, wykrzykując pytanie przez ramię po wyjątkowo ryzykanckim zakręcie.

- Jak nigdy... Występuję... występuję w filmie! - Czuła się pełna miłości, kochana i lekka po zrzuceniu wszelkich trosk jak łabędzi puch. Kiedy taksówka zatrzymała się przy Vernon Street, z radością zauważyła zaparkowanego przed domem traveller'a. Conor był w domu. Zapłaciła taksówkarzowi, wręczając mu dziesięciofuntowy banknot i prosząc, by zatrzymał resztę.

- Jestem w domu! - zanuciła, przekręcając klucz w zamku. - Byli zachwyceni, zachwyceni... a ja wypadłam fantastycznie! - ciągnęła, tanecznym krokiem wpadając do kuchni. - Poznajcie Mar-go Mar-go Mar-go Bryan! - wyśpiewywała. - Będę gwiazdą filmową! - Walcząc po kuchni, chwyciła wazon z kwiatami, który stał na komodzie, przystawiła go do ust niby wielki mikrofon i zaczęła naśladować Louisa Armstronga śpiewającego „Piękny jest ten świat”. Umiejętności wokalne nigdy nie były mocną stroną Molly i jej głos załamał się na wysokiej nucie. - Przepraszam! - powiedziała, zatrzymując się raptownie i zatykając sobie ręką usta jak dziecko. Znów zachichotała. Conor, który siedział przy stole w kuchni, uśmiechnął się, widząc jej dobry humor.

-No, dalej. Gwiazdy filmowe mogą śpiewać we własnej kuchni, kiedy im się spodoba.

- Naprawdę? - zapytała.

- Naprawdę - zapewnił ją.

- Hura! - wykrzyknęła, rozsypując kwiaty garściami po całej kuchni.

- Jesteś pijana, Molly! - Był bardziej rozbawiony niż zgorzony.

- Taa. I to boskie uczucie. „O pokoiku marzę wciąż”. -I wzięła na warsztat „My Fair Lady”.

Conor poczekał, aż Molly dośpiewa ostatni refren: „Tak cudownie było-o-by...było-o-by...by-ło-o-by!” Gdy podziękowała ukłonem za jego wstrzemięźliwą owację, przekazał jej swoją nowinę. Miał telefon od adwokata. Nazajutrz jedzie do Dublina, a w poniedziałek jest umówiony na oficjalną

rozmowę w ministerstwie sprawiedliwości w obecności swego prawnika.

- Ależ to wspaniale. Wspaniale! - Molly zbliżyła się z drugiego końca kuchni, odstawiła wazon i zarzuciła Cono-rowi ręce na szyję. Jej gest pozostał bez odzewu, więc pośpiesznie się cofnęła. Czknęła.

- Przepraszam!

- Nic nie szkodzi - odparł sucho. - To było miłe z twojej strony. Nie musisz przeproszać.

Reżyser trafnie dobrał krytyków. Nie upłynęły dwa dni, a rubryki zatytułowane „Pod arkadami” albo „Cyklopi” zaczęły się roić od zdań i akapitów, w których wspomniano - mimochodem - iż niecierpliwie wyczekiwana „Smaragdowa noc” jest skończona.

Jeden z krytyków, Clive Treethorne, w rubryce „Zasłyszane” napisał, że debiutantka Margo Bryan, która „zapadła w pamięć” w „Rzece nadziei”, potwierdziła słuszność tego wrażenia i „można jej wypatrywać” wśród pretendentów do Oscarowej puli.

Inny, Trilby Owens, napisał, że słyszał z wiarygodnych źródeł, iż zachodząca na ekranie reakcja chemiczna między Davidem Croftem a debiutantką Margo Bryan („czyżby kandydatką do Oscara?”) jest „autentycznie elektryzująca”. Trzeci, Derwent Reed, nie próbował nawet kryć, że widział pokaz przedpremierowy, czym rozsierdził pozostałych czterech. Napisał, że chociaż Tammy Simms zaprezentowała „jak zwykle kawałek koronkowej roboty komediowej”, „to aktorskie laury w «Smaragdowej nocy» należą się filuternej, wiotkiej debiutantce Margo Bryan, która pojawiwszy się znikąd na aktorskim firmamencie, zaprezentowała się obiecująco w «Rzece nadziei» (na co niżej podpisany zwrócił wówczas uwagę), a teraz potwierdziła słuszność przewidywań. Nie jest to mało, zważywszy, że miała twarde orzechy do zgryzienia, partnerując dwojgu takim wyjadaczom, jak David Croft i Tammy Simms. Nie przegapiecie Margo Bryan wśród pretendentek do Oscara na początku przyszłego roku...”

Cała ta reklama nie pozostała nie zauważona przez plotkarzy pracujących dla brytyjskich agencji informacyjnych, toteż mały akapit o Margo Bryan, nieco przerobiony i uwypuklający elementy irlandzkie, trafił do hali depeszowej „Irish Record” w Dublinie, gdzie został zerwany z maszyny i umieszczony wraz z kopią w koszyku redaktora działu aktualności.

Redaktor przeczytał teleks i zaniósł go na biurko jednej z dziennikarek.

- Czy to nie twoje dziecko? - zapytał. Una O'Connor przeczytała akapit.

- Chcesz coś na jej temat? - zapytała.

- Nie słyszę w twoim głosie entuzjazmu.

- Jeśli sobie życzysz, to napiszę.

Redaktor zastanowił się. Zbliżał się letni sezon ogórkowy, więc gazeta, jak zwykle o lej porze roku, chętnie zamieszczała artykuły o znanych osobach. Nawet jeśli nic się z tego nie urodzi, a ta kobieta, Bryan, rzeczywiście dostanie nominację do Oscara, warto choćby nawiązać z nią bezpośredni kontakt.

- Tak - powiedział. - Sprawdź, co się da zrobić.

Una wzięła głęboki oddech. Zastała Molly w domu za pierwszym razem.

- Cześć! - powiedziała radośnie. - Pamiętasz mnie? Jestem Una O'Connor z „Irish Record”.

- Ach, tak, Una, oczywiście, pamiętam. - Molly zawahała się i Una wyczuła, że jej rozmówczyni coś rozważa w myślach. Ach, ten Sean.

- Słuchaj - powiedziała - to jest pewnie równie krępujące dla ciebie, jak dla mnie, i przykro mi z tego powodu, ale dzwonię w sprawach służbowych. Moja redakcja chciałaby zamieścić jeszcze jeden artykuł o tobie w związku ze spekulacjami na temat Oscara dla ciebie i twojego filmu.

- Przecież on nawet jeszcze nie wszedł na ekrany!

- Ale wejdzie lada chwila. Artykuł o tobie zbiegłby się w czasie z tutejszą premierą. - Una ponownie dosłyszała wahanie w głosie swojej rozmówczyni. Najchętniej nie mieszałyby się w nic, co ma związek z Seanem Molloyem, ale praca to praca. Odwołała się więc do aktorskiej powinności

Molly: - Jestem pewna, że ten artykuł przyciągnąłby naszych widzów. Umieścilibyśmy go w dobrym miejscu.

- O czym byś napisała?

- To byłoby znowu coś osobistego, o tym, co robiłaś przez ostatni rok, który - jak się domyślam - miał dla ciebie duże znaczenie.

- Czy mogłabyś pominąć moje życie prywatne?

- Masz na myśli swoje małżeństwo?

- Nie - odparła Molly cicho. - Mam na myśli śmierć mojego dziecka.

Tym razem Una zwlekała chwilę z odpowiedzią.

- Chyba znasz mnie już na tyle, żeby wiedzieć, że cię nie zawiodę.

- No dobrze.

Una zawiadomiła redaktora, że zaklepała wywiad.

- W porządku - powiedział - ale zrób go natychmiast. Abbey Street i Burgh Quay też odbierają depesze. - Wymienił ulice, na których mieściły się siedziby pism rywalizujących z „Irish Record”. - A co ze zdjęciami?

- Tym razem nie chcę brać ze sobą fotografa - odparła szybko Una. - Później to załatwimy.

Wróciła do biurka, po raz drugi zadzwoniła do Molly i umówiły się na spotkanie, tym razem w domu Molly, naza-jutrz o dziesiątej rano.

Podczas wizyt w Londynie Una zawsze zatrzymywała się w hotelu „Regent Palace” nie ze względu na luksusowe warunki - daleko mu było do luksusu - ale z powodu jego lokalizacji. Znajdował się tuż przy stacji metra Piccadilly, naprzeciwko sklepu „Boots” i w pobliżu kilku barów szybkiej obsługi. Dziennikarce więcej nie trzeba.

Wstała o siódmej, a o dziewiątej była już po śniadaniu i łapała na dole taksówkę. W magnetofonie miała świeże baterie, parę zapasowych w kieszeni, a w torebce odpakowane z celofanu nowe kasety. Molly wytłumaczyła jej, jak trafić na Vernon Street metrem, ale jeśli Una nie знаła miejsca, w którym miała przeprowadzić wywiad, zawsze korzystała z najpewniejszego środka transportu, czyli w wypadku Londynu - z taksówki.

Po drodze stanowczo odpędzała wszelkie myśli o Seanie Molloyu; nigdy nie potrafiła nazywać go prawdziwym imie-

niem - Conor. Podczas długich, samotnych nocy w swej sypialni zrozumiała, że sprawił, iż nie miała ochoty na innych mężczyzn, ale umiała szybko wylizywać rany i wierzyła w przeznaczenie. To jej wina, że znalazła się w takiej sytuacji. Robiła karierę, wykorzystywała Margo Bryan, ale nie osiągnęła swego podstawowego celu. Jej drugi cel - utrzymywanie kontaktów zawodowych z Molly jako aktorką - jest niezależny od pierwszego i musi być realizowany. Taksówka podjechała pod drzwi Molly dwadzieścia minut przed czasem, więc Una poszła na spacer. Lepiej zjawić się na wywiad za późno niż za wcześnie, bo rozmówca -zwłaszcza jeśli jest zdenerwowany i trzeba go nakłaniać do zwierzeń - może być jeszcze niegotowy. Jeśli zaś ma się otworzyć, to przede wszystkim musi czuć się bezpiecznie. Vernon Street - wzdłuż której, jak zauważyła, biegły dwoma rzędami dobrze utrzymane domki z tarasami w stylu wiktoriańskim - leżała w bardzo spokojnej części Londynu, ale na rogu sąsiedniej ulicy Una zauważyła sklep. Bardziej dla zabicia czasu niż z prawdziwej potrzeby weszła do środka i kupiła batonik Mars. Było prawie za dziesięć dziesiątą. Powolnym krokiem wróciła na Vernon Street, wystawiając swe obserwacyjne czułki na wypadek, gdyby musiała ubarwić artykuł - zwracała uwagę na domy, ogródki i samochody.

Skręciła za róg i stanęła jak wryta. Przed domem stał zaparkowany traveller. Miała pewność, że go tam nie było, kiedy przyjechała taksówką, bo niezawodnie by to zauważyła. Jej serce załomotało pod wpływem dawnych uczuć i zdenerwowania. Co robić? Zacisnęła wargi. Idzie na wywiad. To ma zrobić. Zadzwoiła do drzwi minutę po dziesiątej.

Poczła ulgę, gdy usłyszała głos Molly. Odruchowo zlustrowała jej strój - dżinsy i męską koszulę - oraz twarz -aktorka wyglądała poważniej, ale jakoś swobodniej. Wciąż była zjawiskowo piękna. Podczas gdy się witały, Una zrobiła pamięciową fotografię przedpokoju - czerwono-biała terakota, jedna nieduża akwarela - abstrakcyjna - antyczny stolik, białe róże w małej wazie. Zapamiętała też zapachy i nas'troj mieszkania - kawa, dużo światła, ciepło, przytulność.

Molly zaprowadziła ją do niedużego salonu, który przylegał do holu. Był pięknie i prosto urządzone - znajdowały się w nim odpowiadające jego rozmiarom, nie za duże krzesła i stoły oraz uroczy, stary wiktoriański kominek, w którym teraz palił się ogień gazowy. Tu także wszędzie stały misy z białymi kwiatami.

- Zapraszam, Uno. To się już robi tradycja, prawda?

- Cóż - odparła Una. - Niektórzy dziennikarze specjalizują się w żelaznej kurtynie, inni piszą o wystawach kwiatów, a ja o tobie!

Molly roześmiała się.

- Masz ochotę na kawę?

Una przytaknęła i Molly wyszła z pokoju. Gdzie on jest? W kuchni? Czy w ogóle go zobaczy? Ogarniała ją na przemian obawa przed tym spotkaniem i ochota na nie, przez co nie mogła się skupić. Wstała, żeby przejrzeć tytuły książek stojących w oszklonej biblioteczce, wsuniętej w niszę koło kominka. Nie powinna była tego robić.

Biblioteczka zawierała zbiór sztuk teatralnych, powieści w broszurowych wydaniach oraz tomów dzieł botanicznych i archeologicznych. Czy on tu mieszka?

- Oglądałam twoje książki - powiedziała, kiedy Molly wróciła z aromatyczną kawą i talerzem ciasteczek.

- Nic nadzwyczajnego.

Unie nie pozostało nic innego jak zapytać:

- Jest tu twój brat?

Molly rzuciła jej szybkie spojrzenie.

- Tak, istotnie. Teraz tu mieszka, ale za parę minut wychodzi - dodała pośpiesznie. - Jedzie do Dublina.

- No dobrze. Zaczynamy? - Zmieniła temat Una i zajęła się magnetofonem.

Energicznie wzięła się do dzieła, uzupełniając luki w swojej wiedzy na temat rozwoju kariery aktorskiej Molly od czasu ich ostatniego spotkania, a przede wszystkim wypytyując o „Smaragdową noc”. Była bardzo skoncentrowana i chociaż co jakiś czas dobiegały ją odgłosy z drugiej części domu, skutecznie udawało jej się prowadzić wywiad na dwóch poziomach. Zdając się na magnetofon, jeśli chodzi o rejestrowanie toku pytań i odpowiedzi, które były dość ty-

powe, wychwytywała intuicyjnie podteksty, obserwowała zmianę wyrazu twarzy rozmówczynie i wsłuchiwała się w ton jej głosu, w chwili milczenia, momenty zawahań i przyśpieszeń. Cały czas czekała na odpowiednią okazję, żeby nakierować rozmowę na temat prywatnego życia Margo.

Osiągnęła cel łatwo i w naturalny sposób. Molly opowiadała o scenach, których kręcenie w obu filmach sprawiało jej największą przyjemność. Una łagodnie kontynuowała ten temat, wyciągając informacje o technikach aktorskich, o powodach, dla których ta a nie inna scena była przyjemniejsza od pozostałych, kiedy trzask w magnetofonie oznajmił, że skończyła się pierwsza strona pierwszej kasy. Una, która wytrwale i dyskretnie tworzyła ciepłą otoczkę intymności i zrozumienia, wyciągnęła rękę, żeby przełożyć kasę. Nie odrywając wzroku od magnetofonu i wykonując bardziej skomplikowane ruchy, niż to było konieczne, zapytała swobodnym tonem:

- Czy było ci trudno wrócić do pracy po śmierci dziecka? Molly nie odpowiadała, ale Una nadal manipulowała przy magnetofonie, jakby miała trudności z włożeniem kasy z powrotem. W końcu udało jej się uruchomić magnetofon. Umieściła go ponownie na stoliku, gdzie stała kawa i ciasteczka. Pochyliła się do przodu, spoglądając z wyczekiwaniem i współczuciem na swą rozmówczynię. Bardzo niewielu ludzi potrafi znieść dłuższą przerwę w konwersacji i Molly nie była wyjątkiem.

- Owszem - przyznała wreszcie.

- Czy wszyscy byli dla ciebie życzliwi? - zapytała Una, zniżając głos, by dostosować się do tonu Molly. Znów czekała. Molly zawahała się, lecz Una nie straciła zimnej krwi.

- Tak - odparła aktorka - ale nie sądzę, by człowiek, który przez to nie przeszedł, mógł zrozumieć, jakie to trudne. Una zorientowała się, że trafiła na żyłę złota.

Przez następne pół godziny Molly mówiła o porodzie i o śmierci dziecka, początkowo zrywami, ale potem płynnie. Miała typową dla aktora, zmysłową pamięć i oko do szczegółów. Una czuła mrowienie w karku, które było znakiem, że zdobyła dobry materiał. Ta historia była fantastyczna pod każdym względem. Kiedy skończyła się druga

strona pierwszej kasy, Una nie zmieniła jej od razu, lecz nadal patrzyła na aktorkę, która opowiadała właśnie o życzliwości Bridget Slevin i płakała. Dziennikarka wcisnęła w mózgu guzik pamięciowego magnetofonu i, utrwalając sobie w głowie cytaty, powoli sięgnęła do stojącej u jej stóp torby i wymacała drugą kasę. Zdołała ją wymienić, nie przerywając toku opowieści rozmówczyni. Włączyła urządzenie i, rozluźniwszy się, pozwoliła mu odgrywać swą rolę, sama zaś skoncentrowała się na podtrzymywaniu relacji Molly.

Jej monolog urwał się jednak nagle, gdy Conor otworzył drzwi salonu.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale muszę już iść, bo inaczej spóźnię się na samolot. - Podszedł do Uny. - Nie mogłem odejść, nie przywitawszy się z tobą - powiedział.

Spojrzał na zapłakaną i wyczerpaną Molly. Una poczuła absurdalne wyrzuty sumienia.

- Wszystko w porządku, Molly? - zapytał.

- Tak, tak, w porządku - odparła. - Naprawdę! Odżyło we mnie tylko kilka wspomnień...

Conor ponownie odwrócił się do Uny.

- Co słychać, Uno?

- Wszystko świetnie.

- A propos, dziękuję za list. - Una niejedną noc zwijała się w pościeli na wspomnienie tego, co napisała w liście - nie żeby żałowała albo zmieniła zdanie, ale nie miała pojęcia, jak jej słowa zostały przyjęte. - Mam go jeszcze - dodał po chwili. - Przepraszam, że nie odpowiedziałem. Kiedyś to zrobię... obiecuję.

Una skinęła głową, niezdolna wymówić słowa.

- No, muszę lecieć. Pa! Życz mi powodzenia, Molly.

- Oczywiście, Conorze! Pocałował obie w policzek i wyszedł.

Una zauważyła, że magnetofon wciąż jest włączony. Wyłączyła go. W panującej ciszy usłyszały trzaśnięcie drzwi i warkot zapalnego silnika traveller'a. Una - co było u niej niezwykle - nie wiedziała, jak się zachować. Musiała jakoś utrzymać intymną atmosferę, którą udało jej się wytworzyć. Chciała, by Molly czuła się bezpiecznie, by miała pew-

ność, że informacje o jej życiu prywatnym zostaną umieszczone w odpowiednim kontekście, a jednocześnie sama była jeszcze psychicznie roztrzęsiona po spotkaniu z Cono-rem. Zmusiła się, żeby nie dotknąć policzka w miejscu, gdzie ją pocałował.

- Czy masz jakieś wycinki, recenzje, które mogłabym zacytować w artykule? - Znow weszła na bezpieczny, neutralny grunt.

Molly wyglądała, jakby powrót do tematu gry aktorskiej niemal ją przeraził. Zmarszczyła czoło.

- Nie sędę - odparła. Zebrała myśli. - Ale Dolly ma je posegregowane... znasz moją agentkę, Dolly Mencken?

Una skinęła głową.

- Skontaktuję się z nią po powrocie do hotelu. - W głębi duszy odrzucała nawet myśl, o tym, że mogłaby zbliżyć się do tej starej piły. - Bardzo dziękuję. Dam ci już spokój. - Teraz najważniejsze to wyjść, zanim Margo Bryan zda sobie sprawę, że powiedziała za dużo, i zacznie stawiać warunki.

- Masz ochotę na jeszcze jedną kawę? - Molly już panowała nad sobą.

- Nie, dziękuję... ale powiedziałaś, że lubisz zajmować się ogrodem. Z przyjemnością bym go obejrzała - odparła szybko Una, nie chcąc dać po sobie poznać, jak bardzo jej pilno wyjść.

Ta prośba autentycznie ucieszyła Molly.

- Oczywiście. Wygląda uroczo o tej porze roku. - Skierowały się ciasnym korytarzem ku oranżerii i małemu patio.

- Jaka śliczna kuchnia! - wykrzyknęła Una, z zachwytem patrząc na duże, słoneczne pomieszczenie, które było tutaj jednym z najładniejszych miejsc.

- Ładna, prawda? Część mebli sprowadziłam z Irlandii, żeby przypominały mi o domu... tę małą skrzynię, ten kredensik... Ojej! - zawołała Molly, dostrzegając coś na nim. - Zupełnie o tym zapomniałam. Prosiłaś o wycinki? -

Uniosła ręce i zdjęła z kredensu stare, sponiewierane pudełko po butach. Zdmuchnęła kurz z wieka. - Przepraszam! Wygląda na to, że moja sprzątaczką nie sięga tak wysoko. Nawet ich nie czytałam - ciągnęła. - Wycinkami zajmuje się

Dolly. Ma wszystkie u siebie, ale to są chyba jakieś starocie. Przydadzą ci się?

- Wspaniale. Bardzo dziękuję. - Una wzięła pudełko.

- Zwrócisz mi je przy okazji - powiedziała Molly, po czym coś sobie przypomniała. Odebrała Unie pudełko, otworzyła je, wyjęła kartkę leżącą na samym wierzchu, zmięła ją i wsunęła do kieszeni dżinsów. Na kartce był jakiś napis, ale Una nie zdążyła go odcyfrować. Molly umieściła wieko na miejscu, oddała jej pudełko i poprowadziła ją przez oranżerię do ogrodu.

Patio rzeczywiście wyglądało uroczo. W korytkach, skrzyniach i donicach rosły różne rośliny, których Una nie potrafiła nazwać. Rozpoznawała tylko piękne kwiaty rodo-dendronu. Był dopiero maj, ale tutaj słońce mocniej grzało i pszczoły hałaśliwie oblegały usiany niebiesko-fioletowymi kwiatami krzak.

Stały obie w słońcu i ucięły pogawędkę na temat ładnego lata, które zapowiadano w tym roku. Una pozachwycała się patio i kwiatami, a potem oświadczyła, że zabrała już Molly wystarczająco dużo czasu i musi iść. Z trudem podtrzymując pudełko po butach, swój magnetofon i torebkę, chwyciła w drzwiach dłoń aktorki.

- Przepraszam, że się tak roztkliwiłam - powiedziała Molly. Urwała, po czym zdobyła się na odwagę. - Nie mam zamiaru zabraniać ci wykorzystania tego materiału o dziecku, ale mogę chyba liczyć, że nie zrobisz z tego sensacji?

-Una dosłyszała prośbę w głosie Molly i wezbrało w niej współczucie. Mając materiał na taśmie, mogła sobie pozwolić na luksus humanitaryzmu.

- Nie obawiaj się - odparła szczerze. - Obiecuję, że wszystko będzie jak należy. Poza tym jestem pewna, że twoja wypowiedź bardzo pomoże innym kobietom, które znalazły się w takiej samej sytuacji.

- Coś w tym jest - rzekła Molly, ale Una zauważyła, że aktorka nadal ma wątpliwości.

- Uwierz mi, proszę - powiedziała. - Możesz mi zaufać! - Tym razem też była szczerą. Nie byłoby przyszłości dla niej ani dla pisma, gdyby oszukała tę kobietę, trywializując jej wyznania. Może być jeszcze kiedyś potrzebna. Oddalając

się od domu, już układała w myślach pierwszy akapit. Równocześnie jednak pragnęła samotności, by móc pomarzyć o Conorze. Nie mogła się doczekać, kiedy znów znajdzie się w Dublinie.

Gdzie on tam zamieszka? Tę niebezpieczną myśl należało jednak jak najprędzej zdusić.

Kiedy wróciła do hotelu, z którego zdążyła się wcześniej wymeldować, była już spokojna. Odebrała od portiera torbę i ostrożnie włożyła do niej magnetofon. Próbowwała wcisnąć także pudełko po butach, ale się nie zmieściło. Co za utrapienie, pomyślała, żałując, że poprosiła o wycinki. Będzie musiała je taszczyć ze sobą do Dublina, a potem jeszcze męczyć się z pakowaniem i odsyłaniem. Przemknęło jej przez myśl, żeby nadać pudełko od razu, z Londynu, ale doszła do wniosku, że zachowałaby się jak niewdzięcznica.

Możliwe przecież, że znajdzie w środku coś, co da się wykorzystać - choć już teraz wie, że ma na taśmie więcej niż trzeba na jeden z najlepszych w jej karierze artykułów o tematyce ogólnoludzkiej.

Nie chcąc pogrążyć się w rozmyślaniach o Conorze, Una zabrała się do pisania artykułu już w dziesięć minut od chwili, gdy weszła do swego zniszczonego, zabałaganionego-go pokoju. Nie przypuszczała, że będzie tak długo mieszkała w takich warunkach - z pewnością było ją stać na coś lepszego - ale jej uwagę i czas zawsze absorbowano jakiegoś ciekawszego zajęcia niż polowanie na mieszkanie lub dom.

Powiesiła kurtkę na drzwiach i rzuciła torbę oraz pudełko po butach na łóżko. Nie zrobiła sobie nawet kawy, lecz od razu wyjęła z torby magnetofon i postawiła go na stole, który stał na środku pokoju i służył jednocześnie za stół jadalny, kuchenny i roboczy. Jedna z jego nóg była krótsza niż pozostałe trzy i wspierała się na małym klocku drewna. Una zastanawiała się przez chwilę, czy nie zadzwonić do redaktora, ale postanowiła tego nie robić. Zawsze istniało ryzyko, że będzie miał negatywny wpływ na jej pracę. Odezwie się do niego, jak skończy pisać. Nic nie wpływa gorzej na przekonanie dziennikarza do tematu jak kłótnia na temat artykułu przed jego powstaniem.

Najpierw wystukała na maszynie fragmenty, które zapamiętała podczas zmieniania taśmy. Potem włączyła magnetofon. Spisała wywiad, opuszczając tylko własne pytania; zajęło jej to prawie cztery i pół godziny. Kiedy w mieszkaniu Uny rozległ się odgłos otwierania drzwi salonu Molly, a potem głos Conora, było po jedenastej.

Una nagłym ruchem wyłączyła magnetofon i wstała. Uświadomiła sobie, że jest bardzo głodna. Przeszła do lodówki w „kuchni”, którą oddzielała od „salonu” zasłona wisząca na metalowym pręcie, ale nie znalazła tam nic oprócz kartonu mleka i dwóch spleśniałych pomidorów.

Wyszła więc z domu i udała się do pobliskiego lokalu „Kentucky Fried Chicken”, położonego w odległości kilkuset metrów, na Rathmines Road. O tej porze, po zamknięciu barów, zawsze kłębiły się tam tłumy klientów. Musiała stanąć w kolejce, żeby kupić smażonego kurczaka i colę, a ponieważ wszystkie stoliki były zajęte, postanowiła wziąć jedzenie do domu. Otworzyła drzwi mieszkania i z paczuszką w ręku przeszła przez pokój, by włączyć stojące na nocnym stoliku radio. Jej torba podróżna leżała otwarta na łóżku, gdzie ją porzuciła, a obok pudełko po butach.

Pstryknęła wyłącznikiem, nastawiła ogólnokrajową stację z muzyką pop, RTE Radio Two, i spojrzała z niesmakiem na pudło. Zebrała aż nadto materiału, ale poczucie obowiązku i własny perfekcjonizm brały górę. Może jest w środku coś, o czym ona jeszcze nie wie. A nuż pudło się przyda, skoro przy dźwigała je aż z Londynu.

Usiadła na łóżku, otworzyła colę oraz kartonik z jedzeniem i włożyła do ust frytkę. Następnie zdjęła wieko pudełka i przewróciła je do góry dnem, chcąc wytrząsnąć wycinki na łóżko. Były miękkie i poszarzałe, a niektóre nawet pożółkłe, ale zostały starannie złożone, tak by dokładnie pasowały rozmiarami do pudełka, toteż nie chciały się wysypać. Wytarłszy zatłuszczone palce, by nie pobrudzić wycinków, Una podważyła te, które przyłgnęły do dna. W pudełku znajdowało się coś jeszcze. Była tam koperta. Widniało na niej nazwisko Uny. Czyżby Molly zrobiła jej jakiś kawał?

Serce Uny zamarło. To Conor! Powiedział, że „kiedyś” odpowie na jej list...

Zanim otworzyła kopertę, zjadła jeszcze jedną frytkę, jakby chciała spowolnić bieg wydarzeń.

Sama nie wiedziała, czy nagłówek przyniósł jej rozczarowanie, czy też nie. „Droga pani O'Connor...” Czyli to nie od niego. Ale wobec tego od kogo? Zabrała się do czytania.

Szanowna pani O'Connor! Proszę wybaczyć, że ją niepokoję, ale przeczytałem Pani artykuł w dzisiejszej gazecie i uważam, że powinienem przekazać Pani pilnie wiadomość, która może Panią zainteresować...

Musiała dwukrotnie przeczytać list, zanim w pełni dotarła do niej jego treść.

Bez względu na to, w jaki sposób ten list trafił do wycinków Margo Bryan, jego sens był jednoznaczny: ta kobieta wyszła za męża za własnego brata. Czy wiedziała o tym? To pytanie zadudniło Unie w głowie. A potem przyszły odpowiedzi. Tak, zapewne dlatego dziecko przyszło na świat niedorozwinięte.

W głowie Uny zaczął pracować system automatycznego rozumowania. Musi coś sprawdzić.

Poszła do swojej własnej „kartoteki” - kilku płóciennym toreb sportowych, które trzymała pod łóżkiem we względnym porządku - i zaczęła ją przeszukiwać, aż odnalazła swój artykuł o Molly i Christianie. Sprawdziła, czy daty zgadzają się z podanymi w liście Federalnego Urzędu Lotnictwa.

Zgadzały się. Nie może być mowy o pomyłce.

O ile wcześniej sądziła, że zdobyła dobry materiał, o tyle teraz miała przebój. A jeśli Molly dostanie Oscara...!

Spokojnie, spokojnie. Nie wolno tracić głowy. Musi wszystko dobrze przemyśleć. Kto mógł napisać do niej ten list i dlaczego akurat do niej?

Przeczytała jeszcze raz. Odpowiedź na drugą część pytania była prosta: „Jestem po lekturze Pani artykułu w dzisiejszej gazecie...”

Ale kto go przeczytał?

Śledziłem karierę pani Bryan z wielkim zainteresowaniem... To wyjaśnia obecność wycinków.

...miałem swoje powody, by przeprowadzić dochodzenie na własną rękę...

Dlaczego?

Powodem do przeprowadzenia takiego śledztwa mogą być tylko sprawy osobiste. Ten mężczyzna - lub ta kobieta - osobiście interesował się Molly. Przypuszczenie, że był to ktoś w niej zakochany, jest zbyt banalne. Logiczniejszy wydaje się wniosek, że to kobieta. Prawdziwa matka Molly?

Jeszcze raz przejrzała swój stary artykuł. Smithowie byli zamożną rodziną, dziecko zginęło w wyczarterowanym samolocie gdzieś nad morzem. Matki dziecka nigdy nie odnaleziono. Nawet gdyby się jakimś cudem uratowała bez wiedzy swojej rodziny, to czy jest prawdopodobne, by znając miejsce pobytu córki i śledząc jej karierę, nie dała o sobie znać?

To wyjaśnienie było zbyt naciągane. Una doszła do wniosku, że wymyśla banialuki. Aby okiełznać swoją wyobraźnię, przeszła przez pokój, otworzyła pojedyncze, rozklekotane okno i wysunęła głowę na zewnątrz. Siąpiło, ale zamknęła oczy i pozwoliła, by mżawka ochłodziła jej rozpalone policzki. W grę wchodziło tylko jedno wytłumaczenie. List został napisany przez mężczyznę, który kochał Molly, ale nie mógł tego okazać.

Żonaty?

Przypomniał jej się końcowy fragment listu. Cofnęła głowę, zamknęła okno, podeszła do łóżka i wzięła list do ręki.

Wyznано mi je w zaufaniu... Wyznано...

Podczas spowiedzi! Ten mężczyzna jest księdzem.

Pod Uną ugięły się kolana. Usiadła na łóżku. Przekopała swoją torbę, wyjęła z niej batonik, który kupiła dzień wcześniej, odpakowała go drżącymi rękami i odgryzła wielki kęs.

Co robić?

Przede wszystkim powinna się skontaktować z Margo Bryan. Spojrzała na zegarek. Było za kwadrans pierwsza w nocy. Sprawa musi poczekać - nie można przecież budzić kobiety taką informacją. Szczerze mówiąc, w ogóle nie powinna z nią o tym rozmawiać przez telefon. Pojedzie do niej najszybciej, jak się da.

Wepchnęła do ust niemal całą resztę batonu, nastawiła głośniej radio i zaczęła zaciekle przeżuwać. (Od tej chwili już zawsze Una będzie kojarzyć Margo Bryan z wypełniającą-

ca jej usta kleistą czekoladą i karmelem oraz z muzyką Average White Band.)

Zrzuciła ubranie, zgasiła światło i próbowała usnąć. Cisnęły jej się jednak do głowy nowe pytania związane z tą sytuacją. Co z Conorem? Wygląda na to, że wcale nie jest bratem Molly. Czy o tym wie? Może dlatego tak nagle zerwał z nią, Uną?

Usiłowała nie roztrząsać tego aspektu sprawy. To by tylko dodatkowo skomplikowało i bez tego wystarczająco trudne zadanie dziennikarskie, które przed nią stoi. Nie mogła jednak zasnąć. W pewnej chwili zapaliła lampkę nocną i jeszcze raz przeczytała list. Zgasiła światło i znów się położyła. Czy odważy się zapytać Molly o Conora? Koło czwartej Una zrezygnowała z prób zaśnięcia. Wzięła słoik po kawie, w którym trzymała dziesięciocentówki, i powlokła się korytarzem do wspólnej łazienki. Było tam zimno i wilgotno, ale w stanie takiego rozgorączkowania chłód sprawiał jej przyjemność. Wrzuciła monetę, włączyła piecyk gazowy i wzięła długą, gorącą kąpiel.

Znalazła się na lotnisku tuż po siódmej. Używając karty American Express, kupiła bilet do Londynu, i chociaż pierwszy lot, przed ósmą, był już w całości zarezerwowany, udało jej się dostać miejsce w okienku zwrotów. Miała bardzo mało czasu do wejścia na pokład, ale znalazła automat telefoniczny i wystukała numer Molly.

Usłyszała sześć dzwonek, zanim Molly podniosła słuchawkę. Kiedy aktorka powiedziała sennym głosem: „Halo?”, monety zaczęły wpadać do otworu, a żołądek Uny skręcił się ze zdenerwowania. Bała się, że Molly się rozłączy.

- Halo? - odezwała się, jak tylko usłyszała brzęk ostatniej wpadającej monety.

- Tak? Kto mówi?

- Tu Una, Molly. Strasznie przepraszam, że tak wcześnie cię budzę, naprawdę, ale w związku z artykułem, który o tobie piszę, wynikła pewna bardzo, bardzo pilna sprawa...

- Wiesz, która jest godzina?

- Tak, i możesz mi wierzyć, że nie zrywałabym cię z łóżka, gdyby to nie było wyjątkowo ważne. Jestem na lotnisku... lecę do Londynu, żeby się z tobą zobaczyć.

- Co?

Una usłyszała zniecierpliwienie w głosie po drugiej stronie drutu i rzuciła czym prędzej:

- Mam dla ciebie pewną informację.

- Jaką informację?

- Dotyczącą twojego męża - odparła w przypiływie natchnienia.

Zaległa krótka cisza. Do otworu wpadła kolejna moneta.

- Co z nim? - W głosie Molly drżała obawa.

- Nie mogę ci powiedzieć przez telefon, wierz mi. Ale myślę, że naprawdę powinnaś się zgodzić na spotkanie ze mną. - Una usłyszała, że w głośnikach sali odlotów grzmi ostatnie wezwanie na jej lot.

- Cóż, wygląda na to, że już jesteś w drodze!

- Przyjadę do ciebie prosto z lotniska.

- Dobrze.

- Jeszcze raz przepraszam, że cię obudziłam, Molly.

- Nic nie szkodzi.

Una odwiesiła słuchawkę i popędziła do samolotu. Wpadła na pokład ostatnia i zdyszana rzuciła się na fotel. Gdy tylko samolot wzbił się w powietrze, żołądek zaczął jej się przewracać na skutek mdłości i zdenerwowania. Czego ja się boję? - powtarzała sobie, ale na nic się to nie zdało. Choć ze względów zawodowych była wciąż podniecona swoim odkryciem, drżała przed tym, co miało ją spotkać, i wyobrażała to sobie na wiele sposobów: Margo niedowierzająca, wściekła, oburzona, rzucająca pogrożki, płacząca, agresywna, rozhisteryzowana. Może wszystko naraz? Jak Una by się poczuła, gdyby ktoś, i to z prasy, zjawił się u niej ni z gruszki, ni z pietruszki z dowodem, że jej mąż jest jej bratem?

Gdzieś w środku dręczyło ją cały czas uporczywe, dręczące pytanie natury osobistej. Jak określić w tym wszystkim miejsce Conora? Najpierw był przyjacielem, potem bratem, a teraz kim jest? Una odrzuciła myśli o Conorze. Będzie się nad tym zastanawiać po załatwieniu sprawy z Molly.

Przyszło Unie do głowy, że może powinna przyjść z kwiatami - w hali przylotów na Heathrow jest stoisko z kwiatami--

mi - ale ten pomysł wydał jej się po chwili zbyt sentymentalny i nieszczerzy.

Pudełko po butach miała w dużej plecionej torbie. Jadąc metrem do miasta, była świadoma jej niestosownego, zniszczonego i staroświeckiego wyglądu. Anonimowy list włożyła do torebki, którą ścisła pod pachą, a torba podróżna, jeszcze nie rozpakowana na dobre od wczoraj, dziś również zawierała magnetofon z nowiusienką taśmą i nowy komplet baterii. Una nie miała konkretnej wizji, jak sobie poradzi z całą tą sytuacją z zawodowego punktu widzenia. Dobre wychowanie nie pozwoli jej od razu wyjąć magnetofonu.

Podstawowy problem pozostawał nie rozwiązany. W jaki sposób przekazać tę straszliwą nowinę? Czy powinna iść przebojem, czy też obchodzić się z Molly jak z jajkiem? Jeszcze nie podjęła decyzji, kiedy taksówka zatrzymała się na rogu Vernon Street. Zapłaciła kierowcy i z walącym sercem podeszła do jaskrawożółtych drzwi Margo Bryan. Nie mniej głośno waliło serce Molly czekającej na dziennikarkę. Wrogowie nie noszą rogów ani końskich ogonów na hełmach, lecz mówią miękkim, czarującym głosem. Molly miała złe przeczucia co do Uny O'Connor, mimo jej szczerej, piegowatej twarzy i grzywy rudych włosów.

Czuła napięcie i zdenerwowanie. Usiłując usmierzyć swe obawy, po telefonie dziennikarki wzięła pachnącą kąpiel i włożyła jeden ze swych ulubionych, najwygodniejszych strojów - biały bawełniany kombinezon. Nie potrafiła jednak zachować spokoju, a minuty ciągnęły się jak godziny. Kto wie, kiedy ta kobieta się pojawi?

Próbowała czytać scenariusz, który Dolly przysłała jej z sugestią, by go przychylnie potraktowała. Film miał być kręcony w Argentynie i był wysokobudżetowym, gwiazdorskim przedsięwzięciem jednej z największych wytwórni. W załączonej notatce Dolly pisała, że rola jest dla Molly idealna, ostrzegała jednak, iż ze względu na wysokość budżetu - a co za tym idzie, także ryzyka - niewykluczone są zdjęcia próbne. Molly usiłowała skupić się na tekście, ale uświadomiła sobie, że czyta cały czas tę samą stronę. Rzuciła scenariusz na stół kuchenny, lecz po chwili znów go

wzięła do ręki, zaniosiła z powrotem do salonu i odłożyła porządnie na półkę. Otworzyła radio, ale nie udało jej się znaleźć niczego, co byłoby pozbawione podtekstu religijnego, z wyjątkiem Trójki, gdzie puszczano muzykę, której nie lubiła. Wyłączyła odbiornik i zaczęła chodzić po mieszkaniu, poprawiając poduszki, które nie wymagały poprawiania, i przecierając i tak już nienagannie czyste blaty w kuchni.

Wyszła na patio. Po serii przepięknych, ciepłych dni pogoda zmieniła się w ciągu jednej nocy. Poranek wstał pochmurny, a północno-wschodni wiatr zrywał płatki z wczesnie kwitnących róż i niektórych delikatniejszych roślin w doniczkach, rozsypując je po kamiennych płytach niczym pastelowe płatki śniegu. Zadrżała z chłodu, więc wróciła do mieszkania i znów zaczęła spacerować z pokoju do pokoju w poszukiwaniu jakiegoś sensownego zajęcia.

Wszystko jednak lśniło czystością. Pani Sharma była wczoraj po południu, toteż Molly nie znalazła ani jednego pyłka kurzu, który mogłaby usunąć. Wyjęła rozpinany sweter, narzuciła go na ramiona i wróciła na patio. Zmiotła strącone płatki, a potem zaczęła oczyszczać geranium i pelargonie w doniczkach. Wiatr kęsał policzki Molly, ale jednostajna praca nieco ją uspokajała.

Co też ta kobieta może wiedzieć o Christianie takiego, o czym Molly sama nie poinformowała jej w wywiadzie? Przerażała ją myśl, że dziennikarce udało się jakimś sposobem odnaleźć jej męża. Jeśli tak, w jakim jest stanie? Czyżby kruchy spokój życia znów miał jej zostać wydarty? Ale przecież Una O'Connor nie zdołałaby chyba odszukać Christiana w tak krótkim czasie, między godziną opuszczenia jej domu wczoraj a siódmą rano dzisiaj? To niemożliwe. Chyba że jakiś nadzwyczajny przypadek sprawił, iż natknęła się na niego w Dublinie i rozpoznała go. Albo może to on się z nią skontaktował...

Molly przeżywała szalone rozterki, to chcąc poznać nowinę, to znów nie chcąc. Miała przeczucie, że ta wieść, jakakolwiek będzie, radykalnie odmieni jej sytuację. A może niepotrzebnie wpada w panikę, biorąc swoje obawy za zdolność przewidywania przyszłości?

Przez ostatnie parę miesięcy żyła w złudnym szczęściu, bawiąc się z Conorem w dom i grzebiąc w najskrytszych zakamarkach duszy pamięć o istnieniu Christiana, gdziekolwiek był. Teraz zrozumiała, że to tchórzostwo. Christian jest jej mężem i ona ponosi za niego odpowiedzialność. Nie powinna była odnosić się do niego tak obojętnie i obarczać Malcolma wysiłkami jego odnalezienia. Należało zacząć regularne poszukiwania.

Kiedy odłożyła słuchawkę po telefonie Uny, instynkt natychmiast jej podpowiedział, by zadzwoniła do Conora. Znała nazwę jego hotelu w Dublinie. Oparła się jednak pokusie. Ma dość spraw na głowie. Nie potrzebuje jej historycznych telefonów, dotyczących informacji, na razie całkowicie nieokreślonej, która została jedynie zapowiedziana przez dziennikarkę i mogła okazać się ważna i prawdziwa lub też nie.

Usłyszała dzwonek do drzwi i poczuła skurcz w żołądku. Przynajmniej ma już czekanie z głowy. Zmuszając się do normalnego kroku, weszła do kuchni, zdjęła sweter i powiesiła go na oparciu krzesła. Kiedy miała już otworzyć frontowe drzwi, dzwonek zadźwięczał po raz wtóry, tym razem długo i donośnie. Poczowała irytację z powodu bezczelnego zachowania dziennikarki i umyślnie przystanęła przed lustrem, które wisiało nad stolikiem w korytarzu, by sprawdzić swój wygląd. Kiedy otworzyła drzwi, nikt by nie poznał, że czuje się inaczej niż zwykle.

- Dzień dobry - powiedziała. - Wejdz, proszę.

Gdy Una stanęła w korytarzu, Molly zauważyła wypieki na jej policzkach i ciemne kręgi pod oczyma. Dziennikarka też wydawała się zdenerwowana. Przez głowę przemknęła Molly fantastyczna myśl, że ta kobieta ma romans z Christianem i przyszła się do tego przyznać - pomysł ten był jednak tak niedorzeczny, że omal nie zachichotała na głos. Poczowała się nieco pewniejsza siebie.

- Napijesz się kawy? - zapytała.

- Nie, dziękuję. Mam kawy potąd. - Una zaśmiała się niepewnie i przesunęła ręką po szyi. - Mojej własnej i samolotowej. Nie zmrużyłam oka.

Molly zawahała się, po czym zaproponowała:

- Chodź do kuchni, Uno... o tej porze jest tam przytulniej.

Una posłusznie ruszyła do kuchni i stanęła, nie wiedząc, gdzie usiąść. Molly wskazała jedno z krzeseł przy stole.

- Jesteś pewna, że nie zmienisz zdania w sprawie kawy?

- Tak, najzupełniej, dziękuję. Och! Zanim zapomnę! -Wyjęła z plecionej torby pudełko po butach i podała Molly.

Molly wzięła je i odłożyła na kredens. Usiadła przy stole naprzeciwko Uny.

- Załatwmy to od razu. Co takiego chcesz mi powiedzieć

o moim mężu?

Una wbiła wzrok w stół, a Molly czekała - miała wrażenie, że trwa to wieki. Wreszcie Una spojrzała jej w oczy.

- Powtarzałam sobie w myślach te słowa przez całą noc

1 podróż w samolocie, ale nadal jest to dla mnie bardzo trudne.

Molly nie chciała jej pomóc. Czekala.

- Mam ci coś do powiedzenia o twoim mężu i tobie. -Tak?

- Molly, to będzie dla ciebie straszny wstrząs!

- Na litość boską, niech się wreszcie dowiem! - Nerwy Molly były napięte do granic wytrzymałości.

- Dobrze, ale zanim przejdę do rzeczy, muszę ci jeszcze coś powiedzieć. - Una wzięła głęboki oddech. - Pamiętaj, że jestem dziennikarką i moja praca polega na relacjonowaniu wydarzeń.

Molly nie była w stanie dłużej znieść tych wstępów.

- Błagam, powiesz mi wreszcie, o co ci chodzi? Zamiast odpowiedzi Una otworzyła torebkę, wyjęła z niej białą kopertę i podała ją Molly w milczeniu. Molly spojrzała na list.

- Przecież on jest adresowany do ciebie... Una skinęła głową.

- Przeczytaj.

Molly wyjęła odręcznie napisany list, a potem drugi, z oderwanym nagłówkiem, wystukany na maszynie. Najpierw przeczytała pierwszy. Czas stał w miejscu w trakcie tej lektury. Lodówka, która dotąd cichutko pomrukiwała, wyłączyła się. Zapadła cisza, która wydawała się grzmiąca

niczym huk wodospadu. Drugi list potwierdzał zawartość pierwszego.

- Od kogo jest ten drugi? - zapytała Molly szeptem. - Górna część została oderwana.

- Tak - odparła Una. - Ale, jak widzisz, nazwa pod podpisem świadczy o tym, że autor - kimkolwiek jest - pracuje w Federalnym Urzędzie Lotnictwa USA.

Molly nie spuszczała z niej wzroku. Miała wrażenie, że jej twarz jest zimna jak lód.

- On jest moim bratem? - szepnęła. - Ależ to niemożliwe... - Spojrzała na Unę, błagając ją bez słów, by to była pomyłka albo jakiś kawał.

Una już wyciągała rękę w jej kierunku, lecz ją cofnęła.

- Bardzo mi przykro, że to ja przynoszę ci tę wieść, naprawdę... - Ona też mówiła szeptem. - Czy mogłabym dostać drinka... brandy albo cokolwiek?

Molly jeszcze raz spojrzała ogłupiałym wzrokiem na dwa listy, które trzymała w dłoniach, po jednym w każdej.

- Skąd masz te listy?

- Z pudełka z wycinkami, które mi dałaś. Nie wiem, dlaczego osoba, która napisała do mnie ten list, nie wysłała go - Z pudełka po butach. ZNALEZIONE W RZECZACH... Molly spojrzała na Unę.

- Jak to się stało? Przecież to niemożliwe. Jeśli on jest moim bratem, to znaczy, że Malcolm jest moim ojcem, nie, dziadkiem... - Jeszcze raz zerknęła na listy, które zdawały się drżeć w jej rękach. - Conor - wyszeptała - on jest... jest...

Molly jeszcze nigdy nie zemdląca, ale pokój zaczął tak wirować, że poczuła, iż za chwilę to się stanie. Trzymane przez nią listy głośno zaszeleściły w odpowiedzi na drżenie jej ciała.

- Dobrze się czujesz, Molly? - zapytała Una z niepokojem. - Może chcesz drinka?

Siedząca naprzeciwko niej Molly opuściła głowę.

- Mogę prosić o szklanek wody? - zapytała.

Una wyjęła szklanek z kredensu, odkręciła kurek i podstawiła na chwilę dłoń, aby się upewnić, że woda jest już

lodowata. Napelniła szklanke i zanosła ją na stół. Molly wzięła naczynie do ręki, lecz nie mogła go utrzymać i trochę wody się wylało. Una pomogła jej podnieść szklanke do ust.

- Przepraszam, Uno.

- Pochyl głowę do kolan... - Molly poszła za jej radą. Po chwili poczuła, że nieco mniej kręci jej się w głowie, i znów usiadła prosto.

Listy wypadły jej z rąk i leżały teraz pod stołem.

- Mogłabyś je podnieść? - poprosiła.

Una sięgnęła pod stół, podniosła listy i podała je Molly. Ta zawahała się.

- Oczywiście są twoje. Były zaadresowane do ciebie.

- Myślę - odparła Una - że masz do nich pewne prawo... Molly jeszcze raz przeczytała list księdza Morahana. ...*ze względu na zawodowych, etycznych i moralnych nie mogę wyjawić... Wyznano mi w najgłębszym zaufaniu...*

Było tylko jedno wyjaśnienie. Na spowiedzi. Musiał dowiedzieć się o tym na spowiedzi. I to od kogoś, kto był w sprawę osobiście zamieszany. Jej ojciec? Sorka? Nigdy się tego nie dowie. I będzie musiała przywyknąć do myśli, że Micheal nie był jej ojcem, a Sorka matką. Podniosła wzrok na Unę.

- Czy mogę zatrzymać te listy na kilka dni? - zapytała, usiłując zachować zimną krew. - Koniecznie muszę... powinienam pewne rzeczy...

Una skinęła głową.

- Możesz je trzymać, jak długo chcesz - rzekła, a następnie przysunęła swoje krzesło bliżej Molly. Ta poczuła instyktownie, że to, co teraz nastąpi, nie będzie dla niej przyjemne.

Przeczucie jej nie zawiodło, bo Una odchrząknęła i zaczęła przemówienie, które - jak Molly zauważyła - było najwyraźniej wcześniej przygotowane.

- Jak już mówiłam, jestem dziennikarką, która wykonuje swój zawód - powiedziała. - Absolutnie nie chcę utrudniać ci życia... i tak czekają cię niełatwe chwile. Ale gdybyś postawiła się w mojej sytuacji, na pewno zrozumiałabyś, jaki to rewelacyjny temat. W pewnym sensie – po-

nieważ ta informacja była skierowana do mnie - jest on teraz tak samo mój, jak i twój...

Mimo doznanego wstrząsu Molly zauważyła, że Una się męczy i że jest zmieszana. Ale postanowiła, że prędzej padnie trupem, niż jej pomoże. Zmobilizowała resztki swego opanowania.

- Może lepiej to ocenisz, jeśli to ty postawisz się w mojej sytuacji... - zaczęła, ale Una jej przerwała.

- Wiem, co czujesz - powiedziała. - Naprawdę... i oczywiście poczekam parę dni.

Zamilkła. Molly zauważyła, że pasmo piegów zbiega się Unie nad nosem.

- Poważnie? - zapytała, usiłując nadać swemu głosowi ironiczne brzmienie.

- Nie mogę zupełnie pominąć tego tematu, Molly.

- Przykro mi, ale moim zdaniem, możesz. - Molly próbowała być silna, lecz wydobywał się z niej piskliwy i słaby głos.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem.

- Słuchaj - powiedziała Una łagodnym tonem po krótkiej przerwie - przykro mi, że to ja przyniosłam ci tę informację, ale musisz zdać sobie sprawę, że jej sama nie wyszperałam. Nie szukałam jej... przekazał mi ją z własnej woli ktoś, komu - jeśli mogę tak powiedzieć - najwyraźniej naprawdę leżało na sercu twoje dobro. Ktokolwiek to zrobił, był przekonany, że zrobię to, co należy. Uważam, że zrobiłam to, co należy, przychodząc do ciebie, ale - jak mówiłam - jestem dziennikarką.

Molly poczuła, że znalazła się w pułapce.

- Mogę ci obiecać - ciągnęła Una - że przez miesiąc nie ruszę tego tematu, abyś miała czas na dojście z tym wszystkim do ładu... I pomogę ci - serio! Jeśli będę mogła jakoś ci pomóc w odnalezieniu męża... to znaczy brata - twarz Molly drgnęła - zrobię to. Moja gazeta ma sporo źródeł i kontaktów w najbardziej zaskakujących miejscach na świecie. Nie jesteśmy detektywami, ale dziennikarze potrafią dowiedzieć się zdumiewająco wielu rzeczy, jeśli się uprą.

- Ale rozgłos...

- Załatwię to jak należy, wierz mi. Nie będziesz się wstydziła niczego, co napiszę. Nigdy tego nie robię - i mój redaktor pewnie by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że choćby słowem wspomniałam o takiej możliwości - ale jeśli chcesz, dam ci ten kawałek do przejrzenia przed wydrukowaniem. Nie gwarantuję, że cokolwiek zmienię, uprzedzam, ale to cię powinno uspokoić. A gdyby się okazało, że w którymś punkcie nie mam racji albo napisałam coś, co rzeczywiście sprawi ból tobie lub twojej rodzinie, przemyślę to. Jeśli będziesz ze mną współpracować, ja będę współpracować z tobą i obiecuję, że wszystko dobrze się ułoży!

Molly spojrzała na swoją rudowłosą rozmówczynię. Konieczność szybkiego przedstawienia argumentów pozbawiła jej słowa wyszukanej formy i przywróciła im akcent z Galway. Una przypominała Molly trochę Bridget Slevin, inną kobietę pochodzącą stamtąd, która pomogła jej w godzinie potrzeby. Przewyciężyła swą złość. Była gotowa zaufać Unie. Doszła do wniosku, że tak czy inaczej nie ma wyboru.

- Naprawdę pomogłabyś nam znaleźć mojego... Christiana?

- Tak. Ale pamiętaj - dodała Una, która uświadomiła sobie nagle, że jak na szeregową dziennikarkę obiecuje, w imieniu „Irish Record” trochę zbyt wiele - będę musiała to wszystko omówić z redaktorem, choć myślę, że uda mi się go przekonać.

- Ja też tak myślę! Wymieniły niepewne uśmiechy.

- W końcu - rzekła Una, wykorzystując do końca swą przewagę - to nie twoja wina, podobnie jak i nie moja. Trudno obarczać cię odpowiedzialnością za katastrofę lotniczą, która rzuciła cię na fale Atlantyku, i za to, że zostałam oszukana jako roczne dziecko!

- Czy takie historie się zdarzają?

- Słyszałam o jednej - skłamała Una instynktownie.

- W Irlandii?

- Nie. Zdaje się, że niedawno czytałam o podobnym wypadku w Ameryce. Dowiem się. - Odnotowała w pamięci, że musi przejrzeć archiwa w swojej gazecie i w bibliotekach.

- Gdybyś była tak dobra - powiedziała Molly z przejęciem. - Może mogłabym skontaktować się z tymi ludźmi, zapytać ich, jak się z tym uporać...

- Dobrze - obiecała Una. Temat się wyczerpał. Chyba nie pozostało już nic do dodania, pomyślała Una, ale obawiała się zostawić Molly samą. - Masz kogoś, u kogo mogłabyś spędzić resztę dnia? - zapytała łagodnie. - Moim zdaniem, nie powinnaś być sama.

Molly zastanowiła się. Nie miała absolutnie nikogo, komu odważyłaby się zwalić na głowę wraz z tą piorunującą wiadomością, przynajmniej w Londynie. Mogłaby pojechać do Conora, do Dublina, ale świadomie go wykluczyła. Tę sprawę należało przemyśleć w samotności, a jej konsekwencje jeszcze niezupełnie dotarły do Molly. Pomyślała o Johnie Piusie, od którego oddzielał ją także krótki lot samolotem, ale przypomniała sobie, że jest na wakacjach na wyspie Mauritius. Pozostawali Malcolm i Cordelia w bardzo odległym Chicago. I tak będzie musiała im powiedzieć, a telefon nie jest odpowiednim środkiem łączności w tak doniosłych chwilach. Chwilowo nie zatrzymuje jej na miejscu żadna praca, a Conor zamierza pojechać do Brendana na Inis Oirthir, jeśli rozmowa w Dublinie wypadnie po jego myśli.

Podjęła decyzję. Dzięki sprytowi Dolly ma całkiem pokaźne konto w banku i w każdej chwili może sobie pozwolić na lot do Stanów.

- Polecę do Chicago, do Malcolma, mojego... mojego dziadka. - Te słowa zabrzmiały bardzo dziwnie. Nigdy nie miała dziadków, gdyż rodzice Sorchy i Micheala nie żyli, kiedy się urodziła... a może? To bardzo skomplikowane. I tak nie byłiby jej dziadkami. Nie urodziła się na Inis Oirthir. Sorcha i Micheal to nie jej rodzice. Przez cały czas nie miała rodziców, podobnie jak Christian, ale dziadka tak. A raczej miała rodziców, tych samych co Christian, tylko że zginęli w katastrofie lotniczej...

- Więc naprawdę nazywam się, nazywam się... - Przypomniała sobie rząd fotografii na pianinie w Evanston. Zdjęcie dziecka, czyli jej samej. Nie potrafiła się zdobyć na wypowiedzenie imienia Susanna.

- Susanna - podsunęła Una.

- Susanna - powtórzyła ledwo słyszalnym głosem Molly. A potem powróciła myślą do swej własnej córeczki Susanny, do nieruchomego, ciepłego ciała, które trzymała na rękach w sali noworodków szpitala St Catherine, do pokrytej meksem główki, dotykające jej policzka.

Una nie powstrzymywała łez Molly. Doszła do wniosku, że wypłakanie się bardzo dobrze jej robi. Czuła się dziwnie bezradna. Wstała od stołu i zrobiła to, co robią w kryzysowej sytuacji wszystkie Irlandki - zaparzyła imbryk herbaty.

Rozdział 13

Molly upiła łyk herbaty i omal się nie zakrztusiła, Una kazała jej jednak wypić płyn do końca.

- Wsypałam cztery łyżeczki cukru. Dobrze ci to zrobi.

Molly wolno sączyła ulepek. Czuła się niczym w nierzeczywistym świecie: jak gdyby grała w filmie i jednocześnie oglądała siebie na ekranie.

Una zaproponowała, że odwiezie ją na lotnisko Heathrow. Molly weszła z nią po schodach do sypialni i usiadła na łóżku, a tymczasem Una ruszyła do jej garderoby. Otworzyła jednak niewłaściwą szufladę.

- To są rzeczy Christiana - powiedziała Molly cicho. - Nie miałam dotąd odwagi ich wyrzucić.

Przyglądała się, jak Una wybiera kilka sztuk odzieży z innej szuflady i wkłada je do małej walizki, a następnie znika w łazience, by wyjść z rękami pełnymi kosmetyków i przyborów toaletowych. Pakowanie nie zajęło więcej niż dziesięć minut.

Una zadzwoniła po taksówkę i tuż przed wyjściem z domu zwróciła się do Molly:

- Czy masz swoje karty kredytowe? - Molly zdjęła torebkę z wieszaka w holu i przytaknęła jak mała dziewczynka.

Wciąż czuła się oszołomiona. Dobrze, że ktoś się nią zajął.

- Paszport?

- Nie, niestety...

- Gdzie jest?

- W małej szafce w kuchni..

- Pójdę po niego. Nie ruszaj się.

- Dziękuję ci, Uno.

Una wróciła z paszportem i przejrzała go.

- Masz na pewno ważną wizę?

- Tak. Jest na pięć lat.

Una wzięła torebkę Molly, otworzyła, włożyła paszport i ponownie ją zamknęła.

- Na pewno dobrze się czujesz? - zapytała z wahaniem.

- Tak, oczywiście - zapewniła Molly.

W taksówce Una jeszcze dwukrotnie zadała Molly pytanie, czy dobrze się czuje, a ta dwa razy potwierdziła. Kiedy jednak dotarli na Heathrow, dziwne poczucie nierzeczywi- stości nie opuściło jej, tak że zdała się całkowicie na Unę. Chociaż była niedziela, zgiełk panował straszliwy.

Nie było wolnych miejsc na bezpośredni lot do Chicago, toteż zgodziła się na tranzyt przez Nowy Jork. Una zapłaci- ła za bilety kartą kredytową Molly, jej pozostało jedynie podpisać rachunek.

Nie zwróciła uwagi, że bilety są czerwone.

- Pierwsza klasa - powiedziała krótko Una. - Stać cię i zasługujesz na to. Musi się ktoś tobą zająć, a przede wszystkim potrzebujesz trochę snu.

Molly była wdzięczna Unie za starania i opiekę, ale nieoczekiwanie poczuła niepokój na myśl o samotnym podróżowaniu.

- Nie pojechałabyś ze mną? - zapytała. Una pokręciła przecząco głową.

- Nie mogę. Naprawdę. Muszę pracować. W gruncie rzeczy powinnam być w redakcji za dwie godziny.

- Oczywiście. Przepraszam cię.

- Nie przepraszaj mnie w ten sposób. Nienawidzę się za to, co ci zrobiłam.

Wciąż stały przy stanowisku z biletami.

- Czy mogłabyś zostać jeszcze chwilę? -Tak.

Molly przyglądała się, jak Una, wymachując swoją legitymacją prasową, weszła razem z nią do restauracji dla po- dróżnych pierwszej klasy. Kiedy się tam znalazły, wzięła Molly za rękę.

- Wiesz, bardzo trudno to wszystko przetrwać - powiedziała Molly.

- Potrzebujesz czasu - odparła Una. - Myślę, że powinnaś pójść w Chicago do lekarza. Daj mi numer telefonu do domu, gdzie się zatrzymasz. Uprzedzę ich, żeby po ciebie wyszli.

- Zadzwońabyś? Jesteś bardzo uprzejma.

- Nie powtarzaj, że jestem uprzejma. Nie jestem uprzejma. W tej chwili czuję się obrzydliwie. Daj mi numer.

- Wpisała go do notesu.

- Słuchaj. Nie powiem im wszystkiego. Tylko ich uprzedzę, że przyjeżdżasz i żeby po ciebie wyszli.

- Może nie będą mogli..

- Nie szkodzi. Masz pieniądze? Weźmiesz taksówkę.

- Wymienię pieniądze w Nowym Jorku.

- Grzeczna dziewczynka - powiedziała Una i poszła po kawę.

- Sądzisz, że powinnam zadzwonić do Conora? - zapytała Molly.

Una wbiła wzrok w podłogę.

- To jedyna sprawa, w której nie mogę ci pomóc.

- Przepraszam.

Siedziały obok siebie, Molly wciąż ścisnęła Unę za rękę. W pewnej chwili Molly, nie patrząc na Unę, lecz na obraz na ścianie, oświadczyła:

- Myślę, że kocham Conora. - Nie powiedziała tego do Uny, ale do siebie.

Una mruknęła coś bardzo cicho, tak że Molly nie dosłyszała. Dziennikarka miała spuszczone głowę i nie było widać jej twarzy.

- Słucham? - zapytała grzecznie Molly.

- Powiedziałam: „Oczywiście że tak, Molly” - rzekła dość głośno Una. Ale nie podniosła głowy.

Wyprawiwszy Molly, Una powoli ruszyła z powrotem do hali głównej. Ponieważ Molly była w większej potrzebie niż ona sama, Una bezwiednie odgrywała rolę nianki. Teraz, gdy Molly już odleciała, miała czas, żeby pomyśleć o sobie. Rzeczy podstawowe przede wszystkim: uświadomiła sobie, że burczy jej w brzuchu - nie jadła od wczoraj wieczorem. Chociaż wiedziała, że powinna sprawdzić, o której jest

przewidziany następny lot do Dublina, a także, czy są jeszcze miejsca, postanowiła, że wreszcie zrobi sobie przyjemność. Weszła po schodach do restauracji, usiadła przy jednym ze stolików i zamówiła duży stek z frytkami. Kiedy jednak podano jedzenie, stwierdziła, że - chociaż jest smaczne - ona nie może jeść. Włożyła do ust kilka odkrajanych kęsów, ale poprzedni głód zniknął.

Bezpowrotnie straciła Conora.

Wpatrywała się w jedzenie. W pewnej chwili zdała sobie jasno sprawę, że kiedy z nią zerwał, nie przyjęła do wiadomości całej prawdy. Skrycie, wbrew wszelkim nadziejom, liczyła, że jakoś jej się uda go odzyskać. Una pogardzała sobą za te złudzenia.

Teraz musi stawić czoło prawdzie - naprawdę go straciła.

- Wszystko w porządku, proszę pani? - Kelner wskazał na prawie nietknięte jedzenie. Una podniosła oczy. Ujrzała przez łyzy zamazane rysy jego azjatyckiej twarzy. Spróbowała się uśmiechnąć.

- Tak, po prostu nie jestem aż tak głodna, jak mi się wydawało.

Kelner zabrał talerz.

Chwyliła torbę i mimowolnie potrząsnęła ze złością głową, by pozbyć się łez. To wszystko jest takie banalne - ta wielka pustka, którą ma w środku, ten ból... Zawsze się szczyciła swoją wytrzymałością i odpornością na ciosy, a teraz płacze jak bóbr. W końcu to tylko mężczyzna. Powinna się skoncentrować na swoim artykule.

Zapłaciła za nie zjedzone danie i ruszyła do okienka biletowego Aer Lingus, ale każdy krok rozbrzmiewał w jej głowie słowami: straciłam go, straciłam go...

W połowie Atlantyku Molly ogarnęło irracjonalne przekonanie, że Malcolm umrze, zanim ona zdoła przekazać mu nowinę. Kabina pierwszej klasy była zajęta tylko w połowie. Molly miała miejsce przy oknie, ale żadnego towarzysza podróży. Przynajmniej za to dziękowała losowi, kiedy jej przerażenie zaczęło rosnąć. Lęk podczas startu sprawił, że wyparował wcześniejszy nastrój uległej akceptacji, który pozwolił Unie prowadzić ją jak mechaniczną zabawkę.

Konsekwencje dokonanego przez dziennikarkę odkrycia wirowały i rozbłyskiwały Molly w głowie, oslepiając ją, zanim zdążyła wyraźnie je dostrzec.

Christian jest jej bratem.

Conor nie jest jej bratem.

Sorcha nie była jej matką.

Micheal nie był jej ojcem.

Malcolm jest jej dziadkiem.

Cordelia jest jej babką.

Jej matką była Maggie, a ojcem Cal.

Jej matką była Maggie - ta poważna kobieta na ślubnej fotografii.

Ma dziadków i kuzynów w Ameryce.

Wiedziała, że będzie dokonywała odkryć o sobie już do końca życia. Tyle straconego czasu - ale czy na pewno?

Są wszelkie dane, by przypuszczać, że inaczej nigdy nie poznałaby Conora.

Rozumiała teraz, dlaczego Una tak powściągliwie wypowiadała się na jego temat.

Biedna Una.

W pewnej chwili, gdy powróciła myśl o Conorze, zaświtał w Molly promyk słońca. Tak szeroko uśmiechnęła się do stewardesy, która właśnie podawała jej grzanki, że ta - mimo wyraźnego zaskoczenia - odwzajemniła jej uśmiech.

Teraz już Molly siłą woli zmuszała samolot do szybszego lotu. Popychała go z całej siły. Żałowała, że nie wsiadła do concorde'a. Musiała jak najprędzej dotrzeć do Chicago, żeby porozmawiać z Malcolmem, ale jeszcze pilniej było jej znaleźć w Nowym Jorku jakiś telefon i zadzwonić do Conora.

Zawołała stewardesę i zamówiła szampana. Jej podniecenie przeradzało się w taką gorączkę, że miała wrażenie, iż za chwilę odfrunie jej głowa. Kiedy przyniesiono szampana, zmieniła zdanie i poprosiła o piwo. Szampan tylko by ją wzburzył, a piwo może ją uspokoi. Potrzebowała uspokojenia.

- Oczywiście, proszę pani - odparła stewardesa, zabierając szampana. Pewnie myśli, że ona, Molly, jest na prochach. Tak się zresztą czuje. Jakby była na prochach.

Rozgrzebała tylko smaczne jedzenie, które podawano w pierwszej klasie, i sączyła piwo. Trunek w połączeniu

z nasennie działającym słońcem, grzejącym jej twarz przez okno, uspokoił ją. Molly udało się zasnąć, kiedy miała jeszcze przed sobą dwie godziny lotu.

Stewardesa obudziła ją delikatnie gorącym ręcznikiem.

Lotnisko Kennedy'ego okazało się istnym domem wariatów. Zdezorientowana Molly, oszołomiona snem i podróżą, uświadomiła sobie, że jej potrzeba natychmiastowego zadzwonienia do Conora osłabła. Zresztą co mu może powiedzieć przez telefon? To jest coś, co musi przekazać, patrząc mu w oczy.

Pozwoliła się pracownikom linii lotniczych spokojnie przeprowadzić przez procedury tranzytowe pierwszej klasy i odeskortować na pokład samolotu do Chicago. Lot zajął kolejne dwie godziny, ale kiedy w dole pojawiły się znajome linie ulic wzdłuż jeziora, ten czas skurczył się do zera.

Cordelia czekała na nią przy wyjściu.

Kochana Cordelia.

Molly wybuchnęła płaczem i zarzuciła jej ręce na szyję.

- Molly! Co się stało? Co się stało? Moje biedactwo. Co się stało?

Ludzie w hali przylotów rozstapili się, żeby im zrobić miejsce. Molly wciąż łkała, śmiejąc się i szlochając na przemian.

- Chodź, Molly - powiedziała w końcu Cordelia. - Chodź, opowiesz mi wszystko w samochodzie.

W pokoju było ciemno. Malcolm siedział w głębokim fotelu, na którym czas odcisnął już swoje piętno. Brokat pokrywający oparcie, gdzie tyle lat opierał głowę, był całkiem wytarty i zniszczony. Jedyne światło w pokoju dawała wysoka lampa, niemal tak sędziwa jak fotel Malcolma. Wieczór był ciepły, przez otwarte drzwi balkonowe można było dostrzec jezioro, które niczym cienka tafla cyny odbijało blask kwadry księżyca.

Cordelia wprowadziła Molly do pokoju.

- Malcolmie, zobacz, kto nas odwiedził!

Aż się wzdrygnął, najwyraźniej przebudzony ze snu, chrząknął, z trudem się wyprostował, opierając ciężko ręce na poręczach fotela.

- Molly, kochanie! Jak miło cię zobaczyć!

- Malcolmie, nie wstawaj, proszę. - Podbiegła, by go powstrzymać. - Usiądę tutaj. - Przysunęła stojący obok innego fotela wyściełany taboret i ustawiła go naprzeciw Malcolma.

Cordelia podeszła do kontaktu przy drzwiach.

- Zapalmy więcej światła!

- Nie, niech zostanie tak, jak jest - poprosiła Molly.

- Dobrze. Zostawię was samych. Przyniosę kawę...

- Przykro mi, że nie odebrałem cię razem z Delią z lotniska, kochanie. Jestem dzisiaj trochę zmęczony. - Na połowę jego twarzy padał cień, ale Molly zauważyła, że chociaż we śnie wyglądał na swoje lata, kiedy mówił, sprawiał wrażenie dużo młodszego.

- Malcolmie, wcale nie musiałeś wychodzić po mnie na lotnisko. Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia...

-Zamilkła, nie wiedząc, jak skończyć. Z Cordelią poszło łatwo. Słowa niosła powódź łez. - Czy nie jest ci tutaj za zimno? - zapytała. - Może zamknąć okno?

- Nie, nie jest mi zimno, wcale nie zmarzłem. O jakiej to bardzo ważnej sprawie chcesz mi powiedzieć?

- Będzie ci bardzo, bardzo trudno w to uwierzyć - powiedziała z wahaniem. - Mam nadzieję, że wiadomość nie będzie zbyt szokująca. - Pochyliła się i ujęła jego ręce. -Dzisiaj - wczoraj - nie, dzisiaj, pewna dziennikarka przyniosła mi swój artykuł o mnie. Posiada ona niezbity dowód

- wiem, skąd i od kogo, a także jak ten człowiek go zdobył

- że nie jestem osobą, za którą dotąd się uważałam. Nie jestem Molly Ni Bhriain z Inis Oirthir. - Zamilkła. - To bardzo trudne.

- Mów dalej, proszę. - Malcolm siedział sztywno, sprężony jak kot.

-Malcolmie, jestem twoją wnuczką. Jestem siostrą Christiana.

Nawet nie drgnął.

- Wiem, że bardzo, bardzo trudno w to uwierzyć. Przecież była katastrofa samolotu, samolot runął do wody. Najwidoczniej przeżyłam i morze wyrzuciło mnie na brzeg w małej tratwie... u brzegów Inis Oirthir. Nie znam wszyst-

kich szczegółów, ale znaleźli mnie moja mama i tata - to znaczy ludzie, których uważałam za swoich rodziców. Ale oni nimi nie byli. Jestem twoją... - Zrozpaczona puściła jego dłonie. - Wszystko gmatwam.

Bardzo powoli położył ręce na kolanach.

- Myślę, że gdzieś w głębi ducha zawsze to wiedziałem - powiedział spokojnie, ale widać było, ile go kosztuje wysiłku, aby się opanować. - Potrzebuję czasu, żeby przywyknąć do tej myśli, ale nie musisz mnie przekonywać, że dziennikarka mówiła prawdę.

- Naprawdę jestem twoją wnuczką!

Starszy pan wciąż siedział bardzo napięty, wyraz jego twarzy miała pamiętać do końca życia. Zaczął mówić jakby do siebie:

- Tego pierwszego dnia, kiedy wyszłaś z hali odpraw z Christianem, mógłbym przysiąc, że Maggie wcieliła się w ciebie. Myślę, że zawsze chyba coś przeczuwałem. Było to jednak zbyt nieprawdopodobne. Wówczas uderzył mnie nie tylko twój wygląd, ale sposób, w jaki weszłaś, postawa... - Uderzył pięścią w kolano. - Kiedy dowiedzieliśmy się o pustej tratwie, trzeba było przeszukać te wyspy, powinienem był sam tam pojechać i chodzić od domu do domu, poznałbym cię natychmiast... Te wszystkie lata...

Cordelia wróciła do pokoju, zauważyła jego poruszenie.

- Co z Christianem? - zapytała cicho.

Malcolm spojrzał na nią ponad głową Molly i wstał z fotela.

- Niezwłocznie musimy go odnaleźć. Jutro pójdę znowu do tej agencji. - Popatrzył na siedzącą Molly. - Jesteś moją Susanną?

- Jestem twoją Susanną, dziadku - ale upłynie trochę czasu, zanim przywyknę do tego imienia!

- Imiona, imiona... - powiedział Malcolm. - Wróciłaś!

Tej nocy Molly wzięła szminek i niczym dziecko napisała wielkimi, purpurowymi literami na lustrze toaletki w pokoju gościnnym: „Nazywam się Susanną!” Chociaż lampy były wyłączone, przez nie zaciągnięte zasłony światło księżycy padało na lustro, dzięki czemu mogła zoba-

czyć z łóżka niewyraźne zarysy liter. Po raz pierwszy tego dnia miała czas zebrać myśli.

Położyła lewą rękę na kołdrze, w smudze bladej poświaty, która ukośnie wpadała przez okno i rozjarzała brylanty jej zaręczynowego pierścionka. Wciąż jeszcze nosiła go na palcu.

Po raz pierwszy w życiu miała ochotę być pisarką, a może raczej kompozytorką albo malarką. Spróbowała sobie wyobrazić, jak wyglądałby jej obraz. Wirujące koła. Na obrzeżach mnóstwo koloru żółtego i pomarańczowego, u góry jaskrawa czerwień: za to, co dobrego uczyniła, za cudowny ślub, tonący w kwiatach, za chwilę szczęścia przy narodzinach jej dziecka. Jednakże te jaskrawe barwy wciągałby główny wir, groźny, straszący zgniłą i wstrętną zielenią, ciemnym brązem: niespodziewane wyrwanie jej dziecka, pijaństwo i ucieczka Christiana. Pośrodku zaś byłoby wielkie, białe koło, które symbolizowałoby nieznanne. Jej przyszłość.

Conor. W Irlandii musi być teraz szósta rano, pomyślała. Przez cały dzień spychała jego obraz poza zasięg swej uwagi, nie czując się na razie na siłach o tym myśleć. Konsekwencje nowo powstałej sytuacji były zbyt niezwykle, zbyt podniecające i w pewnym sensie także zbyt przerażające, by je rozważać.

Leżąc w łóżku, roześmiała się na głos. Co za ironia losu, pomyślała, że najpierw on wyznał raptem wszystkim, iż jest jej bratem, a teraz ona ma mu wyjawić, że to nieprawda.

Usiadła raptownie. Nie przyszło jej to wcześniej do głowy. Jak Sorcha i Micheal wyjaśnili nagłe pojawienie się rocznego dziecka w swoim środowisku? Czy Brendan i Conor od początku wiedzieli, że Molly jest znajda?

Telefon do niego stał się natychmiastową koniecznością. Wskoczyła z łóżka, zbiegła na dół najszybciej, jak tylko mogła, i wpadła do salonu, który był rzadko używany, ale znajdował się stosunkowo daleko od wszystkich sypialni. Nie zapaliła światła. Jej wzrok przywykł już do ciemności, a światło księżycy było na tyle jasne, że widziała telefon, który stał w widocznym miejscu - na małym stoliku przy

jednym z sięgających od podłogi do sufitu okien. Wystukała numer centrali i podała nazwę hotelu w Dublinie, prosząc o numer telefonu.

- To w północnej czy południowej Irlandii, proszę pani?

- W republice! - odrzyknęła. Tego rodzaju pytania zwykle ją irytowały, ale tym razem tak się nie stało. Mimo nieznajomości stolic świata przedsiębiorstwo Illinois Bell działało z właściwą sobie sprawnością i otrzymała numer telefonu w ciągu trzydziestu sekund.

- Dziękuję! - powiedziała uprzejmie i natychmiast wystukała cyfry, żeby ich nie zapomnieć.

Nikt nie odbierał. Trwało to tak długo, że wpadła w rozpacz i już miała odłożyć słuchawkę, gdy jakiś męski głos, raczej nie należący do absolwenta szkoły wdzięku, odezwał się na linii:

- Tak?

- Czy mogę mówić z panem O Briainem? Zatrzymał się u państwa.

- Chwileczkę...

W chwilę później z ulgą usłyszała głos Conora.

- Halo? - Nie wyglądało na to, by przed chwilą spał.

- Cześć, Conorze.

- Czy to ty, Molly? Zakręciło jej się w głowie.

- No, można tak powiedzieć.

- Co takiego?

- Tak, to ja, Conorze.

- Czy jesteś pijana, Molly? Skąd dzwonicz? Twój głos brzmi, jakby dobiegał z ciemnej strony księżyca.

- W pewnym sensie się zgadza. Jestem w Chicago, a właściwie nie w Chicago, tylko w Evanston.

- Rozumiem. Co tam robisz?

- Och, przyjechałam tu z czymś w rodzaju misji.

- Rozumiem. - W jego głosie pojawiła się nuta zniecierpliwienia. - Słuchaj, Molly, po co do mnie dzwonicz o takiej porze? To dla mnie bardzo ważny dzień. Jestem na nogach od piątej i cały czas powtarzam w myślach to, co mam powiedzieć za niecałe cztery godziny.

- Nie dzwonię dla żartu, Conorze.

- Co mówisz?

- Nie dzwonię dla żartu! Muszę ci zadać bardzo ważne pytanie. Pewnie wyda ci się ono bardzo, bardzo dziwne, ale to jest jeden z powodów, dla których tu przyleciałam. To kwestia życia i śmierci, Conorze, i trochę się boję zapytać.

- O co ci chodzi, Molly, na miłość boską?

- Czy coś wiesz o moich narodzinach?

Zapadła cisza. Kiedy wreszcie odpowiedział, usłyszała zdumienie w jego głosie.

- O twoich narodzinach?

- Tak, moich narodzinach.

- Nie było mnie przy nich, jeśli to chcesz wiedzieć. Chodziłem wtedy do szkoły.

- Kiedy mnie zobaczyłeś po raz pierwszy?

- Dość tego, Molly, o co tu chodzi?

- Powiem ci, jak się zobaczymy, Conorze. Możesz mi po prostu odpowiedzieć? W jakim byłem wieku, kiedy mnie po raz pierwszy zobaczyłeś?

- Miałaś chyba jakieś dwa miesiące. Wróciliśmy z Bren-danem ze szkoły na Wielkanoc, a ty już byłaś.

- Jesteś pewien, że widziałeś mnie w Wielkanoc?

- Oczywiście że tak. Ty tego nie możesz pamiętać, ale właśnie ja zaniósłem cię po raz pierwszy na plażę. To była na pewno Niedziela Palmowa, bo mieliśmy na obiad kurczaka.

Roześmiała się. Kochany Conor. Zawsze myśli o jedzeniu.

- Jesteś pewien, że się nie mylisz? - zapytała. - A może miałam dwa lata i dwa miesiące?

Usłyszała, że westchnął.

- Kiedy zaniósłem cię na plażę, byłaś malutkim dzieckiem, Molly. Nie umiałaś chodzić, mówić, siedzieć ani nawet gaworzyć. Czy to ci wyjaśnia sprawę?

- Tak! - zawołała Molly, którą przepełniała irracjonalna radość.

- Czy teraz mogę wznowić przygotowania do rozmowy ze zmasowanymi siłami dowództwa irlandzkiej policji?

- Chcę, żebyś bardzo uważnie mnie wysłuchał, Conorze. Muszę tu zostać kilka dni, mam do załatwienia parę rzeczy,

ale wrócę do Irlandii pod koniec tygodnia. Wpadnę na Inis Oirthir, żeby się zobaczyć z tobą i z Brendanem. Znów zamilkł, a po chwili zapytał niepewnie:

- Czy poleciałaś tam szukać Christiana? Przywieziesz go ze sobą?

- Nie mam pojęcia, gdzie jest. Ale spróbuję go odnaleźć. Nawet jeśli mi się uda, to nie wezmę go, powtarzam, nie wezmę go ze sobą.

- Rozumiem.

- Stało się coś zupełnie nieprawdopodobnego, Conorze, ale chcę ci o tym powiedzieć osobiście, i do tego na Inis Oirthir.

- Mam tylko jedno pytanie - to dobra czy zła wiadomość?

- Trochę cierpliwości, a dowiesz się... ale myślę, że zrobi na tobie wrażenie.

- Zostałaś nominowana do Oscara!

- Na miłość boską! Na coś takiego czeka się miesiącami. Zresztą to większa bomba niż Oscar.

- A więc to coś dobrego.

- Powtarzam cierpliwości, a przekonasz się. I powodzenia. Mam przeczucie, że dzisiaj nic złego nie może się wydarzyć.

- Do widzenia, Molly. - Wyczuła, że on się uśmiecha.

- Do widzenia, Conorze! - niemal wyśpiewała. Popędziła na górę do łóżka. Widział ją, gdy miała dwa miesiące. Mają zatem przed sobą tajemnicę, którą będą musieli wspólnie rozwikłać. To na pewno było inne dziecko. Biedne maleństwo. Teraz jednak nie potrafiła o tym myśleć. Nic nie mogło umniejszyć jej radości...

Kiedy następnego ranka Molly zeszła na dół, Malcolm był już zupełnie ubrany. Siedział w małym saloniku przy otwartym biurku, a przed nim leżał notatnik. Gdy weszła do pokoju, z rozżaleniem rzucił słuchawkę.

- Cholerna agencja! Cały czas odzywa się automatyczna sekretarka.

- Malcolmie - zwróciła mu uwagę - jest dopiero siódma piętnaście rano.

- No tak! - odparł. - W każdym razie dzień dobry, Susanno.

- Susanna, Molly, Margo... Chyba nadam sobie imię Fred, żeby wreszcie mieć z tym święty spokój! - Podeszła i pocałowała go w policzek. - Dzień dobry, dziadku.

Malcolmowi udało się jako tako panować nad sobą do ósmej, kiedy zadzwoniono z agencji. Błyskawicznie wydał szereg poleceń i uprzedził, że zatrudni jeszcze jedną agencję, by wspomóc wysiłki detektywów. Odnalezienie jego wnuka jest sprawą pierwszorzędnej wagi.

Christian wyszedł już na ulicę, ale znajdował się setki mil od Chicago i całe lata świetlne od Evanston. Na niebie świeciło czerwone słońce, ale wcale nie z powodu pięknego zachodu. Miasteczko Gary w stanie Indiana było zakopcone, gdyż piec hutnicze wyrzucały tu z siebie dym dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Schronisko w jednej z bocznych uliczek, które chwilowo służyło Christianowi jako mieszkanie, wyrzucało swoich lokatorów za drzwi o siódmej, deszcz, nie deszcz. Christian włókł się chodnikiem. Stopy, które zaniedbał do tego stopnia, że wrastały mu dwa paznokcie, bolały go straszliwie, a podarte trampki były o numer za małe. Przynajmniej miał dzisiaj coś do roboty - spotkanie. Czekало go spotkanie z kimś z opieki społecznej. Był jednak umówiony dopiero na dziewiątą. Zaczepił mężczyznę, który szedł pośpiesznie w przeciwnym kierunku.

- Przepraszam bardzo. Tamten jednak zignorował go.

- Chciałem tylko zapytać, która jest godzina! - zawołał za nim Christian, ale mężczyzna nie zatrzymał się.

Godzinę podała mu jakaś kobieta - była za dwadzieścia pięć dziewiątą. A więc musi łązić jeszcze tylko przez dwadzieścia pięć minut. Christian nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie gdzieś wejdzie i usiądzie. Na spotkaniu miała zostać omówiona jego sytuacja. Mogła z tego wyniknąć nawet jakaś praca, ale w stanie chwilowej trzeźwości zdawał sobie sprawę, że szanse są mizerne. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy wszystkie próby podjęcia przez niego pracy koń-

czyły się żalosną klęską. Zatrudniał się na akord w stacjach rozrządowych i młynach, ale nigdzie nie utrzymał się na dłużej. Wiedział, że jego obecne życie jest kopią historii, które opisywał w swoim życiu poprzednim, odległym teraz od niego o całe wieki. Świat obchodził się z nim kurew-sko, a jego jedyną przyjaciółką była butelka. Czasem ta ironia losu skłaniała go do śmiechu.

Miał się zobaczyć z ludźmi z opieki społecznej, bo dwa dni wcześniej doznał potwornego wstrząsu, gdy mężczyzna śpiący obok niego w domu noclegowym udławił się własnymi wymiocinami. To Christian znalazł jego ciało.

Ujrzał wtedy swoją własną przyszłość.

Po przybyciu z Londynu do Chicago zatrzymał się w hotelu z butelką bourbona dla towarzystwa. Kiedy następnego dnia osiągnął stan względnej trzeźwości, udał się do banku przy Michigan Avenue i zlikwidował wszystkie swoje konta osobiste, wyjmując z nich resztę pieniędzy, których było sporo. Następnie, instynktownie pragnąc samozniszczenia, pojechał autobusem do Milwaukee, gdzie znów zatrzymał się w hotelu.

Rozejrzał się po pokoju, który był czysty, przestronny, klimatyzowany i równie bezosobowy jak poczekalnia na lotnisku. To był koniec rodzinnego życia i jakichkolwiek prób jego stworzenia. Nie mógł znieść myśli o tym, co zrobił. Zrozumiał wtedy, że odtąd potrafi żyć, tylko pijąc.

Nie chcąc niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi, co trzy dni zmieniał hotele, przemierzając autobusem miasta Środkowego Zachodu. Trzymał się obrzeży Chicago, za każdym razem wybierając dobry hotel. Żył w ten sposób przez blisko pięć miesięcy, aż wydał wszystkie pieniądze. Schudł osiemnaście kilo.

Dostał pracę w magazynie sklepu ze sprzętem komputerowym w Detroit, ale nie mógł ani rusz spamiętać, co ma na stanie, i został zwolniony.

Wkrótce to się stało normą. Doprowadzał się do porządku, pracował przez parę dni, a potem był zwalniany i pomieszkiwał w kiepskich hotelach, dopóki starczało mu gotówki.

W końcu nie mógł już dostać żadnej pracy i przeszedł na zasiłek. Od kilku miesięcy niczym się nie różnił od włóczę-

gów, meneli i wyrzutek zaludniających schroniska dla bezdomnych we wszystkich wielkich miastach. Każdy z nich miał o czym opowiadać, ale żaden, nie wyłączając Christiana, tego nie robił. Jakoś udawało im się wyżyć, dostawali zasiłek, sprzedawali krew, zdobywali jedzenie na tyłach restauracji i choć czasami żyli w pewnej komitywie, wszyscy wiedli samotne życie niby szczątki rozbitego okrętu, które nigdy się nie spotkają.

Niekiedy Christian rozmyślał o swoim poprzednim życiu, o dziadku, o Molly, o dziennikarstwie. Ale udawało mu się topić te wspomnienia w alkoholu - ktoś zawsze miał butelkę. Poczucie samotności tępiało i po pierwszych kilku miesiącach stało się niezbyt bolesnym elementem codziennego życia.

Biuro opieki społecznej otworzyło podwoje punktualnie i Christian wszedł do środka wraz z pozostałymi klientami. Ale kobieta, z którą był umówiony, spóźniała się. Usiadł więc na ławce w dużej, pomalowanej na zielono sali, by poczekać na swoją kolej, podczas gdy innych klientów przywoływano do niewielkich kabin przy przeciwległej ścianie. Sporadyczne przegrupowania wśród klientów podkreślały tylko martwą atmosferę rezygnacji, królującą w tym miejscu. Christian poczuł, że natychmiast musi się napić. Właśnie miał wyjść, kiedy kobieta, na którą czekał, pojawiła się i stanęła w drzwiach, wywołując jego nazwisko. Zaprowadziła go z głównej sali przyjęć do własnego stanowiska - kwadratu oddzielonego od reszty pomieszczenia przepierzeniem i otwartego u góry - które było zaledwie nieco większe niż cztery kabiny telefoniczne razem wzięte.

- Panie Smith - rzekła, siadając za biurkiem i kładąc przed sobą teczkę z aktami. - Czy to pana prawdziwe nazwisko?

- Tak - odparł Christian i dodał: - Nazywam się John Smith.

Kobieta westchnęła.

- Widzi pan, panie Smith, mamy wielu Johnów Smithów. Nie mógłby pan być choć trochę bardziej oryginalny?

- Smith to moje prawdziwe nazwisko - powtórzył Christian z uporem.

Kobieta znowu westchnęła.

- No dobrze, panie Smith. Czy jest pan żonaty?
- Nie. Tak... nie! Westchnienie.
- Ma pan jakichś żyjących krewnych?
- Nie. - Tym razem w głosie Christiana zabrzmiało zdecydowanie.
- Jest pan pewien, panie Smith? -Tak.
- Ostatnie miejsce stałego zamieszkania?
- Gdzieś w Detroit w stanie Michigan.
- Pytam o miejsce stałego zamieszkania, panie Smith.
- Było bardzo stałe.

Na biurku kobiety zadzwonił telefon. Odebrała go i zaczęła coś bazgrać w notesie. Odłożyła słuchawkę.

- Panie Smith, z naszych akt wynika, że jest pan bez pracy bądź innych środków utrzymania od stosunkowo niedawna. Chciałby pan przejść rehabilitację?

Obcesowość tego pytania zbiła go z tropu. Przyszedł tu istotnie, by szukać pomocy, ale okazała się ona tak rychła, że opadł go strach. Poczł obeszładniającą potrzebę alkoholu.

- Co... co to znaczy?
- Dobrze pan słyszał. Zapytałam, czy chce pan przejść rehabilitację?

Christian poruszył się niespokojnie na swoim krześle. Rwały go stopy.

- Jaką rehabilitację?
- Dobrze pan wie jaką, panie Smith. Detoksykację. Christian nigdy nie przechodził detoksykacji, ale słyszał na ten temat mnóstwo mrożących krew w żyłach opowieści.
- No... sam nie wiem.

- Panie Smith - powiedziała kobieta dość uprzejmym tonem. - Albo panu zależy na detoksykacji, albo nie. Nie płacą mi za to, żebym pana przekonywała, tylko żebym to panu ułatwiła. Po co pan tu przyszedł? Detoksykacja to pańska jedyna szansa. Jest pan jeszcze młody, panie Smith. Nie wiem nic o pana pochodzeniu, zresztą to nieistotne. Ale proszę się zastanowić. Zajmiemy się panem... Zacznie pan nowe życie. Da pan sobie samemu szansę.

Przyciągnęła leżące na biurku akta i przewertowała je.

- Widzę, że nie ma pan poważniejszych problemów zdrowotnych. Dość łatwo by się pan z tym uporał, a potem miałby pan szansę znów pozbierać swoje życie do kupy. Co pan na to?

Christian spojrział na pospolitą czarną twarz, która patrzyła na niego zza biurka. Poza wszystkim innym kobieta była pierwszą od wielu tygodni osobą, która rozmawiała z nim uprzejmie.

- Doprowadziliby państwo do porządku moje stopy? -zapytał.

- A co panu dolega, panie Smith?

- Bardzo mnie bołą. To chyba kwestia paznokci. Zanotowała coś w aktach.

- Zajmiemy się tym.

- Dobrze - powiedział niepewnie. - Co mam zrobić?

- Nic nie musi pan robić, panie Smith. Od tej pory będzie się panem opiekować Wujek Sam. Ma pan kartę ubezpieczenia socjalnego?

Pokręcił głową. Sprzedał ją.

- Nie szkodzi. - Wzięła do ręki słuchawkę.

Rozmówca Conora był wysoki i szczupły. Pasował do niego mundur inspektora. Z jednej jego strony siedział młodszy oficer gwardii, a z drugiej cywilny pracownik ministerstwa sprawiedliwości. Conor i jego adwokat zajmowali miejsca na przeciwległym krańcu wielkiego stołu konferencyjnego, który swą idealną gładkość zawdzięczał grubej warstwie politur.

Conor czuł, że rozmowa nie wypada dobrze. Po uprzejmych pytaniach inspektora zapadała cisza i wszyscy trzej mężczyźni z drugiej strony stołu robili notatki. Teraz trwała właśnie jedna z takich przerw.

W całej sytuacji jest coś nierzeczywistego, myślał, czekając na kolejne pytanie: ta gęsta cisza, ten zbyt błyszczący stół, rękawiczki inspektora, który starannie ułożył je przed sobą obok czapki, i - jego własna niemożność zajęcia czymś rąk. Pokój był wysoki i przestronny. Przez duże okna docierał ledwo słyszalny gwar ruchu ulicznego. Ci ludzie na

zewnątrz prowadzili swoje zwykłe życie. Popelniał błąd, wszczynając tę sprawę. Wiódł zupełnie satysfakcjonujący żywot w Londynie.

Inspektor, który nazywał się Silke, przestał pisać.

- Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, panie Ó Briain, co pana skłoniło do zmiany nazwiska?

Wtrącił się adwokat Conora:

- Z całym szacunkiem, ale już to omawialiśmy.

- Z całym szacunkiem, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, omówimy to jeszcze raz. - Ton głosu inspektora był nienagannie uprzejmy, ale Conor, nie po raz pierwszy w czasie tej rozmowy, z przykrością uświadomił sobie, jak idealnie brytyjski akcent ma jego adwokat.

- Jak już panu mówiłem - odparł - uznałem, że powinienem ukryć swoją tożsamość, bo gdyby poszukiwała mnie policja...

- Gdyby poszukiwała pana policja... ale przecież, panie Ó Briain, jeśli pana ojciec zginął - jak pan nam powiedział - przypadkiem, to dlaczego miałby pan uciekać przed policją?

- Z całym szacunkiem... - Adwokat znów się wtrącił, ale tym razem przerwał mu Conor:

- Myślę, inspektorze - powiedział - że gdyby był pan na moim miejscu, zrobiłby pan to samo. Ojciec i ja potwornie się kłóciliśmy, nigdy tego nie ukrywałem. Mogły się pojawić domysły, że wcale się nie potknął i nie upadł, jak to miało miejsce, lecz że zabiło go jakieś moje działanie.

- O tym chyba rozstrzygnąłby sąd?

- Inspektorze Silke, nie miałem czasu, żeby zastanawiać się nad sądem. Po prostu nagle zobaczyłem, że mój ojciec leży na ziemi martwy. Byłem jego synem, panie Silke. I zabiłem go.

- Ach tak - rzekł inspektor.

- Muszę tu podkreślić - odezwał się adwokat - że mój klient bynajmniej nie przyznaje się do zabicia ojca...

- Przecież właśnie to zrobił, panie Carthew.

- Moim zdaniem, to, co powiedział, nie było przyznaniem się do winy, lecz...

- Wolałbym, żeby pan Ó Briain opowiedział swoją wersję wydarzeń własnymi słowami, jeśli pan pozwoli, panie Carthew!

Adwokat otworzył usta, żeby coś jeszcze dodać, ale rozmyślił się. Rzucił Conorowi ostrzegawcze spojrzenie, ten jednak je zignorował. Było już po wszystkim. Co zostało powiedziane, to zostało powiedziane.

- W porządku, inspektorze - rzekł, patrząc prosto w oczy siedzącemu po drugiej stronie stołu mężczyźnie. - Wiem, że to paskudnie wygląda. Wiem, że może nie powinienem był uciekać. Ale... - Zawahał się, po czym ciągnął dalej. - Między mną i ojcem wielokrotnie dochodziło do kłótni i bójek. Często mnie bijał jako dorastającego chłopaka, nawet kiedy zbliżałem się już do dwudziestki. Tamtego dnia, kiedy umarł, aż się prosił o bójkę. Nie wiem dlaczego tak się zachowywał, ale wiem, że nie było to nic niezwykłego. Posunąłbym się za daleko, gdybym powiedział, że mnie nienawidził, bo nie mam pojęcia, co myślał, ale z całą pewnością tamtego dnia, jak i w wiele innych dni, chciał użyć przemocy. Zbliżałem się wtedy do trzydziestki, panie Silke. Do trzydziestki. On ubliżał mnie, mojej matce i mojej siostrze. Nie mogłem tego dłużej znieść i kiedy mnie szturchnął, postanowiłem, że nie puszcę tego płazem, choć znosiłem to wcześniej... - Conor zamilkł.

Głos zadrżał mu z emocji. Nikt z obecnych nie poruszył się. Dwaj mężczyźni, którzy robili notatki, spuścili głowy, a ich długopisy zamarły w bezruchu.

Po chwili Conor zaczął opanowanym głosem kontynuować opowieść.

- Znosiłem to wcześniej wiele razy, ale tym razem nie mogłem. Zdarzało nam się bić już przedtem, tu jednak chodziło o coś innego. Chyba po raz pierwszy walczyłem wtedy w czyjejs obronie. On znieważył moją siostrę.

Znów przerwał.

- Może napije się pan wody, panie Ó Briain? - Inspektor pchnął ku niemu karafkę i szklanę.

- Nie, dziękuję. - Conor wpatrywał się w jakiś punkt nad głową inspektora. - Ojciec i ja wyszliśmy z domu... nie pamiętam już, kto co powiedział. Wiem tylko, że ta walka miała załatwić sprawę raz na zawsze.

Adwokat poruszył się, ale Conor powstrzymał go:

- W porządku, John. Już mi wszystko jedno... - Odwrócił się z powrotem do inspektora. - Zdjęliśmy obaj z ojcem marynarki i wtedy nagle przestał być dla mnie ojcem, a stał się przeciwnikiem. Zaczęliśmy się bić. Uderzył mnie mocno - był rybakiem, miał dużo siły - a ja mu oddałem. Zaczęli się zbierać ludzie, sąsiedzi i dzieci. Pamiętam, że coś ciepłego i lepkiego spływało mi po oczach, ale biłem się dalej. Doznałem wstrząsu, kiedy zdałem sobie sprawę, że to moja własna krew. Niezbyt dobrze widziałem, po prostu waliłem, mój ojciec też walił, a potem raptem już w niego nie trafiłem, bo leżał na ziemi. To wszystko.

Na ścianie pokoju wisiał elektryczny zegar. W ciszy słychać było, jak co sekunda przesuwają się jego wskazówki.

- Rozumiem - rzekł w końcu inspektor. - Jeszcze jedno pytanie, panie Ó Briain. Czy pamięta pan, kto uderzył pierwszy?

- Nie - odpowiedział Conor.

- Rozumiem - powtórzył inspektor i coś zanotował. Cisza wciąż tykała.

Inspektor wstał.

- Będziemy z panem w kontakcie, panie Ó Briain. Conor był wyczerpany i oszołomiony.

- Czy pan... - zaczął zadawać pytanie, ale zapomniał, jak się miało skończyć.

Adwokat także wstał.

- Mój klient przeżywał w ciągu ostatnich paru lat prawdziwe udreki, inspektorze. Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby nam pan wyjawiał, jaki może być - pańskim zdaniem

- wynik naszej apelacji.

Inspektor podniósł rękę do góry.

- Przykro mi, ale decyzja należy do moich przełożonych.

- Zrobił krok do tyłu, pedantycznie wsunął krzesło pod stół i obszedł je dookoła. Conor mimowolnie także wstał.

Inspektor podszedł prosto do niego. Był prawie takiego samego wzrostu.

- Dziękuję za przybycie, panie Ó Briain. Proszę nie opuszczać miejsca zamieszkania, dopóki nie damy panu znać. Ma pan przy sobie paszport?

- Ja go mam. - To był adwokat. Otworzył aktówkę i zaczął w niej grzebać. Korzystając z przedłużających się poszukiwań, inspektor Silke wyciągnął dłoń do Conora.

- Na razie do widzenia, panie O Briain.

Conor uściśnął jego rękę, a wówczas inspektor stanął pomiędzy nim a dwoma innymi urzędnikami, którzy zbierali swoje dokumenty po drugiej stronie stołu. I puścił do Conora ogromne oko.

Christian miał dreszcze i pocił się w swoim łóżku. Działanie środków uspokajających ustało i przez jego ciało przepływała teraz falami panika. Każda dosłownie wyżywała go, pozostawiając na przemian w stanie zeszywnienia lub osłabienia. Chciało mu się wyć, ale jakieś resztki rozsądku ostrzegały go, że na nic by się to nie zdało. W gruncie rzeczy było mu trzeba czegoś, za czym tęskniła każda komórka jego organizmu - alkoholu. Wszystko jedno jakiego. Na ulicy zawsze szczyił się tym, że przynajmniej nie stoczył się do poziomu meneli tankujących denaturat, ale teraz już mu nie zależało. Denaturat, spirytus czy piwo - cokolwiek.

Musi stąd wyjść. Naprawdę chciał wrócić na dobrą drogę, ale to niemożliwe. Żaden człowiek nie zniesie czegoś takiego. Rozejrzał się za swoim ubraniem. Nie było go w zasięgu wzroku. Christian miał na sobie szpitalną piżamę, wytartą i znoszoną, z dziurą na kolanie.

Wstał z łóżka, ale przerażenie tak go paraliżowało, że nie odważył się wyprostować i przeszedł do drzwi na czworakach. Były zamknięte. Zaczął mocować się z klamką, ciągnąc ją i wykręcając z całej siły, aż rosnąca, klaustrofobicz-na panika sprawiła, że oblał się potem.

Zaczął krzyczeć:

- Pomocy! Pomocy! Pomocy! - Własny głos wydał mu się dziwaczny - odległy i zarazem spotęgowany - jak gdyby docierał do niego ze szczytu wysokiej góry.

- Pomocy! - zawołał jeszcze raz.

Ku jego przerażeniu pokój zaczął się poruszać. Ściany wybrzuszały się i zapadały w pulsacyjnym rytmie, w dodatku oblażyły je ohydne larwy. Popęzł w róg pokoju i skulił

się, obejmując ramionami kolana, by uchronić się przed larwami, a ściany kontynuowały swój groteskowy taniec. Przez cały czas Christian wzywał pomocy.

Drzwi rozwarły się nagle i do środka weszło dwóch mężczyzn. Jeden z nich trzymał w ręku strzykawkę. Rzucili się ku Christianowi, on jednak nie widział w nich ludzi, lecz zdeformowane postaci, przypominające potwory z bajek. Zaczął się bronić przed potworami, jakby był żbikiem. Szamotali się z nim, ale przerażenie dodało Christianowi sił, zdołał się wyrwać i zbiec do drzwi. Popędzili za nim korytarzem. Nie poznawał holu, nie poznawał w ogóle nic. Sforsował jakieś drzwi i znalazł się w pomieszczeniu, które przypominało pralnię. Obracające się na gigantycznych walcach wielkie maszyny wciągały długie, białe prześcieradła niby całuny, a następnie je wypływały. Wszędzie było pełno pary. Pomieszczenie wypełniał cierpki zapach.

Ludzie, którzy stali w pralni przy swoich maszynach, rozdziawili szeroko usta, gdy Christian wpadł pomiędzy nich. Mało brakowało, a byłby się przewrócił o duży kosz, ale udało mu się utrzymać równowagę.

Z drugiej strony pomieszczenia dostrzegł jeszcze jedne drzwi i obejrzał się za siebie. Potwory biegły za nim. Puścił się w kierunku drugich drzwi. Jego stopy były lekkie i nie czuł, jak dotyka nimi ziemi. Kiedy wpadł na drzwi, ustąpiły i znalazł się w kotłowni, wypełnionej strumieniami pary, łoskotem i kilometrami rur. Napis na wielkich, zielonych drzwiach głosił: WYJŚCIE. Pognał ku nim, pchnął srebrzystą sztabę i po chwili, już wolny, był na otwartej przestrzeni jakiegoś parkingu. Uskoczył za jeden samochód, potem za drugi, trzeci i następny. Nie zatrzymał się, żeby sprawdzić, czy potwory nadal go gonią. Padł na ziemię dopiero za ciężarówką stojącą po przeciwległej stronie parkingu. Serce mu waliło i czuł się chory, tak chory, jak jeszcze nigdy w życiu. Spojrzał na stopy. Jedna z nich krwawiła.

Musiał się jednak stąd wydostać.

Wiedział, że nie zajdzie daleko w piżamie. Rozejrzał się. Parę metrów dalej była wysoka skarpa. Parking znajdował się przy torach kolejowych. Mimo przerażenia, które czuł, zdawał sobie sprawę, że to łut szczęścia.

Żyjąc na ulicy, od czasu do czasu spotykał ludzi, włóczęgów, którzy opowiadali o swych podróżach w wagonach towarowych. To jest dla niego wyjście. Jeśli uda mu się dostać do takiego wagonu, będzie tam mógł chwilę odpocząć, a potem na pewno znajdzie jakąś pomoc, może innego włóczęgę, innego wędrowca, który pożyczy mu ubranie i podzieli się butelką.

Christian wstał i zlustrował spojrzeniem parking. Jeden z samochodów właśnie wyjeżdżał, ale znajdował się daleko od niego. A więc była szansa. Czepiając się kamieni i trawy, Christian zaczął się wdrapywać na zarośniętą skarpe, aż dotarł na jej szczyt. Poniżej, w odległości równej jego wzrostowi, biegły tory. Zeskoczył na nie.

Jego ciało drżało jak liść, ale umysł miał jasny. To jest jego ratunek. Wagony towarowe. Włóczędzy.

Kiedy usłyszał zbliżający się pociąg, niemal w pogodnym nastroju objął ramionami tułów i usiłował powstrzymać szcęknięcie zębów. Lokomotywa zbliża się za szybko, pomyślał. To nie jest pociąg towarowy. Trzeba usunąć się z drogi i poczekać na skład z wagonami towarowymi.

Odwrócił się i zaczął pokonywać mur, by wrócić na szczyt skarpy. Znoszona piżama zsunęła mu się jednak poniżej pasa i oplątała krwawiącą stopę, uniemożliwiając wymacanie palcami oparcia. Przyłgnął do ściany i szarpnął piżamę, by uwolnić stopę, ale pociąg już się zbliżał. Gdyby Christian nie zrobił żadnego ruchu, oddzielałaby go od wagonów bezpieczna odległość, ale wystraszył się podmuchu powietrza, wzbudzonego przez nadjeżdżający pociąg, i spróbował przywrzeć płasko do muru. Zaplątana w piżamę stopa omsknęła się i Christian zaczął się obsuwać w dół. Rozpaczliwie czepiał się muru rękami, ale na ułamek sekundy jego noga dotknęła torów, gdzie pochwyciło ją koło pociągu. Zgięty wpół Christian wywinął w powietrzu koziołka i pod koła trafiła także jego druga noga i oba ramiona. Pędzący pociąg ciągnął go przez jakieś sto metrów, aż wreszcie Christian zmarł.

Identyfikacja ciała zajęła policji sporo czasu, tak że rodzina przyjechała po jego zwłoki niemal o północy następn-

nego dnia. Molly siedziała w lincolnie z tyłu, obok babki, a Malcolm z przodu, koło kierowcy. Skierowali się na południe autostradą międzystanową numer 90, zostawili z tyłu osiedle imienia Roberta Taylora i zjechali na Powietrzną Drogę. Mijali puste pola, zabudowania farm, zjazd na wydmy i zanim się zorientowali, ujrzeli przed sobą czerwoną łunę nad Gary.

Rozdział 14

Po pogrzebie Molly odczekała kilka dni, a potem poleciała do domu, obiecawszy dziadkom, że wróci w ciągu miesiąca. Do pierwszego samolotu na wyspę zostało jej kilka godzin, pojechała więc taksówką przez Oranmore do Galway. Emocje ostatniego tygodnia wyostrzyły jej zmysły. Nie spała dobrze, a mieszanka zmęczenia i adrenaliny wprawiła ją w tak ogromne podniecenie, że co jakiś czas musiała się zatrzymać, by zaczerpnąć tchu. Szła gwarnymi ulicami Galway, którym udzielał się radosny nastrój robiących zakupy matek. Właśnie ruszyli w miasto pierwsi turyści i pierwsze grupki uczniów, ale nawet ich nie zauważyła. W jej krwi pulsował Conor.

Zorientowała się, że zaszła aż do kościoła Świętego Mikołaja. Z bólem serca przypomniała sobie, jak Sorcha opowiadała jej z powagą, że właśnie w tym kościele zatrzymał się na chwilę modlitwy w drodze do Ameryki Krzysztof Kolumb, by zaraz dodać ze współczuciem, że Krzysztof, biedaczysko, spóźnił się, bo kilka wieków wcześniej odkrył Amerykę święty Brendan Żeglarz.

Weszła do kościoła i zapaliła świeczkę przed obrazem Najświętszej Panny w intencji swojej matki, która wcale nie była jej matką. Po ulicznym słońcu odczuła spokój i chłód kościoła. Po świątyni krzątał się w milczeniu kościelny, odprawiając swe ciche rytuały za pomocą ksiąg, zakładek i paten, i przyklękając za każdym razem, gdy mijał tabernakulum. Molly stała wpatrzona w równy, żółty płomień świecy, rozumiejąc wreszcie, co Sorcha miała na myśli, gdy na łożu śmierci prosiła ją o przebaczenie.

Nie mogła się modlić, ale siedziała w ławce i patrzyła na płomień, który palił się cicho wśród wielu sobie podobnych, dopóki nie zaczął skwierczeć w przeciągu. Molly miała wrażenie, że Sorcha jest bardzo blisko.

- Och, mamó - szepnęła. - Kochałam cię.

Pogrzeb Christiana był skromny, cichy i bardzo smutny, a także w jakiś dziwny sposób umocnił więź między Molly a dziadkami. Choć bardzo się starała, nie potrafiła opłakiwać Christiana tak, jak jej się wydawało, że powinna. Żałowała raczej zmarnowanego życia Christiana niż straty brata. Widząc smutek dziadków, potrafiła jednak dzielić ich boleść, co ją do nich zbliżyło.

Przez kilka dni po pogrzebie Molly, Malcolm i Cordelia bez przerwy mówili, mówili i mówili. Molly zadawała niezliczone pytania o swych prawdziwych rodziców, a oni opowiadali jej wszystko z najdrobniejszymi szczegółami o Calu i Maggie Taylor, a nawet o dziwnych, milczących rodzicach Maggie, którzy byli drugimi dziadkami Molly. Jej prawdziwy ojciec, jak odkryła, bardzo przypominał Christiana. Miał nawet niesfornego koguta na głowie.

Usiłowała przetrwać te wszystkie wiadomości, wyobrazić sobie Maggie, Calę i ich życie w domu w Evanston.

Próbowała się poczuć jak córka Maggie.

Patrzyła na jej fotografię i pragnęła cofnąć się w czasie. Opróżniała swój umysł ze wszystkiego z wyjątkiem tego obrazu i próbowała sobie przypomnieć cokolwiek ze swego krótkiego pobytu z Calem i Maggie w tym domu. Raz czy dwa wydało jej się, że coś pamięta - spojrzenie, czułość, promyk słońca w dzieciennym pokoju. Jako realistka zdawała sobie jednak sprawę, że to pewnie tylko wybujała wyobraźnia. Sorcha już zawsze będzie jej matką.

Siedziała w kościele, dopóki świeczka, którą zapaliła w intencji Sorchy, nie roztopiła się u podstawy, nie buchnęła krótkim płomieniem i nie zgasła.

Wyszła ze świątyni na światło dnia i udała się do Moona, by kupić prezenty dla Conora i Brendana. Uważała, że obu wypada pewnie przywieźć coś z Ameryki. To zabawne. Kiedy myślała o nich razem, nadal byli jej braćmi.

Przetrzęsła wieszaki z męskimi ubraniami, obejrzała swetry wyprodukowane w Waterford i Galway, ale ostatecznie zdecydowała się na sportową marynarkę z donegalskiego tweedu dla Brendana. Nie widziała go od tak dawna, że nie była pewna rozmiaru, ale sprzedawczyni zapewniła ją, że jeśli marynarka nie będzie pasowała, można ją wymienić.

Nie znalazła nic odpowiedniego dla Conora i wyszła ze sklepu. Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko Moona, znajdował* się jubiler. Skierowała się tam. Na wystawie, którą wypełniały pierścionki firmy Claddagh, naszyjniki firmy Claddagh, a nawet kostki connemarskiego marmuru z wtopionymi płytkami firmy Claddagh, nie było niczego ciekawego. Weszła do sklepu i stwierdziła, że jest tam jedyną klientką. Powiedziała sprzedawczyni, że szuka czegoś dla wyjątkowego mężczyzny z wyjątkowej okazji.

Sprzedawczyni zastanawiała się przez chwilę, po czym przyniosła tacę ze złotymi bransoletkami imiennymi.

- Chce pani coś wygrawerować? - zasugerowała.

Ale Molly nigdy nie widziała, żeby Conor pobrzękiwał bransoletką, a poza tym te na tacy były niegustowne. Rozejrzała się po oszklonych gablotach. W rogu jednej z nich wypatrzyła tacę, którą zasłaniał srebrny niedźwiedź ze szparką z tyłu głowy. Na tacce leżały oryginalne pierścienie z kamieniami szlachetnymi.

- Mogłabym je obejrzeć? - zapytała. Sprzedawczyni otworzyła gablotę i wyjęła tacę.

Jeden z pierścieni wydał się Molly bardzo odpowiedni. Rzemieślnik umieścił owalny kamień księżycowy w oprawie z ciężkiego srebra. Molly wzięła sygnet do ręki. W dotyku wydał się jej solidny i gładki. Natychmiast ogrzał się w jej dłoni. Kamień księżycowy był blady bladością pozbawioną koloru, ale kiedy zbliżyła go do lampek sklepowych i obróciła w palcach, zamigotał ledwo widocznym różem, szarością i błękitem. Był piękny.

- Czy wie pani, kto to wykonał? - zapytała sprzedawczynię. Dziewczyna pokręciła głową.

- Chyba ktoś go oddał w komis - ostrzegła. - Czasami dostajemy takie dziwne, używane rzeczy. Zna pani rozmiar tego pana?

- Nie - odparła Molly - ale to nieważne. Czy dałoby się od razu wygrawerować na nim napis od środka?

Dziewczyna zawahała się.

- Sprawdź.

Zniknęła za zasłoną, ale po chwili znów się pojawiła.

- To możliwe.

- Ma pani kawałek papieru?

Sprzedawczyni wyrwała kartkę z notatnika i podała jej wraz z długopisem. Molly zastanawiała się przez chwilę, po czym napisała: „Na zawsze”.

Niepewnie zawiesiła długopis nad papierem, i w końcu dodała jeszcze myślnik oraz inicjał M. Podała kartkę dziewczynie, lecz zaraz poprosiła o jej zwrot.

- Przepraszam - powiedziała i skreśliła M.

Zapłaciła za pierścień kartą kredytową i opuściła sklep. Przeszła na piechotę niewielką odległość, która dzieliła ją od Eyre Square i postoju taksówek. Jazda do Oranmore odbyła się bez przygód, a kiedy Molly dotarła na miejsce, samolot był już podstawiony. Nie dostała miejsca na samolot rejsowy i musiała się zdecydować na lot czarterem.

Była jedyną pasażerką i wszystkie formalności szybko miała za sobą. Usiadła obok pilota i zapięła pasy. Startując i wznosząc maszynę w powietrze, prowadził z Molly pogodną pogawędkę. Za niecałych piętnaście minut zataczali już kręgi nad Inis Oirthir.

W dole, na pasie startowym, zauważyła kilka postaci obserwujących samolot. Wyobrażała sobie, że wśliznie się bez uprzedzenia do kuchni i zrobi Conorowi niespodziankę. Było jednak za późno. Uprzytomniła sobie, iż pilot musiał przekazać przez radio wiadomość o dodatkowym locie poza rozkładem, i nowina w błyskawicznym tempie rozeszła się wśród mieszkańców wyspy, dla których każde wydarzenie nie mieszczące się w zwykłej rutynie było mile widzianą atrakcją. Dróżką prowadzącą do pasa startowego biegła grupka dzieci, ale wśród czekających osób nie rozpoznała Conora. I dobrze. To chyba Francuzi mawiają, że oczekiwanie jest najprzyjemniejszym etapem romansu? Samolot z podskokiem dotknął ziemi i zatrzymał się. Molly pożegnała się z pilotem i wysiadła, mrużąc oczy

w wieczornym słońcu. Pomyliła się co do Conora. Szedł właśnie ku niej po trawie od zachodniej strony. Nawet jeśli zauważył coś niezwykłego w jej zachowaniu, to nie dał tego po sobie znać.

- Cześć, siostrzyczko - powiedział i chwycił jej torbę. Zeszli z pasa startowego na dróżkę. Conor przywitał się z kilkoma mężczyznami, którzy unieśli czapki na widok Molly. Zgromadzone przy wejściu na lotnisko dzieci wlepiały w nią oczy, ale kiedy podeszli bliżej, rozstąpiły się nieco i zrobiły im przejście.

Nie kontaktowała się z Conorem od czasu tamtego zwariowanego telefonu w środku nocy, kiedy mieszkał jeszcze w dublińskim hotelu, więc przez większą część drogi do domu opowiadał jej o rozmowie z gwardzistami. Nie dostał jeszcze odpowiedzi, ale nazajutrz miał się udać na stały ląd po informacje.

Ledwo go słuchała. Teraz już otwarcie podziwiała linię jego ramion, jego długie uda i włosy, które wiły się przy kołnierzyku i lekko siwiały na skroniach.

Kiedy w pewnym momencie, chcąc Molly o czymś przekonać, spojrzał prosto w jej twarz, doznała wstrząsu na widok niezwyklej przejrzystości jego oczu. Nagle zachciało jej się śmiać. Wiedziała, że zachowuje się jak uczennica, ale z radością pozwoliła sobie na chwilę beztroski.

- Czy ty mnie słuchasz? - zapytał, przystając.

- Tak, Conorze - odparła z powagą.

- Co ty knujesz, Molly?

- Nic, Conorze.

- Powiesz mi, co to za wielka tajemnica? Otworzyła szeroko oczy.

- Oczywiście, Conorze!

- No to mów!

- Nie teraz, Conorze, i nie tutaj!

Westchnął zniecierpliwiony, ale doszli już prawie do domu, więc resztę drogi pokonali w milczeniu. Molly była zachwycona, że robi na nim takie wrażenie. Aż coś w niej śpiewało. Kiedy jednak zbliżyli się do domu, serce w niej zamarło. Nawet z zewnątrz było widać, że Brendan go zaniedbał. Ściany rozpaczliwie domagały się pobielenia. Sor-

cha co roku malowała drzwi i dwa małe okna z frontu, ale kolor już zbladł i farba przy zawiasach złaziła całymi płatami.

- Och, Conorze! - wykrzyknęła, wytrącona na chwilę z radosnego nastroju. - Gdyby Sorcha zobaczyła, co się stało z jej ukochanym domem!

- Wiem - odparł Conor. - W środku wyglądał równie fatalnie, ale w ciągu ostatnich paru dni zmusiłem Brendana do pomocy i dom już trochę bardziej nadaje się do pokazania. Ostrzegam cię, Molly, że Brendan bardzo się zmienił, chociaż minęło tak niewiele czasu.

Brendan rzeczywiście się zmienił od chwili, gdy Molly widziała go po raz ostatni. Zawsze był szczupły, ale teraz przypominał szkielet, garbił się i robił wrażenie schorowanego. Kiedy weszli, siedział z papierosem przy wygasłym kominku. Skoczył na równe nogi, żeby ich przywitać, ale chwycił go straszliwy atak mokrego kaszlu, od którego zgiął się wpół. Wyglądał tak staro, jakby był ojcem Conora, a nie jego bratem.

Zaczekali, aż mu przejdzie.

- Skarżyłeś się lekarzowi na ten kaszel, Brendanie? - zapytała Molly. Przeraziły ją wydawane przez niego pocharki-wania i rżenia.

-Arrah*, gdzie tam - odparł, wciąż charcząc. - Ci wszyscy lekarze to lewusy. Biorą forszę, dają jakąś flaszeczkę i cześć, a ty się męcz. Jak się masz, Molly? - zapytał, bez powodzenia siląc się na jowialność i ukazując w uśmiechu dwa poczerńiałe górne zęby po bokach. Czterech środkowych brakowało. - Cieszę się, że cię widzę - ciągnął.

-Świetnie wyglądasz. Londyn chyba ci służy. Strasznie mi przykro z powodu dziecka. To potworne. Okropnie ci współczuję.

Przemówienie było wyraźnie z góry przygotowane. Molly zbierało się na płacz.

- Wszystko w porządku, Brendanie - odparła. - Zobacz, jaki wspaniały prezent ci przywiozłam. Chcę, żebyś od razu przymierzył. - Wyjęła marynarkę z torby. Zapakowała ją

* Skąd. (irl.)

wcześniej w papier, wyrzucając reklamówkę Moona. -Mam nadzieję, że będzie na ciebie pasować - powiedziała. Usłyszała, że mówi donośniej, niż to konieczne. Skąd się wziął ten ton zawodowej serdeczności w jej głosie? Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że przemawia jak pielęgniarka w szpitalu psychiatrycznym.

- Ee, jesteś za dobra - rzekł Brendan - a ja nie mam dla ciebie nic w zamian. - Wyrząsnął marynarkę z papieru. -Oo, jakie to ładne. Coś ślicznego. Za dobre dla takiego faceta jak ja.

- Ależ skąd, Brendanie. - Znów poczuła, że chce jej się płakać. Czy ta powłócząca nogami, żałosna istota jest naprawdę złośliwą beksą z jej dzieciństwa?

- Przymierz, Brendanie. - To był Conor, który jak dotąd nie brał udziału w scence.

- Przywiozłaś ją aż z Ameryki? - Brendan zdjął marynarkę od garnituru, którą miał na sobie. Kiedyś pewnie była brązowa, lecz tak ją znosił, że kolor zamienił się w tłustą szarość. - Conor mi mówił, że byłaś w Ameryce.

- Tak, Brendanie - skłamała. - Przywiozłam ją z Chicago.

- Chicago to podobno piękne miasto. Miasto Wiatrów. W dzień świętego Patryka farbują tam rzekę na zielono!

-Włożył marynarkę. Była zdecydowanie za luźna i wyglądał w niej jeszcze gorzej niż w starej, ale szurnał nogami z zachwytem. - Jest piękna, Molly. To najlepsza marynarka, jaką widziałem. I z samego Miasta Wiatrów!

Tak się starał, tak bardzo próbował być miły, że rezultat tych wysiłków przypominał występ w teatryku dziwadł. Molly uświadomiła sobie ze smutkiem, że od śmierci Sorchy prawdopodobnie przez całe lata do nikogo nie wypowiedział pełnego zdania.

- Wydaje mi się, że jest na ciebie trochę przyduża, Brendanie. Przerobię ją...

- *Wirra's trua**, jeszcze czego! Żadnych przeróbek! Po kiego diabła! Ta marynarka leży na mnie tak dobrze, że się w niej położę do grobu! Piękna rzecz. No! - Klasnął w dłonie. - Napijesz się herbaty czy czegoś mocniejszego?

* **Broń Boże. (irl.)**

Odwrócił się i, depcząc po starej marynarce i papierze, podszedł do komody, by wyjąć kubki. Conor wtrącił się.

- Molly i ja idziemy na spacer, Brendanie. Powiedziała mi po drodze, że chce obejść całą wyspę, zanim się ściemni. Może poszedłbyś do pubu, to się tam później spotkamy?

- Dobra, dobra, dobra. Racja! - odparł Brendan. - Będę tam na was czekał. Tyle jest do omówienia, co? Będziemy mieć dzisiaj miły wieczór! - Zasalutował, wyrzucając dłoń w górę niczym marionetka, i wyszedł. Molly zauważyła poniewczasie, że z tyłu kołnierzyka nowej marynarki zwisa metka, ale nie zdecydowała się pobiec za Brendanem. Conor wzruszył ramionami.

- Nie martw się, Molly. Trwało dzień czy dwa, zanim przywykłem, ale pamiętaj, jakie życie teraz prowadzimy. Gdybyśmy nadal tu mieszkali, byłibyśmy do tego przyzwyczajeni.

- Ale, Conorze...

-Mówię, żebyś się nie martwiła. Brendan to nie twój problem. W gruncie rzeczy jest pewnie dość szczęśliwy...

-Podniósł papier z podłogi, zmiażdżył go w kulkę i wrzucił do popiołu w wystygniętym palenisku. Powiesił starą marynarkę Brendana na oparciu krzesła. - To co, chcesz iść na ten spacer, który wymyśliłem? Ale pewnie jesteś zmęczona, nie? Ściągnęła chustkę, którą miała na głowie, i potrząsnęła rozpuszczonymi włosami.

-Prawdę mówiąc, Conorze, mam ogromną ochotę na spacer.

Ruszyli w milczeniu. Molly nie mogła przez pewien czas otrząsnąć się ze smutku wywołanego stanem, do którego doprowadził się Brendan, a Conor uszanował jej nastrój, czasem idąc przodem, a czasem dopasowując swój długi krok do jej tempa i maszerując obok.

Za pocztą skierowali się w górę drogi. Był przepiękny wieczór i mało ludzi. Dzieci odrabiały lekcje albo leżały już w łóżkach, a mężczyźni, którzy nie siedzieli w pubie ani nie oblegali telewizora w hotelu „Óstan”, zeszli na molo. Cisza wieczoru i kojący plusk spokojnego morza przenikały ciało Molly, która powoli odzyskiwała wcześniejszy figlarny i ra-

dosny nastrój; wraz z nim zaczynało rosnać podniecenie spowodowane obecnością Conora.

Nawet nie zauważyła, kiedy dotarli do miejsca, które oboje świetnie znali - niedużej, porośniętej trawą kotlinki na szczycie urwiska. Mało brakowało, a byłaby się roześmiała z trafności tego przypadku.

- Usiądźmy na chwilę, Conorze, tak tu uroczo - powiedziała. Najwyraźniej wychwycił jakąś nutę w jej głosie, bo spojrzał na nią dziwnie, ale posłusznie położył się na brzuchu, twarzą do zachodniego nieba, opierając brodę na rękach. Było późno, po wpół do dziesiątej, i słońce zaczynało już zachodzić. Molly też usiadła, tyle że po turecku, prosto i w przyzwoitej odległości od niego. Kiedy nadeszła chwila wyznania prawdy, opanowało ją nagle straszne zdenerwowanie.

Dokoła zapadał wieczór. Conor odsunął się od niej odrobinę ruchem pełzającej gąsienicy. Pewnie po to, pomyślała, żeby się wygodniej ułożyć na nierównym terenie. Nie miała pewności. On też był zdenerwowany.

Patrzyli, jak słońce chowa się powoli za płaską, stalową tafłę morza, ciągnąc za sobą złote i szkarłatowe połyski. Im niżej opadało, tym więcej było napięcia w ich milczeniu, aż zaczęło ono przypominać boleśnie naprężoną strunę skrzypiec. Powiała lekka bryza, która pochyliła trawę wokół nich, ale ziemia zachowała ciepło po całym dniu i nie było im zimno - przynajmniej nie Molly.

Odważyła się spojrzeć na Conora. Wydawał się pogrążony w kontemplacji roztaczającego się przed nimi widoku, ale Molly tak dobrze wyczuwała jego stan, że fizycznie dzieliła z nim sztywność jego ciała. Opierał głowę na jednej ręce, a drugą wyrywał w takt jakiegoś niesłyszalnego rytmu kawałki trawy, porosty i mchy z ziemi. Układał źdźbła i aksamitne drobiny w pewnym porządku. Po chwili zorientowała się, że buduje małą, zieloną piramidę. Zatliło się w niej wspomnienie małego kopczyka, który usypał na grobie jej dziecka. Nawet to nie zdołało osłabić jej podniecenia. Siedziała w odległości mniej więcej pół metra od Conora. Miał na sobie ciemnozielone sztruksy i dobrany kolo-

rem sweter z lekkiej wełny; obie te rzeczy kupiła mu w prezencie gwiazdkowym pięć miesięcy temu. Spodnie marszczyły się nieco na kolanach i w fałdzie między pośladkami i udami. Sweter podciągnął się, ukazując parę centymetrów skóry powyżej pasa. Zapragnęła go tam dotknąć.

Patrzyła, jak bawi się trawą, i nie mogła się powstrzymać od wyobrażenia sobie, jakie to byłoby uczucie, gdyby te dłonie dotykały jej piersi...

Raptem przewrócił się na wznak. Ten ruch zaskoczył ją i lekko drgnęła. Spojrzał na nią, zakładając obie ręce za głowę. Do jej uszu wdarły się nagle wszystkie dźwięki, szum morza w dole, krzyk morskiego ptaka, którego nie potrafiła rozpoznać.

- Powiesz mi, o co chodzi w tej grze? - zapytał miękko. Jego spojrzenie było tak bezpośrednie i czułe, że ciało Molly odpowiedziało falą pożądania. Odwróciła się od niego i położyła na plecach.

- Myślałam, że będzie mi łatwo to powiedzieć - zaczęła, patrząc w niebo, które z wolna traciło kolor - ale gdy doszło co do czego, nie wiem, jak zacząć.

- Spróbuj od początku.

- No właśnie. To jest najtrudniejsze. Może zacznę inaczej. Mam dla ciebie prezent, Conorze.

Sięgnęła do kieszeni dzinsów. Conor leżał na plecach, patrząc na nią swym nieubłaganym wzrokiem. Podała mu pudełeczko zawierające pierścień. Wziął je i zerwał czerwony papier w kokardki i pierścionki zaręczynowe, w który zapakowała je sprzedawczyni u jubilera.

- To sygnet - powiedział, otworzywszy pudełko.

- Tak. Mam nadzieję, że będzie na ciebie pasował. - Uprzytomniła sobie, że dokładnie to samo powiedziała do Brendana. Wzięła głęboki oddech. - Conorze, zanim go obejrzysz i zobaczysz, co wygrawerowałam w środku, chcę, żebyś mnie wysłuchał. Proszę, żebyś wysłuchał do końca. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zacznę właśnie od końca.

Ale jego wzrok spoczywał już na pierścieniu. Widziała, że patrzy na napis. „Na zawsze”. Zrobił ruch w jej kierunku.

- Molly...

Powstrzymała go ręką.

- Cicho... pozwól mi powiedzieć. Odwróciła się twarzą do morza.

- Koniec jest taki, że cię kocham, Conorze. Kocham cię nade wszystko. Myślę, że kochałam cię nade wszystko już jako dwuletnia dziewczynka. Przez wiele lat miałam z tego powodu poczucie winy, bo sądziłam, że taka miłość siostry do brata jest wbrew naturze. Kochałam cię, Conorze, ciałem i duszą. Niekiedy nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale zawsze tak było. Chciałam, żebyś wszedł do mego łóżka, do mego ciała, do mej duszy i serca. Pragnę cię teraz tak mocno, jak nigdy niczego nie pragnęłam w całym życiu...

Zauważyła wieczorną mgiełkę nad wodą. Chciała, żeby coś zrobił, coś powiedział, cokolwiek...

Odważyła się na niego spojrzeć. Wciąż na nią patrzył. Jego oczy jak gdyby pociemniały i nie mogła dojrzeć, co wyrażają. Nie pozostawało jej nic innego, jak ciągnąć dalej.

- To koniec tej historii, Conorze. Jej początek jest bardziej skomplikowany i będzie ci pewnie trudniej weń uwierzyć, bo przecież nie byłam na tym świecie jedyną siostrą, która kocha swego brata. Ta historia zaczyna się, Conorze, od tego, że nie jestem twoją siostrą.

Usłyszała jakieś poruszenie za swoimi plecami, więc, chcąc go wyprzedzić, zerwała się jak oparzona. Skoczyła na niego ze zwinnością pantery i przygniotła go całym swym ciężarem, rękami przygważdżając jego ramiona do ziemi.

- Jeszcze nic nie mów. Wysłuchaj mnie, Conorze, wysłuchaj mnie!

Przez miękką wełnę swetra jego bicepsy przypominały w dotyku żelazne supły. Wiedziała, że z łatwością zrzuciłby ją z siebie, gdyby tylko zechciał. Jej ręce ześliznęły się z jego ramion w dół i dotknęły dłoni. Słyszała, że serce wali mu w piersiach.

- Nie jestem twoją siostrą. Jestem siostrą Christiana. Drgnął lekko, ale wzmocniła uścisk, używając całej siły swych mięśni, by go zmusić do pozostania w bezruchu i dalszego słuchania.

- Ale to nie takie ważne. Przede wszystkim chcę, żebyś wiedział, że nie jestem twoją siostrą.

Leżał pod nią kompletnie nieruchomo.

- Podczas katastrofy, w której zginęła rodzina Christiana, ja też byłam w samolocie i jakimś cudem zniosło mnie tu, na brzeg, w tratwie ratunkowej. Micheal i Sorcha znaleźli mnie i przynieśli do domu jako swoje dziecko, a twoją siostrę. Ale nie byłam ich dzieckiem. Ktoś dostarczył mi na to dowód w zeszłym tygodniu. Jedynym niepodważalnym świadectwem byłyby pewnie badania krwi, ale mam przy sobie fotografię swojej prawdziwej matki, matki Christiana, i zauważysz podobieństwo. Później ci powiem, jak się dowiedziałam, ale to nieistotne. Najważniejsze, że nikt nie ponosi winy, ani mama, ani tata, ani Christian, ani ja, ani ty.

Trochę rozluźniła uchwyt.

- Przepraszam, że tak pędzę, nie chciałam tego. Zamierzałam wprowadzać cię w sprawę krok po kroku, trochę się z tobą podroczyć. Snułam wielkie fantazje o tym, jak cię zaszokuję, Conorze, jak rozbiore się przed tobą i przywiodę cię do grzechu, a kiedy już oboje będziemy nieodwracalnie potępieni, wtedy dopiero wyznam ci prawdę.

Spojrzał gdzieś poza nią, poza urwisko. Przyszło jej do głowy, że jest oburzony, że zaraz wstanie i odejdzie. Poczula się nagle potwornie zawstydzona.

Pomyliła się rachubach... Zrobiła z siebie idiotkę. Podniosła się i usiadła, patrząc w morze. Z portu wypływała jedna z miejscowych łodzi rybackich. Morze przybrało niebieskoczną barwę i światła łódki były już widoczne.

Usłyszała, że Conor wstaje za jej plecami, ale nie zareagowała. Chwycił ją mocno w tali obiema rękami i przyciągnął do siebie, a potem jednym szybkim ruchem odwrócił i wpił się w jej usta. Kiedy w odpowiedzi rozchyliła wargi, poczuła ciepło języka Conora. Wołała do niego cała jej dusza.

Kłęczeli. Przechylił ją do tyłu i położył na ziemi, przesuając jej nogi tak, że leżał na niej całym ciężarem. Przyłgnęła do niego w pocałunku pełnym nie zaspokajanego od lat głodu. Przywierał do niej całym ciałem, a ponieważ obiema rękami obejmował ją od spodu, miała wrażenie, że ją ku sobie unosi, że ich kości zespalają się ze sobą i stają się w końcu stopionym w jedność szkieletem.

Molly nie mogła uwierzyć, że jej pragnienie jest aż tak silne. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń uważała siebie za kobietę zamkniętą w sobie, a nawet zimną, toteż ten oszałamiający wybuch ją zaskoczył. Znów się poruszyła, chwytając obiema rękami jego gęste włosy i obejmując go mocno nogami. On jednak powstrzymał ją.

- Nie tutaj - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. Była tak podniecona, że te słowa podziałały na nią jak zimny prysznic.

- A gdzie? - zapytała.

Podniósł się i pomógł jej wstać. Stali teraz w pewnej odległości od siebie, nie dotykając się.

- Chcę się z tobą kochać w naszym łóżku, Molly - odparł.

- To nie jest nasze łóżko.

- Jeszcze nie...

Zeszli ze wzgórza i ruszyli ku domowi, zachowując taką odległość od siebie, na jaką pozwalała szerokość ścieżki, a łączące ich podniecenie wciąż rosło. Szli dokładnie krok w krok, jak gdyby maszerowali.

W domu było ciemno, ale Conor nie zapalił światła elektrycznego. Wyjął starą, zniszczoną lampkę parafinową, trzymaną na wypadek awarii elektryczności czy w razie jakiegś innej nagłej potrzeby. Znalazł zapalki w ich tradycyjnym miejscu - na rogu wysokiej, wyłożonej ceratą półki nad kominkiem. Uniósł knot i zapalił go, przez chwilę ogrzewając nad płomieniem szklany klosz, który następnie włożył w zakończoną ozdobnymi wypustkami, mosiężną oprawkę. Molly, cała drżąca, stała w drzwiach, oparta o framugę, i patrzyła, jak delikatny, żółty płomień rozświetla oczy Co-nora, stwarzając intymną, domową atmosferę, zapamiętaną z najlepszego okresu dzieciństwa. Wniósł lampę do sypialni - tej samej, w której dawno temu wyzwoliła go z więzów kuchennym nożem. Teraz przyszło jej do głowy, że to była jedyna chwila, kiedy widziała go nagiego.

Przez otwarte drzwi obserwowała, jak ostrożnie stawia lampę na stole przy oknie.

Po chwili podszedł do drzwi.

- Chodź, Molly - powiedział.

Nie poruszyła się, jeszcze nie mogła.

- A jeśli Brendan wróci? - zapytała.

- Brendan nie wróci. - W jego głosie brzmiała pewność.

Kiedy się do niego zbliżyła, zatrzymał ją, na moment objął, po czym schylił się, podniósł ją do góry, i położył na łóżku. Kiedy to zrobił, stare sprężyny skrzypnęły głośno.

Stanął nad nią, a ona bez lęku oddała mu spojrzenie. Wszystko w pokoju było złociste. Pochylił się i rozsunął suwaki w jej botkach, najpierw jeden, potem drugi. Z rozbierania jej uczynił powolną ceremonię. Rozpiął guziki swetra i bluzki Molly, po czym obie rzeczy zsunął jej z ramion. Pomagała mu, unosząc się lekko na łóżku. Przewrócił ją na brzuch i rozpiął biustonosz, a potem przekręcił z powrotem na wznak i zsunął ramiączka. Odsłaniając kolejne fragmenty jej skóry, gładził je delikatnymi, lecz silnymi ruchami dłoni, jakby była żrebakiem, którego trzeba dopiero ujeździć. Ujął jej piersi i zaczął je po kolei całować krótkimi, pełnymi uwielbienia pocałunkami, tak łagodnymi, że miała wrażenie, iż owiewa ją ciepły podmuch.

Kiedy była już zupełnie naga, długim, powolnym ruchem przesunął dłońmi po całym jej ciele. Zaczął od szyi, poprzez ramiona i boki, muskając kciukami piersi. Wiodąc wzdłuż łuków bioder, również kciukami poprowadził linię od pępka w dół. Wygięła się, by być bliżej jego dłoni, ale on przesunął je dalej wzdłuż ud, kolan i łydek, aż dotarł do palców nóg. Drżała jak liść. Stał każdy włoszek na jej skórze.

- Błagam, Conorze - szepnęła.

W odpowiedzi nachylił się, podnosząc ramiona, by mogła mu zdjąć sweter. Miał opaloną i twardą skórę. Nie spuszczać z niej oczu, zrzucił buty, ściągnął skarpetki, a potem jednym szybkim ruchem zdjął spodnie i slipy. Zobaczyła, że jego ciało jest dokładnie takie, jak sobie wyobrażała - piękne i mocne, a klatkę piersiową, nogi i przedramiona porastają gęste, ciemne włosy.

Poczuła perwersyjną chęć spowolnienia biegu zdarzeń. Kiedy wszedł z powrotem do łóżka, spróbowała go powstrzymać.

Był jednak zbyt silny. Wydał jakiś nieartykułowany, gardłowy dźwięk i przyciągnął ją do siebie. Przyłgnęła do niego całym ciałem i ich skóry wreszcie się dotknęły.

Przesunął się lekko w bok, chwycił pośladki Molly i wszedł w nią z jeszcze jednym głębokim, chrapliwym westchnieniem. Oboje drżeli z podniecenia, a kiedy zaczęli się poruszać, doznania rosły w nich z taką intensywnością, że Molly zdawało się, iż on wdiera się nie tylko w jej ciało, lecz dociera do najdalszych zakątków duszy. Nigdy przedtem nie miała orgazmu i kiedy nadszedł, krzyknęła i przywarła do Conora w ekstazie, szukając w nim ochrony. Wkrótce osiągnął spełnienie i on, wtulając twarz w jej szyję i przepelniając, nasycając ją całą miłością, jaką dla niej zachował w swym dorosłym życiu.

Złociste światło z lampki oliwnej zalewało ich ciała, darząc tych dwoje jakby łagodnym błogosławieństwem. Conor bez słowa wstał z łóżka i wrócił z kołdrą, którą wyjął z kufra w rogu pokoju. Położył się obok Molly i nasunął na nich oboje kołdrę. Wziął Molly w objęcia i okrył jej twarz delikatnymi pocałunkami, najpierw czoło, potem zamknięte oczy, policzki, nos, brodę i wreszcie usta. Bardzo często marzyła o jego wargach, wyobrażając sobie ich twarde i zdecydowany dotyk, a tymczasem były zupełnie inne: miękkie, ciepłe i smakowały jak słodkie mleko. Wsunęła głowę pod kołdrę, pełną starych zapachów z ich dzieciństwa w tym domu - skóry, kamieni, torfu i parafiny. Wciągnęła w płuca wszystkie te wonie naraz i nakryła kołdrą także głowę Conora, po czym pocałowała go w małe wgłębienie na szyi, pod jabłkiem Adama.

Leżeli tak razem nieruchomi, bezpieczni.

- Co dalej? - zapytała Molly, której głos tłumiała kołdra i jego potężna pierś. Poczuli, że Conor się uśmiecha, choć nie widziała jego twarzy.

- Przypomnij sobie Mesalinę - powiedział.

- Gdzie to jest? - spytała zaskoczona.

- Nie gdzie, tylko kto. Sprawdź u Roberta Gravesa. Ona też była kimś w rodzaju siostry.

Podobnie jak poprzednim razem, gdy leżeli razem w tym łóżku, poczuła się małą dziewczynką i przytuliła do niego jak kociak.